

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**PIOTR KUNCEWICZ**  
**AGONIA I NADZIEJA**

**TOM IV**

**PROZA POLSKA OD 1956**

Copyright © by Piotr Kuncewicz

**Wydawnictwo „Tower Press ”  
Gdańsk 2001**

## Wstęp

Poeci pokolenia „Współczesności” i towarzyszący im powtórni debiutanci wkraczali do literatury z takim impetem, że z twórców wcześniejszych, z wyjątkiem grona żyjących jeszcze klasyków, drzazgi ledwo zostały. Poezja rzeczywiście zaczynała od nowa. Inaczej było w prozie, która jest przecież domeną wieku bardziej dojrzałego. Prozaicy „Współczesności” nie zrobili wyłomu, mimo że nie sposób było nie zauważyć Hłaski czy Janusza Krasińskiego, Odojewskiego, Terleckiego i innych. Ale wyraźna „zmiana warty” nie nastąpiła. Nadal prym wiedli twórcy starsi: Andrzejewski, Iwaszkiewicz, Parnicki, Dygat, Breza, Brandysowie, Dąbrowska, Kuncewiczowa, Rudnicki, Żukrowski, Putrament, Mach. Teraz też wybuchło prozą pokolenie „pryszczatych”: Braun, Bratny, Czeszko, Zalewski. A z nowo objawiających się Kuśniewicz, J.J. Szczepański czy Auderska też nie byli młodzikami. Stopniowo wspinali się na Parnas i młodszy, od Wojciechowskiego i Pastuszka po Siejaka i Rybowicza. Nie sposób tu wyznaczyć bodaj takich generacji jak w poezji. Nie było grup, manifestów, pokoleniowych sympozjów. Prozaicy nigdy nie mieli swojego Leszina.

Proza powstaje wolniej, ukazuje się już właściwie poza czasem, który ją kształtował. Niekiedy czyni swoim twórcom zjadliwe psikusy. Stanisław Ryszard Dobrowolski pisząc swoją *Głupią sprawę*, cokolwiek by o niej rzec, naprawdę w najczarniejszych snach nie roił, że stanie się ona marcowym argumentem. Ludwikowi Stommie, synowi znanego działacza katolickiego, rozprawę etnologiczną *Słońce wstaje trzynastego grudnia* zaniósł do księgarni los garbaty w drugiej połowie grudnia 1981, ciesząc WRON-ę poparciem z tak nieoczekiwanej strony. Tak czy inaczej, trudno tu o rewolucyjne, szybkie przełomy.

Sytuację komplikuje także brak wyraźnych granic gatunkowych. Proza to dziś nie tylko powieść i nowela. To także, a może nawet przede wszystkim, esej – i to nie tylko literacki, i bogata strefa literatury faktu. Czy można sobie wyobrazić prozę współczesną bez Wańkowicza, Jasienicy, Kąkolewskiego, Kapuścińskiego? Sam znacznie chętniej czytam dobrą rozprawę archeologiczną, geologiczną czy biologiczną niż przeciętną powieść. Więcej ma nam do powiedzenia Lorentz niż Böll... Ale, na miłość boską, przecież nie sposób mówić o całym piśmiennictwie.

W jakich granicach, jak to wszystko zapisać? Jeśli przyjąć kryterium tematyczno-chronologiczne, to wyjdzie z tego siekanina jak Marianowi Stępniewi, w jego bardzo skądnym cennym zarysie literatury współczesnej. Co prawda i ja omawiam Iwaszkiewicza chyba w pięciu miejscach, ale zdarza mi się to nierównie rzadziej. Ryzykuję za to oskarżenie, że piszę słownik autorów czy też komponuję zbiór sylwetek, choć wcale przecież tak nie jest. W każdym razie pozostanę przy stosowanej dotychczas zasadzie generacyjnej, choć i ona ma dotkliwe wady – elementy syntezy są znacznie bardziej rozproszone, a do poszczególnych środowisk muszę powracać kilkakrotnie – na przykład Kraków „Współczesności”, Kraków „Hybryd”, Kraków „Nowej Fali”, Kraków „Nowej Prywatności”... Ale to już w zakresie prozy nie takie straszne, bo szkół prozy, poza wątpliwie „małorealistyczną” czy Berezową, nie było. Zresztą i tutaj kilka tematów domaga się opisanego i osobnego potraktowania. A więc temat wiejski, historyczny, morski, fantastyka. Natomiast tak hołubione pojęcie „powieści współczesnej” nie odpowiada albo niczemu, albo odpowiada wszystkiemu zgoła. Tematyka współczesna miała służyć, wedle programistów, albo chwalebnie, albo kontestacji, a ja w zasadzie nie chcę ani chwalić, ani kontestować, tylko opowiedzieć, jak było. Szkoda, że anioł rozważki nie zezwała na opisanie wielu malowniczych historyjek, bo wszak podobnie jak w tomie poprzednim piszę tu najczęściej o swoich znajomych, a słodycz plotkowania jest niezrównana. No, może odrobinę, niekiedy...

Czytelnik nie znajdzie tu wszystkich prozaików, którzy tworzyli po roku 1956. W zasadzie ów tom czwarty *Agonii i nadziei* dotyczy tylko tych, którzy po Październiku debiutowali lub z innych przyczyn zostali przywrócenii czytelnikowi. Twórcy, którzy kontynuowali swoją twórczość powojenną, zostali już omówieni, z małymi wyjątkami, w tomie drugim. Tu więc tylko potrzebny odsyłacz. A więc przedstawieni zostali: Brandysowie, Wygodzki, Dylał, Broszkiewicz, Breza, Mach, Newerly, Filipowicz, Promiński, Żukrowski, Putrament, Hołuj, Czeszko, Rudnicki, Malewska, Otwinowski, Żylińska, Hen, Kisielewski, Karczewska, Kwiatkowski, Gołubiew, Andrzejewski, Koźniewski, Machejek, Pytlakowski i wielu, wielu innych. Po wtóre, w trzecim tomie, poświęconym poetom, omówiłem bądź wymieniłem także ich twórczość prozatorską, a była ona niemała. I tu odsyłacz musi być okazały: Grochowiak, Bryll, Drozdowski, Iredyński, Osiecka, Grześczak, Czachorowski, Białoszewski, Nowak, Kruk, Kryśka, Śliwonik, Kozioł, Anka Kowalska, Anna Markowa, Joanna Kulmowa, Sito, J.M. Rymkiewicz, Bursa, Czycz, Elektorowicz, Skwarnicki, Loeb, Dolecki, Piotrowski, Ratajczak, Danecki, Chadzinikolau, Balcerzan, Latawiec, Górec-Rosiński, Rogowski, Nowicki, Afanasjew, Fac, Kuriata, Bakuła, Liskowacki, Zdzisław Morawski, Czopik-Leżachowski, Chaciński, Coriolan, Srokowski, Niedworok, Horak, Lubosz, Palma, Netz, Sztajnert, Waleńczyk, Wilmański, Jachimowski, junta Chróścielewskich, Czuchnowski, Pietrkiewicz, Łobodowski, Rostworowski, Pankowski, Janta-Półczyński, Radzymińska, Stachura, Bordowicz, Markiewicz, Górzeński, Wrocławski, Machnicki, Müldner-Nieckowski, Waśkiewicz, Strzałkowski, Józefacka, Kazimierzczyk, Puzdrowski, Roszewski, Sobczyk, J.J. Rojek, Milczewski-Bruno, Ordan, Turczyński, Pietryk, Dyczek, Pluta, Gola, Zadura, Biela, Frejdllich, Kupiszewski, Zagajewski, Kornhauser, Jaworski, Karasek, Lipska, Paźniewski, Wyrwa-Krzyżański, Czerniawski, Krasnodębski, Gołabek, Sterna-Wachowiak, Eda Ostrowska, Kulik.

A więc ponad stu autorów, autorów często książek ważnych, eksperymentalnych i prekursorskich. Trzeba ich wszystkich dodać do obrazu, który tu będzie malowany. Jego pierwszą, coraz cieńszą z biegiem czasu warstwą będą twórcy sprzed pierwszej jeszcze wojny. Zasadniczy wzór nakreśliło pokolenie opisane w tomie drugim, a więc ci, którzy debiutowali w latach trzydziestych. Drugą godną częścią składową będzie generacja Kolumbów. Na to nałoży się „Współczesność”, która nigdy w takim stopniu nie osiągnęła dominacji, potem stopniowo wielu innych młodszych twórców, aż wreszcie pozostali, idąc za fletnią fatalnego Henia, zanurzają się w Berezynie. Czy ją przejdzie ktokolwiek żywy?

Więc kolejno: dostojni, zakompleksieni, żarłocznicy, niepewni, przepuszczeni przez maszynkę – zbereźnicy.

# **Seniorzy w kraju i na emigracji**

Warto chyba przypomnieć, że trzydzieści i ileś tam lat temu inny był z konieczności horyzont czasowy. Nie byli nadzwyczajnością ludzie, którzy osobiście znali Brzozowskiego, Prusa czy Wyspiańskiego. Dwudziestolecie to nie kraina zamierzchła, przeciwnie, jego pisarze, jeśli nie zginęli w czasie wojny, to jeszcze żyli, a nawet tworzyli. Artur Górski, Adam Grzymała-Siedlecki sięgali nawet daleko w głąb ubiegłego stulecia i spokojnie Norwida czy Kraszewskiego znać mogli. Co więcej, okres międzywojenny zbliżył się jakby, gdyż zaczęli do kraju docierać twórcy emigracyjni. Wracali Stanisław Cat-Mackiewicz, Wańkowicz, Kuncewiczowa, Choromański, Lepecki, Parnicki, pojawiła się też twórczość Gombrowicza – i już została na stałe.

A zawsze, z wysoka, niby w centrum, a na uboczu, niby na uboczu, a na miejscu centralnym pozostawał Jarosław Iwaszkiewicz (1894-1980). Jako poeta nie miał już wpływu na dzieje literatury, jako prozaik natomiast liczył się ogromnie, chociaż także nie miał prawie naśladowców, a z całą pewnością – następców. Obdarzony przez los nie tylko talentami, ale niewiarygodnym szczęściem, przez cały czas przez nikogo nie niepokoiony, tworzył dzieło, którego format miał usprawiedliwić wszystkie jego uniki i kompromisy. Może to zresztą zabrzmieć fałszywie, gdyż jego dokonaniem najwybitniejszym nie była monumentalna *Sława i chwała*, lecz raczej opowiadania, mikropowieści, eseje.

Wśród utworów czasu okupacji na pierwsze miejsce wysuwa się nowela *Bitwa na równinie Sedgemoor* i mikropowieść *Matka Joanna od Aniołów*. Oba utwory historyczne czy też pseudohistoryczne raczej. Pierwszy opiera się na epizodzie z XVII-wiecznych dziejów Anglii i daremności poświęcenia dziewczyny. (Ciekawe, że na zbliżone miejsce i czas przypada najlepsze chyba opowiadanie Putramenta – *Monk*). Zapewne da się tu odczytać lekko zawołane uzasadnienie postawy autora, jego sąd o daremności bohaterstwa. „Wszystko to było niepotrzebne” – mówi bohaterka, która „miała wrażenie, że jakaś ogromna fala podniosła ją ku górze, ominęła, przeszła, rozplynęła się i pozostawiła ją jak złamaną muszlę na piasku”. (Przypominam, że Iwaszkiewicz zawsze musi coś topić. Patrz tom pierwszy). *Matka*, jedno z Iwaszkiewiczowskich arcydzieł, przeniesione później na ekran przez Jerzego Kawalerowicza, polonizuje sławne zbiorowe opętanie w Loudun, który tu jest Ludyniem, także w XVII stuleciu.

Po wojnie powstaje bardzo wiele opowiadań zebranych w tomy, m.in. *Stara cegielnia* (1946), *Nowa miłość* (1946), *Nowele włoskie* (1947), *Opowieści zasłyszane* (1954), *Tatarak i inne opowiadania* (1960), *Heydenreich. Cienie. Dwa opowiadania.* (1964), *O psach, kotach i diabłach* (1968), *Opowiadania muzyczne* (1971), *Ogrody* (1974), *Zarudzie* (1976). Są to utwory bardzo rozmaite, często świetne, ale już chyba nie tej miary co *Brzezina*, *Panny z Wilka*, *Bitwa...* czy *Matka Joanna...* Niezrównany styl, wspaniałe opisy, dociekliwość psychologiczna, poczucie ironii losu – ale w tym wszystkim niewiele opowiadań wymienia się „po imieniu”. Owszem, zwróciły uwagę *Stara cegielnia*, *Ikar*, *Młyn nad Lutynią* – utwory dotyczące czasu okupacji, na ogół nieczęsto obecnej w jego twórczości. Dla Iwaszkiewicza był to raczej jeszcze jeden przejaw działania uniwersalnie przewrotnych praw historii. Zasłyszana w swoim czasie drwiąca *Fama*, nie przyniosła Iwaszkiewiczowi chwały socrealistyczna *Ucieczka Felka Okonia* (1953). Natomiast poruszyło opinię *Zarudzie*, opowiadanie z cyklu związanego z powstaniem styczniowym. Rzecz jakby trochę i z daleka, i na opak kontynuuje problematykę *Bitwy na równinie Sedgemoor*. Tam dziewczyna poświęcała się daremnie. Tu, jeśli młoda mężatka ruszy za mężem na Sybir, zrujnuje życie swojego otoczenia. Poświęcenie i bohaterstwo nie są już tylko daremne, ale wręcz szkodliwe. *Sapienti sat*.

Iwaszkiewicz nigdy nie był po stronie bohaterskiego czynu, lecz po stronie biernego a intensywnego przeżywania życia. A wszystko usprawiedliwiała i ocalała sztuka – czyż inaczej było u Prousta? Całe jego dzieło obraca się wokół sztuki i artystów. Literatura, malarstwo, architektura, teatr i nade wszystko muzyka. A także pejzaż – tu Iwaszkiewicz miał rze-

czywiście niezwykle wycucie smaku, ducha miejsca, tu naprawdę był nieomylnie znakomity. Trzeba zresztą zauważyć, że w miarę upływu czasu coraz mniejszą uwagę przywiązywał do fabuły, przedkładając nad nią opis i esej. Powstają znakomite utwory poświęcone podróżom po Włoszech i po Polsce przede wszystkim. Ale nie tylko. Żywioł wspomnieniowy wyraził się w *Książce moich wspomnień* (1957) i *Książce o Sycylii* (1956). W 1977 ukazały się *Podróże do Włoch* i *Podróże do Polski*, a rok przedtem *Petersburg*, zbiór esejów o petersburskich legendach i kulturze. Książka bardzo szczegółna, trochę wojowałem korespondencyjnie z Iwaszkiewiczem o nią. Ale list, który od niego na ten temat otrzymałem, wskazywał, że Iwaszkiewicz opuścił już sferę wrażliwości na zarzuty. Cóż, daremnie pytać, czemu ogórek nie śpiewa. Ponieważ atakowałem go za życia, więc dziś chcę tym mocniej powiedzieć, że są to arcydzieła sztuki opisowej i w ogóle literatury. A nie wszystko musi być moralistyką. Czyż estetyka nie wystarczy? A tu dalej należałoby wymieniać zasługi dostojnego Jarosława. A więc jego prace muzyczne o Szymanowskim, Bachu, Chopinie, a więc jego *Rozmowy o książkach*, przez całe lata prowadzony znakomity felieton w „Życiu Warszawy”, szkice (jak *Gniazdo łabędzi*, 1962), przekłady – jak choćby Kierkegaarda, Claudela, Tołstoja, Gide’a itd.

Nieraz już powoływałem się na przypadek Petrarke, którego dziełem największym miał być łaciński poemat *Afryka*, sonety zaś pisał na marginesie, bez szczególniejszej estymy. Każdy prawie prozaik starej daty (ale czy tylko?) nosi się latami z wielką powieścią, epopeją, sagą rodową, w której ujawni pełny wymiar swojej osobowości i talentu. Niektórzy nawet, niestety, dokonują tego dzieła. Iwaszkiewicz nie był gorszy. Latami szkicował, pisał, aż w latach 1956-1962 wydał trzy tomy *Sławy i chwały*, uczczonej wnet środowiskowym określeniem „sława i chała”. To pewnie niesprawiedliwe, ale utwór jednak jest kontrowersyjny. Fabuła rozpościera się od roku 1914 po 1947 i nietrudno spostrzec, że idzie o współczesne Iwaszkiewiczowi pokolenie, po prostu o niego samego, rozpisanego na wiele głosów i postaci spośród rodziny Royskich, Szyllerów i inne, a przede wszystkim kompozytora Edgara Szyllera. A więc mamy dwie wojny, rewolucję, powstanie warszawskie, ale trudno to nazwać powieścią historyczną. Raczej już psychologiczną, obyczajową, refleksyjną – bo wiele wątków i technik narracyjnych tu się kojarzy, a i rzecz zmienia się z czasem. Właściwie jest tu wszystko, co przynależy epopei, jest to nawet gęste, polifoniczne, panorama motywy z innych utworów Iwaszkiewicza, ale zachwycić się tym trudno. Choć przecież rozmach i wielkość budowy uszanować warto i należy.

Pisałem już, że najbardziej zdumiewającym i bulwersującym problemem iwaszkiewiczowskim jest on sam. Czy naprawdę był pisarzem współczesnym? Nasze codzienne dole i niedole omijały go tak, jakby nie należał do czasu teraźniejszego. Zapewne umiał znakomicie bronić tej swojej eksterytorialności czy ekstemporalności raczej. Ale i książki jego na ogół nie mówią o problemach specyficznie dzisiejszych, nie mówiły o aktualności także przed wojną. Starał się o uniwersalność, a uniwersalne są sztuka oraz psychika ludzka i jej dramaty. Może i nie czuł się – jak my – dzieckiem czy raczej bękartem historii. Mann rozważał umiejętność Hauptmanna, który potrafił przyjąć hitlerowskie honory. Ale wnet i radzieckie względy także, o czym, jak się zdaje, Mann wiedział niewiele. Podobnie olśniewającą osobowością był Aleksy Tołstoj, autor skądinąd mocno iwaszkiewiczowaty. Czy każdego z nich także odwiedził gość Adriana Leverkühna? Czy *Sława i chwała* przypadkiem rozpoczyna się od rozmowy o Fauście? Czy ubiór Iwaszkiewicza, w jakim kazał się pochować – mundur górniczy – był symbolem trudu, czy aluzją do zejścia w podziemne czeluście? Ale to już raczej temat dla powieści niż dla statecznej krytyki.

Od wielu już lat funkcjonuje w Polsce instytucja matrony narodowej. Jest to z reguły starsza już pisarka, którą otacza powszechne zainteresowanie, której się składa hołdy, wokół której przeróżne instancje skaczą na dwóch łapach, która staje się ostatecznie czymś w rodzaju Wielkiej Matki narodu. Oczywiście, świadczy to zarówno o roli literatury w Polsce, jak i o potrzebie autorytetu, a też i o właściwej Sarmatom galanterii wobec kobiet. Pierwszą taką



matroną była chyba Deotyma, potem Konopnicka i Orzeszkowa. Po dłuższej przerwie rolę tę zaczęła odgrywać Nałkowska, a po jej śmierci Maria Dąbrowska (1889-1965). Te dwie panie serdecznie się zresztą nie znosiły.

W pierwszych latach powojennych Dąbrowska zajmowała postawę dość neutralną i godną. Przełom proustrojowy nastąpił w 1952. Był to czas zupełnego znieruchomienia i niewiary w jakąkolwiek odmianę. Jak słusznie pisze Drewnowski, wydawało się, że stalinizm trwać będzie wiecznie. To prawda, z punktu widzenia nastolatka, jakim wtedy byłem, i to nawet nastolatka bardzo opozycyjnego, Stalin to było już coś poza biologią, poza ludzką miarą. To był rzeczywiście orwellowski Wielki Brat, który nie przeminie i nie odmieni się nigdy. Ale Dąbrowska nie była nastolatką i powinna już wówczas dobrze wiedzieć, że przemija wszystko.

W latach 1954-1955 publikuje Dąbrowska dwa głośne opowiadania: *Trzecią jesień* i *Na wsi wesele*, które wkrótce ukazują się w tomie *Gwiazda zaranna* (1955). W swoim *Weselu* Dąbrowska ukazuje przemiany, głównie pozytywne, na wsi polskiej, dowodząc przy tym, że młodzi łakną spółdzielni produkcyjnych. Ale po większej części jednak pisze prawdę, dając wizję plastyczną i wielostronną. A wszystko wzięło się stąd, że autorka została zaproszona pod Mszczonów na wesele córki swej byłej służącej, dziś powiedzielibyśmy: gosposi. Oczywiście, motyw wesela, aż po Andrzejewskiego i Marka Nowakowskiego, to jeden z najważniejszych sposobów prezentacji narodowych problemów. W 1953 Dąbrowska zamieszcza swój tren w zbiorze *Stalin żyje w naszych sercach*. (Oprócz niej na łamach „Nowej Kultury” Stalin nawiedził także serca Broniewskiego, Jana Dembowskiego, Kruczkowskiego, Iwaszkiewicza, Heleny Bobińskiej, Nałkowskiej, Jastruna, Infelda, Kazimierza Brandysa, Zelwewowicza, Stefana Żółkiewskiego, Romana Bratnego, Wygodzkiego, Wiktora Woroszyńskiego i Tadeusza Konwickiego. Ale i tak wszystkich wielbicieli tu nie wymieniam).

Dąbrowska wydaje kilka zbiorów szkiców: *Myśli o ludziach i sprawach* (1956), *Szkice z podróży* (1956), *Szkice o Conradzie* (1959) – zwłaszcza te ostatnie są godne uwagi. Wraca do pozycji neutralnej z opozycyjnymi akcentami, ale jest i tak przedmiotem admiracji powszechnej, także oficjalnej. Tu wspomnę sławny incydent z rybami, które jej przyniósł Putrament – Dąbrowska poleciła mu, by zaniósł swój połów do kuchni i na tym zakończyła posłuchanie.

Dąbrowska od lat planowała drugie wielkie dzieło, kontynuację *Nocy i dni*. Rozpoczęła pisanie już przed wojną, wracała do niego wielokrotnie. W końcu na nalegania „Przeglądu Kulturalnego” próbowała rzecz zredagować i opublikować na łamach tego pisma na początku lat sześćdziesiątych. I teraz przerwane, zarzucone, nie dokończone ukazało się dopiero pośmiertnie, pod prowizorycznym tytułem *Przygody człowieka myślącego* (1970). Składa się to dzieło z trzech odrębnych i od końca pisanych całości, ma luki, brakuje mu zakończenia, ale i tak jest ogromne. Miało być zaprzeczeniem *Nocy*, a stało się ich powtórką. To, co naprawdę w tym utworze poruszające, to zmaganie się niemłodej pisarki z tematem, jej świadomość archaiczności środków literackich, jakimi dysponowała, daremne próby przzerwania zakłętą kręgu.

Rzecz poczyna się nad Gopłem w okolicach powstania styczniowego. Na przełomie stuleci z sióstr Domontówien rodzi się ich potomstwo, właściwi bohaterowie *Przygód* – Wochelscy i Tomyscy. Po dość zdawkowo ukazanym dwudziestoleciu rzecz pęcznieje w powieść okupacyjną. Autorka rozpiła siebie na kilka osób i w ten sposób rozwinęła tu tematykę artystyczną, literacką i malarską. Ale to nie Iwaszkiewicz – tematem centralnym jest sama materia życia. Dąbrowska obywa się niemal całkowicie bez opisów, buduje swoją książkę z wydarzeń. Perypetie całej gromady pociotków, którym towarzyszy wiele innych postaci, mają się złożyć na obraz społeczeństwa aż po powstanie warszawskie, potraktowane zgodnie z ówczesną oficjalną wykładnią. Trzeba przyznać, że ta proza potrafi chwilami wciągnąć, chociaż jako wizja dziejów Polski jest bardzo zdawkowa. Dąbrowska stosuje w książce różne formy – dziennik, listy, część rozdziałów to po prostu nowele. Analogie do *Nocy* ustawiczne. Też Kallis, też jakiś okropny Tomaszek, zwany tu Ludwikiem, i tak dalej. W każdym razie i tej książce nie brak czytelników.

Rewelacją ostatnich lat jest prowadzony przez całe życie dziennik, który w całości może się ukazać dopiero w 2005 roku, ale którego bardzo obszerne fragmenty już publikowała prasa, a obszerny wybór przygotował Tadeusz Drewnowski (pięciotomowa edycja *Dzienników* ukazała się w 1988 r. i obejmuje lata 1914-1965 – przyp. red.). *Dzienniki* stanowią bogaty i przejmujący obraz życia pisarki.

Szkoda, że tematem narodowym są raczej wesela niż pogrzeby, bo pogrzeb Dąbrowskiej-masonki – finansowany przez państwo, lecz kościelny – to rzecz całkiem osobna i specyficznie narodowa.

Na opróżnione miejsce postąpiła Maria Kuncewiczowa (1899-1989). Pisarka powróciła do Polski dopiero po Październiku i zamieszkała tu na stałe, często jednak podróżując. Zresztą jej książki wyprzedziły ją niejako. W 1948 ukazały się *Klucze*, potem *Zmowa nieobecnych* (1957), *Leśnik* (1957), *Gaj oliwny* (1961), *Don Kichot i niańki* (1965), *Tristan 1946* (1967), *Fantomy* (1971), *Natura* (1975), *Fantasia alla polacca* (1981), *Przeźrocza* (1985). I *Klucze*, i *Leśnik*, i *Zmowa nieobecnych* powstały wcześniej i miały już wydania emigracyjne. Kuncewiczowa (której twórczość przedwojenną opisałem w tomie pierwszym) była już w momencie powrotu żywym klasykiem. Ale jej dorobek powojenny różnił się jednak od wcześniejszego. W istocie rzeczy przypominało to ewolucję wojenną Pawlikowskiej, która od sfery spraw intymnych przeszła do społecznych i narodowych, z nie najlepszym dla siebie skutkiem. Kuncewiczowa wyszła jednak z próby zwycięsko. Dla tych bardzo kobiecych autorek było to nie mniej trudne niż dla aktorów kina niemego film dźwiękowy, a przecież gdy świat się walił, trudno było poprzestać na historiach romansowych. Warsztat Kuncewiczowej miał jednak właściwości sprawiające, że to przejście nie było specjalnie bolesne. Zapis świata i siebie samej, swoich dyskretnych refleksji był już wypróbowany, choćby w notatkach z podróży do Palestyny, które złożyły się na tom *Miasto Heroda* (1939). Trzeba było tylko kontynuować. *Klucze* to po prostu zapis wojennej wędrówki przez Francję i Anglię, ale zarazem także zapis stanu ducha środowisk i narodów, na które Polacy byli w tym czasie skazani. Książka zapowiada już późniejsze *Fantomy* i *Naturę*, o wiele głębsze i rozleglejsze. Ale *Klucze* nie dadzą się zredukować tylko do zapowiedzi czegoś, mają swoisty posmak relacji bezpośredniej i aktualnej.

Nieco inaczej odbyło się „unarodowienie” problematyki w *Leśniku*. Ta książka to niejako pendant do *Cudzoziemki*. O ile ta ostatnia uchodziła za studium matki, o tyle *Leśnik* był wariacją na temat ojca. Oczywiście, mówimy o stronie fabularnej, ponieważ i w tym, i w tamtym, i w innych jeszcze przypadkach Kuncewiczowa pisze po prostu o sobie, tak jak zresztą każdy na świecie autor – że przypomnę słynne wyznanie Flauberta – „pani Bovary to ja”. *Leśnik* powstawał już przed wojną, ale zapewne rozwinąłby się trochę inaczej. Jego bohater jest permanentnym cudzoziemcem – i wobec Polaków, i wobec Rosjan. Ścigany fantastycznymi zbiegami okoliczności, nieco *deux ex machina*, cierpliwie przez autorkę ratowany z opresji i oczyszczany z podejrzeń, w posepnych latach po powstaniu styczniowym z trudem próbuje odnaleźć swoją tożsamość. Problematyka narodowa była tu wręcz nie do uniknięcia – ale względność rzeczy przypomina o wiele późniejsze *Zarudzie* Iwazkiewicza (a nawiasem mówiąc, Iwazkiewicz nie mógł *Leśnika* nie znać).

Inna zupełnie jest *Zmowa nieobecnych*, próba polskiej panoramy świata czasu wojny. Zapewne nie bez myśli o Dickensa *Opowieściach o dwóch miastach*, rozpięta między Londynem a Warszawą, czy inaczej, między losem polskich emigrantów w Anglii a losem kraju pod okupacją – na przemian. Wątek krajowy wyszedł trochę koślawo, kto tu nie był, nie mógł oddać niepowtarzalnej atmosfery, w której niewyobrazalny koszmar stał się rzeczą zwyczajną, przyjmowaną do codziennej wiadomości. Ciekawe, że podobny brak odczucia zarzucano i Putramentowi, który lata wojny spędził w Związku Radzieckim. Osobą centralną jest jednak emigrantka, śpiewaczka, Zofia N-ska, daremnie poszukująca sensu życia i tożsamości. Walory obyczajowe i romansowe, a także psychologia nałożyły się tu na powieść wojenną, na by-

strą prezentację „sprawy polskiej” z perspektywy Londynu. Kuncewiczowa jest krytyczna, nie unika ironii, a poczynania bohaterów są właściwie daremne, chociaż nie całkiem pozbawione nadziei. A zatem książka ostatecznie kończy się zdaniem: „Przypominam: nie tylko Szatan, ale i Bóg obecny jest wszędzie, więc podróżnym ktoś zawsze pomaga.” Jest to bodaj najobszerniejsza książką Kuncewiczowej, toteż wiele tu przeróżnych motywów, spraw, dyskusji. Bohaterka jest śpiewaczką, a sama Kuncewiczowa omal nią nie została, więc i ta problematyka nie mogła jej być obca i znów mamy do czynienia ze studium własnych możliwości, z ewentualnym wariantem własnego losu. Jak się zdaje, *Zmowa*, czy może w ogóle twórczość emigracyjna, była ważną nauką, by nie przeceniać swojej polskości jako atrybutu o walorach światowych. A londyńska wieża Babel musiała być dla autorki *Cudzoziemki* czymś dobrze przecież znajomym. Coś poza tym przypomina tutaj Nałkowską, a to dla mnie nie jest wielki powód do zachwyty. Chociaż właśnie to, co u Kuncewiczowej nazywają „sztucznością”, wydaje mi się godne uwagi. Dąbrowska na przykład zdaje się sprawiać wrażenie, że zapisuje wszystko, Kuncewiczowa to, co jej zdaniem jest godne uwagi. I mnie to drugie stanowisko wydaje się ciekawsze i płodniejsze, chociaż gdy np. opisuje polanę, a na niej zawilce i przyłaszczki, to podejrzewam, że gdzieś tam rosną i pokrzywy. Ale co z tego?

Osobne miejsce zajmuje w twórczości Kuncewiczowej *Gaj oliwny*. Był początkowo przeznaczony dla czytelnika anglojęzycznego, właśnie też i po angielsku został napisany, potem rękopis zginął, powstała wersja polska i ta wreszcie, już w angielskim tłumaczeniu, trafiła z powodzeniem w świat. Książka odchodzi od kompleksu autobiograficznego i od kompleksu polskiego tym samym. Fabuła, wzięta z relacji prasowej, dotyczy zamordowania angielskiej rodziny przez francuskiego chłopca. U Kuncewiczowej rzecz wyłania się z kompleksów i powikłań wojennych, a autorka śledzi narastanie i rodzenie się bestii w człowieku – są tu partie mocno mauriakowate w swej psychologicznej dociekliwości. Jeśli idzie o przeszłość, to w ogóle w okresie powojennym nabiera ona dla Kuncewiczowej siły fatalnej. To ona zatruwa życie, kieruje wypadkami, myśleniem. Jest to zresztą zrozumiałe – przeszłość jest częścią rzeczywistości wewnętrznej, psychicznej i daje się przeciwstawiać temu, co „na zewnątrz”. Świat magiczny ma swoje istotne miejsce w powieści za sprawą głównej bohaterki, zamordowanej na końcu małej dziewczynki Pat. Był czas, kiedy uważałem *Gaj* za najciekawszą powieść Kuncewiczowej, choć dziś przedkładałabym nad nią inne.

Tak właśnie do najważniejszych i najskrupulatniej skomponowanych powieści należy *Tristan 1946*, także książka traktująca o fatalności losu. Przeszłość jest tutaj wobec bohaterów czymś niejako zewnętrznym, gdyż ich losy kształtują się wedle starego mitu o miłości Tristana i Izoldy. Ciekawe, że bohaterowie mają świadomość owej zależności, wiedzą, że odgrywają role wcześniej napisanego dramatu i przyjmują ten wyrok losu, a nawet starają się niejako mu pomagać. Stylizacja jest rzeczywiście dokładna, choć naturalnie uwspółcześniona. To dzieje wielkiej miłości młodego Polaka Michała i Irlandki Kathleen. Rzecz się dzieje w Kornwalii, odnajdą się też odpowiedniki innych mitycznych bohaterów – z królem Markiem na czele. Kuncewiczowa jest bardzo wierna pierwowzorowi i, w przeciwieństwie do niektórych krytyków, nie uważam tego za wadę. To właśnie staje się przesłanką bardzo pieczołowitej stylizacji i ciekawego języka powieści. Jest to jednak przede wszystkim wielkie studium samotności, rozpisanej na różne warianty i różne postaci. Miłość jest tym, co najbardziej jeszcze obiecuje wyzwolenie się od samotności, zespolenie z drugim człowiekiem. Ale przecież i miłość nie ma współcześnie owej mocy wyzwalającej, dostatecznej. Tristan i Izolda w wersji Kuncewiczowej nie umrą z miłości, rozstaną się po prostu. Oboje byli tylko aktorami, nic nie było bardziej od aktorstwa rzeczywiste. Nie jest to motyw u Kuncewiczowej całkiem nowy. Przeciwnie: sytuacja „cudzoziemca”, nieodwołalne wyobcowanie przenika wszystkie jej książki – ostatecznie tragedia *Gaju oliwnego* także dotyczy cudzoziemców, jakimi byli Anglicy we Francji. Po prostu człowiek jest „cudzoziemcem” zawsze, nie tylko dziś, nie tylko w Kornwalii i w owym tytułowym roku czterdziestym szóstym. A jeśli to książka o niej samej –

to znalazła w niej Kuncewiczowa aż trzy wcielenia, trzy różne postaci, uwikłane w odrębność, miłość i samotność. Już wkrótce odezwie się niby to bez maski, we własnym imieniu. Ale jak przez całe życie obdarzała swych bohaterów sobą, tak teraz znacznie zapożyczać się u nich, wkładając najbardziej skomplikowaną maskę: swojej własnej twarzy i własnej biografii.

To właściwie dość typowe współcześnie: prozaik ma w końcu dość swoich powieściowych światów, dość fabuły i zaczyna pisać eseje, pamiętnik, autobiografię. Czasem jest to jego ostatnia szansa, ale nie tak jest u Kuncewiczowej. Zdobywszy świat, o tyle, o ile pisarz może go zdobyć, fascynuje czytelników swoją „prawdą i zmyśleniem”. Wymieńmy tu więc *Don Kichota*, książkę o Hiszpanii, odrobinę chyba oschłą, i utwór *Fantasia alla polacca* o młodym Przybyszewskim – jeszcze jedno wcielenie obcości wobec świata, jeszcze jeden przykład przewagi świata wewnętrznego nad zewnętrznym. I wreszcie przychodzi jedna książka o dwóch tytułach – *Fantomy* i *Natura*, rzeczywiście znakomita. Kuncewiczowa nazywa to autobiografią, ale to nieprawda, czy może niecała prawda. To jakby zestawianie stylów i smaków świata. Od chwili obecnej cofa się w przeszłość – w *Fantomach* w europejską, w *Naturze* w amerykańską. Ma o czym pisać: wiele widziała, bardzo wielu ludzi poznała, doświadczyła bezwzględnej względności sądów, postaw, obyczajów. Ma wielkie poczucie „smaku” poszczególnych miejsc i znakomity warsztat opisowy. Istotne jest to, że właściwie nikt i nic nie istnieje samo przez się, a wszystko jawi się w odniesieniu do czegoś podobnego lub niepodobnego właśnie. Sprawy osobiste mieszają się z historią, biografia z historią rodzinną, tym jednak, co decyduje i o tożsamości, i o sensie, smaku życia jest kultura – w swych najprzeróżniejszych przejawach. Jak wspominałem, jest to może najbardziej wystylizowana książka Kuncewiczowej. Kto wie, czy nie najlepsza...

Witold Gombrowicz (1904-1969) jest chyba najbardziej na świecie znanym i cenionym pisarzem polskim. Ale nie przyszło to łatwo ani od razu. Jego przedwojenne utwory, już omówione w tomie pierwszym, z *Ferdydurke* na poczesnym miejscu, były znane i cenione przez wąski krąg specjalistów. Gombrowicz wyjechał w sierpniu 1939 do Argentyny na krótką wycieczkę. Zaskoczyła go tam wojna i w rezultacie spędził tam dwadzieścia cztery lata, przez większość czasu pracując jako szary urzędnik bankowy. Stąd jednak zaczął podbijać świat, a podbój ten prawdopodobnie tuż przed nagrodą Nobla przerwała mu śmierć. Zmarł już w Europie, gdzie najpierw jako stypendysta Forda spędził rok w Berlinie Zachodnim, co mu u nas bardzo za złe miano, później zaś osiadł na południu Francji, w Vence. W Polsce w latach pięćdziesiątych, popaździernikowych wznowiono jego utwory przedwojenne tudzież wydano *Trans-Atlantyk* i *Ślub*. Pozostała jego twórczość musiała czekać następne dziesięciolecie, aż do zbiorowego wydania w 1985 roku.

Po długim wojennym i powojennym milczeniu w 1953 roku ukazuje się *Trans-Atlantyk*, później *Pornografia* (1960) i *Kosmos* (1965). Oprócz tego Gombrowicz jest autorem dwóch bardzo sławnych i na całym świecie wystawianych dramatów *Ślub* i *Operetka* (sam Gombrowicz w ogóle do teatru nie chodził) oraz trzech tomów *Dziennika*, drukowanego odcinkami w paryskiej „Kulturze”, uważanego niekiedy, z niejaką przesadą, za jego najwybitniejsze dzieło. Autor to przewrotny, zawsze zaskakujący, prowokujący, drażniący swym egotyzmem, krytykowaniem wszystkich i wszystkiego, a przecież najzupełniej niezwykły i bardzo płodny intelektualnie. Na polską literaturę współczesną wywarł wpływ nie dający się przecenić, od Lema po młodą prozę. Szczególnie zawile problemy wiążą się z jego polskością, nieustannie krytykowaną, a stanowiącą dla niego jednocześnie zasadniczy punkt wyjścia. Gombrowicz patrzył na sprawy szerzej – atakował wszelką identyfikację narodową, degradującą konkretną jednostkę ludzką. W Polsce szczególnie wywoływało to – i wywołuje – protesty, gdyż historia tak nas kształtowała, że poczytujemy jednostkę za coś służebnego wobec grupy. Ograniczenia wolności (także dobrowolne) stąd wypływające znalazły się w sytuacji wiecznie zagrożonego, tonącego statku, stały się po prostu regułą przetrwania. Ale rozpoznanie ograniczeń, uwarunkowań i względności takich ocen, jakie przynosi nam Gombrowicz, jest czymś ogromnie cennym.

*Trans-Atlantyk* (tak, wedle wyraźnych życzeń Gombrowicza należy pisać ten tytuł, a nie *Transatlantyk*, jak to się często praktykuje), utwór chyba najszczególniejszy, najbardziej drwiący i szyderczy, najbardziej bogoburczy, został spisany szczególnym językiem – pseudoarchaicznym, pseudosarmackim, parodiującym szlachecką gawędę – a Gombrowicz mówił i o odniesieniach do *Pana Tadeusza*. Są to przetworzone i sparodiowane argentyńskie przypadki autora. A więc na wieść o wybuchu wojny ucieczka ze statku, odmowa udziału w kolejnej europejskiej narodowej rzezi. Gdy statek odpływa, już nie do Polski, lecz do Anglii, Gombrowicz, występujący tu pod swoim imieniem i nazwiskiem – jak to już odtąd będzie we wszystkich książkach – tak go żegna:

„A płyncież wy, płyncie Rodacy do Narodu swego! Płyncież wy do Narodu waszego świętego, chyba Przeklętego! Płyncież do Stwora tego św. Ciemnego, co od wieków zdycha, a zdechnąć nie może! Płyncież do Cudaka waszego św., od Natury całej przeklętego, co wciąż się rodzi, a przecież wciąż Nieurodzony! Płyncież, płyncież, żeby on wam ani Życ, ani Zdechnąć nie pozwalał, a na zawsze was między Bytem i Niebytem trzymał. Płyncież do Ślamazary waszy św., żeby was ona dali Ślimaczyła (...). Płyncież do Szaleńca, Wariata waszego św., ach chyba Przeklętego, żeby on was skokami, szałami swoimi Męczył, Dręczył, was krwią zalewał, was Rykiem swym ryczał, wrykiwał, was Męką zameczał, Dzieci wasze, żony, na Śmierć, na Skonanie sam konając w konaniu swoim Szału swojego was Szalał, Rozszalał!”

Istotnie, mocne słowa.

Dalej mamy emigracyjny i ambasadzki cyrk cudactw wszelakich, aż wreszcie narrator, zaprzyjaźniony się z bogatym argentyńskim gejem, musi wybierać albo między nim i stręczeniem mu młodego polskiego chłopca, Ignasia, albo między racjami Tomasza, ojca owego chłopca. Rzec jest groteską, ale wybór ma znaczenie centralne, gdyż przebiega między ojczyzną a synczyzną, która jest przecież po prostu wyzwoleniem z konwencji. (Ciekawe jednak, że Gombrowicz ani tu, ani w innych miejscach nie interesuje specjalnie, czego sobie właściwie owi synowie życzą). Ta wielka rozprawa z polskością stawia pytania, których byle czym zbyć nie można. Ale na to rozprawianie się z sarmackim duchem polszczyzny Miłosz bardzo słusznie zareagował, że tymczasem wydarzyło się wiele i „być może rozprawianie się na własną rękę jest potrzebne, a nawet konieczne, tylko że dla mnie to są ludzie zbyt gruntownie już rozprawieni. I mnóstwo spraw jest gruntownie już rozprawionych.” Tak chyba rzeczywiście było, że Gombrowicz, oddalony oceanami od wojny i Europy, wielu rzeczy nie czuł tak ostro i drastycznie jak Polacy w kraju. Toteż nie mogą dziwić lekkie tony w rozmowie o okupacji, która to rozmowa stała się później kamieniem obrazu między nim a krajem (nie tylko władzą). Nie przeżył osobiście grozy, nie przeszedł przez cień śmierci. Był przez to i bogatszy, i biedniejszy zarazem. I kiedy on chciał się walczyć z sarmackością rozprawiać, w kraju tymczasem należało ratować jej resztki, skoro i bez Gombrowicza synczyzna stała się czymś tak absolutnym, że o ojczyźnie niemal całkiem zapomniano.

Stara rozprawa między dojrzałością a niedojrzałością, dorosłością a młodością powraca najpełniej i najprzewrotniej w *Pornografii*. Rzec się dzieje w Polsce, w Sandomierskiem, podczas wojny, ale to tylko dekoracja. W cokolwiek ferdydurkowatym dworze dwaj starsi panowie inscenizują życie. Chcą mianowicie skojarzyć parę młodych, którzy jednak wcale się ku sobie nie mają i nie zamierzają rozgrzewać już ochłodzonej krwi narratora Gombrowicza i jego przyjaciela Fryderyka. Wobec tego zamiast miłości może być krew i młodzi zostają popchnięci do wykonania wyroku na jednym z przywódców podziemia, który popadł w depresję i stanowi dla innych potencjalne niebezpieczeństwo. Rzec się udaje, a przy okazji ginie parę innych osób. W ten sposób realizuje się staro-młoda kompozycja. Rzec jest o stręczeniu, więc tytuł uzasadniony, ale Gombrowiczowi idzie w przewrotny sposób o nadawanie życiu sensu, chociażby w zbrodniczy sposób. Odczytuje się też tę bluźnierczą książkę jako pamflet na dawne, zmurzałe i już martwe konwencje i rytuały. Ale po prawdzie byłoby to dzieło wymierzone w muchę. Ważniejszy jednak wydaje się ten przewód myślowy, który podaje

Gombrowicz w rozmowach z Dominique de Roux (*Rozmowy z Gombrowiczem*, w wydaniu polskim nie podano wydawcy, miejsca i daty). Jest to więc dalej rozprawa między Ojcem i Synem, między Niedojrzałością, która jest i Pięknością, i Niższością zarazem. „Człowiek jest między Bogiem a Młodym” – pisze Gombrowicz. A w rezultacie źródłem radości jest twórczenie, chociażby w krwawym materiale. Było nie było, książka jest bardzo dwuznaczna, z czego i sam Gombrowicz, i komentatorzy zdają sobie sprawę, i nie jestem do końca przekonany, czy sam Gombrowicz wiedział, co ostatecznie chce przez nią powiedzieć.

Natomiast bezspornie arcydzielny jest *Kosmos*, a jego sens metafizyczny jest wyraźnie czytelny. Znów dwóch przyjaciół (jak w *Ferdydurke* i w *Pornografii*), tym razem młodych, przybywa na wypoczynek do Zakopanego. Wynajmują pokój w willi, koło której znaleźli powieszzonego wróbla. Tu wchodzi w życie rodzinne – a przypomnijmy, że Gombrowicz nie znosił rodziny, kompromitował ją przy każdej okazji, a i swoją założył dopiero na starość. Prowadzą osobliwe śledztwo, gdyż się im wydaje, że ktoś podsuwa im znaki, wskazujące, w którym kierunku mają postępować. Ma to na ogół związek z wieszaniem. Narrator zresztą sam stwarza jeden z takich znaków wieszając uduszonego kota. Wszystko kulminuje podczas wycieczki w góry, po prawdzie pielgrzymki urządzonej przez pana domu do miejsca, gdzie przed laty miał kochankę. Tu, w logicznym wyniku wszystkich działań organizacyjno-śledczych, wieszają się zięć gospodarzy, mąż Leny, w której podkochuje się narrator.

Jerzy Jarzębski, autor *Gry w Gombrowicza* (1982), słusznie zwraca uwagę, że to najbardziej mroczna książka autora *Ferdydurke*. Nie chodzi naturalnie o Zakopane, o konkrety – one u Gombrowicza są zawsze bez znaczenia. To rzeczywiście jest kosmos, jego sposób istnienia, jego sposób służenia człowiekowi. Bohaterowie znajdują jeden znak, ale rozważają, że wszędzie dookoła może być tych znaków pełno, nieczytelnych. A i ten, odnaleziony, może być omylny, może też nie okazać się żadnym znakiem. Na dodatek jeden z tych znaków został postawiony przez samego śledczego – to już pachnie Heisenbergiem, wedle którego badający przekształca rzecz badaną. Ostatecznie kosmos nie ma żadnego sensu, lub dla upartego badacza-konstruktora ma sens wyłącznie tragiczny.

Można przywoływać różne analogie, ale wszystkie one będą zwodnicze. A więc i tu, i w innych książkach Gombrowicza mamy wyjazd – by nie rzec: ucieczkę – poza normalny czas i miejsce, co może zwracać nas ku *Czarodziejskiej górze*. Bohaterowi Gombrowicza, także *placet experiri*, podoba się eksperymentować i doświadczać. Natłok spraw drobnych, byle jakich, brudność ludzkiego życia przypominają Kafkę. I tu także idzie o generalny sąd nad światem. Z kolei wątek pseudokryminalny ma innych patronów – i tak dalej. Ale to wszystko daje niewiele, Gombrowicz jest w tym zupełnie nieporównywalny i niepowtarzalny. Świat zewnętrzny mało go obchodzi – jest to zresztą typowe dla owej egzystencjalistycznej formacji, tak absolutnie antropocentrycznej, odbierającej osobowość zwierzętom, traktującej wszystko, co nie jest ludzką świadomością *per non est*. Dla Gombrowicza świat to świat interakcji, wzajemnych dostrożeń się ludzi i uników, nieustannych gier, schematów i podminowującego je chaosu. On także, jak Sokrates, nigdy niczego nie nauczył się od drzew.

Iście monumentalnie prezentuje się trytomowy *Dziennik*, obejmujący lata 1953-1956, 1957-1961, 1961-1966 (wydanie krajowe – 1986). Jest bardzo odmienny w stosunku do innych tego rodzaju publikacji. O życiu codziennym autora, o miejscach, w których przebywa, nie dowiadujemy się nic prawie. Program *Dziennika* określa słynny wstęp:

Poniedziałek

Ja.

Wtorek

Ja.

Środa

Ja.

Czwartek

Ja.

Istotnie, jest to przede wszystkim „pamiętnik życia wewnętrznego”, ale przecież nie zawieszono go w próżni. Jest to Gombrowicz w zderzeniu z innymi ludźmi i problemami. A więc własna twórczość, a więc twórczość innych, traktowana najczęściej nader krytycznie. To problemy malarstwa czy w ogóle plastyki, a na wątpliwości Gombrowicza niełatwo jest odpowiedzieć (choć można). Są tu bardzo krytyczne wypowiedzi o komunizmie, o sprawach narodów – polskiego, argentyńskiego, niemieckiego czy francuskiego. Jak sam Gombrowicz mówił, w *Dzienniku* znalazło się wszystko, czym żył w owych latach. Nie unika spraw drastycznych, przeciwnie, można by rzec, że cały *Dziennik* jest drastyczny. Oczywiście wszystko jest sądzone wedle autentyczności i niedojrzałości. Co prawda właściwie nie ma dla Gombrowicza rzeczy dojrzałych, wszystko jest nie dokończone, nie dokonane, zawieszono między tak a nie. Co nie oznacza, że będąc właściwie zawsze *in statu nascendi* przybierze kiedykolwiek postać skończoną. Ten stan rzeczy zdaje się Gombrowicza wiecznie gniewać i w rezultacie jest jakby nieodmiennie zagniewany na wszystko. Ten wielki traktat o sobie jest porywający i drażniący zarazem. Jawnie niesprawiedliwy, jest przecież jednocześnie świetny intelektualnie. Jakież kapitalne choćby skojarzenie z Niemcami, myjącymi ustawicznie ręce – „lady Makbet”. Jak mądrze pisze o wywyższeniu i braku prawa do równości wielkich twórców (a także takich narodów jak żydowski). Ale nie jest to rozmówca lojalny ani skłonny do uznania praw swojego przeciwnika, ktokolwiek by nim był. A więc ostatecznie nasze uczucia pozostają mieszane – oprócz podziwu jest też nuta zniecierpliwienia, pomieszanego z rozbaawieniem.

Wreszcie pozostały dramaty. Przedwojenna *Iwona, księżniczka Burgunda* (1938) teraz dopiero trafia na światowe sceny. Towarzyszy jej *Ślub*. I *Ślub*, i *Operetka* zostały zaopatrzone we wprowadzające streszczenie-komentarz. Takie streszczenie, zwane „argumentem”, było powszechnie przyjęte w dawnej literaturze europejskiej, a w naszym stuleciu posłużył się nim Roman Jaworski w *Weselu hrabiego Orgaza*. Zwalnia to autora od dokładnego i obszernego rysowania całej fabuły. A zatem *Ślub* to wizje polskiego żołnierza, Henryka, podczas ostatniej wojny we Francji. Te wizje to uwznioślają, to znów degradują jego zostawioną w Polsce rodzinę. Jego ojciec na przykład jawi mu się to królem, to karczmarzem. Bo oczywiście splecenie „ojca” z „synem” obowiązuje i tutaj. Kolebanie się sytuacji, spiski, zdrady, wzajemna walka postaci, polegająca na spotężniałych minach i konwencjach, których prapoczątek odnajdziemy w scenie pojedynku w *Ferdynandzie*, ma tu odniesienia historiozoficzne – sam Gombrowicz powoływał się przy tym na Szekspira. Ale skądinąd bliżej tu pewnie do *Pana Boga i diabła* Sartre’a, choć naturalnie jest to utwór całkowicie niezależny i nawet nie wiem, czy nie wcześniejszy.

*Operetka* jest parabolą, obrazuje upadek zamku i władzy. Tutaj dwa pojęcia wchodzą ze sobą w konflikt – ubrania i nagości, ta druga to oczywiście także młodość – i do niej należy przyszłość. Ale zarazem to także coś w rodzaju historii naszego stulecia – wszystko, jak to u Gombrowicza, w szyderczym sosie – najbliżej stąd chyba do dramaturgii Witkacego. *Operetka* okazała się bardzo sceniczna, a konwencje tego gatunku wymarzone dla sposobu pisania Gombrowicza.

Jest w tym jakaś skłaniająca do zadumy ironia losu, że Gombrowicz, który tak strasznie pragnął wywyższenia, nie dożył właściwie do dnia swojej chwały. A był bezspornie jednym z najbardziej jadowitych pisarzy naszego stulecia, i to na skalę światową. Jeśli jednak wedle niego będzie kiedyś nasz czas osądzany, to ta ocena nazbyt różowa nie będzie.

Podobnie jak Gombrowicz do najznakomitszych naszych pisarzy należy Teodor Parnicki (1908-1988), którego również „przymierzano” do Nobla i który także spędził długie lata w odosobnieniu na drugiej półkuli, tyle że w Meksyku. Ale los miotał Parnickim przez całe życie. Urodzony w Niemczech, spędził dzieciństwo na kresach Azji, na Syberii, w Charbinie. Do Polski dotarł przy końcu lat dwudziestych, studiował we Lwowie, intensywnie pisał, zno-

wu podróżował, by wreszcie po wybuchu wojny rzemiennym dyszlem przez Kujbyszew, Iran, Irak, Jerozolimę, Londyn dotrzeć do Meksyku, skąd definitywnie wrócił do Polski w 1967. To nie koniec osobliwości, bo i pochodzenie szczególne – wywodzi się z polskiej, zgermanizowanej rodziny, która następnie się zrusyfikowała... Nam trafił się jeden jedyny Parnicki, szczęściem ten wielki właśnie. Myślę, że gdybym był Parnickim, patrzyłbym na los swój własny ze zdumieniem, osłupieniem, a nawet lekką trwogą. W późnej twórczości pisarza, gdzie pojawiły się wątki autobiograficzne, coś takiego istotnie znajdziemy.

Stworzył dzieło ogromne. Pod względem ilości, nowości, rozległości problematyki, sztuki literackiej. Dzieło także, zastrzec to trzeba, nad wyraz trudne. To autor, którego nie da się czytać pobieżnie, wymaga od czytelnika wiele, czasem za wiele nawet. Jest przedmiotem niezliczonych rozpraw i książek (Wacława Sadkowskiego, Antoniego Chojnickiego, Teresy Cieślukowskiej, Małgorzaty Czerwińskiej). Wraz z Gombrowiczem i Buczkowskim patronował młodej prozie, co nie wiem, czy go cieszyło niezwykle. Jego własne dzieło zamyka się coraz bardziej z biegiem lat w sobie, tworząc odrębny kosmos, rządzący się własnymi prawami. Sam o sobie powiedział, że nie potrafi napisać książki krótkiej: nie dziwota, bo przy zasadzie autotematyczności sama rzecz pisana staje się tworzywem dalszego ciągu.

Już przed wojną był autorem powieści sensacyjnych, dramatu, rozległej publicystyki, opowiadań. Zdobył też uznanie książką historyczną *Aecjusz, ostatni Rzymianin* (1937). Ale to w istocie skromne początki. Prawdziwy skok następuje w czasie wojny, w Jerozolimie, gdzie powstają *Srebrne orły* (1943), najślawniejsze dzieło Parnickiego, skądinąd pierwsza „przymiarka” do nowej metody pisania. Jest to niejako genealogia naszego narodowego orła białego – wedle Parnickiego jest to rzymski patrycjuszowski orzeł srebrny, nadany przez Ottona III Chrobremu, desygnowanemu na następcę cesarskiego tronu. Otto, Sylwester II, Chrobry, cała ówczesna Europa odbija się tu w oczach irlandzkiego mnicha Arona, późniejszego arcybiskupa krakowskiego. Warto zwrócić uwagę, że w samym środku najstraszliwszych z wojen polsko-niemieckich Parnicki potrafił nie być siewcą nienawiści.

Dalej twórczość Parnickiego będzie płynęła jakby dwoma nurtami. Pierwszy dotyczy starożytności, drugi dziejów Polski i średniowiecza. Ale to określenia bardzo nieprecyzyjne, bo Parnicki przekracza ostatecznie ramy gatunku, czasu i przestrzeni, wszystko zaczyna się łączyć ze wszystkim. Poszczególne tomy cykli ukazują się w różnych latach, przemieniając się dogłębnie.

Do cyklu antycznego należy *Słowo i ciało. Powieść z lat 201-203* (1959) i najlepsza chyba książka Parnickiego *Koniec „Zgody Narodów”. Powieść z roku 179 przed narodzeniem Chrystusa* (1957). Od 1956 Parnicki zaczyna drukować w Polsce. Cykl *Twarz księżycy* obejmuje trzy tomy – pierwszy z podtytułem *Powieść z wieków III-IV* i drugi *Opowieść bizantyńska z roku 450* ukazują się w 1961, trzeci – przenoszący nas w VIII stulecie – w 1967. Do tego cyklu należy też właściwie *Śmierć Aecjusza* (1966).

Najpotężniejszym cyklem związanym z historią Polski jest *Nowa baśń*. Tom pierwszy, odnoszący się do wieku XI i osobą arcybiskupa Arona związany ze *Srebrnymi orłami*, *Robotnicy wezwani o jedenastej*, ukazuje się w 1962, drugi – *Czas siania i czas zbierania*, lokujący nas w stuleciu XV – w 1963, trzeci, Meksyk w czasach Corteza, *Labirynt* – w 1964, czwarty, zaplatający się wokół ewentualnej śmierci Krzysztofa Marlowa, *Gliniane dzbany* – w 1966, piąty, bardzo już autotematyczny, ulokowany mniej więcej w stuleciu XVII, *Wylęgarnie dziwów* – w 1968, szósty, *Palec zagrożenia*, wkracza w czasy współczesne i przynosi elementy autobiograficzne, stawiając poprzednie tomy w nowym świetle – w 1970.

Na obrzeżach tego cyklu powstały także łączące się z nim powieści: *Tylko Beatrycze* – początek wieku XIV (1962) i *I u możliwych dziwny. Powieść z wieku XVII*, której bohaterem jest pan Zagłoba jako adept i agent jezuitów (1965). Obie te książki należą do popularniejszych powieści Parnickiego. Do tegoż okresu meksykańskiego trzeba odnieść także *Koła na piasku. Powieść z roku 160 przed narodzeniem Chrystusa* (1966). Taki był z grubsza dorobek



meksykański Parnickiego. Okres polski różni się pod wieloma względami, jest nieporównanie trudniejszy, komplikuje się relacja z czytelnikiem, natomiast bardzo się nasilają elementy autobiograficzne. Powieść historyczną zastępuje teraz fantastyczno-historyczna (co prawda zrodziła się już przedtem), a po prawdzie to autotematyczna. Bardzo ciekawe, że nie jest to jakiś upadek sił twórczych czy inny przymus, ale wybór świadomy: oto w 1980 ukazuje się znakomita książka *Historia w literaturę przekuwana*, złożona z wykładów wygłoszonych kilka lat wcześniej na Uniwersytecie Warszawskim – jasna, dowcipna, w pełni zrozumiała, naprawdę znakomita.

Z większością pozostałych czytelnik ma niełatwą przeprawę. A więc stojący na pograniczu dyptyk *Zabij Kleopatrze* (1968) i *Inne życie Kleopatry. Powieść z XIX wieku* (1969). Następnie idzie imponujący ciąg ogromnych tomów autotematycznych, autobiograficznych i dotyczących genealogii rodzinnej, powiązanych ze sobą. Rozpoczyna go *Muza dalekich podróży* (1970), w którą między innymi wpisał autor i swoją drogę do polskości, i powieść opartą na koncepcie, że to Polacy zwyciężyli w powstaniu listopadowym. Dalej: *Tożsamość* (1970), powieść genealogiczno-rodzinna, jej ciąg dalszy *Przeobrażenie* (1973), *Staliśmy jak dwa sny* (1973), *Sam wyjdę bezbronny* (1976), gdzie osnową jest założenie, że Julian Apostata nie zginął w kampanii perskiej, nieco klarowniejsza w lekturze, *Dary z Kordoby. Powieść na tle przełomu lat 1018 i 1019* (1981) – rzecz powracająca niejako do wcześniejszej metody pisania, zawężająca pole widzenia i rezygnująca z nadmiaru autotematyzmu, dlatego chyba z pewną ulgą ciepło przyjęta przez czytelników, *Rozdwojony w sobie* (1983) i kontynuacja *Przeobrażenia – Sekret trzeciego Izajasza* – (1985).

I nie są to bynajmniej wszystkie książki i utwory Parnickiego... Ale tak już się jakoś dzieje, że z historii literatury wyczytamy coś raczej o Goszczyńskim niż o Mickiewiczu. Aby poznać tego ostatniego, trzeba sięgnąć po monografie specjalne. Decyduje o tym specyficzna poetyka tego rodzaju panoram literackich. Cóż, rozdział o Piprzyckim to całkiem sporo, rozdział o Parnickim czy kilku innych największych polskich pisarzach to prawie nic.

Otóż Parnicki jest właśnie niewyobrażalnie gęsty, a przy tym gigantyczny. Na dodatek w późnej fazie twórczości rezygnuje z jakichkolwiek więzów i ograniczeń, co sprawia, że czytelnik jest nadal pełen podziwu, ale już nie zrozumienia.

Samo streszczenie książek Parnickiego jest właściwie rzeczą niemożliwą, a wykonalną tylko w przypadku wcześniejszych utworów. Jest to przeważnie śledztwo, w różnych formach, czasach i rodzajach, przy czym gromadzenie materiału dowodowego doprowadza nieomylnie do punktu, w którym jakakolwiek konkluzja staje się niemożliwa. Otóż Parnicki ludził początkowo czytelnika, że przecież na końcu czeka go rozwiązanie. Potem zaś i z tego zrezygnował. Interesuje go w ogóle nie to, co klarowne i definitywnie przesądzone, ale to, co z natury niejasne, alternatywne, uykające i sprzeczne z założenia. Zwierzał się więc, że nie pociąga go klasyczna Grecja, wysoko natomiast ceni hellenizm. Podobnie z republiką rzymską. Liczą się okresy przemian, w których jedne cywilizacje giną, a rodzą się inne, gdzie różne kręgi kulturowe, różne wyobrażenia o świecie zderzają się ze sobą. Tak więc interesuje go cywilizacja grecka i rzymska, wchodząca w styczność z Chińczykami, Persami, Partami. Fascynują go żydzi (z małej litery, bo nie chodzi o naród, lecz o kulturę i religię), zderzenie iberyjsko-mauretańskie, wieki średnie, podbój Ameryki – „przeciwziemi”, katolicyzm japoński. Przepowiadałem kiedyś, że Parnicki nie wyjdzie poza wiek XV. Pomyliłem się srodze. Lecz by się zbliżyć do współczesności, musiał jednak przekształcić strukturę swoich książek, musiał przyjąć koncepcję historii fantastycznej.

Początkowo mógł uchodzić za autora historycznego. Ponieważ w materii żadnego bodaj wydarzenia ludzie nigdy nie byli zgodni, zawsze więc dało się znaleźć jakieś świadectwo, że na przykład Joanna nie spłonęła na stosie, lecz udała się na antypody. Później zaś sam zaczął tworzyć takie świadectwa, alternatywne założenia. Nie było to dlań przesadnie trudne, gdyż jest zwolennikiem raczej „historii spiskowej”. A więc o dziejach świata decyduje np. klan

Mitroanidów i wystarczy zmiana jakiegoś szczegółu, by historia potoczyła się inaczej. Zapewne, zapewne tak bywa naprawdę. Od tego jak wcześnie chrześcijanie rozumieli swoją wiarę, jak Lenin interpretował Marksa, naprawdę wiele zależało. Lecz chyba jednak nie wszystko, decydowała także bezwładność mas ludzkich, jakkolwiek byśmy ją rozumieli. Dla Parnickiego jednak decydujące jest to, jak się zrozumie jakiś przyimek w jakimś rękopisie sprzed lat kilkuset. Pewnie, nie jest obojętne, jak Luter rozumiał Pismo – lecz to znowu nie wszystko.

Początkowo wystarczali mieszańcy – całe jego dzieło miało nosić tytuł „Światy mieszańców”, lecz – jak się zdaje – z biegiem czasu doszedł do wniosku, że mieszańcami są po prostu wszyscy ludzie – z nim samym na czele. Zaczął badać, jak potoczyłyby się dzieje, gdyby Joanna przeżyła, gdyby Kleopatra uciekła na Morze Czerwone, gdyby Julian Apostata panował jeszcze lat kilkadziesiąt, gdyby usunąć wszystkich biskupów chrześcijańskich, gdyby Polacy wygrali w 1830, gdyby wcześniej pojawiły się określone wynalazki – i tak dalej, i tak dalej. W końcu świat imaginacyjny przeważył, trzeba było dojść do wniosku, że tak się stało naprawdę, gdyż prawda zawiera się tylko w samym dziele Teodora Parnickiego, że po prostu człowiek jest zamknięty w swoim wnętrzu i tu w istocie wszystko się rozgrywa. I rzeczywiście – oglądamy u niego w końcu wszystko to, co Parnicki wie lub podejrzewa, a nie ma tu niczego, co by z niego nie było. Przestrzeń i czas padają, wszystko może być wszystkim. *Hypbris* Teodora Parnickiego...

Już przedtem świat prezentował się Parnickiemu na kształt gigantycznej cebuli. Wszystko, co możemy zdziałać w procesie dociekania do sedna, to zdjęć kolejną warstwę, kolejną łuskę. Do nieskończoności, bo sedna nie ma wcale, są może tylko kolejne łuski niewidzialne. We wczesnych książkach metoda ta rodzi się stopniowo, potem już nic poza nią nie ma w ogóle. Koniem trojańskim jest tutaj język, bo wystarczy zmienić sformułowanie, by przekształcił się i sam problem. Nie da się zmierzyć żadnego przedmiotu, jeśli miarka, jaką dysponujemy, zmienia się z każdą chwilą sama. Dlatego też jeden z najważniejszych problemów Parnickiego – problem tożsamości – zawisł ostatecznie w próżni. Nie ma tożsamości mieszańca poza samym faktem zmieszania, stwarzania, nieustannego stawania się, przy czym obserwator przemienia, jak i u Gombrowicza, przedmiot swojej obserwacji. Trzeba więc zbadać siebie samego, lecz to wymaga innych odniesień – i tak w nieskończoność.

Nie ma tak prostego zwrotu, który byłby dla Parnickiego jednoznaczny, mimo że aż się roi od określeń „najjednoznaczniej”, „najniewątpliwiej”, „bezsportnie” itd. Wszystko jest podejrzane, wszystko można odkształcić. Weźmy przykładowo zwrot z wykładów: „obecny tu pan Sadkowski” coś tam. Wedle Parnickiego podejrzewałbym, że może tu chodzi o „tupana”, neologizm pokrewny „tupaczowi”. A więc Parnicki chciał „najniewątpliwiej” dać do zrozumienia, że Sadkowski jako krytyk tupie i gwizdże na niego. Że sam Parnicki tego tak nie myślał? A skąd on sam wie, czy nie zestawiała tak owych dźwięków jego podświadomość? Najjednoznaczniej i najniewątpliwiej...

A Parnicki właśnie nie gardzi neologizmami. U niego każdy niemal nazywa się inaczej, niż na ogół wynika z podręczników historii czy metryk. On sam przecie to Tau Parnicki, a zresztą w końcu wynika, że wszystkie postaci historii jego książek to po prostu jego własne pseudonimy – znowu całkiem logicznie, zresztą nie ma tu nic nadzwyczajnego, tyle że inni autorzy nie są wobec czytelnika aż tak otwarci. Trzeba od razu powiedzieć, że styl Parnickiego jest niesłychanie charakterystyczny i rozpoznawalny. Prawdopodobnie dałaby się wydzielić cała gradacja stopni bliskości i tożsamości czegokolwiek z czymkolwiek. I tu znów podobieństwo (nie zależność) do Gombrowicza, dla którego również rzeczy były i nie były sobą i czymkolwiek innym. To po prostu ta sama szkoła, czy może raczej ten sam duch czasu. Ale Parnicki poszedł jednak dalej w unicestwieniu świata zewnętrznego.

Początkowo były jeszcze jakieś zarysy świata, jakieś informacje quasi-podręcznikowe. Później został sam monolog czy raczej dialog wewnętrzny. Wszystko tu jest relacją i relacją w relacji. Jej badaniem, modyfikowaniem, zaprzeczaniem. Tych kolejnych warstw urosła góra

doprawdy nieskończona. Parnicki mnoży maski postaci i żadne ich zdzieranie nigdy nie pomoże, gdyż poza maskami nie ma jednoznacznej rzeczywistości. Dziwne właściwie, że Parnicki raz tylko spróbował dramatu i, jak sam pisze, nie najszcześliwiej. Wydawałoby się przecież, że autor operujący samym dialogiem nie co innego niż dramat nieustanny pisze. Jeszcze dziwniejsze, że nie próbowano bodaj fragmentów wystawić. Chociaż... Stefan Szlachtycz z wielkim powodzeniem inscenizował w telewizji *Tylko Beatrycze*, a *Srebrne orły* mają już kilka adaptacji filmowych, na razie w scenariuszach. Więc może przyszłość coś zmieni w tym zakresie.

Problematyka Parnickiego jest pod każdym względem bogata. Także dla mnie jako czytelnika jest to jeden z najważniejszych autorów. Ale szalenie trudno mi o nim pisać niepolemicznie, niedyskusyjnie. Może dlatego, że w obliczu jego wizji czytelnik zaczyna bronić swojej, swojego świata, że poddanie się całkowicie Parnickiemu to niemal rezygnacja z nienaruszalności własnego ego. Parnicki zaprasza do pełnego labiryntów wnętrza, ale nie przewidyje Ariadny. Więc odpłacając mu pięknym za nadobne powiem, że w żadnego Parnickiego nie wierzę, że to jest tylko mój sen i jedna z moich masek. Czy ktoś z Berlina i krańców Azji zarazem, a przy tym pisarz polski, nie jest najczystszy literackim wymysłem? I tak on sobie pisał, a ja sobie pisałem, ja śniłem sobie, a on sobie, i spaliśmy jak dwa sny...

Najdalej od tradycyjnej powieści odszedł Leopold Buczkowski (1905-1989), autor niełatwy i kontrowersyjny. Zdeklarowana większość czytelników to jego wielbiciele, są jednak i sceptycy, którzy sądzą, że dezintegracja bez prób konstrukcji jest zabiegiem na większą skalę dość niebezpiecznym. Przyznam, że osobiście należę do owych sceptyków i Buczkowskiego już krytykowałem. Nie zmienia to faktu, że jest on nie tylko bardzo wysoko ceniony, lecz stał się także w dużej mierze ojcem duchowym młodego pokolenia prozaików, zwanych przeze mnie zbereźnikami – od nazwiska papieża nurtu, Henryka Berezy. Pisarze tacy jak późny Parnicki czy Buczkowski utrzymują, że za lat kilkadziesiąt będą powszechnie i łatwo czytani. Może. Oznaczałoby to z jednej strony, że jestem staroświecki, co przecież też możliwe – choć skoro malarstwo abstrakcyjne akceptuję łatwo i z przyjemnością, to dlaczego mam trudności z abstrakcyjną literaturą? Z drugiej – że zapanuje proza afabularna, oznaczająca kres epiki. I to już wydaje mi się wątpliwe. Co prawda sam Buczkowski nie utrzymywał, że pisze powieści; wolał mówić o dokumencie literackim, o protokole etc.

Leopold Buczkowski – malarz, grafik, rzeźbiarz, osiadły po wojnie pośród konstancińskich sosenek, kędy przeciągają watahy odchudzanych grubasów, debiutował już przed wojną drukując w lwowskich „Sygnałach” powieść *Wertepy* (1937). Po wojnie nie miał łatwego życia i dopiero *Czarny potok*, wydany po dziesięciu latach od napisania w 1954, zwrócił na niego powszechną uwagę. Potem przyszły: powieść *Dorycki krużganek* (1957), opowiadania *Młody poeta w zamku* (1959), powieść *Pierwsza świetność* (1966), uważana za arcydzieło, *Uroda na czasie* (1970), *Kąpiele w Lucca* (1974), *Oficer na nieszporach* (1975), *Kamień w pieluszkach* (1978), *Wszystko jest dialogiem* (1984), *Proza żywa* (1986) – to ostatnie to zapis magnetofonowy opowiadań Buczkowskiego, zredagowanych przez Zygmunta Trziszkę – przyjaciela, wielbiciela, znawcę i herolda Buczkowskiego. Ale o Trziszce opowiemy osobno.

Właściwie już *Wertepy*, wydane w całości dopiero po wojnie, zwróciły uwagę na Buczkowskiego, choć to dopiero początek drogi. Rzecz w konwencji naturalistycznej, z dalekich, podolskich kresów – nawiasem mówiąc, mieszanina kultur stale u Buczkowskiego powraca, pozwalając zaliczyć go do współczesnej kontynuacji szkoły ukraińskiej, czy ukraińno-galicyskiej. *Wertepy* dzieją się w wioskach Dolinoszczęśna i Zaserecie, a gdzie płynie Seret, mapa bez trudu objaśni. Książkę zestawiano z *Grypą* Jalu Kurka – ze względu na podobieństwo obrazu surowego, ciężkiego życia wsi, a także z racji upodobania do scen drastycznych. Natomiast pejzaż prowadzi raczej w stronę Reymonta. Bardzo celnie ujął to Kazimierz Wyka:

„Ta książka rozciąga się między sprzecznościami. Przyrodę i jej sprawy ocenia w niej oko malarza, a często poety. Ludzi – oko wątrobiarza...”

Już tutaj ważniejsze są pojedyncze sceny niż ciągłość fabularna. Już tu Buczkowski chętnie łączy opisy kulinarne z makabryczno-krwawymi. A specyficzną atmosferę potrafi oddać w sposób sugestywny. Kocha się też w charakterystycznościach językowych – mamy choćby „ćkanie”, „ćmakanie”, „ciamkliwość” etc. Zauważmy, że język stanie się z czasem wielką siłą jego książek.

Prawdopodobnie najcenniejszą i najchętniej, najczęściej czytana książką zostanie *Czarny potok*. Buczkowski znalazł tu szczęśliwą równowagę między środkami wyrazu a możliwościami czytelnika. Jest więc, mglisty co prawda, zarys fabularny – eksterminacja przede wszystkim, choć nie tylko Żydów, obrona, poszukiwanie legendarnego brylantu – rzecz bowiem dzieje się na kresach w czasie ostatniej wojny. A zarazem nerwowy, rwany tok opowieści, dręczący koszmar. Jeszcze są tu rozpoznawalne postacie, jeszcze wydzielają się ciągi fabularne, które z czasem zminimalizują się i znikną. Wyraźnie nowy sposób opowiadania, a wszystko ma jakąś siłę hipnotyczną czy hipnotyzującą. To rzeczywiście bardzo dobra książka.

Buczkowski nie poprzestał jednak na tym. Z książki na książkę zanika narrator, gubią się zarysy wydarzeń, nikt nie uporządkowany ciąg czasowy – na rzecz równoczesnej panoramy. Następnym decydującym etapem to *Pierwsza świetność*. Podkreśla się tu szczególnie zmienność funkcji narratora, który jest i protokolantem, i archiwistą, i oskarżycielem. Wszystko zdaje się tu dziać równocześnie i odtąd mniej więcej wszystkie inne powieści Buczkowskiego będą wyglądały jak ta sama, ciągnąca się w nieskończoność książka. To prawda, zmieniają się wojny – bywa pierwsza światowa, jak w *Poruczniku na nieszporach*, bywa druga, szczególnie obrona Wizny, jak w *Kamieniu w pieluszkach*, czasem punkt wyjścia jest jeszcze inny. Ale na ogół jest to pole bitewne, jest wielkie zabijanie, obok tego adnotacje kulinarne, poszukiwanie jakiegoś skarbu, gwałty – wszystko przemieszane ze sobą. Może to być jawa, może to być sen. Kresowa mieszanina kultur – zresztą nie tylko kresowa, bo Buczkowski przywołuje w ogóle historię, literaturę, sztukę, elementy autobiograficzne. Powraca także nieustannie struktura śledztwa, ale nie wiadomo przez kogo prowadzonego, przed jakim trybunałem. Nie wiemy, kto mówi, z kim mówi, kiedy i gdzie. Niełatwo także zgadnąć o czym.

Właściwie wszystko rozpada się na pojedyncze zdania. Wielbiciele Buczkowskiego powiadają, że poszczególne motywy układają się w określone ciągi. Rzeczywiście, motywy powracają, czy jednak są to istotnie nawroty uporządkowane, tego nie byłbym całkiem pewien. *Z Kamienia w pieluszkach*:

„Tych trochę lat i krokwi nad Narwią, kilka kamieni, wszystko to leży w bezruchu na miejscu, a z pracowni policji dochodzi wrzawa, stuk karabinów, hałas przewracanych chłopów i trzask wyłamywanych drzwi. Skokiem wywała się chłopskie drzwi i spieszy z pomocą rozdeptanym prosiętom. Dzieci powrzucają do studni. Mniema się, że w studni wyrazi się cała istota rzeczy. Mniemanie to zmienia się bardzo szybko, bo to, cośmy uważali za jedną rzecz, okazuje się momentalnie połączone wielością części, a każda po oddzieleniu od reszty przedstawia rzecz nową, działającą dalej samoistnie. Nie ma temu granicy. Toteż właśnie jedność rzeczy nie jest żadnym przedmiotem doświadczenia. Dzieci w studni nie są niczym, co by stanowiło raz na zawsze naturę rzeczy ludzkich, lecz są czymś, co w danych okolicznościach rzeczom przypada w udziale, albo są przykładem, jak się w pewnych warunkach dzieci zachowują. Dlatego nie zabijano nigdy orłów ani pawy, ani sów dla uczczenia Minerwy.”

Dalej coś o psach, koniach i o uboju krów, o Wieliczce, Marii Teresie, duszy Fryderyka Wielkiego, jakimś „zjobkanym podchorążym”, który „chcąc odbłąkać się w świecie abstrakcji i przewinień” gdzieś zostawił jakąś studentkę i powiedział, że ma w dupie Fenelona – i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej.

Nie, nie ma wątpliwości: bezpośrednio nie znaczy to nic. Może coś znaczyć, przez to wła-

śnie, że nie znaczy. Taki sposób postępowania bywa w sztuce uprawniony, spotykaliśmy go już w prozie, choć nie na taką skalę, często zdarza się w poezji. A co tu znaczy, że nie znaczy? Rozerwanie ciągłości mowy ma zapewne oznaczać dezintegrację całego świata, rozpad rzeczywistości. W istocie poznając cokolwiek bardziej mamy do czynienia z własnymi nawykami i sposobami poznawczymi niż z rzeczywistością samą. Czy jednak rzeczywistość „sama w sobie” jest istotnie bełkotem, wszystkim naraz i niczym wyodrębnionym? Czy tego ma dowodzić „przejście transcendentalne” Buczkowskiego? Ani potwierdzić, ani zaprzeczyć nie sposób, faktem jest, że w tym sposobie mówienia bardzo wielu czytelników coś dla siebie odnajduje. Wydawało mi się w swoim czasie, że jest to rodzaj gry gnoseologicznej, dotyczącej poznawalności świata; wtedy odnosiłoby się to zarówno do Buczkowskiego, jak i do Parnickiego, a i do Gombrowicza także. Nie mogę temu i dzisiaj zaprzeczyć, ale w takim razie jest to gra właściwie z góry przegrana.

Dla odmiany słyszy się także od Berezy, a i od samego Buczkowskiego, że wszystko to razem jest po prostu ogromnym szyderstwem. Ale w takim razie z kogo i czego? Czytelnika? Świata? Innych pisarzy? Samego siebie? Czy wszystkiego razem? Ale Bereza dodaje, że to zarazem wielka modlitwa i znowu wszystko jest wszystkim, czyli nic nie wiemy i wiedzieć nie będziemy. Pozostaje bezmiar luźnych zdań, do których możemy przymierzać wszystko, co się nam podoba. Jak widać, wątpliwości mam w dalszym ciągu i nie wynikają one wcale ze złośliwości. Przecież i ja, jak każdy, borykam się z niejasnością świata, lecz czy reakcja Buczkowskiego nie jest czymś, co Mann być może nazwałby rozpasaniem?

Jest rzeczywiście coś, co łączy wszystkie te *disciecta membra*. To atmosfera Apokalipsy. Tak bywało u katastrofistów, że zestawiając różne wizje nie dbali o jakiegokolwiek wynikanie. Wystarczyła współobecność. Takie uzasadnienie stwarza chaos bitwy, chaos zagłady. Trzeba przyznać, że jest to atmosfera nieobca Buczkowskiemu, właśnie nader częsta u niego. To rzeczywiście jest pewne uzasadnienie, właśnie „czarnego potoku”, chłonnego i porywającego wszystko. „Strumień świadomości” Bergsona miał barwę jasną, więc to byłaby jego odwrotność. Analogię znajdujemy i u poetów współczesnych, w grupie i koncepcji „kontekstu”, zestawienia, w którym przewodem dowodowym jest samo zestawienie.

Słyszymy też, że proza Buczkowskiego sięga do podstaw kosmogenicznych i moralistycznych. Cóż, i tego nie można wykluczyć. Nieustanny nawrót motywów przemocy, gwałtu, morderstwa nie jest etycznie rzeczą obojętną, o coś tu musi chodzić i to coś jest nawet w sposób oczywisty czytelne. Kosmogonię zaś da się rozumieć na tak wiele sposobów... Tak czy inaczej, trzeba przyznać Buczkowskiemu jedno: zdobył czytelników i skłonił ich do poszukiwań. Czy to siła fatalna literatury, czy jej hochsztaplerka – orzec niełatwo, bo one w sztuce nie są tak bardzo od siebie odległe. W każdym razie Buczkowski zajął stanowisko krańcowe, trzeba go sytuować na progu, od którego zaczyna się nowy rodzaj literackiego zapisu. I to nie tylko literackiego: nie darmo admiratorem Buczkowskiego jest reżyser Grzegorz Królikiewicz, próbujący czegoś analogicznego w filmach, także bardzo kontrowersyjnych. Z pewnością to wszystko razem jest mocno szalone – ale właśnie szaleństwa literatura raczej się nie boi.

Właściwie to już cała szkoła literacka, a jak zobaczymy, należą do niej i inni, przy czym nie mam tu na myśli zboreźników, których co prawda łączy z Buczkowskim dodatkowo wykorzystanie języka mówionego. Likwidowanie fabuły w dawnym sensie to tendencja raczej szeroka. Idzie mi tu jednak raczej o próby odnalezienia nowej konstrukcji świata, z mniejszym czy większym radykalizmem przeprowadzane przez Gombrowicza, Parnickiego, Buczkowskiego. Może świata, może ludzkiej świadomości. Ciekawe, że właściwie każdy z nich na swój sposób poniósł klęskę, a jednak ta klęska znaczy dla literatury bardzo wiele. Buczkowski zaszedł w tym wszystkim najdalej. Chociaż jednocześnie działała także dezintegracyjna szkoła Białoszewskiego, która rozszczępiła zdanie, podważyła identyczność i znaczenie poszczególnych słów. Czy z tego wszystkiego powstanie nowy świat, skleci się nowa mowa?

Być może nie są to pytania na dziś, być może tego rodzaju procesy objawiają swoją prawdziwą wagę dopiero z perspektywy wielu dziesięcioleci. Piszę to wszystko z poczuciem jakiejś wewnętrznej niewygody, bo przecież podziwiam samotny wysiłek tych twórców, ale jego ostateczna celowość ciągle jest dla mnie mglista.

Na razie pozostajmy jeszcze trochę przy rodzinie Buczkowskich. Młodszy brat Leopolda, Marian Ruth-Buczkowski także wyruszył z kresów, także odwiedzał różne uczelnie i także debiutował już przed wojną, bodaj nawet energiczniej od brata, gdyż zdążył wydać dwie książki: powieść *Tragiczne pokolenie* (1936) i zbiór nowel *Zwyczajność i przeczcucia* (1938). Tytuł powieści jest dla nas z lekka zaskakujący. Rzeczą przedstawia młodego gruźlika, dogorywającego w sanatorium i wspominającego swoje dzieciństwo. Rzeczą w guście epoki z silnym nalotem ekspresjonistycznym, psychologiczne drażnienia, wtajemniczenia erotyczne itd. Ale pokolenie naprawdę tragiczne miało się przecież dopiero pojawić i tragiczne było nie z racji choroby ciała czy ducha.

W czasie okupacji Ruth-Buczkowski zredagował głośną publikację *Warszawski dowcip w walce* (1943), wznowioną po wojnie w 1946 i wnet skonfiskowaną. Czytałem, doprawdy trudno zgadnąć, za co te restrykcje ją spotkały. Ukazała się raz jeszcze, stosunkowo niedawno, ale już w Toronto. Po wojnie Ruth-Buczkowski wydał powieść *Pierwsze dni* (1951), dwuczęściową sagę rodziny galicyjskiej *Przypadki i dzieje*, część I – *Światne pozory*, część II – *Wielkie marzenia* (1954), a także *Złotą trzcinę* (1956), mocno ekspresjonizującą powieść na kanwie fantastycznej, dotyczącą problematyki wolności i odpowiedzialności.

Jedną z najniezwykłych karier literackich przypadła w udziale Andrzejowi Kuśniewiczowi (1904-1993). Debiutował już po przekroczeniu pięćdziesiątki, i to poezją. Wkrótce jednak przyszła też proza. Sukces był wręcz natychmiastowy, posypały się dalsze książki, i to coraz lepsze, aż w przeciągu lat nie tak wielu zdobył pozycję jednego z najwybitniejszych pisarzy polskich. Po śmierci Iwaszkiewicza widziano w nim prezesa Związku Literatów, ale Kuśniewicz zdecydowanie odmówił kandydowania. A tymczasem mnożą się przekłady jego książek na coraz to nowe języki.

Życiorys ma dość malowniczy. Urodzony w Kowenicach koło Sambora w rodzinie ziemiańskiej, studiował w Krakowie malarstwo, potem prawo i nauki społeczne. Prowadził, jak się zdaje, żywot bujny. Zajmował się automobilizmem, objeżdżał nowe typy samochodów, obracał się w kręgach kabaretowo-baletowych, był przez jakiś czas mężem Marii Ukniewskiej, autorki słynnych *Strachów*, w końcu został dyplomatą i objechał całą Europę wzdłuż i wszerz. Czas wojny spędził w Tuluzie, gdzie zajmował się wywiadem, aż ostatecznie trafił do niemieckiego więzienia i obozu koncentracyjnego. Potem znów dyplomacja, aż do pięćdziesiątego roku, później praca w radio i wreszcie literatura. Pozazdrościć: najpierw pięćdziesiąt lat ciekawego życia, a potem kilkadziesiąt lat pisania.

Kształtował się w kręgu interesujących ludzi i na pograniczu różnych tradycji kulturowych, religijnych i narodowych. W sposób naturalny należy do szkoły kresowo-ukrainnej, ale bohaterowie jego książek mają zawsze spletaną i wieloraką genealogię. Najpewniej Kuśniewicz uważa, że każdy właściwie ma taką genealogię, tylko nie zawsze o tym wie i chce pamiętać. W każdym razie potrafi wykorzystać to, co w życiu zobaczył i przeżył. Poza wszystkim jego twórczość jest ogromnie malownicza, pełna ciekawych szczegółów – Kuśniewicz zapewnia, że są autentyczne, chociaż wytykano mu niedokładności – dziwne, gdyby ich nie było. Ten kulturowy melanz przypomina i Vincenza, i skądinąd Władysława Zambrzyckiego. A czas i miejsce to Austro-Węgry tuż przed upadkiem – ale nie tylko. Kuśniewicza w ogóle pociąga kultura przejrzała i już ginąca, czy to będzie wiek XVII, czy upadek Francji, czy wreszcie możliwe narastanie zagłady w czasach teraźniejszych.

Zaczął się od poezji. Kuśniewicz debiutował *Słowami o nienawiści* (1955), potem przyszły zbiory *Diabłu ogarek* (1959), *Czas prywatny* (1962) i wybór *Piraterie* (1975). Na *Słowa* najśluszniej zwrócił uwagę Kazimierz Wyka – to jest ciąg dalszy tych naszych ciężkich pol-

sko-ukraińskich rozrachunków. Ale dopiero tom następny roztoczył cały pawi ogon. Wschód, Rosja, carowie, kolory cerkiewne, trochę żartu, poblizie Białoszewskiego, wycucie śpiewności języka.

W tę noc bodiaków i psów gończych  
wilk na arkanie szczyrzy kły,  
bo hajdamacki los go zły  
gna spod księżyców Oczakowa  
wprost w zamarzniete gwiazdy Newy  
bić pale z ukraińskich dębów  
pod granitowy Pitra zrab.

I w dzień, i w noc tam czuwa straż.  
Spod blach przeobrażeńskichu  
kośne oczy niewolnika śledzą,  
by car spokojnie spał.

Ale on nie śpi

Min-herc. Jak diabeł,  
co na kijowskim targu kiedyś  
przed ławrą na łańcuchu tańczył.  
W trójkątym kapeluszu belzebuba  
rogatą głowę wzniosł.

Wysoki aż po rozpacz nieba,  
samotny stoi.

(Piter)

Ale nierównie większy rozgłos przyniosła Kuśniewiczowi proza. Pierwsza była *Korupcja* (1961), potem przyszła *Eroica* (1963), *W drodze do Koryntu* (1964), *Król Obojga Sycylii* (1970), *Strefy* (1971), *Stan nieważkości* (1973), *Trzecie królestwo* (1975), *Lekcja martwego języka* (1977), *Witraz* (1980) i zbiór gawęd o książkach i ludziach *Moja historia literatury* (1980).

*Korupcja* z podtytułem „kryminał heroiczny” może być pożytywana za ironiczny żart – ale to u Kuśniewicza często niepewne, ponieważ swoista odmiana subtelnego żartu jest mu właściwa w każdym przypadku i nie zawsze wiemy, czy autor pokpiwa ze swoich bohaterów, czy z siebie. Rzecz się dzieje na południu Francji podczas wojny i prezentuje rozgrywkę polskiego wywiadu. Nie wiemy, czy główny bohater jest postacią niezwykłą, czy żalosnym zdrajcą, choć w końcu prawda się obnaża i okazuje się właśnie żalosna. Ale wszystko dzieje się właściwie w jednej scenie spijania podejrzanego i podglądania go przez narratora. Cała obfita reszta jest retrospekcją. Ten sposób kompozycji powtórzy się jeszcze u Kuśniewicza wielokrotnie. Ta bardzo przycyjnna książka jest jednocześnie gawędą, snutą na wielu planach. Natomiast niesłusznie i niepotrzebnie dezawuował później sam Kuśniewicz swojego narratora. Czy jest prostaczkiem? Raczej neutralnym, w miarę oczywiście, obserwatorem. Później narrator przejdzie u Kuśniewicza wiele przemian, coś ze zdrowego rozsądku, coś z prostolinijności. Co więcej, z perspektywy późniejszych książek Kuśniewicza można się tu raczej doszukać zadumy nad względnością rzeczy niż jakiegoś srogiego potępienia.

Znacznie groźniejsza i posępniejsza jest *Eroica*. W celi czekają na wyrok czterej śludzy faszyzmu, różnego kalibru i autoramentu. Przeszłość istnieje tylko we wspomnieniu. Ale tym

razem narrator, hrabia von Valentin, Sturmbahnführer, został wyposażony w nadświadomość, w instynkt śmierci, ukochanie zagłady. Posepną przygoda duchowa, wynikająca z fascynacji mrokiem, totalizmem, próbą zatrzymania historii. W ogóle mrok, faszyzm, totalizm będą fascynowały Kuśniewicza, naturalnie nie w sensie jakiegokolwiek aprobaty, raczej najwyższej zgrozy. Ten sposób widzenia nie mieści się na ogół w polskiej mentalności, która dyktowała najczęściej albo zgorzłą moralistykę, albo karykaturę. Polska literatura, tak głęboka w prezentowaniu ofiar przemocy, była bezradna, gdy należało pokazać katów. Książki takie jak *Trismus* Grochowiaka zawsze wywoływały jakieś pokątne naszeptywania.

Piszę o tym, bo kiedyś sam przy podobnej okazji popadłem w tarapaty i omal nie wciągnąłem w nie Kuśniewicza. Napisałem był mianowicie przed laty cykl esejów *Pokusa faszyzmu*, z dość banalną w końcu tezą, że upadek wartości prowadzi do pokusy podporządkowania się jakiejś nadrzędnej surowej racji i dyscyplinie. Także w warunkach polskich, i powołałem się gdzieś tam na *Eroikę*. Rzecz się nigdy nie ukazała, ale wywołała zwielokrotnione pogłoski. Lekko przerażony Kuśniewicz dzwonił do mnie nawet z pytaniem, o co tu właściwie chodzi w tej całej gadaninie. Przy okazji zabawny drobiazg. Esej między innymi czytali Stefan Żółkiewski i Janusz Wilhelmi, słynący tyleż z inteligencji, co z cynizmu. Pierwszy mi rzekł: „Nie masz racji, ale to powinno być wydrukowane”, drugi: „Pan ma rację, ale tego drukować nie wolno.”

W *drodze do Koryntu*, proza nazwana przez Wykę „ballado-powieścią”, jest nierównie bardziej złożona. Mieszają się czasy i miejsca – Paryż, Wiedeń, wieś podolska, przeszłość bliższa i dalsza. Zauważono tu wpływy Gombrowicza, a może i Joyce’a. Opowiedzieć tego właściwie nie sposób. Realizacja marzenia, kształtowanie osobowości, widma przeszłości nieustanne i opis, jak realizuje się koniec świata, wieczysty właściwie temat Kuśniewicza. Na tej książce, jak się uważa, zamyka się pierwsza faza jego twórczości. Równie dobrze można by rzec, że się otwiera następna.

Bo teraz przychodzi czas na najslynniejszą kuśniewiczowską prozę – na *Króla Obojga Sycylii*, utwór mający do dziś najwięcej przekładów na języki obce. To jedna z najbardziej „cesarsko-królewskich” książek Kuśniewicza. Jest ona zmiennym przepływem współczesnych sobie, panoramicznych obrazów. Ich centrum stanowi ongiś węgierskie miasteczko Fehertemplom, dziś Biała Cerkiew nad Dunajem, na granicy rumuńskiej, gdzie sennie bytuje pułk ułanów i gdzie właśnie dokonano mordu na młodej Cygance. Jednocześnie jednak akcja toczy się pod Belgradem, w Wiedniu, Sarajewie, Trieście i w wielu innych miejscach. Zabójstwo arcyksięcia, miłość jednego z bohaterów do siostry – to wątki splatające się czy też ocierające się o siebie. Baśniowa niemal i letargiczno-senna panorama ostatnich chwil cesarstwa austriackiego, zbrodnia, kazirodcza miłość, niemal statyczny fresk. Posmak śmierci konieczny jest autorowi jak Mannowi w *Czarodziejskiej górze* (i nie tylko). Niezbędna jest także przerafinowana miłość czy seks po prostu. Wiele, wiele tu z atmosfery secesji, nie przypadkiem bynajmniej. Ale śmierć jest przede wszystkim śmiercią epoki. Czy jednak rzeczywiście tu, jak i gdzie indziej mamy przeciwstawienie jakiejś epoki norm moralnych epoce nieludzkiej, tego pewien nie jestem. Odmieniło się wiele, nade wszystko smak czasu i koloryt rzeczy, ale podstawowe ludzkie relacje nigdy właściwie inne nie były. W każdym razie u Kuśniewicza nie znajduję na to dowodu.

Choć właśnie następna książka, *Strefy*, tryptyk, przynosi w części pierwszej, słynnych z urody *Znakach zodiaku*, wizję nie tyle zgody, co urody wielości współistniejących kultur, w dalekiej miłości autora, w dalekim podolskim Zydaczowie. Znowu brak jakiejś wyrazistej organizacji epickiej, znowu wariacje obrazów, wizje, narastanie nienawiści w wielonarodowym gronie dzieci aż do zupełnej obcości. A później mocno sarkastyczny przeskok w czasy dzisiejsze.

Przyznam, że początkowo *Stan nieważkości* średnio mi się podobał i nawet coś w tym duchu o nim pisałem. Teraz, przy powtórnej lekturze musiałem całkowicie zmienić zdanie, cho-



ciaż partie szpitalne nadal mniej mnie interesują. Otóż *Stan* to wizje przeszłości, nasuwające się jakby w malignie choremu na serce narratorowi. Stopniowo coraz mniej szpitala. Narrator wywodzi się z kresów, a wspomina także rozmowę z Niemką wysiedloną z Pomorza. I genealogie obu rodzin, jak się okazuje, splecione są ze sobą w dalekiej przeszłości. Przełom XVIII i XIX stulecia, kres karmazynowej przeszłości, wielorakie kolaboracje i różne opcje polityczne, szalony splot wydarzeń, poprzez które wędruje narrator na sto i ileś tam lat przed swoim urodzeniem, obecny jeszcze tylko w genach przodków. Wielki, wspaniale napisany manifest jedności z przeszłością i refleksja nad wielorakimi obliczami historii. *Notabene*, co do problematyki Kuśniewicza, to nie należy natęrczywie domagać się skończonych formuł, mimo że z reguły wiele tutaj analiz intelektualnych. Ale są to właśnie analizy, więc niejako propozycje określonego sposobu widzenia, a nie definitywne stwierdzenia.

*Trzecie królestwo* jest książką nieco odmienną i bliższą jakby powieści tradycyjnej, uważaną przy tym za powieść polityczną i chyba nie dość docenioną. Także koncentruje się w jednym momencie. Czy może w dwóch, bo punktem wyjścia jest początek nowej epoki, 21 lipca 1969 roku – lądowanie człowieka na Księżycu. W tym punkcie całkowicie zgadzam się z Kuśniewiczem; przypuszczam, że dzień ten w przyszłości będzie tak dzielił epoki jak podróż Kolumba średniowiecze i czasy nowożytne. Sam przeżyłem ten moment razem z moim przyjacielem Jurkiem Koenigiem i kiedy ludzka stopa dotknęła Nowego Świata, ucałowałem go mówiąc: *Christos woskres*. Ciekawe, że w *Trzecim królestwie* jest coś jednak podobnego. *Trzecie królestwo* wybuduje może człowiek pod innymi gwiazdami, ale zarazem jest to trzecia faza dziejów, wedle średniowiecznego mistyka i chiliasty Joachima de Fiore. Lecz i coś trzeciego jeszcze – czasy po rewolucji maoistowskiej czy terrorystycznej.

Książka przedstawia konflikt między narratorem – niemieckim adwokatem (rzecz dzieje się w Koblencji), byłym komunistą i więźniem Dachau, obecnie obrońcą sądowym byłych faszystów – a jego synem, gwałtownie radykalizującym się ku lewicy. Otóż Kuśniewicz pokazuje, jak próba realizacji równości, sprawiedliwości itd. przeradza się niejako automatycznie w gwałt i przemoc. To nie tylko powieść polityczna, to jeszcze jedno studium końca jakiegoś świata lub końca co najmniej spodziewanego.

Kolejny wielki sukces Andrzeja Kuśniewicza to *Lekcja martwego języka*, książka obficie przekładana, przez Janusza Majewskiego przeniesiona na ekran (1979). Zbliża się ona do *Króla Obojga Sycylii*, czasem i metodą pisarską. Tym razem pierwsza wojna w toku, a spoglądamy na nią z perspektywy małego galicyjskiego miasteczka, gdzie leczy się bohater, oficer Alfred Kiekeritz. Aura choroby, dziwnej miłości, coś z *Brzeziny* Iwaszkiewicza, morderstwo, wieża Babel narodów, przemieszane ze sobą letargiczne obrazy – jeszcze jeden koniec świata, jeszcze raz „ach, Ukrainy nie będzie”.

Z natury rzeczy Kuśniewicz często eksploatuje swoją biografię, ale oczywiście nigdy nie wiemy, gdzie *Dichtung*, a gdzie *Wahrheit*. Nieco bliżej tej ostatniej znaleźliśmy się w *Mieszaninach obyczajowych*, powstałych pod patronatem gawęd sławnego Henryka Rzewuskiego, w jakimś stopniu protoplasty pisarza. Zresztą i tytuł od niego, tyle że u Rzewuskiego, czyli Jarosza Bejły, brzmiał on *Mieszaniny*... Narrator nie nosi imienia Kuśniewicza, ale chyba jest w znacznym stopniu jego *alter ego*. Znowu oglądamy malowniczy zaginiony świat: dwór nad Seretem, lwowskie knajpy, przedwojenny MSZ na Wierzbowej. Sentymenty tu także mieszają się z kpina, bo kpi Kuśniewicz, jak mówiłem, właściwie zawsze. Na ogół jest to kpina pogodna i życzliwa. Bliska *Mieszaninom* jest *Moja historia literatury*, wspominająca miejsca i ludzi już bez fabularnej przesłony.

Za to ostatnia wielka proza Kuśniewicza, *Witraż*, to niemal całkowite rozszczepienie świata na poszczególne sceny i obrazy. Fresk, witraż właśnie. Rzecz dzieje się (o ile się „dzieje”) we Francji, w Tuluzie, podczas wojny hiszpańskiej i pierwszych lat drugiej wojny światowej. Znowu ród z odległymi i zawiłymi, także polskimi koligacjami, znowu współpraca z Niemcami i problem faszyzmu. Książka zawraca i kołuje, wypełniają ją rozważania, bliższa jest może esejowi niż powieści.

Trzeba rzec, że dezintegracja fabuły różnie ma u Kuśniewicza stopnie. Różne są też stopnie i plany narracji, a to już i u Conrada bywało. Z pewnością wiązą Kuśniewicza pokrewieństwa z Gombrowiczem, Parnickim, czasem Buczkowskim, Iwaszkiewiczem, późną Kuncewiczową, Strykowskiem i pewnie jeszcze wieloma innymi – bądź to ze względu na stosowaną konstrukcję, bądź z racji opisywanego świata. W tym wszystkim jest jednak zupełnie odrębny i natychmiast rozpoznawalny. Ma własne odniesienia – dalekie genealogie, faszyzm, specyficznie rozdrażniony erotyzm, upodobanie do obrazów nasyconych barwami i konkretami, dalekich. Przez cały czas znać tu rękę poety – obraz jest znacznie intensywniejszy niż intelektualna formuła. I w tym sensie kontynuuje dawnych gawędziarzy, ale jest to coś znacznie więcej niż obyczaj, lub też sam obyczaj rangę swoją odmienił.

Kolejne posłanie z dawnych kresów, z owego tygla splątanych kultur przedstawia sobą twórczość Juliana Strykowskiego. Ale, przynajmniej początkowo, Strykowski ogranicza się wyłącznie do składnika żydowskiego owej mieszaniny, reszta jest dla niego co najwyżej tłem. Później to się zmienia, a jego twórczość uniwersalizuje się bardzo i pod każdym względem szlachetnieje. Odmienia się całe widzenie świata i adres jego książek. Bohaterowie, nie przestając być Żydami, przemawiają teraz w imieniu całej ludzkości i do niej się zwracają.

Pierwszym językiem Strykowskiego nie był jednak polski, który dopiero z czasem zostanie uznany za prawdziwą ojczyznę pisarza. Julian Strykowski (1905) ze szkoły żydowskiej zawędrował do gimnazjum i ostatecznie na polonistykę we Lwowie. Początkowo, jak sam opowiada, syjonista, związał się stopniowo z partią komunistyczną, siedział w więzieniu, wojnę spędził w ZSRR, później pracował w prasie. Z biegiem lat zbliżył się do chrześcijaństwa, co zresztą jest w tej chwili rzeczą dość powszechną – ksiądz i rabin dwa bratanki. Literackie drobiazgi publikował już przed wojną, a u jej schyłku napisał pierwsze ze swoich znakomitych dzieł – *Głosy w ciemności* (1943-46). Ale *Głosom* było pisane jedenaście lat czekania w wydawnictwie na publikację.

Tymczasem Strykowski, jak o tym pisałem w drugim tomie *Agonii*, został autorem *Biegu do Fragalà* (1951), gdzie uczył Włochów socjalizmu, nieco później, w *Pożegnaniach z Italią* (1954), zwrócił się do nich krzepiąco: „Do zobaczenia w wolnej Italii”. Czynił to wyłącznie z dobroci serca, chcąc tylko, by im się tak dobrze jak nam działało. Niewdzięczni Italczykcy nie docenili intencji i obeszlę się ze Strykowskim dość nieoględnie.

Wreszcie ukazały się *Głosy w ciemności* (1956), stając się niewątpliwym i niepodważalnym sukcesem. Potem przysły opowiadania *Imię własne* (1961), powieści *Czarna róża* (1962) i *Austeria* (1966), opowiadania *Na wierzbach... nasze skrzypce* (1974), powieść kontynuująca wątek *Głosów* i *Austerii* – *Sen Azrila* (1975), mniej trochę ceniona powieść dotycząca stosunków na wschodnich ziemiach Polski po roku 1939 – *Wielki strach* (1980), *Przybysz z Narbony* (1978) – chyba najciekawsza fabularnie, a i nie tylko powieść Strykowskiego, opowieść *Tommaso del Cavaliere* (1982), wreszcie trylogia biblijna: *Odpowiedź* (1982), *Król Dawid żyje!* (1984), *Juda Makabi* (1986). Przedziwne są drogi historii: trylogię tę, pióra Żyda, syjonisty, o komunizmie już nie wspominając, wydało „W drodze”, wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów, ongiś strasznego zakonu Świętej Inkwizycji... I nie ironii należy w tym szukać, ale nieśmiałej nadziei.

*Głosy w ciemności* były niejako odpowiedzią na holocaust. Strykowski przebywał wówczas w Moskwie, gdy dotarły tam informacje o zagładzie. Miał to więc być trumienny portret zabitego narodu. Lecz była to zarazem epoka wszechwiary w walkę klasową, w realizm krytyczny i socjalistyczny, poza tym zresztą Strykowski był wtedy w wieku, w którym jeszcze nie celebrował nadmiernie swego dzieciństwa. W rezultacie ów portret został namalowany barwami bardzo ciemnymi. Małe miasteczko przeraźliwie brudne, biedne i smrodliwe, ludzie raczej sobie nieżyczliwi, tylko nadzieja socjalistyczna lub syjonistyczna mogła temu nadać jakikolwiek sens. Bardzo niewiele malowniczości à la *Skrzypek na dachu*. I jednak już wtedy niebagatelna problematyka moralna.

Bohaterem jest ubogi duchowny, pomocnik rabina (to się chyba zwie melamed) Tojwie, rygorysta moralny, „policjant Pana Boga”, chcący zniszczyć doszczętnie łajdaka Schariego, w pełni zresztą na to zasługującego, zdaniem Tojwiego. Bo wedle jego oponenta, rabina z Głogowa, nikt nie zasługuje na taki los. Lepszy jest kompromis, bo może i zło ma jakieś miejsce na tym świecie. Zresztą to Tojwie zostanie pokonany i zamieniony w Hioba za przyczyną owego Schariego, który wykazał mu nieczystość – córka Tojwiego odchodzi z gojem. Ta „nieczystość” jest dla nas, gojów, sprawą cokolwiek dwuznaczną i jednak obraźliwą – gdybym na przykład dotknął butelki wina, które popija Strykowski, musiałby on wylać je jako właśnie nieczyste. Oczywiście, rozumiemy, że Żydzi musieli się „odgrodzić”, by w ogóle przetrwać, ale to jednak drażniące.

Tojwiego oglądamy oczami jego małego synka, Arona, nie całkiem zresztą konsekwentnie. Jan Błoński zauważył, że Strykowski nie czuje do swoich bohaterów sympatii, raczej ich upokarza. To bardzo mocno powiedziane. Z dalszej perspektywy jego książek okaże się, że to raczej typowa *hassliebe*, miłość pomieszana z nienawiścią. W każdym razie książka jest bardzo udana i przyniosła Strykowskiemu sukces nie tylko w Polsce. A niemal każda następna okaże się kolejnym, coraz ważniejszym osiągnięciem.

*Imię własne*, cztery opowiadania dziejące się współcześnie w Jugosławii, zwróciły uwagę świetną analizą psychologiczną, atmosferą osamotnienia, daremności, czekania, rozpadania się uczucia. Są, jak cały wczesny Strykowski, mroczne. Jeszcze większy mrok spowija następną słynną książkę (po prawdzie, wszystkie książki Strykowskiego są słynne), *Czarną różę*. Najkrócej – młody chłopak z małego miasteczka, Henryk Jarosz, trafia na studia do Lwowa, gdzie wchodzi w środowisko komunistów. Zakochuje się do szaleństwa w lewicującej córce fabrykanta, Tamarze Blumental, całkowicie zresztą bez wzajemności. Dla niej wiąże się z ruchem, trafia do więzienia, a wreszcie ucieka do Związku Radzieckiego, gdzie właśnie przebywa jego wybrana. Czyniąc tak grzebie się całkowicie, gdyż niechybnie zostanie uznany za prowokatora. Henryk Bereza zauważył, że jest to przeniesienie w realia współczesne opowieści o Orfeuszu. Jak się okazało, Strykowski w ogóle zamierzał Orfeusza i Eurydykę wprowadzić do tytułu. Zarazem jest to powieść polityczna.

Kolejna książka, *Austeria*, to prawdziwe arcydzieło Strykowskiego, rozślawione filmem Jerzego Kawalerowicza. Rzecz dzieje się w dniu wybuchu pierwszej wojny światowej w podmiejskiej karczmie-austerii, nie opodal granicy rosyjskiej. Trafiają tu uciekinierzy, przewija się przez nią całe miasteczko, ostatni honwedzi, pierwsi Kozacy. Zabłąkana kula zabijająca dziewczynę, kozackie bestialstwa, pożar. Nade wszystko cadyk z Żydaczowa, z chasydzką świtą i rodziną. Wszystko to – ucieczkę, klęskę i śmierć – ogląda stary karczmarz Tag, dawny kolega miejscowego księdza, z którym razem podejmą daremną zapewne próbę ocalenia skazanych ludzi.

Książka jest bardzo bogata i równie piękna, tu można jedynie wskazać na niektóre elementy. A więc jest to jakby prefiguracja tego, co przyniesie Żydom wojna następna, jakby przygrywka, zapowiedź. My, czytelnicy, wiemy to, czego oni, bohaterowie, jeszcze nie wiedzą, my wiemy, że przyszłość przyniesie im zagładę. Jest to wrażenie niezmiernie silne i ono nadaje książce specyficznie tragiczną atmosferę. Poczucie nadciągającej apokalipsy odnajdziemy i w innych książkach Strykowskiego, tutaj jednak ma ono wielkie znaczenie dla konstrukcji utworu.

Symboliczną rolę grają chasydzi otaczający cadyka. Tu trafiamy na trop spraw niezwykle istotnych i niezwykle złożonych. Przekaz duchowy chasydyzmu, tak podobny do przesłania świętego Franciszka, a znany nam od niedawna z *Opowieści chasydów* Martina Bubera (wydanych naturalnie przez dobrych ojców dominikanów w 1989 roku; ich największym dotychczas sukcesem wydawniczym był *Młot na czarownicy*), Kabała, Księga Zohar – to wielkie problemy, przerastające zakres mojej książki. Idzie w każdym razie o sens życia, zła i cierpienia, o doskonalenie się nie tylko człowieka, ale i Boga. Mogę tu tylko odesłać Czytelnika do

celnego szkicu Anny Sobolewskiej, zamieszczonego w czwartym numerze miesięcznika „Więź” z 1984 roku, a zatytułowanego „Historia każdego z nas. O poszukiwaniach religijnych Juliana Strykowskiego.” Więc owi chasydzi Strykowskiego to błądzący Żydzi, ale i błądząca, a bezradna ludzkość. Duchowni żydowscy są u Strykowskiego zawsze bezradni, a upadek czy pogrzeb rabina to motyw wręcz stały. Podobnie zresztą jak u Singera. Tu obraz jest wręcz karykaturalny.

Ale zarazem to ludzie, którzy w obliczu zła potrafią się zdobyć na radość, na duchowy wzlot. I ostatecznie to oni ze wszystkimi swoimi śmiesznościami stwarzają obraz najbardziej wzniosły i promienny.

Szpetota, karykatura... Nie brak tego i tutaj. Drobnomieszczańskie fochy i maniery Żydów nieco „cybulizowanych”. Podkreślanie brzydkich szczegółów, ot, choćby w drobiazgach: „Kantor syn kantora siedział na brzeżku ławki, prostą nogę schował pod stołem, a krzywą wystawił na widok.” Kobiety... Strykowski nie jest przyjacielem kobiet. Już przed wojną doktoryzował się pracą wdzięcznie zatytułowaną „Kobieta zbrodniarka w literaturze romantycznej”. W *Austerii* kobiety przedstawiają sobą widok dość straszny. Cuchnące, szpetne, potargane, ciągle wysadzające brudne dzieciaki, rozpaczliwie ograniczone. Strykowski potrafi kompromitować, a gdzieś głęboko, nawet w tragicznych okolicznościach, doszukuje się zjadliwego humoru. Czy może ironii. Nieustannie powtarzane przez chasydów: „co za rozkosz być Żydem” – na tle wiedzy autora i czytelnika o tym, co nastąpi, jest najwyższym wcieleniem sarkazmu.

Jarosław Iwaszkiewicz dopatrywał się w *Austerii* podobieństwa do *Sędziów* Wyspiańskiego i tragedii greckiej. Miał rację i z pewnością nie jest to zbieżność przypadkowa. Ale jest to książka, której przypisać można bardzo wiele, jak zwykle dziełom-arcydzielnym. Da się ją czytać jako wizję kończącej się epoki cesarsko-galicyjskiej. Jest w niej tragizm dziejów żydowskich – Pan nigdy nie zapomina o obciążeniu narodu wybranego szczególnie dotkliwym cierpieniem. Wreszcie trzeci stopień uogólnienia to dzieje i cierpienia całej ludzkości. (Gdybym ja był autorem, to może pomyślałbym o warstwie czwartej – o wszystkich istotach skazanych na śmierć i cierpienie. Ale Strykowski lubi widać zwierzęta tylko gotowane lub smażone). Staram się w tej książce unikać kategoriycznych ocen, znam bowiem ich względność, ale *Austeria* jest jedną z najwybitniejszych książek całej literatury polskiej.

Nie o wiele odstaje od niej *Sen Azrila*, trzecia część trylogii galicyjskiej, jeśli idzie o chronologię fabuły – najwcześniejsza. Wdowiec Azril przybywa do miasteczka swojego dzieciństwa. Śnił bowiem, że ojciec z grobu podaje mu list – niestety nieczytelny. Drugim motywem – oprócz próby wyjaśnienia snu – jest szukanie żony – pierwszą AzriI sam doprowadził do samobójstwa. AzriI, wielki skrupulant religijny, podobnie jak Tojwie sam okazuje się więc grzesznikiem. Treść książki to błądzenie Azrila po letargicznym miasteczku żydowskim, poprzez nocne modły, śmierć i pogrzeb rabina, knajpę, aż po jego własną śmierć pod kołami parowozu. Książka jest gęsto nasycona obrzędami i obyczajowością żydowską, a problematyka znów dotyczy moralności. Wzlot i upadek, oba nierozłączne:

Po co i dlaczego  
Dusza upada  
Z górnych wysokości  
Do głębokiego rowu  
A potem ulata  
Do górnych wysokości  
Bo upadek potrzebny  
Dla wzniesienia jest  
Bo dla wzniesienia  
Potrzebny upadek jest.

Snują się tu wcielone widma – jest kusiciel, jest i makabryczny Ahaswer, zdążający co noc do bóżnicy, do której nigdy nie dotrze. Cała książka jest widmowa i pogrążona w ciemności. I znów bohater taki, że nie możemy go obdarzyć całkowitą sympatią, odmiennie niż Taga, też grzesznika z *Austerii*.

I całkiem inaczej niż don Elego ben Zachariah ibn Gajat, tułowego bohatera *Przybysza z Narbony*. Przy tej samej problematyce to najzupełniej odmienna książka Strykowskiego. Nie dwudziestowieczna, nie galicyjska. Rzecz dzieje się w Toledo, w XV wieku, gdy dobiega końca *reconquista* i tylko bronią się jeszcze twierdze Grenady. Toledońska gmina żydowska jest prześladowana przez inkwizycję (książki n i e wydali tym razem dominikanie), torturowana, palona na stosach. Pojawia się kwestia zbrojnego oporu – książka nie bez przyczyny jest dedykowana „Powstańcom Getta Warszawskiego”. Ktoś okazuje się zdrajcą – fabuła prawie kryminalna.

Postaci podobne, ale atmosfera jakże inna. Żadnych brudów, smrodów, mycia końców palców. Barrio, czyli hiszpańskie getto, jest jasne, czyste, białe, pachnące pomarańczami. Są tu piękne rzemiosła – płatnerstwo, i piękne domy – w sumie uwznioślony sen, odwrotność tego, co zostało opisane w *Głosach*. I problematyka jawniej uniwersalna – są nawet dialogi o podobieństwie i odrębności religii – szkoda, że Strykowski ułatwił sobie zadanie czyniąc rzecznikiem chrześcijaństwa dość koszmarnego inkwizytora, a islamu – zbyt tępego mułłę. Nasuwa się z konieczności zestawienie z Feuchtwangerem, chociaż *Żydówka z Toledo* to inna epoka.

Odstępstwem w twórczości Strykowskiego od roztrząsania dziejów żydowskich jest *Tommaso del Cavaliere* – tytułowy bohater jest wielką, platoniczną miłością Michała Anioła, którego schyłek i śmierć książka, właściwie dłuższe opowiadanie, przedstawia. Wiele tu rozmyślań o życiu i sztuce, utrzymanych w trochę innej stylistyce.

Wspomnijmy jeszcze o opowiadaniach zebranych w tomie *Na wierzbach... nasze skrzypce* (rażą mnie trochę te „skrzypce”, wołę już „lutnie” Kochanowskiego, bo tytuł jest oczywistym cytatem). Są to spotkania po latach i prezentacja środowiska żydowskiego w diasporze, tym razem amerykańskiej. Problematyka samotności i tułactwa jest wszechobecna w twórczości Strykowskiego, a cała ta sprawa domagałaby się osobnego wywodu. Strykowski przypomina, że liczy się nie tylko to, co inni sądzą o Żydach, ale to także, co Żydzi sądzą o innych i o sobie. W *Głosach*: „Moi koledzy w szkole nie wyrządzili mi żadnej krzywdy. Ale czy uważają mnie za równego sobie? Zresztą, czy ja zgodziłbym się na to? Czy nie jestem inny od nich?” W *Dawidzie*: „Nie lubi się wybrańców”. A za komentarz niech posłuży stwierdzenie Gombrowicza w *Dziennikach*: „Kto się uważa za wywyższonego, traci prawo do równości”.

Trylogia biblijna, *Odpowiedź, Król Dawid żyje!, Juda Makabi*, ma za bohaterów Mojżesza, Dawida i Judę Machabeusza, ale Strykowski pod tymi postaciami ukazuje człowieka w ogóle i całą ludzkość. Mimo tematu historycznie żydowskiego, książka jest wyraźnie uniwersalna. Została także inaczej napisana, bardzo prosto, bardzo oszczędnie. Najciekawsza jest część pierwsza – ale literacko nie dochodzi to do trylogii galicyjskiej, choć może to kwestia tak wyraźnej stylizacji. Strykowski może właśnie dlatego jest tak znakomity, że z każdego punktu jego twórczości otwierają się rozległe perspektywy duchowe. Należałoby pewnie jeszcze spytać, w jakim stopniu zaważyła na jego twórczości tradycja literacka polska i żydowska, przecież obie najzupełniej oczywiste. Ale – jak sądzę – to właśnie nie ma najmniejszego znaczenia.

Natomiast – w ostatniej chwili sobie przypomniałem – było coś jeszcze. Przecież to właśnie Strykowski przełożył *Śmierć na kredyt* Celine'a (jako P. Stark w 1937). Mrok ludzkich spraw tego autora nie mógł nie wpłynąć na samego tłumacza, w *Głosach w ciemności* czuje się to wyraźnie. Zamiast długich wywodów przytoczę motto do *Podróży do kresu nocy*, choć nie pomnę już po latach, w którym przekładzie (Wacława Rogowicza, 1933 – przyp. red.). Oto

ta *Pieśń gwardii szwajcarskiej*:

Nasze życie jest wędrówką  
Poprzez ciemność poprzez noc  
My szukamy sobie przejścia  
W niebo gdzie nie świeci nic.

Zgadza się?

Jeszcze do niedawna nazwisko Vincenza znane było tylko wtajemniczonym, a jego *opus magnum* – zgoła nikomu, bo znaczna jego część została wydana pośmiertnie. Dziś, kiedy poznaliśmy całość *Na wysokiej połoninie*, wiemy, że mamy do czynienia z jednym z najciekawszych autorów polskich XX stulecia. Ogrom materiału „tradycyjnie” literackiego sprawia, że po macoszemu traktuję tu wszelkie pogranicza literatury, mimo że arcyczęsto one właśnie są najciekawsze, ale sprawa Vincenza jest szczególna i wręcz wyjątkowa. Jeśli chlubimy się naszą dawną tolerancją, to największym jej spadkobiercą współczesnym jest Stanisław Vincenz (1888-1971) właśnie. To nie wszystko. Jeśli zarzucamy, niestety często nie bez racji, literaturze polskiej, że jest płytka, to odpowiedzią na te zarzuty jest znowu twórczość Vincenza, otwarta na metafizykę, na zasadnicze problemy dobra i zła, głębsza i mądrzejsza od wszystkich naszych narodowych epei razem wziętych. Dlatego właśnie pewne niedostatki literackie, dłużyzny czy nierówności jego dzieła właściwie po prostu się nie liczą.

„Mędrzec z La Combe” potrafił się wznieść ponad politykę, ponad ograniczenia rasowe, narodowe, klasowe, religijne. Gromadzili się wokół niego ludzie z różnych stron świata. *Połoninę* wydano i w Anglii, i w Związku Radzieckim – tylko w Polsce lat sześćdziesiątych dzieło uznano za trefne i nie znaleziono dla niego papieru... Dopiero już po śmierci autora, od schyłku lat siedemdziesiątych, zaczęto je przywracać Polsce.

Stanisław Vincenz pochodził z rodziny prowansalskiej, od dawna spolonizowanej i osiadłej na Pokuciu. Urodzony w cieniu Czarnohory, uczył się w Kołomyi, potem studiował we Lwowie i w Wiedniu, zdobywając niezwykle rozległą wiedzę w wielu dziedzinach. Był przed wojną przedsiębiorcą-nafciarzem, ale nade wszystko intelektualistą, eseistą, redaktorem, tłumaczem. Po wojennym pobycie na Węgrzech osiadł w Grenoble, później zaś w Lozannie. Jego eseje ukazywały się na emigracji – *Po stronie pamięci* (Paryż 1965), *Tematy żydowskie* (Londyn 1977), *Dialogi z Sowietami* (1966). Wreszcie „Znak”, PAX i PIW udostępniły nam jego dzieło: *Na wysokiej połoninie* (1980), *Z perspektywy podróży* (1980), *Po stronie dialogu* (1983), *Powojenne perypetie Sokratesa* (1985).

Ta ostatnie książka to jakby próba kontynuacji dialogu platońskiego, wychodząca z założenia, że Sokrates został przed wypiciem cykuty wykradzony, że jeszcze żył, podróżował i dyskutował. Wszystko to można rozumieć także jako przedśmiertny sen Sokratesa. Eseje mają wiele wymiarów i tematów. Dotyczą epiki europejskiej, swoistego krajoznawstwa, Homera i Dantego – to dwaj ukochani bohaterowie Vincenza, skądinąd imponującego poliglota, Conrada, Norwida, kultury ludowej i żydowskiej, Lwowa, Wiednia, Dunaju i czego kto chce. Jak całe dzieło Vincenza, mają na ogół formę gawędy. Ale wszystko to niknie przy *Wysokiej połoninie*.

*Na wysokiej połoninie* jest dziełem ogromnym, zawierającym dwa tysiące kilkaset stron gęstego druku (sto czterdzieści pięć arkuszy wydawniczych – kolos!), pisanym przez lat czterdzieści. Dzieli się na cztery wielkie tomy, a na trzy, jak to powiadał Vincenz, „pasma”, mając na myśli zestawienie z pasmami górskimi. Pierwszy tom – *Prawda starowieku* – ukazał się w pierwszej, później rozbudowanej wersji, w 1936, drugi – *Zwada* w 1970. Wydania trzeciego i czwartego autor już nie doczekał. A więc *Listy z nieba* – 1974 i *Barwinkowy wianek* – 1979. Książka tak pełna miłości do ludzi, do wszystkich ludzi, nie mogła się pochwalić nadmiarem wzajemności...

Bardzo trudno określić, jaki to właściwie gatunek literacki. Esej, gawęda, saga pasterska, saga rodzinna, epepeja, zbiór opowieści, legend, przypowieści, wierszy, dzieło jawnie misjonarskie, katolickie, żydowskie, pogańskie i unickie, opowieść, cykl fragmentów, traktat obyczajowo-folklorystyczny, wspomnienia – każde z tych określeń w pewnym stopniu odpowiada prawdzie. Zarazem nie jest to ani dowolne, ani przypadkowe. Punktem wyjścia i dojścia jest wesele rodziców autora w Wierchowinie, w Krzyworówni pośrodku gór, w miejscu, gdzie od wieków stykały się ze sobą Polska, Węgry i ziemie rumuńskie, w sercu Huculszczyzny. Czas fabuły to trzy dni jesienne w drugiej połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Ale fabuła cofa się o lat kilka, kilkadziesiąt i kilkaset, czy nawet dalej, a wybiega do wydarzeń po końcu świata... Jej bohaterami są członkowie rodziny pisarza, jej znajomi, Żydzi, ale nade wszystko Hucułowie i Huculszczyzna. Zresztą także nazywani prawdziwymi nazwiskami – Foka Szumiejowy, Tanasij Urszega, by wspomnieć ich tylko. Żydzi, pany, chłopcy, popy i księża, karczmarze i rabini, myśliwi, woźnice, powstańcy styczniowi – galeria przebogata. Ale są tu jeszcze postaci już wtedy historyczne, są też legendarne, od minionych w bezkresach czasu olbrzymów – Wielitów, poprzez zbójników, czyli w ruskiej mowie „opryszków”, po twórcę chasydyzmu Baal-szem-towa. A także Bóg i szatan we własnych osobach i legendarne ludy, dobre – Rachmanowie i złe – Syroidy.

Na kolejne polskie wesele, jak tradycja nakazuje, ściągnęli więc wszyscy. Nie sędzę, aby to się stało przypadkiem i bez wpływu Wyspiańskiego, bo i tu przecież zbratanie stanów jest tematem zasadniczym. Ale jest to zarazem cienka rama. W pierwszym tomie przyjaciel dziedzica Foka ma spraszać gości. A potem dzieje Hucuła Foki i wręcz etnograficzne opisy domu i prac pasterskich. Dalej demonologia góralska, magia czarna i biała. Później praczasy olbrzymów – historia mityczna Huculszczyzny, nieomal równie mityczna sławnych „opryszków” Hołowacza, potomka olbrzymów i najslawniejszego Dobosza. To już wiek XVIII, dalej koniec „opryszków”, ich walka z cesarstwem austriackim i skądinąd Archijudą – duchem niewoli.

W tomie następnym, *Zwadzie*, o weselu ciągle cicho. Są to lata sześćdziesiąte, „nowe czasy”, pobór do wojska i wielkie wyręby, „butyny”. Właśnie Foka Szumiejowy organizuje coś w rodzaju spółki gazdów. Poznajemy jej zawile dzieje i konflikty wewnętrzne i zewnętrzne – z przedsiębiorcami angielskimi. To obraz postępu, który dla Vincenza niezupełnie jest postępem, powieść o pracy i wielka księga przyrody. Tom trzeci to w zasadzie jedno popołudnie, chrzciny córki Foki, Hafijki, czterysta kilkadziesiąt stron opowieści przy stole. A potem krótka informacja, już po latach, że Hafijka dożyła szóstego roku życia. Inaczej jednak czyta tę opowieść ten, który przedtem nie prześlepił, że przy urodzeniu dziecka gromadzi się dwunastu straszliwych sędziów, decydujących o jego losie. I że właśnie Hafijkę postanowili oni obdarzyć szczęściem... Więc ironia czy jednak co innego? Ale tu właśnie wszystko jest takie – z jednej strony wręcz literatura faktu, autentyki sprawdzone w dokumentach, z drugiej wykładnia ciemna, mistyczna i tajemna.

Te chrzciny to pierwsze i największe zgromadzenie rozmówców. Tytuł nawiązuje do apokryfu – z nieba przychodzą listy do ludzi i krążą po Pokuciu.

Tom czwarty, *Barwinkowy wianek*, jest pańsko-żydowski. To genealogia samego Vincenza i opowieści żydowskie. A konstrukcyjnie – zjeżdżają się goście na wesele, jadą przez góry, zatrzymują się w karczmach, rozmawiają. I znów opowiadają w nieskończoność na samym weselu. A całość wieńczą przypowieści i wspomnienia samego autora o jego dzieciństwie, które przypadło na przełom stuleci. A więc wszystko odsunięte w czasie. Mann, by sądzić Europę, wybrał w latach dwudziestych perspektywę górską i lata przedwojenne. Vincenz także góry, lecz sądząc świat wybrał moment odsunięty w czasie w latach sześćdziesiątych, kiedy dzieło kończył czas wcześniejszy o lat osiemdziesiąt, sto. Znów przypadkowa zbieżność? Nie, i tym razem to nie przypadek. W ogóle można podejrzewać, że ten erudyta podejmował swoją książką polemikę z wieloma innymi dziełami i ich kompozycyjnymi i duchowymi rozwiązaniami. Stąd wiele innych uzasadnionych analogii.

Vincenz był wielbicielem epepei. Wielokrotnie podkreślał archaiczność ducha i życia Huculów, toteż ta „epopeja pasterska” pozwala się odnosić do Homera i Hezjoda. Ale nie mógł także nie znać Dąbrowskiej, *Na skalnym Podhalu* Tetmajera i *Chłopów* Reymonta. Każde z tych dzieł jest bardziej zwarte i fabularnie precyzyjniejsze, ale Vincenz stosuje zupełnie inną metodę łączenia wydarzeń. Jest to nieustająca gawęda z dygresjami. (Warto wspomnieć, że *Połonina* była dyktowana, a Vincenz słynął jako rozmówca i gawędziarz niezrównany). Tu jest także gęsto od szczegółów, od wydarzeń, ale zestawionych w sposób niby gawędziarsko-staroświecki, a właściwie właśnie arcynowoczesny, techniką wręcz filmową. Można więc przywoływać Rzewuskiego, ale można i Dos Passosa.

Pod pewnym wszakże względem zbliża się Vincenz właśnie do neoromantyzmu – jego książka jest zarazem wielkim poematem natury, rozleglejszym niż dzieło Reymonta, a nawet Tetmajera (Dąbrowska była w tym względzie programowo ślepa i głucha). Nie tylko o poemat rzecz się wie – jest w tym z jednej strony franciszkanizm, a Baal-szem-towa w podobny właśnie sposób przedstawił nam Martin Buber, z drugiej – niebywałe poczucie *genii loci*, traktowanie pejzażu, miejsca jako czegoś żywego, duchowego i niepowtarzalnego. Łatwiej byłoby mi powiedzieć językiem „starowieku”, że każde miejsce ma swoje własne duchy i istoty niewidzialne, a jednak wyczuwalne. Dzisiejsza wizja świata nie oferuje nam, niestety, stosownych pojęć. Popularny u nas Edward T. Hall docierając w pobliże tych spraw staje się właściwie bezradny. Zdaje się, że i sam Vincenz tam gdzie nie mógł się posłużyć poezją czy mistyką, jak w szkicach o pejzażu Węgier, też nie może wyrazić tego, co czuje. W *Połoninie* również woli się zasłonić innym narratorem, bo sprawa śliska niesłychanie. Jednak jest to coś więcej niż literacka pięknota – świat składa się nie tylko z tego, co widzialne, ale i z tego, co niewidzialne, a jakoś przez pejzaż ewokowane. Takim miejscem jest dla niego ów obszar, skąd wypływa Cisa i Seret, Prut i Czeremosz.

*Połonina* jest księgą świętą trzech narodów – Polaków, Ukraińców i Żydów. Ale stało się tak dzięki usunięciu z pola widzenia wielu smutnych realiów, dobrze nam przecież znanych: walk narodowościowych i społecznych, pogromów, nietolerancji, polityki, chciwości, erotyki nawet – tego wszystkiego, co w rzeczywistości antagonizuje ludzi. Toteż książka ta jest utopią czy nawet baśnią, co dla jednych okazuje się jej słabością, dla innych siłą. Vincenz próbuje wywieść, że ludzie stają się lepsi, gdy nie są stłoczeni, co pewnie i racja, lecz do jakiego stopnia? Jeden z bohaterów opowiada, jak wychowany w mało ludnym zakamarku Żmudzi, po raz pierwszy zobaczył miasto – świąteczne Wilno:

„Już od Łukiszek wśród tłumu niesiony przez ojca na rękach, pijany byłem od zdziwienia i szczęścia. Klaskałem w dłonie, śmiałem się głośno, aż ludziska śmiali się przyjaźnie: ludzie! ludzie! skąd nas tu tyle? skąd oni się tu wzięli? – Tata! – wołałem coraz głośniej – ja zaraz za porządkiem obcałuję wszystkie te buzie naokoło i także okna i domy wszystkie będę pieścił i całował.”

No, czegoś takiego to ja w literaturze współczesnej nie spotkałem. A tę jedność świąteczną ludzi – większą niż jedność pracy, walki i żałoby – miała umożliwiać dawna Rzeczpospolita. Vincenz jest rzecznikiem zarazem i wielości, i braterstwa.

To przesłanie nie ogranicza się jedynie do tych trzech czy czterech narodów, ma bowiem charakter uniwersalny. Tu dochodzimy do wielkich i stanowiących o znaczeniu książki uogólnień. Jest to etyka przebaczenia, ale także czegoś w rodzaju akceptacji zła. Jedną z opowieści *Połoniny* przenosi nas do krańca czasu i światów i ukazuje ostateczne zbawienie szatana – motyw znany nam z Orygenesesa, ale tu należący do dziedzictwa chasydzkiego. Zło jest konieczne, jest nawet niezbędne i w tym sensie szatan nieustannie pozostaje synem bożym. Te sprawy powracają ustawicznie, ale pełen wyraz zyskują dopiero w ostatnich tomach – wiadać, jak Vincenz urastał razem ze swoją książką. Ale nie ma żadnej możliwości już nie to, że



opisania, ale nawet wyliczenia przewijających się tu motywów moralnych i teologicznych. Ciekawe, że Vincenz czuł się katolikiem i jest przez Kościół za takiego uważany, co, moim zdaniem, dobrze o obu stronach mówi. W istocie jest to coś jeszcze innego niż poszczególne części składowe – pogański animizm, katolicyzm i judaizm, coś, co bliskie by było późnemu Strykowskiemu (tyle że u niego animizmu nie uświadczysz), coś w najwyższym stopniu szlachetnego do przekazania następcom. Jeśli wiek XX odbierał „dziecięciu Europy” godność, to Vincenz mu ją przywraca i nie dziwi wśród jego wielbicieli także obecność Miłosa, podobnie jak Kuśniewicza.

To jest potężna w każdym sensie książka. A przecież nawet nie całkiem ukończona – są tu i streszczenia nie napisanych czy zgubionych rozdziałów. Przez jej gąszcz niejedna prowadzi ścieżka, a jednorazowe jej przeczytanie to stanowczo za mało. Dziwne jednak, jak nie należała ona do czasów, w których powstała, jak nie pasowała do centralnych połączy naszego stulecia. Właściwie dopiero zwrot duchowy, jaki się rozpoczął kilkanaście lat temu i zdaje się ustawicznie pogłębiać, otworzył czytelnikom (i wydawcom!) oczy na to, co jest tu do zobaczenia. I najbardziej chyba staroświecki pisarz polski okazał się nagle tym najmłodszym i najnowocześniejszym. To tak dziwne, jak ów stary ksiądz unicki, który wygłasza magiczne zaklęcia do słońca – czego nawet bohaterowie *Połoniny* ze zdumieniem, choć i aprobatą słuchają – a kończy je następująco:

Do wschodu słońca, w Suczawie złotej tam!  
Do złotego tronu słońca, pod złote wieńce tam!  
Ilu jest w roku świętych niech stają tam.  
a pośród nich sam Hospod:  
Prawe słoneczko na niebie, na ziemi!  
Wielką służbę posłużmy  
Hospodu-Słońcu pokłońmy się,  
Boga-Słońce poprośmy,  
Wodę poświęćmy,  
Watrę zagaśmy,  
Srebrną modlitwę zanieśmy.

Specyficzny rys kresowo-wschodni możemy dostrzec także w twórczości, a może i stylu myślenia Jerzego Stempowskiego (1894-1969), jednego z największych eseistów współczesnych. Był synem Stanisława Stempowskiego, mistrza polskiej masonerii i ministra w rządzie Petlury, a skądinąd wieloletniego towarzysza życia Marii Dąbrowskiej (pamiętki po nim, przede wszystkim pozostałości wolnomularskie, można oglądać w warszawskim muzeum Marii Dąbrowskiej). Stempowski-junior był pracownikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych i dziennikarzem. Już przed wojną wydał (w 1929) słynny szkic *Pan Jowialski i jego spadkobiercy*, zawierający niejaki kądziwości pod adresem Piłsudskiego. Z tamtych lat pochodzi też jego ważny szkic o sztuce współczesnej *Chimera jako zwierzę pociągowe* (1933). Po wojnie zamieszkał w Szwajcarii, wydał dwa niezwykle zbiory *Eseje dla Kassandry* (1961) i *Od Berdyczowa do Rzymu* (1971). Przedtem jeszcze po francusku „La terre bernoise” (1954). W Polsce wybór esejsów Stempowskiego opublikował „Znak” w 1984.

Stempowski miał niezmiernie silny instynkt miejsca, umiejętność widzenia świata poprzez pejzaż. W jego twórczości znajdziemy relacje ze Szwajcarii, Włoch, powojennych Niemiec i z Polski wschodniej. W jakimś sensie potwierdza stanowisko Vincenza, że kwestia narodowa była o wiele bardziej złożona, niż się wydaje, i że mieszanie się wszystkich ze wszystkimi oraz zmiany poczucia przynależności narodowej były właściwie na porządku dziennym, przy czym grup i odcieni wszelakich było bardzo wiele. „Jeśli Polak żeni się z Rosjanką – dzieci ich są zwykle Ukraińcami i Litwinami”.

Niezwykle interesujące są diagnozy polityczne Stempowskiego, nawet jeśli historia po-  
biegła inną drogą. Generalnym odczuciem – już przedwojennym, a potwierdzanym później –  
jest świadomość zamierania Europy, schyłku jej dziejów i roli historycznej. Pozostaje więc  
odczytywanie historii – tu autor jest szczególnie czuły na wieki XVII i XVIII – szukanie zapi-  
su dziejów w obrazie ziemi, w jej budowlach, ogrodach, drzewach, rzekach. Jest zawsze  
piękny i głęboki, a niekiedy wstrząsający. I tak:

„Myślę, że w takiej ciszy emigranci słyszą szum swoich rzek. Wystarczy skupić się w  
pamięci, aby wśród setek innych poznać szum swojej rzeki. Każda mówi innym językiem.”

Opisuje więc Stempowski szum Ikwy, Dniestru, Niemna, Dźwiny, rzek Polesia, Wilii, ale

„największą siłę magiczną posiada Czeremosz, który spośród wszystkich rzek górskich  
sam jeden płynie w cieniu stuletnich jodeł i świerków. Wody jego pienia się wartko w ka-  
miennym łożysku, szemrzą na zwirowych mieliznach, dzwonią po kamieniach, bełkocą w  
cieśninach, huczą i dudnią w skałach, a każdemu z tych tonów, opóźniając się z lekka, wtó-  
ruje niskie, ciemne, basowe echo puszczy. Zdaje mi się, że gdybym ociemniały, stary, trawio-  
ny gorączką i obłędem, posłyszał znów ten szum, lata błądzenia po manowcach spadłyby ze  
mnie jak łachmany niedoli i stałbym się znów sobą.”

Mimo że jest to autor najwyższej klasy i eseistom polskim chyba dobrze znany, nie widać,  
niestety, jakiegoś powszechniejszego wpływu jego osobowości, podobnie zresztą jak i Vin-  
cenza. Łatwiejszy zda się duch wymownego utylitaryzmu. (Są jednak wyjątki – że przypomnę  
Paźniewskiego).

Melchior Wańkowicz (1892-1974) spłacił dług kresowym wspomnieniom już znacznie  
wcześniej, bo przed wojną – pisząc *Szczenięce lata* (1934). Za symbol powrotu obrał małe  
miasteczko na Lubelszczyźnie, Urzędów, między Chodlem a Kraśnikiem. Po wybuchu wojny  
trafił do Rumunii, potem do Palestyny, a jako korespondent wojenny był pod Monte Cassino.  
Później osiadł w Stanach Zjednoczonych, ostatecznie do Polski wrócił w 1958 roku. Jak zaw-  
sze kontrowersyjny i niepokorny, miał potężne nieprzyjemności za współpracę z zachodnimi  
rozgłościami.

Napisał mnóstwo artykułów, broszur, książek. Już w czasie wojny ukazały się *Te pierw-  
sze walki – według opowiadania por. Jerzego Lewandowicza* (Bukareszt 1940), *Z generałem  
Sosnkowskim* (dzieje X Dywizji) (Bukareszt 1940), *De profundis* (Tel Awiw 1943), *Dzieje  
rodziny Korzeniowskich* (1944). Na emigracji powstały: *Bitwa o Monte Cassino* (1945-1947),  
*Kundlizm* (1947), *Wrzesień żagwiący* (1947), *Klub trzeciego miejsca* (1949), *Ziele na krater-  
rze* (1951), *Tworzywo* (1954), *Droga do Urzędowa* (1955). Po powrocie do kraju: *Hubalczycy*  
(1959), *Westerplatte* (1959), *Tędy i owędy* (1961), *Walczący gryf* (1964), *Prosto od krowy*  
(1965), *Zupa na gwoździu* (1967), trylogia reporterska *W ślady Kolumba* – część I *Atlantyk-  
Pacyfik* (1967), część II *Królik i oceany* (1968), część III *W pępku Ameryki* (1969), *Od  
Stołpców po Kair* (1971), *Karafka La Fontaine'a* (1973), *Wojna i pióro* (1974) – to tylko  
główne pozycje. Istotnie, siły miał niespożyte.

Są to bardzo różne książki. Wiele z nich wywodzi się z pasji krytycznej, z potrzeby pięt-  
nowania i poprawiania – tak jest ze słynnym i przesadzonym *Kundlizmem*. Przesadzonym, bo  
choć bezinteresowna zawiść, czyli kundlizm, podobnie jak niedowład działania – równie  
słynne „chciejstwo”, są rzeczywiste, to jednak trudno uważać je – mimo wszystko – za filary  
narodowego charakteru. Ale Wańkowicz zagalopowywał się zawsze. Co prawda, to jeden z  
elementów powodzenia jego książek, powodzenia niebywałego, a wywodzącego się po-  
 pierwsze ze stylu, kapitalnego, obrazowego, gawędziarskiego. Po wtóre, z tematu, zawsze  
aktualnego, zawsze polskiego, doraźnego. Bo nie są to, niestety, jakieś otchłanne głębie du-

chowe, ważne dla całej ludzkości, ale myślenie przystępne, wartkie, dopuszczające czytelnika do łatwej komitywy. Wielkie znaczenie ma także umiejętna konstrukcja narratora, tak na pozór otwartego, wszechkochającego, szczodrego. Wańkowicz w istocie był, zdaje się, zupełnie inny – ale trudno mi wyrokować, rozmawiałem z nim zaledwie parę razy i nie poczułem się przesadnie zbudowany.

Wielkim reportażem jest *Monte Cassino*, publikowane w kilku różnie okrojonych wersjach (ostatnia ukazała się w 1989). Lawina krótkich scenek, popartych rzeczywistością, własną obserwacją, to igrających dowcipem, to znów patetycznych. Jest tu przecież ta sama nuta romantyczna, która tak mocno zabrzmiała w wojennej twórczości Pruszyńskiego. I która pobrzmiewa w innych wojnie poświęconych utworach – relacjach Wańkowicza – o Wrześniu, o Westerplatte, o Hubalczykach. Są to, zauważmy, przede wszystkim szczytne klęski (podobnie jak *Monte Cassino* było klęską polityczną). Oczywiście, takie klęski prędzej czy później owocują w przyszłości, ale na dziś była to raczej tematyka smętna. Tematy wojenne i sprzężone z nimi losy Polaków zajmują chyba najwięcej miejsca, ale nie wyczerpują wszystkich zagadnień.

Z pasji reporterskiej narodziła się trylogia o Ameryce, którą Wańkowicz określił jako „cykl powieściowy”. Po prawdzie, to nieco trudno ściśle określić, z jakim właściwie gatunkiem mamy do czynienia. Fikcja fabularna wciska się niepostrzeżenie w autobiografię, w relację, w reportaż. Z drugiej strony, nie są to klasyczne powieści – ku strapieniu Wańkowicza i wielkiemu szczęściu samych książek. Bo czytelnik ceni dzisiaj najwyżej właśnie gatunki pośrednie, bliższe różnorodnej literaturze faktu niż fikcji powieściowej. Ale i dziennikarze, i krytycy, i eseści tęsknią właśnie do powieści! Podobnie jak kiedyś ukoronowaniem twórczości kompozytorskiej była opera. Wańkowicz nie oparł się tej regule.

Można więc i jako powieść traktować *Ziele na kraterze*, książkę najczęściej wznawianą i najchętniej czytaną. Są to wspomnienia z życia rodziny Wańkowicza. Wiemy, jak wspaniale udały mu się wspomnienia z młodości – *Szczeniące lata*. *Ziele* może im nie dorównuje, ale jest znacznie rozleglejsze i ma w sobie tyleż samo domowego ciepła – co skądinąd sprawiało, że porównywano je z *Panem Tadeuszem*. Wulkan co jakiś czas wybucha, ale ziele trzyma się życia. Książka zaczyna się od urodzin córki Krystyny, a kończy się jej śmiercią w powstaniu warszawskim. Ale rodzi się wnuczka... Rodzina to dla Wańkowicza ciepło, dom – oaza spokoju, normalny czas. Poza tym, to także książka o powodzeniu życiowym, a o tym zawsze się chętnie czyta, jeśli tylko autor umie to niedrażniąco opowiedzieć. Wańkowicz umiał.

To, co o nim opowiadano, brzmiało mniej przyjaźnie i mniej zachęcająco. Rzecz dotyczyła nadużyć na niekorzyść pisarzy publikujących w wańkowiczowskim przedwojennym „Roju”. Po latach Wańkowicz wytoczył w tej sprawie proces Strumphowi-Wojtkiewiczowi i wygrał, bo pozwany nie miał świadków. Ja słyszałem o tym od Iwaszkiewicza, który (przy świadku) opowiadał, jak to Pola Gojawiczyńska przeszła się po księgarniach i sprawdziła, jaki naprawdę był nakład jej powieści. Okazało się, że większy niż opiewała umowa i, naturalnie, honorarium. Gojawiczyńska chciała wydawcy wytoczyć proces i Wańkowicz bardzo się nabiedził, by ją od tego odwieść. Tyle Iwaszkiewicz.

Ale pisarz był z Wańkowicza znakomity... A jego zamiłowanie do pieniactwa było iście staropolskie, jak Daniela Passenta (ja bym na miejscu jednego czy drugiego machnął ręką, nawet mając rację), o którym zresztą coś takiego pisać strach, bo a nuż do sądu poda, by dowieść, że o lubość do procesowania został tylko pomówiony?

Cyklem powieściowym miała być także trylogia: *Tworzywo*, *Droga do Urzędowa* i *Jak daleko* – ta część trzecia nie została nigdy skończona. *Tworzywo* to kanadyjskie dzieje pięciu polskich emigrantów, wywodzących się z różnych kręgów społeczeństwa, ale przez kanadyjską perspektywę ogląda się po prostu samą Polskę i jej dzieje od początku stulecia. Jest to z pewnością jedna z lepszych i poczytniejszych zarazem książek Wańkowicza. Jej kontynuacją, ale chyba mniej konsekwentną jest *Droga do Urzędowa*, obejmująca okres wojenny.

I tu, i w innych książkach, przy innych okazjach Wańkowicz starał się niewątpliwie o narkreślenie syntezy polskiego losu w naszym stuleciu, co wiązało się także z nieustannymi rozważaniami o charakterze narodowym i narodowych nieszczęściach. I znowu, jak zwykle w takich wypadkach, nie mogę podjąć właściwej wańkowiczowskiej problematyki bez wdawania się w dyskusję. Jego podstawowe rozróżnienie dwóch tradycji, szlacheckiej i chłopskiej, uważam za mylne, gdyż ta pierwsza jest tak ekspansywna i upragniona zarazem, że niemal bez reszty pochłoneła drugą. O ile w ogóle istnienie tej drugiej nie było pozorem wymuszonym przez okoliczności, czytaj: przez chłopską biedę. Zwyciężyło szlacheckie „pan”, a nie chłopskie „wy” – na złe czy na dobre. Trudno mi także podjąć problematykę formowania dzieła literackiego, czemu poświęcona jest *Karałka La Fontaine’a*, i wiele innych spraw bliższych Wańkowiczowi.

W ostatnich latach życia był traktowany jak wyrocznia. To niewątpliwa przesada. Mieczysław Kurzyński w swojej książce (*O Melchiorze Wańkowiczu – nie wszystko*, 1975) zauważa, że Wańkowicz był przede wszystkim bystrym obserwatorem, a nie syntetykiem. Dodałbym, że synteza zatrzymuje się u niego gdzieś niezbyt daleko, i dlatego na przykład koncepcja „międzyepoki”, w której rzekomo żyjemy, jest tyle słuszna, co i względna (zawsze wszyscy ludzie uważali, że żyją w „międzyepoce” i właściwie mieli rację; historia nie jest stanem, ale stawaniem się). Z pewnością Wańkowicz wykonał wielką pracę – i ta praca została doceniona.

Znacznie surowiej bywa oceniana twórczość innego pisarza z pogranicza literatury, Stanisława Strumpha-Wojtkiewicza (1898-1986), zresztą autora o niepomiernie mniejszych zasługach literackich, choć przecież także nie do pogardzenia ani zlekceważenia. Wojtkiewicz debiutował jako poeta, i to w szkolnym piśmie w Baku, później pracował w prasie i w pobliżu wojska (był sekretarzem „Polski Zbrojnej” tuż przed wojną). W czasie wojny był oficerem prasowym Sił Zbrojnych na Zachodzie. W 1945 wrócił do kraju. Napisał wiele książek z pogranicza powieści, reportażu, autobiografii. Głównie interesowały go dwa tematy: powstanie styczniowe i druga wojna światowa. Wydał m. in.: *Sikorski i jego żołnierze* (1946), *Gwiazda Władysława Sikorskiego* (1946), *Generał Komuny* (1950), *Sierakowski* (1954), *W służbie wolności. Opowiadania z lat 1861-1863* (1956), *Traugutt* (1957), *Agent nr 1* (1959), *Patrol na Biskaju* (1959), *Wbrew rozkazowi. Wspomnienia oficera prasowego 1939-1945* (1959), *Burzliwe życie Teodora Tomasza Jeża* (1961), *Tiergarten* (1966), *Siła złego* (1971), *Rozpoznanie* (1979). I wiele innych książek. Tłumaczył też Erenburga, Gorkiego, Gierasimowa, Niekrasowa.

Był znakomitym kierowcą, świetnym gawędziarzem, doskonałym kompanem przy stole – alkohol pity systematycznie i w znacznych ilościach zachował mu zdrowie i dobrą kondycję umysłową do osiemdziesiątego ósmego roku życia. Trudno go było nie lubić. Jego książki miały ciekawą i zaskakującą fabułę. Inna sprawa, że wyznawał tzw. spiskową teorię dziejów i wszędzie dopatrywał się szpiegów, zamachów, intryg itd. Niekiedy miał rację bezsporną – jak w sprawie hamowanego rozwoju motoryzacji przed wojną, ale zdarzało się, że dawał się ponieść fantazji i stawał się łatwym łupem krytyków. Nie dość, że przegrał z Wańkowiczem proces (z braku świadków), to jeszcze stał się jego łupem prasowym – i tu Wańkowicz istotnie celnie go zmaltretował. Podobnie rację miał Olgierd Terlecki, który przez całe lata systematycznie sprowadzał Strumpha-Wojtkiewicza na ziemię, a to w sprawie okoliczności śmierci generała Sikorskiego. Mimo takich czy innych błędów i wymysłów, Wojtkiewicz był jednym z najpoczytniejszych autorów, zajmujących się historią i wojskowością Polski.

Z Michałem Choromańskim (1904-1972) rozstaliśmy się w tomie pierwszym *Agonii*. Ten przybysz z Rosji, krewny Szymanowskiego i Iwaszkiewicza, zrobił błyskawiczną karierę literacką, przede wszystkim jako autor *Zazdrości i medycyny* (1933). Ledwie zdążył wrócić z dalekiej podróży, wybuchła wojna. W roku 1940 przez Włochy i Francję dotarł do Anglii, stąd zaś do Brazylii, do Kurytyby, a wreszcie do Kanady. Przez cały ten czas nie pisał. Dopie-

ro po powrocie do Polski, w 1958 roku, zaczął niebywały wyścig z czasem. Zwiąawszy się z Wydawnictwem Poznańskim (choć mieszkał w Warszawie), w opętającym tempie napisał kilkanaście książek, przeważnie bardzo grubych. Ale nie był zadowolony ani z siebie, ani z krytyki – dawnego sukcesu powtórzyć już nie potrafił, powracając ustawicznie do tych samych wątków. Zdziwaczały, zamknięty w sobie, unikający ludzi, zmarł w sanatorium dla nerwowo chorych w okolicznościach dość dziwacznych – podobno nie mógł znaleźć nitrogliceryny, którą – jak się okazało – miał w kieszeni. Wkrótce po nim zmarła jego żona Ruth Sorel, której dedykował wiele książek. Na brak czytelników nie mógł się skarżyć – zawsze ich miał.

Michał Choromański napisał i wydał po wojnie: opowiadania *Kobieta i mężczyzna* (1958), powieść *Prolegomena do wszelkich nauk hermetycznych* (1958), dramaty *Cztery sztuki bez znaczenia* (1959), opowiadania *Warianty* (1964), powieści: *Dygresje na temat kałozy* (1966), *Schodami w górę, schodami w dół* (1967), *Makumba, czyli Drzewo gadające* (1968), *W rzecz wstąpić* (1968), *Słowacki wysp tropikalnych* (1969), *Kotły beethovenowskie* (1970), *Różowe krowy i szare scandale* (1970), *Głownictwo, moglitwa i praktykarze* (1971), anegdotyczne wspomnienia przedwojenne *Memuary* (1976), opowiadania *Polowanie na Freuda* (1976) i wreszcie powieść *Miłosny atlas anatomiczny* (pełne wydanie 1987).

Jeśli realizm miał opisywać typowe postaci w typowych sytuacjach, a egzystencjalizm nietypowe postaci w sytuacjach nietypowych, to o Choromańskim rzec by można, że przedstawiał postaci dziwaczne w sytuacjach nie mniej dziwacznych. Już same tytuły książek są zastanawiające, a ich zawartość od tytułów nie odbiega. Dziwią też nazwiska – podporucznik Plusk Zawiły, Nitonicki, mamcia Bzuka, wujaszek Dz-dz, dr Nacomawczyn – i tak dalej. Bohaterowie zachowują się dość osobliwie, a przy tym bez wyjątku trafiają w jakiś iście piekielny splot zawiloci życiowych. Do tego dochodzi komentarz narratora, równie nieoczekiwany. Upodobanie do ekscentryczności nie było obce Choromańskiemu już przed wojną, teraz jednak wyraźnie potężnieje. Niestety, znamy ten proces: autor chce czytelnika zdobyć i zadziwić, ale brnie w kabałę bez wyjścia. Krytyka nie opuściła wprawdzie Choromańskiego, lecz pisała o nim nie bez zakłopotania.

W jego powojennych książkach sytuacje i postaci powtarzają się. Jest to z reguły jakieś śledztwo, niekoniecznie oficjalne, a w ogóle to wszyscy śledzą i podglądają wszystkich. Rzecz dzieje się najczęściej albo w Zakopanem, albo w Ameryce Południowej, wśród emigrantów, albo w małym miasteczku, wielkopolskim bądź pomorskim. Nigdy chyba po wojnie, najczęściej tuż przed wojną lub podczas niej. Stałym także elementem jest obecność niemieckich szpiegów. Narrator często kuleje i choruje, tak właśnie jak Choromański, autoportret jest oczywisty, podobnie jak sylwetki żony i innych bliskich. A więc artyści, szpiegdy i dziwacy. Do tego magia, zaklęcia i czary, niekonwencjonalna medycyna, trucizny. Doprawdy, sporo tych osobliwości.

Ale to wszystko zanadto serio nie jest. I nie jest także konsekwentne – kto chciałby Choromańskiego książkę traktować jak kryminał, srodze się zawiedzie – na ogół nie dowiadujemy się wcale, kto był mordercą, nie wiemy też, jakimi motywami się kierował. Bardzo często autor igra z nami – każe nam iść za jakimś wątkiem, który jednak nic nie znaczy i ostatecznie się rozwiewa. A więc ogromna ekspozycja, już bardziej skromna akcja i bardzo niedostateczne rozwiązanie. Choromański zamiast mówienia wprost wybiera aluzję, czasem czytelną, czasem nie. Bez ustanku też kpi i ironizuje. W rezultacie wszystko staje się groteską, w której nic już nie dzieje się serio. Dlatego też i groza nie jest groźna, i morderstwo nie krwawe, i śmierć nie przejmująca. Owszem, broni się to jako satyra, ale cóż nas właściwie obchodzi satyra na ludzi i sprawy sprzed pół wieku? Można to i tak pojmować, że cały świat jest dla Choromańskiego niewiele wart, a wszystko jest podejrzone i nie bardzo serio.

Otóż sam Choromański uważał się za kontynuatora powieści przedwojennej, więc teraz wszystko by się zgadzało, bo tego rodzaju wnioski pasowałyby raczej do owego okresu. Domeną szczególnie przez pisarza penetrowaną jest psychologia. I jeśli świat jest labiryntem, to

nie takim jak u Parnickiego czy Lema, ale labiryntem psychologicznym. Groteska też jakby starsza niż, powiedzmy, Żukrowskiego *Piórkiem flaminga*. Czytelnikom to zresztą nie przeszkadzało i, trzeba to rzec, ma Choromański swoich zdecydowanych wyznawców. Być może jednak najbardziej bronią się opowiadania, oparte na jednym tylko paradoksie i dzięki temu precyzyjne i nie rozmywające się w powtórzeniach. Rzadko wystawiane dramaty Choromańskiego także były przyjmowane z aplauzem z racji swojej mroźkowości.

Proza nie zawsze jest na jednym poziomie. Zaczęło się od *Prolegomeny do wszelkich nauk hermetycznych*, książki niewielkiej, wprowadzającej temat egzotyczny, najpełniej później rozwinięty w *Głownictwie*. Mamy więc polskich emigrantów, mamy niemiecką kolumnę, polski konsul, tajemnicze zagrożenie itd. Wszystko odpowiednio zagmatwane.

Wyżej ceniona jest *Makumba, czyli Drzewo gadające*, choć to także egzotyczno-emigracyjny temat, z silnym akcentem położonym na czary, oczywiście półserio. Natomiast wiele wydziwiań było wokół *Dygresji na temat kaloszy*, gdzie się zaszczuwa na emigracji owego porucznika Pluska Zawilego, co ma być satyrą na wojsko przedwojenne.

*Schodami w górę, schodami w dół* to rzecz rozleglejsza i poważniejsza. To historia z kolei zakopiańska. Jest tu chory malarz Nitonicki, jest coś w rodzaju kasprowiczej Harendy z gruzińską wdową Draginią, tajemniczy architekt Ordega, wdowa samobójczyni i cały zakopiański świat. Plotki i ploteczki, sierpień '39, niemieccy szpiedzy, dość mętne zakończenie, ale w sumie rzecz interesująca. Uważa się ją za jedną z najlepszych książek Choromańskiego.

*W rzecz wstąpić* to pierwszy przejaw choromańskiej gigantomanii – a pamiętajmy, że wraz z liczbą stron wzrastają komplikacje i niejasność. Tu mamy i takie struktury jak pamiętnik w pamiętniku, czyli szuflada w szufladzie. Akcja biegnie od Mławy przez Amerykę Południową do Zakopanego – z wszelkimi dewiacjami, dywagacjami i stosowną porcją seksu – od zawodowej bajzelmamy po pensjonarkę-ekshibicjonistkę. A motyw przewodni to przeobrażenie duchowe urzędnika MSZetu, Dominika Mniejsza, który nagle postanowił czynić wyłącznie dobro, co naturalnie obrodziło natychmiast mnóstwem absurdów. Czas – przed wybuchem wojny i trochę po.

*Słowacki wysp tropikalnych* ma lepszą trasę. Ów wyspowo-tropikalny Słowacki to po prostu Conrad, do którego mnóstwo tu odniesień. Akcja znowu szpiegowsko-kryminalno-detektywistyczna, dzieje się przed wojną, ale dla odmiany w Warszawie. Leon Wachicki, syn legionowej działaczki, otrzymuje dość dziwne zlecenie rozkochania w sobie pewnej pani. Jego matka umiera w szczególnych okolicznościach. W grę wchodzi obcy wywiad i nacjonałści ukraińscy, a wszystko jakoś łączy się ze wszystkim. Mimo że znowu z motywacją poszczególnych wydarzeń bywa krucho, książka potrafi utrzymać czytelnika w napięciu.

Podobnie dobrze się wyrażano o kolejnym opasłym tomie – *Kotłach beethovenowskich*. Rzecz dzieje się w niewielkim miasteczku, narratorem jest młody pianista, a trupem tym razem jego ciotka Mela. Jak zresztą we wszystkich utworach Choromańskiego, motywy medyczno-szpitalne, ale celem zaostrzonego pióra autora są teraz stosunki małomiasteczkowe – skądinąd dziwne, że tak rasowy plotkarz ustawicznie szydzi sobie z innych plotkarzy. Znowu okres przedwojenny, znowu afera szpiegowska, rozpętana przez przybysza barona Stona, w którą wplątuje się fajtlapowaty bohater – pianista Jan Filomadzki. Beethoven odgrywa tu podobną rolę jak w poprzedniej książce Conrad – wedle ich dzieł stylizuje się rzeczywistość. Tutaj książka jest niby skomponowana wedle struktury IX Symfonii.

W *Różowych krowach i szarych scandaliach* wracamy w lata trzydzieste do takiegoż samego miasteczka w Polsce zachodnio-północnej. Tym razem oglądamy je oczami przybysza z Kanady Steve'a Shawa, czyli bardziej swojsko Stefana Szczawia. Szczaw-Shaw przybywa tu po żonę-rodaczkę, a wplątuje się w małomiasteczkowe intrygi. Nie brak tu przybyszów z kresów – Szczęsny Dzierżbiłowicz i Leopold Amancjusz Baschalis (przybysze z Kanady i kresów bardziej pasują do współczesności niż do lat trzydziestych; może to i kamuflaż, ale po co?), Maciuś Krwawiński, pani Wypłosz, trup i wdowa po trupie etc. Prowincjonalne intrygi i perypetie, nikt nic nie wie, nic się nie wyjaśnia.

Podsumowaniem nurtu emigracyjnego jest dwutomowe dzieło *Głownictwo, moglitwa i praktykarze*. Moglitwa to obrzęd magiczny, głownictwo – choroba umysłowa, a praktykarze – to magicy-czarnoksiężnicy-makubeirzy. Rzecz się dzieje w małym miasteczku południowo-amerykańskim, w polskim konsulacie, do którego w czasie wojny przybywają uciekinierzy, literacko-artystyczna para Szetyckich. Tutaj podlegają tajemniczym groźbom i prześladowaniom, uciekają w końcu, ale pan Szetycki zostaje jednak trafiony magicznym grotem, od którego popada w straszliwą bezsenność. Od magicznego wyroku ginie z kolei wicekonsul, przy czym się okazuje, że i on, i konsul to masoni. I znów narrator prowadzi śledztwo. Oprócz tego cała galeria postaci osobliwych, walka wywiadów – alianckiego i niemieckiego, rozgrywki lokalne, zamachy, magia.

Jak wynikało z różnych relacji, Choromańscy rzeczywiście byli przekonani, że ktoś wciąż na nich dybie, bo przecież to znowu ich portret własny, a miasteczko to ponownie Kurytyba, która tak źle się zapisała w ich pamięci. Rozbawiła mnie tu pewna okoliczność, która pewnie bardzo by się Choromańskiemu spodobała. Otóż w owym czasie wicekonsulem polskim w Kurytybie był mój wuj Bohdan Lepecki, brat Mieczysława Lepeckiego, adiutanta Piłsudskiego i literata, także autor książek podróżniczych, który zresztą zmarł znacznie później, już po wojnie. Otóż odziedziczyłem po nim maszynę do pisania – i właśnie na niej w tej chwili o Choromańskim piszę. A więc rzeczywistość trzeciego już stopnia...

Podsumowaniem wątków małomiasteczkowego i szpiegowskiego jest *Miłosny atlas anatomiczny*. Była z tą wydaną już po śmierci autora książką zabawna historia – Wydawnictwo Poznańskie, nieco zgorszzone, oczyściło ją ze szczegółów grzesznych i nieprzystojnych, zwracając się z tego piórem dziewiczo wstydliwego Wacka Sadkowskiego. Zrobił się szum i w następnym wydaniu rzecz naprawiono. No i okazało się, że nic tam nie było takiego, choć prawdę powiedziawszy, książka chwilami naprawdę grzeszy wątpliwym gustem.

A więc znowu miasteczko na zachodzie, znów przedwojnie i wybuch wojny. Tym razem pseudoarystokratyczna rodzina Łajbów. Intrygi, nieodzowna kolumna niemiecka, szpieg pokarany, wrześniowa ucieczka i przewrotne fragmenty militarne.

Wszystkie te książki łączy ogromne powinowactwo. Podobne postaci, intrygi, miejsca akcji. Niezbyt podniecająca erotyka. Brak klarownego rozwiązania. W istocie jedna wielka, pełna nie kończących się dygresji gawęda, olbrzymi zbiór pomysłów i zaskakujących konceptów, z którymi autor nie bardzo wie, co zrobić. Nie zawsze wiedziała, jak na to reagować i krytyka – wszystkiego zresztą nie czytałem. Zastanowiła mnie uwaga Barbary Kmicic o secesyjności tej prozy, a oczarował desperacki koncept Wacława Tkaczuka, dopatrującego się gdzieś tam „kolejnej wersji Zeitbloma, pozbawionego jednak swojego Leverkühna”. To trochę tak, jakby w anioła stróża wierzył ateista.

Zdaje się, że Choromański jednak w coś się zawikłał. Wirtuozeria literacka, niebываła pomysłowość, cóż, że karmiła się co nieco Witkacym i Gombrowiczem, lekkość pióra – i w sumie jakiś taki niewyraźny, dwuznaczny wynik. Może trzeba było chwilami być bardziej serio? Czegoś było za mało, czegoś może za wiele, i tak wprawdzie przełożono jego książki na kilkadziesiąt języków, lecz jego samego nie zdołało to złudzić. Należał przecież do „oficerów największej nadziei”; ale ich los nawet największy zawsze jeszcze wydaje się zbyt mały.

W jakimś stopniu przypomina Choromańskiego Stefan Themerson (1910), przynajmniej jeśli idzie o niezwykłość pomysłów. Autor zaczął od fizyki i architektury, przerzucił się potem na poezję, kręcił filmy eksperymentalne, współpracując ze swoją żoną, plastyczką Franciszką Themerson. Pisał też książeczki dla dzieci (słynny *Pan Tom buduje dom*, a z innej o podróży jaj dylizansem do dziś pamiętam: „Rozsypane leci pierze, wylęglyśmy się w kurierze”), w ogóle był bardzo czynny. Wojna zastała go we Francji, po jej zakończeniu zamieszkał w Anglii. Znów czynił wiele, założył oficynę wydawniczą Gaverbochus, którą prowadził do 1979 roku, uprawiał plastykę (w warszawskiej „Zachęcie” w 1981 i w 1982 w Łodzi – wielka wystawa obojga Themersonów), komponował i pisał, głównie powieści i opowiadania,

czasem po polsku, czasem po angielsku. Jest także autorem „oper semantycznej” (muzyki i tekstu), wystawionej przez teatr „Wybrzeże” w 1982: *Święty Franciszek i wilk z Gubbie, albo Kotlety świętego Franciszka*.

W Polsce ukazały się: *Wykład profesora Mmaa* (1958), z przedmową Bertranda Russela, *Kardynał Pölätüo* (1971), przełożony przez Ewę Krasieńską z angielskiego *Tom Harris* (1975) i *Generał Piesc i inne opowiadania* (1980).

Największe różnice zdań wywołała rzecz pierwsza, od najwyższych pochwał do gwałtownych napaści. Należę raczej do jej zwolenników i sięgam po nią od czasu do czasu. Jest to historia zantropomorfizowanego kopca termitów z satyrycznymi odpowiednikami ludzkich spraw i wydarzeń. Termyty, uwięziwszy człowieka, usiłują nim kierować, a w końcu giną w wysadzonej termitierze.

*Kardynał* to rzecz nie mniej szalona. Tytułowy kardynał Pölätüo o to rzekomo naturalny ojciec Apollinaire’a, noszonego w łonie matki przez, bagatela, lat osiemnaście. Przeciwnie owemu synowi pisze kardynał swoje wspomnienia, a zarazem wprowadzenie do systemu filozoficznego.

*Tom Harris* to trochę niejasne śledztwo, rozpoczęte w roku 1918 i trwające ćwierć stulecia, z dziwnymi sytuacjami i konceptami. Opowiadania są nie mniej paradoksalne. *Generał Piesc*, wedle angielskiego zapisu, to Pięść po prostu, polski smutny Faust-emigrant. Wszędzie powtarzają się pewne motywy – na przykład mężczyzny opuszczonego przez żonę (wiadomo tedy, o czym bezskutecznie Themerson marzy tak długo) i pewne niezwykle upodobania intelektualne. Proza zdecydowanie konceptualna, określano ją też jako filozoficzno-fantastyczną – ale w ogólności Themerson zdaje się przypominać pewnego bohatera-eksperymentatora z mrozkowskiego *Tanga*. Dodajmy, że jego książki zdobiła uroczymi rysunkami Franciszka Themerson.

Plotka głosi, że pewien młody nacjonalista polski zgłosił się do niemieckich władz okupacyjnych Warszawy i, nie ukrywając zresztą swojej wrogości narodowej, oświadczył, że chce zobaczyć führera, którego podziwia. Zaskoczeni Niemcy, z wprawą zrewidowawszy młodego człowieka, zrobili mu miejsce na Dworcu Głównym, a gdy przyjechał Hitler, powiedziano mu: „Oto polski młody faszysta”. Błady wzrok führera skrzyżował się na chwilę ze spojrzeniem Alfreda Łaszowskiego.

Opowiastka piękna, lecz niestety, nie ma w niej słowa prawdy. Polscy faszyci (?) w tym czasie walczyli, ginęli, konspirowali i ukrywali się, tak samo jak reszta narodu, i Łaszowski także nic innego nie czynił. Ale legenda Łaszowskiego, legenda od lat szeptana, była już tak potężna, że nieprawdziwe, prawdziwe i prawdopodobne pomieszało się w niej, poplątało. Przed wojną był rzeczywiście głośnym członkiem „Falangi” Bolesława Piaseckiego. Kazimierz Koźniewski w czterdzieści jeden lat po wojnie tak o nim pisał („Polityka” nr 47 z 1986 r.):

„Zaczynał skromnie, jako uczeń pana od polskiego, Juliana Przybosa, w gimnazjum w Cieszynie i współpracownik (...) osławionej Kuźni Młodych. Karierę uniwersytecko-polityczną zaczął od młodzieży socjalistyczno-komunistycznej i na UW długo powtarzano legendę (...), jak to młodzi z lewicy nieśli go na rękach (...), a on z tej ruchomej trybuny przemawiał przeciw nacierającym endekom i obwiepolakom. A zawsze przemawiał świetnie, z ferworem i – jak trzeba – demagogicznie. Nigdy się nie bał mówić do tłumów, ani do nikogo w ogóle. Potem nagle ruszył do Damaszku i z Szawła zrobił się Paweł, z lewicy przefrunął na prawicę, wstąpił do ONR-u i Falangi, stał się zaciekle wrogiem liberałów, masonów, Żydów, pedałów (...), szalał, jak przystało na dwudziestolatka, na pięknego dwudziestoletniego, gdyż pięknym chłopcem był zawsze. To on krzyczał w „Prosto z mostu”, że do literatury polskiej wchodzi się przodem przez Migową, a od tyłu przez Iwaskiewicza. On sam wchodził do tej literatury przez Zofię Nałkowską i przez Karola Irzykowskiego. I to był właśnie ów



najbardziej zagadkowy, ale i denerwujący styl życia i samego Łaszowskiego, i Zofii Nałkowskiej, i Irzykowskiego, i Kadena, i tylu innych, którzy utrzymywali z młodym studentem bardzo bliskie – Nałkowska i Irzykowski nawet szalenie bliskie – stosunki towarzyskie, mimo iż młody Alfred gryzł i kopał. Z pianą na ustach atakował Jana Parandowskiego...”

I tak dalej. Zauważmy mimochodem, że Koźniewski pisze nie tylko z łezką w oku, ale i odrobiną zawiści.

Alfred Łaszowski (1914) istotnie był uczniem Przybosia, a na studiach filozoficznych w Warszawie – Tatarkiewiczza, istotnie miał w środowisku artystycznym niezwykle opiekunów i kolegów. Publikuje wcześniej w wielu pismach – od „Linii” poczynając. Jest już wtedy cenionym korespondentem zagranicznym. Osławiony antysemityzm nie przeszkadza mu jakoś w adorowaniu Leśmiana. A w czasie wojny zabiera się do prozy. Ale prawicowa przeszłość sprawia, że do pięćdziesiątego szóstego roku chodzi w peruce i ze sztuczną brodą, a w każdym razie publikuje mało i pod pseudonimami (Alfred Gerad, Edward Jastrząb, Jan Sowa – przyp. red.). Powieści ukazują się dopiero po 1956, nie wszystkie i nie w kolejności powstawania. Jest też wysoce prawdopodobne, że najciekawsza się dotąd nie ukazała. Opublikowano w prasie jedynie fragment książki *Kwatera główna*, przedstawiający bitwę zimową niemiecko-radziecką, jak i niezwykle portret Hitlera (który zresztą, prawdopodobnie, wywołał cytowaną wyżej plotkę). Jest to proza najwyższej jakości, a twierdzą tak dosłownie wszyscy, którzy ją czytali. W czasie wojny powstają jeszcze książki związane z wojną i okupacją: *Psy gończe*, *Czarny sezon*, *Widzowie świata*. Tylko pierwsza doczekała się publikacji i względnego rozgłosu, gdyż o Łaszowskim długo jeszcze bano się nawet wspominać (wolny od lęku był tylko PAX, w którym to wydawnictwie ukazały się wszystkie jego książki). A jeżeli już, to półgębkiem i raczej o mistyce i astrologii, gdyż i tym się zajmował. On sam natomiast publikował powieści o księżach i świętych pańskich, prywatnie bardziej pasjonując się demonologią.

Opublikował: *W przeddzień wyznania. Powieść historyczna* (1956), *Noc mediolańska* (1958) – powieść historyczna, *Psy gończe* (1960), *Proboszcz z St. Galo* (1961), *Sprzedaż zdarzeń* (1970). Część uprawianej przede wszystkim publicystyki ukazała się w zbiorach *Oko w oko z młodością* (1963) i *Literatura i styl życia* (1985).

*Psy gończe* powstały w 1942 roku i są uważane za rozliczenie z faszyzmem, bądź też wprost z gestapo, co mi się wydaje zbyt dosłowne. Fabułka jest dość mizerna – szef policji Graal stara się zdobyć duszę Raspa, którego ukochaną kiedyś przez lata zastrzelił. Ostatecznie Rasp Graala zabija. Ale nie to jest istotne; najważniejsza jest policyjna wizja świata, jaką snuje i jakiej służy Graal... To przeogromna kartoteka, w której zapisano kontakty każdego człowieka, jego poczynania, drogi, którymi chadza. Każdy człowiek ma swój wykres, mapę, a Graal pragnie powiązać wszystko i ma pretensje do Boga, że nie wszystko jest wiadome. Tymczasem sam chce udoskonalić społeczeństwo, wydając „nakaz w sprawie poruszania się po stałych drogach”. Każdy miałby przypisane sobie sklepy, godziny, trasę spacerową... Nad tym wszystkim unosi się duch *Kolonii karnej* Kafki, tym intensywniejszy, że Graal właściwie sam prowokuje i wybiera swoją śmierć – wyrównanie rachunku. Książka, spisana w stylu ekspresjonizująco-nadrealistycznym, przypominającym Truchanowskiego, a trochę *Północ* Rogalskiego, czy, sięgając wcześniej, Schulza lub może *Szczury* Rudnickiego. Anonimowe miasto, nie ustające śledztwo przeciw ludziom i Bogu – opublikowana wreszcie po wielu latach książka wywarła duże wrażenie. A Irzykowski nie powiedziałby już o Łaszowskim, jak to zrobił wcześniej, że mu się pomylił totalizm z totalizatorem... Współcześni uważali, że to Łaszowskiego rozrachunek osobisty z totalną pokusą.

Z pewnością autobiograficzna jest książka następna, z dwóch części, odmiennie zatytułowanych złożona: *W przeddzień wyznania* i *Noc mediolańska*. Tutaj młody, bardzo obiecujący retor jest gwałtownie kuszony przez konkurujące ze sobą grupy i ideologie, przez kobiety,

przez sklerotycznych liderów. Rozpoznajemy autoportret pisarza, schyłkową atmosferę lat trzydziestych, satyryczną pasję autora. W końcu po gwałtownym sztormie i przełomie wewnętrznym mądry przywódca duchowy, pełniący jednak i władzę świecką, sprowadza go na łono właściwej frakcji Kościoła. I nad ostatnim dialogiem: „Widziałeś Go? – O, proszę, nie każ mi mówić. – Czyżbyś już pojał, czym jest? – Jest godzin milczenia...” – unosi się niepowtarzalna atmosfera westybulu z majestatycznym napisem *Gemma civitatis pax*.

Wszystko to jednak wymagało niejakiego kamuflażu. Nadarzyła się znakomita okazja. Otóż stowarzyszenie PAX odwoływało się do tradycji świętego Augustyna, podczas gdy Episkopat wolał raczej świętego Tomasza. (Najzupełniej późniejsze: „Norwid? Człowiek Kliszki”). Trzeba więc było godnie uczcić patrona, wydać nowe dzieło o nim. Łaszowski połączył więc swoją autobiografię z dziejami Augustyna, bo podobieństwo obu postaci aż biło w oczy. I można by mniemać, że profesor Tatarkiewicz kreśląc charakterystykę Augustyna miał przed oczami obiecujące łaszowskie półdiabły: „Koleje życia Augustyna były burzliwe, charakter niejednolity, namiętny i niepohamowany, umysł gwałtownie przerzucający się od stanowiska do stanowiska”. Dalej też się zgadza.

Łaszowski przeniósł więc wszystko do wieku IV i opisał początek swojej i Augustyna biografii, aż do słynnego przełomu „nocy mediolańskiej”. Ciekawe, że nieco wcześniej na brak owej „nocy” skarżył się w *Nieudanych rekolekcjach* Gałczyński. W języku epoki było to zdobycie „dojrzałości klasowej”, „przełomu ideowego”. Rzecz dzieje się więc w Tagaście, Kartaginie, Rzymie, Mediolanie. Cała plejada postaci, kapłanki, astrologowie, westalki, donatyści, manichejczycy, biskupi, ukochana naszego retora – Klaudia i jego matka, dość paskudna megiera, dewotka Monika. Wszyscy na ogół starają się obrzydzić życie Augustynowi, zaszczuwając jego dziewczynę – Klaudię. Właściwie jest to kilka bardzo rozbudowanych scen-tematów-procesu, wspólnego wesela barbarzyńców z Rzymiankami (Malewska się przypomina), zaćmienia (*vide* Prus) etc. – aż po trochę dziwną scenę nawrócenia.

Nie było to takie łatwe, zważywszy, że sam Augustyn to i owo napisał, a między innymi *Wyznania*. Łaszowski znowu ekspresjonizuje (mniej już trochę), bywa kadenowaty, stosuje gwałtowne skoki, chętniej posługuje się wizją niż rozumowaniem. Po prawdzie to jest tu nieco chaosu. Ale w sumie książka ciekawa, zwłaszcza gdy się rozszyfruje jej prawdziwy sens i bohaterów.

A potem ukazał się *Proboszcz z St. Galo*, należący do modnego w swoim czasie nurtu, który można by nazwać parafialnym (tu w jednym worku i Andrzejewski, i Bernanos, i Mauriac, i Grochowiak). Bohaterem jest ksiądz i rzeźbiarz w jednej osobie, usiłujący wyrzucić ze swojego kościoła artystyczną tandetę i przez to narażający się parafianom. Spotka go los szczytny i niewesoły – spadnie ze skały, którą przekuwał na wielki posąg Chrystusa. Powieść spotkały cięgi wielorakie, ale przyznam, że sam czytałem ją z dużą przyjemnością, gdyż jest przedziwnie, jak na Łaszowskiego, jasna i klarowna, a bohater – Łaszowski w sutannowym przebraniu – zupełnie sympatyczny.

Większą reakcję wywołała powieść *Sprzedaj zdarzeń*, rzecz dość potężnie zwariowana. W przededniu konfliktu światowego bohater w jakimś zachodnim kraju w pobliżu Szwajcarii terminuje w redakcji i płacze się w sprawy dość niejasnej fundacji czy też stowarzyszenia (można po szalonym namyśle doszukać się klucza). Przez ręce naszego bohatera płyną informacje i książka staje się wręcz powieścią szufladkową. Przeplatają się więc w niej traktat teologiczny, relacja z podziemnego, atomowego bunkra, opowieść byłego trzeciego męża jakiejś aktorki, lodowa apokalipsa i coś tam jeszcze. Akcja znowu nie tak bardzo ważna, istotny jest młyn informacyjny i konwulsje ginącego świata. Łaszowski zapewne nieco przesadził w lekceważeniu jakiegokolwiek prawdopodobieństwa, a mógł też darować sobie nadmiar publicystyki. Łapanie stu srok za ogon jest oczywiście zamierzone.

Największe znaczenie dla Łaszowskiego ma jednak działalność krytyczno-publicystyczna. Już przed wojną pragnął naprawiać świat, nie zrezygnował z tego i dzisiaj, ale odmienił swoje

wyobrażenia o zdrowiu i chorobie społecznej. Dzisiaj jest odrobinę mistykiem, odrobinę demologiem, powołuje się chętnie na Schopenhauera. Co ważne – byłoby to lat temu dwadzieścia niedzisiejsze, ale w obliczu obecnej odmiany czasu (*vide* choćby *Punkt zwrotny* Capry) stało się znowu aktualne. Ale o krytyce i publicystyce muszę pisać jak najkrócej, bo za każdym razem grozi mi wdanie się w dyskusję. Także i tutaj. Ale właściwie nie mam nic przeciwko temu, że Łaszowski chce zaszczerpić tłumom „wielki horyzont myślowy”, i ubolewa, że tłum woli telewizję. Nie wiem, czy tłum jako tłum kiedykolwiek takowe horyzonty miał i nie wiem też, czy mieć je powinien. Drogi do duchowości są wielorakie, być może jedną z nich jest właśnie niewiedza. Zresztą im Kowalski bardziej przyziemny, tym Łaszowski wznioślejszy – i zamiast mamrotać *odi, arceo etc.* cieszyć się trzeba, że jest kogo pouczać, wychowywać i ganić.

Łaszowski ma więc swoje fobie, upodobania i śmieszności (jak każdy z nas). Nie może się na przykład obyć bez motywu lodowców i zadków pawianich. Piękne także, gdy w swoich wspomnieniach sprzed pół wieku wkłada rozmówcom w usta dokładne, długie mowy, zupełnie jak Liwiusz czy dawni historycy. Ale, że zawsze był retorem, więc i to się uzasadnia. Z pewnością jest postacią niezmiernie kolorową i ciekawą, żal, że przez takie, a nie inne *fata* spychaną na margines. Budzi raczej sprzeciw niż aprobatę, ale to właśnie jest cenne. Konsekwentny nie jest – astrolog przepowiedział mu śmierć na rok 1987, z czego nieopatrznie zwierzył się publicznie przed laty. Nie pomógł jednak astrologii, a logicznie rzecz biorąc – powinien. I fatalna data szczęśliwie minęła... A młodzieńcza przygoda z totalizmem przyniosła ten pożytek, że już potem nikt do innego totalizmu, choćby z najpiękniejszą etykietką, nie zachęcał. Choć...

Jeszcze jednym przybyszem ze Wschodu, który stosunkowo późno objawił się jako prozaik, jest Leon Gomolicki (1903-1988), który znaczną część młodości spędził na Wołyniu i Podolu, czego ślady w jego pisaniu są często widoczne; próbował wielu zawodów, a zaczął pisać już we wczesnej młodości, ale po rosyjsku. W tym języku tworzył aż do drugiej wojny światowej, wydając niemal dziesięć tomów wierszy. Po wojnie zdobył uznanie jako rusycysta, znawca rosyjskich kontaktów Mickiewicza. W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych uprawiał też publicystykę, opiewając nadejście epoki doskonałości produkcyjnej – *Tajemnica trzynastki. O pierwszym pionie bezbrakowym* (1954). Zaczął również próbować sił w polskiej poezji i prozie, sławiąc początkowo łódzki proletariats i jego tradycje. Wreszcie zaskoczył wszystkich jako autor prozy bardzo swoistej i dojrzałej. Od tej pory wydał pokaźny zbiór książek, a złośliwi łodzianie orzekli, że pisze „na cztery stalówki”. Są to jednak głównie mikropowieści (lub prawie mikro, tak czy inaczej – przeważnie niedługie).

Jedyny polski tom wierszy nosi tytuł *Czas spopielaty* (1957), cechy poezji rosyjskiej są w nim nader wyraźne:

przyłgnij do ziemi deukalionie  
przez ramię rzuć wilgotny kamień  
tym czarnym szlamom potopowym  
wnet przywracając życia znamię

kogo obdarzysz tchnieniem nowym  
znów zaludniając te płaszczyzny:  
geniuszów sztuki lazurowych  
mędrców ubranych w laur siwizny

lub z tych kamieni znów powstanie  
by błędzić nędznych dzieł europa  
aż do nowego dnia potopu –  
płonących lądów i odmętów

(po potopie)

Widać tu dwie bardzo istotne cechy twórczości Gomolickiego – motyw katastroficzo-apokaliptyczny i sztafaż mitologiczny.

Wymieńmy z grubsza prozatorskie utwory Gomolickiego: *Ucieczka* (1959), *Wieczory nad Łódką* (1959), *Uprowadzenie Baucis* (1960) – od tej powieści Gomolicki zaczął się liczyć jako pisarz – *Białe runo* (1962), *Wyłączenie* (1962), *Czasobranie* (1963), *Kiermasz* (1964), *Owoc z grynszpanem* (1965), *Wyprawa na Patmos* (1966), *Wydarzenie* (1968), *Dzikie muzy* (1968), *Arka* (1970), *Komiks psychologiczny* (1972), *Erotyk* (1974), *Przygoda archiwalna* (1976), *Taniec Eurynome* (1976), *Horoskop* (1981), *Terapia przestrzenna* (1983), *Odwiedziny Galileusza* (1986).

Powieści Gomolickiego nie poddają się łatwo streszczeniu, a i ze streszczenia wcale nie tak wiele by wynikało. Jego proza w mniejszym czy większym stopniu zbliża się do tego rodzaju eksperymentów, jakie uprawiają Parnicki, Kuśniewicz, Buczkowski, każdy, naturalnie, inaczej. Najkrócej mówiąc, jest to coś w rodzaju rozchybotania fabuły. Składa się na to wiele literackich zabiegów. A więc przede wszystkim pozbawienie fabuły ciągłości czasowej, rozpoczynanie akcji od końca lub w momencie dowolnym i przetasowywanie poszczególnych elementów. A więc to, co zaczęło się u Conrada, w Polsce rozkwitało i u Kuncewiczowej, i u Choromańskiego, a współcześnie... wszędzie po trosze. Dalej – zerwanie lub rozluźnienie wynikania, wzajemnej motywacji wydarzeń. W związku z czym takie poluzowanie konstrukcji, że czytelnik nie jest informowany, ale musi się domyślać *quis, quid, ubi, quomodo* i tak dalej. Pewności na ogół do końca nie ma. W związku z tym muszą się rodzić jakieś inne ciągłości. Czasem o jedności konstrukcji świadczy tylko narrator – ale i to bywa zrywane. Czasem jakaś struktura paraboliczna, niekiedy rytm nawrotu poszczególnych motywów. A szczególnie wyraźna jest u Gomolickiego obecność autorskiego komentarza. Bywa i tak, że autor przytacza jakąś dość banalną fabułę tylko po to, by snuć rozważania właśnie o jej zwyczajności i banalności.

Nie ukrywam, że doceniając przecież rolę tych zabiegów, nie sądzę, by one rzeczywiście fabułę mogły zastąpić. To znaczy – owszem, jeśli przyjmiemy, że to już nie jest kontynuacja dawnej epiki, ale antypowieść z licznymi rozgałęzieniami. Jeśli tak, to zgoda, trzeba tylko żałować, że płody tego gatunku bywają na ogół nudnawe. Nie byłyby takie, gdyby autor miał rzeczywiście coś wstrząsająco mądrego i nowego do powiedzenia. Któż się ogląda na fabułę u Saint-Exupery'ego? Ale to przeważnie istna mieszanek firmowa i koncepty oryginalne toną w szarzyźnie. Raz rzadziej, raz częściej. Tak bywa i z Gomolickim, który miewa fragmenty bardzo ciekawe, ale i zwyczajnie nudne. Nie jest przypadkiem, że krytyka na temat jego książek, podobnie jak Buczkowskiego, proponuje najczęściej wzniosłe ogólniki. Trudno się niekiedy połapać, o co przede wszystkim chodzi, gdyż autor wprowadza tyle tematów, tyle dygresji, tyle srok za ogon łapie, że – jak napisał o *Komiksie psychologicznym* nieoceniony Jan Marx – „to nie tyle komiks, co salceson” (ale Janek nie pamięta już czasów, kiedy salceson był prawdziwym poematem masarskim).

Wspomniałem już o znaczeniu mitologii i apokalipsy. Bywa i tak, że autor *Dzikich muz* bywa wręcz sprowadzany do któregoś z tych dwóch motywów. Rzeczywiście, mitologia jest wszechobecna. Prawie wszystko da się sprowadzić do jakiegoś mitologicznego motywu, co do tego Gomolicki ma rację. Czyniąc tak uzyskuje swoistą uniwersalność, ponadczasowość jednostkowych konfliktów, postaw i wydarzeń. Jednocześnie robi się z tego rodzaj specyficznego języka, tak jak istnieje „język kolorów” czy „mowa kwiatów”, co przydaje tekstowi posmak nie tyle antyku, co baroku. Ale dla czytelnika to jednak pewna trudność – nie wszyscy bogowie greccy, nie wszyscy herosi należą do zasobu personifikacji i obrazowania potocznego. Przecież krąg naszych wręcz obowiązkowych wiadomości poszerzył się o mitologię i symbolikę wielu krain, musimy wiedzieć, że nie tylko Eurynome tańczy, ale także Sziwa i Amaterasu, i legion innych. Nie sposób Gomolickiego posądzać o niewiedzę w tym wzglę-

dzie, ale i on nie jest bezbłędny: pomylił wyspę Jana – Patmos z wyspą Pana – Paksos i nawet całą książkę na tej pomyłce zbudował.

Językiem mitologii została określona jedna z najważniejszych spraw pisarstwa Gomolickiego, powracająca ustawicznie zwłaszcza we wcześniejszych książkach. Gomolicki proponuje pojęcie „admetyzmu” i tak o tym pisze:

„Admet, ten, który przeżył podwójny wiek za cenę śmierci swej żony. A jakkolwiek by było, wielu m ę ż ó w z mego pokolenia znalazło się w jego sytuacji – nie tyle dzięki jakiejś nadnaturalnej długowieczności, ile z powodu przewartościowania czasu. W naszym życiu świat zmieniał się z szybkością zbyt zawrotną jak na jedno istnienie. I w tym przyspieszonym tempie, gdy po drodze gubi się istoty bliskie, ocalony odnosi wrażenie, że żyje ich kosztem. Stąd termin a d m e t y z m określa pewien stan psychiczny, często obsesyjny, trwający do końca życia, bo wiecznie pod powierzchnią bieżących wrażeń nurtujący (...) na życiu Admeta zostanie piętno nie do zmycia.”

(Nawiasem mówiąc, dzięki Norwidowi lepiej pamiętamy „Admetowego pegaza”, czyli po prostu świnię, jeśli kto woli – dziką).

W *Uprowadzeniu Baucis, Kiermaszu, Czasobranii, Wyprawie na Patmos* powraca narrator obciążony wyrzutami sumienia za śmierć żydowskich sąsiadów, matki, ojczyzna (to co prawda nie tyle Admet, co Orestes), dziewczyny etc. Każdy z tych wypadków jest wątpliwy i narrator niewiele by zdziałał, ale rzecz w tym, że działać nie chciał i nie próbował. Na ogół są to sprawy okupacyjne, ale w *Czasobranii* (późniejsza, skrócona wersja nosi tytuł *Miasto i Julia*) sięga do wydarzeń o dwadzieścia lat wcześniejszych. Niemal każdy bohater Gomolickiego to człowiek z piętnem, niezdecydowany, miękki, co nieco unizony, odrobinę świętoszkowaty, erotyka na ogół tak tutaj oględna, że i Kraszewski przy nim wydaje się wyuzdany. Dodajmy, że z wielu tych cech zdaje sobie sprawę sam autor, bardzo świadom gry, którą prowadzi. Zwracano wielokrotnie uwagę, że ów komentarz do wydarzeń jest właśnie sprawą najistotniejszą.

Apokalipsa – to najczęściej ostatnia wojna, ale znowu bynajmniej niewyłącznie. Właściwie całe stulecie, które właśnie zbliża się ku końcowi, stoi w piekielnych łunach. I tak też będzie w przyszłości. W *Arce* spodziewany jest potop płomienisty i ludzkość będzie się próbowała ocalić na statku kosmicznym. Książka trochę makabryczna: uczony-algolog, czyli specjalista od wodorostów, został napromieniowany, ocalała tylko jego głowa. Niezbędny jest więc przeszczep, a teraz czeka się na odpowiedniego dawcę – skazańca, któremu amputuje się potrzebne ciało. To także wersja Admeta.

Atmosfera apokaliptyczna tłumaczy i współgra z rozbiciem ludzkiej osobowości. Toteż książki Gomolickiego to niemal z reguły opowiadania o destrukcji psychiki. Zauważmy, że ten admetyzm wyłącznie rozsadza i niszczy, a przecież poczucie winy to także potężny czynnik integracyjny – jeśli bohater podejmuje próbę ekspiacji. A nawet i bez tego, jeśli przywołamy *Muchy* Sartre’a. U Gomolickiego siłą integracyjną jest zapis mitologiczny lub odtworzenie już raz zaistniałej sytuacji historycznej. Zrozumiałe: człowiek odgrywa wtedy po prostu wyznaczoną sobie rolę. Ale do takiej konkluzji Gomolicki by się chyba nie przyznał. Innego rodzaju integracją jest po prostu sam zapis, sztuka pisania, zatrzymywania czasu. Cała właściwie twórczość Gomolickiego ma charakter autotematyczny. Więc etyka i estetyka w przeróżnych wersjach i układach. Sam sposób narracji także ustawicznie się zmienia, często pod widocznym patronatem Joyce’a. Mamy opowiadanie, mamy i partie dialogowe, mamy współczesność i czasy minione, obozy śmierci i Hermesa. Mamy komiks i happening, relację w relacji, celne sceny, ale i dłużyzny. Jak to na ogół bywa, wielokrotnie została tu wykorzystana biografia pisarza. A ponieważ do owej biografii należało „życie archiwalne”, jeśli tak rzec wolno, to naturalnym uzupełnieniem współczesności stały się okienka w czas miniony, jakby nowelki krótkie, zawsze bardzo interesujące.

Trudniej natomiast powiedzieć, które książki Gomolickiego są najcenniejsze. Podejmowane na początku tematy łódzko-robotnicze przyniosły mu sławę raczej lokalną. Uwagę krytyki zwróciło natomiast *Urowadzenie Baucis* (skądinąd interesujące u niedawnego chwalczy „zasady partyjności”, towarzysza Malenkowa, „walki z dywersją wroga i zwalczania pozostałości mieszczańskiej psychiki i moralności”, no, ale pisarze łódzcy słynęli ze szczególnie wysokiej temperatury uczuć wiernopoddańczych), ale już przedtem została dobrze przyjęta *Ucieczka*, odsyłająca nas do wołyńskiego dzieciństwa Gomolickiego, z której dowiadujemy się, między innymi, jak w latach dwudziestych władze polskie traktowały młodzież: „Czekała ich zabójcza wilgoć lochów, tortury i kula wymierzona w tył głowy”. Polacy, których nie zdążyła wymordować sanacja, doczekali się okupacji, pewnie lżej już było. Koniec żartów: *Urowadzenie* to właśnie opowieść admetyczna o małżeństwie aryjsko-żydowskim, gdzie ocaleją oboje, lecz ocena moralna pozostanie wątpliwa.

*Wyłączenie*, czyli wyobcowanie, znowu sięga do motywu dzieciństwa. Podobnie *Czasobranie*, przy którym odsyłano już jawnie autora do Prousta. *Kiermasz* powtarza wątek *Baucis*, *Owoc z grynszpanem* to historia dziadka autora, powstańca roku 1863, zesłanego do Penzy. *Wyprawa na Patmos* to na kanwie wycieczki do Grecji znowu powrót do posepnych spraw okupacyjnych.

Szczególną książką są *Dzikie muzy*, jakby „antypamiętniki” – są tu opisane osobiste zepnięcia Gomolickiego ze sztuką i ludźmi sztuki (autor oprócz literatury uprawiał też grafikę), ułożone na modłę gomolicką, to jest wymieszane i specyficznie fragmentaryczne. Książka jest uważana za jeden z lepszych utworów Gomolickiego. Z kolei *Arka* to futurologia, ale nie technicystyczna. W *Komiksie psychologicznym* bohaterowie to dorosły syn, niedołągnięjący ojciec i macocha. *Erotyk* to połączenie kilkunastu odrębnych monologów z różnych czasów i stron świata, poświęconych raczej grozie dziejów niż miłości. *Taniec Eurynome*, wedle najwierniejszego krytyka Gomolickiego, Tadeusza Błażejowskiego (ale Jerzy Rzymowski poświęcił mu całą książkę *Erynie historii i człowieka*), to „apokryf apokaliptyczny” – trzy opowieści, z których ostatnia – *Traktat o wyspach*, to jedna z najcelniejszych rzeczy Gomolickiego. Mikropowieści z ostatnich lat coraz wyraźniej stają się esejami.

W istocie rzeczy jest to jeden wielki ciąg myślowy, oparty na podobnych motywach i upodobaniach, zbliżonej koncepcji wielu rzeczywistości, wielu sposobów narracji, coraz radykalniejszego ignorowania fabuły. Możliwe, że w tym pokoleniu Gomolicki jest najbardziej konsekwentnym twórcą antypowieści.

Halina Auderska (1904) to w ostatnich latach przede wszystkim prezes, potem prezes honorowy powołanego w 1983 roku Związku Literatów Polskich, posłanka na Sejm PRL, osoba uwikłana nade wszystko w politykę. Dla pisarza efekt z tego nieszczególny: i pochwały, i nagany są w oczach wszystkich nieco podejrzone. Ale na temperament rady nie ma i na próżno, jak sama pisze, strofowano ją w powstaniu warszawskim: „Nowicka, radzę hamować instynkty wodzowskie” (Nowicka to konspiracyjny pseudonim Auderskiej). A juści. Wszak na widok Auderskiej już w pierwszych godzinach czterem uzbrojonym po zęby czołgistom niemieckim tak pomdlały serca, że sami oddali się jej w niewolę. Rzecz autentyczna. Tyle że niemieccy żołnierze byli odcięci i dezorientowani, natomiast Auderska była w towarzystwie jeszcze jednaj łączniczki i paru nie uzbrojonych powstańców. Ale i tak... Co tam zresztą jacyś żołnierze, po latach wielogwiazdkowi generałowie drżeli na jej widok z trwogi.

Z Odessy wróciła do Polski w roku 1920, ani chybi dlatego, że Budionny bał się ją mieć na zapleczu konarmii. W Warszawie skończyła gimnazjum, uniwersytet, nauczwała i publikowała w prasie. Nie tylko – jej pierwsza książka, *Poczwarki Wielkiej Parady. Pamiętnik matu-rzystki*, ukazała się w 1935. Okupację zaczęła godnie, była wolontariuszką w szpitalu, potem redaktorką w słynnej akcji „N”. Była to bardzo ciekawa forma walki propagandowo-ideologicznej, polegającej na dezinformowaniu i indoktrynowaniu samych Niemców. Wydawano druki niemieckie, a sama Auderska redagowała i wypełniała swoimi artykułami przede

wszystkim pismo przeznaczone dla folksdojczów – „Zukunft-Przyszłość”. Inaczej rzecz ujmując, w dobrej sprawie przeszła znakomitą, wieloletnią szkołę prowokacji, szantażu, pogróżek, oszczerstwa i wszelakiego odwracania kota ogonem. W dobrej, powtarzam, sprawie, lecz sama Auderska powątpiewa gdzieś w *Mieczu Syreny*, czy metody okupacyjne nie zostawiają śladu na przyszłym życiu pokojowym.

Ostatnie tchnienie wojny dotknęło ją na Ziemiach Zachodnich, gdy niemieckie, nad pojęcie rozmnożone myszy, chciały ją wysłać w ślady króla Popiela. Ale też nie dały rady. Ciekawe, że gdzieś w tym miejscu kończą się motywy autobiograficzne, wykorzystywane przez autorkę w jej prozie. Ona sama natomiast zyskała szlify dramaturga. Pisywała dla teatru już przed wojną, pisze i do dzisiaj, lecz na początku lat pięćdziesiątych dwie jej sztuki zyskały autentyczny rozgłos: *Zbiegowie* (1952) i *Rzeczpospolita zapłaci* (1953). Obie były historyczne. *Zbiegowie* – to rok 1788, preludium Sejmu Czteroletniego, chłopska, pańszczyźniana miseria. *Rzeczpospolita zapłaci* to Zygmunt August i Barbara oraz Frycz Modrzewski. W tych właśnie wczesnych latach pięćdziesiątych dramat historyczny zakwitał niebywale – rzecz była w tym, że co godniejsi dramatopisarze uciekali rozpaczliwie przed tematyką współczesną. Auderska pisze jeszcze jeden dramat moralistyczny, ulokowany w 1944, w niemieckim obozie przejściowym. *Dopóki żyjemy* (1956), rzecz o godności ludzkiej, o tym, że nie należy przyjmować niegodnych wyborów, o deprawacji i cenie odwagi. Pisała także dla teatru kielckiego, a z biegiem czasu dla radia i telewizji. Wielką Popularność zyskał dramat *Ścieżka przez pola* (1960). Bardzo liczne scenariusze słuchowisk i widowisk zostały zebrane w tomie *Kwartet wokalny* (1977), a dzieło w tym względzie największe – scenariusz serialu o królowej Bonie – posłużyło za kanwę dwutomowej i bardzo popularnej powieści. Ale była to już Auderska bardzo od swoich początków odległa.

Zdarzyło się bowiem coś szczególnego. Ta autorka dramatyczna, współredaktorka „Wielkiego słownika języka polskiego”, redaktorka „Dialogu” i leksykografka najniespodziewaniej wróciła do prozy, i to z rezultatem wręcz szokującym. Dosłownie w przeciągu kilku lat zyskuje Auderska pozycję niekłamanie wybitną, uznanie krytyków i czytelników, przekłady, wywiady i co się komu śni. Sukces nie łagodzi zresztą wcale jej temperamentu, jakby nawet odwrotnie. Jako prezes oddziału warszawskiego czy wiceprezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich poraża wszystkich swoją energią w sprawach dużych i małych. O, połączył mnie, bywało, los z panią Haliną na wycieczce związkowej, w samolocie, autokarze, restauracji. I po kilku dniach byłem już tak wymusztrowany, że *jegier* Suworowa nie był lepiej. Wziąłem ja się, co prawda, na sposób i gdy moja współbiedniczka, ustaliwszy, co powinienem jeść i pić, odwróciła się, by pouczyć Putramenta czy Sokorskiego, ja po cichutku dolewałem jej wódeczki: to do buraczków, to do sałaty. Zjadła, rozjaśniła się, złagodniała.

Wracając do spraw poważnych: Auderska zaczyna wydawać książki autentycznie zaskakujące. A więc ukazują się kolejno: *Jabłko granatu* (1971), *Ptasi gościniec* (1974), *Babie lato* (1974), *Miecz Syreny* (1980), *Królowa Bona* (1983). To także nie wszystko, bo jednocześnie przerabia Auderska na prozę niektóre swoje scenariusze. Takiej metamorfozie ulegają *Szmaragdowe oczy* (1977), *Zwyczajnie człowiek* (1980) i *Spotkanie w ciemnościach*, które jako *Zabić strach* ukazuje się w 1985. Przypomnijmy, że Bona także wyrosła z analogicznego źródła, ale tu wymiar sprawy jest inny.

*Jabłko granatu* ma jeszcze charakter przejściowy, może nawet i publicystyczny. Odnoszę zresztą wrażenie, że Auderska i w następnych książkach miała jakieś publicystyczne (mam na myśli publicystykę „wysoką”) cele, ale tam zostały one zupełnie zdominowane przez coś innego. *Jabłko* ma trzy warstwy. Bohater książki był jako dziecko porwany przez Niemców i początkowo przeznaczony na zgermanizowanie. Później zostaje oceniony „krytyczniej” i przeznaczony po prostu na śmierć. Wszystkie stacje tej drogi krzyżowej, będące tu retrospekcją, podane są zwięzłym, sprawozdaniowym tonem i jak utrzymuje krytyka, przypominają *Medaliony* Nałkowskiej. Dodajmy, że sama Auderska zajmowała się po wojnie sprawą wy-

wiezionych dzieci, pisała i mówiła o tym przy wielu okazjach. Na marginesie wspomnijmy, że większość owych dzieci nie została nigdy odnaleziona. Otóż ów Toni-Antoni wychodzi ze wszystkich przeżyć jako kompletny wrak psychiczny. A jego głównym pragnieniem jest odnalezienie po latach matki. Jakoż i ją odnajduje, tylko że jest to inna kobieta, która także straciła dziecko i także jest psychiczną kaleką. Z litości przez pewien czas okłamują się nawzajem. Nawet gdyby to była matka prawdziwa i własna, sytuacja nie byłaby inna – oboje musieli odmienić się całkowicie.

Książka ma swoje plusy i minusy (jeśli minusem jest „rachunek krzywd”), lecz jej indywidualny wyraz jest bezsprzeczny. A najlepsze i nie kwestionowane są partie opisowe dotyczące przyrody. To znamienne, bo wnet się okaże, że w tym właśnie tkwi największa siła Auderskiej.

Już wkrótce dowiódł tego *Ptasi gościniec*. Jest to właściwie wielka ballada, i to, co balladowe jest najpiękniejsze. Oczywiście, przede wszystkim wychwalano fabułę. Jakże miało być inaczej, skoro to jedyna właściwie, nie licząc pamiętników, książka, włączająca marsz znad Oki do legendy narodowej... Poprzednie utwory na ten temat były tak skłamane czy nie domówione, że po prostu nic znaczyć nie mogły. Auderska jako pierwsza pisała o deportacjach i książka miała w związku z tym wielkie kłopoty. Właściwie cud, że wyszła. Auderska przemilczenia dozuje, ale tak to już jest, że z każdym rokiem wolno powiedzieć więcej. Poza tym dzięki specyficznemu narratorowi, porównywanemu z bohaterem *Soli ziemi* Wittlina, wielka polityka odsunęła się tutaj na plan dalszy. Od tego też narratora trzeba zacząć.

Książka jest wielką relacją Szymona Drozda, Poleszuka z Moroczy, niefortunnego uczestnika kampanii wrześniowej, potem deportowanego na Syberię, wreszcie żołnierza I dywizji Kościuszkowców. Jest to opowieść snuta po wielu latach, nad Odrą. Została spisana przedziwnym językiem, stylizowanym na białoruski, który nagle odkrył nam tutaj swoje piękno. Najlepsza jest część pierwsza, poleska i syberyjska, a prawdziwym mistrzem okazała się Auderska w opisach przyrody. To duża dzisiaj rzadkość: w ogóle dobry opis wcale nie jest i nigdy nie był rzeczą tak częstą i łatwą. Nie wystarczy wyliczanka, musi tu być pod skórą niejako skryta potężna dynamika:

„Powietrze nagrzane, pachnące miodem i pusto, cicho, tylko brzęczą pszczoły i czasem krzyknie stepowy jastrząb, szukający w trawach gniazd mysich. Słońce parzy, pić chce się, a wody żadnej, nu, żadnej. Po lewej stronie gościńca step jakby wklęsty, myślał ja, a nuż tam będzie jaka kałuża? Ale nie, kępa czerwonych tulipanów, więcej nic.”

Albo:

„Pamiętam, że raz nocą stali my dłużej jak zawsze przed stacją, na bocznym torze. (...) A my w tu poru, czasu nie tracący, rozpalili ogniska, żeby pszono, znaczy, ugotować, i było tak, jakby pociąg wjechał w palący się jar: patrzę ją, po obu stronach wagonów tysiące małych ognisk, jak robaczków świecących na moczarach, na łuhach. Noc była ciemna, pociąg ciemny, bo pusty, i tylko po jego bokach żółte światełka i dym, dużo dymu pachnącego kaszą jałaną, pszenną i hryczaną.”

Rzeczywiście, imponujący warsztat.

Ta proza ma swój wyczuwalny rytm, niekiedy podkreślany refrenicznymi powtórzeniami. W Polesiu Auderskiej można się naprawdę zakochać: w każdym razie rozumiemy, dlaczego narrator przenigdy nie przestanie tęsknić. Tą wizją wpisała się Auderska na trwałe do szkoły kresowej. Natomiast militaria jakoś mniej mnie zainteresowały – może dlatego, że po czterdziestu latach obrabiania tematów wojenno-okupacyjnych naprawdę mamy tego dosyć?

Ale dla Auderskiej są to sprawy istotne, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę tradycję



rodzinną – wywodzi się w dalszej przeszłości z Czechów, ale jeszcze tych wojowniczych, z zamku Auders, a bliżej – jest wnuczką powstańca z 1863 roku i zesłańca syberyjskiego – stąd opisy Syberii, po nim Odessa jako miejsce narodzenia. Lecz przecież nie brakuje jej przy tym poczucia humoru, delikatnie wpisywanego w perypetie bohaterów. Jak to było w *Babim lecie*?

„Ale Hilary ustąpić nie chciał, zapytywał, czy nie dobrze by było na dobrowolne roboty wyjść, żeby choć jedną, ale wielgachną pieczkę w Warszawie wybudować? Dla najpierwszych numerów, znaczy dla właści? On takiego zduna zna, który cudpieczki umie stawiać i naród nauczyć, jak. Po rządzeniu, po robocie, zależą najpierwsze numery na taki piec, odpoczną sobie, zagrzeją się, czut-’czut’ rozmiękną, i im korzyść, i narodowi. Może wtedy spisy won wyrzucą, na to i na tamto zezwolą, łaskawsze dla słabości ludzkiej staną?”

*Babie lato* jest drugą częścią relacji Szymona Drozda. Od przekroczenia Bugu, poprzez walki nad Wisłą i w Berlinie, po ostateczne osiedliny nad Odrą. Zmienia się język, dopasowuje do miejsca i czasu. Rzecz w tym, że w *Ptasim gościńcu* bohater się spolonizował, czy repolonizacji poddał raczej. Wcale mnie to nie ucieszyło, ale Drozd stanął przed rzeczywistością rozpaczliwymi wyborami. W istocie decydowali za niego inni, podobnie jak później za bohaterkę *Miecza Syreny*. Tu właściwym przedmiotem książki jest wrastanie w nową ziemię, formowanie się nowej społeczności z wielonarodowego zlepku. I cóż, ta integracja jest jednak zubożeniem. Ale obrazy czynności gospodarskich, borykania się z bytem materialnym są znowu imponujące. Coś z Robinsona, a może bardziej z *Tajemniczej wyspy* Verne’a, bo jednak chodzi tu o grupę, nie o pojedynczego człowieka. Ładzenie obejścia, walka z myszami, produkcja cukru – i tak dalej. Tu znowu powraca ton ballady. Polityka odpomina się różnymi dolegliwościami, ale to nie jest powieść polityczna, i bardzo dobrze. O dyptyku Auderskiej można by pisać bardzo wiele, najlepsze okazały się partie prawdopodobnie dla Auderskiej wcale nie najważniejsze. To, co przypominało *Nad jeziorem* Anieli Gruszeckiej, jedną z piękniejszych polskich książek.

W istocie rzeczy w *Mieczu Syreny* najlepsza jest także część pierwsza, ekspozycyjna, z obrazem skalistej, nadmorskiej Bretanii. Książka ma, podobnie jak poprzednie, dwa plany czasowe. Plan współczesny – sierpień, wrzesień 1972, kiedy bohaterka wyprowadza się z przeznaczonego na rozbiórkę osiedla „domków fińskich” i przy okazji przebiega w pamięci swoje życie. Jest, podobnie jak Poleszuk Drozd, przybyszem, Bretonką, Anne-Marie le Bon, która dziwną losów kolejną trafiła do Polski, do Warszawy – i tu już została. Powieść ma chyba z pięć części i składa się z dwóch okazałych tomów. Część pierwsza to bretońskie dzieciństwo, druga – miłość i małżeństwo, trzecia – Wrzesień, czwarta – okupacja, piąta – powstanie warszawskie. Uważano, że cudzoziemka była potrzebna Auderskiej do uzyskania nowego, innego spojrzenia na sprawy wojenne, ale przecież obsesja przybysza jest u niej wszędzie obecna. A Bona to niby kto? Słusznie natomiast wyrzekano na dokumentaryzm części wojennej. Rzeczywiście, mamy tu wyliczone wszystkie poczynania „akcji N”, mamy i samą Auderską jako Nowicką i co kto chce. Ale po co? To wszystko przecież doskonale znamy, czytaliśmy o tym tu i ówdzie. Czy nie lepiej było wymyślić coś może nie autentycznego, ale tym prawdziwszego – jako możliwa syntetyczna wizja? Ale tak czy owak, książka jest bardzo dobra, zaprzeczyć temu trudno.

Na *Królowej Bonie* pochodzenie scenariuszowe odbiło się wyraźnie. Rzecz jest znakomitym czytadłem w niekoniecznie korzystnym sensie tego słowa, ale brak na przykład ekspozycji, ograniczony został opis – i tak dalej. Dla nas istotne jest coś innego. Otóż Auderska zbliżała się do tego tematu już od dawna (*Rzeczpospolita zapłaci*). Przeprowadziła też konsekwentną rehabilitację Bony, prowadząc rzecz inaczej niż kiedyś Chłędowski. Przy okazji – no, zastanówmy się. Kobieta mądra, przybyła z Odessy, przepraszam – Bari, popadająca w

konflikty z racji swej dalekowzroczności, władczości, pasji politycznej – a czyżże to portret imaginacyjny? Oczywiście, to autoportret samej Auderskiej, i to nawet z pewnymi elementami wieszczymi. Jeśli jednak to prawda, to i na inne jej książki, na innych bohaterów czy bohaterki możemy spojrzeć w ten sam sposób. I wtedy silny przecież ton liryczny jej książek jawi się nam jako coś bardzo osobistego, a epika sytuuje się niedaleko poezji.

Można by wyliczać elementy powracające ustawicznie w jej książkach. Niechęć rodzinne już od *Wielkiej parady*, motyw zmiany ojczyzny, motyw wody, niechęć do raków i skorupiaków wszelakich, ciepły stosunek do czarownic, wielkie umiejętności kreślenia wizji plastycznej, znakomite obrazy przyrody. To jest jej własne. Ale zapewne nie mniej własna, a fatalna jest skłonność do polityki, do spraw społecznych, do władzy. Nie mówię o życiu, mówię o książkach, gdzie obie sfery wchodzą ze sobą w spór, który im wcale na dobre nie wychodzi. Szkoda więc, że Auderska nie posłuchała swojego własnego bohatera, który tak na ten temat filozofował:

„Myślał ja nad tym, myślał i wymyślił: nie pchał sia nigdy do włości – ot, co. Bo, wiesz pan, ciepła ona ta włość, w dotknięciu miła, kiedy ją w obie łapy bierzesz. Ale później przypiekać zaczyna i nie pomoże przierzucanie z jednej ręki do drugiej, chuchanie, podskakiwanie. Wypuścić ją trzeba z oparzonych rąk i spada ona – dobrze jak na ziemię, a to czasem na nogi spada i przyjdzie sia jeszcze sykać, ochać, nogami przebierać, przysiądać. Nu, czasem nawet i sięść...”

Nu, widzisz mój zaworonku, ot co...

Dole czy raczej niedole Polaków po 1939 na Wschodzie stały się przedmiotem emigracyjnej twórczości Herminii Naglerowej (1890-1957), autorki przed wojną głośnej, dziś niemal zapomnianej. Wywodziła się z Galicji, debiutowała już w 1915, będąc nauczycielką działała jednocześnie w organizacjach literackich i publikowała w prasie, a do wojny zdążyła wydać około dziesięciu książek. Były to sztuki, zbiory wierszy, jak *Otwarte oczy* (1921), *Szare godziny* (1924), ale dominowała przede wszystkim proza. A więc powieść *Czarny pies* (1924), opowiadania *Motyw księżycy* (1928), *Matowa kresa* (1929), powieści *Zawalidroga* (1929), *Ludzie prawdziwi* (1935), *Krauzowie i inni* (1936). Były to w swoim czasie utwory głośne, poczytne, przekładane na języki obce.

Naglerowa zaczynała od fantastyki, opartej na eksplorowaniu magii. Najlepsza opowieść to *Człowiek z więziennej wieży*, gdzie widma średniowiecznych skazanych dopadają potomka niesprawiedliwego sędziego, mieszkającego w miejscu ich dawnej kaźni. Naglerowa grzeszy jednak mgławicowością. Wkrótce też porzuca ten typ prozy na rzecz psychologii i obyczajowości. I wtedy właśnie powstaje jej najwybitniejsza książka, trytomowa powieść *Krauzowie i inni*, która w zamyśle miała być zaczątkiem cyklu. Tematyka kresowa, rodzinne Brody Naglerowej, trzy żyjące obok siebie nacje – Polacy, Ukraińcy i Żydzi, mieszkające się ze sobą w obliczu wielkich klęsk, takich jak epidemia cholery czy pożar. Jest tu wielka galeria postaci, ale i sugestywne sceny zbiorowe. Powieść obejmuje lata po powstaniu styczniowym, a miała być kontynuowana aż do współczesności. W jakiejś mierze wyprzedza owe syntetyczne obrazy galicyjskiego kotła, na które przyszedł czas dopiero po ostatniej wojnie. Materiały czy też zarysy następnych dwóch powieści tego cyklu przepadły w czasie wojny.

Naglerowa zostaje w 1940 aresztowana we Lwowie i spędza w więzieniu szesnaście miesięcy. Skazana na osiem lat obozu pracy, zostaje osadzona w Burmie w Kazachstanie. Wychodzi na wolność, rusza na Wschód z armią Andersa, podejmuje żywą działalność redakcyjną i literacką. Po wojnie osiada w Anglii, tu działa w Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, redaguje w słynnej serii tom *Mickiewicz żywy*. W tym okresie powstają: powieść *Sprawa Józefa Mosta* (1953), opowiadania *Kazachstańskie noce* (1958) i *Wspomnienia o pisarzach* (1960). *Sprawa* – to historia śledztwa w więzieniu zamarstynowskim, któremu zostaje podda-

na bohaterka, Maria Łuzińska. Dwie sfery są tu istotne – gry czy walki między śledczymi a oskarżonym i współzycie więźniów w ciężkich warunkach przepelnionej celi. Obie te sfery mają walor ogólniejszy i dotyczą zachowania tożsamości. Podobno istnieje – napisany, ale nie wydany – ciąg dalszy, *Wierność życiu*, co miało stanowić cykl *Za zamkniętymi drzwiami*. *Sprawa Józefa Mosta* jest jedną z najgłośniejszych powieści emigracyjnych. Wrażenia literackie są dość mieszane. Początek jest blady, dopiero później powieść nabiera dość zresztą posępnych wypieków. Ale to jednak afirmacja człowieka.

*Kazachstańskie noce* to trochę opowieści, a trochę wspomnienia, podejmujące w zasadzie tę samą problematykę. Niektóre motywy znamy z twórczości krajowej – choćby z Krzysztoniowego *Wielbłąda na stepie*. Ale w pełni ten temat rozwinął się tylko w twórczości emigracyjnej.

Znajdziemy go również u Stefanii Zahorskiej (1894-1961), autorki nieco nierównej, ale bardzo interesującej. Wykształcona wyjątkowo wszechstronnie na uniwersytetach: krakowskim, budapeszteńskim, berlińskim i paryskim, po studiach medycznych, przyrodniczych, filozoficznych i historii sztuki, zajmowała się krytyką literacką, filmową, przede wszystkim jednak plastyczną. Redagowała, wykładała, wydała m. in. monografie *Matejko* (1925), *Eugeniusz Żak* (1927) i wiele innych.

W 1937 opublikowała bardzo interesującą, a zupełnie dzisiaj zapomnianą powieść *Korzenie*, która miała być pierwszą częścią cyklu *Ziemia Kaliksta*. *Kalikst* – to stary dąb, a *Korzenie* to nazwa majątku rodowego bohatera, ale także genealogia Jana i Anny, młodej pary intelektualistów, budzącej oburzenie obu rodzin, gdyż on – ziemianin, a ona – z prawowiernych Żydów. Oba rody zostały przedstawione szyderczo. Oto na przykład do dziedzica Ksawerego, ojca Jana, przychodzi nocą kochanka z czworaków. I taki dialog między nimi:

„– Możesz chodzić boso. Buciki są tylko na niedzielę – rozumiesz? Skrzypisz po nocy tymi buciskami, że cały dom może usłyszeć.

– Bo to plucha na dworze. Błoto w ogrodzie. A potem dziedzic znowu mówi, że mu łóżko wałam.

– No to... No, to noś pantofle.

– To niech mi je dziedzic kupi.”

Protestowali ziemianie, protestowali i Żydzi. Młoda para była idealna – tylko pewna osobliwość: nie pada w ogóle nazwisko bohatera, a opis bohaterki przypomina samą Zahorską. Rzecz się dzieje w 1914 i 1915, kończy się wymarszem bohatera z Pierwszą Brygadą. Szkoda, że nie powstał ciąg dalszy, bo powieść jest dobra – chociaż wygląda mi na porachunki rodzinne. Zginęły bez śladu studia o *Socjologii mody* i *Forma i kolor*, a Zahorska dotarła do Francji i Anglii, współpracując z „Polską Walczącą”. Po wojnie należała do najbardziej nieprzejednanych emigrantów.

Zostawiła po sobie wiele różnorodnej publicystyki, nie dokończoną powieść *Polska jesień* (1940), *Smoczka 13* – dramat o getcie (1944), *Stację Abbesses*. *Opowieść* (1952), powieści *Ofiara* (1955) i *Ziemia pojona gniewem* (1961). Najslabsza jest *Stacja Abbesses*. Tytuł przywołuje otchłań, a książka przedstawia ludzi kryjących się przed atakiem atomowym na stacji paryskiego metra i tam przysypanych. Następuje polaryzacja postaw – jedni wierzą w Boga, drudzy w Stalina, ale wszystko to jest mało konkretne i jawnie wydumane. Zgoła odmienna jest *Ofiara*, podejmująca motyw Abrahama i Izaaka. Piekarz Abraham chroni się przed Niemcami z synem Izaakiem. Niestety, chłopiec doznał szoku i nieustannie krzyczy. Abraham postanawia złożyć ofiarę, by „odnowić przymierze”, ale ofiara nie zostaje przyjęta, Bóg każe mu dalej walczyć o życie. Nie wszystko jest tu duchowo i intelektualnie klarowne, ale książka jest rzeczywiście piękna.

Najwyżej jednak jest ceniona (ale ja wolę *Ofiarę*) *Ziemia pojona gniewem*. Wątek jest wojenno-współczesny. Młody komunista Tomasz Gruda zostaje aresztowany we Lwowie i

przechodzi drogę przez mękę. Znanym szlakiem przez Morze Śródziemne trafia do Anglii, gdzie morduje dziecko swojej ukochanej – ojcem dziecka był łagrowy konfident. Ale i Marta, i kaleki przyjaciel ratują go przed odpowiedzialnością, a głos boży każe mu, jak Abrahamowi, istnieć dalej (sam Tomasz chciał ponieść karę). Akcja jest raczej pretekstem, idzie tu o zniewolenie ludzkiej moralności, o trwanie zła, chociaż powodująca je sytuacja już minęła. Mimo zarzucanych książce błędów rzeczowych (których nie uniknęła Zahorska i gdzie indziej, od z gruntu błędnego opisu wędzenia szynek w dymie sosnowym poczynając, ale niby skąd kobieta może wiedzieć cokolwiek o gotowaniu?) i wyraźnego pogłosu Dostojewskiego jest to powieść zdecydowanie godna uwagi.

Podobnie jak Zahorska, nie trafił jeszcze do kraju Czesław Straszewicz (1904-1963), redaktor prasowy i radiowy, prozaik debiutujący w „Kwadrydze”. Straszewicz, podobnie jak Gombrowicz, tuż przed wojną wyjechał do Ameryki Południowej, lecz natychmiast z niej wrócił i we Francji wstąpił do wojska. Resztę życia, od schyłku wojny, spędził w Montevideo. Był bardzo ceniony na emigracji, a tępony w kraju – czy może raczej idealnie przemilczany.

Straszewicz już przed wojną wydał parę zbiorów opowiadań i kilka powieści: *Wystawa bogów* (1933), *Gromy z jasnego nieba* (1936), *Przekłeta Wenecja* (1938), *Litość* (1939). Ta ostatnia powieść została nawet wznowiona w Polsce, zaraz po wojnie. I nic dziwnego, bo jest to zjadliwa rozprawa z faszyzmem. Bohaterem jest zapalony Niemiec i hitlerowiec, profesor medycyny, preparator, specjalista od balsamowania zwłok, Paul Knappe, który ze swojego Lipska zostaje zaproszony do Barcelony, gdzie się w proch rozsypują szczątki świętego Oleandra. Misja jest tajna, w dodatku Knappe zostaje obarczony misją szpiegowską. Trafia akurat na wybuch frankistowskiego powstania. Oleandra wprowadzie wyłatał, lecz misji się sprzeniewierzył i wrócił do Niemiec, gdzie został zdegradowany. Otóż najlepsze sceny to te, gdy ten fanatyk niemieczyny i magii rozkazu, gardzący całym pozaniemieckim światem zderza się z innym sposobem życia i myślenia, czego zupełnie pojąć nie może. Ale też faszyzm został tu dokładnie wyśmiany i zohydzony. Straszewicz w ogóle szydercą jest, a jego początki literackie przebiegały pod znakiem ekspresjonizmu.

Ale najgłośniejszą jego książką jest powieść emigracyjna *Turyści z bocianich gniazd* (1953). Jest to groteska w dwóch częściach, kpina dosięgająca z jednej strony emigracji, z drugiej władz krajowych. Część pierwsza, *Katedra sandwiczów*, dzieje się w małym południowoamerykańskim porcie Punta Chata, gdzie zeszło na ląd kilku polskich marynarzy – z powodów nie zanadto politycznych. Jest to po prostu punkt zaczepienia łazegów, obieżyświatów i spryciarzy. „Organa polityczne” tej emigracji są zresztą równie niepoważne, nadęte i w istocie rzeczy zajęte głównie robieniem pieniędzy. Dezercja z „Dzierżyńskiego” wygląda zaś tak, że skoro uciekł jeden, to pozostali – bojąc się odpowiedzialności – uciekają także. Są tu znakomite portrety, zwłaszcza Kostki Napierskiego-Myszy, wojażującego z Książką (kucharską).

Część druga, *Kociołek na Ziemowita*, przenosi nas do Gdańska, gdzie trwa intensywne śledztwo. Ale milicja, Urząd Bezpieczeństwa, WOP głównie śledzą się nawzajem – przypominam, że rzecz dotyczy wczesnych lat pięćdziesiątych. Wzajemne podchody, donosy etc. sprawiają, że ich dociekania są absurdalne – domniemanie ukrywająca się Ziemowitowa okazuje się po prostu kotką, a najzagorzalszy wopista zostaje wplątany w taką kabałę, że musi po prostu uciekać. Nie brak tu kapitalnych postaci, jak choćby naczelnik Bijas i jego żona. Wszystko to jest w duchu *Policjantów* Mrożka albo i Haszkowego *Szwejka*. Książka stała się jednak kamieniem obrazy, choć mądrze opublikowana, mogła raczej rozładować niejednen kompleks. Straszewicz kpi przecież solidarnie ze wszystkich, a jest to jednak kpina po części bodaj sympatyczna. Rzecz jest zabawna i inteligentna, chyba na trwałe zostanie w literaturze.

Dopiero niedawno dobrnęły do kraju książki Jana Bielatowicza (1913-1965). Autor, absolwent gimnazjum tarnowskiego i Uniwersytetu Jagiellońskiego, związany z kręgami kato-

lickimi i narodową demokracją, pisywał już przed wojną, zanosilo się nawet na pracę naukową. We wrześniu '39 przeszedł z wojskiem na Węgry, potem po różnych perypetiach dotarł do Egiptu, Włoch i ostatecznie do Anglii, biorąc udział w kampanii libijskiej i w walkach o Monte Cassino. Poza tym redagował prasę wojskową i antologie poezji, zresztą już przed wojną. W czasie wojny wydał cztery słynne antologie emigracyjno-żołnierskie: *Azja i Afryka* (1944), *Poezja Karpacka* (1944), *Nasze granice w Monte Cassino* (1945), *Przyływ ... Poeci drugiego korpusu* (1946) – mieliśmy już zresztą z nimi do czynienia w tej książce. Po wojnie był redaktorem prasy i wydawnictw emigracyjnych, m. in. słynnego „Veritasu”. Uprawiał publicystykę, krytykę, czasem poezję, przekładał, a przede wszystkim objawiał się jako znakomity gawędziarz, piewca Karpackiej Brygady.

Wydał m. in. *Brygadę Karpacką* (1947), *Passegiatę* (1947), *3 Batalion Strzelców Karpackich* (1949), *Laur Kapitolu i wianek ruty. Na polach bitew drugiego korpusu* (1954), *Gaude Mater Polonia* (1964), *Książeczkę* (1964), *Literatura na emigracji* (1970), *Opowiadania starego kaprala* (1985) – ta ostatnia była pisana w chorobie, nie została ukończona, PAX wydał ją z *Książeczką*. Bielatowiec jest kapitalnym gawędziarzem, jego utwory to coś pośredniego między reportażem a opowiadaniem. Na ogół rozjaśnione humorem, to znów patetyczne, pomysłowe, z wieloma odniesieniami kulturowymi, wypełnione anegdotami. *Laur Kapitolu* to wspomnienia i opowiadania z kampanii włoskiej. *Gaude Mater Polonia* przenosi nas na wszechnicę jagiellońską. Przeurocza jest *Książeczka*, opowiadająca o szkolnych, tarnowskich latach autora, której rozdziały noszą imiona poszczególnych muz. Wreszcie *Opowiadania starego kaprala* to zabawne gawędy dotyczące wojska, przedwojennego, rozproszonego po klęsce wrześniowej i znowu konsolidującego się w Ziemi Świętej. Galeria typów, bogactwo anegdot i faktów, kapitalna narracja i głęboka refleksja płynąca z tych książek nadają im wysoką rangę w dziejach gawędy polskiej.

Na pierwszy rzut oka działalność ściśle literacka Włodzimierza Sokorskiego zaczęła się względnie późno, kiedy początkujący prozaik był już doskonale znanym dygnitarzem, o sposobie bycia znanym z barwnych plotek. Ale Sokorski debiutował już przed wojną, nie zaniebdał spraw literackich i podczas niej, a literatura mieszała się u niego zawsze z publicystyką.

Włodzimierz Sokorski (1908) po powrocie do Polski, po szkole w Łomży i studiach sinologicznych w Warszawie, związał się z lewicą i został członkiem KPP. W czasie wojny w ZSRR wstąpił do Związku Patriotów Polskich, był jednym z zastępców generała Berlinga, brał udział w bitwie pod Lenino. Potem w Polsce piastował najróżniejsze wysokie stanowiska, między innymi ministra kultury i sztuki oraz prezesa Radiokomiteu (był nim przez 17 lat!). Był jednym z promotorów polskiego socrealizmu, co można oceniać rozmaicie, i twórcą rozkwitu czarno-białej telewizji, czym oczywiście poczynił dla kultury szkody znacznie bardziej dotkliwe. Jest, a chyba i był zawsze, naprawdę uroczym człowiekiem, świetnym rozmówcą, sławnym kobieciarzem, jednym z mistrzów sztuki życia. Poznałem go, gdy był jeszcze prezesem RTV, i mogę zaświadczyć, że już wtedy nie dawał rozmówcy odczuć dzielącego ich dystansu. Co do sztuki życia, to np. Putrament twierdził, że Sokorski potrafił słodko spać na zebraniach, budząc się jednak zawsze w chwili stosownej. Ja dodam, że w takich sytuacjach jego twarz wyrażała zawsze skupienie i łagodną aprobatę, a zarazem czujność. Jeszcze parę lat temu powiedziałbym, że socjalistyczną... Sokorski, zwany ongiś w telewizji „Wujkiem Chłodkiem”, jest dla wszystkich pań do dwudziestego piątego roku życia i panów od tegoż roku poczynając po prostu Włodziem, a blask jego łysiny niczym słońce przyświeca w gęstniejącym warszawskim smogu (lub dymgle, jak chce Władysław Kopaliński).

Sokorski debiutował już w 1929, a pierwszą powieść *Rozdarty bruk* wydał w 1934. Nie dotarłem do niej, ale sam tytuł jest wymowny. Po czym przez lata uprawiał publicystykę, zebraną później w licznych czy raczej niezliczonych tomach. W naszej pamięci zapisały się: *Sztuka w walce o socjalizm* (1950), później zaś m. in. *Ludzie i sprawy* (1977) i *Refleksje o kulturze* (1980). Są zresztą i tutaj fragmenty wspomnieniowe, drobne fabuły etc. Podobnie

pograniczem literatury jest wielki reportaż *Dziennik podróży. Dwa miesiące w Chinach* (1954). Ścisłej literackie są *Okruchy* (1961), opowiadania o ludziach związanych z ruchem komunistycznym – zresztą Sokorski do pewnego momentu znał tylko takich, albo przynajmniej lewicowość udających. Paraliteracka jest książka *Polacy pod Lenino* (1971), bardzo osobista i o znacznie szerszych horyzontach niż tytuł wskazuje (m. in. o tym, jak ze Stalinem wino pił i głową kiwał, bo mówić przy nim nie śmiał). Wspomnieniowe są *Notatki* (1975), ale właśnie chyba wtedy Sokorski odkrył, że seks można nie tylko uprawiać, ale też warto jest o nim pisać. I tak zaczął się cykl powieści erotyczno-politycznych: *Piotr* (1976), *Kroki* (1978), *Umarli przychodzą nad ranem* (1980), *Zostać sobą* (1982), *Nie można powtórzyć* (1984). Przebiegnijmy je pokrótce.

*Piotr* od razu zdobył spory rozgłos i powodzenie u czytelników. Są to dzieje niedługiego wdowieństwa malarza Piotra Kołodzieja, byłego ministra (to bardzo ważne; nieomal każdy główny bohater Sokorskiego jest byłym ministrem), poruszającego się w wielokacie: żona, jej kochanek, jego – byłego ministra – kochanki, ich mężowie i kochanki mężów kochanek. Podróżuje, rozmawia trochę o sztuce, trochę o polityce. Akcję czynią kobiety, nieliczne, bo i czas krótki: Marta, Alina, Krystyna, Sylwia, Elza, Irena, Marysia, Tamara. Kobieta w istocie stanowi o sensie życia, a właściwie kobiety, bo nie należy poprzestawać na jednej. Wiele rozprawiano o panerotyzmie *Piotra*, choć sceny erotyczne w tej książce wcale nie są nazbyt zachwale.

*Kroki* mają przemyślniejszą i bardziej złożoną fabułę, chyba są też lepiej napisane. Minister proponuje scenarzyście Janowi nakręcenie filmu z jakiejś tam rocznicy, w czasach już gierkowskich. Film ma objąć historię i współczesność Polski. Przy okazji tej roboty na ministerialne zamówienie pokazuje Sokorski wszelkie absurdy „kierowania sztuką”. Ale jest i nurt drugi. Jan musi współdziałać z Maciejem, do którego właśnie odeszła żona Jana, Elżbieta. Taktownie postępując odzyskuje ją w końcu. Oczywiście przy okazji wiele sytuacji erotycznych i niemało dyskusji o estetyce. I „o życiu”. Właściwie dialogi Sokorskiego z kobietami to nieustanny flirt, czyli rozmowa, która sama przez się nic nie znaczy, a jest jedynie seksualnym sondażem (lub – w konkretniejszym sensie – do niego prowadzi).

Dwa wątki fabularne ma także powieść *Umarli przychodzą nad ranem*. Poseł i literat Jan Stefan natrafia na zwłoki zgwałconej dziewczyny, stąd śledztwo. Sam też prowadzi śledztwo w sprawie obecnych losów byłego partyzanta Rocha, który wojował z władzą, podczas gdy Stefan utrzymywał podstawy stalinizmu. Roch strzelał kiedyś do Stefana, ale nieskutecznie. Teraz sam zginie z ręki swojej żony. Do tego reminiscencje rozmów z ludźmi sztuki – Dąbrowską, Malraux. Dużo wszelakich dialogów, pochłaniających całkiem elementy sensacji.

W *Zostać sobą* były, przepraszam, przyszyły minister Adam Targowiak edukuje się przed wojną w gimnazjum łomżyńskim, potem na sinologii warszawskiej, uprawia politykę w PPS-lewicy, potem w Centrolewie, siedzi w więzieniu, działa, znowu siedzi, znowu działa. Przez cały czas ostro romansuje – najciekawszy podbój to kochanka jego ojca, ale poza tym sporo różnych obserwacji spod pierzyny (pod pierzyną Jola, Zocha, Cecha i inne), *notabene* sam Sokorski pod pierzyną musiał wyglądać interesująco. Wiele przeróżnych dyskusji, po trosze o wszystkim, ale tak naprawdę bohatera interesują tylko polityka i seks. Bez wielkiego trudu rozpoznajemy osoby przywołane pod własnymi nazwiskami we wspomnieniach, autobiografia jest oczywista.

*Nie można powtórzyć* to okres współczesny, bo obejmujący rok 1981 do 13 grudnia. Były minister Andrzej Sokolnicki przeżywa swój upadek i powrót do redakcji. Inny dygnitarz, Dragon, popełnia samobójstwo, toczy się śledztwo w tej materii. Oczywiście liczne kobiety, ale tym razem żywioł polityczny bierze zdecydowanie górę nad erotycznym. Powieść wzbudziła duże zainteresowanie, mnie się wydała nieco puszczona. Uderza wśród dyskutantów, ludzi przy władzy, zupełna bezradność intelektualna wobec „wydarzeń sierpniowych”. Oni nawet nie wiedzą, jak je nazwać: „rewolucja”, „kontrrewolucja”, wreszcie pojawia się znany

nam z natchnionej celności zwrot „słuszny protest klasy robotniczej”. Są w istocie na łasce i niełasce sloganu, a dyskusja jest wymianą stereotypów myślowych. Cóż to, na Boga, znaczy: „socjalizm wyzwolił kobiety”? To kobieta w kapitalistycznej Francji jest mniej wyzwolona niż w Polsce? Jest na odwrót, ale Sokorski nie napisze przecież, że „kapitalizm wyzwolił kobiety”. I bardzo dużo takich perełek. Ani słuszne, ani niesłuszne.

Niestety, jest to grzech nie tylko tej jednej książki. Oczywiście znamiona pośpiechu i wieloletniego trenowania mowy-trawy dają o sobie znać przede wszystkim w dialogach – w opisach ich nie widzimy. Zjawisko to obserwowałem u innych autorów, którzy przez wiele lat pracowali w administracji bądź w aparacie partyjnym. Zawsze „dryfowanie w prawo”, „nie wierzę w ludzi, wierzę w klasę” i mnóstwo innych podobnych mądrości.

Sokorski ma kilka obsesji. A więc byłego ministra, odchodzącej żony, zawinienia czyjejs śmierci, śniadania po miłosnej nocy, śledzia tudzież koniaku – tym zawężeniem smaku jestem doprawdy zdumiony. Czyżby przez pięćdziesiąt lat bankietów państwowych na tego jednego nieszczęsnego śledzia zwrócił tylko uwagę? To po co się kucharze wysilali? Miejmy nadzieję, że się kiedyś poprawi. Nie brak mu bystrości, pikanterii, poczucia humoru, ale ostrożny dygnitarz tak długo tłamsił pisarza, że teraz już tylko nic ino ten śledź, i śledź, i ta dupa Maryny (i wielu innych).

Podobnie jak Sokorski czy Auderska zaskoczył nas także Wacław Kubacki (1907-1992), naukowiec i eseista znany i uznany. Debiutował co prawda utworem literackim jeszcze w latach dwudziestych, ale po wojnie zyskał sobie sławę jako autor esejów i prac naukowych, choć wiedziało się także, że nie stroni od literatury, a ściślej mówiąc od dramatu. Głośny był przecież jego *Krzyk jarzębiny* (1949), dramat o Ludwiku Spitznaglu, przyjacielu Słowackiego, poecie i orientaliście, młodo zmarłym samobójcy. Przede wszystkim jednak Kubacki to autor takich książek, jak: *Krytyk i twórca* (1948), *Pierwiosnki polskiego romantyzmu* (1949), *Arcydramat Mickiewicza* (1951), *Palmira i Babilon* (1951), *Żeglarz i pielgrzym* (1954) i wielu innych. Dla mnie jako studenta prace Kubackiego znaczyły wiele, a przy tym zawsze znakomicie się je czytało. Tego rodzaju twórczość kontynuował Kubacki z wielkim powodzeniem – wymieńmy choćby *Z Mickiewiczem na Krymie* (1977). Ale jest to bodaj jedyny w Polsce uczony, który u szczytu uniwersyteckiej kariery zrezygnował z katedry na rzecz pisania. Cokolwiek o Kubackim się sądzi, była to decyzja niełatwa i godna szacunku.

Mimo że wiedziało się o jego literackich skłonnościach i próbach, mimo dramatów i *Kartek na wietrze* (1950) pojawienie się powieści *Smutna Wenecja* (1967) było całkowitym zaskoczeniem. Może dlatego, że książka szła mocno wspak ówczesnym tendencjom, że prezentowała prozę kwiecistą, pokumaną z esejem, otwartą. Sławił ją nawet Przyboś, dla którego skądinąd wzorcem niedościgłym była Dąbrowska, a więc ktoś najzupełniej odmienny. Potem przyszły kapitalne *Malwy na Kaukazie* (1969), coś pośredniego między reportażem a esejem, powieść *Koncert na orkiestrę* (1970), dwa tomy *Dziennika*, obejmującego lata 1944-1958 (1971) i 1959-1965 (1974), powieści *Sen nocy letniej* (1974) i *Temat z wariacjami* (1982). Dodajmy do tego *Tragedię Achillesa* oraz inne próby dramatyczne (1972). Książki Kubackiego, szczególnie powieści, są do siebie podobne, jeśli idzie o osobę narratora, przebieg akcji, sposób widzenia świata.

W *Smutnej Wenecji* młody polski historyk Tadeusz przyjeżdża do Włoch, by studiować dzieje Longobardów. W Wenecji poznaje młodą mężatkę Zanze i przeżywa płomienny i bardzo literacki romans, który niestety kończy się źle, gdyż naszemu bohaterowi włoscy imperialiści nie chcą przedłużyć wizy, a mąż Zanze nie wyraża zgody na rozwód. Trzeba wracać, Wenecję spowija smutek, a romans przekształca się w bolesną dantejską historię Paola i Franceski z Rimini. Ale zanim to nastąpi, Paolo zachwyca się malarstwem i architekturą Wenecji, jej urodą i kuchnią, snuje rozliczne reminiscencje i porównania, a nade wszystko planuje dzieło, którym będzie przecież właśnie *Smutna Wenecja*. Romans łączy się z reportażem, dziennikiem (który Tadeusz prowadzi), esejem. Cały zresztą utwór jest zbudowany z zesta-

wień, skojarzeń, cytatów, przywołań. Zarzucano mu wręcz sztuczność i literackość, ale nie wiem, czy to naprawdę można nazwać zarzutem. W każdym razie literackie i uczone bogactwo opisu jest bezsporne.

*Koncert na orkiestrę* to także historia wyjazdowa (skoro profesor Kubacki bez wyjazdu ani rusz, to czemu się dziwić statystycznemu Kowalskiemu, że naprawdę żyje dopiero „na delegacji”?) „Bo w delegacji jest liryka, co głos ma słodszy od słowika” – śpiewano w STS-ie). Szwajcarski kompozytor, wnuk polskiego uczestnika Komuny Paryskiej, jedzie do Paryża komponować „Koncert na orkiestrę”. Tu poznaje młodą malarzkę Ewę, z którą odwiedza miejsca pamiętne dawną miłością do Ireny, nie żyjącej od lat prawie dwudziestu. Konfrontacja osób i czasu, coś jak polemika z Proustem. Przez całą książkę przewija się przypowieść o Hiobie, szczególnie, bo prawdziwy upadek Hioba upatrująca w powrocie do zdrowia i bogactwa, w upadku „z wyżyn człowieczeństwa w nędzę sytości”. Drugim odniesieniem jest *Pieśń nad pieśniami*, ale przecież cała książka – zawieszona między romanssem, traktatem a esejem – jest, jak zwykle u Kubackiego, wyładowana po brzegi wszelakiego rodzaju doznaniem, porównaniami i erudycją. Pokażne miejsce zajmuje też kuchnia, czego wcale bym nie lekceważył.

Kolejna powieść to *Sen nocy letniej*. Tu z kolei mamy pisarza, który w latach pięćdziesiątych pracuje nad studium o szekspirowskim *Śnie nocy letniej* i ta właśnie praca jest osią książki. Akcja toczy się w Pliszkowie Wyżnym pod Poroninem. Naturalnie jest też romans, gdyż młode dziewczyny w każdej wiosce i mieście każdym żyją tylko nadzieją, że przybędzie profesor Kubacki i wykorzysta je niczym Kalibabka. Nie trzeba nawet mówić o bogactwie erudycyjnym narratora, o barwności opisów przyrody, co znowu jest, niestety, cechą dość rzadką naszej prozy.

*Temat z wariacjami* to książka bardziej zawiła, ale równie wieloplanowa. Bohater jedzie z wizytą do starej ciotki, snuje wspomnienia, przywołuje zasłyszane. Powieść składa się z trzech części: jugosłowiańskiej, czarnomorskiej i okupacyjnej – z narastającym tragizmem, z pocięciem roztaczającego się wokół człowieka piękna. W istocie rzeczy propozycje duchowe Kubackiego idą w tym kierunku, że wbrew wszystkiemu można interpretować świat jako miejsce ciekawe i piękne, choć na ogół smutne i tragiczne. Sposób interpretacji ostatecznie zależy od nas. Zwracano uwagę na zachłanność, na hedonizm Kubackiego. Ale dla literatury płyną stąd niezaprzeczone zyski – bogactwo wielokrotnego przeżywania życia, intensywności doznań. To samo w *Dzienniku* budziło bardziej może usprawiedliwione wątpliwości, gdyż Kubacki celebrytuje swoją osobę niekiedy w momentach historycznych, w których mało kto myślał wyłącznie o sobie. Zapewne, wszędzie u niego narcyzmu niemało i może to obciąża nieco te przecież mądre i pięknie napisane książki?

Wspomnijmy jeszcze, że podobną erudycyjnością i bogactwem zalecają się także dramaty Kubackiego – *Krzyk jarzębiny*, *Amiel* (1957), *Jakobińskie gniazdo* (1955), *Rzymska wiosna* (1955), *Tragedia Achillesa* (1977) – dramaty-przypowieści, niekiedy krytykowane, ale mające też zdeklarowanych wielbicieli. Na pewno autor to nie ubogi, ale bez miary sobą zachwycony. Ale nie spierajmy się o to. Docieńmy raczej to, co warte uznania i podziwu u tego autora, tak bliskiego poezji. Od której w istocie rzeczy w *Kartkach na wietrze* zaczynał:

„Ponad naszymi głowami niebo z gencjan i zachwytu. Dobrze jest, leżąc na strzępach traw, słuchać, jak w przyspieszonym rytmie oddycha dokoła świat. Cicho, na palcach stąpamy słysząc w oddali szepczący zdrój. Dziewczyna, ugasiwszy w strumieniu płonące wargi, pragnie, by tylko ptaki i zioła upiły się po nas śpiewającą wodą.

Natchnieni polotną ścieżką biegniemy kaskadą młodych nóg przez głązy i zasięki z kósówki, aż górę wyniosłą stoczymy w okruchach skał na miękką wśród stawów polanę.



Wieczorna rosa studzi w kamiennych zwaliskach płonące maliny. Gdy granatowe gencjany przyćmią na zboczach złocisty pył dnia, staje nade mną ciemność o ustach malin i słyszę przez sen stłumione szmery potoku, jak równy oddech dziewczyny.”

(*W górach, Karkonosze, lato 1948*)

Wspomnijmy o innym późnym debiutancie, na skromniejszą już skalę. Wacław Gralewski (1900-1972), dziennikarz i publicysta, ongiś trochę poeta i przyjaciel Czechowicza, współtwórca słynnego „Reflektora”, wieloletni redaktor „Ekspressu Lubelskiego i Wołyńskiego”, oryginał i „lubelski Münchhausen”, autor wspomnień i opowiadań bliskich wspomnieniom, bardzo w Lublinie ceniony. Wydał: *Pięść Herostratesa* (1958), *Ogniste koła* (1963) – opowiadania o ludziach sztuki przedwojennego Lublina, *Gorejące ślady* (1967), *Stalową tęczę* (1968) – niekiedy drastyczne wspomnienia o Czechowiczu, *Bieg po krawędzi* (1974). *Pięść* i *Bieg* to opowiadania przedwojenne i wojenne, niby autobiograficzne, nieco i dokumentarne, ale ich faktograficzną wierność mocno kwestionowano. Pewne jest natomiast, że Gralewski miał wycucie niesamowitości (opowiadanie *Strzyga*) i niezwykłości. Mówiono, że zajmował się magią i wiedzą hermetyczną, dziś powiedzielibyśmy: psychotroniką. W sumie jego utwory stanowią zajmującą lekturę.

Wraz z twórczością Juliana Kawalca (1916) wracamy do kompleksu wiejskiego, jednego z głównych i najbardziej obiecujących problemów współczesnej literatury polskiej. Można tak rzec nie tylko dlatego, że zdecydowana większość współczesnych Polaków to synowie wsi (a jeśli poszerzymy pojęcie wsi i o dwór, to zgoła naród cały – starego mieszczaństwa w Polsce prawie nie było), ale też i z tej racji, że współczesna zagłada, czy – jak kto woli – przemiana dawnej wsi jest czymś analogicznym do ruiny cywilizacji szlacheckiej na przełomie XVIII i XIX stulecia. Owa ruina wydała niemałą literaturę, z *Panem Tadeuszem* na pierwszym miejscu; mamy chyba prawo oczekiwać czegoś podobnego i dzisiaj. Już się to właściwie nawet spełniło, chociaż dziesięciu Goszczyńskich to jednak nie to samo, co jeden Mickiewicz.

Stronę w tej książce nie tylko od polityki, ale nawet od opisywania procesów społecznych, jeśli nie są one przedmiotem omawianych książek, czasem jednak obyć się bez paru ustaleń nie sposób. Przypomnę więc zasadnicze elementy sytuacji. A więc przede wszystkim trzeba wymienić industrializację, rozpoczętą już przed wojną, a gwałtownie się rozwijającą po 1945 roku. Po drugie, reforma rolna. Bodaj w dwóch trzecich została przeprowadzona do 1939 roku, ale na innych zasadach: nie tworzyła gospodarstw karłowatych i była odpłatna, zresztą w dogodnych ratach. Ocalała w ten sposób honor nabywcy, który nie był w tym układzie ani żebrakiem, ani wydziercą. Po wojnie zostało do rozparcelowania pięć procent ziemi, ale jednocześnie przybyły rozległe tereny rolne na Ziemiach Zachodnich. W rezultacie nagle ustał odwieczny głód ziemi, rozpoczęła się natomiast wielka migracja do miast. Wraz z dawną wsią przemija jej kultura, obyczaje, pieśni, lęki i nadzieje, symbolika, znajomość przyrody, po prostu wszystko.

A co się dzieje z jej mieszkańcami? Przenoszą się do miast, to wiemy. Ale wiemy też, że w Polsce kultura miejska nie jest czymś samoistnym, a raczej pochodną dawnej kultury szlacheckiej. Przynajmniej jeśli o inteligencję idzie, ale to ona mimo biedy pozostaje nadal jedynym właściwie wzorcem. W ten sposób rozdzielone dawniej dwór i wioska łączą się ostatecznie ze sobą. Są tu jednak różnice: dla upadłego ziemiaństwa miasto naturalnie nie było awansem, lecz katastrofą, natomiast dla chłopów początkowo stanowiło rzeczywiście awans. Początkowo, bo tymczasem sytuacja zmieniła się na tyle, że rodzinna chata jawi się w aureoli nie mniej świetlistej niż w ubiegłym stuleciu dwór szlachecki. W rezultacie mamy układ dość osobliwy: awans społeczny okazał się czymś innym, aniżeli wzrastanie w sensie moralnym, duchowym, człowieczym. Ileż dostojęstwa miałby bosonogi, o żyłastych rękach Kawalec na progu swej przygniecionej wiekiem chaty, gdzie pod strzechą jaskółki, na kalenicy bocian, a

nie opodal wierny Burek na łańcuchu, stadko wnuków i koza w obejściu. Naprawdę patriarcha, ojciec rodu. A tak – odizolowany od wszystkich pisarz, człowiek papieru, cóż z tego, że dobry...

Misterium ziemi, własnej roli jest więc dwuznaczne.

Ziemia jest błogosławieństwem i przekleństwem zarazem. Zabawne to trochę, ale narzuciło mi się tutaj pewne podobieństwo: powieść „chłopska” przypomina nieco „żydowską” właśnie w dialektyce przekleństwa-błogosławieństwa, a także cywilizacyjnego kresu, zagłady. I chyba determinacji. Oskarżano (!) o determinizm Kawalca, a przecież coś analogicznego odnajdziemy w epice skandynawskiej i skądinąd u Faulknera. Kawalca potem „broniono” równie bez potrzeby. Wolno było się ścierać z przeznaczeniem Sofoklesowi, czemuż by współczesny autor miał być ponad to czy mimo tego?

Sledziliśmy już przemiany kompleksu wiejskiego przed wojną, mówiliśmy o najwybitniejszym autorze wsi dawnej czy będącej dopiero na początku przemian – o Józefie Mortonie. Widzieliśmy, co wyczyniano z tym tematem w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, gdy prymitywizm szedł o lepsze z zakłamaniami. Układ materiału sprawił, że wybiegając naprzód, przyjrzeliliśmy się magicznej i zanurzonej w lirycie prozie Tadeusza Nowaka. Pokolenie Kolumbów nie wniesie zbyt wiele nowego, natomiast generacja następna to będzie prawdziwy wybuch: Myśliwski, Redliński (tu też miejsce Nowaka), Pilot, Trziszka, Wójcik, Bryll, Gerłowski i wielu innych. Nie zapominajmy także o poetach, z którymi już się zetknęli. Kawalec niezupełnie jest protoplastą tego ruchu; objawił się przecież dopiero w latach sześćdziesiątych. Znalazł się jednak w punkcie zwrotnym całej problematyki, a jego wpływ na następców jest bardzo istotny.

Julian Kawalec urodził się w samych widłach Wisły i Sanu, w wiosce Wrzawy pod Tarnobrzegiem, którą opisuje w każdej swojej książce. Do Warszawy nie mógł dotrzeć, gdyż na północ nie ma tam mostu, promu ani drogi, osiadł więc jeszcze przed wojną w Krakowie, gdzie skończył studia i gdzie zamieszkał. Parę lat temu, gdy mu proponowano prezesurę ZLP, zgodził się, ale pod warunkiem, że Zarząd Główny zostanie przeniesiony do Wrzaw, a w najgorszym razie do Krakowa. Debiutował w 1957, bardzo szybko osiągnął dużą popularność, której nie zmniejszyły znacząco przyznawane mu często nagrody i odznaczenia. Jest rasowym nowelistą, w jego powieściach można się też bez trudu doszukać struktury noweli. Wydał: tomy opowiadań – *Ścieżki wśród ulic* (1957) i *Blizny* (1960), *Ziemi przypisany* (1962) – powieść, *Zwalony więz* (1962) – opowiadania, *W słońcu* (1963) – mikropowieść, *Tańczący jastrząb* (1964) – powieść, *Czarne światło* (1965) – opowiadania, *Marsz weselny* (1966), *Wezwanie* (1968), *Szukam domu* (1968), *Szara aureola* (1972) – powieść, *Przeplynieś rzekę* (1973) – powieść, *Wielki festyn* (1974) – opowiadania, *Oset* (1977) – powieść, *Pierwszy białoreki* (1979) – opowiadania, *Ukraść brata* (1982) – powieść. Oprócz tego dwa dramaty – *Akt oskarżenia* i *Umierasz jak kot, umierasz jak król*, oparte na motywach jego prozy i pisane razem z Ryszardem Smożewskim. Jego twórczości poświęcono wiele publikacji prasowych i dwie monografie – Anny Marzec (*Proza Juliana Kawalca*, 1983 – przyp. red.) i Bogusława Sławomira Kundy (*Julian Kawalec*, 1984 – przyp. red.).

*Ścieżki wśród ulic* – opowieści nowohuckie (Kawalec pracował w tamtejszej rozgłośni radiowej) już samym tytułem ewokują naczelny problemat jego twórczości, *Blizny* to dwadzieścia kilka bardzo krótkich nowelek obrazujących, jak się zabiłnają – lub nie – przeróżne wojenne rany. A więc prawie trzydzieści wariantów sytuacji podstawowej – już wkrótce będzie to charakterystyczna technika literacka Kawalca. Bo właśnie dopiero teraz odkrywa on wieś i pisze jedną z najlepszych swoich książek – *Ziemi przypisany*.

Jest to relacja prokuratora, również ze wsi pochodzącego, dotycząca podwójnego mordercy Wojciecha Trepy. Po pierwsze, przed trzydziestu laty zamordował narzeczonego siostry, który – zbrojny jej ciężą – domagał się aż dwóch morgów posagu, podczas gdy całe ich nędzarskie gospodarstwo dwa i pół liczyło. Trepa zabija z rozpacz, a następnie przez ponad

ćwierć wieku ukrywa zbrodnię nawet przed najbliższymi. Już współcześnie zdradza mimowolnie ów sekret przewoźnikowi – te dwa morderstwa wiążą się z rzeką – i tego także zabija. Opowieść wyjątkowo zwarta i oszczędna – nie ma tu niczego zbytecznego. Postaci postępują tak, jak postępować po prostu muszą, sytuacja jest „szczelna”, nie pozostawia nikomu żadnego luzu, żadnego dobrego wyjścia. Konflikt niby swoisty dla wsi, jako że idzie o ziemię, ale nośność książki jest szersza i dotyczy losu każdego człowieka – krytycy prześlepiali to zapominając, że chłop nie jest istotą innego gatunku. Wartość najlepszych książek Kawalca właśnie na tej uniwersalności przesłania polega.

Ale to nie wszystko. Ironia losu sprawiła, że cała ta szamotanina o skrawek roli była po prostu niepotrzebna, gdyż już po kilku latach, jak o tym mówiliśmy, odmieniło się wszystko. Takie ustawienie konfliktu jest dla Kawalca typowe. Ale też z reguły rozpoczyna i kończy on swoje książki w momencie, kiedy wszystkie wydarzenia należą do odległej przeszłości. Wszystko jest tylko przypominaniem, retrospekcją. Dlatego właśnie tak istotna jest tutaj koncepcja narratora, na ogół pochodzącego również ze wsi. I tutaj, i gdzie indziej jego los stanowi inny wariant losu głównego bohatera.

W tej książce także ustala się styl kawalcowy, litanijny, pełen nieustannych nawrotów, przypominający chwilami stylistykę „poematu rozkwitającego”. Tu wreszcie kształtuje się obraz konkretnej wsi, który nie opuści Kawalca już nigdy – z wielką rzeką, wałami przeciwpowodziowymi, domem w sadzie na końcu wsi, wysokimi topolami. Brakuje tu tylko lasu – wystarczy spojrzeć na mapę, żeby zrozumieć dlaczego. W ogóle Kawalec ustanowił jakby matrycę swojej prozy, do której ustawicznie i obsesyjnie wraca, zresztą w wariantach na tyle nowych, że nie ma tu mowy o autoplagiacie.

Wydane również w 1962 roku opowiadania tomu *Zwalony więz* także są już całkowicie wiejskie i przedstawiają różne warianty „wychodźstwa”, a także bratobójstwo w sporze o łąkę, kładące się cieniem na przyszłych dziejach tego skrawka ziemi, zalewanie ziemi pod zapórę, podupadanie ojcowizny, „nowe” jako wypełnianie przykazania przodków – motyw później niezmiernie istotny – i tak dalej.

Dobra passa Kawalca nie opuszcza. *W słońcu* to książka znakomita, choć nie bardzo wiadomo, co to jest – powieść? opowieść? długa nowela? Narrator ratuje próbującego się utopić Starego, który snuje wielki monolog. Opowiada, jak jego wioska została zamieniona na miasto i o tym, że jego syn jest zapewne synem osiłka i obłąkanego Głupiego. Owego Głupiego, jak możemy się domyślać, Stary wepchnął do ognia. Ale pozbawiony swojej wioski i niepewny pochodzenia syna nie widzi sensu życia. Zwraca uwagę cała apokalipsa, rozpętująca się przy niszczeniu wioski i pól – śmierć ludzi i zwierząt. Ta okrutna śmierć zwierząt jest też stałym motywem Kawalca, a mnie jest smutno, bo, niestety, to prawda, że w stosunku do zwierząt jesteśmy ciągle dzikusami. Ponadto: odejścia, rozpad wszystkiego, bardzo głęboka niechęć do miasta, która odąd będzie się coraz bardziej nasilać. W stylu dominują refreny, niespieszna lamentacja, którą odnajdziemy także w prozie Brylla, Myśliwskiego, Wójcika – ciekawe, czy wzięli ją od Kawalca, czy sam temat coś takiego narzuca?

Z kolei jedna z najgłośniejszych książek Kawalca, moralitet *Tańczący jastrząb*, to dzieje Michała Topornego, który po wyzwoleniu, jako trzydziestoletni mężczyzna, rzuca wieś i rodzinę, kończy studia, żeni się z piękną kobietą. Córka zostaje lekarką, on z czasem dyrektorem górniczego zjednoczenia. Postępuje *per fas et nefas*, bywa podły i bezwzględny. Wreszcie nakazując wyciąć sosny w rodzinnej wsi – wbrew prośbom dawnych sąsiadów – doprowadza do śmierci dwóch osób. I oto następuje załamanie: zaczyna się dusić w demonicznym mieście, tęskni do wsi, ale nie ma już powrotu. Osamotniony, upadły popełnia samobójstwo. Wszystko to ma charakter nieco biblijny.

W różnych zbiorach opowiadań również znajdziemy warianty sytuacji podstawowej. Przywołajmy jeszcze dłuższą powieść *Wezwanie*, o wyjątkowo silnej symbolice. Narratora, emerytowanego nauczyciela, który nabył dom na wsi, odwiedza była właścicielka, *notabene*

jego dawna miłość, nie spełniona z racji jego lęków i małoduszności. Poznajemy jej zawiłą historię. Z niekochanym mężem miała dwóch synów, jeden został inżynierem i wyniósł się do miasta, drugi był szaleńcem, opętany pasją rzeźbienia, czy ociosywania. Szukając „kształtu”, skompromitował matkę i bratową. Dodajmy, że osią książki jest budowanie nowego domu, mnóstwo przy tym sytuacji symbolicznych – ze śmiercią budowniczego na czele. Nowy dom zostaje po jego śmierci sprzedany, a przy okazji wszyscy razem tak manewrują, by utopić owego szalonego rzeźbiarza, Ładnego Stefka, w bagnie. Co też się i staje.

Odejście pozostałych członków rodziny do miasta jest sprzeniewierzeniem się ojcu i w ogóle przodkom, znowu niewielka apokalipsa z wieszaniem starego psa. Właściwie wszystko, co się dzieje z rodziną Zawadów, jest symboliczne lub alegoryczne. Sytuacje, miejsca, dwaj bracia – biologiczne szaleństwo i płaski technokratyzm, skądinąd Kain i Abel (bardzo częsty archetyp), oprócz tego obsesja „rzeczywistości równoległej”, która u Kawalca oznacza rzeczywistość narratora. Powieść jest zresztą bardzo rozbudowana. Nikły uśmiech na końcu – być może starzejący się ludzie zostaną ze sobą – projektują wspólne pieczenie chleba, jeszcze jeden symbol z całej ich mnogości. Z dłuższych konstrukcji to chyba najlepsza książka Kawalca.

Dalej idzie mikropowieść *Szukam domu*, opowieść starego etnografa, pragnącego osiedlić się na wsi, która jednak go odrzuca, gdyż nie po to został przez „geniusza rodu” wysłany do miasta, by je potem porzucić.

Z kolei *Szara aureola* (tytuł odnosi się do stryczka), napisana na trzydziestolecie PPR, to opowieść o tym, jak źli reakcyjniści paskudnie traktowali dobrą władzę ludową, gatunek literacki rozpowszechniony od Machejka po Bordowicza. Konkretnie: B. M. wiesza A. W. za to, że przyjął dworską ziemię. Po latach syn A. W. odnajduje B. M., ale ten jest już umierający. Wszystkie cechy kawalcowe i tu zostały zachowane. Zbyteczne mówić, że spada na niego z tej okazji deszcz nagród i odznaczeń.

W tymże 1973 roku z podobnych pobudek zrodziła się powieść *Przepłyniesz rzekę*, książka dydaktyczno-produkcyjna o młodym chłopaku, który odchodzi ze swej spokojnej, pryncypialnej wsi, by budować Nową Hutę. Utwór nosi znamiona patosu epoki, w której powstawał, zyskał zaś duże powodzenie, co prawda nie tyle u czytelników, co u władzy, zwłaszcza zaś w Związku Radzieckim. Dodać warto, że w *Szarej aureoli* rozmiłowało się NRD. Trzeba rzec sprawiedliwie, że książki te, szczególnie *Przepłyniesz*, ratuje w jakiejś mierze bardzo piękny język.

*Oset* to znowu powieść wybitna i również pełna symboli. Centralne pojęcia to dom i dziedzictwo. Zaczyna się od pożaru, wzniesionego przez podpalacza w imię wizji przyszłej wsi, murowanej w sadach, co się też spełnia, ale podpalacz zostaje ukamienowany przez starców. Bohater, którym jest tu sam narrator (podobnie było w *Przepłyniesz rzekę*), zostaje architektem, planuje coś w rodzaju miasta-wsi-ogrodu. Ale jego bardzo udane małżeństwo jest bezpotomne, a zatem ojciec bohatera nie ma dziedzica, co szczególnie mocno przeżywa i podejmuje żalostną próbę splodzenia jeszcze jednego dziecka. Rzecz kończy się niejasno – być może głowa rodu popełni samobójstwo. Archetypy i symbole na każdym kroku, zresztą bardzo udane.

Wreszcie *Ukraść brata*, powieść dziejąca się w latach 1938-1945, to próba dialogu wsi z dworem, wedle kawalcowej recepty i poetyki.

Bardzo mi się rozrósł ten przegląd głównych dzieł Kawalca, ale trzeba przyznać, że jego książki z wielką siłą wciągają komentatora w swoją orbitę. Bo i autor bardzo wybitny. Choć zarazem obsesyjny, nieomal manieryczny, wiecznie powracający do podstawowych napięć między tradycją a zmianą, między wsią a miastem, między tymi dwoma biegunami ludzkiego losu, z których żaden w pełni szczęścia nie daje.

To właśnie Kawalec otwiera ten nowy sposób mówienia o wsi, który przesuwa akcent ze spraw społecznych na metafizyczne i poprzez medium wsi, tradycji i rewanzu podejmuje problem sensu życia i powołania człowieka.

Dość niespodziewanie jako prozaik objawił się w latach siedemdziesiątych Józef Ozga-Michalski (1919), którego poezję poznaliśmy już wcześniej. Nie całkiem może niespodziewanie, bo już przedtem publikował powieści i nowele, ba, już przed wojną drukowane „godki” *Lysica gwarzy* (1938) były przecież spisane prozą. Ale na ową prozę nie zwracało się specjalnej uwagi, bo ta przedwojenna była na w pół poezją, a powojenna natomiast wątpliwa i ginąca w poezji cieniu. Właściwie dopiero dwie późne książki magiczno-sowizdrzalskie z nagłą ustaliły wcale wysoką rangę Ozgi-Michalskiego jako prozaika.

Zaczął się *Ludowym potokiem* w 1951 roku, powieścią „partyzancką”. Rzec nie nadaje się już dzisiaj do czytania, choć została nawet „potoczyście” napisana. Lecz skoro autor był przez długie lata dygnitarzem, to musiał dopasować swoje utwory do swojej sytuacji politycznej. Toteż dowiadujemy się, jak to paskudna i wsteczna była ta Armia Krajowa. Oto jak przemawia jeden z dowódców partyzanckich:

„Bolszewicy przekraczają Bug! (...) I my musimy przekroczyć w takiej chwili tę granicę, która sztucznie oddzielała nas dotąd od hitleryzmu. Najwyższy czas! Ja się nie kryję, z całą świadomością sprowadziłem gestapowców, aby zadokumentować, że walczymy razem, że takie są perspektywy dalszej walki!”

Co prawda to niby zdradziecki wyjątek, ale zawsze... Potem przyszły opowiadania *Nocna przygoda* (1955), *Smutne i wesołe* (1956) i zupełnie już sympatyczne *Wieczory na Łysej Górze* (1966).

Wszędzie tu dominuje fascynacja krainą świętokrzyską, ujawnia się też poczucie humoru autora, upodobanie do paradoksu i do niezwykłości. Kiedy tylko rozsądek i polityczne rozeznanie mówią mu, że to możliwe, Ozga staje się sobą, życzliwym ludziom kpiarzem, miłośnikiem dobrej kuchni i napitków, nieprzyjacielem każdej kusej kiecki na drodze. Trudno już nawet spaściętać, ile wysokich funkcji sprawował. Głośną i barwną postacią wśród ludowców był najpierw słynny Dąb-Kocioł (znacie tę anegdotkę? No to posłuchajcie: co to jest – leży pod dębem i jęczy? – Sekretarka Dąb-Kocioła), potem Ozga właśnie. I znowu te powinności dygnitarzkie. W nie najgorszej nawet mikropowieści *Młodzik* (1969) – a była to wtedy epoka kiepskich stosunków między państwem a Kościołem („Nie damy wizy papieżowi”) – biskup nakazuje klerykom obciąć żebrakowi nogę z racji niestosownego tatuażu... Stamtąd też dowiadujemy się, że w Kieleckiem należy płacić za spowiedź i komunię. Mogłoby to uchodzić za wytwór fantazji autora, ale w sumie robi raczej niemiłe wrażenie. Ciekawe, że te motywy księżowskie zupełnie odmieniają swą naturę już w niewiele lat potem. Co to takiego, jakiś uraz z dzieciństwa? Podobne androny przy innych okazjach czytaliśmy u Brychta i Napiórkowskiego. Przyznam, że mnie nigdy nic takiego nie spotkało, choć uczyłem się w gimnazjum biskupim, mieszkałem w różnych internatach prowadzonych przez duchownych, a do dziś żywię najgłębszy szacunek do jezuitów. Oczywiście, duchowni też są ludźmi pełnymi wad, ale po cóż ich pomawiać o jakieś zbrodnie i łajdactwa?

Nierównie lepsza jest obszerna powieść, panorama wojenno-okupacyjna *W kogo trafi grom* (1978), choć i tu trafiają się różne słodycze: „socjalistyczna polityka miłości bliźniego przełamała zaklęte rewiry, stawała się wreszcie polityką pokoju, dla której nie będzie końca świata” – powiada o polityce Stalina. Trzeba jednak przyznać Ozdze konsekwencję – w jego gabinecie aż do lat osiemdziesiątych pysznił się portret Bieruta.

Zupełnie inne były dwie książki: *Sowizdrzał świętokrzyski* (1972) i *Czary miłosne* (1984), z pewnością najlepsze, jakie Ozga-Michalski napisał. Akcja obu dzieje się w Górach Świętokrzyskich. W *Sowizdrzale* młody Jan Kolasa (czy nie ma tu żadnego związku z Colasem Breugnon?) przedzierzga się w wikarego i uczestniczy w niezwykłych przygodach, w których mieszają się elementy folkloru i historii regionu. Trochę to jakby dzieje się przed wojną, trochę kiedyś, trochę w beczasie. Nade wszystko na plan pierwszy wybijają się osoby

duchowne – biskup, księża, mnisi, mniszki – już bez nijakiego pomawiania, nie to, że o zbrodni, ale i o sprośności jakiegokolwiek. Ot, dobrodusze grzechy picia i jedzenia. Przygody są przedziwne, nocne wędrówki podziemnymi korytarzami, wydobywanie starych dzwonów ze zburzonego kościoła, polowania i niezwykła jazda na dziku, ożywianie kamiennych figur i podgwiezdne, zaklęte loty nad Łysą Górą. Ozga wywołał stare duchy, wskrzesił mit miejsca. Stoi za tym pewna koncepcja, koncepcja świata plastycznego, uległego fantazji, pięknego i boskiego zarazem.

Jan Kolasa jest w zgodzie ze wszystkim, jego figle są pomocne ludziom, a nie złośliwe i szkodliwe. Pewnie, jest to niezwykle cielesne, a z dawnej tradycji sowizdrzalskiej zostały nie tylko odwołania do talerza i kielicha, ale także i do zadka. Zarazem sfera magii i czarów, ale krotochwilnie. Zresztą wszystko tu jest krotochwilą, i to celnie utrafioną. To z pewnością najlepsza książka Ozgi-Michalskiego, co wkrótce potwierdzili czytelnicy.

Dalej jeszcze idą *Czary miłosne*. W zasadzie ten sam region, powiększony o podolską wyprawę bohaterów, ale wszystko dzieje się w XVII wieku i zostało znacznie bardziej odrealnione. Zwłaszcza język wykazuje wyraźne już znamiona nadrealizmu. Tu bohaterem głównym jest zbójnik świętokrzyski, Kakus z Kakonina, ale występują także jego współtowarzysze i dziewczyny, demoniczny karczmarz, biskup Zadzik, panowie i król we własnej osobie. Jest to jakieś połączenie „chłopskiej” i „pańskiej” mitologii magicznej. Chyba także udane, choć do tego i owego miałbym zastrzeżenia – fabuła w istocie gubi się. Ale, jako się rzekło, trzeba przyznać, że Ozga stał się jedynym nieomal pisarzem, który potrafił połączyć folklor, magię i historię, stworzyć literaturę i regionalną, i uniwersalną zarazem. Jest tu, dodajmy, i przekaz historiozoficzny, wykraczający chyba poza chłopskie rewindykacje. No i szczęśliwy był pomysł z przywołaniem archetypu sowizdrzała, w którym pewnie sam Ozga chciałby się przejrzeć. No i popatrz, Józiu, jak tyś się marnował przez to dygnitarzowanie! Warto to było? Nawet biorąc pod uwagę „socjalistyczną politykę miłości bliźniego”?

Elementy sowizdrzalskie odnajdziemy także w prozie Romana Turka (1898-1982), autora, który debiutował bardzo późno, bo już po sześćdziesiątce, i od razu pierwszą książką zdobył uznanie. Był samoukiem, dzieckiem wiejskiej biedy, uczestnikiem trzech wojen. Pracował przez kilkadziesiąt lat w likierni łańcuckiej, która w czasach Potockich rzeczywiście likiery produkowała, dzisiaj raczej siwuchę, jeśli nie liczyć słabej, ale niezłej wódki „Łańcuckiej”. Turek, znakomity gawędziarz, zdążył po przejściu na emeryturę napisać około dziesięciu solidnych książek, opartych głównie na własnej biografii, chociaż pod koniec pokazał, że potrafi się bez niej obyć. Co prawda tyle jest w jego książkach fabularyzacji, że próżno by pytać, gdzie fakty, a gdzie zmyślenie.

Wydał: *Moja mama, ja i reszta* (1961), *W służbie najjaśniejszego pana* (1962), *Palacz z hrabiowskiej likierni* (1977), *Pokusy* (1979), *Topiel* (1982), *Zamęt* (1982), *Ostatnia karczma* (1983), *Parada życia* (1984), *Wróc, ucałuj...* (1987). Turek potrafił tak gospodarować swoją biografiją, że wystarczyło jej na wiele tomów i choć niekiedy powtarza te same wydarzenia, nigdy nie nudzi. Występuje jako Tatar, już w ten sposób dystansując się od czystej faktografii. Ale przecież gołym okiem widać, że to kopalnia wydarzeń autentycznych, galeria przeróżnych typów, miejskich, wiejskich i wojennych. Największe powodzenie miała *Moja mama, ja i reszta*, gdzie Turek opisuje swoje dzieciństwo i potworną nędzę galicyjskiej wsi. Robi to jednak z humorem, z dystansem. *W służbie najjaśniejszego pana* to oczywiście pierwsza wojna światowa. W książce do głosu doszły powinowactwa z Haszkiem, na co Turek zżymał się mocno, przypominając, że Haszek za nic miał swoją ojczyznę, a on, Turek, jest przecież patriotą. Ale miał chyba na myśli inne swoje utwory. Tu byłoby miejsce na *Wróc, ucałuj*, ale właśnie ta książka musiała czekać dwadzieścia lat na wydanie. Nic dziwnego, dotyczyła 1920 roku, a wojnę polsko-rosyjską jeszcze w latach sześćdziesiątych uważano za „niebyłą”. I chociaż Turek pisał ostrożnie, chociaż jego narrator celowo nie miał nazbyt szerokiego pola widzenia, to książka musiała czekać na druk do 1987 roku.

*Palacz z hrabiowskiej likierni* to okres międzywojenny. Ciekawe są tutaj kontakty Potoczkich ze swoimi pracownikami, wspólne wigilie, bale, w których uczestniczyli i potentaci, i robotnicy. Obraz tych stosunków przypomina trochę wizerunek ordynacji Krasińskich Stanisława Łukasiewicza. Praktyka była po prostu inna, bardziej familiarna, niż ją rysują przeróżne podręczniki walki klasowej. Oczywiście, zachowywano ogromny dystans, ale nienawiść była obca obu stronom.

*Pokusy* to zbiór opowiadań na podobne tematy, natomiast *Zamęt* i *Topiel* to ciąg dalszy biografii autora, bardzo literacko dojrzały. Henryk Bereza widział w *Zamęcie* powinowactwa z Paskiem. I chyba miał rację. *Zamęt* to po prostu Wrzesień, w którym walczy oddział Turka, teraz już plutonowego, nie mogący trafić do miejsca przeznaczenia, *Topiel* zaś to pierwsze miesiące okupacji, a *Parada życia* to zbiór opowieści z różnych czasów. *Ostatnia karczma* zajmuje pozycję szczególną. Są to dzieje dwustuletniego sporu o serwitut między Łącutem a wsią Podzwierzyniec, która ostatecznie stała się częścią Łącuta. Wszystko koncentruje się tu w karczmie, która przez lata zmienia właścicieli i klientów. Nie brak także elementu fantastycznego – ale moce diabelskie i duchy przeróżne towarzyszyły Turkowi przez całe życie.

Narratora tych książek, właściwego i zasadniczego bohatera, kojarzono z Colasem Breugnon, Szejkiem i Sowizdrzałem. Rzeczywiście, jest to rezolutny figlarz, ale przychylny ludziom, z dużą dozą stoicyzmu poruszający się po niełatwym przecieź życiu. I oprócz znakomitego języka, oprócz parady kapitalnych typów to właśnie ludzkie ciepło jest chyba szczególnie cenionym przymiotem turkowego pisania. W każdym razie jego książki przerosły formatem amatorskie pamiętniki i tzw. literaturę ludową.

Ciepłem i figlarnością, choć już zupełnie nie wiejskim tematem, promieniują książki Władysława Zambrzyckiego (1891-1962), przywróconego literaturze po roku 1956. Rozstaliśmy się z nim jako twórcą felietonu sądowego, gatunku tak wspaniale rozwiniętego później przez Wiecha i autora ślicznej *Naszej Pani Radosnej*. W 1947 ukazały się jeszcze *Mgły nad Skaldą* i zaległa cisza, autor zaś pracował w „Expressie Wieczornym”, prowadząc głośnie rubrykę „Kto chce, niech wierzy”, przemianowaną później na „Kto chce, niech czyta”. Po okresie milczenia wydał: *Pamiętnik Filipka* (1956), *Kwatera bożych pomyleńców* (1959) i *Kaskadę Franchimont* (1962).

Książki te są osobliwe – składają się z dziesiątków anegdot, osobliwości, dziwnych i drobnych przygód, często przywołują Belgię, gdzie autor uczył się i studiował, a potem niejednokrotnie tam wracał. Czytałem korespondencję belgijską Zambrzyckiego z moim ojcem, z którym się przyjaźnił – dałoby się z niej złożyć jeszcze jedną, równie mądrą i zabawną książkę. Niestety, nie udało się jej uchronić i zaginęła. Niebywały kpiarz i figlarz, dworujący po trosze ze wszystkich. Opisywane przez niego sytuacje bywały autentyczne. On rzeczywiście odbił podobiznę Kopernika, zaopatrując ją w podpis „Święty Alabaster, patron Kurpiów” – i rozprowadzał po jarmarkach i odpustach kurpiowskich. Naprawdę podrzucił dziennikarzowi-koledze „hasła oświatowe”: „Szerz oświatę wśród zdunów. Naucz czytać jednego zduną. Pokaż zdunowi choć cztery litery” i wiele innych. Niektóre z tych dowcipów wydają się po latach wątpliwe i przysporzyły Zambrzyckiemu niemało kłopotów. Sam powoływał się na belgijską *zanze* – bezinteresowny, anonimowy dowcip.

*Pamiętnik Filipka* to relacja z pruskiej okupacji Warszawy przed wkroczeniem Napoleona, spisana z punktu widzenia chłopaka do posług, czytanego, choć naiwnego. Kronika spraw małych i dużych, zestawionych z wdziękiem i sentymentem. Dowcip i sentymentalizm czy nawet patos kojarzyły się u Zambrzyckiego zawsze. Tak jest również w *Kwaterze bożych pomyleńców*: Tu czterech starszych panów w czasie powstania opowiada sobie różne mądre i uciężne historyjki i dyskutuje o osobliwościach. Lecz jest to coś znacznie więcej niż dowcip – wyjawia się tu dziwność świata, a poprzez tę dziwność – i szczególne piękno. Osobliwością są pewne akcenty religijne, bo Zambrzycki był w zasadzie niewierzący. Zdarzyła mu się szczególna przygoda – wybuchła mu przed oczyma próbówka ze środkami wybuchowymi –

był to rok 1920, Zambrzycki pracował wówczas jako chemik w rozpaczliwie się spieszącym przemyśle zbrojeniowym. Siostra w szpitalu namówiła go, aby przyrzekł, że uda się z pielgrzymką do Lourdes. Zambrzycki wzdrygał się, ale dla świętego spokoju złożył stosowne ślubowanie. Wzrok odzyskał, choć zostały mu w oczach odłamki szkła, a o Lourdes naturalnie zapomniał. Po latach był jednak przypadkiem w pobliżu i zajrzał tam, wiedziony ciekawością turysty. I nagle, mimo że nie odczuwał żadnych szczególnych wzruszeń, poczuł, że z oczu płyną mu strugi łez. A ze łzami wypłynęło szkło... Nie nawrócił się wprawdzie, ale... Wyszło tak jak w *Dziadach* – Polak kpi z religii, ale czci Madonnę.

*Kaskada Franchimont* przenosi nas do Brukseli i w Ardeny. Tu spotykają się bohaterowie jego różnych książek, *Naszej Pani Radosnej* i *Kwatery*, poznają osobliwości Belgii, przeżywają drobne i zabawne przygody. I ta, i inne książki Zambrzyckiego łączą dowcip, ciepło i dobro, usiłują w koszarze świata stworzyć enklawę piękna i rozumu.

Prawdziwym i niezmożonym patriarchą literatury współczesnej był z pewnością Stanisław Helsztyński (1891-1986), anglista, polonista, tłumacz, poeta, eseista i powieściopisarz, autor niesłychanie płodny, cieszący się dobrą kondycją intelektualną, niemal do ostatnich godzin życia. Prawdziwa kopalnia wiedzy i zainteresowań wszelakich – tłumaczył bez trudu z hebrajskiego, greckiego, o nowożytnych językach już nie wspominając, jeden z wybitniejszych anglistów polskich, autor tak głośnych i wznawianych zbiorów studiów, jak *Od Szekspira do Joyce'a* (1939), *Od Fieldinga do Steinbecka* (1948), *Od Chaucera do Ezry Pounda* i przede wszystkim biografii Szekspira *Człowiek ze Stratfordu* (1963), nie licząc już sudiów o wielu innych autorach. Nie były to może prace rewelacyjne na skalę światową, ale w Polsce spełniły ogromną rolę wychowawczą i popularyzatorską.

Bodaj ważniejszy w jego twórczości był nurt polonistyczny dotyczący Młodej Polski, a nade wszystko Przybyszewskiego. To Helsztyński zebrał i wydał trzy ogromne tomy jego korespondencji (I i II w latach 1937-1938, III w 1954), jest też autorem opowieści biograficznej *Przybyszewski* (1958), *notabene* chyba to najlepsza książka Helsztyńskiego. Uważał go zresztą za pisarza wielce odkrywczego, niemal na miarę światową.

Uprawiał także i poezję, przed wojną wydał osiem tomów sonetów, głównie opisowych. Pochodził z zamożnej chłopskiej rodziny, osiadłej w Wielkopolsce od wieków, z czego był bardzo dumny. Toteż motywy wielkopolskie dominowały zarówno w jego wierszach, jak i w esejach, czy też późniejszej prozie. Wierszem tłumaczył także biblijnych proroków i wielu poetów angielskich.

Pewne wycieczki w stronę prozy podjął już przed wojną, a trzeba dodać, że i jego biografie do prozy wyraźnie się zbliżają. W wieku mocno podeszłym, bo właściwie pod osiemdziesiątkę, odkrył nagle w sobie prozaika i czym prędzej napisał około dwunastu powieści, nie zrywając przy tym z nauką i nie oszczędzając czasu na pisanie obszernej autobiografii. Domeną, którą odkrył dla swojej prozy, była historia. I to przede wszystkim historia związana z zachodem Polski. Cóż, powiedzmy sobie szczerze, że Parnicki to z niego raczej nie był, a większość jego powieści to utwory młodzieżowe, z akcją dość uproszczoną i naiwną. Ale przecież nie jest to grafomania, książki te miały czytelników i były licznie wznawiane. Helsztyński dopracował się w końcu własnej, szczególnej formuły. Narratorem czyni jakiegoś prawdziwego lub wymyślonego kronikarza. Miały to więc być stylizacje, ale to zamierzenie nie w każdej książce się powiodło. Zdarza się, że autor wpada w zwyczajne relacjonowanie dat i faktów. Co zresztą nie było aż tak naganne, bo te fakty znał rzeczywiście solidnie i lepiej od czytelnika.

Zaczął od powieści historycznej z 1848 roku *Pluton kosynierów* (1958), wnet jednak cofnął się znacznie w przeszłość dając *Zmierzch Popielidów* (1964), sagę z drugiej połowy IX wieku. Upadek Popielidów od czasów *Starej baśni* Kraszewskiego budzi coraz żywsze zainteresowanie, poprzez Gruszecką do Nienackiego. Helsztyński poszedł drogą tradycyjną wiążąc Popielidów z obcą, skandynawską interwencją. Sławne myszy to dla niego nie myszki, ale Miszki – niedźwiedzie. Gruszecka ze swoimi Chościeszami jest bardziej intrygująca.



Później przysły: *Piotr i Skarbimir* (1972) i *Kronika Maura* (1973) – z kręgu tematów Gallowych z Piotrem Włastem, *Sekretarz królowej Sofii* (1977) – z pierwszej połowy XV wieku, o Jagielle, Sonce, Spytku itd., *Obrona Janka z Czarnkowa* (1977), *Ulubieniec muz* – o Klemensie Janickim, *Reformator Sarmacji* – o Janie Łaskim Młodszym, *Uczeń Amosa* (1976) – o Komeńskim, *Feliks i Lucyna. Historia życia Gostynia i Rydzyny w XVIII wieku* (1979). Osobno stoi *Apokryf śląski* (1979) – dzieje śląskich średniowiecznych ksiąząt i księstewek. A i to bynajmniej nie wszystko.

Styl Helsztyńskiego dziedzi (zwłaszcza we wcześniejszych utworach) wiele po Młodej Polsce, a czasem zyskuje klarowność. Siłą Helsztyńskiego jest raczej porządkowanie niż tworzenie nowych koncepcji.

Bardzo ciekawy pogląd miał na historię Gracjan Bojar-Fijałkowski (1912-1984), przed laty zawodowy oficer ułanów, osiadły przed trzydziestu laty w Koszalinie, pisarz o późnym, ale interesującym starciu. Otóż Fijałkowski sądził, że kluczem do wielu tajemnych a decydujących spraw mogą być dawne podania i legendy – i w tym zakresie prowadził swe badania. Ponieważ jest to i mój pogląd, toteż rzadkie, niestety, rozmowy z Gracjanem były szalenie interesujące. Było i tak razu pewnego, że wsiedliśmy do slipingu w Koszalinie i do Warszawy nie zdążyliśmy się położyć, bo nam było żal przerwać rozmowę. Wielkie plany Fijałkowskiego pozostały jednak w załączku. Co prawda nie takim małym – rozpoczął od opracowywania mitów i baśni pomorskich. I zdążył wydać: *Morze szumi jak dawniej, Opowieści* (1961), *Pieśń Swantibora. Baśnie i podania Pomorza Zachodniego* (1964), *Legendy koszalińskiego grodu* (1972), *Legendy znad drawskich jezior* (1974), *Legendy ze słowiańskiej checzy* (1976), *Szczęście pod jaskółczym gniazdem* (1986), *Święty Otton z Bambergu* (1986), *W krainie Gryfitów* (1986). Osobne miejsce zajmuje książka historyczno-eseistyczna *Mury Drahimia* (1982), o jednym z najciekawszych zamków na pograniczu Pomorza. Ale miał to być zaledwie wstęp, początek... Z jego badań nad praktykami tajemnymi zakonów rycerskich, templariuszy i krzyżaków, z poglądów na temat magii chyba nic nigdy nie przedostało się do druku. Ale ten dział jego twórczości jest bardzo popularny i nieustannie wznawiany, choć czytelnicy nie muszą wiedzieć, ku czemu to wszystko wiodło.

Znane są natomiast jego prace z zakresu problematyki II wojny światowej, uwieńczone doktoratem z historii. Dotyczą zwłaszcza losów jeńców wojennych, obozów koncentracyjnych, ruchu oporu. Przy tej okazji powstało też kilka utworów literackich. A więc zbiór nowel *Powilcze* (1971) i wspomnienia *Powrót z tamtego brzegu* (1984), oparte na autobiografii, dość zawilej. W każdym razie kampania wrześniowa, internowanie na Litwie, konspiracja, Oświęcim i wreszcie służba w szeregach armii francuskiej. Fijałkowski pisał żywo i zajmująco, miał zmysł paradoksu i zaskoczenia. Przedwczesna śmierć sprawiła, że najważniejsze zachował tylko dla siebie.

Historią zajmował się także Janusz Teodor Dybowski (1909-1977), wychowanek Wilna i Fryburga, działacz emigracyjny, bibliotekarz, edytor, kierownik literacki teatrów. Pozostawił po sobie obfitą spuściznę w różnych gatunkach, o umiarkowanej literackiej reputacji. Samych dramatów jest dwadzieścia kilka. W każdym razie to właśnie jego *Kościuszkę w Berville* obrał sobie Ludwik Solski na siedemdziesięciopięcioletnie pracy twórczej w 1950. Był raczej pisarzem młodzieżowym, zwłaszcza jeśli idzie o prozę, którą, podobnie jak Helsztyński, zajął się w późniejszym okresie życia. A nawet i te książki, które nie noszą etykietki młodzieżowych, z największym pożytkiem przez młodzież czytać się dają.

Dybowski zajmował się prehistorycznymi dziejami Kalisza – *Gorące wici* (1962), a także jego dziejami współczesnymi, okupacyjnymi – *Saga grodu nad Prosną* (1975), sięgał do dawnej Grecji – *Światło nad Helladą* (1963) i *Ocalenie Syrakuz* (1966) – przywołując otoczenie Sokratesa i Platona. Najlepsze literacko i najchętniej czytane są jego książki z cyklu „jagiellońskiego”, a więc *Hołd pruski* (1964), *Błazen starego króla* (1967) i *Wieża Czarnej Księżniczki* (1968) – ta ostatnia poświęcona pokrętnym, głośnym a smętnym dziejom Halszki na

Ostrogu (skądinąd umiłowany temat Leona Gomolickiego). Dopelnia je powieść *Wojenny pan* (1973) – rzecz o Batorym. Dybowski daje panoramę społeczną z romanssem typu „płaszcz i szpada”. To zresztą także nie wszystko, bo są jeszcze powieści o powstaniu listopadowym, o Komunie Paryskiej, obszerna autobiografia, publicystyka... W sumie to autor należący do ważnego literackiego tła, nie bez różnorakich, poważnych zasług kulturalnych.

Do historii, ale niedawnej sięgał także Eustachy Czekalski (1885-1970), pochodzący ze staromiejskiej, warszawskiej rodziny rzemieślniczej. Prawnik, redaktor, autor dwudziestu kilku powieści i dramatów napisanych przed wojną, w których znany mu świat warszawskiego ludu na siłę łączył z „wyższymi sferami”. Właściwie dopiero u schyłku życia napisał Czekalski dwie książki, które przyniosły mu popularność. Jedną to *Czarodziejskie skrzypce* (1958) – opowieść o Henryku Wieniawskim, druga to głośna książka *W cieniu zamkowego zegara* (1956). Jest to zbeletryzowana opowieść o dziecięcych latach autora, o starej Warszawie rzemieślniczej, jej obyczajach i osobliwościach. Napisana z wielkim ciepłem, jest zarazem bardzo interesująca, bo przynosząc mnóstwo zamierzonych już szczegółów obyczajowych sprawia wrażenie, jakbyśmy oglądali jakieś egzotyczne miasto. Czy ktoś wie na przykład, że paskudnej pamięci rusyfikador i kurator szkolnictwa z końca ubiegłego stulecia, Apuchtin, wydał „podręcznik” języka polskiego dla Polaków, w którym wprawdzie były teksty polskie, ale transkrybowane na alfabet rosyjski, co nawet rosyjska prasa powitała ze śmiechem... I takich szczegółów jest sporo, co sytuuje książkę gdzieś między *Wspomnieniami niebieskiego mundurka* Wiktora Gomulickiego a *Pamiętnikiem Filipka* Władysława Zambrzyckiego.

O wiele szerszą perspektywę przynosi pisarstwo Lwa Kaltenbergha (1910-1989). Wykształcony we Lwowie, w czasie wojny przebywał na Węgrzech i na Bałkanach, co miało później odegrać rolę istotną. Kaltenbergh to postać nieco legendarna – słynie ze swojej wiedzy, ale też i fantazji, by nie rzec: mistyfikacji. Najogólniej mówiąc, zajmuje się historią i legendą kultury, staropolskiej, naddunajsko-bałkańsko-czarnomorskiej, ale także modernistycznej, a również i piracko-marynistycznej. Toteż nie mogą dziwić nieoczekiwane zestawienia, dziwne książki, szczególne tematy. Stąd więc trawestacje poetyckie – *Ballady siedmiogrodzkie* (1959), to znów zbiór *Kopczyk zacny chwały żołnierskiej w dawnej legendzie, dokumencie, porzekadle, opowieści, przekazie, gadce i pamiętniku usypał...* (1966) i jego kontynuacja *Za wolność naszą i waszą, czyli Kopczyka zacnego chwały żołnierskiej sprawy dalsze* (1968), gdzie przeciwstawiając żołnierza rycerzowi opowiada się po stronie legendy plebejskiej. Znakomita jest książka o piratach i żeglarzach *Czarne żagle czterdziestu mórz* (1970), w której obrazowi piratów klasycznych, z czasów zmagania hiszpańsko-angielskich, towarzyszą sprawy czarnomorskie, a nawet piractwo rzeczne, dunajskie i wołżańskie.

Kaltenbergh debiutował w prasie w 1931, a pierwszą książkę, tom wierszy *Troska o słowo*, wydał w 1942 w Budapeszcie. Spośród jego licznych prac wymieńmy: opowiadania *Dunaj, rzeka szeroka* (1957), opowieść *Żołnierz taty Bema, czyli opowieść siedmiogrodzka* (1958) i kontynuację tegoż pt. *Gołe pole* (1968). Największy rozgłos i dużą liczbę wydań uzyskała opowieść o Wyspiańskim *Ogień strzeżony* (1962), ważna przede wszystkim jako bogaty obraz epoki. Inna zaś opowieść – *Dno czary* (1965) – to rzecz o Norwidzie. Kolejne opowiadania przynosi *Ayana z delty Dunaju* (1967), *Studnia miłości* (1972), *Requiem tamtej miłości* (1972) – powieść, *Szymona z Matyjaszem peregrynacja oraz innych rybałów y dziedów przypadki* (1973) – również powieść, *Drugi brzeg* (1976) – opowiadania.

Autor najchętniej sięga do swoich wspomnień z dzieciństwa, do epoki należącej już do przeszłości, do malowniczych ludzi, przy czym jest to najczęściej ów krąg wschodni. *Requiem* to właśnie podzwonne tamtym miejscom i tamtym czasom. Bohaterami są ojciec i syn Bylakowie, ściągający z odległej Ukrainy aż w pobliże Kazimierza. Najlepsza jest chyba część pierwsza – dzieciństwo i młodość Andrzeja Bylaka. I wszędzie sprawdza się, że największą siłą Kaltenbergha jest gawęda i bogaty wizerunek czasu, a konstrukcja fabuły ma mniejsze znaczenie. Nie inaczej też jest w *Peregrynacji*, opowieści trochę łotrzykowskiej,

trochę wystylizowanej na XVII-wieczną twórczość „albertusową”. Ale akcja jest w sumie dość wąta, potem nagle przyspiesza i urywa się jakoś szybko. Najciekawsze są same spotkania na drogach owych dziadów i rybałów, którzy pełnią też pewną służbę wywiadowczo-polityczną na rzecz Jana Sobieskiego. Pada na to i jakiś odległy odbłask Kiplingowego *Kima*.

Kaltenbergh jest jednym z najcudzeńszych i nainteligentniejszych gawędziarzy. Nigdy nie zatrzymuje się na powierzchni rzeczy, lecz usiłuje ukazać ich związki i sensy bardziej utajone. Należy do tych twórców, którzy zrozumieli, że naciekawsze i najpłodniejsze jest zawsze pogranicze kultur, tradycje przyćmione i dzieje zawile. Dodajmy jeszcze, że jest i poliglotą, i autorem licznych i słusznie nagradzanych przekładów.

Wspomnijmy o zawilej drodze do literatury polskiej Nadziei Druckiej O'Brien de Lacy (1898-1986), Rosjanki, która wyszła za Polaka o niezbyt polskim nazwisku. Ukończyła słynny Instytut Smolny „dla szlachetnie urodzonych panien” w Petersburgu (tu właśnie Lenin ulokował sztab rewolucji październikowej – przyp. red.). Gospodarując w majątku męża – pod Grodnem, zaczęła pisać po polsku nowele, powieści i opowieści. Debiutowała zbiorem opowiadań *Mali ludzie* (1926), ale największe uznanie przyniosły jej wydane w latach sześćdziesiątych biografie Glinki, Verne'a, Moniuszki. Tłumaczyła też z rosyjskiego (m. in. Gonczarowa, Gajdara, Paustowskiego – przyp. red.), a pod koniec życia wydała autobiografię *Trzy czwarte ... wspomnienia* (1977).

Na własną pozycję zapracowała także Gabriela Pauszer-Klonowska (1908), autorka również najbardziej znana z opowieści biograficznych, choć pisywała i inne. Debiutowała już w 1929, pracowała przez długie lata w radio, zajmowała się literaturą dla dzieci i młodzieży. Poruszyła też polemistów dość ostrym atakowaniem Marii Rodziewiczówny. Jest autorką dwuczęściowej pracy o Orzeszkowej *Pani Eliza* (1958), *Światło znad Niemna* (1961), wielokrotnie wznawianej, oraz paruczęściowego cyklu o Prusie. Poza tym pisała o Niemcewiczu, Izabelli Czartoryskiej, Ignacym Potockim, Ignacym Wyssogocie Zakrzewskim i innych.

O Władysławie Bodnickim (1910-1983) wspominam głównie dlatego, że był to człowiek wyjątkowo miły i serdeczny, charakterystyczna krakowska postać – trochę poeta, trochę dramaturg, najbardziej zaś znany jako autor powieści biograficznych: trytomowej o Matejce – *Pustelnia „Pod Trzema Pyskami”* (1957-1960) i przede wszystkim o Wyspiańskim – *Z rodu Tytanów. Upadły anioł, Między niebem a piekłem, Wyzwolony* (1977). Jest też autorem książki o krakowskim oddziale ZLP *Muzy na Krupniczej* (1982) i powieści historycznych z kręgu polskiego średniowiecza, należących do literatury dla młodzieży.

Do niedawnej historii sięgał też Czesław Ostańkowicz (1910-1983), przedwojenny dziennikarz, w czasie wojny więzień obozów koncentracyjnych. Właśnie one stały się jego zasadniczym tworzywem literackim, traktowanym niekiedy z pewnym przewrotnym humorem i w ogóle w dość specyficzny sposób, co po obfitej literaturze obozowej nie było rzeczą w lekturze łatwą. Jego najbardziej znane książki to: *Czarna z komanda Bayer* (1958), *Dziwny normalny świat* (1962), *Ziemia parująca cyklonem* (1967), i inne. Dodajmy do tego wiersze czasu wojny, wydane pt. *Strofy pawiackie* (1980). Ostańkowicz był cenionym i chętnie czytany autorem, zjadliwym niemal tak jak Borowski, ale sarkazm jego był bardziej oczywisty.

Bardzo szczególna była przygoda z literaturą Henryka Panasa. Autor debiutował dość późno, jego sława miała zasięg olsztyńsko-regionalny, aż nagle wszyscy zaczęli o nim mówić. To zresztą zabawna sprawa: przez pięć miesięcy od ukazania się książki *Według Judasza* (1973) – nikt, nic, ani słowa. Potem pochwalił Panasa Iwaszkiewicz – i tak poczęła się kariera wielka. Po prostu przeczytano książkę, a była – mimo swojej kontrowersyjności – tego warta. Niestety, następne książki Panasa były mniej więcej takie jak i przedtem, a na dodatek w latach osiemdziesiątych autor naraził się opinii publicznej. Dalszy ciąg, *Judasza dziennik intymny*, już nie wzbudził wielkich namietności i nie powtórzył światowej kariery części pierwszej.

Henryk Panas (1912-1985) był z zawodu nauczycielem. W czasie wojny przewędrował szlak bliskowschodni, afrykański i włoski. Po powrocie osiadł pod Giżykiem we wsi Ka-

mionka, którą będzie portretował bez końca w swoich książkach, a ostatecznie trafił do Olsztyna. Tu zaczął robić karierę prasową. Pierwszą książkę wydał dopiero w roku 1960. Co częste na prowincji, miał żarliwe pragnienie uczestnictwa w życiu kulturalnym, obsyłał wszystkie konkursy, uczestniczył w różnych okolicznościowych zjazdach i spotkaniach literackich. Łysy, jowialny, dał się lubić. Henryk, zdaje się, uwierzył w swoje posłannictwo, ale to, jak wiemy, najzaciejsze trafia głowy.

Wydał sporo książek dających się czytać, ale w sumie dość przeciętnych. Debiutował tomem opowiadań *Bóg, wilki i ludzie* (1960), w których określił krąg swych dalszych zainteresowań – motywy mazurskie, wojenne, powojenna wojna domowa. W *Oko w oko* (1961) milicja walczy z dywersją, *Cierpki owoc* (1962) to z kolei powieść partyzancka. W *Na krawędzi nocy* (1963) bohaterami są szlachetny towarzysz partyjny i podstępny „leśny”, złączeni wspólną dziewczyną. Nietypowe rozwiązanie, w sumie rzecz nie najgorsza.

*Chłopiec z karabinem* (1966) to powieść młodzieżowa o walkach partyzanckich AL na Lubelszczyźnie, w istocie pieśń pochwalna ku czci Mieczysława Moczara, *Grzesznicy* (1966) zaś ujawniają powojenny konflikt osadników polskich i ukraińskich, zarazem rozpadanie się dawnego obyczaju, a w tym wszystkim polsko-ukraińska młoda para, właśnie owi „grzesznicy”. *Zagubieni w lesie* (1968) – tu pojawia się motyw nawiedzający Panasa wielokrotnie. Na wpół zgermanizowany Mazur wraca w czasie wojny do polskości, dezertuje z Wehrmachtu, zakochuje się w Niemce, uciekają, ktoś ich ściga, partyzantka etc. Wyraźny wpływ *Komu bije dzwon*, także w sumie powieść nie najgorsza. *Prywatne życie Władysława Jagiełły* (1969) – pierwszy zarys powieści historycznej, której Panas nie zdążył już napisać, *Prawo wojny* (1969) – nowele. Potem *Według Judasza* (1973), *Na rozstajnych drogach* (1979) – tu znowu uciekinier z Wehrmachtu, Georg Wyka, który trafia aż do Armii Czerwonej i kościuszkowców, *Krew na śniegu* (1978) – również tematy wojenne, *Brat leśnego diabła* (1978) – tematyka młodzieżowa, *Powrót z krainy Tzemil* (1978) – to relacja chorego na zawał („tzemil” to ponoć po aztecku zawał właśnie), także retrospekcja, zdrada przyjaciela etc. Tych opowieści zawałowców mamy w literaturze sporo, smutne *signum temporis*. Potem przyszły *Sprawy do przemyślenia* (1979) – publicystyka, *Rozstania* (1980) – próba powtórzenia *Nieba w płomieniach* – a więc Lwów, dzieciństwo, rozstanie z religią i Bogiem. Ale rzecz nie wyszła. Dla Parandowskiego utrata wiary była czymś bolesnym i tragicznym, dla Panasa to tylko rozstanie z problemem. *Poryowe wzgórze* (1983) – wkroczenie Niemców do Lwowa, partyzantka. I na koniec *Judasza dziennik intymny* (1985) – druga część *Według Judasza*.

A więc na ogół te same motywy, ten sam poziom, trochę sensacji, trochę psychologii. Zastanawiające, że o swoich przeżyciach (a było wśród nich i Monte Cassino) milczy Panas jak zaklęty, pisze natomiast o partyzantce, w której nigdy nie był. Dlaczego?

Ponad przeciętność wybijają się książka o Judaszu, z podtytułem „apokryf”, spisana w siedmiu księgach-listach. Panas, który zapewnia, że czterdzieści lat pracował nad tym tematem, wychodzi od tego, że istniał zaginiony apokryf *Ewangelia według Judasza*. On sam przekształca jednak wszystko nie do poznania. Wedle niego Judasz to pseudonim Oniasza, potomka bogatego rodu kupieckiego i kapłańskiego, który zakochał się nieszczęśliwie w Marii z Magdalii i by jej towarzyszyć, przystał do uczniów Jezusa. On też w istocie finansował Jezusa, był najwierniejszym i najlepiej wszystko rozumiejącym uczniem, nigdy nikogo nie zdradził, a jedynie – za aprobatą samego Jezusa – odszedł, gdy ruch zaczął się ideologizować. Nie bardzo wiadomo, co się stało z Jezusem, a zmartwychwstanie to gorączkowe wizje Marii Magdaleny.

Jest to więc tradycja renanowska (Ernest Renan był autorem *Żywotu Jezusa* – wyd. franc. 1863, wyd. pol. 1904 – przyp. red.), ale Chrystus u Panasa wypada jednak gorzej. Oczywiście wybuchła ogromna dyskusja – książka wzbudziła wielkie zainteresowanie, pewnie bardziej ze względu na temat niż cokolwiek innego, ujęcie problemu było bowiem rzeczywiście oryginalne. Posypały się przekłady – hiszpański, włoski, angielski, rosyjski, japoński. Mimo wielu

uzasadnionych zarzutów, przeładowania erudycją i cytatami, spłaszczenia największej na świecie problematyki, drażniących a wątpliwych racjonalizacji, paskudnego chwilami języka publicystyczno-biurokratycznego książka stała się wielkim wydarzeniem. W lekturze zaś jest po prostu bardzo, bardzo ciekawa.

Nie miała już tego żaru jej część następna, *Judasza dziennik intymny*, lecz przecież jest to również rzecz niezła i interesująca, przerastająca o niebo wszystkie inne książki Panasa. Są to dalsze dzieje Judasza, czyli teraz Aeneasza – jego romans z młodziutką dziewczyną, jednocześnie rozwój wczesnego chrześcijaństwa. Oprócz tego wiele refleksji filozoficznych, rozmyślań o Bogu i bogach, a przede wszystkim motyw Pawła z Tarsu, który początkowo miał być głównym bohaterem książki. Zgodnie krytykowano wątek erotyczny, ale tak czy owak, książka w księgarniach długo nie leżała. W sumie cała sprawa zawrotnej kariery Panasa stanowiła jedno z ciekawszych wydarzeń literackich lat siedemdziesiątych. A nawet gdy przeminęła aura skandalu (przecież jednak nie takiego, jaki przed laty wywołał utwór *Papież Joanna Emanuila Roidisa*), książka – myślę tu o obu tomach – na trwałe ostała się w literaturze polskiej. Czyli Panasowi udało się ostatecznie to, co bywa udziałem zgoła nielicznych.

Raczej bydgoską niż ogólnopolską znakomitością pozostał Marian Turwid (1905-1987), człowiek wszechstronny, bo i malarz, i poeta, i pedagog, publicysta i prozaik. Jego pejzaże i portrety zdobią także galerie zagraniczne. Turwid-literat był przede wszystkim piewą „Wielkiej Doliny” – byłego zaboru pruskiego, a znaną osobliwością jego prozy było używanie w dialogach gwary, choć trzeba dodać, że „Wielka Dolina” ma także znaczenie metaforyczne i oznacza po prostu świat. Debiutował zbiorem legend wrześnieńskich *Klasztor na Lipówce* w 1926. Opisowo-sentymentalne *Wiersze* ukazały się w 1949. Ale tu zacytujemy fragment z papierów pośmiertnych.

Nie było mnie Przedtem  
nie będzie mnie Potem  
od świtu do zmierzchu  
przeminię przelotem  
tak prędkim, że już czasu nie stanie  
by usłyszeć odpowiedź na zadane pytanie (...)  
Tam nie jest ciemno ani jasno  
ani przestronnie ani ciasno  
ani tam mrozu ani lata  
i każda tam już zbędna data  
gdzie nie ma nocy ani dni  
i tylko sen bez snów się śni (...)

W zakresie prozy, oprócz prac publicystycznych i poświęconych sztuce (*Przygody ze sztuką*, 1986), wydał zbiory opowiadań: *Żelazny krzyż* (1958), *Noc nad Doliną* (1961), *Ślady burzy* (1971), *Dni Wielkiej Doliny* (1981) oraz powieści: *Dwie strony drogi* (1969) i *Między wiosnami* (1974). Rysuje w nich zawile, a często okrutne drogi Wielkopolan – szczególnie poruszające są *Dwie strony drogi*, ukazujące tragedię ojca, który pod Monte Cassino stracił dwóch synów – walczących po przeciwnych stronach. A jego postaci przemawiają tak:

„Co ty wyrobiosz, chłopoku! Co ty sobie myślisz? Robić ci sio łodechciało, czy co? Burza idzie, a ty siedzisz jak hrabia. A tu wej pełne rynce roboty. Melić trzeba a melić, bo Warczygłowa, Florek Sikora i pewno Koza tyż jeszczu dzisiaj przyjechać mogom po monke. Dali, dali do roboty, a pryndko, bo jak nie, to cię poskiym pogunie, ty nygusie!”

Czyżby prekursor Schuberta i jego *Panny Lilianki*?

Słowo pamięci należy się Stanisławowi Smólskiemu (1908-1986) – prozaikowi, satyrykowi, autorowi sztuk scenicznych, związanemu po trosze z PAX-em. Spośród jego humoresek najbardziej znane są zbiory *Drewniana koszula* (1948) i *Dziewięć narzeczonych doktora Kudelka* (1958), ale najciekawsze są apokryficzne opowieści *Franciszek rozdaje słońce* (1958). Istotną pozycją jest opracowana przez niego antologia *Za to groziła śmierć* (1981) – o pomocy Żydom w czasie okupacji. Smólski był działaczem akcji „Zegota”.

W Łodzi przez długie lata tworzył satyryk i aforysta Zygmunt Fijas (1910-1985), autor m. in. zbiorów satyr *Portret z sera* (1954) i *O szkodliwości kominów* (1964).

Twórców rodem sprzed tamtej jeszcze wojny, którzy tworzą pejzaż literacki po roku 1956, było i jest znacznie więcej, tu mogę wymienić niewielu. A niektórzy są naprawdę godni uwagi. Zbyt mało znany jest Wojciech Wyganowski (1905-1990), nauczyciel, który pierwszą książkę wydał dopiero w 1960. Były to *Powroty i zabłąkania* – opowiadania, a potem przyszły: *Dzielnica spóźniających się zegarów* (1963) – opowiadania, powieść *Czas w krajobrazie* (1968), opowiadania *Umarłe krajobrazy* (1974), powieść *Klechda o jawie, snach i miłowaniu księdza Jana* (1980) i opowiadania *Gwiazdy i lęk* (1983).

Wyraźnie rozpoznawalny styl, świat i bohater. Przedmiotem zainteresowania Wyganowskiego jest samotność, czas i względność rzeczywistości. Świat jest dla niego właściwie złudzeniem, nie wiadomo bowiem, co się może wyłonić spod przesłony codzienności. Toteż książki Wyganowskiego stoją na pograniczu fantastyki, są wręcz niesamowite. Dużo naturalistycznych, wręcz „mizeralistycznych” konkretów, posępne miasta, biedujący bohater – a w tym pejzażu tajemnicze zbrodnie, powracające widma, nawracający czas, a wszystko to utrzymane w bardzo udanej precyzji literackiej. A, jak wiem, autor żywi przyjaźń do kotów i dokarmia je, co dla mnie ma znaczenie wielce sympatyczne. Coś mi się widzi, że historia literatury da Wyganowskiemu znacznie wyższą notę, niż to zrobili współcześni.

Innym piszącym nauczycielem był Roman Tomczyk (1909-1979), autor książek *Droga jest wyboista* (1962), *Mali nadludzie* (1967) i innych. Poza tym był popularyzatorem i publicystą historycznym. Jako prozaik Tomczyk wychodził od wierności reportażowej, od zapisu zwyczajnych, banalnych faktów, losów szarych ludzi, ale nadawał temu wszystkiemu duży wymiar moralny, co było ostatecznie najistotniejszą cechą jego twórczości. Ale nie unikał i ujęć przewrotnych – i tak na przykład w jednym z jego opowiadań to Abel zabija Kaina...

Z Wielkopolską, ściślej z Jarocinem, był związany inny nauczyciel czy nawet dyrektor liceum, Edward Góra (1902-1987), który debiutował w 1926 jako poeta, potem związany był z „Kwadrygą”. Po wielu latach przerwy odezwał się w 1961 powieścią *Dęby*, potem m. in. przyszedł powieści *Prosto z pnia* (1965) i *Połamane wiosła* (1968). Interesował się współczesnością, wychowaniem, kierował swoje książki ku młodzieży. W *Połamanych wiosłach* próbował rekonstruować kulturę dawnych Prusów.

Najprawdopodobniej zetlała już twórczość dość głośnego ongiś pisarza polonijnego, Eugeniusza Grudy (1907-1971), nauczyciela także, tyle że brazylijskiego, autora kilkuczęściowej powieści z życia emigracji *Między Wielką Niedźwiedzicą a Krzyżem Południa*, której największego uznania doczekała się część druga *Zły bóg Mboi* (1958), a także wspomnień (*Gęsi za wodą* – 1965) i przekładów literatury brazylijskiej etc.

Wspomnijmy wreszcie Aleksandra Olszakowskiego (1902-1977), redaktora przedwojennego „Naokoło świata” i wydanych w 1922 *Bajek*, po wojnie autora komedii *Wyspa złudzeń* i *Brylantowa kolia* oraz zgrabnej książeczki *Lokaj pana hrabiego* (1961), opartej na pamiętnikach Alfreda Potockiego *Master of Lancut*, gdzie *notabene* straszne głupstwa o polskich oficerach i Borze-Komorowskim.

Nie brak było także w tym pokoleniu pisarek. Pomijam autorki książek dla dzieci, nie dlatego jednak, bym lekceważył tego rodzaju twórczość, ale po prostu nie mogę zająć się wszystkim. Traci wpływy polityczne Janina Broniewska (1904-1981), adiutantka w swoim czasie Wasilewskiej, po wojnie jedna z wielkorządczyń Związku Literatów Polskich. Jej

przyjaciółka, Janina Dziarnowska (1903-1993) działa nadal, ale przede wszystkim pisze – sięgając do tradycji radykalnej lewicy i uprawiając reportaż – jak na przykład rzecz o układaniu rurociągu „Przyjaźń” *Szlakiem rzeki podziemnej* (1965) – trochę to już opowieści o żelaznym wilku. Ale Dziarnowska jest drobniutka, szczuplutka, nie potrzebuje wiele, myślę, że zjada nie więcej niż plasterek sera tygodniowo, toteż przy jej potrzebach nawet w najgorszych kryzysach czuła się jak w kraju obfitości.

Sporo wydań miała *Powieść o Annie* (1950), coś w rodzaju *Granicy*, w każdym razie dzieje lokatorów jednej kamienicy w czasie okupacji. Bohaterka, Anna, kieruje się naturalnie ku lewicy. Żywo dyskutowane było *Miasto nowych ludzi* (1953) – rzecz o polskim powojennym osadnictwie na Ziemiach Zachodnich. Dla młodzieży została napisana powieść *Gdy inni dziećmi są* (1960) – jak to sanacja komunistów gnębiła i jaką słuszną drogę wybrać należało. Znacznie poważniejsze i większe dyskusje wzbudziła powieść biograficzna o Brunonie Jasińskim – *Słowo o Brunonie Jasińskim* (1978). Ale zwłaszcza pod koniec zbyt wiele tu niedomówień, choć książce nie można zarzucić braku uczciwości. Wreszcie wymieńmy powieść dla młodzieży *Gdy spada lawina* (1987), znowu o latach trzydziestych, oczywiście z punktu widzenia lewicy.

Także działaczką, ale zgoła odmienną jest Wanda Chylicka (1914). Reprezentowała bowiem w Polsce – jeszcze przed Sierpniem – Amnesty International. Najbardziej interesuje ją problematyka moralna. Jest autorką przede wszystkim nowel, zebranych w takich tomach jak *Splątane korzenie* (1953) czy *Piątym asem* (1959), ale też i powieści – *Ucieczka i powrót* (1954). Chylicka jest autorką gorzką, niewysoko ocenia zaangażowanie się po stronie życia, jej bohaterowie wolą się raczej usunąć.

Wspomnijmy jeszcze Zofię Dróżdż-Satanowską (1910) – partyzantkę, redaktorkę prasy ludowej po wojnie, współautorkę powieści radiowej *W Jezioranach*. Dróżdż-Satanowska wydała kilka książek, głównie o tematyce wiejskiej i partyzanckiej, wśród których rozmiarami wybija się czterotomowa *Zopiela* (1948) – o wsi poleskiej w czasie wojny. Najwdzięczniejsze są wspomnienia *Nie wydeptane ścieżki* (1947, wydanie zmienione 1966), gdzie bohaterka i chciałaby końca wojny, i boi się go, bo wtedy przecież zapewne odejdzie jej „wojenny narzeczony”.

Tematyka wojenna odpomina się także w twórczości Ireny Jadwigi Kozłowskiej (1912-1992) – autorki opowiadań *Czarne niebo* (1958), powieści *Tramontana* (1967) i *Twarz nieznanajomego* (1973). Silną stroną Kozłowskiej jest psychologia postaci.

Motywy wiejskie, nieco dydaktyki, moralizatorstwa i melodramatu znajdziemy w realistyczno-obyczajowej twórczości Marii Jadwigi Łęczyckiej (1903). Trylogia – *Porządek świata* (1954), *Bełczykowscy ludzie* (1956), *Locia i Sylwester* (1958) – przenosi nas w pierwsze dekady stulecia na wieś podkielecką, do Piotrkowa i Łodzi. *Musi rodzić* (1978) to dzieje rodziny chłopskiej na Dolnym Śląsku po wojnie. *Listy Bożeny* (1980) zaś to kryzys życiowy i rodzinny młodej panienki. Łęczycka współpracowała z radiem, jest także autorką sztuk teatralnych.

Naturalistyczną notację spotkamy w dwóch książkach Jadwigi Turszańskiej-Obarskiej (1901-1986), autorki opowiadań *Znajomi z Radłowa* (1950) – o Polakach w ZSRR – takich, jakie były wówczas możliwe – i powieści *Świt nad jeziorem* (1955) – o kolektywizacji w Związku Radzieckim. Tu raduje czytelnika scena kołchozowego sądu, gdy jedna z kobiet wskazuje na portret Stalina jako napomnienie do łagodności... Ale tego to się po 56 już raczej nie czytało.

## **Morze i przymorze**



I znowu wypadnie nam się zająć tematem częściowo przynajmniej wydzielonym a bardzo istotnym, może mniej dla samej literatury, ale bardzo ważnym dla rozwoju mentalności współczesnego Polaka, a jeśli nawet nie całkiem współczesnego, to dla Polaka lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Idzie o marynistykę. Gdybym zdecydował się na ujęcie tematyczne tej książki, to marynistyka zajęłaby całkiem godne miejsce obok takich nurtów jak literatura wiejska, historyczna, wojenna, fantastyczna. Natomiast właściwie nie potrafiłbym sensownie wydzielić ani powieści współczesnej, ani politycznej (no, może w pewnym stopniu), ani powieści o pracy czy miłości. Wszystko to jest co prawda obecne, ale idealnie ze sobą wymieszane. Marynistyka także nie musi występować w stanie „czystym”.

Marynistyka polska to dziecię paradoksu. Przypomina mi trochę mnicha, który spędził większość życia w klasztornej cnotie nagle stał się człowiekiem świeckim i postanowił odrobić erotyczne zaległości całego życia. Morze objawiło się naszym twórcom i ideologom od chwili, kiedy ruszyła z Polski wielka emigracja transoceaniczna, kiedy światowy sukces odniósł Conrad (czy był przed nim w ogóle jakiś znany polski, a nie przyszywany bądź domniemany marynarz?), kiedy przypadły bezkresne przestrzenie ukraińskie. Wtedy właśnie dostrzeżono nowe szanse rozwojowe na morzu, wybudowano Gdynię – ostatni polski sen imperialny – a literatura popadła w gorączkowe ożywienie. Pisałem o tym obszernie przy różnych okazjach, bo i mnie ta choroba morska nie ominęła. Kamieniem milowym literatury stał się *Wiatr od morza* Żeromskiego, rosły ligi morskie i kolonialne, stowarzyszenia kultury morskiej, nautologie, nautystyki, słowniki morskie, kongresy i tak dalej. Wąski początkowo przedwojenny strumyczek przemienił się w Amazonkę, zresztą i stan posiadania odmienił się niebywale.

Bo tymczasem morska pasja Polaków zaciążyła nad historią. Czy rzeczywiście Polska zaryzykowałaby wojnę z Niemcami, gdyby Hitler domagał się od nas nie Gdańska, ale, powiedzmy, Suwałk? I jeszcze jeden paradoks: druga wojna światowa tak właśnie zbudowała współczesną marynistykę polską, jak Żydów zburzenie świątyni jerozolimskiej, a Niemców straszliwy upadek Trzeciej Rzeszy. „Zysk” był tu zawsze w kategoriach duchowych i moralnych. Co do marynistyki, to po raz pierwszy od bitwy oliwskiej Polacy rzeczywiście wojowali na morzu. A może nawet po raz pierwszy w ogóle... Marynistyka przedwojenna pozostawała w sferze pobożnych życzeń, tu po raz pierwszy zyskała autentyczny temat. Oceną naszych działań morskich zajmuje się historia i Jerzy Pertek, do mnie to nie należy.

No więc było wreszcie o czym przez jakiś czas pisać. Toteż i nasza literatura marynistyczna musiała rozkwitnąć wspaniale. Doprawdy, jeśli ktoś inny miał i morze, i kolonie, i kakao na co dzień, to nie miał jednak tak wspaniałej marynistyki, jaką my mamy. Nie żartuję. Od Stanisława Telegi po Andrzeja Piskozuba. Choroba morska ogarnęła ludzi mądrych.

Co więcej, sędzę, że ta przecież prawidłowość, nie wiem, historyczna czy psychologiczna, jest na dalszą metę korzystna. Dla marynistyki przynajmniej.

Przez wiele jednak lat marynistyki tak jakby nie było. To znaczy pisywał i Bądkowski, i Fenikowski, i jeszcze wielu innych, ale na modłę tamtych lat, pięćdziesiątych. Co najwyżej była to proza produkcyjna, w najlepszym wydaniu *Lewantów* Brauna czy *Kutra na strądzie* Bądkowskiego. Były i opowieści wojenne, był Jan Papuga, był Fiedler. Ale potem przyszli: Rychlewski, Saliński, Fleszarowa, Schabowski, Znamierowski, Prorok, Przypkowski, Mioduszewski, Flisowski, Miazgowski, Meissner, Jankowski, Korabiewicz, Stawiński, Szczepański, Machejek, Rusinek, Szumańska, Goszczurny, Centkiewicz, Borchardt, Pachlowski, nie licząc wszystkich pamiętników, sensacji w rodzaju Siereckiego, Milenuszki, Romanowskiego itd.

Po 1956 roku seniorował marynistom nadal Jerzy Bohdan Rychliński (1892-1974), publikując coś w rodzaju historii odkrywania Syberii *Szlak rybiej kości* (1954) i cztery kolejne części powieści historyczno-przygodowej *Galeon kapitana Mory* (1956-1967).

Ale oto właśnie rozbłysła gwiazda Salińskiego, który miał się stać najwybitniejszym

marynistą lat powojennych. Stanisław Maria Saliński (1902-1969) przybył do Polski w 1921 i nigdy chyba nie przestał tęsknić za Krajem Ussuryjskim. Który to już z kolei twórca z tamtych stron? Bo i Sieroszewski, i Parnicki, i Newerly. Saliński – opisany przez Uniłowskiego we *Wspólnym pokoju* jako Dziadzia, zbliżony do „Kwadrygi”, serdeczny przyjaciel Gałczyńskiego – zajmował się przed wojną dziennikarką i pisywał bardzo sentymentalne nowele morskie. Pod pseudonimem Jerzy Seweryn płodził wręcz maszynowo powieściidła erotyczno-obyczajowo-sensacyjne. Rozpoczął w 1935 powieścią *Człowiek z blizną*, po wojnie przyszło siedem następnych, z czego najbardziej znane to *Barbaro, kłamiesz* (1946) i *Za jeden twój uśmiech, Joanno* (1947).

Ale jednocześnie zajmował się czymś znacznie wartościowszym. Już w czasie okupacji powstaje cykl *Hieroglify*, najwybitniejsze jego dzieło, niestety, tylko częściowo zachowane. Saliński dysponował po prostu marnym papierem, który zwilgotniał. Udało mu się odtworzyć *Hieroglify* i *Annę z kamienia*, część trzecią, ale *Krew Korei* przepadła. Licho wie, co komu to wadziło, ale Saliński zaczyna publikować dopiero po Październiku, wiążąc się zresztą w tym czasie na stałe z PAX-em.

Wydał: *Hieroglify* (1957), *La Paloma* (1957), *Jedenasty list Kamilli Colon* (1959), „*Nora*” *wychodzi w morze* (1962), *Anna z kamienia* (1962), *Pożegnanie z Pacyfikiem* (1963), *Ptaki wracają do snów* (1964), *Longplay warszawski* (1966). Pozostałe po pisarzu dzienniki zostały częściowo opublikowane w prasie, a nie dokończone utwory w pośmiertnym wyborze dzieł Salińskiego, opracowanym przez Leszka Proroka (1972).

Nie zdziwiłbym się szczególnie, gdyby doszło do renesansu Salińskiego, choć co prawda i za życia nie mógł się uskarżać na brak popularności, mimo że wówczas właśnie mógł się wydawać najzupełniej niedzisiejszy i nie na miejscu. Tajemnicze siły kierujące ludzkim losem, posepny finał niemal wszystkich utworów, samotność i tajemniczość, a w tym wszystkim po prostu stary symbolizm w nie tak całkiem nowej szacie. Inni maryniści też wprawdzie bywali sentymentalni, to wręcz nieuniknione, ale przecież w sposób bardziej przyziemny i mniej poetycki.

Saliński ma swoją ulubioną scenerię, bohaterów, charakterystyczny sposób budowania fabuły, wyraźnie rozpoznawalny styl. Najchętniej lokuje akcję swoich utworów na zachodnim Pacyfiku, na Morzu Japońskim albo w tajdze, na wybrzeżach i wyspach Kraju Ussuryjskiego. Z prawdziwą fascynacją opisuje tamtejszą przyrodę, istotnie nad wyraz bogatą, bo łączącą faunę i florę południa i północy, mieszanek wielu narodowości – Rosjan, Japończyków, Chińczyków, Koreańczyków i przeróżnych plemion lokalnych. Załogi jego statków to także mieszanina nacji. Bohater główny Salińskiego z reguły przegrywa – z kobietą, z życiem, z losem. Ale jest fatalistą i swoją przegraną przyjmuje z pokorą. Na ogół nie jest kapitanem statku, kimś bogatym czy wybrańcem losu. To raczej biedak zaciekle walczący o byt – motyw pracy i pieniędzy jest u Salińskiego aż przesadnie widoczny. Galeria różnych typów jest zresztą bardzo bogata, wszyscy walczą ze sobą ustawicznie jak psy o kość. Najistotniejsza jednak jest sprawa motywacji. Jest ona niby racjonalistyczna, lecz to tylko łatwo dający się przeniknąć pozór. W istocie Saliński wypracował dość szczególną koncepcję powieściowego dziania się. Wydarzenia są paraleliczne, zawsze się powtarzają i to właśnie podobieństwo motywów i sytuacji decyduje o ostatecznym rozwiązaniu. W istocie jest to wizja magiczna, fatalistyczna, irracjonalna. Przedmiot najczęściej bywa symbolem, a wszystko, co się dzieje, jest po prostu spełnianiem jakiegoś wcześniejszego archetypu. Co prawda i tak bywa, że przyszłość modyfikuje przeszłość, ale potoczny realizm to w każdym razie nie jest, co najwyżej „magiczny”. Harmonizuje z tym ozdobny, bardzo obrazowy i nasycony barwami styl.

Źródłem tego wszystkiego jest władystocka młodość Salińskiego, paroletni epizod marynarski i nie dokończone studia w morskiej szkole oficerskiej, ale nade wszystko jednak literacka inspiracja Conrada. To jest w ogóle w polskiej literaturze marynistycznej problem bardzo szczególny. Właściwie nawet powszechny uraz, bo nikt nie chce być poczytywany na

naśladowcę Conrada i w związku z tym stara się pisać „przeciw Conradowi”. Rezultaty bywają wręcz śmieszne, bo rzecz jest bardzo grubymi nićmi szyta. W krańcowym przypadku ginie cała magia, cały patos morza i żeglugi – na rzecz skrzyżnego opisu marynarskiej zwyczajności. Wychodzi z tego obraz małej, podrzędnej fabryczki, tonącej w gorzałce, i tęsknota za wierną-niewierną dziewczyną czy żoną. Nawet knajpianych burd i dziewczyn tu niewiele, bo marynarz polski jest biedny i oszczędny.

Otóż Saliński nie poszedł tą drogą, nie uląkł się schedy po Conradzie. Widać więc ów wpływ w każdej niemal warstwie utworów, w koncepcji losu, w opisach, w rozumieniu morza, w przedstawianiu płaszczyzn czasowych, w sentymentach i patosach. Ale co z tego? Saliński dowiódł, że można u boku Conrada być zupełnie dobrym i oryginalnym pisarzem, podczas gdy antyconradyści popadali tylko w tuzinkową nudę.

*Hieroglify* to bardzo szczególna i zapewne najwybitniejsza książka Salińskiego. Tu właśnie najpełniejsze wcielenie uzyskała technika ważących analogii. A zarazem mijania się wszystkich ze wszystkimi. Postaci są ze sobą spowinowacone przez wędrujące przedmioty, analogiczne sytuacje, te same miejsca. Spotyka je podobny los, bywają w tych samych miejscach, ale nie wiedzą o tym i trafić na siebie nie mogą. Stąd precyzyjna struktura epizodów wzajemnie się dopełniających i spełniających. Było to powodem zabawnej pomyłki, gdy jakiś recenzent ubolewał, że to „zupełnie nieudana kompozycja”. Tymczasem jest ona właśnie wyjątkowo błyskotliwa i precyzyjna, a sam Saliński był z niej słusznie dumny. Końcem fabularnym jest widmowa miłość porucznika Lekneya i Tamary Marii Kejre, skądinąd jakby wcielenia postaci bogini Kwannon, sławnej bogini miłosierdzia (był nią swego czasu zafascynowany Rychliński). Umierający Lekney dotrze już tylko do rozkładających się zwłok ukochanej, zgwałconej przez chińskiego wyrostka. Kejre została trafiona w oko, tak samo jak posążek Kwannon, który z kolei okrężną drogą wrócił do nie wiedzącego o tym pierwotnego właściciela. I tak tu wszystko fatalistycznie łączy się ze wszystkim.

A cała ta akcja dzieje się na tle igrzysk przedziwnym – we Władywostoku roku 1919, wydzieranego sobie przez białych i Japończyków, pełnego wszelakiej ludzkiej zbieraniny, niebywałego kłębowiska wszelkich możliwych nacji. Obraz miasta i sceny zbiorowe zdominowały nieco zasadniczą akcję, ale właśnie nieco, a nie – jak twierdzili niektórzy krytycy – całkiem. Książka jest świetnie napisana, osnuta tajemnicą, niedopowiedzeniem, zadumą nad metafizyką losu.

*La Paloma* była chyba najchętniej czytana książką Salińskiego. Najsilniej związana z Conradem, jest wręcz przekształceniem conradowego motywu. Chodzi tu o ściągnięcie z mielizny i sprowadzenie do Makao starego brygu przez międzynarodową załogę, będącą zresztą w konflikcie z kapitanem, co ostatecznie prowadzi do dramatu i morderstwa. Czyny ludzkie są bezskuteczne, a sednem dzieła jest dramat egzystencjalny każdego z osamotnionych ludzi.

*Jedenasty list Kamilli Colon* to całkowite nieporozumienie, kicz. Bohater odnajduje stary, nie doręczony list, usiłuje wydobyć córkę swej ukochanej z domu publicznego, ale to mu się nie udaje, stąd rozpacz, łzy etc.

Natomiast znacznie lepsza jest książka „*Nora*” *wychodzi w morze*, jedyny utwór Salińskiego z akcją ulokowaną nad Bałtykiem. Przybycie do Gdyni „Nory” rodzi nadzieję bohatera na wielką morską przygodę, jednocześnie przypomina stare, smutne, zawile dzieje. Najistotniejsze być może są reakcje narratora, wypoczywającego w domu warszawskiego pisarza Es. Kilka warstw czasowych, analogie sytuacyjne.

*Anna z kamienia* to konkurentka do roli najlepszej książki Salińskiego. Dzieje się równoległe do *Hieroglifów*, po drugiej stronie Zatoki Amurskiej. Jest to dramat bohatera Gniedycha, jego niewiernej żony Anny, jej córki Anny i wnuczki, Anny także. Dwie pierwsze odchodzą, bohater pozostaje z Anną trzecią. Książka została napisana językiem o wiele mniej modernistycznym, a bardzo pięknym i spokojnym, jest owiana fatalizmem. Conradowska wierność i

celinowskie spustoszenie wszelkich nadziei. Oczywiście motywy marynistyczne, egzotyczne, a także odpryski wielkiego władystockiego kotła. I dziwności – pojawianie się kolejnej *Anny* jest sygnalizowane pojawieniem się tajemniczego motyla bromeli o niezwyklej szybkości lotu. Toczyła się po wydaniu *Anny* dyskusja, czy taki motyl naprawdę istnieje. Niczego wprawdzie nie ustalono, ale sam fakt takich polemik wskazuje, jak sugestywnie rzecz została napisana.

*Pożegnanie z Pacyfikiem* to na ogół dobre i bardzo dobre nowele dalekowschodnie, podobne w tonacji i konstrukcji do omawianych powieści, a dwie ostatnie książki – *Ptaki wracają do snów* – wspomnienia dalekowschodnie i *Longplay warszawski* – międzywojenne, warszawskie – to bardzo interesujące utwory. Miałem tu coś zabawnego dla siebie: Saliński opisuje między innymi wspaniałą makatę, którą otrzymał w prezencie jego ojciec, który następnie sprzedał ją Jerzemu i Marii Kuncewiczom. Po czym nad dalszymi jej dziejami stawia znak zapytania. Otóż wyjaśniam, że makata została po 1939 roku w Polsce i trafiła na całe lata do moich rodziców, pod nią właśnie stało aż do drugiej połowy lat pięćdziesiątych moje łóżko. Potem wróciła do Kazimierza nad Wisłą.

Salińskiemu jako maryniście, mimo jego zależności od Conrada (a może właśnie dlatego), nie dorównał w Polsce nikt. Zresztą punkt widzenia się zmienił – Saliński opisywał historie dalekie w czasie i przestrzeni, twórcy młodszy zaś zajmują się albo wojną, albo współczesnością – rybacką, rejsową. Może tylko jeden jedyny Andrzej Braun zlekceważył te koleiny pisząc *Bunt* – dzieło naprawdę wybitne. Ale o tym później.

Dziwnie kostropaty los miał Jan Papuga (1915-1974), marynarz czasu wojny, osiadły później w Szczecinie, po trosze dziwak i osobliwiec, postać, bez której Szczecin utraciłby wiele blasku. Co nieco włóczęga i tramp, naiwny do bezradności, błysnął tuż po wojnie jako marynista, później zaś nie potrafił radzić sobie ani z morzem, ani z ludźmi, ani z wydawnictwami. Początkom jego patronował Antoni Słonimski, później zaś Michał Misiorny, no i dzięki nim coś tam Papudze wydano. Reszta ukazała się już po jego śmierci, kiedy Janek nie mógł już sobie samemu przeszkadzać. Do jego słynnych pomysłów należała koncepcja założenia spółdzielni rybacko-literackiej, później zaś falansteru hodowlanego w Bieszczadach. Natomiast pomysł przejścia Afryki bez pieniędzy chyba byłby realny, gdyby nie biurokratyczne przeszkody.

Debiutował w Londynie tomem opowiadań *Najpiękniejszy rejs* (1945), wydanym potem w kraju pod tytułem *Szczury morskie* (1946). Wiele lat przerwy i *Guadalajara! Guadalajara!* (1965), *Rio Papagaio* (1969), *Oceany, oceany* (1975) – w opracowaniu Stanisława Telegi, *Papierowa dżungla* (1982), *Okrutny świat* (1984) – w opracowaniu Mariusza Czarnieckiego. Tak więc Papugę odkrywano razy kilka, ale prawdę powiedziawszy, funkcjonował on stale jako osobliwy „naturańczyk” – niski, krępy, zawsze w tych samych spodniach etc. Książki jego czytali nieliczni.

Początkowo były to dość surowe zapiski z życia, nade wszystko marynarskiego. Później kompozycja staje się bardziej wyrafinowana, krąg tematyczny się poszerza. Papuga wraca do wspomnień z bardzo biednej i proletariackiej łódzkiej młodości, opisuje swoje perypetie organizacyjne, snuje też utopie. Taką najbardziej znaną utopijną opowieścią jest *Rio Papagaio*, gdzie w marzeniach pisarz i jego rodzina znajdują azyl od wszystkich bolączek świata. Stopniowo rozgoryczenia (których przy swoim charakterze uniknąć nie mógł) sprawiły, że zaczął wszędzie dookoła doszukiwać się świństw, okrucieństw, a nawet spisków na swoje życie. Cóż, nieustanne porażki utopijnych pomysłów nie mogły ująć bezkarnie. Tak więc *Papierowa dżungla* przedstawia dzieje jego nieudanego rejsu afrykańskiego. Iście kafkowski bohater znajduje się w obliczu powszechnego spisku przeciw sobie. To ciekawa książka, ale pisarz nie zdążył jej ukończyć.

Ostatnia natomiast pozycja jest bardzo interesująca. *Okrutny świat*, napisany zresztą już w latach czterdziestych, miał się nazywać *Czterech z „Albatrosa”*. Są to dzieje wojennej tułaczki

polskich marynarzy, ze szczególnie pięknymi opisami morza – to stanowiło zawsze silną stronę Papugi. Godzi się dodać także, że Papuga celuje w opisie codziennej marynarskiej pracy. Jego twórczość – ze swoimi naiwnościami, osobliwą, nieco stachurowatą filozofią życia – pozostaje w polskiej marynistyce wartością trwałą. A zarazem jest to pisarz, który swoje bezsporne możliwości w znacznej mierze jednak zmarnował. Nie wiem tylko, czy należy kogoś o to oskarżać (a oskarżeń wzajemnych było po śmierci Papugi sporo) – talent, a przy tym jakiś swoisty bezwład były Janka cechami charakterystycznymi.

Naistotniejszą cechą jego pisarstwa jest autentyk, a zarazem metafizyczna mgiełka, spowijająca ludzkie losy. Zawsze był uważany przede wszystkim za nowelistę – dopiero po śmierci się okazało, że nieźle radził sobie z większymi konstrukcjami. Nie bardzo mi jednak odpowiada ton oskarżycielski, którego nie potrafił uniknąć. I dlatego chyba raczej pozostanie w pamięci potomnych jego legenda niż twórczość – warto dodać, że przez niezbyt wiele lat po jego śmierci napisano o nim ze dwa razy tyle, co za jego życia. Zostanie więc, podobnie jak jego przyjaciel, dawno już zmarły dziennikarz Franciszek Gil, jednym z patronów literackiego Szczecina. Dodajmy na chwałę tego niebiednego miasta, że ma jeszcze paru równie kiepsko odżywionych kandydatów na patronów w zapasie.

Nie jest nim chyba Czesław Schabowski (1908-1987), który zawsze łączył pisarstwo z jakimś innym, pożyteczniejszym zawodem. Imał się różnych zajęć. Imponujące jest to, że swego zawodu ostatecznego, rybactwa, nauczył się mając lat pięćdziesiąt sześć. Pisał już wcześniej i – samouk przecież – zyskał wcale obfity i udany plon. Wydał powieści i opowiadania: *Tama* (1946), *Pirat i Magdalenka* (1963), *Wielka zatoka* (1967), *Lisy morskie* (1971), *Nie ma ulicy Zielonej* (1972), *Archipeląg urzeczonych* (1978), *Na wylotówce* (1979), *Zbój lasowski* (1981). Tematyka bywała różna. I młodzieżowa (*Na wylotówce*), i wspomnieniowa – jak *Zbój lasowski*, opowieść o Tarnobrzeskim lat trzydziestych i srogim bandycie Musze. Ale najważniejsze były motywy szczecińsko-morsko-przymorskie. Schabowski, rybak przybrzeżny i morski, opiewa kraj i ludzi – właśnie przybrzeżnych, kanałowych, zalewowych rybaków, ich życie, interesy, miłości. Tworzy swoistą legendę szczecińskiego pobrzeża, rodzaj mitologii, moralizując przy tym od czasu do czasu.

Dość prościutkie to wszystko, choć i autentyczne. Dziwi czasem, że jego bohaterowie jednocześnie uprawiają miłość i wyciągają sieć. Dialog wtedy wygląda mniej więcej tak:

„Henius! Panienko! Teraz to chyba będę mieć dziecko! – Nie wiosłuj w powietrzu, tylko w wodzie! Jak burtę ci wznosi do góry, to ty wiosłkiem też do góry! Dopiero gdy burta pochyla się ku wodzie, to ty wtedy: rraz! rraz! – Prawym! Prawym! taak! stop! niech nas chwilę dryfuje! Brrr! Kotwica! Pompa, nie kubeł, bo ja sznura nie mogę puścić! Nie pompuj do łódki, tylko za burtę! Kochaneńka, co z tobą? – Panienko! Henius! Pozwól mi bodaj pomacać tego sandacza! Co za rybisko! – Do pompy! Do pompy! Ej, siup!”

– i tak dalej.

Schabowski zawsze stara się o swoistą dziarskość, nie tylko przy okazji macania sandacza. Czasem zdarzają mu się przy tym barbarzyzny i kiksy językowe. Lepsze od powieści są opowiadania, układające się przy tym w naturalny cykl. Mniej marzycielski i nostalgiczny od Papugi, prezentuje wręcz dziennikarski konkret. No i jest to marynistyka tym szczególna, że zamiast statku opiewa łódkę.

Do pogranicza marynistyki należy twórczość Stanisławy Fleszarowej-Muskat (1919-1989), chyba najpopularniejszej powieściopisarki polskiej. Fleszarowa publikowała przed wojną wiersze, studiowała prawo i ekonomię, chcąc zapewne jak jej ziomek, również z krwi ormiańskiej, Słowacki, zrobić karierę na giełdzie. Gdyby w Sopocie, gdzie osiadła po okupacji spędzonej na robotach w Niemczech, była giełda, stałoby się tak niechybnie. W nowych czasach pisarz ma jednak tylko tę drogę, co i piękna kobieta: podobać się. Tak więc postano-

wiła zyskać powodzenie i trzeba przyznać, że jej się to udało. Przeciętny literat w Polsce musiałby pisać dwieście lat, by mieć tylu czytelników, ilu ich zdobyła Fleszarowa-Muskat jedną książką. Nic dziwnego, że nas wszystkich sprawiedliwy szlag trafia i dobre słowo o niej rzecz trudno. Wszystko da się wybaczyć, prócz powodzenia i kasy.

Zastanawiano się często nad przyczynami tak oszałamiającej popularności. Więc przede wszystkim Fleszarowa pisze w sposób zrozumiały, nie uduchowiony. Po wtóre, daje obraz realnego życia, w którym czytelnik może odnaleźć siebie. Po trzecie, podejmuje wieloraką problematykę w sposób jasny i nie za trudny. Po czwarte, ma dar konstruowania ciekawej i frażującej fabuły. Po piąte, przyjmuje podział na dobro i zło i pozwala temu co dobre zwyciężyć. Tu już wchodzimy w krainę baśni – a pisałem i tu, i gdzie indziej wielokrotnie, że człowiek współczesny potrzebuje baśni. Do baśni po trosze należą także „wyższe sfery” – wybitni artyści, pisarze, plastycy (choć tak naprawdę, cóż to są za „wyższe sfery”, Boże kochany!), a też i piękna sceneria. Dodajmy do tego niewątpliwą elegancję stylu – w sumie otrzymamy koktajl ingrediencji o różnej wartości. Ale prywatnie powiem, że umiejętność podobania się jest cennym darem, toteż wszelka krytyczna analiza musi pozostać niepełna.

Fleszarowa zaczęła po wojnie poematem gdańskim *Sen o morskiej potędze. Poemat z czasów Władysława IV* (1948) – zauważmy, że mniej więcej w podobnym czasie Władysław IV stał się bohaterem *Geniusza sierocego* Dąbrowskiej. Poemat jest spisany trzynastozgłoskowcem, nieco archaizowany, nie brak mu materii miłosnej, całkiem w istocie zgrabny. Przeczytajmy kilka wersetów.

Aż po helską iglicę biegł wzrok z wzgórz Oksywia,  
swobodny ponad morzem, jako wiatr lub mewa.  
Żrały owoc wieczoru wzbierał i dojrzewał  
i swarzyć się pozwalał morzu i niebiosom  
o błękit, który barwił z jednakim przejęciem  
i fale i obłoków biel na firmamencie.

Autorka uprawiała wiele gatunków literackich. Poza „normalną” prozą, również powieść radiową, publicystykę, felieton, dramat, słuchowisko, scenariusz. Ale to powieść przyniosła jej popularność (wydała też parę tomów nowel, ale mają one mniejsze znaczenie). Już debiut był bardzo udany – *Pozwólcie nam krzyczeć* (1957), wielokrotnie wznawiano tę powieść, a w 1960 została sfilmowana pt. *Spotkanie w mroku*. Są to losy ludzi wywiezionych na przymusowe roboty do Niemiec – co było też udziałem autorki. Towarzystwo jest tu wielonarodowe, nie brak również Niemców, wcale niejednoznacznie ukazanych. Bohaterką główną jest Magdalena, córka profesora medycyny. Powieści część druga to *Przerwa na życie* (1960) – tu Magdalena zakochuje się w Piotrze, pracowniku gdańskiego KW partii. Czasy są stalinowskie, oboje są podejrzani i prześladowani. Przedstawiony dylemat będzie powracał w późniejszych utworach – różnica ideałów życiowych między partnerami, rozstrzygana przez Fleszarową na rzecz dobra i prawości. Wreszcie po latach ukaze się i część trzecia – *Wizyta* (1971) – odwiedziny miejsca dawnych przeżyć. Tu znowu archetyp – bohaterowie Fleszarowej-Muskat z reguły będą podejmowali takie powroty.

Tymczasem powstała powieść radiowa *Milionerzy* (1959) i jej kontynuacja *Kochankowie róży wiatrów* (1962) – o podłożu marynistycznym, chociaż Fleszarowa najczęściej ogląda morze oczami kobiet wyczekujących na powrót mężów i kochanków.

*Lato nagich dziewcząt* (1960) – zwróćmy uwagę na tytuły utworów Fleszarowej – to kolejny sukces i sporo krytycznego wydziwiania. Trójkąty i wielokąty erotyczne, ale także miłość zacna i pocziwa, rzeźbiarz szukający tematu wśród sopockich wczasowiczek (ostatecznie wyrzeźbi psa), niby wielki świat, a niby półświatek, Grand Hotel etc. Powodzenie gigantyczne.

*Czterech mężczyzn na brzegu lasu* (1963) – to z kolei środowisko geologów, popadających w konflikt z ludźmi, którzy mają być wysiedleni z powodu budowy kopalni odkrywkowej. Zauważmy mimochodem, że na całym świecie człowiek, którego ziemia zawiera jakieś kopaliny, szaleje ze szczęścia i staje się milionerem. U nas rozpacza, jako wypędzony nędzarz. Jeszcze jedna wersja „kary za sukces”.

W *Zatoce śpiewających traw* (1967), czyli po prostu w Puckiej, znowu wracamy do gdańskiego lepszego towarzystwa. Inteligencja, żony i dziewczyny marynarzy – sednem sprawy jest jednak wynalazek i kłopoty z jego wdrożeniem; trzeba rzec, że Fleszarowa nie ucieka nigdy od problematyki społecznej, wprost przeciwnie – to część niezbywalna jej książek.

Odnajdziemy ją więc i w *Powrocie do miejsc nieobecnych* (1968), gdzie w małym miasteczku buduje się fabrykę, a wraca tu tym razem literacka znakomitość, romansująca z żoną oddanego sprawie inżyniera. Zwycięży zresztą dobro, literat wyjedzie jak przyjechał, dzielny przodownik odzyska swoją połowę, niespecjalnie nadszarpniętą.

Jeszcze przedtem penetruje Fleszarowa środowisko ludzi lasu, jak chociażby w *Szukając gdzie indziej* (1965). Tu między Danielem a Dionką powstaje dylemat – zostać w kaszubskim lesie czy wyjechać w wielki świat, naturalnie pozostanie byłoby słuszniejsze, ale młodzi się rozstaną, co zdarzy się nie tylko w tym utworze. Do wielu wymienionych tematów powraca autorka w nowelach zebranych w tomie *Jedna noc z tamtych lat* (1969), kto wie, czy nie jest w nich sprawniejsza literacko.

Natomiast coś się popsło w proporcjach w powieści *Wczesną jesienią w Złotych Piaskach* (1970), gdzie w uzdrowisku króluje młoda Szwedka i jej adoratorzy, może to po prostu zanadto „zagraniczne”, podobnie jak w *Zapachu psiej sierści* Żukrowskiego?

W *Dwóch ścieżkach czasu* (1973) mamy kolejny powrót, tym razem młodego Włocha, szukającego miejsc, gdzie ukrywał się w czasie wojny jego ojciec-dezertier. Akcja współczesna spleta się z retrospekcją wojenną, nawiasem mówiąc, to znowu typowy dla Fleszarowej chwyt i pomysł kompozycyjny.

Serca krytyków zostały poruszone trylogią gdyńską *Tak trzymać* (1974-1977), rzeczywiście imponującą panoramą gdyńskich losów od roku 1924 po rok 1945, gdzie zasadniczym bohaterem jest przybysz z przeworskiego interioru Krzysztof Grabień, ale wokół niego cała wielka galeria postaci. Trzy części tej panoramy, notabene jednej z najlepszych książek Fleszarowej, noszą tytuły: *Wiatr od lądu*, *Brzeg*, *Niepokonani, niepokorni*. Nie jest to jedyna książka, w której znajdziemy odwołania do Żeromskiego. Bo tak w ogóle Fleszarowa chciała napisać *Ludzi bezdomnych*, a wmawiano jej *Trędowną*.

*Złoto nie złoto* (1979) to książka przewrotna – stypendysta literacki przyjeżdża w Legnicę, by pisać o miedzi, a wpleciona w tekst, pisana przez niego książka, traktuje o czymś kontrastowo innym. Zresztą – właściwie jej autor ma rację.

*Most nad rwącą rzeką* (1984) to jedna z najambitniejszych książek Fleszarowej. Wypadki polskie Anno Domini 1980 ogląda się tu z perspektywy hiszpańskiej. Znowu dylemat – zostać czy wracać, dylemat oczywiście zakochanej pary, znów powroty w przeszłość etc. Ale książka, mimo zarzucanych jej dłużyzn, napisana spokojnie, przywoicie, w miarę obiektywnie, ładną polszczyzną.

Nie brak tych powabów ani w nowelach *Czarny warkocz* (1985), zbierających krótsze formy (właściwie mikropowieści) z lat 1963-1983, ani w *Pasjach i uspokojeniach* (1987), powieści podobno z kluczem, umiejscowionej w środowisku artystyczno-filmowym, w Warszawie, Paryżu, Cannes: polska gwiazdeczka robi nagle światową karierę, oczywiście romanse, mąż prokurator, dylematy powrotowe etc.

Powiedzmy sobie, że ten przegląd fabuł Fleszarowej niewiele mówi o jej pisarstwie, sztuce, która umie harmonizować elementy różne, potrafi się zdobywać na zawiloci psychologiczne, ma swoje mielizny, ale też i swoje szczyty. Jest to w każdym razie dobra literacka robota, a jej popularność jest bardziej niż pouczająca.

Ciekawą pozycję wśród marynistów zyskał sobie Juliusz Znamierowski (1912), duch raczej niespokojny, który do literatury zawitał dopiero po pięćdziesiątce. Z wykształcenia ekonomista, pracował w administracji i we flocie, i w dyplomacji, i w dziennikarce. Zwany był powszechnie Zulkim, co sam zaakceptował prowadząc rubrykę prasową „Z notatnika Zula reportera”. Zulek jako działacz miał kłopot bardzo charakterystyczny dla swoich czasów – otóż był ojcem syna, który, o zgrozo, wyjechał i pracował w „Głosie Ameryki”. W rezultacie ojciec miał plamę w postaci syna, a syn w postaci ojca-aktywisty – i każdy z nich musiał się na swoim gruncie wykazać zdwojoną aktywnością... Dopiero na stare lata zmądrzeli, machnęli ręką na polityczne podziały i zakopali topór wojenny. Gdy w swoim czasie wchodziłem w marynistyczną prawie-masonerię, Zulek był mi życzliwym przewodnikiem.

Zasadniczym dziełem Znamierowskiego była trylogia: *Wulkan AG* (1962), *Zielone światło* (1963), *Trzecia twarz miasta* (1966). Są to dzieje pomorskiego miasteczka, leżącego tuż za granicą niemiecką (wszyscy wiedzieli, że chodzi o Łebę), przed wojną, w czasie wojny i tuż po niej. Zawile intrygi, napięcia, bogata galeria ludzi, wreszcie wszystko żywo opisane. W następnej książce, *Trzynasty rejs* (1963), elementy marynistyczne łączą się z sensacyjnymi. Spory odzew wywołała książka *Jutro będę młodszy* (1965) – o tym, jak trzech „przeegranych”, każdy na inny sposób, mężczyzn wraca do życia poprzez rybacką walkę z żywiołem i sobą.

Odtąd nabrał Znamierowski upodobania do ryb (z moich wspomnień wynika, że cenił szczególnie śledzia w śmietanie i pstrąga w galarecie). Jego najbardziej dyskutowana książka to *Duży karaluch* (1967) – rzecz o konflikcie między szyprem a załogą rybackiego kutra. Powieść została ostro zaatakowana przez środowisko rybaków dalekomorskich, co w marynistyce jest regułą: nie ma bardziej obraźliwych ludzi niż marynarze. Tymczasem jest bardzo dynamiczna, z dużym, może nieco szyderczym darem obserwacyjnym. Znamierowski pisał potem scenariusze telewizyjne na motywach szpiegowsko-sensacyjnych.

Następne książki także nie obyły się bez przymrużenia oka. A więc *Pożeracz ciepła* (1983) – to historia wynalazcy, który odkrywając środek na obniżanie temperatur, orientuje się w końcu, że to nie tylko środek przeciw wojnie, ale także broń ultymatywna. Przy tym kpiarski obraz Monachium. A w tymże roku ukazuje się umiejscowiona w realiach pomorskiego miasteczka powieść *Gdzie będę tak potrzebny* (1983) – rzecz o perypetiach komendanta niewielkiego posterunku milicji. Tu także trochę morzem zawiewa, choć Zulek w bardzo odległym od Pomorza mieście sprawował milicyjne powinności, nie pamiętam już, czy równocześnie z godnością pastora adwentystów dnia siódmego, serio, czy może na zmianę.

Gdy to pisałem, myślałem, że już na zawsze wśród dzikich i prymitywnych ludów Zachodu zostanie piastować prawniki, atoli wrócił, piastuje marynistów i jest nadal moim przyjacielem.

\*

Skoro jest literatura morską, to i musi być przymorską, a jak przymorską, to, oczywiście, kaszubską. Wiąże się z tym wiele problemów polityczno-lokalnych, sporów, polemik i wzajemnych oskarżeń. Trudno mi w to wchodzić, choć generalnie jestem za Kaszubami – uważając, że bogactwem państw i narodów jest różnorodność, a poza tym lubię kaszubskiego ambasadora na Warszawę, uczonego filozofa, doktora Henryka Hinza, który mi kwestie kaszubską w swoim czasie przedstawiał. Okazała się tak złożona, że *bez wódki nie razbieriesz*, więc użyliśmy tej pomocy naukowej niemało. Ale zakres mojej książki jest inny i dlatego nie będę pisał o Hieronimie Derdowskim, ani o Aleksandrze Majkowskim, ani o Damroce Majkowskiej, ani o Leonie Ropplu (Piętów Tóna), ani o Bernardzie Sychcie czy Edgarze Milewskim, nie Kaszubie wprawdzie, ale autentycznym przedwojennym gdańszczaninie. Ale że tacy byli, historyk współczesnej literatury polskiej powinien bodaj wspomnieć. Za to pisałem już o Bolesławie Facu i Edmundzie Puzdrowskim, i o zaprzyjaźnionym z nimi Franciszku Fenikow-



skim. A teraz omówię jeszcze paru autorów z pogranicza.

Największą sławę zyskał Augustyn Necel (1902-1976), rybak i marynarz, patriota i katolik, co się okazało nie bez znaczenia, gdyż autor został kawalerem komandorii Świętego Grzegorza, przyznanej mu przez Pawła VI, chyba jako jedynemu w Polsce. Obecny papież nie ma chyba szczególnych złudzeń co do świętości polskich literatów... Necel debiutował późno. Początkowo szło mu dość opornie. Ale było publiczną tajemnicą, że opracowywał mu teksty Franciszek Fenikowski, choć podobno nie zawsze, bo się kłócili, godzili etc., zresztą i Necel z latami wyrobił się i zhardział. Ale właściwie nigdy nie wyleczył się z przeróżnych wad literackich – dłużyzn, naiwności, powtórzeń, pewności siebie – jego opis szarzy omówił kiedyś stary ułan, traktując je jako mieszaninę bzdury z karykaturą. Zdarzały mu się i sypki – opracowując baśnie kaszubskie włączył w nie znane nowele jako twórczość anonimową albo własną. Ale na ogół jego wielką siłą była znakomita znajomość szczegółów tematów, o których pisał – rybołówstwa, kaszubszczyzny, dziejów Wybrzeża etc. Dlatego liczył się tu zawsze urok autentyku, nawet wtedy, gdy książka była ewidentnym naśladownictwem np. *Trylogii*. Przy wszystkich swoich wadach Necel jako literacki samorodek osiągnął bardzo wiele i zdobył autentycznych czytelników. Ma swoją urodę i chropawy, zarazem gawędziarski, lekko kaszubszczyzną zabarwiony styl, nie do zlekceważenia jest także poczucie humoru. A że uważa Kaszubów za najznacniejszą i najmądrzejszą nację świata, to można staremu człowiekowi wybaczyć.

Necel, gdy już zaczął pisać, okazał się płodny. Debiutował *Kutrami o czerwonych żaglach* (1955) – historią maszoperii chłapowskiej, czyli kaszubskiej spółki rybackiej od połowy ubiegłego stulecia. Kontynuacją tego są *Maszopi* (1958). *Saga szwedzkiej checzy* (1957) to saga rodowa Kaszuba-rybaka, żołnierza, tułacza z początku XIX stulecia. *Okrętnicy spod Nordowej Gwiazdy* (1959) to także dzieje wędrówek kaszubskiego Robinsona, Juliusza Deltafa, w czasach napoleońskich.

Następnie przychodzi najpopularniejsza książka Necla *Krwawy sztorm* (1960) i jej kontynuacja *Złote klucze* (1969). Tu właśnie daje się odczuć wpływ Sienkiewicza, zresztą niespecjalnie ukrywany. Podobno Necel martwił się, że *Trylogia* nie wspomina o Kaszubach i postanowił to uzupełnić. Akcja jest żywa, wzorowana na Sienkiewiczu, na nim też są wzorowane liczne postaci – z Podbipiętą włącznie (ale pono był rzeczywiście jakiś straszny kaszubski osiłek). Czasy bitwy pod Oliwą i potem.

Łosoś wszechwładny (1963) – to opowieści okupacyjne, *W pogoni za ławicami* (1966) – to zbeletryzowana historia polskiego dwudziestowiecznego rybołówstwa, na podstawie dziejów rodziny Mrochów. *Nie rzucim ziemi* (1970) – to opowieść o martyrologii księży katolickich w czasie zaborów i okupacji – właśnie za tę książkę Necel został uhonorowany przez Pawła VI; *Wolność i niewola* (1971) – to oparta na autobiografii powieść o wojnie i okupacji. *Z deszczu pod rynnę* (1971) – fabularyzowana gawęda o losach amerykańskiej emigracji kaszubskiej, chwilami okropnie naiwna. W wielkiej mierze jest to pochwała izolacjonizmu kaszubskiego. *Rewianie* (1974) – powieść poświęcona kaszubskim rodom z Rewy.

Najsłabsze są chyba w tych książkach dialogi, choć wszystko co literackie po trosze szwankuje. Nieżyjący już wybitny krytyk Zbigniew Pędziński (1928-1967) uważał, że Necel powinien poprzestać na samej gawędzie; kto wie, może miał rację?

Na innym piętrze literackiej konstrukcji znajdziemy się wraz z twórczością Jana Piepki (1926), piszącego zarówno w języku literackim, jak i w gwarze kaszubskiej (jako Staszów Jan). Jak każdy polonista i ja wiem, że „taci dłudzi dzipcicij”, to „taki długi gibki kij”, ale to trochę za mało, bym się podjął oceny jego poetyckiej twórczości kaszubskiej, a szkoda, bo od niej zaczynał, a proveniencję poetycką wykazuje także jego proza. Ale wiersze pisał także po polsku, żartobliwe i nie, zwiewne i posiekane à la Różewicz, a zarazem przypominające coś z *Hymnów* Kasprowicza:

Gdybym wyrosnąć drzewem na wzgórzu  
zdolał  
wiatr bym przyjął w ramiona  
i posłuszne wzrokowi  
dookoła rozpostarte  
czekałyby lasy  
łąki  
drogi nie istniejące  
przez pola  
Jeżeli by wszechmoc  
mnie obdarzyła prawem  
do stworzenia świata  
od jego zarania  
na początku  
rzekom i wszystkim wodom  
przystanąć bym kazał  
przed wschodem słońca  
w milczeniu  
jak gdyby na kolanach  
Bo potem  
już w drodze  
nie sposób by zmienić  
rzek wszystkie zakola  
i oceanów głębiny  
świat  
byłby stworzony  
bezpieczny w swych prawach  
a jednak inny  
Więc gdyby wszechmoc  
mnie obdarzyła prawem  
stworzenia bytu  
który w oddechach wszechświata  
na to stworzenie czeka  
nic bym nie zmienił  
z tego co zawarte  
we wszystkich widnokręgach  
lecz nie wiem  
czy wprowadziłbym  
w ten świat powtórzony  
człowieka.

*(Moje stworzenie świata)*

Piepka jest piewą kaszubszczyzny, a przede wszystkim ziemi żarnowieckiej, ale nie czy- ni tego w tak naiwny sposób jak Necel. Panuje znakomicie nad stylem, szczególnie godne uwagi są jego opisy przyrody; gdzieś z daleka czuć powiew symbolizmu. Ciekawe skądinąd, że ta ziemia, równie przecież pograniczna jak melanż wschodni, nie pyszni się swoim syn- kretyzmem kulturowym, nie pretenduje do minionego raju na ziemi, a podkreśla raczej walkę, napięcia, prześladowania. A przecież we wschodniej mieszance Polaków, Żydów, Rusinów również strasznie i okrutnie bywało. Cóż, nie wszystkie pogranicza są takie same. Można by rozpatrywać Piepkę razem z innymi pisarzami chłopca i ziemi, bo doprawdy ma on coś wspól-

nego z Nowakiem i Myśliwskim. W dodatku najważniejsza rzeczywistość Piepki to ta, która istnieje w formie duchowej, we wspomnieniu, we wzruszeniu. I jego opisy przyrody to właściwie pejzaże wewnętrzne.

Jeśli nie liczyć twórczości kaszubskiej, to debiutem Piepki w polskim języku literackim były opowiadania *Purtkowe stegny* (1956), czyli „diabelskie ścieżki”. Purtek to takie trochę inne wcielenie Smętka, skądinąd postaci wcale nie tak bardzo starodawnej i dostojnej, jakby się zdawało. *Stegny* są po części polemiką z Żeromskim, w każdym razie opowiadają o walce z wpływem niemieczyzny, od mniej więcej połowy ubiegłego stulecia do odzyskania niepodległości. Książka stoi jeszcze na pograniczu publikacji dziennikarskiej, a jej bohaterowie powracają w powieści *Hanesek* (1957), którego to Haneska perypetie obserwujemy teraz w czasach niepodległości.

*Szumiące wrzosy* (1967) rozpoczynają dojrzałą fazę twórczości Piepki, a nawet nie wiem, czy to nie najlepsza jego książka. Bardzo tu silny pogłos balladowy. Jest to opowieść o jednej bezsennej nocy, którą narrator spędza, przegaduje i przemilcza w towarzystwie Marii, wdowy po swoim przyjacielu, który utonął. Krzyżują się tu ze sobą dwa wątki, dwa nieszczęścia, bo narrator snuje przed nami swoje równie smętne dzieje i historie niezbyt wydarzonych miłości. Sens książki polega na przewyciężeniu bólu, a więc i w jakimś sensie – śmierci. Ale śmierć i mrok kojarzą mu się nieustannie z wojną, która jest dla Piepki prawdziwą obsesją w jego wszystkich niemal książkach.

Jej najpełniejsze wcielenie przynosi najbardziej bodaj znana *Dzierzby w głogach* (1968). Nie przepadam za dzierzbami, ptakami o okrutnych obyczajach, ale dla bohatera stały się one symbolem domu. (Ciekawe, czy Piepka w swoim sopockim domu także nadziewa żywcem swoich gości na sztachety?). Może dlatego, że bohater nazywa się Jerzy Dzierzba, pochodzi z rodziny mieszanej i przeżywa raczej zawiłe i smętne losy. Tak więc walczy początkowo w kampanii wrześniowej, potem starając się uratować ojca (Polaka; matka – Niemka) wstępuje do Wehrmachtu, dezertuje do Armii Czerwonej, gdzie z kolei jest traktowany jak szpieg...

*Cisza* (1970) znowu wraca w orbitę wojny w sposób dla Piepki typowy, to znaczy poprzez dwa plany czasowe – wojenny i współczesny. Tu młody chłopak szuka na Kaszubach śladu po swoim bracie, wojennym przybyszu. Sprawy integracyjne to także jeden z powracających ustawicznie motywów piepkowych. I znowu najcenniejsze okazują się partie liryczne, melancholijne.

Natomiast mniej mi się podoba powieść *Komu przypisano miłość* (1976) – o kaszubskiej, wiejskiej współczesności oraz o miłości młodej dziewczyny i smętnych wyjazdach do Niemiec. Piepka jest poza tym także autorem książek dla dzieci: *Wieża z domem* (1974) i *Torbus i reszta zgrai* (1978) – przy czym nie idzie tu bynajmniej o krakowskiego poetę z grupy „Tylicz”, komedii *Choróbsko*, zbiorów wierszy *Stojedna chwilka* (1961) i *Czułość słowa* (1980). Jest znanym gawędziarzem, a wspiął się także jako aktor filmowy. Jego książki przypominały mi na różny sposób różnych autorów, nie tylko już cytowanych, ale gdzieś tak od Panasa po Turwida, w sumie jednak jest to twórczość niewątpliwie odrębna, ze swoimi osobliwościami, jak np. dialogowaniem po kaszubsku. Jeśli kiedyś ktoś wyodrębni szkołę „kompleksu zachodniego”, to Piepka zajmie w niej miejsce godne uwagi.

Odkładając na razie Drzeżdżona, którego miejsce wśród „zbereźników”, zajmijmy się Kaszubą najzacieklejszym i najbardziej sztandarowym. Oczywiście, jak to zazwyczaj bywa, z pochodzenia wcale Kaszubą nie był Lech Bądkowski (1920-1984), torunianin, człowiek o bogatym życiorysie, zdeklarowany regionalista. Walczył we Wrześniu nad Bzurą, potem na Zachodzie, wreszcie został zrzucony do kraju jako cichociemny. Był działaczem i politykiem z temperamentu i pasji. Najbogatszy dorobek pozostawił w dziedzinie publicystyki. Uczestnik gdańskich porozumień sierpniowych w 1980, potem potrafił mówić „Solidarności” przykre prawdy – domagał się np. zamiast strajków „dnia wzorowej pracy”... Nie muszę dodawać, że potraktowano go jak szaleńca. W 1981 zaczął wydawać własne pismo „Samorządność”, pró-

bujące nawoływać do rozsądku i mediacji. Miło mi wspomnieć, że byłem zaproszony do współpracy. Z Lechem Bądkowskim i Andrzejem Piskozubem łączył mnie poza tym pogląd, że nasze tradycje morskie, acz szczytne, przecież są kruchutkie i że cała sprawa urodziła się tak naprawdę w XX wieku. Było to dla naszych marynistów strasznym wręcz kamieniem obrazy.

Bądkowski bywał pomawiany nawet i o to, że chce pomorsko-kaszubskiej autonomii – trudno o większą brednię. Był rzecznikiem daleko idącego regionalizmu, jak największego bogactwa duchowego „małych ojczyzn”, a taką ojczyzną było dla niego Pomorze. Skądinąd z Bądkowskim wojowali marynarze, których rzekomo uraził książką *Wesoło w tropikach*.

Zaczynał w 1946 roku od publicystyki, debiut prozatorski przyszedł w 1951 – powieść *Kuter na strądzie*. Książka była okrutnie poprawna, wszystko co trzeba w niej się znalazło – biedniacy i bogacz, partia, cytaty z Minca i „Trybiny Ludu”. Chodziło o to, by ściągnąć z brzegu wyrzucony nań (brzeg morski to właśnie ów tajemniczy „strąd”) kuter, a następnie o tytuł własności – będzie li kuter własnością złego i grubego bogacza, („bezkarnie rozpanoszony właściciel wędzarni”), czy postępowej spółdzielni? Celniejszy był zbiór opowiadań *Pan grodziska i inne opowiadania* (1955), ale pierwsza licząca się proza to *Półw nadziei* (1959), dość dziwna powieść o trzech płaszczyznach i wątkach dość odległych. Jest tu historyjka o rybacze, jest fantastyczne laboratorium na górze Łysce, jest dyskusja o współczesności. Wszystko oscyluje między przypowieścią poetycką a dialogiem filozoficznym, a dzieje się właściwie w bezczasie.

*Bitwa trwa* (1960) to opowiadania wojenne od Września poczynając, o tonacji ciemnej, mówiące o absurdzie śmierci, ale i o wadze, i potrzebie heroizmu. Są zresztą trochę nierówne. Do wątku pomorskiego wraca Bądkowski w *Pieśni o miłosnym wieńcu* (1961) – poetyckiej opowieści o miłości, ulokowanej gdzieś w średniowieczu. Jest to wyraźny moralitet. Natomiast następną książką to wspomniany głośny „skandal” w marynarce polskiej, *Wesoło w tropikach* (1962). Po prawdzie „skandal” został wywołany nie tyle przez książkę, ile przez „Tygodnik Morski”, który przedstawił ją jako paszkwil na ciężką pracę marynarzy. A wcale tak nie jest. Bądkowski ukazuje trud i monotonię dalekich rejsów, w których marynarskie uciechy stanowią wątpliwej wartości osłodę niełatwego życia. W istocie książka jest ironiczna i gorzka, a i w niej można się doszukać moralitetowego podłoża, skojarzonego z niejakim naturalizmem prezentacji.

Z kolei wraca Bądkowski do wątku pomorskiego w powieści historycznej *Oko za oko* (1963) – o XII-wiecznej wyprawie Słowian pomorskich na skandynawską Konungahalę. Dwa opowiadania *O których myślimy* (1966) przynoszą wątek kaszubski i morsko-miłosny. Trzeba tu przypomnieć, że w latach sześćdziesiątych rozprzestrzeniła się „literatura rejsowa”. Po prostu umożliwiono pisarzom zniżkowe rejsy, co wywołało falę książek lepszych i gorszych. Bądkowski korzystał z tych podróży obficie, zresztą odegrały one w istocie dużą rolę w upowszechnieniu w Polsce problematyki morskiej. Same książki, niestety, na ogół rewelacyjne nie były. Również *Powtórka* (1969) opowiada o rejsie do Ameryki Południowej, podczas którego spotykają się dwaj rywale, młody marynarz i starszy pisarz. Rezultat raczej wątpliwy.

Duży rozgłos natomiast zyskali *Żołnierze nad Bzury* (1969), gdzie dokument splata się z fabułą. Tymczasem nowy rejs i nowa przygoda: Bądkowski płynie na „Diakarcie”, która utknęła w czasie wojny arabsko-izraelskiej w czerwcu 1967 roku na Wielkim Jeziorze Gorzkim w Kanale Sueskim. *Wielkie Jezioro Gorzkie* (1970) jest czymś pośrednim między powieścią, dziennikiem a reportażem, a takie mieszanki są dla Bądkowskiego dość typowe. Po *Wszystko się liczy* (1971) – opowiadaniach z zachodnich kresów dawnego Pomorza, dotyczących złożonych stosunków polsko-niemieckich, znowu owoc rejsu – *Kulminacja* (1972). Tym razem w tasmańskim porcie Hobart pisarz Rajmund Bonin przeżywa w egzotycznej scenarii przelotny romans. Powieści rejsowe Bądkowskiego, z wyjątkiem *Wesoło w tropikach*, dowodzą, że temat był po prostu miałki, że trzeba było na siłę wydobywać z niego fabułę,

coś, o czym dałoby się napisać. Z innymi autorami było podobnie. Prawdę powiedziawszy, nie dziwi mnie to wcale. Także uczestniczyłem w morskiej podróży na tych samych zasadach i po namyśle zrezygnowałem ze spłodzenia kolejnej książki rejsowej, ponieważ z góry wiedziałem, że może to być jedynie pretekst albo reportaż, nic nowego zatem.

Znacznie ciekawsze jest *Oblężenie* (1976), gdzie rejsową teraźniejszość wzbogaca wątek historyczny. Tym razem idzie o Mombasę w Afryce Wschodniej i tragiczne oblężenie twierdzy Jezusa Mombaskiego (w XVII wieku), wysadzonej przez tamtejszego Wołodyjowskiego, Antonio de Barbosa. Po czym Bądkowski zwraca się ponownie do poetyki eksperymentalnej pisząc *Sny* (1978) – dziwne, krótkie opowiadania o zaskakującej monotonii, będące jakby zapisem marzenia sennego, przedstawiające świat zastygły, znieruchomiały. Jest to rodzaj eksperymentu językowego, a zarazem poblizze prozy poetyckiej, by nie rzec: poematu prozą.

Swoistym eksperymentem było także największe w zamierzeniu dzieło Bądkowskiego, nie dokończony, kontrowersyjny cykl pomorski z XIII wieku. Bohaterem jest tu gdański książę Mściwój, czyli Mszczuj II. Eksperyment dotyczy języka archaizowanego, kaszubizowanego, neologizowanego, do którego trzeba było dołączyć słowniczek, a i tak nie zawsze wiadomo, o co chodzi. Zarazem jednak ów język jest ważnym i cennym elementem książki, która stanowi wielką parabolę o względności rzeczy (świeżo przybyli Krzyżacy sprawiają jeszcze wrażenie sojuszników i sprzymierzeńców, a znów Polska to zagrożenie!) i moralnie wątpliwej, a zarazem koniecznej polityce. Ukazały się dwa tomy tej epopei – *Młody książę* (1980) i *Chmury* (1984). Bogactwo panoramy pomorskiej, zawilości fabuły, wątek edukacyjny, rozległość horyzontów intelektualnych, wypracowany język sprawiają, że jest to najlepsza książka Bądkowskiego, szkoda, że nie dokończona.

Trzeba do tego jeszcze dodać powieść polityczną *Huśtawka* (1984), która na wydanie czekała dwadzieścia pięć lat. Przedstawia ona wybory moralne w środowisku dziennikarskim na Wybrzeżu, rzekomo w Elblągu, ale wszyscy wiedzieli, że to powieść z kluczem i dotyczy Gdańska w czerwcu 1956 roku. Bohater, dziennikarz Bernard Gliszczyński, stara się o rehabilitację niesłusznie skazanych, ale pozostaje w swych działaniach osamotniony, a książka kończy się impasem. Ciekawe, że Bądkowski, człowiek o takim temperamencie politycznym, więcej powieści współczesno-politycznych nie napisał, a sam temat powracał u niego w kostiumie historycznym, w alegoriach i przypowieściach.

W jego twórczości przewija się kilka wyraźnych wątków. A więc tematy: pomorski, morski, wojenny i romansowy. W każdym z nich powstały książki warte czytania, choć powiedzmy wyraźnie, iż nie był to pisarz miary największej. Ale i nie żadna miernota przecież. Celniejszy w perspektywach duchowych i intelektualnych niż w urokach pióra, pozostaje jednak w pamięci jako jedna z najczystszych, najładniejszych postaci naszej literatury.

Trudno byłoby Leszka Proroka sprowadzić wyłącznie do twórczości marynistycznej. Zajmował się wieloma sprawami, podejmował bardzo wiele tematów, należał bowiem do najpłodniejszych, najaktywniejszych naszych twórców. Ale motyw morski odegrał w jego dziele rolę bardzo istotną, a Prorok, jako autor przecież wybitny, najlepiej chyba dowiódł, czego można, a czego nie należy spodziewać się po tym temacie. Trzeba przy tym rzec, że sam Prorok odgrywał rolę istotną w ruchu marynistycznym, podobnie zresztą jak w ruchu literackim w ogóle i jego zupełnie nieoczekiwana a przedwczesna śmierć była dla środowiska stratą bardzo dotkliwą. Trudno było Leszka nie lubić: życzliwy, wykazujący autentyczną troskę o cudze sprawy, dobry po prostu, gościnny gospodarz domu na warszawskich Sadach Żoliborskich, bardzo czynny w środowisku literackim, szanujący etykę, legalizm, stroniący od postaw krańcowych. Może nawet wyżej był ceniony jako człowiek niż jako pisarz, a przecież tej jego najważniejszej sprawy życia także lekceważyć nie wolno. Jest autorem wielu, nawet bardzo wielu mądrych, dobrze napisanych książek i sztuk, publicystyki.

Leszek Prorok (1919-1984) był z wykształcenia ekonomistą, studiował także na politechnice. Brał udział w powstaniu warszawskim, później przez długie lata mieszkał w Poznaniu,

gdzie między innymi był dyrektorem teatru lalkowego „Marcinek”, pracował także w telewizji. Był człowiekiem niezwykle wręcz zorganizowanym. Debiutował już przed wojną *Dniem nad Motławą* (1939), odezwał się ponownie w połowie lat pięćdziesiątych. Zostawił kilkadziesiąt pozycji. Zbiory nowel, powieści, szkice i eseje, poświęcone różnym sprawom: morskim, telewizyjnym, teatralnym, ogólnokulturalnym, stosunkowi do zwierząt. Był chętnie czytany, toteż niemało było wznowień jego książek.

Prorok (przez całe życie musiał znosić dykteryjki typu „nikt nie jest...”) bywał nazywany autentystą i „małym realistą”. Nie jest to bezpodstawne. Oczywiście, nie idzie o autentyzm spod znaku Czernika czy Ożoga, oznaczający literaturę wiejską. Miał natomiast Prorok duży dar obserwacji, toteż w jego prozie odnajdziemy wiele szczegółów i konkretów codziennego życia, co zawsze powoduje pewne przeniesienie środka ciężkości prozy na sam bieg i smak życia. Zawsze pod tym względem zdumiewa mnie Dobraczyński – że mu się chce przy okazji końca świata informować nas, ile łyżeczek cykru nasypał bohater do herbaty. U Proroka bywa podobnie – tyle że bez końca świata. Ale i tak porównano go kiedyś do Chestertona, co prawda z innych powodów. Idzie więc o nasycenie fabuły codziennymi drobiazgami, o wręcz naturalistyczne czy może reporterskie dążenie do szczegółowej pełni literackiego obrazu.

Przywołanie „małego realizmu”, poza weryzmem szczegółu, ma powód inny. Ten kierunek gustował mianowicie w małych miasteczkach, w środowiskach niewielkich, choć zróżnicowanych. Trzeba przyznać, że Prorok podzielał to upodobanie i wiele jego utworów, właśnie najbardziej znanych, dzieje się na prowincji, w małym miasteczku – żeby przywołać bodaj *Wyspiarzy* czy *Krzyżówkę*. Ale nie jest to miejsce akcji jedyne – bywa tu i wieś (co prawda w fazie rozpadu), i wielkie miasto, i statek, a także egzotyczne porty. Takim preferencjom sprzyjały upodobania literackie – w całej twórczości Proroka dominowała struktura „obrazka”, od pierwszego utworu, będącego przecież obrazkiem wręcz wzorcowym. Lubi też Prorok oglądać sprawy z jednego punktu czasowego, wobec którego cała akcja jest retrospekcją.

Wielkim tematem Proroka jest ludzkie nieszczęście. Już jego pierwsza powojenna książka była w znacznej mierze poświęcona niewidomym, a temat ten powracał i później. Ale nie była to sprawa jedyna – samotność, zawiedzione nadzieje, sytuacja osaczenia, niesprawiedliwość znajdują w Proroku współczującego malarza. Bywa w tym i trochę sentymentalizmu. Prorok nie moralizuje wprost, przesłanie, pointa wynikają z przedstawionych wydarzeń, niekiedy takich, że zmieniłaby je interwencja sprawiedliwości, ale i tych, na które rady nikt nie ma. Zawsze jednak o coś takiego chodzi, Prorok nigdy nie maluje dla samego malowania. Typowy pisarz inteligencji, ale dla inteligencji bardzo szeroko pojętej i może nie tej najwięcej wymagającej. Ale i tu bywają zasadzki – zwracano nieraz uwagę na swoista przekorę Proroka, na to, że jego prawdziwa intencja jest odmienna, niż by to mogło pozornie wynikać z przyjętego schematu.

Ale tak naprawdę Prorok był zawsze autorem złotego środka. Ani zbyt popularny, ani zbyt elitarny, ani za awangardowy, ani tylko tradycyjny. Mały realizm – ale i parabola moralna. Niemało przy tym zamierzonej przypadkowości – czasem nawet wiele. To przypadek najczęściej pomaga jego bohaterom – bo Prorok ich lubi i nie chce ich do końca unieszczęśliwić i unicestwić. Z kolei jego eseistyka wskazuje, jak szerokie miał horyzonty, jak wiele z życia i ze świata rozumiał i starał się zrozumieć. Wielkim twórcą zapewne nie był – ale dał średnią tak dobrej klasy literackiej, że moglibyśmy sobie tylko życzyć takiej dla wszystkich.

Zaczął Prorok od obrazka z XVII-wiecznego Gdańska, *Dzień nad Motławą*. Nie była to właściwie odrębna całość, ale fragment obszernego dzieła *Rzeczypospolitej diament koronny*, które nie znalazło uznania u wydawców. *Dzień* jest już bardzo prorokowały, składny, kulturalny, ładnie napisany, ale bez jakiegś szczególniejszej akcji. Zdaje się, że ta nie opublikowana większa część także się z podobnych obrazków składała.

Po latach, podczas których publikował Prorok z rzadka to publicystykę, to fraszki jakiegś, ukazał się tom opowiadań *Krewniacy* (1955), poświęcony w części niewidomym, w części

problematyce poznańskiej i wielkopolskiej, wreszcie teatrowi. Była to już proza intelektualna, nie tylko opisowa. Nie unikał też łagodnego moralizowania, wreszcie oczywista była dla wszystkich jego pasja społecznika. Książka została dobrze przyjęta, podobnie jak następny tom – *Magnetyzm serca* (1956), na dwie części podzielony: okupacyjno-powstaniową i teatralną. Tu także wyjawiało się, że Prorok bywa sentymentalny. Tego określenia Leszek bardzo nie lubił i słysząc je patrzył na rozmówcę trochę koso. Ale za to krótko, gdyż na dłuższej kwasić się nie umiał.

W 1957 roku ukazuje się jego pierwsza powieść *Ziarno kąkolu*, moralistyczna, rozrachunkowa, okupacyjna. Bohater zataja przed rodziną, a głównie przed synową, śmierć syna i sytuacja robi się fałszywa. Zwłaszcza że synowej świta nowa miłość, jak sądzi, niemożliwa. Dopiero przypadek sprawia, że dowiaduje się o śmierci męża i może sobie układać teraz nowe życie. A więc konflikt moralny i psychologiczny, rozwiązany nieco mechanicznie, bo przypadkowo. Ale przypadek wielokrotnie będzie pomagał bohaterom Proroka. Wbrew opinii innych krytyków nie jestem całkiem pewien, czy to rzeczywiście ułatwienie sobie zadania, czy coś w rodzaju litości wobec tworzonych przez siebie postaci, które niejednokrotnie ratuje Prorok przed ostatecznym nieszczęściem – wiedząc, że w życiu byłoby, niestety, inaczej. Rzecz nie jest ani tak dziwaczna, ani tak bardzo rzadka wśród prozaików. Jest tu też nieco elementów katolickich (książka została wydana przez „Pallotinum”).

Opowiadania zebrane w tomie *Suita w tonacji moll* (1958) są, jak zapowiada tytuł, smutne, a nawet posępne. W tych krótkich utworach marzenia i przewidywania zderzają się z rzeczywistością, czego skutkiem jest gorzkie rozczarowanie. Nuta moralistyczna zakorzeniła się tu na dobre.

*Wyspiarze* (1962) to jedna z najgłośniejszych i najlepszych powieści Proroka. Jest to książka poświęcona autochtonom Ziemi Krajeńskiej, wspom polskości podmywanym przez żywioł niemiecki, z czego płynie poczucie wyjątkowo silnego i nie dającego się niczym przekreślić konfliktu, nawet wtedy, gdy po 1945 wyspy stały się niejako częścią lądu. Zapiekle urazy, poczucie krzywdy itd. A rzecz właśnie w tym, że w powieści występuje małżeństwo – Polak i Niemka, wyklęci przez swoje społeczności. Są tu i inne wątki, także sentymentalne (córka, do której nigdy się nie przyznał główny bohater). Rzecz cała dzieje się współcześnie, tzn. w 1959 roku w małym miasteczku Kłosa pod Piłą. Jest to noc w hotelu, widziana oczami starego portiera, ongiś nauczyciela i działacza, teraz rozgoryczonego i pozbawionego sensu życia. Mamy tu całą galerię postaci – członków zespołu artystycznego, prowincjonalnych prominentów „na delegacji” – następnego dnia ma się bowiem odbyć uroczystość ku czci zasłużonych działaczy. Stary portier, Paweł Dubisz, ogląda to wszystko snując wspomnienia – stąd dwie płaszczyzny czasowe, rzecz dla Proroka typowa; w ogóle zaś można chyba mówić o kompozycyjnym (może i nie tylko kompozycyjnym) wpływie *Cudzoziemki* Kuncewiczowej.

Nawiasem mówiąc, wyłoniła się z tego historia „jak w kinie” – Proroka odwiedziła taka właśnie niemiecko-polska para, dręczona podobnymi do powieściowych kłopotami, przekonana zresztą, że to o nich rzecz się wiodła. Zamieniło się to w trwającą latami przyjaźń autora z jego bohaterami.

Rok 1962 przyniósł również zbiór nowel *Potop odwołany*, o problematyce przede wszystkim psychologicznej. Tu także nade wszystko przypadek kształtuje losy postaci – miłość, strach, samotność. Z kolei powieść *Tarantella* (1963) została poświęcona sprawom ideałów młodzieżowych. Prorok napisał ją niejako wbrew obiegowym opiniom o młodzieży współczesnej, która, jego zdaniem, nie była ani zdawkowa, ani wszystko lekceważąca, lecz moralna i zamyślona. Najprawdopodobniej miał tu Leszek na myśli własnego syna i jego otoczenie, trochę nie pamiętając, że tradycyjnie inteligentkie środowiska odbiegają jednak co nieco od przeciętnej. Wyszło znowu na moralizowanie.

Natomiast *Drabina Jakubowa* (1964) to odrobinę wizyta u kolegów z „nurtu wiejskiego”, od Kawalca po Lekkiego. Mamy tu podkonińską wieś, do której wkroczyła industrializacja.

(Jak to pisał o tym słowie Tuwim? „Indus, rozumiem, rzeka, pożytek z niej. Trializacja? – Już mniej”). Następuje rozpad dawnych tradycji i wartości. Tylko starzy ludzie, jak choćby Jakub Bugaj, walczą aż do kresu o utrzymanie dawności, młodzi zaś ruszają do kopalni albo szukają innej drogi ucieczki. Ale „nowe” nie ma wiele do zaoferowania w sensie duchowym.

*Lądami nieuniknionymi* (1967) wchodzi Prorok w problematykę marynistyczną. Książka wyrasta z doświadczeń „rejsowych”, kiedy biedny pisarz płynął przez morza i rozpaczliwie usiłował znaleźć jakiś temat. Na ogół trzeba było pisać o marynarskiej pracy i obyczajach, a także o tęsknocie za domem. Tak jest i w *Lądach nieuniknionych*, bardzo wiernym obrazku marynarskiego życia ze specyficzną atmosferą, czekaniem na listy, odwiedzinami w portach etc.

Po czym przychodzi cała seria nowel. *Tamta jesień* (1967) – nowela tytułowa zyskała nagrodę japońskiego PEN-Clubu, *Wielkie wody* (1969) – opowieści morskie, świat mężczyzn, egzotyka, *Letni sztorm i inne opowiadania* (1970) – także kontynuacja tematu morskiego.

Natomiast *Czas stworzenia* (1970) to powieść z prorokowego wątku teatralnego. Niemłoda już reżyserka, Joanna Wolska, z prowincjonalnego teatru trafia na wielki kongres międzynarodowy w Szwajcarii. W znacznej mierze jest to, jak to u Proroka, retrospekcja, tym razem okupacyjno-wojenna, ale także smutny wątek nieudanej miłości i rozważania teatralne. W sumie, to jedna z lepszych książek Proroka, a byli i tacy, co twierdzili, że najlepsza.

Szerszy natomiast oddźwięk miała *Krzyżówka* (1971), powieść nieomal interwencyjna. W małym (znowu) miasteczku, Czyżewie, zderzają się na skrzyżowaniu syn miejscowego prominenta i stary robotnik. Winny jest bezspornie młody, ale sąd właśnie robotnika skarże na więzienie i grzywnę. Jest tu co nieco z czarno-białego schematu, ale właśnie „białe” jest pod spodem, a „czarne” na wierzchu, choć też nie do końca. Stary człowiek zapłaci grzywnę dzięki pomocy znajomych, od więzienia uratuje go amnestia. Był to czas, gdy o prominentach nie pisano zbyt wiele, chyba że właśnie szczebla niższego niż powiatowy, książka wywołała więc żywą dyskusję. Ważna była także panorama małego miasteczka, bardzo „małorealistyczna”, choć problem krzywdy miał znacznie większy format. Sam Prorok używał komentarza bardzo powściągliwie.

Zupełnie inna była powieść *Wielki zgielk* (1972), utwór groteskowy, ale z bardzo poważnym przesłaniem. Rzecz dzieje się w kraju bliżej nie określonym. Spokojny buchalter browaru Gambrinus dostaje z lekka po ciemieniu fragmentem wznoszonego właśnie pomnika i nagle jego głowa zaczyna bezpośrednio odbierać programy miejscowej rozgłośni. Wynikają z tego przeróżne perypetie. Ale gdy ostatecznie zamykają nieszczęśnika w izolowanej od fal radiowych kabinie, ten domaga się natychmiastowego zwrócenia mu owego nieustannego, wielkiego zgielka świata. Groteska, ale i parabola oczywista, choć, jak to u Proroka, właśnie przewrotna.

Potem znów książki bardzo różne. *Strefa słońca* (1973) to reportaże morskie, *Kepi wojska francuskiego* (1973) to znów rzecz specyficznie warszawska, obejmująca wspomnienia szkolne ze słynnego gimnazjum Górskiego, dziennik z powstania, spisany przed laty, i część współczesną. *Zapiski psubrata* (1975) – książka poświęcona psom, ale też w ogóle stosunkowi człowieka i zwierzęcia, wreszcie *Tsunami* (1977), mikropowieść o miłości, porównanej tutaj do tytułowej morderczej, wszystko zatapiającej fali. Przyjdą jeszcze nowele *Nasze czujne spojrzenia* (1978) i *Listy do Matyldy* (1979). Powieść o odnalezionych listach niedawno zmarłego, sławnego pisarza Konara, podważających jego ubrązowiony wizerunek. Listy te, wywoławszy mnóstwo perturbacji, okazują się, znów *deus ex machina* – falsyfikatem.

Do najwybitniejszych utworów Proroka należy *Smuga blasku* (1982), powieść z życia Conrada. Trzeba dodać, że Conrad był dla Proroka – i jako człowiek, i jako pisarz – kimś niebywale istotnym. Leszek pisał o nim wielokrotnie, domagał się też, może aż przesadnie, uczczenia pisarza pomnikiem lub pomnikowym napisem przy wejściu do portu gdańskiego. Więc i powieść pisał z nabożeństwem, czy raczej z czułością – trudno mi nawet to określić.



Zadanie miał z wielu powodów bardzo trudne, ale wywiązał się z niego z honorem. Pisał o głośnym epizodzie z okresu służby na żaglowcu „Otago” i nieudanej miłości Conrada na wyspie Mauritius. Literacko jest to proza bardzo wymakowana, przecież jednak Conrada nie kopiująca.

Ale to wcale nie wszystkie książki i utwory Proroka. Był przecież autorem słuchowisk i sztuk scenicznych, takich jak *Fosforyna* czy *Freja – zimna bogini miłości*. Wydał wiele tomów eseistyczno-publicystycznych, w których podejmował tematy ogólnokulturalne, literackie, telewizyjne, marynistyczne etc., jak np. *Okno dziwów* (1966), *Plemię Herostratesa* (1969), *Szkice bałtyckie i inne* (1971), *Inicjacje conradowskie* (1987).

W sumie wkład Leszka Proroka w literaturę, w kulturę współczesną okazuje się bardzo znaczny, choć być może ciągle jeszcze nie w pełni został doceniony. Jego twórczości poświęcono wiele artykułów, recenzji i wywiadów, ale nie ma prawie zupełnie obszerniejszych opracowań syntetycznych. Tymczasem wysoka kultura literacka, szeroki zakres problematyki, głębokie rozumienie ludzkiej duszy czynią go we wszystkich wymiarach kimś znaczącym i w sensie literackim, i w sensie moralnym.

Niezbyt wielki objętościowo, ale ceniony i czytany dorobek ma Jerzy Pachlowski (1930) ze Szczecina, absolwent Instytutu Literackiego im. Gorkiego w Moskwie, później zaś, przez całe siedmioletnie, rybak dalekomorski. Ale ta przygoda okazała się tyleż pomocą, co pułapką, z której od lat Jurek stara się wywinąć.

Rozgłos przyniósł Pachlowskiemu tom opowiadań *Delfiny idą po wiatr* (1963), który to tytuł bywa nagminnie zniekształcany na „pod wiatr”. Potem przyszedł zbiór *Ryba i słońce* (1971), w parę lat później *Opowiadania morskie* (1977) i powieść *Wołanie horyzontów* (1977). Oprócz tego zredagował i częściowo przełożył zbiór opowiadań łotewskich *Zielone żagle złudzeń* (1984).

Twórczość Pachlowskiego opiera się na dwóch zasadniczych tematach. Pierwszy to praca i los marynarza, a szczególnie dalekomorskiego rybaka, drugi to fascynacje afrykańskie, a zwłaszcza wszystko, co wynika z kontaktu czarnego i białego człowieka. Każdemu, kto się o Afrykę otarł, wiadomo, że problem to istotny i bardzo skomplikowany. Z jednej strony, biali są winni wielu nieszczęść Czarnego Łądu, z drugiej, dystans cywilizacyjny Afryki i Europy jest niesłychany. Otóż Pachlowski opowiedział się po stronie czarnego człowieka, który stał się dla niego wręcz „szlachetnym dzikusiem”, à la Jan Jakub, co zarazem ma być i potępieniem współczesnej cywilizacji. Szczególnie *szlachetny* sprawiony przez Niemców plemieniu Hererów, prototyp holocaustu, staje się tu dowodem koronnym. Ale tak czy inaczej, egzotyka afrykańska jest nieodłącznym składnikiem polskiej marynistyki i Pachlowski składa tu stosowną daninę obyczajowi.

O wiele więcej ma do powiedzenia o życiu marynarskim. Co prawda o marynarzu trudno już coś nowego naszej marynistyce powiedzieć. Wiemy, że ciężka praca, że monotonia, że tęsknota za domem, że sytuacja uwięzienia. Pachlowski szczególnie mocno podkreśla motyw wyobcowania, konflikt między jednostką a grupą, często tragiczny. Trafiają się także motywy z lekka niesamowite.

Pachlowski posługuje się raczej sytuacją niż konstrukcją fabularną, opowiada w epizodach, stosuje tonację dziennika intymnego. Zbigniew Pędziński z niejaką złośliwością napisał, że jego bohaterowie myślą o życiu według Conrada, a przeżywają erotykę według Hemingwaya. Trochę jest w tym prawdy, ale tylko trochę. Pachlowski chętnie posługuje się sytuacją symboliczną, tak jest w sławnym *Kameleonie*, tak w równie głośnym, letargicznym *Makrelowym śnie*, zresztą w ogóle lubi atmosferę nieco mroczno-wieszczą. Obok tego sytuacje portowo-knajpiane, ale i tu doszukuje się posmaku metafizyki. Prawda, zdarza mu się i humor, ma też bardzo silne poczucie autentyczności. Stąd może bardzo plastyczny, wyrazisty styl, niekiedy aż manieryczny i przeładowany górnolotną metaforą. Przy tym nieco sentymentalny, nieco moralizujący. Ale przecież w sumie czyni się z tego mieszkalnicą ciekawa i niepowta-

rzalna, nie dająca się sprowadzić do wzorów, wpływów czy nawet obserwacji. Bo w istocie rzeczy przy wszystkich marynarskich, niekiedy dosadnych realiach Pachlowski bardziej opisuje ludzki świat wewnętrzny aniżeli cokolwiek innego. Być może to właśnie bardziej niż egzotyka rybacko-afrykańska sprawiło, że Pachlowski został tak dobrze przyjęty przez czytelników, że ma to trudne do określenia „coś”, czego tak często brakuje autorom bardziej od niego płodnym.

Inaczej reaguje na Afrykę Ewa Szumańska (1922). (W ogóle dałby się chyba zestawić wcale bogaty obraz Afryki w relacjach naszych marynistów). Bo dla początkującego marynisty płynąć – oznacza płynąć na południe, do Afryki właśnie. Przyczyny tego zjawiska są zresztą dość interesujące; lecz nie odbiegajmy od tematu. Szumańska słynie z aktywności i zanim została renomowaną marynistką i afrykanistką, przeszła i działała niemało. W czasie okupacji ukończyła szkołę aktorską, studiowała też historię sztuki, walczyła w powstaniu, była w obozie, występowała na scenach, zastąpiła jako „młoda lekarka” w radiowym kabarecie Jacka Fedorowicza „60 minut na godzinę”. Zresztą właśnie z radiem związała się na stałe (we Wrocławiu, gdzie ostatecznie zamieszkała – co prawda gdzieś od roku sześćdziesiątego rozpoczęła podróżowanie morskie tak częste, długie i dalekie, że chyba w domu bywała tylko od przypadku do przypadku). Z tych wojaży wyrosła cała jej twórczość, choć zaczynała już wcześniej. Jest autorką sztuk teatralnych, słuchowisk, jednoaktówek itd. Przypomnijmy niektóre: *Zakręt*, *Dziewczyna z wiatru*, *Tor przeszkód*, *Klucz od Arsenалу*, *Eglantyna*, *Pamiętnik Anny Latour*. Problematyka współczesna i młodzieżowa, czasem groteska, trochę socrealistycznych posmaków. Prawdziwą przygodą stała się jednak proza i podróże.

Szumańska, odmiennie niż Pachlowski, nie pada na kolana przed dobrym dzikusiem, bo poczucie zakorzenienia we własnej kulturze ma bardzo silne. Ale jednocześnie wszechobecne jest w jej twórczości zachłyśnięcie się i zachwyt innością, którą potrafi znakomicie, niezmiernie plastycznie i jasno zarazem przedstawić. Nie tylko świat sztuki i architektury, ale wszystkie osobliwości, smaki, zapachy, odgłosy, kolory znalazły odbicie w jej relacjach. Najpełniej wyraziła Afrykę i przyznaje się do nieustannej za nią tęsknoty. Co prawda nie sam tylko zachwyt nawiedzał Szumańską – napisała przecież książkę (*Bizary*), z której wynika, że świat napęłnia ją także zdumieniem i grozą – ale owej grozy właśnie szukała Szumańska najwytrwalej.

Posługuje się różnymi formami literackimi. Uprawia więc reportaż, reportaż fabularyzowany, powieść, nowelę, esej. Jak mało kto wniknęła w sprawy morza i marynarską mentalność, miewa więc zastanawiające konstatacje socjologiczne. Jako autorka lubi zresztą niewielkie, zamknięte środowiska i z pasją obserwuje dziejące się tam konflikty. Często są to konflikty miłosne, bo najczęściej bodaj snuje romanse – złośliwi częstowali ją nieraz Mniszkówną. Ciekawe, że jej romanse z reguły obywają się bez fizycznego spełnienia i są też nieco egzaltowane, ale to już nic nadzwyczajnego.

Debiutowała w prasie już w 1947, ale pierwsza książka ukazała się w 1963 – była to opowieść *Ślady na oceanie*, którą określono jako „reportaż z problemem”. Autorka płynie do Afryki na m/s „Bydgoszcz” i snuje refleksje na temat dawnych żeglarzy, otwierających na przełomie XIV i XV wieku ten wiele znaczący w historii świata szlak komunikacyjny. Bezpośrednie doznanie łączy się więc z refleksją – i tak już będzie zawsze w jej twórczości.

*Przygoda w Lagos* (1964), powieść, zaleca się przede wszystkim niezmiernie plastycznym obrazem Nigerii. Jest to historia miłości narratorki do agenta okrętowego. Ów agent, Slate, jest postacią nieco niewydarzoną i przeżartą przez tropik – zapewne patronuje mu z oddali conradowski Almayer. Miłość oczywiście pozostaje niespełniona, a bohaterka widząc, że podnoszenie upadłych skutku dobrego nie daje, wycofuje się w porę. Romanse Szumańskiej tym się na ogół różnią od miłosnych historii Pachlowskiego czy innych marynisto-afrykanistów, że dotyczą wyłącznie białych – czarni stanowią jedynie tło. No, ale te panienki naszych dzielnych marynarzy to są po prostu prostytutki, o których – ku zbudowaniu czytelników – wypisuje się po czasie cuda niewidy.

*Czekanie na pilota* (1966), coś pośredniego między reportażem a powieścią, przynosi obraz społeczności marynarskiej na kanwie podróży do Indii, na Cejlon, do Indochin. Autorka ukazuje więziennosc skazanej na siebie gromadki, samotność, monotonię, nudę, czego tytułowe „czekanie na pilota” jest tylko symbolem. Bohaterem jest przeciętny marynarz, Andrzej Adameczyk.

Sporo pochwał przyniosła Szumańskiej *Blizna* (1969), przywołana w rejsie dość niesamowita historia podniesionego po wojnie z dna wraku (przy czym cała powojenna epopeja zablokowanych portów), który następnie tonie u ujścia Skaldy. Rzecz w tym, że Starszy Mechanik owego statku, zarazem bohater opowieści, sam przed laty ów wrak wydobywał i miał do niego stosunek magiczno-sentymentalny.

*Kołysanie* (1972) to z kolei proza eseistyczno-refleksyjna, brewiarz marynarski, coś na kształt *Zwierciadła morza* Conrada. *Santa Maria* (1971) zaś to niewielka, dość osobliwa powieść o szóstce bardzo różnych ludzi, płynących kutrem i spisujących po kolei wspólną powieść okrętową, z czego wynika i sześć różnych narracji. W pewnym momencie przygoda niesamowicie, dzieją się różne dziwne rzeczy z czasem, który to rozciąga się, to kurczy. Liczne i nawet ostentacyjne analogie z wyprawą Kolumba.

*Prędzej* (1972) to zbiór pięciu nowel odnoszących się do innego kręgu doświadczeń, wprost przeciwnego do marynarskiego „czekania”. Idzie o środowisko redaktorów radiowych, o krąg ich spraw, wiecznego pośpiechu, życia zdawkowego, wiecznej bezsensownej pogoni. Szczególnie opowiadanie tytułowe, w którym takie właśnie życie prowadzi dziennikarz radiowy w średnim wieku (też się nie przesypia z rozebraną już dziewczyną; może autorka nie wie, jak się to robi?), jest wręcz antyprogramowe. Ale i w innych opowieściach – o oszuście, mordercy, emerytowanym dziennikarzu, dętym turnieju miast – ten sam bezsens. Ale może to autorka robi się z czasem zgorzkniała, bo następna morska książka, *Inny rytm* (1974), na wpół relacja z podróży, na wpół esej, także sielanką nie jest. W tym rejsie na Daleki Wschód objawiają się same minusy marynarskiego żywota, smutek, atmosfera więzienna, ostre konflikty wśród załogi, formowanie się klik – sporo tu niewesołej socjologii.

Inny jest już nastrój *Campingu* (1977), gdzie niewielka, wyodrębniona grupa, tym razem na plaży, pewnie adriatyckiej, przeżywa coś w rodzaju arkadyjskiego snu i gdzie się odradza, przynajmniej na jakiś czas, miłość przybyłego do owego międzynarodowego rajy polskiego małżeństwa. *Camping* jest ostro skonstrastowany z toczącym się obok, normalnym życiem.

Również pozytywniejszy wzór i możliwość wybrania lepszej drogi prezentuje *Miłość w odcieniu ochry* (1979). Tutaj żona przebywającego w Afryce na dłuższym kontrakcie lekarza przyjeżdża do Lagos, by ostatecznie przeciąć dawne związki. Nim jednak zobaczy się z mężem, pozna nieco Afrykę, przeżyje romans, naturalnie platoniczny, choć nawet i we wspólnym łóżku, spojrzy z innej perspektywy i ostatecznie zdecyduje się zostać z mężem – i to właśnie w Afryce. Wreszcie przychodzą urocze reportaże *Tunes, Tunes* (1979) – z Tunisu i *Moi przyjaciele Latynosi* (1982) – z Ameryki Południowej.

I chyba najciekawsza książka Szumańskiej, *Bizary* (1986) – tytuł pochodzi od francuskiego słowa bizarre, dziwaczny. Są tu zebrane przeróżne obserwacje z niezliczonych podróży Szumańskiej, dotyczące dziwacznych, groteskowych, niekiedy odrażających obyczajów, miast, cmentarzy, kulinariów, uprawiania miłości itp. Książka przypomina sławny film *Mondo cane* i daje rzeczywiście osobliwy wizerunek świata. Zapewne, wiele dziwaczności wynika z europejskiego sposobu widzenia świata, chociaż Szumańska wspomina także i o własnych, polskich dziwacznościach. Książka jest pasjonująca, przynosi zaszczyt stylowi, darowi obserwacji i chyba także humanizmowi Szumańskiej.

Z radiem związany był także przez lat bardzo wiele Stanisław Goszczurny (1929), ale na tym jego podobieństwa z Szumańską prawie już się kończą. Prawie, bo nie całkiem, bo i tutaj reportaż daje autorowi najpewniejsze oparcie. Właściwie cała twórczość Goszczurnego z reportażu wyrasta, autor dba zawsze, by wychodzić od faktów. Czy to mu rzeczywiście zawsze

na zdrowie wychodzi, to już inna sprawa. Dość kąśliwa wobec niego krytyka ujmowała sprawę zazwyczaj w ten sposób, że reporter to dobry, ale pisarz słabszy. Tak czy inaczej, czytelnicy chętnie do Goszczurnego sięgali, jego książki miały spore nakłady i w księgarniach nie zalegały. Goszczurny zaczynał od prawa, w czasie okupacji był na robotach w Niemczech, potem uczył się w szkole oficerskiej, w końcu zaczął pracować w rozgłośni gdańskiej, gdzie po latach doszedł aż do stanowiska dyrektora. Napisał wiele książek, które często rozpoczynały się od reportażu, raczej nie gonił za egzotyką dalekich mórz i łądów, zajmując się przede wszystkim sprawami miejscowymi, gdzie też nie brakowało swoistej egzotyki.

Już pierwsza powieść Goszczurnego, żywo zjechała przez krytykę, stała się sukcesem czytelniczym, miała wiele wydań, a w latach osiemdziesiątych nakręcono na jej podstawie film – rzecz by więc można, że autor od zarania żyje z prostytucji, czy dokładniej: jest na utrzymaniu prostytutki Zośki, bohaterki jego głośnych *Mew* (1961). Onaż Zośka deprawuje się, idzie w „mewki”, czyli wybrzeżowe prostytutki, później zaś odradza się duchowo i życiowo – a to za sprawą miłości. Słowem, *Dzieje grzechu* z happy endem, tyle że ów szczęśliwy koniec niełatwy, a Goszczurnemu udało się po prostu powieść obyczajowa. Mimo wielu braków, nieobecności scen łóżkowych, wszelkich przemian obyczajowych, które całą problematykę gruntownie odmieniły (prostyutka bynajmniej nie jest dziś synonimem nędzy, a przeciwnie, zasłużoną dla naszej ekonomii osobą, hojną dostarczycielką cennych dewiz), książka zachowała swoją pozycję i poczytność.

Ale i inne książki Goszczurnego zniosły, o dziwo, próbę czasu, bywają wznawiane i czytane. Jest to, oczywiście, literatura popularna, ale dość interesująca. Gorzej jest z rozliczeniami historyczno-politycznymi, tu bowiem Goszczurny nie odbiega od oficjalnego stereotypu.

*Niezołnierze, niebohaterzy* (1965) to rzecz oparta na elementach autobiografii. Opowiada o ciężkim losie polskich robotników w niemieckiej stoczni elbląskiej, a później w Gdańsku. Inna głośna książka Goszczurnego, *Między ogniem a wodą* (1963), także wychodzi od autentycznego zdarzenia – samozapłonu węgla na rybackim statku dostawczym. *Heron lubił dolary* (1965) – to reportaże milicyjne. Za to *Prom* ma większe ambicje. Jest to znowu powieść z autentycznym jądrem – o zerwaniu przez Wisłę promu z pasażerami i wyniesieniu go grudniową nocą na zaminowaną jeszcze zatokę, i oczywiście o akcji ratowniczej. W *Drugim powrocie* (1967) podejmuje Goszczurny trudne problemy resocjalizacji byłych więźniów, *Rozbitek* (1968) to opowiadania o ludziach morza, również wyraźnie reporterskie.

*Koniec najdłuższego rejsu* (1968) to najbardziej złożona intelektualnie książka – o szczególnej zemście zdegradowanego drugiego oficera na kapitania, ongiś idola „drugiego”. Zemsta ma polegać na samobójstwie, a cała historia ma rys conradowski. Raczej tylko czytadłem jest powieść *Długi prosi o karę śmierci* (1970) – rzecz kryminalno-milicyjna, za to *Wiatr* (1970) próbuje ukazać ostatki podziemia na Żuławach, coś w stylu *Popiołu i diamentu*. Żuławy są jeszcze zalane wodą, rzecz by więc można, że jest to działalność nie tyle podziemna, co podwodna. „*Kormoran*” *wychodzi w rejs* (1972) jest rzeczywiście podwodny, gdyż traktuje o marynarce wojennej w latach czterdziestych, *Żołnierz* (1979) opowiada młodzieży o okupacji i latach powojennych, a *Wyrok śmierci* (1978) wraca do sprawy stracenia Hibnera, Kniewskiego i Rutkowskiego.

Ciekawszy jest *Pierwszy sztorm* (1985), rzecz o budowie Portu Północnego, gdzie odradza się duchowo i społecznie niedoszły maturzysta. Życie potwierdza zresztą, że dla polskiego inteligenta zostanie robotnikiem jest awansem społecznym i materialnym, choć drzewiej inaczej o tym mówiono. Wreszcie trzeba wymienić dylogię *Morze nie odda ofiar* (1981) i *A żyć trzeba dalej...* (1985), opartą znów na autentycznym zdarzeniu zatonięcia statku w porcie i konsekwencjach tej katastrofy. Tak więc i tutaj spojrzenie reporterskie wyprzedziło fabularyzację, które to zestawienie jest źródłem zarówno słabości, jak i poczytności Goszczurnego.

O tematy morskie ociera się często Andrzej Przyppkowski (1930), autor, który wstępnym bojem zdobył sobie czytelników i dalszą część drogi literackiej odbywa na linii między po-

popularnością a nieco szlachetniejszymi ambicjami. Trudniejsza książka – to mniejszy nakład, a zatem i mniej pieniędzy, więc Przypkowski płacze, że nie zarobił. Łatwiejsza – to wyrzuty sumienia i Przypkowski płacze znowu. Tak czy owak, chodzi pod ścianami i patrzy na świat jakby nieco pokątnie.

Andrzej Przypkowski zdążył jeszcze walczyć w Szarych Szeregach, potem skończył prawo, uprawiał publicystykę, a w 1962 ukazała się jego pierwsza powieść *Zwykły rejs*. Odtąd publikuje wiele, sporo wznawia, ma niemały krąg czytelników. Jest, jak to się określa, pisarzem popularnym. Składa się na to kilka przyczyn. Jego książki to fantastyka polityczna. Wielkie światowe spiski, akcje terrorystyczne, walka wywiadów, egzotyka, współczesność, ale zakorzeniona w latach wojny. To wszystko zbliża go i do Strumph-Wojtkiewicza, i do Francisa Clifforda, i do Forsythe'a. Znakomicie prowadzi akcję, przenosi ją z miasta do miasta, z kraju do kraju, od jednego wątku do drugiego. Jest to bardzo sprawne rzemiosło literackie – autor pisze jasno, komunikatywnie i nie bez wyżej sięgających ambicji, ponieważ nie jest mu obca problematyka moralistyczna, i to wcale nie zdawkowa. Wadzi natomiast trochę schematyczny, czarno-biały obraz świata: wredni kapitaliści i opatrnościowy socjalizm.

Uznanie czytelników przyniosła mu książka *Gdzieś we Francji* (1966), powieść okazała (Przypkowski ze swoją bujnością akcji i obrazu raczej się nie mieści w formacie mikro), ukazująca walkę podziemnej francuskiej organizacji „Koziorożec” oraz poczynania gestapo. Kończy się dość tragicznie, a w ogóle jest tu i jakieś tchnienie Malraux. Następne książki będą kontynuowały tę problematykę, francusko-okupacyjną, skoncentrowaną na walce wywiadów i wynikających stąd często konsekwencjach i dylematach moralnych. Przypkowski wiele uwagi poświęca także udziałowi Polaków w tych zmaganiach. Tak więc trzeba tu wymienić zbiór nowel *Oni byli wszędzie* (1967) i powieści *Ulica Miłosierdzia* (1968), *Gdy wrócisz do Montpellier* (1969), *Nie ma jutra w Saint-Nazaire* (1971).

Wojenne i współczesne, emigracyjne losy Polaków (bohater Przypkowskiego musi odbywać podróże, żeby autor mógł chwycić sponsora za gardło i domagać się natychmiastowej delegacji do, powiedzmy, Riobamba, bo inaczej książki nie ukończy) będą przedmiotem zainteresowań autora i w latach następnych. Odnajdziemy je w nowelach tomu *Księżyc nad Sierra Leone* (1972) i w powieści *Arena* (1973), gdzie młody, zbuntowany prawnik dostaje spadek w USA i tam przeżywa dalsze przygody, by wreszcie porzuciwszy wstrętne imperialistów powrócić na ojczyznę łono. Nie powraca natomiast z tegoż, godnego napiętnowania kraju bohater *Odwrotu* (1976), Ślązak, który dezertuje z Wehrmachtu, trafia do armii polskiej, potem, sztykanowany po wojnie, z kraju emigruje.

Natomiast przykładowie w Polsce zostaje para młodych małżonków, inżynier i absolwentka ASP, ruszający na prowincję, do budującego się kombinatu w powieści *Przestąpić próg* (1977). O prawie-kolumbowym pokoleniu czytamy w dylogii *Jak mewy* (1976) i *Bursztyń się jarzy* (1980), Natomiast całe szaleństwo egzotyki i sensacji czeka nas w trylogii: *Taniec marihuany*, *Palm City*, *Victoria* (1977-1980), gdzie na południowej wyspie młody, obiecujący Curtis rozpoczyna od parlamentaryzmu, by poprzez terrorizm dojść do działalności rewolucyjnej. Idzie tu zresztą nie tylko o cień Che Guevary, ale o ukazanie mechanizmów władzy, naturalnie na zgniłym Zachodzie, ale kto wie, może i nie tylko. Zdaniem krytyków, Przypkowski tu właśnie nie bardzo się na swojej linii utrzymał, ale czytelnicy pożarli trylogię z apetytem. Wreszcie *Opętani* (1985) to historia porwania przez terrorystów senatora Pirellego, jawnie wzorowana na tragedii Aldo Moro.

Do najpopularniejszych polskich autorów należą Alina i Czesław Centkiewiczowie, udana para małżeńska i literacka. Czesław Centkiewicz (1907), z wykształcenia, belgijskiego zresztą, inżynier elektryk, z zawodu meteorolog, już przed wojną brał udział w wyprawach polarnych, ale też i pisał (w dzieciństwie zaczytywałem się jego *Czeluskinem*). Alina Centkiewiczowa (1904-1993) ukończyła prawo w Grenoble, była więźniarką Ravensbrück (Czesław Centkiewicz trafił po powstaniu do obozu w Neuengamme), po wojnie, w latach czterdzie-

stych, zaczęła pisać razem z mężem. Niby jest to twórczość dla młodzieży, ale tzw. starsi czytają ich z nie mniejszą przyjemnością. Bo to nie tylko literatura podróżnicza, równie ważny jest tutaj etos zdobywcy, odkrywcy, człowieka, który realizuje się nie przez walkę z innymi, ale ze srogością natury. Wielka popularność Centkiewiczów, którzy obrali sobie rejony biegunowe za obszar literackiej eksploracji, świadczy nie tylko o zainteresowaniach geograficznych czytelników i nie tylko o literackiej biegłości autorów, ale przecież o ważnej potrzebie jakiegoś szlachetniejszego życiowego ideału, potrzebie, której Centkiewiczowie zawsze czynili pięknie zadość.

Książek napisali mnóstwo, beletryzowanych i mniej beletryzowanych, tu wymienię tylko najgłośniejsze. Więc Centkiewicza wspomniany już *Czeluskin* i *Wyspa mgieł i wichrów*, także przedwojenna. Aliny i Czesława Centkiewiczów: *Odarpí, syn Egigwy* (1949), *W lodach Eisfiordu. Opowiadanie na tle prawdziwych zdarzeń* (1953), *Opowieści spod bieguna* (1960), *Fridtjóf, co z ciebie wyrośnie? Opowieść o Nansenie* (1962), *Człowiek, o którego upomniało się morze. Powieść o Amundsenie* (1966) i wiele, wiele innych. Problematyka marynistyczna łączy się w nich w sposób naturalny z polarną, a wszystko razem składa się na jeden z ważniejszych wzorów osobowościowych, jakie literatura polska młodym ludziom ofiarowała.

Wielką rolę w polskiej marynistyce odegrał mniej może znany Bronisław Miazgowski (1909-1981), najradykałniejszy z radykalnych wyznawców morza, którego nic poza przerobieniem Polaków na Polinezyjczyków zadowolić nie mogło. Już jako młody chłopak dopłynął z przyjaciółmi na własnoręcznie skonstruowanej łodzi z Brodów do Gdyni, został pupilem Mariusza Zaruskiego, doktoryzował się ze sławistyki, pisał wiersze już od 1928. Podczas wojny internowany w Szwajcarii, wrócił potem do Polski i trafił na całe lata do więzienia. Wreszcie wypuszczony, zrehabilitowany i odznaczony, wyjechał do Szwajcarii, gdzie działał na rzecz międzynarodowego instytutu marynistycznego. W Polsce zainicjował i założył Klub Marynistów, zresztą od jego przeróżnych inicjatyw morskich aż się roiło. Wielką, choć nieoczekiwaną rolę odegrała jego książka *Morze w literaturze polskiej* (1964). Postulował w niej „kulturę morską”, walkę o „treść morską” i tak dalej. Od tego czasu wszyscy nasi maryniści zaciekle z nim wojowali. Jego postulaty, choć przesadne, istotnie wiele zrobiły dla polskiej świadomości morza.

Miazgowski był publicystą, poetą, reporterem, prozaikiem o dość umiarkowanej randze literackiej. Największe uznanie zdobyła jego książka o Maroku – *Maroko, ziemia czerwona* (1958), układnie przyjmowano jego wiersze – *Dom pod Zodiakiem* (1967), *Rapsod hetmański. Poemat* (1970) czy *Gorzkie morze* (1977). Czytelne do dzisiaj są jego nowele, trochę dydaktyczne, trochę naiwne, wspomnieniowe, jak *Ze wspomnień żeglarza* (1959), *Węzeł przyjaźni. Opowieści autentyczne* (1964), *Kismet. Opowieści z Maghrebu i Sahary* (1967) czy *Po latach burzy* (1968). Najistotniejsza była jednak jego rola publicysty i inspiratora, może właśnie dzięki krańcowości stanowisk i poglądów, które głosił.

Mimo że z Brodów i Szwajcarii, Miazgowski rzeczywiście bywał żeglarzem. W ogóle olbrzymia część współczesnej „literatury morskiej” wyszła spod pióra marynarzy, często kapitanów. Tu największą sławę i poczytność zyskał sobie Karol Olgierd Borchardt (1905-1986), oficer „Piłsudskiego” i „Chrobrego”, który przeżył zatonięcie obu transatlantyków, wieloletni wykładowca Szkoły Morskiej. Wydał trzy książki, a w spuściźnie pozostały nie dokończone jeszcze dwie. Pierwsza z wydanych, *Znaczy kapitan* (1960), wywołała wręcz entuzjazm. Poświęcona pamięci jednego z pierwszych polskich kapitanów Mamerta Stankiewicza, składa się z krótkich opowieści, przedstawiających karierę morską autora. Jej siłą jest zarówno bogata faktografia, jak i wielkie poczucie humoru Borchardta, które sprawia, że w książce aż roi się od anegdot. W ciągu niewielu lat rzecz miała dziesięć wydań, stając się najpopularniejszą publikacją marynistyczną w Polsce.

Nieco mniejszy entuzjazm wywołały utwory następne: *Krażownik spod Samosierry* (1963) i *Szaman morski* (1986), opowiadające o polskich statkach i ich kapitanach. Borchardt

poddaje się stylistycznym urokom Sienkiewicza, zarazem heroizuje swoich bohaterów, a sprawom morskim, co zresztą do przewidzenia, nadaje rangę najwyższą. W sumie beletryzacja wspomnień dała tu wynik bardzo szczęśliwy.

Cenioną książkę napisał Urban Krzyżanowski, emerytowany starszy mechanik, absolwent tczewskiej Szkoły Morskiej z lat dwudziestych. Był to *Specjalny pasażer* (1966), zbiór opowieści i autentycznych wspominków, spośród których nowela tytułowa, o nieudanej próbie wywiezienia z zasięgu niemieckiego gestapo wiedeńskiego wynalazcy, jest rzeczywiście znakomicie napisana.

Wielką sławę zyskał Leonid Teliga (1917-1970), ale jako samotny żeglarz, który opłynął świat na jachcie „Opty”. Teliga – człowiek o niezwykłym i burzliwym temperamencie, marynarz, lotnik, publicysta, tłumacz – cieszył się sławą wielkiego facecjonisty i gawędziarza. Sam się przekonałem, że to prawda, poznawszy Teligę w Dakarze, gdy jego sławny rejs miał się ku końcowi. Teliga remontował w Dakarze „Opty”, a każdy polski kapitan wpływający do tego portu wydawał na cześć polskiego żeglarza bankiet. Kapitan Malinowski ze „Świdnicy”, na której płynąłem, nie był oczywiście wyjątkiem – jak Teliga wtedy to przeżył, zważywszy, że polskich statków bywało tu sporo, tego już nie wiem. W literaturze zostało z tego niewiele, Teliga przedwcześnie zmarł i nie zdążył spisać swoich opowieści. Został po nim reportaż *Trawlerem do Afryki* (1967) i *Samotny rejs „Opty”* (1973), zredagowany przez szczecińskiego marynistę i krytyka Stanisława Telegę, postać w marynistycznych kołach wielce słynną.

Spośród rzeszy wszelakich wędrowców morskich i częściowo morskich trzeba wymienić Wacława Korabiewicza (1903), lekarza i etnografa, w swoim czasie także żeglarza i lekarza okrętowego, autora reportażu, opowiadań, studiów etnograficznych polskich i angielskich. Z jego książek wymieńmy bodaj: *Mato Grosso. Z notatnika wypychacza ptaków* (1948), *Kwaheri* (1958), *Midimo. Romans afrykański* (1961). Najciekawsze jednak jest studium *Śladami amuletu* (1974) – o genezie i dziejach krzyża, rewelacyjna książka o Chrystusie.

Mniej lub bardziej beletryzowanych wspomnień marynarskich, żeglarskich i wojennych jest bardzo dużo. Dobrze zostały przyjęte książki Eugeniusza Wasilewskiego *Powrotne szlaki*, Wiesława Andrzejewskiego *Rejs w nieznanie*, Mariana Bielskiego *Na linii życia i śmierci*, wzorowana nieco na sławnym *Okrutnym morzu* Nicholasa Monsarrata. Z podwodniaków wywodzi się komandor Józef Wójcicki, prozaik, przede wszystkim autor powieści historycznej z przełomu XIV i XV wieku o Związku Jaszczurczym *Jaszczurkowcy* (1972).

Z młodszej generacji najbardziej obiecująco wygląda twórczość Piotra Bednarskiego (1938) z Kołobrzegu, najpierw dalekomorskiego rybaka, a następnie marynarza floty bałtyckiej. Wraz z Jankowskimi należał do kołobrzesckiej grupy „Reda”, wydał już kilka zbiorów wierszy, prozy i właściwie wyszedł poza krąg ściśle marynistyczny. Jest autorem zbiorów wierszy *Arka Przymierza* (1974) i *Pieśni żeglarzy* (1978) oraz zbiorów opowiadań *Krople soli* (1976), *Czarcie nasienie* (1978) i *Morze u wezglowia* (1981). Jego miniatury, początkowo werystyczne, z biegiem czasu coraz wyraźniej stają się parabolami czy też przypowieściami. Zresztą twórczość poetycka również wskazuje na fascynacje metafizyczne. Osobne miejsce zajmuje powieść *Lancelot* (1986), łącząca eksperyment językowy, gmatwaninę dygresji i zbitek kulturowych z próbą rekonstrukcji czegoś na kształt pamięci genetycznej. Książka wiąże się z nurtem nowej prozy, którą nazwałem „zbereźnicką” (od Henryka Berezy, przypominam). Co prawda w tym wypadku to właściwie i ja byłem, niezależnie od Berezy, opiniodawcą bardzo *Lancelotem* zachwyconym. Jest to zresztą pierwsza część trylogii, której następny tom nosi tytuł *Parsifal* (1989). Zobaczmy jeszcze, jak interesujący i lapidarny potrafi być Bednarski-poeta.

Gdzie jest Bóg  
Zapytała nicłość  
Gdzie jest Bóg

Zaszeptała ciemność  
Gdzie jest Bóg  
Zapluskała woda

Nie ma Boga  
Odpowiedział Bóg

I zarzucił na siebie  
Dziurawy kaftan z gwiazd

Nie widziałyśmy Boga  
Zamrugwały gwiazdy

(xxx)

Poważnej pozycji marynistycznej dopracował się Eugeniusz Andrzej Daszkowski (1930), absolwent Wyższej Szkoły Morskiej w Szczecinie, a zarazem magister ekonomii, z czasem rektor tej uczelni kilku kadencji. Jednocześnie niesyty zdarzeń Eugeniusz rusza na morze, zostaje oficerem, kapitanem, dowodzi licznymi statkami polskimi i obcymi. Nie uznaje i nie zna miast, które nie leżą nad morzem. Byliśmy kiedyś obaj gośćmi literatów bułgarskich w Sofii i Gienek był szczerze zdumiony, że nie ma tam morza. Wobec tego obraził się, zamknął w knajpie i tam płynął intensywnie. Musiałem mu, oczywiście, towarzyszyć.

Daszkowski ma w swoim dorobku kilkanaście książek związanych ściśle z żeglugą, ze swoją kapitańską godnością, a więc od czasu do czasu zezuje w stronę Conrada. Sporo u niego motywów psychologicznych, socjologicznych i egzotycznych także, gdyż jego szlaki wiodły ku wszystkim kontynentom, a ma nader rozwinięty zmysł obserwacji.

Debiutował opowiadaniem *Wachta* (1972), potem przyszły kolejne opowiadania *Marynarski widnokrąg* (1973), powieść *Do portu przeznaczenia* (1975) – gdzie chief Norkowski mierzy się z problemami osobistymi i załogowymi. W tymże roku wychodzą kolejne opowiadania – *Afrykańskie spotkania*, które doczekają się trzech kolejnych wydań, a w 1978 powieść *Morskie progi*, gdzie elementy autobiograficzne łączą się z relacją o dziewiczym rejsie. W *Fere* (1981) okrętuujemy razem z Daszkowskim na statek belgijsko-panamski, niewielką, ale dokładną wieżę Babel. Podobnie w *Zahi* (1985) – perypetie bliskowschodnie. Szeroki rozgłos, nagrody i uznanie przyniósł Daszkowskiemu tom *Blindziarze z San Pedro* (1986), po czym przyszły kolejne opowiadania – *Małpi rejs* (1988).

Daszkowski jest także autorem scenariuszy filmowych i dokumentalnej książki *Ostatni rejs „Narvika”* (1982). Zdobi sobą piękny Szczecin.

Spory dorobek ma również szczecinianin Wiesław Andrzejewski (1931), marynarz i dziennikarz zarazem, pływający także pod obcymi banderami, co określiło jego pierwsze książki, ale też i pomogło mu wyjść poza opłotki jedynie polskiego tematu. Andrzejewski nie stroni od egzotyki ani od sensacji, co w sumie sprawia, że jest chętnie czytany. Tropi także „dziwność istnienia”, momenty osobliwe, natomiast sama obyczajowość trochę mniej go interesuje, co mu nawet miano odrobinę za złe. Andrzejewski zaczynał od książek reportażowych. Były to: *Rejs w nieznane* (1964), opisująca dziewięciomiesięczną podróż na szwedzkim statku „Ingrid” do portów Dalekiego Wschodu, i *Porty dobrych nadziei* (1967), przedstawiająca żeglugę także na szwedzkim trampie, czyli na statku o trasie nieznanej i nieregularnej, zabierającym przypadkowe ładunki.

Potem przyszli *Połykacze ognia* (1969), opowiadania przywołujące egzotyczne miejsca i sytuacje (opowiadanie tytułowe dotyczy absurdalnego ogniska rozpalonego w sześćdziesięciostopniowym upale Basry), mające odrobinę z atmosfery wczesnego Salińskiego. Potem w pisaniu nastąpiła przerwa i Andrzejewski przypomniał się dopiero w 1981 powieścią *Port*



*nowych szlaków* – o początkach powojennego Szczecina i niełatwej adaptacji morskiej przybyszów. Dwunastka zróżnicowanych bohaterów przeżywa gorycze i absurdy lat pięćdziesiątych. Najwyżej chyba cenioną książką Andrzejewskiego jest *Piracki tryptyk* (1982) – trzy opowieści o piractwie współczesnym lub prawie współczesnym, zawieszona między autentycznością a beletryzacją, o dalekowschodnich gangach, o pirackim procederze niemieckiej łodzi podwodnej. *Morza niespokojne* (1982) to opowiadania głównie o niebezpieczeństwach morza, sztormach, mgłę, ogniu. *Niebezpieczne barwy oceanu* (1985) to powieść sensacyjna – o transporcie broni chemicznej, gangsterach etc., a *Losy z morza* (1986) to znowu opowiadania. Andrzejewski zrozumiał, że sam fakt poruszania się statku po wodzie to w naszych czasach nie tak znowu wielka rewelacja, że trzeba czegoś jeszcze.

Mocne miejsce w marynistyce ostatnich lat zyskał sobie Lesław Furmaga (1933), niedoszły górnik, potem dyplomowany rybak-przetwórca, wykładowca Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni, wreszcie niezależny żeglarz i autor. Furmaga debiutował opowieścią o długim rejsie rybackiego statku „Pelamida”, *Rzeka bez brzegów* (1974), gdzie naturalnie i realia się zgadzają, bo autor przecież pływał i w tropiki, i na Antarktydę. Nie brak tu także zmysłu obserwacyjno-satyrycznego. Następna książka, *Korab i Joanna* (1977), stanowi w jakiejś mierze replikę pierwszej i też wywozi nas na dalekie ryby, tyle że jest literacko lepsza. Autor następnie zdradził na krótko morze opisując perypetie projektantki Ewy w fabryce włókienniczej – *Między strugami deszczu* (1980), po czym wrócił na morze w swoim jak dotychczas głównym dziele *Lot Pingwina*. Jest to trylogia, złożona z części: *Zaokrętowany* (1981), *Słońcem i lodem* (1983), *Burza i powrót* (1986). Tytułowy Pingwin, poza sensem metaforycznym, to przezwisko Karola Poręby, eks-dziennikarza, który uchodząc nieprawościom politycznym i rozdźwiękom domowym rozpoczyna skromną początkowo karierę morską, krzepnąc wewnętrznie i przeczekując złą politycznie i domowo pogodę.

Furmaga jest także autorem słuchowisk i scenariuszy (sfilmowano mu *Kraba i Joannę*), pisze również cenione powieści dla młodzieży – od *Skarbu z piaszczystego półwyspu* (1974) poczynając po *Żagle w tarczy* (1988). Trzeba też dodać, że jest to autor ceniony przez środowisko marynarsko-rybackie, a to wcale nie jest regułą.

Nie mogę tu, niestety, uwzględnić wszystkich autorów zajmujących się problematyką morską, zwłaszcza z pogranicza literatury. Choć na przykład fabularyzacje bitew morskich Andrzeja Perepeczki (któremu nieobce są i próby bardziej ambitne) są bardzo poczytne, a swoją rolę odgrywa także i autor powieści sensacyjnych, liczących się już na kopy, Sławomir Sierecki, ale on znad rzeki, a ja piszę to w miedzeszyńskich lasach. Paru nazwisk pominąć jednak nie mogę. A więc największym znawcą faktografii marynistyczno-wojennej był Jerzy Pertek (1920-1989) z Poznania, publicysta i popularyzator. Najgłośniejsze wśród jego książek to *Wielkie dni małej floty* (1964), *Druga mała flota* (1959), obszerne dzieje morskie drugiej wojny światowej i liczne monografie szczegółowe.

Literackie powodzenie i liczne nagrody zdobywa także inny znawca spraw morskich, komandor Eugeniusz Koczorowski, autor prac dotyczących dawnej floty i bitew oraz książki poświęconej morskim rytuałom. O wiele późniejszy tytuł ma Andrzej Piskozub, bo jest tylko profesorem Uniwersytetu Gdańskiego, czego pewnie wstydzi się bardzo, ile że wysoki prestiż tego tytułu należy u nas do czasów zamierzchłych. Piskozub zajmuje się motywami morskimi w literaturze światowej, najciekawsze jednak rzeczy pisze o transporcie, który staje się w jego rozumieniu jednym z najważniejszych nośników cywilizacji. Jego prace poświęcone geopolityce lądowej to także pasjonująca lektura, lecz bardzo jednak odległa od tematu tej książki.

Najciekawszym zaś autorem publicystyczno-historyczno-batalistyczno-marynistycznym jest Zbigniew Flisowski (1924), w swoim czasie żołnierz ruchu oporu i II dywizji Pierwszej Armii, uczestnik walk o Pomorze, potem długoletni oficer i redaktor. Jako historyk i popularyzator problematyki wojennej i morskiej jest autorem klasycznych opracowań dotyczących

obrony Westerplatte, walk o Pomorze, bitwy jutlandzkiej, a także wojny amerykańsko-japońskiej. Dodajmy, że Flisowski jest inicjatorem serii miniatur wojskowych, sławnego „Żółtego tygrysa”. Jego prace charakteryzują się wybitnymi walorami literackimi, a też i humanistycznymi. Ujęcia są niekonwencjonalne, język wyrazisty, konkretny, potoczny. I coś jeszcze cenniejszego: Flisowski pisze tak, jakby współczuł obu stronom – walczącym i ginącym – nie ma w nim nienawiści, nie ma też właściwie kultu mundurów, ale także ironii i drwiny. Rzadki to i zapamiętania godny przypadek.

Spośród jego licznych książek przywołajmy tu: *Westerplatte* (1959), jeden z największych bestsellerów Polski powojennej, wznawiany i poszerzany w nieskończoność, *Lot na południe* (1964), *Od Gdańska do El Alamein* (1967), *Pomorze – reportaż z pola walki* (1973) – także książka wzorcowa, *Opowieści z mórz, brzegów i wysp* (1976), *Bitwa jutlandzka* (1981). Razem z Marią Flisowską wrócił jeszcze raz do Westerplatte w *Bastionie u wrót Gdańska* (1985). I wreszcie ukoronowanie licznych publikacji, badań, podróży i całego cyklu książek – *Burza nad Pacyfikiem* (1986 – tom 1, 1989 – tom 2), monumentalne studium wojny japońsko-amerykańskiej. Trzeba wspomnieć o publicystyce literackiej *Między Marsem a Odysem* (1986), ale to też tylko wybór książek Flisowskiego, którego twórczość w pełni świadczy, jak bardzo literatura faktu przeważa dziś nad tradycyjnymi gatunkami literackimi. Szkoda, że charakter mojej książki pozwala jedynie na wzmiankę o tej ciekawej twórczości.

To oczywiście także nie zamyka polskiej „choroby morskiej” – zwracają się bowiem do niej bodaj sporadycznie liczni pisarze; można by wymienić Czesława Czerniawskiego, Jerzego Surdykowskiego, Andrzeja Twerdochliba, Kazimierza Traciewicza i wielu innych.

Jest jednak sprawą oczywistą, że od drugiej połowy lat siedemdziesiątych poczynając impet marynistyczny osłabł widocznie. Brakuje tak szalonych zapaleńców jak Zaruski, Miazgowski czy Teliga, w świat wyjeżdżają nie tylko marynarze, władze morskie zlekceważyły sprawy propagandy morskiej. A może po prostu wszystko znormalniało w tym względzie, bo pierwszy głód został zaspokojony? Przeminięły też chyba nadzieje, że Polska może swoją utraconą na lądzie wielkość odbudować na morzu. A warto zauważyć, że podobnie traci impet temat wiejski – może tu także co najważniejsze już powiedziano. Tym niemniej ni jedno, ni drugie nie stanowi zamkniętej księgi i liczne jeszcze jej karty zapiszą liczni autorzy.

## **„Pryszczaci Kolumbowie”**

Następna generacja prozaików należy już do pokolenia „Kolumbów” lub „pryszczatych”; określenie zależy od intencji mówiącego. Pierwsze miano dotyczy czynu zbrojnego i jest chwalebne, drugie natomiast mówi o poparciu dla stalinizmu. Naturalnie wcale nie wszyscy zasłużyli na oba miana. Byli przecież i tacy, którzy mając za sobą kartę militarną nie pokryli się później „pryszczami”, lecz po prawdzie tak liczni to oni nie byli – przykładem świeci tu Jan Józef Szczepański. Bywało, że zbyt młodzi w latach okupacji, ledwie otarli się o ruch oporu, natomiast później prowadzili ożywioną działalność. Najczęściej jednak byli i „Kolumbami”, i „pryszczatymi” zarazem, co nieuchronnie musiało wywołać mnóstwo urazów i przeciwności.

Jest to bardzo szczególne pokolenie, jedyne urodzone i wychowane na wolności, z heroicznym wejściem w dojrzałość – całkowita odwrotność następującego po nim pokolenia „Współczesności”. Pokolenie zadziwiające, zważywszy, przez jaki dramat przejść musiało. Pamiętamy nazwiska poległych poetów, lecz przecież potencjalnych twórców musiało być znacznie więcej. A jednak mimo tych, którzy zginęli, właśnie „pryszczaci Kolumbowie” należą do najbogatszych, naliczniejszych literacko, i to we wszystkich dziedzinach. Na dobrą sprawę można by tu mówić i o Żukrowskim, i o Różewiczu, i o Lemie, i o Mrożku, Herbercie, Braunie, Konwickim, Białoszewskim i wielu, wielu innych. Ciekawe, że ta profuzja twórców dotyczy nade wszystko literatury krajowej; co prawda właśnie tu, a nie na emigracji znalazła się większość młodzieży. Ale też nie bez znaczenia był ówczesny wysoki prestiż zawodu pisarza, na co Józef Wissarionowicz bez wpływu nie był.

Debiutanci wojenni i powojenni... Niektórzy z nich zdobyli rozgłos już w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, niektórzy rozbili się na nich boleśnie, jak chociażby Borowski. Ich twórczość z tego okresu omówiliśmy w tomach poprzednich. Na ogół po pięćdziesiątym szóstym roku w ich pisaniu nastąpiła odmiana tak znaczna, że trzeba po prostu mówić o drugim debiucie. Bywało, że nastąpiła i zmiana gatunkowa – początkowo uprawiali poezję, by ostatecznie sławę zyskać jako prozaicy – od Bratnego po Bartelskiego. Wszyscy oni zostali naznaczeni piętnem wojny i do dzisiaj pozostają tak czy owak w jej orbicie, ba, teoretyzowali nawet, że jest to ich obowiązkiem, że wszystko powinni przez ten pryzmat oglądać. Drugim składnikiem ich tematyki – czy w ogóle twórczości – jest zaangażowanie w okresie socrealistyczno-stalinowskim. Nic dziwnego, że ich książki szczególnie często bywają nawiedzane przez widma. Zwłaszcza Roman Bratny jest nieomal niewolnikiem dylematu bohatera-łajdaka, mówiąc w wielkim uproszczeniu. Od niego, jako od ojca chrzestnego generacji, wypada rozpocząć.

Poznaliśmy już Bratnego-poetę. Przypomnijmy, że Bratny to konspiracyjny pseudonim Romana Mularczyka (1921), absolwenta Akademii Nauk Politycznych, działacza podziemnej organizacji „Miecz i Pług”, redaktora pisma „Dźwigary”, uczestnika powstania i jeńca oflagu. Jego debiut poetycki przypadł na lata wojenne (1943) i aż po rok 1956 Bratny uprawiał przede wszystkim poezję i dramat. Ale już w 1946 wydał nowele *Ślad*, w 1953 ukazały się kolejne tomy opowiadań: *Ile serce wytrzyma* i *Rola główna*, a w 1955 powieść *Krok ostateczny*.

„Prawdziwy” Bratny narodził się jednak w 1957, kiedy ukazała się książka *Kolumbowie rocznik 20*, która dała nazwę całemu pokoleniu, przeciwstawiając się wzgardliwym „pryszczatym”. Było to już drugie odwrócenie o 180 stopni wszystkich wartości... Bratny zdobywa rozgłos, także międzynarodowy, i pisze naprawdę bardzo dużo, głównie jednak mikropowieści. Jego książki najczęściej dotyczą spraw aktualnych, ale zawsze uwikłane są w przeszłość. Odzywają się nawet głosy, że Bratny w istocie rzeczy pisze ciągle jedną tylko powieść. Istotnie, powtarzają się postaci i sytuacje. Nade wszystko jest piewcą swego pokolenia, wobec którego odczuwa szczególną *hassliebe* – z jednej strony są to jedyni godni uwagi ludzie, bohaterowie wszak uświęceni czynem zbrojnym, z drugiej zaś ci sami ludzie łajdaczą się bezna-

dziejnie. W testamencie jednego z jego przedstawicieli czytamy:

„Życie moje jest haniebną bzdurą. Ale kiedyś zdechnę. A wówczas ciało moje, owinięte w papier gazetowy, wywieźć na wysypisko śmieci samochodem Zakładu Oczyszczania Miasta. (...) Świat jest cuchnącą kupą gówna.”

(*Na bezdomne psy*)

Po prostu wedle Bratnego łajdaczyć musi się każdy, nie tylko przedstawiciele jego pokolenia. Ojcowie „Kolumbów” są naiwni, synowie – głupi. Wszystkie kobiety to w najlepszym razie półkurwia, a przy tym idiotki. Nie lepsi są mężczyźni, którzy łajdactwo łączą ze śmiesznością i głupotą. Ta wizja z biegiem lat staje się coraz bardziej mroczna, ironiczna i groteskowa. Nienawiść obejmuje wszystko i wszystkich, bo też wszystko jest plugawe. Najwięcej jeszcze względów należy się milicjantom i myśliwym (Bratny, jak wszyscy nasi dawni prominenci, jest zawołanym myśliwym). Świat zresztą cały jest tylko polowaniem, tyle że mniej godnym niż to leśne.

Przyznam, że szukałem jakiegoś klucza do Bratnego, który zdawał mi się kłębowiskiem przeciwieństw. I stwierdziłem, że cała ta sytuacja coś, a właściwie kogoś mi przypomina. Naturalnie – Borowskiego. Właśnie ostatnia faza jego twórczości stała pod znakiem wszechogarniającej nienawiści. Załamanie duchowe Bratnego jest podobne, chociaż inne szczegóły biograficzne o nim decydują. Być może gdyby to Bratny popełnił samobójstwo, a Borowski przeżył, obraz mielibyśmy podobny – *corruptio optimi pessima* w obu wypadkach. Jakaś taka negatywna fascynacja nikczemnością świata, która nie ma już żadnej alternatywy. Z pewnością jednak tej interpretacji nie przyjmie ani Bratny, ani jego przeciwnicy. Zapewne on sam uważałby, że właśnie ze złem walczy, podczas gdy przeciwnicy orzekną, że zła, kiedy władcze, ulega. Oba punkty widzenia mogą być subiektywnie prawdziwe.

Faktem jest, że w całej działalności Bratnego da się dostrzec jakąś niezwykłą nerwowość, wzmagającą się jeszcze z biegiem lat. Tak jakby już wychodząc na polowanie zaczynał strzelać po kątach. Wątki komplikują się, płaczą, pojawiają się skróty aż do niezrozumiałości. Bratny nie zdąży doprowadzić do końca żadnego tropu intelektualnego, woli się posługiwać sytuacją. Wyraźny jest wpływ techniki filmowej – Bratny bowiem jest też scenarzystą i podobny sposób pisania – scenami – ma niejako we krwi, niekiedy na własną szkodę. Być może jest tu i jakiś wpływ Kadena-Bandrowskiego. W każdym razie Bratny pisuje „gesto”, a często i szkicowo. Czyni też wiele, by przyciągnąć czytelnika, i to każdego czytelnika. Bywa więc, że wpisuje w swoją książkę różnoraką, na różnych poziomach problematykę. Zawsze jest tu obecna jakaś wielka metafora. Przeważnie jest to kompleks, wręcz obsesja zdrady, zdrady siebie i innych. Jest cień Hemingwaya w wysokiej ocenie wojny i polowania jako sprawdzianu człowieczeństwa czy może męskości. Ale jest także batalistyka, jest wątek sensacyjny, mniej więcej od *Lotu ku ziemi* sensacyjno-kryminalny. Dodajmy, że motyw Ikara przewija się niejednokrotnie, a w ogóle wątki i sytuacje często powtarzają się. Z czasem Bratny niemal specjalizuje się w scenach z życia prominentów i kół zbliżonych, artystyczno-dziennikarskich, myśliwskich. Jest to z reguły obraz krytyczny i wręcz szyderczy. Zwłaszcza od końca lat sześćdziesiątych groteska i ironia narastają wyraźnie, szczególnie na tle politycznym i erotycznym. Bratny stworzył nawet całą szyderczą dziedzinę Baniochy i banioszan. (Baniocha to poczciwa wieś pod Górą Kalwarią. Czemu ją sobie Bratny upatrył – nie wiem. Nie upolował tam czegoś? Sobola czy panny?). Nie unika wreszcie elementów melodramatycznych, a co do władzy, to nie tyle ją wychwala, co tępi jej przeciwników.

Napisał bardzo, bardzo wiele. Głównym tytułem do chwały pozostają *Kolumbowie rocznik 20*, powieść w trzech częściach – *Śmierć po raz pierwszy*, *Śmierć po raz drugi*, *Życie* – napisana w jedenaście miesięcy, między rokiem 1955 i 1956. Jest to opowieść o tragicznym pokoleniu AK-owskim, do niedawna opluwanym i mieszanym z błotem. Głównymi bohate-

rami są Jerzy (*alter ego* autora), Kolumb, pół-Żyd, Zygmunt, konspirator i wielki handlarz, wreszcie Czarny Olo – uosobienie niezawodnego żołnierza. Wszyscy oni żyją na pograniczu pogardzonej, lecz wszechobecnej śmierci, żyją fantazją, miłością, walką – Bratny nie unika heroizacji. Część pierwsza dotyczy okupacji i dywersji, druga – powstania. Bratny jest skrótowny, plastyczny i dynamiczny zarazem, potrafi wywrzeć rzeczywiście wielkie wrażenie. Tło ideowe i polityczne nakreślone jest oszczędnie, acz, niestety, mocno tendencyjnie. „Doły” żołnierskie to „uczciwa” lewica lub naiwni patrioci, „góra” – wredna, głupawa i zdradziecka. Te fragmenty czyta się z przykrością, jeśli nie ze zdziwieniem. Ale co wolno mówić dziś, tego nie można było wtedy. W każdym razie książka była ostro – i nie bez racji – krytykowana, szczególnie przez Władysława Bartoszewskiego.

O *Życiu*, bardzo zresztą chwalcący książkę Tadeusz Nowakowski napisał w londyńskich „Wiadomościach”: „W tomie III zaczynają się dziać dziwne rzeczy, jakby porwano autora, a dokończenie książki powierzono jego rywalowi”. Jerzy i Olo zostają w kraju, działają na rzecz pojednania, a Jerzy ginie z rąk dawnych towarzyszy, Kolumb zostaje międzynarodowym aferzystą, Zygmunt, wzgardzony i znieważony, walczy zbrojnie z nowym ustrojem. Więc tak czy owak, los ich wszystkich jest tragiczny. Jest to być może najlepsza książka Bratnego, miejscami porywająca i mimo wszelkich wątpliwości ideowych czy rozmijania się z prawdą, odgrywa od ponad trzydziestu lat kluczową rolę w duchowej edukacji Polaków. Dla Bratnego był to przez cały czas punkt odniesienia.

Właściwie kodycylem do *Kolumbów* byli *Szczęśliwi torturowani* (1959), dalszy ciąg dziejów pokolenia po roku 1956. Kapitan Siwy, teraz francuski przedsiębiorca, wraca do Polski i usiłuje wędrować śladami swojej młodości. Ale jest to wędrówka nieudana. Przyjaciele Andrzej i Henryk (znów Bratny w masce) to już inni ludzie, dawna kochanka Ina w ogóle nie chce go widzieć. Całkowity brak kontaktu z teraźniejszością, żywa została tylko przeszłość. *Szczęśliwi torturowani* zostali przeniesieni na ekran pod tytułem *Powrót*.

*Śniegi płyną* (1961) to znów niemożność oderwania się od przeszłości, od wyrytego przez nią piętna. Ale ta przeszłość jest tu trochę odmienna. Porucznik KBW Kotłubaj zostaje szpiegiem w oddziale UPA i bierze udział w jego krwawej działalności. I ta książka trafiła na ekran jako *Zerwany most*. W tym czasie powstaje także wiele opowiadań – *Spacer w ZOO* (1961) – o tematyce erotycznej, *Historia najnowsza u Antka Półgłówki* (1964), słynny *Naganiacz* – o moralnym szantażu historii wobec outsidera, także film, *Ciągle wczoraj* (1968), gdzie znalazł się także przedruk *Nauki chodzenia* (1965) – powieści o trzech wątkach biograficznych, zabójstwie na polowaniu, niesłusznym wyroku w wiadomym okresie, z retrospekcją od lat dwudziestych. I tu także pojawia się wątek ukraiński, jako że Ukraińcy bywają dla Bratnego rodzajem oczywistego czarnego luda (a ściślej, „nacjonałści ukraińscy”).

Dużo poważnych krytyk wywołała powieść *Brulion* (1962), łącząca szkic powieściowy i dziennik jej pisania. Miała to być rzecz o Wietnamie, ale autora zagarnęła ciągle żywo powracająca przeszłość. Do przeszłości uaktualnionej wraca także powieść *Życie raz jeszcze* (1967), gdzie główne role grają sprawiedliwi – lotnik z Zachodu, Grajewski, i prokurator Skrzypczak. Bo są tu jeszcze sprawiedliwi i inni także, bo można tu sprzeciwić się podłości i fałszowi. Ale są i inni – otrzymujemy więc wizerunek czarno-biały. Smętny los „Kolumbów” w okresie stalinowskim, jeszcze jedna heroizacja pokolenia, pochwała aktywizmu i wyznanie, że naród jest siłą jednoczącą.

Po zbiorach opowiadań *Przesłuchanie Pana Boga* (1968), *Opowiadaniach* (1969), *Kontrybucji* (1970) przyszła powieść *Trzech w linii prostej* (1970) – o trzech generacjach rodziny Jerzmanów, prokuratorze wojskowym, pisarzu, studencie – ten układ będzie powracał wielokrotnie, podobnie jak i biczowanie konformistów.

Nie wiem, czy właśnie w opowiadaniach *Izba tonów i drwina* (1971) objawia się Bratny po prawdzie bardzo celinowski, likwidujący wszystkie już racje wszystkich. Ale najciekawsza dla mnie jest postać poety Czernego, samobójcy, ponieważ tu następuje identyfikacja narrato-

ra z Borowskim, co wspiera moje podejrzenie o bliskości postaw obu twórców.

Towarzyszy temu *Noc księżycowa* (1971) – opowiadania o rozczarowaniu. Wkrótce przyjdą całkowicie już groteskowe opowiadania *Sześć osób pierwszych* (1972). Ale przedtem pojawi się jeszcze powieść *Ile jest życia* (1972) – o losach kolejnego „Kolumba”, architekta Wielunia, skrzywdzonego w latach pięćdziesiątych. Książka, tak jak prawie wszystkie inne, wzbudziła momentalne zainteresowanie, między innymi i dlatego, że właśnie w niej po raz pierwszy pojawiły się ślady Grudnia '70.

Z pewnym przerażeniem myślę, że nie jestem w stanie nawet streścić kolejnych książek Bratnego (a i wymieniam nie wszystkie). Cóż więc rzec o sławnych *Losach* (1973), w swoim czasie pozycji nieomalże „podziemnej”, zaczytywanej, porównywanej z *Kolumbami*? Jest to rzeczywiście kontynuacja czy może próba syntezy losu pokolenia „Kolumbów” w latach 1945-1970. Losy polityczne, osobiste, erotyczne byłych powstańców, ich romanse, małżeństwa, rozwody, przede wszystkim trzech pokoleń rodziny Janasów. Rozpoznamy tu sytuacje i postaci z wcześniejszych prac Bratnego. Kończy się happy endem – bohater wstępuje do partii, od roku siedemdziesiątego jest już przecież w Polsce byczo. Książka jest budowana scenami i epizodami, wyrasta bowiem z serialu telewizyjnego.

Lata siedemdziesiąte przynoszą kolejne zbiory opowiadań Bratnego: *Hobby wielkie jak łoś* (1976) – o polowaniu i *Czwartki ubogich* (1979) – tryptyk, z szokującą króciutką nowelką o tym, jak to Żyd z Oświęcimia miał w istocie większą szansę przeżycia niż gubernator Frank, taka złowroga fraszka prozą, i rzecz o terrorystach, *Abu Null*. Pojawia się też powieść *Lot ku ziemi* (1976) – tu kolejny „Kolumb”, inżynier Marek Zych, który siłą woli przewycięża wyniesione z powstania kalectwo, ostatecznie popełnia (zapewne) samobójstwo, zniszczony przez administrację, uosobioną przez dyrektora Łomota. Znowu Ikar, kryminał, śledztwo, motyw ponoć wzięty z rzeczywistości, ale to już w tym okresie u Bratnego niemal reguła. W tymże roku ukazuje się melancholijny *Kiosk na Dębowego* (1976), gdzie na ulicy imienia poległego poety (Dębowy-Gajcy, to jeszcze z *Kolumbów*) toczy się zwyczajne, nieheroiczne życie. Nie można nie pomyśleć o *Balladzie Miłosza*. *Na bezdomne psy* (1977) to replika sprawy zamordowanego polityka i pisarza Jana Gerharda w tonacji *Mdłości* Sartre'a.

W rok potem ukazuje się pierwszy tom *Pamiętnika moich książek* (1978) (część druga ukazała się w 1983). Jest to rodzaj apologii, ale bardzo dyskusyjnej. *Notabene* najbardziej zaczytana książka Bratnego w bibliotece Związku Literatów. Przyznam, że się nią trochę rozczarowałem. Natomiast nikt nie rozczarował się *Radością nagrobków* (1978), czystą już groteską z banioszanami, z konkursami gminnymi na „klossopodobnych” i „czteropodobnych” (aluzje do głośnych seriali). W rok potem wychodzi *Rozstrzelane wesele*. Wesele jest partyzanckie, mordercami są Niemcy, jedyną ocaloną – panna młoda. Lecz ważniejsze jest zmarłychwstanie filmowe tego tematu – mali ludzie tworzą dzieło ich przerastające. *Sapienti sat*. *Dzieci Świętej* (1980) to znów kryminał z retrospekcją, dzikość zemsty rodowej, polowanie etc. W *Kiepskim zmarłychwstaniu* (1980) głośny uczoney i działacz, uniknąwszy śmierci w wypadku samolotowym, lecz nie pomyłkowego pogrzebu, rozważywszy swoje złożone z łajdactw życie popełnia samobójstwo. *Wdrażanie obłądu* (1981) ilustruje pogardę i nienawiść Bratnego na przykładzie małego miasteczka (równie jak Baniocha symbolicznego). Tu bohatera, Atomistę, grzebie miejscowa elita w domu dla umysłowo chorych, by nie ujawnił skandalu. W niezbyt udanym *Bronić siebie* (1981) postawił autor znak równania między marginesem społecznym a prominentami; wreszcie opowiadania (miejscami świetne) *Koszenie paw* (1983), drwiące, osnute wokół dawnego heroizmu i współczesnego konformizmu.

Rok 1983 przynosi bardzo brzydkią książkę *Rok w trumnie*, w której wypuszczony na urlop zabójca ocenia rok 1981 i początek stanu wojennego, przy czym książka nie dlatego jest brzydka, że groteskowa, ale dlatego, że jednostronna; rok 1984 przyniósł opowiadania *Twarde ojczyzny*, rok 1986 – to opowiadania *Honor germańskiego bobra* i powieść *Cdn. Cdn* to niejako dalszy ciąg *Losów* – tu Janasowie w czasach gierkowskich i późniejszych, a więc

siuhty i fanatyzm, także dość wyraźny klucz personalny. Znakomita powieść *Wśród nocnej ciszy* (1987) oparta jest na faktach, na przerażającym morderstwie i bezkarności zbrodniarzy (jedyni sprawiedliwi, śledczy i proboszcz, są czystą literacką kreacją, co chyba przeraża najbardziej). *Umiłowanie kata* (1987) to powieść o likwidowaniu przeciwników politycznych w czasie okupacji i moralnych konsekwencjach tego. Dalsze książki są już wyłącznie szyderczo-drwiące: opowiadania *Żarty* (1983), powieść *Upadek Ludowej* (1988) – tu m.in. kapitalne spotkanie więźnia i strażnika, *Przyducha* (1988), *Nagi maj* (1988) – sławna już i poszukiwana groteska. (Niestety, nie zdobyłem, nie znam).

Obowiązek wyliczenia głównych (bo nie wszystkich) książek Bratnego ograniczył mnie bardzo. Więc jeszcze tylko parę dopowiedzeń. Bratny to pisarz koniunkturalny, lecz i tragiczny zarazem. Bliski publicystyki, czyni każdą swą książkę coraz to bardziej gorzkim przesłaniem. Jest przez czytelników naprawdę rozrywany – lecz czy ktokolwiek chciałby zostać jednym z jego bohaterów? Zazdrości mu wielu – i atakuje go wielu – lecz któż by się podjął go zastąpić?

Andrzej Braun (1923) jako pisarz rodził się parokrotnie. Poznaliśmy go już jako poetę, najpierw bardzo interesującego, później przedziwnie agitacyjnego. W ogóle staram się nie pisać w tej książce o politycznych przekonaniach i wyborach pisarzy, ale w przypadku „Kolumbów” i Brauna w szczególności to wręcz niemożliwe. Przecież nazywano go wielokrotnie pisarzem politycznym, a on bynajmniej nie protestował. Ale sprawa jest zawiła. Przez całe lata zdecydowanie lewicował – do tego stopnia, że już jako człowiek organizacyjnie z żadną opcją nie związany przychodził na pochody pierwszomajowe – ku wyraźnemu zakłopotaniu fraszobliwych politruków. Więc ta lewicowość była czymś głębokim i autentycznym. A jednocześnie narastał jego krytycyzm wobec aktualnej wykładni pięknych zawołań, tak że na katowickim zjeździe literatów (gdzieś w drugiej połowie lat siedemdziesiątych) został obrażony do tego stopnia, że wyszedł z bankietu, a za nim wszyscy (lub prawie) goście miejscowych władz. Wszystko to nie byłoby istotne, gdyby nie miało znaczącego wpływu na twórczość – i to niemal do ostatnich czasów, albo i z nimi włącznie.

Pierwsze książki i reportaże Brauna są bardzo jednostronne: ktoś napisał o nich drwiąco, że woli już mowy Mao Tse-tunga (czyli wedle wprowadzonej od jakiegoś czasu pomyłonej pisowni – Zedonga). Ale to już były trzecie pisarskie narodziny Brauna – jako jednostronnego, lecz bardzo skrupulatnego i rzeczowego reportera. Braun jako prozaik narodził się wraz z *Lewantami*, najbardziej pomysłową powieścią produkcyjną. A narodziny prawdziwe – to wielka powieść *Zdobycie nieba*, w połowie lat sześćdziesiątych. Od tego czasu wszystkie książki Brauna są rzeczywiście znakomite. Są tu trzy najistotniejsze tematy, występujące osobno lub czasem łącznie: wojna, morze i Azja. I dwa wielkie, zobowiązujące patronaty: Malraux i Conrad. Przy czym Conrad – wspólne dobro pokolenia „Kolumbów” – stał się wreszcie i bohaterem książek Brauna, i pryzmatem, przez który ogląda on i ocenia świat. Dzięki Conradowi odkrył morze, a poprzez Conrada i Malraux – Daleki Wschód. Wojnę poznawało się w Polsce na własną rękę. Ale i morze, i Azję poznał Braun nie tylko z lektury i mapy. Przebywał całe lata w Korei i Chinach, jako pracownik szpitala i korespondent „Trybuny Ludu”. Zjechał też śladami Conrada całą Indonezję, w niełatwej i niezwyklej podróży. Ale najbogatsze nawet doświadczenia nie rodzą jeszcze pisarza.

Kamieniem węgielnym książek Brauna jest niezwykła sytuacja, w której znaleźli się bohaterowie. Jest to skądinąd zgodne z postulatami Sartre’a, ale w tym wypadku to zbieżność bez większego znaczenia. Tyle że człowiek musi się sprawdzić w sytuacji niezwyklej, nietypowej. Można to równie dobrze nazwać przygodą, także w sensie duchowym i moralnym (Francuzi mówią *aventure intellectuelle*). W sensie czytelniczo-ludzkim oznacza to po prostu, że książki Brauna są ciekawe, a nie nudne, czyli że znajdują się na pograniczu królestwa baśni i marzenia, najważniejszego składnika literatury naszego stulecia. Czego zresztą pojąć wcale nie mogą naturaliści i populiści różnej maści.



„Iść za marzeniem”... – to właśnie formuła conradowska. A sprawa wierności sobie, poruszana przez Malraux i związana z wykładnią polityczną i społeczną, dała w rezultacie przesłanie skłaniające do aktywizmu za wszelką (przez siebie płaconą) cenę. Nie wiem, czy Braun nie jest jedynym współczesnym pisarzem polskim, który umiał z tego wyprowadzić wnioski. Bo i u niego znajdziemy aktywizm i zawile związki piękna i dobra. Przy tym bohater Brauna musi być tragiczny, choć pisarz, tak już od Lewantów znany z przemyślnej przewrotności, pozwala mu jednak przeżyć i nieomal zwyciężyć. Do tej samej gildii pisarskiej przywołać jeszcze trzeba Saint-Exupery’ego, a będziemy mieli w zasadzie oczywiste zarysy krainy, w której Braun króluje. Przyznam, że jest to kraina wysoce sympatyczna. Ale z niej nie tak daleko i w dość nieoczekiwaną stronę – właściwie nie zaskoczył mnie specjalnie znajomy, który uważał Brauna za pisarza katolickiego.

W każdym razie Braun jest moralistą, zawsze pyta o cenę wierności sobie. To prawda, że w sprawach politycznych często wątpliwości nie ma, a skrzywdzeni i poniżeni, z pewnością wbrew intencji pisarza, znikają z pola widzenia. Czy rzeczywiście Tybetańczyków tak uszczęśliwiło „wyzwolenie” przez Chińczyków? Już Włodzimierz Maciąg zauważył, że bohater Brauna dziwnie nie ma wątpliwości w tej mierze. Więc uszczęśliwianie na siłę to skaza niemała i musimy niejednokrotnie „zapomnieć” o historycznych realiach, by czytać Brauna z przyjemnością i spokojem. Sam Braun powinien to przyjąć jeśli nie z satysfakcją, to z melancholijnym zrozumieniem: wszak i on nie poskąpił swoim bohaterom ironii losu...

A ci bohaterowie to rzeczywiście z lorda Jima rodem: każdy ma w swej przeszłości jakąś skazę, każdy stara się o rehabilitację. I przed każdym piętrzą się szczególnie trudne przeszkody, przeszkody właściwie pożądane i przez niego samego wybierane – tak jak Braun, jako bohater książek Brauna, wybiera szczególnie trudne podróże. Fabularnie są to książki intensywne, z epizodami ukazującymi piękno, złożoność i dziwaczność świata bądź osobliwych postaci, których dusze i ich zakamarki pisarz pilnie śledzi. Wspomniałem tu o Braunie jako postaci twórczości Brauna. Otóż widoczny jest u tego autora silny wątek autotematyczny – powstawanie dzieła jest zarazem jego tematem. Beletrystycznie najciekawiej wypadło to w *Próbie ognia i wody*, a w pozornie faktograficzny sposób – w *Śladami Conrada*. Wreszcie trzeba wspomnieć o braunowym stylu: zawsze znakomitym, bogatym, świetnym malarsko, zarazem nie stroniącym od sformułowań aforystycznych. I znowu mógłbym przywołać Conrada i Malraux, ale pewnie za dużo tego: przecież Braun jest jednym z najoryginalniejszych, najlepszych i najciekawszych pisarzy współczesnych.

Swój kunszt okazał już w pierwszej książce prozą, w słynnych *Lewantach* (1952). Jest to produkcyjniak o stoczniovcach, podejmujący wszystkie elementy gatunkowej poetyki, razem z zastępem przynależnych jej postaci (które są równie trwałe i ucieszne jak w komedii dell’arte). Podjęta tu przez autora próba przełamania czarno-białego schematu dała zaskakujące rezultaty – ukazała konflikt nie tylko klasowy, ale tkwiący też wewnątrz samego portretowanego środowiska. Przodownicy żrą się z przodownikami, partyjni z partyjnymi, źle się prowadzą ci, którzy powinni świecić przykładem, w dodatku wrogowi-sabotażyście udaje się uciec. Książka wywołała gigantyczną dyskusję, zarzucano Braunowi „naturalizm”, ale ostatecznie uznano *Lewanty* za najciekawszy polski produkcyjniak. Dla rozwoju twórczości Brauna najważniejsze jest to, że po raz pierwszy podjął temat morski, że poprowadził akcję w sposób ciekawy, okazał się solidny i rzetelny. Więc może przesadą jest twierdzenie, że „Brauna jako pisarza stworzyła Azja”, ale czas Azji rzeczywiście w jego życiu nadchodził.

Podróże, najpierw niedalekie, zaowocowały książką *W kraju odzyskanych przyjaciół. Szkice z NRD* (1953). Potem przyszła koreańska opowieść *Blask ciemności* (1956), rok później reportaże chińskie *Samolotem i lektyką* – przeczytałem je teraz na nowo, są rzeczywiście i schematyczne do śmieszności, i tak rzetelne materiałowo, że chyba jednak Braun chwilami kpił odrobinę, opisując np. z aprobatą więzienny wręcz reżim panujący w fabrycznym osiedlu, gdzie mąż miał prawo spotkać się z żoną jedynie raz w tygodniu. Do tego samego okresu

trzeba zaliczyć *Zwycięzców znad Tatu-Ho* (1960), ale także drukowaną w „Nowej Kulturze” powieść *Piekło wybrukowane* (1957) – o byłym pracowniku Urzędu Bezpieczeństwa i zbiór opowiadań okupacyjnych *Noc długich noży* (1961), powstałych wcześniej, o których trafności politycznej lepiej zmilczeć, lecz literacko intrygujących, pełnych ironii, goryczy (niedobicie rannego kolegi równa się wydaniu go na śmierć w torturach – to, co robimy najlepszemu, jest zarazem najgorsze), lecz i pochwałą aktywizmu – mimo wszystko.

W 1964 ukazuje się wielka powieść *Zdobycie nieba*. Rzecz dzieje się w końcowym okresie walki komunistów z Kuomintangiem, kiedy nowe chińskie władze rozpoczynają podbój Tybetu. Bohaterem jest zawodowy rewolucjonista Lao Ta, wykształcony w Europie, co dla książki jest sprawą pierwszorzędą, gdyż właśnie oczami Lao Ta widzimy ten świat i zachodzące w nim zdarzenia. Lao Ta dwukrotnie wyprawia się do Tybetu – po raz pierwszy jako tajny poseł do Dalaj Lamy, po raz drugi już na czele wojska. Lao Ta prezentowany jest jako moralista, ktoś tak wierny sobie i swojej misji, że w jej imię umie przecierpieć i pokonać niebywale dużo. Długie lata rewolucyjnej pracy, Długi Marsz, samotną wędrówkę przez płaskowyż i najwyższe góry świata, lodowce, tortury itd. Jest przy tym człowiekiem niezmiernie wrażliwym na cierpienia innych, skłonny do poświęceń. Ba, potrafi nawet narazić powodzenie misji, by ratować jednego człowieka. Bo też uważa swoją misję za spełnianie powinności moralnej. Myśli, dyskutuje – jeden z rozmówców został nawet wystylizowany na malarza i myśliciela Mikołaja Rericha. Niezwykle przy tym intensywnie chłonie piękno natury i sztuki. Jest jakby kimś spod pióra Malraux i samym Andrzejem Braunem jednocześnie.

Powieść jest bardzo gęsta, efektowna, pełna przygód, niezwykłości, krwi, tortur, wspaniałych opisów przyrody, rozmyślań. Tylko że moralność całego tego przedsięwzięcia jest bardzo wątpliwa. Czuł to chyba i autor, radykalnie rozdzielając blaski i cienie. Jego Tybet jest straszny i krwiożerczy, jest istnym imperium zła, za to rewolucyjni Chińczycy to wcielone anioły, a przynajmniej postaci z *Nadziei* czy *Doli człowieczej*, dla których materialny zysk osobisty nie ma żadnego znaczenia. W rezultacie czytelnik nie ma właściwie wyboru, musi stanąć po „słusznej” stronie. A przecież cywilizacje Inków, Majów, Azteków były jeszcze straszniejsze i ludożercze (mało znana, ponura prawda) na dodatek, ale jakoś trudno nam się identyfikować z postępowymi w tych warunkach Hiszpanami...

Ale Braun jest tak sugestywny, jego sztuka święci tutaj takie triumfy, że pozostaje nam w oczach nade wszystko patetyczna wizja bohaterskiej misji i gigantycznego pochodu. W końcu racje moralne perskiej wyprawy Ksenofonta w *Anabasis* wiele lepsze nie są. Potężna, choć ponura panorama Tybetu, heroicznym zmaganiom, po prostu narzucają się naszej wyobraźni. A problem mniejszego czy większego zła to także jeden z braunowych lejtmotywów.

Następna z kolei książka, powieść *Próżnia* (1969), przenosi nas do Polski, w lata tużpowojenne. I znowu lepiej zrobimy przymykając oczy na prawdę historyczną. Polska wieś to bezradny lud i krwawe bandy, więc trochę ładu i sprawiedliwości temu dzikiemu krajowi może przynieść milicja i komuniści, czyli tak jak w Tybecie. Żołnierz KBW Kostek Kuryło zostaje w rodzinnej wsi pogorzelska i zwłoki ojca. Postanawia samotnie walczyć z bandą „Hetmana” (w Tybecie przeciwnicy Chińczyków też się zwali bandytami) i ginie. A więc po trosze western, w czym zresztą tkwi siła tej książki. Cóż, widziałem tuż po wojnie palenie osady Wąwolnica, stałem pod ścianą z rękami do góry (miałem wtedy lat dziewięć, groźny był ze mnie osobnik dla władzy ludowej), a sprawcami bynajmniej nie byli „bandyci”. Ale książka znowu bardzo dobra.

Już żadnej taryfy szczególnej nie wymagają dwie książki conradowskie. Album *Conrad – dotknięcie Wschodu* (1970) i obszerna opowieść *Śladami Conrada* (1972) są owocem trudnej podróży Brauna do Indonezji, zbiegającej się z krwawym upadkiem prezydenta Sukarno. Braun odwiedził wszystkie chyba miejsca, które zapisały się w życiu i twórczości Conrada, a było to szalenie trudne i wręcz niebezpieczne. Obie książki są fascynujące, a druga należy do najwybitniejszych jego utworów. Braun jest tu swoim własnym bohaterem, o czym pisze bar-

dzo skromnie i ładnie, na pierwszy plan wysuwając poszukiwanie tajemnicy wielkości Conrada. Ale oczywiście to zarazem i tajemnica jego własnej twórczości i własnego życia, jak wszystkie inne – nieodgadniona. Wspaniały warsztat opisowy, książka o sobie samej, a zarazem delikatnym piórkiem przywiezione czy napomknięte tylko problemy i conradowe, i własne. W ogóle jeśli idzie o opis morza, opis przyrody Braun chyba samemu Conradowi wcale nie ustępuje... O ile wiem, trzecia książka conradowska, tym razem przywieziona z podróży szlakiem „Nostroma”, od lat czeka w wydawnictwie. (Ukazała się w 1989 r. pt. *Kreacja Costaguany: Świat południowoamerykański u Conrada* – przyp. red.).

Z kompleksem marynistycznym wiąże się także powieść *Próba ognia i wody* (1975), znowu wyraźnie autotematyczna, gdyż jednym z bohaterów jest narrator-scenarzysta, szukający prawdy o inżynierze Romanie, stoczniovcu, który początkowo nie podjął decyzji mogącej ocalić ludzi, ale i spopielić stocznię. Po czym na ocalonym przez siebie statku, powszechnie potępiony, obejmuje funkcję pierwszego mechanika, przyczyniając się do ocalenia powtórnego – i statku, i ludzi. Nastąpiła więc ekspiacja, lord Jim dostąpił odpuszczenia grzechów. Jak zwykle, i ta książka Brauna przynosi problematykę, której nie jestem w stanie tu omówić. W każdym razie *Próba* ma się przecież jakoś do *Lewantów*, a zapowiada *Bunt*.

Są tacy, i to wcale liczni, którzy uważają *Bunt* (1976) za najwybitniejszą książkę Andrzeja Brauna. W każdym razie spotkały się w niej jego różne fascynacje. Mamy tu czas wojny (wprawdzie koreańskiej), mamy morze, mamy Azję. Jest to dość zawiła historia przejścia od Japończyków statku dla „Centromordopolu” w Hongkongu, w rejonie wojennym. Bohater, kapitan Gustaw Smolarz, prowadzi zawiłą grę z sobą, z marynarzami, kontrahentami, kumintangowską flotą wojenną i ze sztormem, a racje są bardzo sprzeczne. I ostatecznie w obliczu buntu załogi i ciężkich, nieuzasadnionych oskarżeń przegrywa i popełnia samobójstwo. Rzecz i w tym, że już kiedyś prowadził podwójną grę, będąc jako Ślżak w Wehrmachcie i pracując jednocześnie dla Kedywu, o czym jednak, z natury rzeczy, tylko bardzo nieliczni wiedzieli. Postać bardzo conradowska, a zarazem wielce charakterystyczna dla pokolenia „Kolumbów”. Oprócz tego kapitalne opisy chińskiej architektury i obyczaju, polskiego personelu z ambasady z ambasadorem Berezińskim i jego córką Dorotą, zakochaną ze wzajemnością w Smolarzu. Liczne wątki braunowe znakomicie związane ze sobą, wiele płaszczyzn, ironia. Istotnie znakomita książka.

Równocześnie Braun kontynuuje wątek okupacyjno-wojenny. Również w 1976 roku ukazuje się zbiór dłuższych opowiadań *Odskok*. Autor wraca w nich do czasów okupacji, rozpatrując zawiłości skutków działania, jego dwuznaczności, zła mniejszego i większego, a także wszechobecnej u Brauna sprawy wierności. I w kilka lat potem znowu jedno z „dzieł fundamentalnych” – *Rzeczpospolita chwilowa* (1982) – powieść o tzw. Republice Pińczowskiej. Na przełomie lipca i sierpnia czterdziestego czwartego roku partyzanci różnych orientacji politycznych opanowali na zapleczu niemieckiego frontu rejon Pińczowa-Skalbmierza. Tam i wtedy dzieje się książka Brauna, tu spotykają się ludzie we mgle niewiedzy, mylnych informacji i nieporozumień. Książkę czytałem tuż po jej opublikowaniu, w czasie i dla mnie wyjątkowo trudnym – może dlatego wydała mi się mroczną parabolą o daremności wszystkich poczynań, ironii losu, względności winy i zasługi... I jest tym z pewnością, ale jest także oceną szans Polski w konkretnym momencie, batalistyką i w ogóle „prawdziwą” epiką o dużym, szerokim oddechu.

Jak wynika z tego przeglądu, Braun na podobnych kompleksach i pokrewnych sobie bohaterach i zbliżonych sytuacjach osnuł kilka całkowicie odmiennych a równie znakomitych książek. Kiedy je teraz powtórnie czytałem lub wertowałem, przyszło mi do głowy, że istotniejsza jest tutaj konstrukcja artystyczna niż strefa poznawcza (nie w sensie praktycznym) i że najznakomitsza literatura może być bardzo mętym poznaniem i że być może jest to całkowicie naturalne, chociaż wszyscy pragniemy czego innego. I jeszcze coś: uważam się za przyjaciela Andrzeja, stąd sądziłem go tutaj o wiele ostrzej niż innych. Ale komu wiele dano, od tego żąda się wiele. Andrzej Braun zaś został wyjątkowo hojnie obdarowany.

Między wczesnym, socrealistycznym Konwickim a jego późniejszą twórczością literacką jest dystans tak ogromny, że prawie niezrozumiały. I mimo różnych prób samego autora ani *Władza*, ani *Godzina smutku* nie bardzo się dają zintegrować z resztą, może jedynie *Rojsty*, a to z racji wileńskiego miejsca akcji. Tadeusz Konwicki (1926) był stalinistą bardzo gorliwym i wiele dzisiaj mówi o tym, jak i dlaczego. Sprawa jest jednak oczywista: walczył przedtem zbrojnie z władzą ludową. Jeśli chciał później nie to, że pisać, ale po prostu żyć, musiał się wykazywać nad wyraz pilnie. Zemścił się za to okazale: narobił poststalinizmowi tyle szkód, jak mało który z pisarzy.

Dzielił swój czas między film i literaturę. Pisał scenariusze i robił filmy autorskie, ale nie tylko, jest bowiem także adaptatorem wielu ważnych dzieł, jak choćby *Matka Joanna od aniołów*. Wśród jego filmów sławę zyskały *Ostatni dzień lata*, *Salto*, *Jak daleko stąd, jak blisko* czy oparta na książce Miłosza *Dolina Issy*. Pięć jego scenariuszy ukazało się w tomie *Ostatni dzień lata* (1966). Dodajmy, że jako filmowiec Konwicki nie wszystkim się podoba, ale to wspólny los wszystkich, którzy choć trochę próbują czasem innej niż zasadnicza profesji.

Natomiast jako pisarz cieszy się estymą zupełnie powszechną, właściwie każda jego książka rodzi istny potok omówień i zachwyty. *Notabene*, jeśli sądzić po książkach autobiograficznych i wywiadach, został tym potężnie zdeprawowany. Co prawda każdy autor celebrytuje swoją osobę i dzieło, rady na to nie ma. Konwicki przynajmniej robi to w sposób przewrotny. Po pięćdziesiątym szóstym wydał następujące utory: *Dziura w niebie* (1959), *Sennik współczesny* (1963), *Wniebowstąpienie* (1967), *Zwierzoczekoupiór* (1969), *Nic albo nic* (1971), *Kronika wypadków miłosnych* (1974), *Kalendarz i klepsydra* (1976), *Kompleks polski* (1977), *Mała apokalipsa* (1979), *Wschody i zachody Księżyca* (1982), *Rzeka podziemna, podziemne ptaki* (1985), *Nowy Świat i okolice* (1986), *Bohiń* (1987). Specjalne miejsce należy się książce Stanisława Nowickiego *Pół wieku czyścica. Rozmowy z Tadeuszem Konwickim* (1986), z innych wywiadów szczególnie ważny jest cykl rozmów dla „*Odry*” z Elżbietą Sawicką.

Sam Konwicki układa to w trójczłonowe cykle: „rekreacyjno-smętkowy”: *Dziura, Zwierzoczekoupiór, Kronika*; „egzystencjalny”: *Wniebowstąpienie, Sennik, Nic*; „polityczno-paszkwilancki”: *Kompleks, Mała apokalipsa, Rzeka*; „tego nie dowiecie się w szkole”: *Kalendarz, Wschody, Nowy Świat*. Więcej jednak tu podobieństw niż różnic, bo przecież wszystko wyrasta z tych samych lęków i obsesji. Poetyka Konwickiego rozwija się od *Dziury* przez *Sennik*, by we *Wniebowstąpieniu* uzyskać postać niejako ostateczną.

Jean Paul Weber pisał kiedyś, że twórczość każdego pisarza opiera się na jednym tylko zasadniczym obrazie (co prawda sam zrobił wyjątek dla Wiktora Hugo). Gdyby to przyjąć za prawdę, to dla Konwickiego będzie to temat rozstawania się, pożegnania, odejścia. Jest to zarazem powrót, bo według Konwickiego wraca się po to, by się właśnie rozstać. Więc odejście-powrót, koło. Jeszcze inaczej mówiąc – śmierć i nostalgia za życiem, za młodością. Nie przypadkiem bohaterem czy narratorom bywa tu ktoś bardzo młody. Ale ta młodość także nie jest radosna. Jak całe życie jest mroczna, pełna widm, niedobrej miłości i śmierci. Życie jest po prostu przechodzeniem w śmierć już od samego początku, jest może tylko snem śnionym w śmierci. Bohater *Wniebowstąpienia* jest po prostu nieżywy, a inni bohaterowie tej książki są też w różnych fazach śmierci. Podobnie w innych utworach. Kto wie, czy nie po śmierci dopiero rozpoczyna się nasze prawdziwe istnienie, a życie nie jest tylko snem piekielnym lub w najlepszym razie – czyścowym?

Często po prostu nie wiemy, co tu jest śmiercią, co snem, a co jawą – dla Konwickiego nie są to stany zbytnio od siebie oddalone. Stąd i szczególna konstrukcja jego książek, celowo niezborna, nie dbająca o konsekwentne przejścia, o motywację realistyczną, operująca różnymi czasami, wprowadzająca bohatera i zarazem jego sobowtóra, czy też konfrontująca tego samego człowieka – dorosłego i młodego, żywego i umarłego. Powstaje atmosfera rzeczywi-

ście przejmująca, widmowa, wręcz rozdzierająca. Bo Konwicki jest pisarzem głęboko uczuciowym, chociaż efekty w tym zakresie uzyskuje drogą pośrednią, przesycając materię swoich książek żalem i tęsknotą.

Owa tęsknota ma zresztą wyraźny adres geograficzny. Chodzi o ziemię młodości, o Wilno i podwileńskie miejscowości – Kolonię Wileńską, Nową Wilejkę, dolinę Wilenki. Zwłaszcza obraz owej doliny powtarza się w nieskończonej liczbie ujęć i pod różnymi pseudonimami. Jest to wręcz miejsce magiczne, nie wiem, czy tylko dla Konwickiego czy „w ogóle” (uwagam, że takie miejsca magiczne rzeczywiście istnieją, ale to już całkiem inna historia). W ten sposób trzeba dla Konwickiego znaleźć miejsce wśród pisarzy nostalgiczno-litewskich, tam gdzie Miłosz, Mickiewicz...

Ale drugim biegunem jego geografii, podejrzewam, że dziś już równie ważnym i własnym, jest Warszawa, zaplecze Nowego Świata, ulicy Górskiego, z widokiem z balkonu na fronton Pałacu Kultury, na osi ulicy Złotej. Intensywne są obrazy litewskiej przyrody, ale równie wyraziste labirynty cywilizacji, nocne dworce, ulice, targowiska, komisariaty. Wiąże się to z wielkim zmysłem obserwacyjnym Konwickiego, umiejętnością widzenia rzeczy i sytuacji osobliwych, charakterystycznych. Jego świat jest nie tylko mroczny, on bywa także brudny, nieapetyczny, odpychający i groteskowy. Konwicki potrafi tu być bardzo szczegółowy – rozgrzebana na talerzu „awanturka”, parodniowa, pordzewiała woda w czajniku itd. Towarzyszy temu bardzo silne upodobanie do groteski i do czarnego humoru. W materiałach politycznych prowadzi to wprost do pamfletu nazywanego nawet przez samego Konwickiego „paszkwilem”. To prawda, że bywa napastliwy i niesprawiedliwy, nie dba o miarkowanie i wyważenie zarzutów. Nie tylko politycznych: w jego książkach *quasi*-pamiętnikowych czy dziennikowatych bywają określenia i złośliwości zaskakująco pogardliwe i nie zawsze apetyczne.

Szczególni są bohaterowie Konwickiego. Zawsze udęczeni, zawsze trochę chorzy, w gorączce jak u Dostojewskiego, jakoś zawsze wyobcowani, nie dbający o dobra materialne, zaciekli aż do krańca. Galeria typów z marginesu, połamańców, nieudaczników, pijacków, prawdopodobnych wampirów, starzejących się gorzko kobiet. Ale tacy dla Konwickiego jesteśmy po prostu wszyscy – przecież nawet nie wiadomo, żywi czy umarli. Los nasz raczej posępny – możemy co najwyżej „zachować twarz wobec własnej pustki”. Początkowo rozrachunki dotyczyły przede wszystkim własnego pokolenia Konwickiego, ale od bardzo dawna obraz stał się uniwersalny.

Szczególny jest sposób pisania Konwickiego. Ponieważ rzeczywistość jest migotliwa i niepewna, więc i pisarskie orzeczenia są jakby wąpiące, warunkowe, może to, może nie to, może wtedy, może i nie wtedy, może tak, ale może i całkiem inaczej. Nie wiemy też, a w każdym razie wiemy nie zawsze, kiedy Konwicki pisze serio, a kiedy nie, szczególnie w książkach autotematycznych. W tym znowu podobny jest do Gombrowicza. Jak widać, musiałem tu przywołać sporo nazwisk, Gombrowicza, Mickiewicza, Miłosza, Dostojewskiego, a pewnie ze względu na śniony i koszmarny świat przydałoby się jeszcze Calderon i Leśmian. Kafka nie – bo obcy mu był wszelki zachwyty nad urodą świata, tak silnie jednak u Konwickiego obecny. W każdym razie oczywiste jest, że mamy do czynienia ze świetnym pisarzem naprawdę wielkiej rangi, o bogatej, wielopłaszczyznowej budowie, zawiłym traktowaniu czasu i przestrzeni, dowcipnym i posępnym, wewnątrznie sprzecznym, pozornie uniżonym i przerażająco pysznym. Lepiej chyba go czytać, niż pić z nim wódkę – to już bezpieczniej z unieśmiertelnionym kotem Iwanem wybrać się na mleko.

Coś tam z dojrzałego Konwickiego zapowiadało się i w *Rojstach*, i w *Z obłąkanego miasta*. Ale właściwy punkt wyjścia to *Dziura w niebie*. Rzecz dzieje się przed wojną, w Dolinie, w scenerii dzieciństwa z Młynem Francuskim, Puszkarnią. Bohaterem jest chłopiec Polek Krywko i jego rówieśnicy, rozdzieleni na dwie zwalczające się chłopackie armie, poczynające sobie raczej dość okrutnie. Jest też niedobra miłość, są charakterystyczne postaci tamecznej

wsi – policjant, Żydzi, baptyści, nożownik. Jest legenda o jakichś tajemniczych przybyszach, blakających się po lasach i ruinach, którzy zaprowadzą sprawiedliwość. Jest też przychodzący z przyszłości sam dorosły bohater, przybywający po kole czasu (koleją znikąd; tak będzie niejednokrotnie), by popełnić samobójstwo. Właściwie to już tutaj dałoby się odnaleźć sporo tej magiczności wsi, której potem spotkamy tyle w szkole Nowaka i Myśliwskiego. Sam Polek, pełen wewnętrznego, mrocznego milczenia, będzie także szukał śmierci, a zostanie zasypany stosami przeznaczonych na przemiał książek w Starej Papierni – książek symbolicznie polskich, rosyjskich, litewskich i żydowskich. Jeśli go autor ocali – to po to, by po latach wrócił po wiadomy koniec. Znajdziemy tu w zarodku rozwinięte później motywy Konwickiego, wraz z psychodelicznym dialogiem.

O wiele jednak większe wrażenie robi *Sennik współczesny*. Znowu Dolina, ale teraz rzeka nazywa się Soła; ma tu powstać zalew. Znowu typowy motyw Konwickiego – naciągający kres, katastrofa – czy to będzie zalanie, czy groźba wybuchu wojny, czy kometa – w każdym razie atmosfera rychłego końca, zagrożenia, rozstania. W każdym razie i atmosfera, i pejzaż o wiele intensywniejsze niż w *Dziurze*. Tu galeria rozbitków życiowych – były decydet, torowy Dębik, przesiedleńcy ze Wschodu, zdziwaczałe rodzeństwo Korsaków, były hrabia Pac, były partyzant Krupa – sami „bywsije liudi”. I sam bohater – Paweł, o wyjątkowo zawilej biografii, którego próba samobójstwa obiecująco otwiera książkę, spotyka tu swą niedoszłą ofiarę, obecnego sekciarza Józefa Cara i jego młodziutką żonę Justynę (jej słynne „dobrze mówię?”) – splątane losy, złe sny o przeszłości i życiu z mizerną nadzieją przebudzenia.

W tej bardzo balladowej książce dostrzeżono przede wszystkim rozrachunek z własnym, tragicznym pokoleniem, wskazano na trzy postawy: ludzenia się, obojętności, aktywizmu. Z perspektywy lat czyta się to jednak inaczej, o wiele uniwersalniej; problematyka jest bardziej eschatologiczna niż pokoleniowa. Z pewnością jedna z najlepszych książek Konwickiego; czytałem ją ćwierć stulecia temu, teraz przeczytałem raz jeszcze i znalazłem ją nawet piękniejszą, niż sądziłem.

*Wniebowstąpienie* to książka, w której Konwicki zaczyna mówić bez osłonek. Wywołała wśród prominentów późnych lat sześćdziesiątych złorzeczenia i oburzenie – nie wolno nawet było o niej dobrze pisać. Wiem, bo zdjęto mi wówczas entuzjastyczną recenzję na jej temat, pouczając, że tak pisać nie należy. Bohaterem jest mężczyzna niby po amnezji, a właściwie umarły, trup wśród żywych i umierających. Zostaje wplątany w słynny napad na bank na Jasnej. Realia się nie zgadzają, bo napad był w grudniu, a u Konwickiego właśnie dożynki i grozący wybuch wojny. Za to inne realia złośliwie bezbłędne: miasto pełne „przebierańców” w strojach ludowych, oficjalne slogany, świat szary i brudnawy. Dniem, a zwłaszcza nocą krążą bohaterowie po labiryntach Warszawy, gdzie spotykają się wszyscy w prawdziwej Nocy Narodowej, szyderczym *anty-Weselu*. Tytułowe wniebowstąpienie to wyjazd na galerię widokową Pałacu Kultury, skąd umarli patrzą na miasto i we wstrząsających dialogach wspominają życie. Tu i płaszczyzna eschatologiczna, i portret obyczajowy, i już wyraźne żądło polityczne. I próby rekonstrukcji przeszłości, bo związek między przeszłością a terażniejszością został tu zerwany.

Kolejna głośna książka to rzekomo do dzieci adresowany *Zwierzoczkokoupiór*. Bohaterem jest rzeczywiście dziecko, chłopiec Piotruś, który z warszawskiego mieszkania (na Górskiego, naturalnie) przenosi się w przeszłość czy w beczas, oczywiście w Dolinę, gdzie czeka go sobowtór, Troip, i pragnąca wyzwolenia dziewczynka. W podróży prowadzi go pies znający czary i ludzką mowę. Oprócz tego warszawska codzienność, nieco napięta domowymi kłopotami i oczekiwaniem kometarnej zagłady, kapitalna karykatura filmu z klasyczną klasyfikacją kaca: kac-świder i kac-słup ognia, obok tego „pyszota”, która bodaj też weszła do języka mówionego. Książka zarazem żartobliwa i bardzo melancholijna, gwałtownie przechodząca od nastroju do nastroju. I zakończenia ma trzy, kolejno: złe, dobre i bardzo złe – wszystko było fantazją chłopca umierającego na leukemię. A tytułowy zwierzoczkokoupiór?

„To jest takie coś, które nas przez całe życie osacza. (...) On jest w nocnych drzemkach, kiedy ośmiela się najbardziej, i czyha na nas w każdym kącie, w każdym kęsie ciemności, prześladowuje nas, ściga, dręczy, maltretuje, zabija, a potem, kiedy szamoczemy się na łóżku dusząc w sobie przerażenie, rozpaczliwą panikę i zwariowane bicie serca, on odchodzi niechętnie, ociągając się, z mściwą zapowiedzią powrotu.”

Chyba nie muszę go nazywać po imieniu?

*Nic albo nic* to po trosze powtórka *Wniebowstąpienia*. Znowu zerwanie łączności czasów, ale możemy się domyślać, że ów bohater, który w ostatnią kresową Wielkanoc 1944 roku zabił w partyzantce człowieka i posiadał kobietę, to teraz ten, który jest – być może, bo i sam tego nie wie – mordującym kobiety wampirem. Znowu labirynty, błędzenie, galeria osobliwych postaci, nawroty w przeszłość, pustka. Ale to, co było zaskakujące we *Wniebowstąpieniu*, już się trochę opatrzyło.

A teraz *Kronika wypadków miłosnych* – jedna z najświetniejszych powieści Konwickiego. Znowu Dolina, nadciągająca wojna i koszmar. Miłość wzajemna gimnazjalistów, Witolda i Aliny, zakończona podwójnym samobójstwem, Julia i Romeo. Atmosfera snu na jawie, zawieszenia między dwiema epokami, zatracenia w miłości i śmierci. Wszystko to w letargicznie pięknej naturze, w nostalgii wręcz rozdzierającej. Znane nam motywy Konwickiego z prasowymi wtętami, tajemniczym przybyszem z przyszłości złożyły się na książkę bliską doskonałości. Co nie przeszkodziło poniekórym w pisaniu andronów o „pastiszu z Rodziwiczówny”. Obraz duchowy Litwy tu właśnie występuje jawnie ze zracą siłą. Nie wstydzę się przyznać, że byłem tą książką bez reszty oczarowany, choć właściwie osobiście raczej nie lubię romansów.

*Kalendarz i klepsydra* otwiera cykl pseudodzienników, które wzbudziły ogromną sensację towarzyską. Istotnie pełne są anegdot, prawdziwych lub nie, złośliwości, zwierzeń pozornego prostaczka, rozważań politycznych. Najsympatyczniejszym bohaterem jest kot Iwan, który przeżył u Konwickiego prawie dziewiętnaście lat. Kotom na ogół chyba niedobrze na świecie, dlatego najczęściej wcześniej, niestety, umierają. Iwan musiał mieć swoje powody, by zostać aż tak długo. (Nie ma się to do tematu tej książki, ale jestem przekonany, że jeśli my mamy duszę, to i zwierzęta ją mają, ma ją wszystko, co musiało zapłacić cenę życia, cierpienia i śmierci).

*Kalendarz* – to połowa lat siedemdziesiątych. *Wschody i zachody Księżyca* kończą się w grudniu 1981, przynoszą także – obok bardzo krytycznego obrazu współczesności – fragmenty powieści z lat czterdziestych *Nowe dni* – o losach grupy Polaków ze Wschodu na Ziemiach Zachodnich. *Nowy Świat i okolice* to kontynuacja dotycząca już lat osiemdziesiątych, tym szczególnie i zabawna, że jej adresatem jest cenzor na Zachodzie, a Nowy Świat był właśnie powrotem do polskich wydawnictw oficjalnych.

Nieoficjalnie ukazał się więc *Kompleks polski*, z akcją umiejscowioną w gigantycznej kolejce do sklepu „Jubiler” po radzieckie obrączki. W tej wigilijnej kolejce po złoto znowu – jak w *Weselu* – spotykają się wszyscy, prześladowcy i prześladowani, sarkazm Konwickiego nie oszczędza bowiem nikogo. Książka zawiera rozważania na temat teorii ogonka, znakomite nowele z powstania styczniowego i coś w rodzaju „listu perskiego”, zawierającego rozważania o totalizmie we wschodnim, egzotycznym kostiumie. Wszystko wreszcie widmowieje, przemienia się w paradę zjaw.

Ostrą polityczną groteską jest też *Mała apokalipsa*. Jej bohaterem jest pisarz, przekonany przez kontestatorów, iż powinien dokonać samospalenia w politycznym proteście przeciw przyłączeniu Polski do ZSRR, które ma być właśnie uchwalone przez obradujący w PKiN kolejny zjazd partii. Pisarz błędzi po mieście chcąc zrzucić swoją misję na barki kogoś innego i szukając odpowiednich paliw. Konwicki wydrwiwa bezlitośnie zarówno władzę, jak i opozycję.

Wiele postaci da się tu rozpoznać, do innych książek Konwickiego także często mamy „klucz”.

W mniej groteskowej, a znacznie mroczniejszej atmosferze przebiega *Rzeka podziemna, podziemne ptaki*. Rzecz się dzieje w pierwszych godzinach stanu wojennego. Drukarnik Siódmy, słysząc dobijanie się do drzwi, ucieka z matrycami tomu poezji, krąży po widmowej Warszawie, zostaje aresztowany, potem uwolniony, spotyka się z kochanką, wraca na Górskiego. I tu groteski niemało – ucieczka była zbędna, nikt Siódmego nie szukał, żona go przepędza, niedoszła kochanka deklaruje, że jest mężczyzną... Ale obok tego spotkanie z własną przeszłością, ze swoimi bohaterami, śmierć kota i śmierć samego Siódmego, jak każdej istoty przed nimi. I wydzielenie kursywą rozdziałów, gdzie mówi „ja”, wracający przez światy nad Wilenkę, do Puszkarni... I znowu trzeba rzec, że adres tej książki jest może bardziej jeszcze eschatologiczny niż polityczny.

Kolejna książka, *Bohiń*, przyniosła pozornie zupełny zwrot, niby to ku technikom bardziej tradycyjnym. Jest to niejako próba rekonstrukcji historii rodzinnej Konwickiego, zapowiadana już od dawna. Rzecz dzieje się w roku 1875 i dotyczy babki pisarza, Heleny Konwickiej. Ta starzejąca się panna, wyzuta z majątku po powstaniu, żyje wraz z ojcem w dzierzawionej Bohini i tu zakochuje się w Żydzie-patriocie, Eliaszu Szyrze, tracąc szanse na bogaty, choć skądinąd mało pociągający mariaż. Szyra ginie zabity przez ojca Heleny, a owocem tej miłości będzie ojciec Konwickiego. Regularny tragiczny romans, ale i cała historiozofia zarazem. W lasach wyje tu upiór Schickelgruber, rozjeżdża saniami *isprawnik*, dziobaty Wissarion Dżugaszwili, pojawia się młodzieńki Piłsudski i właśnie urodził się Włodzimierz Uljanow. A z drugiej strony, pamięć prastarych starców sięga czasów saskich. I w tej posępnej książce wszyscy ostatecznie są przeklęci i skazani. Może otwiera się tu jakiś nowy cykl Konwickiego, bo miejmy nadzieję, że ten przejmujący pisarz jeszcze wielokrotnie nami zatarga, zanim spotka się z kotem Iwanem,

„kiedy pewnej godziny przekroczymy granice naszej rzeczywistości i znajdziemy się tam, w niewiadomym nam innym wszechświecie, gdzie być może koty mają wielkie wpływy i kolosalną pozycję.”

Z Witoldem Zalewskim spotkaliśmy się już u szczytu jego socrealistycznych sukcesów. Był wtedy niejako specem od spraw wiejskich, a jego książka *Traktory zdobędą wiosnę* stała się wręcz dziełem sztandarowym. Ale nie będziemy teraz oceniać tamtych poczynań, odpowiedzialności etc. Jeśli jeszcze raz przywołuję stare dzieje, to dlatego, że stały się elementem składowym biografii Zalewskiego, a więc i częścią jego twórczości, czy też tego, co w owej twórczości będzie przywoływać. A „pryszczaci Kolumbowie” nigdy przecież o tej lekcji nie zapomnieli, nie zapomnieli też o niej i Zalewski.

Oczywiście, wcześniej była lekcja wojny. Witold Zalewski (1921) był partyzantem, działał w podziemiu, brał udział w powstaniu (w AK, oczywiście, choć później zdarzało mu się gęsto rozpisywać o innych organizacjach, a zapominać o własnej), był jeńcem stalagu. Debiutował już w 1943 w „Dźwigarach”, pierwsza książka to ciekawe opowiadania *Śmiertelni bohaterowie* (1946), potem *Broń* (1949), sławne *Traktory* (1950), reportaże radzieckie i opowiadania sportowe. W 1957 ukazuje się *Ziemia bez nieba*, książka spóźniona o ładnych parę lat, podobno też znacznie wcześniej napisana. Trudno było zaprzeczyć, że to autor sprawny literacko, ale meritum zachwycać już nie mogło.

Trzeba było znowu zaczynać od początku, czy może raczej do własnego początku nawiązywać. Krótka powieść *Ranny w lesie* (1960) zaczyna dla Zalewskiego nową epokę, ale to dopiero widać z perspektywy czasu. Na razie pisze reportaże (*Półsezon w wielkim świecie* – 1963), które będzie z biegiem czasu oczyszczał i cyzelował (*Odmiany nadziei* – 1968), aż do uzyskania bardzo interesujących esejów w *Dolinie Królów* (1976). Są one poświęcone pisarzom-przewodnikom, Saint-Exupery’emu, Malraux, Camusowi. Jeśli dodamy do tego Conra-



da i Dostojewskiego, to otrzymamy krąg literackich patronów i Zalewskiego, i jego całego pokolenia. Szczególną grozą ziele tutaj historia, a bunt jest właściwie jedyną moralną, jeśli nie realną, szansą człowieka. Ciekawe, że ja sam w latach sześćdziesiątych też byłem pod mrocznym urokiem nieodwołalności i grozy historii, choć nie należę do jego pokolenia – moja pierwsza książka nosiła przecież tytuł *Samotni wobec historii*, co chyba komentarza nie wymaga. Ciekawe, że dziś (w roku 1988) nie odczuwam nieodwołalności historii w tej mierze. Czy te kleszcze na szyi Zalewskiego zelżały także? Całkiem pewien tego nie jestem.

Jeszcze sławniejsze od esejów są powieści. Sławę, a raczej powtórną sławę, czy może sławę w lepszym gatunku przynosi Zalewskiemu *Pruski mur* (1964), który okazał się pierwszą częścią trylogii współczesnej, trylogii nie ze względu na fabułę, ale na problematykę. Należą do niej *Splot słoneczny* (1972) i *Czarne jagody* (1975). Potem przyszedł historyczny *Ostatni postój* (1979) i *Pożegnanie twierdzy* (1985), a wreszcie prezentowany najpierw w radio *Wysłannik* (1988).

Jak wszyscy pisarze jego pokolenia Zalewski jest osaczony przez demony przeszłości. Ale to nie tylko wojna, partyzantka, powstanie warszawskie – tu bohaterowie Zalewskiego mają konto raczej czyste i udział chwalebny. Ale i tu rodzą się wątpliwości. Zalewski poddaje krytycznej analizie pojęcie heroizmu. W rzeczy samej, wątpliwości ma sporo. Przecież człowiek, każdy chyba, jest wręcz podminowany strachem, zdradą, małodusznością, stąd jego bohaterowie są bardzo mało koturnowi. Ktoś nie chce ofiarować swego życia w zamian za ocalenie syna, ktoś inny nie ratuje kolegi, jeszcze ktoś ze strachu przepuszcza niemiecki oddział – i tego jest więcej. Ale przecież bywa i tak, że bohater po duchowym upadku podnosi się jednak i powraca do walki – chyba że już nie zdąży, jak w *Pruskim murze* czy w *Ostatnim postoju*. Heroizm to w końcu nie więcej niż romantyczny gest – ale bez tego gestu walka i zwycięstwo byłyby niemożliwe.

Zalewski nie jest więc patetyczny, no, ale kogo z tego pokolenia czy właściwie z całej literatury współczesnej stać jeszcze na patos? Pisano niejednokrotnie, że książki Zalewskiego to coś w rodzaju przewodu sądowego – jednak bez sędziego i wyroku, bo kto właściwie miałby mieć na tym świecie uprawnienia sędziego? To prawda, że niekiedy Zalewski odwołuje się do struktury kryminału, lecz i to prawda, że nie „ogrywa” jej ze szczególną natarczywością, w każdym razie znacznie skromniej, niż to robi np. Bratny. Właściwie można to powiedzieć o *Pruskim murze*, bo w następnych powieściach sytuacja kryminalna jest co najwyżej odległym pretekstem. Ale tak czy owak, o każdym właściwie istotnym bohaterze Zalewskiego można powiedzieć, iż jest „winien”. Szczególną w tym wszystkim rolę odgrywa problematyka rolna, zasługi kolektywizacyjne i nieunikniony kac potem.

Zalewski jest, czy może raczej był, uważany za tradycyjnego realistę, nie stosującego szczególniejszych uduwnień. Ale to stwierdzenie jest tylko częściowo prawdziwe. Przecież nawet w obrębie „tradycyjnej” powieści można zrobić bardzo wiele – i Zalewski rzeczywiście to robi. (*Notabene* przy jakiejś okazji zachwycał się plastycznością powieści, jej zdolnością do przeobrażeń, wróżąc jej żywot długi jeszcze i chwalebny. Co więcej, chyba trzeba mu przyznać rację). W sensie duchowym odwołuje się do Malraux i Camusa, ale stylistycznie przypomina w swoich początkach Kadena. A skądinąd bywał nazywany faulknerystą, co z poprzednimi patronatami wcale nieźle się kojarzy.

A „tradycyjny” tok prozy też wcale tak bardzo tradycyjny nie jest. Wprowadza monolog będący strumieniem świadomości, co zresztą miewano mu za złe. Rozszczepia rzeczywistość i innymi sposobami – na przykład każąc bohaterowi gorączkować i podejmować dyskusję z własnymi zwidami. To znów tych narratorów jest tak wielu, że proza uzyskuje wręcz inną jakość. Tu zresztą bywa miejsce i na autotematyzm – jednym, czasem wręcz głównym, z narratorów jest dziennikarz albo pisarz, który opowiada o zbieraniu materiałów do powieści, o racjach moralnych, o sobie samym. Zwracano też uwagę, że to ten właśnie pisarz jest na

prawdę rzeczywistym bohaterem książek Zalewskiego. Zapewne trzeba jeszcze przywołać wpływ techniki filmowej – Zalewski przez wiele lat pracował jako kierownik literacki zespołów filmowych.

Właściwie już *Ziemia bez nieba* była rodzajem przewartościowania. Wprawdzie sam obraz socjalny straszy schematami – wieś biedniacka, wieś kułacka, PSL, bandy i tak dalej, ale coś jednak zaczyna w tym migotać. Zupełnie kapitalny jest obraz, gdy do spokojnej wsi zjeżdża pierwszy i poprzedzony legendą traktor, który staje się narzędziem i symbolem przemocy i nielojalności wobec wsi. Książka ukazała się w momencie fatalnym, bo w roku 1957, i została solidnie przetrzepana, choć co było do docenienia – docenione zostało. Pisano więc o „ostatniej wielkiej powieści powojennego realizmu”, o pokrewieństwie z *Popiołem i diamentem* etc. To słuszne, chociaż *Popiół i diament*, będący przez całe lata oficjalnym wzorcem obiektywizmu i prawdy, jest dziś poczytywany za szczególnie przemyślny rodzaj fałszu. Zalewskiemu zaś przyznać należy i tu, i gdzie indziej szczególnie dobre opanowanie warsztatu opisowego, jeśli idzie o przyrodę – jej obrazy i opisy są do dzisiaj piękne i sugestywne.

Tak też jest w *Rannym w lesie*, utworze w 1963 roku sfilmowanym przez Janusza Nasfetera. Oddział partyzancki zostaje rozbity, w lesie, wśród rannych, jest umierający oficer łącznikowy, który nie zdążył przekazać rozkazów. Dokoła niemiecka obława, a ci, którzy poszli po pomoc – zawodzą, inni uciekają (nawet z butami umierającego), podchorąży Koral zostawia ostatniego kolegę na straży, a sam idzie po wodę. Ma pokusę, a wreszcie i okazję ucieczki – i omal tego nie robi. Ostatecznie wraca jednak do pozostawionych rannych, jak się okazuje, wielu z nich już nie żyje. A więc niejednoznaczność moralna, strach i zdrada – ale przecież nie tylko. Mikropowieść wyjątkowo zwarta, konsekwentnie i znakomicie skomponowana, a ostatecznie egzystencjalistyczna w swym aktywizmie:

„Trzeba to brać na siebie. Trzeba brać na siebie wszystko. Albo bierze się na siebie wszystko, albo zostaje się samemu z własną ucieczką. Trzeba brać na siebie wszystko.”

Olbrzymie i różnorakie dyskusje wywołał *Pruski mur*. Warszawski dziennikarz jedzie tutaj do pomorskiego Grudzieńca (w którym bez trudu odszyfrować można Grudziądz), gdzie właśnie odnaleziono w starych ruinach czyjeś zwłoki sprzed lat. Akcja dzieje się w przeciągu paru dni 1958 roku, mord został dokonany trzynaście lat wcześniej, jak się okazało – na działaczu i nauczycielu Niedzielskim, sławnym ongiś ze swojej postawy i bohaterstwa. Całe miasto jest poruszone, na marginesie śledztwa są prowadzone rozgrywki personalne, głównie między upadłym nieco działaczem z Warszawy, Benkiem Rufinem, a miejscowym sekretarzem Nilem. Wiele tu oskarżeń i podejrzeń wzajemnych. Wreszcie okazuje się, że zabójstwa dokonał były żołnierz podziemia, gdyż spotkany w obozie bohater Niedzielski okazał się „obozową hieną, złodziejem zastrzyków i racji chleba chorych na rewirze”. Narrator nie ujawnia władzom ani sprawy, ani powodów zabójstwa.

Książka może być odczytana rozmaicie. Jako powieść polityczna, lokalno-obyczajowa, rozrachunkowa... O Benku Rufinie, sekretarzu, samym narratorze. Czy Niedzielski jest tylko pretekstem? Otóż wbrew różnym głosom krytycznym – nie. Tadeusz Drewnowski zwrócił już wtedy uwagę na niekonsekwencję tej postaci. Ale to nie jest niekonsekwencja, jeśli przypomnimy sobie, co Zalewski sądzi o bohaterstwie. Załamanie Niedzielskiego jest przecież konsekwentne, bo nikt nie jest bohaterem bez skazy. A skądinąd jest tu i znany z *Żeglarza Szaniawskiego* problemat: przecież Niedzielski jest uważany za bohatera, jego imieniem ma być nazwana szkoła... Ale pytań jest tu rzeczywiście wiele. Odtąd tak już będzie u Zalewskiego zawsze.

Następną „tragedią współczesną” będzie również słynny *Splot słoneczny*. Książka jest nieco skomplikowana. Ramę stanowi knajpiany monolog pisarza, przedstawiającego dzieje swoje i znakomitego boksera, Franka Bieleckiego, a także kilku innych postaci: przedwojen-

nego komunisty Wiktora, kolektywizatora Ogrodzińskiego, literackiego stalinisty, a potem liberała Kamila. Wszyscy oni poniosą klęskę. Sam pisarz Jacek Pawłowski był partyzantem, a potem zaprowadzał stalinowski ład, ulegając kłamliwym sugestiom Kamila. Bokser to ponoć postać z kluczem, słynny ongiś Kolka, Franciszek Kolczyński – jego wzlot, upadek i tajemniczą śmierć właśnie obserwujemy. Ale przepadają tu właściwie wszyscy, bo tak zdecydowała historia. Zwraca uwagę plastyczny, odmieniający się wielokrotnie styl książki – ale właśnie narodziny powieści czy filmu mają być ekspiacją, rekompensatą, uzasadnieniem i sensem życia. Przywoływano tu Prousta, ale przecież rzecz jest znacznie starsza, już bohaterowie *Iliady* godzą się na śmierć, „aby mogła powstać pieśń”.

Jeszcze większą literacką urodą mogą się poszczycić *Czarne jagody*, trylogii współczesnej część trzecia. Tym razem mamy wieś, tę samą co we wczesnej *Broni*. Jest tu i rewizja przeszłości, i wątek społeczny, ale przecież punkt ciężkości książki zaczyna się pomaleńku przenosić gdzie indziej. Bohaterką jest Czarna Zośka, *alias* Zofia Kucharska, ongiś służąca dworska, potem kolektywizatorka i przewodnicząca spółdzielni produkcyjnej, miejscowa prominentka. Jej niezbyt wydarzone życie, nieudana miłość, małżeństwo, upadek, śmierć opowiadają różni narratorzy, przede wszystkim jednak pisarz-dziennikarz i sekretarz Jaźwin. Szczegóły akcji nie są łatwe do zrekonstruowania, Zalewski buduje ją nieomal zatajonymi napomknieniami. Wszystko to jest dość mroczne, a sama bohaterka (migotliwa, bo jest i Zośka Biała) przeistacza się pod koniec zgoła w czarownicę. Ten sam znany nam wątek bezradności wobec wyroków historii, ale jest tu i coś więcej: tu już świat nie jest tak bez reszty „realistyczny” i rozpoznawalny, jego widmowość nie jest tylko złudzeniem (lub wszystko jest po części złudzeniem), jest wręcz cechą istnienia. Nie tak znowu daleko stąd do Konwickiego, choć na ogół to bardzo odmienni autorzy – chociaż obaj mają do czynienia z przekazem romantycznym, który jest zarówno ich szansą, jak i przekleństwem.

W inne czasy, ale nie w całkiem odmienną problematykę, przenosi nas *Ostatni postój*. Rzecz dzieje się w momencie upadku powstania styczniowego, kiedy już walki ustały, a Kozacy wyłapują powstańców. Młody powstaniec Piotr wraca do domu, gdzie jednak jego obecność stanowi dla wszystkich zagrożenie – a jako perspektywa pojawia się możliwość kolaboracji. Wyrusza po radę do umierającego stryja, po drodze sam gwałtownie zapada na zdrowiu w widmowej karczmie, gdzie toczy dialogi racji moralnych z widmami gorączki. Łatwo rzecz uwspółcześnić, łatwo także odczytać jako przekaz uniwersalny. Pytanie o cenę ryzyka, heroizmu, który jednak jest czymś w rodzaju charonowego obola dla tych, którzy zginęli. Książka o bardzo sugestywnym, czarno-białym pejzażu, miała chyba kilku dość odmiennych patronów. Od Żeromskiego po Terleckiego, nie bez przyczynienia się Tomasza Manna, w scenie gorączkowych wizji Piotra.

*Pożegnanie twierdzy* zostało uznane za jeszcze jedną wersję *Kolumbów*. W istocie książka ma dwa zasadnicze plany czasowe. Przedwojenne dzieciństwo bohatera, syna oficera z twierdzy brzeskiej, grudziądzkiej, potem Wrzesień, partyzantka, powstanie. Czyli rzecz i o dojrzewaniu, i o załamywaniu się bohaterskich mitów dzieciństwa. Nie ulega jednak właściwie zatarciu przeświadczenie zasadnicze, że życie jest niejako przygotowaniem do śmierci. Ale sprawa heroizmu ma tutaj różne wcielenia i wypada niejednoznacznie. Scena, gdy bohater wypelza ze zburzonego szpitala powstańczego, ma wyraźnie symboliczne znaczenie. Nie jest przy tym żadną tajemnicą, że książka jest oparta na wątkach autobiograficznych.

Nie czytałem, niestety, ostatniej książki Witolda Zalewskiego *Wysłannik*. Wiem, że za model do niej służyli bracia Mannowie na emigracji, tu w Tuluzie. Rzecz dzieje się w roku 1937, Mann (Henryk?) pisze książkę o Machiavellim i Savonaroli. Zapewne będzie to w sumie rzecz o totalizmie i sumieniu pisarza. Zalewski usiłuje wyrwać się z kręgu swoich tematów, to czas odmieniając, to miejsce. Czyżby jednak uwierzył, że historię da się przechytryć?

Twierdzenie Witolda Zalewskiego o plastyczności powieści dobrze ilustruje twórczość Jacka Bocheńskiego (1926), *illo tempore* cenionego „pryszczatego”, a w latach sześćdziesią-

tych autora głośnego *Boskiego Juliusza*, wreszcie jednego z redaktorów „Zapisu”. Zaczynał zresztą wcześniej jeszcze, wierszami i prozą w „Odrodzeniu”, „Kuźnicy” i „Pokoleniu”, które współredagował. A w ogóle wywodzi się z rodziny literackiej, jako syn eseisty i poety Tadeusza Bocheńskiego. W latach pięćdziesiątych całe serie odczytów i gawęd Tadeusza Bocheńskiego stanowiły istotny element panoramy kulturalnej Zakopanego. Bocheński-junior przeżywał wtedy ciężkiego kaca po stalinizmie, co, jak zwykle w jego pokoleniu, doprowadziło go do postawy radykalnej. Waham się trochę przed twierdzeniem, że jego najlepsze książki powstały z nienawiści do tego, czemu przedtem skwapliwie służył. Ale to znowu właściwie reguła.

Tak czy inaczej, prawdziwy debiut Bocheńskiego to rok sześćdziesiąty. Nie jest autorem specjalnie płodnym, ale te parę jego książek to rzeczy naprawdę godne uwagi, co więcej – nie zestarzały się wcale, wróciłem teraz do nich po latach z przyjemnością. A już *Boski Juliusz* jest rzeczywiście znakomity. Ciekawe natomiast, że odczytuje się teraz te książki może nie tyle inaczej, co wyraziściej. Michał Misiorny pisał kiedyś, że cenzura wymusza na pisarzach spryt, precyzję i w ogóle wysoką jakość. Teza bardzo kłopotliwa, bo niekiedy rzeczywiście prawdziwa. Klejnotami cenzury są przecież *Podróże Guliwera*, *Listy perskie* Monteskiusza, *Konrad Wallenrod* Mickiewicza, *Cesarz Kapuścińskiego* – wśród tych pereł ezopowego języka błyszczą i książki Bocheńskiego. A właśnie wydany „poza zasięgiem” *Stan po zapaści* jest istotnie słabszy...

Więc, jako się rzekło, książki Bocheńskiego chodzą w antycznym lub egzotycznym kostiumie. Ale nie przesadzajmy z interpretacją polityczną, to nie tylko przebranie. Bocheńskiemu rzeczywiście chodzi i o Afrykę, i o prawdziwych ludzi starożytnych dziejów. Prawdziwym zatem tematem jest więc analogia sytuacji. Początek temu wątkowi dał u nas Jan Kott – szkicami o Tacycie i Szekspirze. Jest jednak pewna różnica – Bocheński nie przesądza ostatecznie sprawy. Bardzo interesujące są uwagi o stylu Cezara, o jego obiektywizmie i eliminacji pierwszej osoby, ponieważ „wszelka subiektywność może się wydawać sporna i zachęcać do dyskusji”. Otóż właśnie Bocheński do dyskusji zachęca, bo jego styl jest bardzo subiektywny. Narrator jest jednym z bohaterów jego książek. Nie ukrywa swoich uczuć, przeciwnie, są one ukazane na pierwszym planie. To raczej właśnie fakty i interpretacje zostały opatrzone znakiem zapytania, objawiają się w cudzysłowie i pod pewnymi względami są prawdziwe, a pod innymi wątpliwe. Proza Bocheńskiego jest ironiczna i migotliwa, narrator to albo „antykwariusz”, albo „konferansjer”, czyli po prawdzie prestidigitator. Wynika to w sposób naturalny z konwencji gatunkowej, którą zresztą nie tak łatwo określić. Fabuła epicka łączy się z reportażem albo esejem. Włodzimierz Maciąg widzi w tym przede wszystkim prozę formuł intelektualnych, i to od samego początku.

Debiutował zaś Bocheński zbiorem opowiadań *Fiołki przynoszą nieszczęście* (1949), ukazujących galerię postaci „z marginesu” czasów okupacji. Potem przychodzi tom publicystyki *Z życia NRD* (1951), a następnie opowiadania *Zgodnie z prawem* (1952), które w ciągu dwóch następnych lat miały aż cztery wydania. Są to opowiadania z ówczesnego życia (?) wsi, które zachwycona krytyka określiła mianem „czterech meldunków z frontu walki klasowej”. Bocheński opiewa kolektywizację, powiatowych sekretarzy i komendantów UB. Krytyka ówczesna (naprawdę przewspaniała) podkreśla „słuszną nienawiść do AK-owskiego zbiara”, gęsto też cytuje czujną klasowo konkluzję książki: „Ludzie, ludzie, uważajcie, między wami został zbrodniarz”. Postaci Bocheńskiego miewają ludzkie słabości – sekretarz na przykład, o zgrozo, obniża kułakowi dostawy przymusowe, ale przez pomyłkę tylko. Potem się poprawi – i jak trzeba chłopu dosoli.

Nie zna takich słabości zetempowski brygadzysta:

„Sam jechał na Ursusie i zdawało mu się, że słyszy za sobą szelest przewracanej gleby, że własnym ciałem czuje rycie lemiesz, i nie mdliła go senność ani znużenie. Z każdą nową skibą lżej było sercu, jakby tę ciężką ziemię odwałał z własnej piersi.”

Krytyka podreśla coraz to nowe piękności: „Dużą zaletą tego (tytułowego – P.K.) opowiadania jest przedstawienie żarliwej postaci oficera aparatu Bezpieczeństwa Publicznego, jakich dotąd stanowczo za mało w naszej literaturze” – dopomina się Andrzej Trepka. „Końcowa scena, gdy poborca sekwestruje rzeczy Wojciechowskiego w zamian za nie dostawione zboże (...) ma siłę szerokiego, humanistycznego uogólnienia” – notuje z satysfakcją Tadeusz Drewnowski. Ale zaraz dodaje markotnie: „Szkoda, że polityczną wymowę noweli zakłóca nieco nadmiernie inteligentne mędrkowanie”.

Nie, nie. Może być wybaczone, ale nigdy zapomniane, że krytyk i pisarz polski stanęli kiedykolwiek po stronie oprawcy. Lecz dodajmy i to, że upadek pisarza staje się później jego siłą. Swoją drogą, jakże diametralnie odwróciła się skala ocen!

Bocheński na szczęście „mędrkował”. Odpuśćmy mu wprawdzie *Podróż i szczyptę filozofii. Refleksje z podróży do ZSRR* (1956) – istotne tu są jednak narodziny rozumowanego reportażu, a także felietony *Fakty i zwierzenia* (1957). *Pożegnanie z panną Syngilu* pisał już inny człowiek.

*Pożegnanie z panną Syngilu, albo Słoń a sprawa polska* (1960) to, formalnie rzecz biorąc, reportaże z podróży do Afryki. Autor odwiedza Egipt, Sudan, Abisynię, Nigerię, Ghanę. Tytułowa panna Syngilu to sudańska stewardesa, Mary Syngilu, symbol czarnej kobiety. *Notabene* w wozach afrykańskich Polaków ciemnoskóra dziewczyna jest z reguły jednym z najpilniej zwiedzanych obiektów. Wiem, bo sam byłem, lecz o tyle później od Bocheńskiego, że miewałbym raczej do czynienia z córką panny S. niż z nią samą. Mniejsza zresztą o ewentualne wspomnienia po Bocheńskim na Czarnym Łądzie. Mój wóz ważny jest o tyle, że wiem, w jakim stopniu *Panna Syngilu* jest przebieranką „listem perskim”, a w jakim relacją bezpośrednią. Otóż jest i tym, i tamtym.

Łatwo w tej materii pohlądzić. Kiedy przed laty Lem pisał swojego *Profesora Dońdę* i opisywał nieprawdopodobne absurdy gospodarcze i społeczne Afryki, brałem to dosłownie, bo widziałem te nieprawdopodobieństwa na własne oczy, a nie miałem powodu, by nie wierzyć, że Polska to dziesiąte imperium gospodarcze świata. Dopiero w kilka lat potem okazało się, że nasza rodzima gospodarność niewiele odbiega od afrykańskiej i że do niej także Lem pasuje jak ulał. Z Bocheńskim sprawy się mają odrobinę inaczej, gdyż poza bałaganem i absurdem gospodarczym podkreśla także absurd społeczny – w wielu wcieleniach i wydaniach. Bocheński nie ukrywa, że jego książka odnosi się do spraw polskich, ba, podkreśla to nawet w podtytule. Co więcej, wygłasza odczyt o swojej „misji” dotyczącej spraw polskich, ale odczyt tonie w bełkocie przypominającym i dramat absurdu, i *Jeziro Bodeńskie* Dygata. Narrator spisując „list perski” zrobił do nas na koniec perskie oko.

Zarazem jest to książka o względności obyczajów i o tolerancji, wyraźnie i niejednokrotnie podkreślanej. Ale i to nie takie proste, bo tylko intelektualnie coś akceptując mogę się równocześnie na to samo wzdragać. W każdym razie reportaż zamienia się w mały teatrzyk, z narratorem jako jednym z aktorów, a teatrzyk z kolei w esej, dotyczący historiozofii, moralności, granic poznania i rozumienia. Książka ironiczna, groteskowa, także autoironiczna. W to wszystko została wpisana powieść o powstawaniu powieści, powieść bardzo dygresyjna. Troszeczkę mi się to zestawia z *Barbarzyńcą w ogrodzie* Herberta, *à rebours*. Może miejsce Polski w świecie dałoby się wyznaczyć tym właśnie zestawieniem.

Jeszcze jedna refleksja. Relacja Bocheńskiego pochodzi jeszcze sprzed upadku cesarza Hajle Selassiego, kiedy w Abisynii panował jeszcze „ład i dostatek”. Zważywszy, że dziś, po wszystkich postępowych reformach, ten kraj jest skończonym nędzarzem konającym z głodu, warto się trochę zadumać. Zresztą każdy, kto był w Afryce, widział to zadziwiające zjawisko:

im dłużej dany kraj cieszył się wolnością, im śmielsze reformy przeprowadził, tym bardziej waliło się wszystko. Ale to już chyba (?) inna bajeczka...

O ile *Panna* wyrastała z szyderstwa, o tyle *Boski Juliusz. Zapiski antykwariusza* (1961) był chyba rzeczywiście dzieckiem nienawiści. To nie jest książka skierowana w próżnię czy też chłodno rozważająca wypadki sprzed tysiący lat. Oczywiście wszyscy zdali sobie natychmiast z tego sprawę, ale nie sposób było odpowiedzieć – ktoś tam co najwyżej bąknął coś o Hitlerze. Ale i dzisiaj nie warto szukać personalnych odniesień. Cezar w pewnym momencie rozmyśla tutaj:

„Jasno sobie powiedzmy, że wszyscy ludzie pragną swobody i nienawidzą niewolnictwa, powtórzmy ten truizm jeszcze raz, wbijmy sobie w głowę, że będą pierwszego pragnęli, że będą drugiego nienawidzili, że nie zmieni się to nigdy, bo nie może, a teraz, kiedyśmy tak proste ćwiczenie umysłowe wykonali, pomyślmy o sposobach zaradczych, czyli o właściwej dyslokacji wojsk.”

No więc książka jest przeciw tym, którzy szukają i potrzebują „sposobów zaradczych”. Cezar Bocheńskiego to oszust, tchórz i erotoman, to wcielenie bezwzględności, obcej jakimkolwiek ludzkim względem. A przecież... A przecież osobowość historycznego Cezara była na tyle fascynująca, że Bocheński niekiedy jej ulega i niemal bezwiednie bywa nią wyraźnie zafascynowany. Czyli jednak nie jest tylko bezstronnym „antykwariuszem”, to kamuflaż. Bocheński zaczyna mniej więcej tam, gdzie Brecht kończy, ale motywem działań jego Cezara nie jest posiadanie, lecz władza o przymiotach boskości. Nie wystarczy, aby ludzie się bali, muszą jeszcze uwierzyć – tu kostium antyczny robi się wyjątkowo przezroczystry. Jeśli ewentualna funkcja króla oznacza tu przemoc, to funkcja boga – ideologię.

Bocheński daje także portrety partnerów i przeciwników Cezara – jest to studium możliwych zachowań wobec tyranii, od oportunisty do heroizmu. Trudno natomiast powiedzieć, co to za gatunek literacki – czy to pięć nowel, czy esejów, czy może przypowieści? Książka ironiczna i sceptyczna, pełna sarkazmu, kapitalnych uwag i rozważań, zarazem celnych analiz rzeczywistych tekstów. Zrobiła też błyskawiczną karierę, choć nie wzbudziła płomiennej miłości władzy. Ale trzeba dodać, że w latach sześćdziesiątych pojęcie władzy było to okadzonym, to złowieszczym idolem – pisałem już o tym zjawisku. Pod tym względem odmieniło się bardzo wiele – o co postarali się skutecznie sami władcy, ale książka Bocheńskiego przerosła aktualne układy. Miała być przy tym pierwszą częścią trylogii – drugi tom miał dotyczyć Augusta, a trzeci – Tyberiusza. Ten ostatni nigdy nie został dokończony, choć Bocheński nad nim pracował. Drugi natomiast to równie jak *Juliusz głośny Nazo poeta*.

*Nazo poeta* (1969) zmienia trochę akcenty, gdyż na pierwszym planie jest to książka nie o władcy, lecz o poecie, Owidiuszu. Bocheński idzie znowu śladami lektur, część pierwszą opierając na pismach miłosnych, drugą na *Metamorfozach*, trzecią zaś poświęcając przyczynom wypędzenia Owidiusza z Rzymu. Tu naturalną rzeczą kolejną współbohaterem staje się karzący poetę August. Problematyka książki rozleglejsza, dotyczy bowiem nie tylko władzy, lecz także estetyki i obyczaju. Odebrało to powieści lapidarność, jaką miał *Juliusz*, ale wybór głównego bohatera przesądzał sprawę. Książka jest jeszcze bardziej błyskotliwa, jeszcze więcej w niej żonglerki słowem i pojęciem, choć komentarz pozostał równie drwiący – a wszystko razem jest jakby teatrzykiem, jakby kabaretem – w którym narrator gra rolę konferansjera. A umysłowość Augusta została przedstawiona w sposób nie mniej szyderczy niż w książce poprzedniej. Chyba nawet jest tu bardziej zakłamany, ponieważ właśnie kłamstwo jest najwyraźniejszym znamieniem owej „boskiej” władzy.

Jeszcze przed Owidiuszem ukazało się *Tabu* (1965). Jest to przemyślna mikropowieść, złożona z trzech niby osobnych opowieści, trzech wariantów tej samej sytuacji. Zakochana Dolores i Diego, który ją ostatecznie porzuca – raz będzie to średniowieczna mniszka i wa-

gant, drugim razem – aktorka i malarz-komunista, wreszcie modystka i jubiler. Za każdym razem jest to monolog Dolores, snuty wobec inkwizycji, policji, lekarza. Nie chodzi jednak o poszczególne konkrety, prawdziwą treścią są sprzeczności tkwiące w człowieku, nie tylko erotyczne, tabu – czyli zakaz, czyli bariera grzechu, da się odkryć we wszystkim. Nie tylko miłość, ale i inne wartości istnieją tylko w stanie zagrożenia – inna sprawa, że krytyka, głównie kobieca, narzekała na zubożenie pojęcia miłości, na sprowadzenie jej do seksu tylko. Książka trafiła na scenę, a pierwsza, najlepsza opowieść, cieszyła się dużym powodzeniem.

Następna książka Jacka Bocheńskiego *Krwawe specjały włoskie* była pisana i publikowana w prasie w połowie lat siedemdziesiątych, w całości ukazała się w 1982. I znowu trudno określić jej gatunek literacki. Są to trzy ni to opowiadania, ni to sprawozdania, ni to eseje z dziejów współczesnego terroryzmu. Sytuacje, wręcz niemożliwe do przyjęcia, mają dać obraz współczesnej epoki. Autor pisze w sposób dygresyjny, wariantowy (np. jakby porwanie Paula Getty’ego wyglądało w Polsce?), a jego diagnoza

„...gdzie tkwi początek zła i źródło niebezpieczeństwa? W uporczywych staraniach, aby nas oswoić z myślą, że człowiek nie różni się od robaka.”

To już prowadzi nas ku cyklowi antycznemu, zwłaszcza gdy dowiadujemy się, że terroryści „nie są byle kim”. Cóż, Cezar i August też nie byli byle kim, a „gwałt na świadomości społecznej” spełniał się i wtedy, i teraz. A skądinąd aż się to prosi o zestawienie z *Kronikami włoskimi* Stendhala, o których Bocheński nie mógł chyba nie pomyśleć.

*Stan po zapaści* (1987) to powieść z okresu stanu wojennego. Narrator po zapaści leży w szpitalu, notuje strzępy rozmów, wydarzeń, stanów fizjologicznych. W szpitalu chronią się działacze „Solidarności”, narrator sam zresztą także jest pod ochroną. Konwencja zapisków z minimalną akcją – przypomina to trochę książkę Białoszewskiego *Zawał*. U Bocheńskiego tytuł należy rozumieć i dosłownie, i symbolicznie. Szpital stał się w literaturze polskiej cennym i ważnym miejscem akcji – że przypomnę jeszcze choćby Kuśniewicza czy Konwickiego. Ale Bocheński raczej nuży – najciekawsze są jego ostre i gorzkie diagnozy społeczne. Poza tym zwraca uwagę zupełnie nowe uzasadnienie gęstego zapisu strumienia świadomości: brak papieru. I rzeczywiście, myślę, że gdyby autor to samo napisał językiem ezopowym, to lepiej by to wypadło...

Jan Józef Szczepański tym się wśród swoich rówieśników wyróżnia, że choć był mniej więcej „Kolumbem”, to jednak nigdy nie był „pryszczatym”, któż wie, z zyskiem dla swojej twórczości, czy stratą? Nie musząc szminkować swojego powojennego życiorysu nie popadł w skrajności, stać go było na łagodność i jakąś harmonię. Więc nie było to w końcu tak niezwykle, że po śmierci Iwaszkiewicza, u schyłku roku 1980, został prezesem ZLP, w dość paskudną dla siebie godzinę, bo prezydując Związkowi aż do jego rozwiązania słodczy z tego miał mało. Jan Józef Szczepański (1919), z wykształcenia indolog, ruszył na wojnę jako artylerzysta – jak wiemy, artyleria gromadziła szczególnie wielu literatów, że wspomnijmy choćby Żukrowskiego, Rudnickiego i Międzyrzeckiego – skąd wniosek oczywisty, że broń ta rozwija zdolności literackie. A i zalecenie, by artylerię podporządkować ministrowi kultury, z braku innych armat miałyby przynajmniej jakiś argument budżetowy.

Szczepański był w czasie okupacji partyzantem, oficerem AK, po wojnie związał się z „Tygodnikiem Powszechnym”. Debiutował wprawdzie w prasie opowiadaniem niedługo po wojnie, ale z debiutem książkowym czekał do 1954, do początków „odwilży”. Uznanie zdobył bardzo szybko, a jego powieść *Polska jesień* weszła do kanonu lektur szkolnych. Dodam tu jeszcze *pro domo mea*, że Szczepański był moim pierwszym mentorem literackim, cierpiąc przysyłane sobie wierszydła i cierpliwie odpowiadając na listy czternastolatka. Miało to wtedy dla mnie naprawdę wielkie znaczenie. Zresztą jesteśmy nawet kuzynami czy powinowatymi, ale tu pewnie westchnęlibyśmy obaj zgodnie, że rodziny – w przeciwieństwie do przyjaciół – się nie wybiera.

Większość utworów Szczepańskiego to nowele bądź krótkie powieści, a jego powieści dłuższe często składają się z epizodów. Ale też nowele komponują się w większe, logiczne ciągi. Krytyka uważa, że twórczość Szczepańskiego nosi znamiona klasycznego umiaru, „realistycznego” opisu, rozbudowanej psychologii, żywej narracji. To prawda, ale też i od bardzo dawna ciąży ku esejowi i w esej się przemienia. Esej nade wszystko moralistyczny, wiele czerpiący z Conrada, jak całe to pokolenie. Szczepański przywołuje sytuacje paradoksalne, moralnie trudne, a właściwie nawet nie do zniesienia, przy czym charakterystyczne, że nie spieszy z potępieniami. W odwiecznym sporze między złem a dobrem korzenie czynów są splątane i sięgają poza jednostkę ludzką. A punktem dojścia moralistyki Szczepańskiego jest koncepcja „nieznanego trybunału”, który istnieje, choćby nawet Bóg nie istniał. Dla zawodowych katolików nie jest zresztą ważne, czy Bóg istnieje: chodzi o to, by istniał proboszcz, ale pod tym względem Szczepański nie jest tuzinkowy i jego racje są stokroć subtelniejsze. Skądinąd to właśnie Szczepańskiemu literatura polska zawdzięcza tak ważne pojęcie jak „zarażenie śmiercią”, podjęte z wielką siłą przez Kazimierza Wykę.

W każdym razie z koncepcji „nieznanego trybunału” wynika, że pisarz, a pewnie i człowiek w ogóle, gra rolę świadka i od jakości jego świadczenia zależy sens jego życia. Stąd bardzo silny nacisk pada na prawdę, której zatajenie, czy kłamstwo po prostu, jest w systemie pojęciowym Szczepańskiego szczególnie ciężkim występkiem. Z zastrzeżeniem, że człowiek, a i literatura nie samą literalną prawdą stoją. Jest przecież fabuła, zmyślenie, marzenie... I dlatego w *Kipu* czytamy: „rzeczywistość i marzenie to dwie odrębne sytuacje, istniejące obok siebie (czasem ludzako do siebie podobne), lecz nie poddające się syntezie.” Czy ja wiem?

Sam Szczepański bywa zauroczony ładnym zmyśleniem, czego dowiódł pisząc *Portki Odysa*, ale gdzie indziej poddaje się atmosferze baśni (czasem posępnej), ceni sobie egzotykę. Choć to chyba trochę inny motyw, który niełatwo mi sformułować – mówiono o „łakomstwie świata”, ale to bardzo powierzchowna wykładnia. Chyba można mówić o skłonnościach tellurycznych, o głębokim uczuleniu na konkretną niepowtarzalność miejsca, jego nastroju, współgrania z psychiką ludzką, jego kulturowego wyposażenia itd. Liczne i ważne książki Szczepańskiego to niby reportaże, przeradzające się natychmiast w esej. A nawet bez dalekich podróży przywiązanie autora do Beskidu, jego ludzi, spraw i atmosfery uprawomocniłoby ową „telluryczność”. Określić i wysławić bardzo ją jednak trudno, Szczepańskiemu też nie wszędzie wszystko się udało.

Dorobek Szczepańskiego jest rozległy i dotyczy paru dziedzin. Zaczęło się od *Portek Odysa* (1954), potem ukazały się *Polska jesień* (1955), *Buty i inne opowiadania* (1956), *Pojedynek* (1957), *Tombakowy pierścionek i inne opowiadania* (1957) – napisana wspólnie z B. Mańkowskim, *Dzień bohatera* (1959), *Zatoka Białych Niedźwiedzi* (1960), *Motyl* (1962), *Do raję i z powrotem* (1964), *Czarne i białe* (1965), *Ikar* (1966), *Wyspa*, część druga *Ikara* (1968), *Świat wielu czasów* (1969), *Koniec westernu* (1971), *Rafa* (1974), *Przed nieznanym trybunałem* (1975) *Kipu* (1978), *Autograf* (1979), *Trzy czerwone róże* (1982), *Nasze nie nasze* (1985), *Kadencja* (1986), *Kapitan* (1986), *Ultima thule* (1987). Nie wymieniłem wznowień i wyborów. Ale to też nie wszystko, Szczepański ma też wiele tłumaczeń – Conrada, Apollinaire’a, G. Greena, Huxleya, B. Marshalla, bajek indyjskich i afrykańskich. Oprócz tego jest scenarzystą filmowym, a niektóre z filmów przez niego, jakby to rzec, zaprojektowanych (?) miały wielki rozgłos i znaczenie. Tak więc jest to *Westerplatte*, *Wolne miasto*, *Jadą goście, jadą*, *Stajnia na Salwatorze*, *Szalony major*, wedle którego Poręba nakręcił *Hubala*, *Z dalekiego kraju*. Może przy okazji dodam, że JJS od czasów niepamiętnych omawiał filmy na łamach „Tygodnika Powszechnego”.

Pierwsze książki Szczepańskiego czekały na publikację, przeczekując czas najbardziej niesprzyjający. Pierwsze miały być *Buty*, spóźnione o lat osiem. Jak przystało na utwory pisane w latach czterdziestych, prawie wyłącznie żyją wojną. Należą do klasycznych prezentacji owego „zarażenia śmiercią”, są okrutne, ale niejednoznaczne. Opowiadanie tytułowe



przedstawia egzekucję własowców, którzy zdezerterowali i dołączyli do partyzanckiego oddziału. Ale nie są pewni, to raz, są zbrodniarzami, to dwa, wreszcie mają na nogach nowe buty, których brak partyzantom – co decydujące – to trzy. O egzekucji opowiada także słynny *Wszarz*, o egzekucji godnego politowania szpiega-żebraka. Chętnym do wykonania wyroku jest tutaj impotent. W ogóle dowiadujemy się, że mit o polskiej łagodności jest przesadzony – zawsze mieliśmy nadmiar katów-ochotników. Nawiasem mówiąc, warto porównać motywy egzekucji u Szczepańskiego i Konwickiego. Inne opowiadania również dotyczą trudnych problemów moralnych – na przykład jakiegoś ułożenia się ze straszną przeszłością (*Błogosławione wody Lete*). Występują tu stali bohaterowie – Szary, Skrzetuski, którzy powrócą jeszcze w późniejszych utworach Szczepańskiego. Ale jest i motyw niewojenny – przeobrażenia wewnętrznego, jakiego bohater doświadcza w górach (*Za przełęczą*). Dodajmy, że Szczepański uprawiał taternictwo.

Sławna powieść *Polska jesień* także była ogromnie spóźniona, gdyż wedle autora powstała w latach 1940-1949, byłaby więc jedną z pierwszych relacji wrześnieowych. Jest to bardzo prosto i „realistycznie” spisana relacja podchorążego Pawła Strączyńskiego, od ostatnich przedwojennych dni w Krakowie, przez koszary w Bielsku, po odwrót przez Kraków, Bochnię, Nisko, Janów Lubelski, ciężkie walki pod Aleksandrowem, klęskę i ucieczkę do cywila, do dalszej walki. Narrator jest oczywiście artylerzystą. W istocie jest to różaniec epizodów, zapamiętanych szczegółów, pojedynczych scen. Szczepański jest bardzo rzeczowy, mało zdesperowany, a raczej obiektywny – już tu pojawia się motyw sądu i egzekucji szpiega – co naturalne przy znanej szpiegomani wrześnieowej – zresztą szpiedzy byli, niestety, całkiem rzeczywiści. Autor unika nadmiernego naturalizmu (warto jednak przytoczyć piękne wyzwiśko: „ty synu nieznanego żołnierza”), jest powściągliwy i precyzyjny, i pewnie dlatego można mu wierzyć. Rzeczywiście, *Polska jesień* to jedna z najdoskonalszych relacji wojennych, ale w porównaniu z następnymi książkami Szczepańskiego – odrobinę zgrzebna. Ciekawie wypada zestawienie z Żukrowskiego *Dniami klęski*, które podobno miały mieć właśnie tytuł *Polska jesień*, ale książka Szczepańskiego już była w wydawnictwie i Żukrowski musiał wymyślić inny. Do dziś tego Szczepańskiemu nie zapomniał.

Przyznam jednak, że z tych wczesnych książek Szczepańskiego najbardziej lubię *Portki Odysa*, rzecz nie docenioną, i to nawet przez samego autora. Rzecz się dzieje w Beskidach, przed, w czasie i po wojnie, bohaterem zaś jest stary obieżyświat i fantasta Wincenty, coś w rodzaju skrzyżowania Münchhausena i Colasa Breugnon. Jego stylizowane opowieści marynarskie (był kucharzem), azjatyckie, afrykańskie, amerykańskie, zajmują dużą część książki. Są wyraźną fantasmagorią, więc już tu pojawia się problematyka prawdy i zmyślenia, przechodzenia rzeczywistości w wymiar artystyczny, „a więc doskonalszy i bardziej trwały”. W książce urzeka także atmosfera górską czy podgórska, wtopienie w życie natury, folklor, odrobina tajemniczej baśni. Ale to były jeszcze czasy racjonalizmu, autor z przymrużeniem oka traktuje sprawy, które na przykład dla Tadeusza Nowaka byłyby całkowicie rzeczywiste. Zwraca uwagę i to, że książka ta jest jakby poza aktualną rzeczywistością polityczną (a to początek lat pięćdziesiątych), składając jej dań doprawdy minimalną. Była to w owym czasie rzadkość niezwykła.

Następna powieść, *Pojedynek*, ukazała się już po Październiku, a powstawała na przełomie lat 1955-1956, czyli mniej więcej w tym samym czasie, co *Ciemności kryją ziemię* Andrzejewskiego – obie mają coś wspólnego w atmosferze, w mroczności, w przekonaniu, że ciemność jest wieczna. Andrzejewski umieszcza akcję w inkwizycyjnej Hiszpanii, Szczepański we współczesnej południowoamerykańskiej dyktaturze *Aquili* – czyli państwie orlim, żyjącym ze sprzedaży guana (to już drwiąca wyraźnie aluzja do Wyspiańskiego: „nie polezie orzeł w gówna”).

Narrator, księgowy Pedro Perea, próbuje walczyć o duszę swojego wychowanka, zamienianego przez dyktaturę Méloną w janczara, raczej bezskutecznie. Tymczasem wybucha re-

wolucja pałacowa i uciekający Mélon trafia właśnie do Perei. Ten, niezdecydowany, pomaga mu w ucieczce ozywając go w końcu na żalony pojedynek. W rezultacie staje przed sądem jako ostatni wierny dyktatora, podczas gdy tymczasem w najlepsze rozkwita nowa dyktatura.

Kostium jest wyraźny: mnóstwo szczegółów, włącznie z „rzucaniem” towarów do sklepów w przeddzień świąt państwowych, pochody z transparentami etc. – wiadomo, o czym mowa. Książka jest dyskusją z totalizmem, a racjom politycznym przeciwstawia się moralne. Ale one właśnie niszczą narratora – sytuacja paradoksalna, częsta w twórczości Szczepańskiego. Książka nie znalazła łaski w oczach krytyki, moim zdaniem trochę niesłusznie.

W tymże 1957 roku wychodzi pisana razem z Bronisławem Mańkowskim książka *Tom-bakowy pierścionek i inne opowiadania* – cztery opowiadania trochę lżejszego kalibru, marynistyczne, okupacyjno-oflagowe, dotyczące także krzywd powojennych.

Następny tom opowiadań, *Dzień bohatera*, ma charakter ironiczno-szyderczy. W opowiadaniu tytułowym, w którym akcja się toczy w Grecji czasów heroiczych, osiłek Alkinój stacza bójkę z pastuchem Fajdonem, trafia go kamieniem w tyłek i zabija jednego kulawego barana, a jego famulus Koinos układa o tym wspaniałą pieśń heroiczną. Drwina, a w każdym razie paradoks, rządzi także innymi opowiadaniem – zalecanki do kaleki, o której ułomności zalotnicy nie wiedzą, reakcja Murzynów na już nieaktualne niebezpieczeństwo, podtatusiali kombatanci etc. Motywy okupacyjno-partyzanckie, a także starzy znajomi z poprzednich opowiadań.

Z kolei *Motyl* to zbiór opowiadań, częściowo wcześniej już drukowanych, ale skądinąd to wręcz „powieść w nowelach”. Łącznikiem jest wspólny bohater, Michał – występuje tu jako dziecko, podrostek, wreszcie konspirator. Bardzo nasycona atmosfera, ulotność – zwłaszcza początkowych opowiadań, lekkość pióra przyniosły książce sukces.

A tymczasem ukazała się *Zatoka Białych Niedźwiedzi*, pierwsza książka oparta na motywie podróży, tu na Spitzbergen. Przy okazji składa *credo* egzotycznej podróży: „Tylko odmiennosc cywilizacji stwarza atmosferę tajemnicy. Tylko ludzie mogą być nosicielami prawdziwej egzotyki”. Najzupełniej się ze Szczepańskim nie zgadzam, ale nie tu miejsce na polemiki.

W każdym razie następna podróż prowadziła ku cywilizacji orientalnej – *Do rajy i z powrotem* – a więc do Indii, Pakistanu i krajów arabskich. Książka jest uważana za najlepszą chyba w Polsce pozycję „rejsową”. Rzeczywiście czyta się ją znakomicie, a zdecydowało o tym być może wyraźne poczucie obcości.

Następne podróże są także bardzo godne uwagi. A więc *Czarne i białe* – Afryka Wschodnia i Południowa, *Świat wielu czasów* – Ameryka Południowa, *Koniec westernu* – Stany Zjednoczone, centrum czy też środkowy zachód i arcyciekawe uwagi o cywilizacji amerykańskiej. Są to chyba najpoczytniejsze książki Szczepańskiego, a ironia losu może sprawić, że one właśnie ostaną w pamięci potomnych. Ich siłą jest eseistyczne podejście do oglądanego świata. A skądinąd ciekawe, jak sytuacje tu opisane powrócą w nowelistyce – realność modelu jest tu podobna jak u Marii Kuncewiczowej (której Szczepański jest bratankiem). Wątpliwość natomiast budzi relacja grecka i meksykańska – *Nasze, nie nasze*, zwłaszcza w części greckiej. Może to wszystko było zanadto znane, zanadto oczywiste? A przy tym chętnie bym się ze Szczepańskim pokłócił, na przykład o trwałość tradycji prekolumbijskiej. Nie wszystko się da sprowadzić do ludowego katolicyzmu. Niestety, w całej tej mojej książce muszę swe myśli powściągać.

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych Szczepański wydaje swoją pierwszą powieść historyczną, chyba po trosze w czasie rejsu pisaną, a złożoną z dwóch tomów: *Ikar* i *Wyspa* – wielu krytyków uważa, że to najlepsza jego książka. Rzecz jest o Antonim Berezowskim, który w 1867 podczas wystawy światowej w Paryżu usiłował zastrzelić cara Aleksandra II, chybił i został w drodze wielkiej łaski skazany nie na śmierć, lecz na dożywotnie galery. Pozostałe prawie pięćdziesiąt lat spędził w nędzy na Nowej Kaledonii, rozpaczliwie usiłując się

wydostać i szalejąc. I bohater, i czyn były niewydarzone. Książka Szczepańskiego to wielkie studium psychologiczne kontrowersyjnego, infantylnego bohatera. Ale to nie wszystko, gdyż są tu i inne wątki – losy emigrantów, problem kary itd. Rozpoznajemy tutaj i dyskurs moralny, i upodobanie do sytuacji absurdałnej, paradoksalnej, niemożliwej – Berezowski jest przecież wskrzeszonym Pereą z *Pojedyńku*. A przesłanie książki jest naturalnie uniwersalne.

Bardzo ważną problematykę moralną przynoszą opowiadania z lat siedemdziesiątych, zebrane w tomach *Rafa* i *Autograf*. Rafa koralowa to parabola trwania (u Miłosza: „Złączeni jednym węzłem dziedziczenia, spłyniemy ze świata skamieniałych ust. Aż pianę kruchą na udach z kamienia w pomnika część zamieni bystry mróz”) – są w tym tomie głównie nieco fabularyzowane eseje czy gawędy – ironiczna trwałość mebli po ludziach i sytuacjach minionych – fotele, tapczan (*Tapczan gestapowca*, *Trzy czerwone róże*). Tu także rzecz o Nikiforze – *Biskup jedzie przez morze*. Autograf zawiera utwory różnego autoramentu, głównie szydercze, a w każdym razie wyrosłe z ironii losu. Opowiadanie tytułowe dotyczy pisarza, laureata wielkiej światowej nagrody (każdy kolejny prezes ZLP jest odrobinę na ten temat trącony), umierającego w hotelu na obczyźnie. O jego śmierci zdecydowała ludzka życzliwość. Jest tu także „dramat groteskowy” – *Agencja Rubikon*, o przedsiębiorstwie zajmującym się eutanazją.

Najważniejszy jednak jest zbiór pięciu lekko fabularyzowanych esejów *Przed nieznanym trybunałem*. Mówiłem już, w wielkim co prawda uproszczeniu, o moralnej koncepcji takiego trybunału. Tutaj w jednym z opowiadań bohater, pod wpływem lektury *Lorda Jima*, wraca na zdekonspirowaną melinę i ginie (*W służbie Wielkiego Armatora*). Tu mamy też rozważania o ojcu Kolbem i Mansonie, a wszystko zamyka bardzo istotny *List do Juliana Strykowskiemu*. Wszędzie tu „tęsknota za tajemnicą, której nie da się oswoić” (co jest zresztą *idem per idem*).

W 1978 ukazuje się niewielka powieść-opowieść *Kipu*, dotycząca znanej, opisywanej parokrotnie, tajemniczej sprawy inkaskiego przekazu w polskim posiadaniu i rodzinie. Historia jest bardzo zawiła i wygląda na bardziej sensacyjną niż prawdziwą – z czego i Szczepański zdaje sobie świetnie sprawę, i co jest chyba właściwym tematem książki. Zwraca uwagę luźna, gawędowa kompozycja.

Lata osiemdziesiąte to pełna wersja *Trzech czerwonych róż*, gdzie gromadka zgromadzonych w Goszycach ludzi całą Polskę uosabia, a także słynna *Kadencja*. Jest to relacja Jana Józefa Szczepańskiego z czasów, gdy pełnił funkcję prezesa Związku Literatów Polskich. Rzecz w dalszym ciągu niesłychanie drażliwa, choć po prawdzie nieraz obserwowałem, jak koledzy, którzy stali się członkami zarządu, nagle dostrzegają Alpy tam, gdzie i Gór Kocich bądź Pieprzowych nie było. Szczepański ma w każdym razie prawo do własnego świadectwa, ale skądinąd każdy członek byłego ZLP będzie widział sprawy odrobinę czy nawet całkiem inaczej. Jest pewne, że w roku 1982 czy następnym po żadnej stronie nie było woli kompromisu. Książka Szczepańskiego jest jeszcze w miarę spokojna, choć wiele uszczypliwości – niezależnie od tego, czy prawdziwych i sprawdzonych – można było sobie darować. Jest dokumentem cennym, choć nie można jej traktować bez zastrzeżeń.

Nie dotarłem do wydanej na Zachodzie powieści *Kapitan*, napisanej przed dwudziestu laty. Z omówień wiem, że dotyczy kapitana żeglugi wielkiej, zaszczutego na skutek pomówienia, który ostatecznie ginie w wypadku samochodowym.

Wreszcie bardzo cenne utwory zawiera zbiór *Ultima thule*. Nowela tytułowa opowiada o specyficznej kolonii karnej na wyspie, w innym miejscu pojawiają się motywy fantastyczno-niesamowite, refleksja dotycząca czasu; groteskowe sprawozdanie z kongresowej, greckiej podróży. W ogóle element groteski, cały czas delikatnie obecny w twórczości Szczepańskiego, zdaje się nasilać ostatnimi laty.

Andrzej Szczypiorski mógłby być niezłym przykładem, jak iluzoryczne dla literatury i jej wędrowek są dziś podziały polityczne. Przez wiele lat wydawał przede wszystkim w „drugim obiegu”, podejmował polemiki polityczne, a jednak wcale nie zniknął z życia oficjalnego. Co

prawda zbiegło się to z jego literacką dojrzałością, z drugiej zaś strony, przeróżne połajanki prasowe nie pozwalały nigdy o nim zapomnieć. Czy on przypadkiem nie podsylał cichaczem swoim antagonistom po parę judaszowych, imperialistycznych srebrników? Byłoby to bardzo rozsądne.

Andrzej Szczypiorski (1924) należał w swoim czasie do Armii Ludowej, później był redaktorem, dziennikarzem radiowym, publicystą. Pisał nie tylko prozę, ale także słuchowiska, książki dla młodzieży, powieści kryminalne i sensacyjne. Całkiem znośne kryminały publikował pod pseudonimem Maurice S. Andrews – była taka moda angielskich pastiszy, udawali Anglików Słomczyński, Tadeusz Kwiatkowski, Iredyński. Od połowy lat siedemdziesiątych Szczypiorski więcej chyba zajmuje się polityką niż literaturą, choć może to i złudzenie, bo pisze przecież sporo.

Większość jego książek to przyzwoita literacka robota, ale parę ma naprawdę wybitnych – szczególnie *Mszę za miasto Arras* i *Początek*. Jeśli nie liczyć pomniejszych pozycji, to jego dorobek przedstawia się następująco: *Ojcowie epoki i inne opowiadania* (1955), *Z daleka i z bliska* (1957) – reportaże i felietony, *Czas przeszły* (1961), *Godzina zero* (1961), *Ucieczka Abła* (1962), *Lustra* (1963), *Za murami Sodomy* (1963), *Polowanie na lwy* (1964), *Podróż do krańca doliny* (1966), *Niedziela godzina 21<sup>10</sup>* (1968) – felietony radiowe, *Złović cień* (1966), *Msza za miasto Arras* (1971), *I ominęli Emaus* (1974), *Trzej ludzie w bardzo długiej podróży* (1980), *Z notatnika stanu wojennego* (1983), *Początek* (1986), *Z notatnika stanu rzeczy* (1986), *Amerykańska whisky* (1987), *Noc, dzień i noc* (1991).

Nazwano przed laty Szczypiorskiego „niestrudzonego męczennikiem tematu niemieckiego”, zwracano uwagę, że od czasu *Niemców* Kruczkowskiego aż po Szczypiorskiego nie było próby wielostronnej ich oceny. To prawda. Szczypiorski stara się nie demonizować, co jest bardzo trudne i przyszło nie od razu. Początkowo były to różne wariacje na temat niemieckiej winy, później próbował wyjść Szczypiorski poza nacjonalistyczne stereotypy. Myślę, że i czas po prostu zrobił swoje.

Ale zajmują go nie tylko sprawy niemieckie. W swoich dojrzałych książkach próbuje autor ukazać współzycie trzech narodów – polskiego, niemieckiego i żydowskiego. Jest to mądre i ludzkie, choć niestety zwyczajne porównanie liczby zamordowanych i ocalonych, tych, którzy mordowali i tych, którzy ocalali, wygląda smętnie.

Domeną Szczypiorskiego jest przede wszystkim psychologia. Jak to się dzieje, że człowiek staje się krzywdzicielem, fałszywym świadkiem? Jak strach, niepewność i inne uczucia mogą zawładnąć ludzką duszą? Tu także pojawia się problem stosunku do śmierci i Szczypiorski zaczyna się ocierać o metafizykę. Więc sprawy uczciwości i autentyczności wewnętrznej. W tym wszystkim widoczny jest (czy też był w pewnym okresie) wpływ egzystencjalizmu, przede wszystkim Camusa. Dodajmy, że zdarza się Szczypiorskiemu popadać w abstrakcję czy wręcz ogólnikowość, może częściowo zamierzoną. „Ktoś”, „gdzieś”, „kiedyś” – co przesuwają jego książki w stronę moralitetu.

Debiutował Szczypiorski *Ojcam i epokami* – opowiadaniem w guście swego czasu, trochę okupacyjnymi, trochę produkcyjnymi. Tytułowi „ojcowie” to lotnicy, którzy rzucili bombę na Hiroszimę. W 1957 ukazały się szkice z podróży do Francji i Austrii – Szczypiorski był jednym z nielicznych przed Październikiem, którzy nie mieli kłopotu z otrzymaniem paszportu. *Z daleka i z bliska* użala się nad nędzą gospodarczą i duchową Zachodu, polemizując z głośną książką Zygmunta Kałużyńskiego *Podróż na Zachód*. Ale pewnych zapowiedzi przyszłego rozwoju można się doszukać i tutaj.

Zawiłe paradoksy przeszłości dochodzą do głosu w powieści *Czas przeszły*. Rzecz dzieje się w 1959 roku, jedyny ocalały uczestnik nieudanego zamachu na hitlerowskiego dygnitarza zostaje posadzony o zdradę, a jedynym, który mógłby obalić fałszywe oskarżenie, jest ów ocalały niemiecki dostojnik... Już tu widać wpływ *Obcego*, tak z czasem silny. *Godzina zero* to inny wariant tej samej problematyki – Polak bawiący służbowo w Niemczech staje przed

pokusą samosądu na dawnym oprawcy – doszukiwano się tu analogii do *Wizyty starszej pani*; w każdym razie jest tu problem zemsty po latach – ale też w ogóle problem czasu ma w twórczości Szczypiorskiego bardzo istotne znaczenie. Wszystko co się dzieje, wynika z czegoś, co się działo dawniej – i ma swoje następstwa czasowe.

Tak też jest w *Ucieczce Abła*, powieści, która znowu nieco w górę podniosła akcje Szczypiorskiego. Abel to kapitan Wehrmachtu, skazany za zbrodnie wojenne przez sąd polski na dożywocie. Udaje mu się po kilkunastu latach uciec z więzienia. Rzecz w tym, że Abel – mimo klęski i procesu, mimo że zabijał – czuje się niewinny, ponieważ był tylko wykonawcą racji nadrzędnej, narodowej. Dopiero teraz dokonuje obrachunku, dopiero teraz pojmuje swą winę. Obsesja wojny i jej konsekwencji zyskała tutaj znacznie lepszy i precyzyjniejszy wyraz literacki niż w poprzednich książkach. A skądinąd utwór ten należy do tych książek, w których sytuację egzystencjalną stwarza się przez nagłe wyrwanie bohatera z dotychczasowych warunków. Taki „sam pośród miasta” był w latach sześćdziesiątych konstrukcją modną – ale też nie był dotąd niemieckim uciekinierem z więzienia.

W roku 1962 ukazuje się również krótka powieść *Lustra*, w której podejrzany o morderstwo pisarz rozmawia z dziennikarzem przygotowującym relację z procesu. A więc dwóch narratorów, dwie odmienne osobowości, problematyka moralna i psychologiczna. Ale i tutaj wracają widma okupacyjne (a także motywy autobiograficzne. Nie morderstwo wprawdzie, ale miłość do młodej żony notariusza dopisał Szczypiorski w swoich wspomnieniach). W całej okazałości obsesje wojenne wracają w powieści *Za murami Sodomy*, dziejącej się współcześnie w Niemczech (oczywiście w tych złych, zachodnich) i opartej na strukturze sensacyjnej. Policjant Kramer, cynik, prowadzi śledztwo w sprawie Joachima, który w czasie wojny został wplątany w zbrodnię. Jak we wszystkich książkach Szczypiorskiego, zakończenie nie jest całkiem precyzyjne w sensie fabularnym...

*Zabić cień* to historia piętnastolatka, który przechodzi pierwszą w swoim życiu smugę cienia – a rzecz się dzieje tuż przed wojną. Atmosfera rzeczy i spraw minionych jest tu wyraźnie obecna.

Bardzo była chwalona powieść *Podróż do krańca doliny*, w której chciał Szczypiorski zawrzeć coś w rodzaju syntezy lat powojennych. Działacz partyjny Stachura przy łóżku umierającej matki robi rozrachunek z dwudziestu lat swego życia – od chłopaka, który wstąpił ochotniczo do milicji, po dyrektora zakładów chemicznych. Problem polega na nieprzystosowaniu do nowych funkcji, nowego sposobu życia, wreszcie dochodzi do dość enigmatycznej katastrofy, w której Stachura się sprawdza ostatecznie. Jeśli się porówna to z książkami, które Szczypiorski pisze w latach osiemdziesiątych, to doprawdy wierzyć się nie chce, że to ten sam człowiek. Nie on jeden, co prawda.

Na zupełnie inne piętro trafiamy wraz z powieścią *Msza za miasto Arras*, wyróżnioną nagrodą im. Mieczysława B. Lepeckiego. Bezpośrednim impulsem do jej napisania były chyba wydarzenia marcowe, choć problematyka dotyczy totalizmu w ogóle. Książka miała być historyczna – jej akcja została umiejscowiona w XV wieku – ale jej historyczność jest mocno wątpliwa i mimo protestów autora trzeba w tej historyczności widzieć raczej kostium, zresztą dość niedbały – na przykład zajada się tu pasztet z indyka – w 1461 roku, na trzydzieści lat przed odkryciem Ameryki, skąd przecież indyki pochodzą! Wyizolowane miasto Arras jest oczywiście z *Dżumy* Camusa, a nie z XV wieku.

Jest to relacja dostojnika trochę niewiadomej proveniencji, pewnie kościelnego, przed słuchaczami w Brugii, relacja z potworności w Arras – głodu, zarazy, procesów Żydów, czarownic, heretyków, które wybuchły właściwie nie wiadomo dlaczego. Narrator jest jakby liberałem, który w obronie życia popierał fałszywe oskarżenia, ale obok niego spotkamy inne postaci modelowe – fanatyka, technokratę, humanistę heroicznego. Mniejsza o szczegóły, ważne są pytania tu stawiane. Fanatyk Albert, który wtrąca Arras w nieszczęście, zdaje się postępować jak Kaligula Camusa, mający o jakimś nauczaniu wolności poprzez terror, o

tym, że każda rzecz jest swoim imieniem etc., co pobrzmiwa też echem *Kolonii karnej* Kafki. A przy okazji mówi Szczypiorski coś rzeczywiście ważnego: „Pragnienie jedności (...) wydaje się silniejsze niż pragnienie prawdy. Bo nie z prawdy czerpiemy poczucie naszego bezpieczeństwa, ale ze wspólnoty”. Rzeczywiście celne; oczywiście, to już typowy egzystencjalizm.

Książkę można czytać na różne sposoby — jako powieść historyczną, psychologiczną, polityczną, a i filozoficzno-metafizyczną także. Coś tu z *Ciemności* Andrzejewskiego, ale i z *Opowieści o dwu miastach* Dickensa. *Msza* wychodziła od konkretów, ale udało jej się znacznie przerosnąć swój punkt wyjścia.

Dwie następne książki Szczypiorskiego przyjąłem z mniejszym entuzjazmem, choć ambicje autora są wyraźne. *I ominęli Emaus* to studium śmierci, coś w rodzaju śledztwa w sprawie niepojętego samobójstwa. Szuka się nadzwyczajnych przyczyn, których po prostu nie ma. Jest natomiast epizod z Chrystusem na przecince leśnej koło wioski Emaus, a jak kto chce, może i całą książkę odczytać symbolicznie – dokopie się i diabła kulawego, i grzesznej Magdaleny, lecz z tego wszystkiego nic jasnego nie wynika.

W abstrakcjach nurza się powieść *Trzej ludzie w bardzo długiej podróży* – ci ludzie to stary i młody pasażer tudzież terrorysta, który porwał samolot, którym właśnie podróżują. I też dałoby się rozumieć te postaci moralitetowo. Przy okazji pojawiają się reminiscencje wojenno-okupacyjne, tak drogie sercu Szczypiorskiego. Książkę zresztą czyta się nieźle, daleko odeszliśmy od początków.

Zabrzmzi to może paradoksalnie, ale stan wojenny i internowanie to było właśnie to, czego potrzebował Szczypiorski-pisarz. W obu „notatnikach” – „stanu wojennego” i „stanu rzeczy” – potrafił zareagować na rzeczywistość mądrze, bez nienawiści i zacierzewienia. Jest oczywiście przeciwnikiem tego wszystkiego, w czym uczestniczy, ale taki przeciwnik – umiejący sprawiedliwie wyważyć racje – jest chyba więcej dla rozumnej władzy wart niż legion urzędowych chwalców. Nie będziemy jednak brnąć w politykę; w ostatnich latach i bez odwołania się do niej napisał Szczypiorski swoje najlepsze książki.

Nade wszystko *Początek* – o Żydach, Niemcach i Polakach, którzy podczas okupacji wchodzili z sobą w przedziwne relacje. Później zaś – jeśli przeżyli – mieli losy takie lub inne, spotykali się jeszcze, bądź nie, wędrowali po świecie lub siedzieli na miejscu. Krawiec Kujawski, sędzia Romnicki, Artur Hirschfeld, który bez reszty stał się Władysławem Gruszekim, i Marysia Wiewióra, która stała się Miriam Wewer, esesman Stuckler i przyjacielski Niemiec Müller, szmalcownik Piękny Lolo i „pozytywny” bandyta Suchowiak – wszyscy poza stereotypem, w niebanalnych sytuacjach, w interesujących rozmowach. Poprawne stosunki między ludźmi, świat nadal okrutny, ale jakby z cieniem uśmiechu. Misternie splecione wątki koncentrują się w Warszawie, ale prowadzą na cały świat. Szczypiorski niczego nie ukrywa – jest i pamiętna karuzela, ale i Żyd – współpracownik gestapo. Przeciw schematom, nacjonalizmowi i okrucieństwu napisał Szczypiorski książkę rzeczywiście bardzo piękną i bardzo mądrą. Dodajmy, że natychmiast przełożona na niemiecki, stała się w Niemczech bestsellerem, ale jej światowa kariera na tym się nie kończy.

Podobna atmosfera owiewa opowiadania zebrane w tomie *Amerykańska whisky*, obejmującą czas od śmierci Piłsudskiego po internowanie. Trochę sentymentalne, bardziej jeszcze melancholijne, niekiedy groteskowe. I w *Początku*, i w *Whisky* Szczypiorski często doprowadza losy ludzkie aż do kresu, co stwarza jakiś szczególny, niepowtarzalny nastrój, bo jednak autor daje nam do zrozumienia, że przecież wszystko miało sens i kres niekoniecznie jest kresem. Jakkolwiek sprawy się potoczą dalej, Szczypiorski od dość przeciętnych początków doszedł do miejsca uwagi i szacunku godnego.

Obsesje okupacyjne nie są udziałem tylko Szczypiorskiego, właściwie odnajdziemy je u wszystkich pisarzy jego pokolenia. Takie czy inne refleksy wojny stały się tematem książek chyba na trwałe już osadzonych w literaturze, i to nie tylko polskiej. Oczywiście, istnieje tak-

że mnóstwo pamiętników, relacji dziennikarskich, dokumentów, których nawet nie próbuję wyliczyć – są ich setki, a raczej nawet tysiące, bo nie wszystkie jeszcze zostały opublikowane. Niektóre jednak z tych prac paraliterackich mają tak wielką doniosłość, że należy się im miejsce w mojej książce.

Na pierwszym miejscu postawiłbym niesłychaną książkę Kazimierza Moczarskiego (1907-1975) *Rozmowy z katem* (1977). Jest to w jakiejś mierze rzecz autotematyczna, gdyż opowiada o dziejach swoich narodzin, a okoliczności, w jakich powstała, zakrawając na makabryczną groteskę, w dużej mierze decydują o jej walorach i wyjątkowości. Autor, prawnik i dziennikarz, był w czasie wojny akowskim oficerem wywiadu, po wojnie zaś został aresztowany. Oskarżony o wszelkie możliwe zbrodnie – ze współpracą z Niemcami na pierwszym miejscu – został skazany na śmierć. W 1949 roku umieszczono go w celi razem z hitlerowskim generałem Jürgenem Stroopem, zbrodniarzem oczekującym również na wykonanie ostatecznego wyroku. A więc dwaj śmiertelni wrogowie przesiedzieli dziewięć miesięcy razem – grymas losu czy – konkretniej – złośliwa przewrotność śledczych doprowadziły więc do sytuacji paradoksalnej, wyjątkowej na skalę światową.

Moczarski wykorzystał sytuację i skłonił Stroopa do obszernej relacji z jego życia. Było o czym mówić, gdyż opowieść objęła esesmańską karierę Stroopa u początków faszyzmu, jego „działalność” w Wielkopolsce, stłumienie powstania w getcie, pacyfikację w Grecji, zabójstwo lotników amerykańskich itd. Stroop nie miał już nic do stracenia i pozwolił sobie na szczerść, od której zimno się robi. Oczywiście, na pierwszym miejscu należy wymienić getto, koszmar wcielony.

Szczególną cechą tej relacji jest to, że Stroop jest nadal przekonany faszystą, nie ma wyrzutów sumienia, nie bije się w piersi. Zachowuje się może nie po ludzku, ale na pewno po męsku. Jest to wielkie studium duchowego spustoszenia, jakie może w człowieku poczynić głęboka wiara w ideę i posłuszeństwo wobec rozkazodawców.

Książka ma więc dwie płaszczyzny, okupacyjną i aktualną, więzienną, jest koszmarem i groteską zarazem. Rzeczywiście, w tej powściągliwej na ogół relacji błąka się jakiś zapaszek piekielnej siarki, tak charakterystyczny dla obozowych opowieści Borowskiego czy Herlinga-Grudzińskiego. Zestawiano ją też nie bez racji z autobiografią Rudolfa Hössa, komendanta Oświęcimia.

Wśród utworów literackich na tematy faszystowsko-niemieckie – Kruczkowskiego, Kuśniewicza, J. J. Szczepańskiego, Szczypiorskiego, Kąkolewskiego, Grochowiaka, Kazimierza Brandysa *Wywiadu z Ballmayerem* – ten jest zdecydowanie najbardziej niesamowity – a to za sprawą więziennej intymności kata i jego wroga. Trudniej określić gatunek literacki książki – pamiętnik, dialog, opowieść, wywiad, seans psychoanalityczny czy powieść – bo i takie określenie padło. W każdym razie ta wyjątkowa książka zrobiła już karierę światową, od Moskwy po Tokio, od Sztokholmu po Madryt. Skądinąd okazała się niezwykle teatralna i posłużyła za podstawę do licznych i wybitnych spektakli. *Rozmowy z katem* Moczarskiego z trudem i nie od razu zostały wydane. Początkowo drukowano tę książkę odcinkami w „Odrze”, natomiast wydawnictwa zapewne po prostu się bały jej szokującej wymowy; na druk zdecydował się ostatecznie Państwowy Instytut Wydawniczy, którego dyrektorem był wówczas Andrzej Wasilewski. Ale sam Moczarski już tego nie doczekał.

W tym samym roku 1977 ukazała się w Krakowie książka nie mniej słynna i poruszająca – *Zdażyć przed Panem Bogiem* Hanny Krall (1937), dziennikarki. Jest to jakby wywiad z jedynym żyjącym członkiem dowództwa w getcie warszawskim, lekarzem Markiem Edelmannem. Spotkanie z nim przebiega na dwóch płaszczyznach, współczesnej i historycznej. Marek Edelman jest kardiochirurgiem i jego zadaniem jest walka o ludzkie życie, ów tytułowy wyścig z Panem Bogiem, który jest tu jakby uosobieniem niezbyt życzliwego ludziom losu. A może inaczej? Może to raczej refleks tej swoistej poufałości w obcowaniu z Bogiem, tak cha

rakterystycznej dla literatury żydowskiej, dla żydowskiego folkloru? Kiedyś Edelman na strasznej pamięci słynnym Umschlagplatzu starał się wyciągać ludzi z transportów do Treblinki, jako lekarz robi dziś coś podobnego.

„Pan Bóg już chce zgasić świeczkę, a ja muszę szybko osłonić płomień, wykorzystując Jego chwilową nieuwagę. Niech się pali choć trochę dłużej, niż On by sobie życzył.

To jest ważne: On nie jest za bardzo sprawiedliwy. To jest również przyjemne, bo jeśli się coś uda – to bądź co bądź Jego wywiódło się w pole...

– Wyścig z Panem Bogiem? Cóż to za pycha!

– Wiesz, kiedy człowiek odprowadza innych ludzi do wagonów, to może mieć z Nim później parę spraw do załatwienia. A wszyscy przechodzili koło mnie, bo stałem przy bramie od pierwszego do ostatniego dnia. Wszyscy, czterysta tysięcy ludzi przeszło koło mnie.

Oczywiście, każde życie kończy się i tak tym samym, ale chodzi o odroczenie wyroku, o osiem, dziesięć, piętnaście lat. To wcale nie jest mało. Kiedy córka Tenenbaumowej przeżyła dzięki numerkowi trzy miesiące, zdążyła się dowiedzieć, czym jest miłość. A dziewczynki, które leczylimy na stenozę i na zastawki, zdążyły dorosnąć i kochać się, i urodzić dzieci, więc o ileż więcej zdążyły niż córka Tenenbaumowej.”

Sama relacja z getta jest bardziej niż powściągliwa. Co więcej, Edelman rozprasza mity, jest programowo antybohaterski. A więc komendant getta, Anielewicz, nie był człowiekiem ze spiżu, a więc bojowców było niewielu, a więc trzeba było podejmować decyzje nieludzkie – i tak dalej, i dalej. Ale właśnie dzięki tej skromności i zwyczajności oraz antybohaterstwu relacja Edelmana robi tak wielkie wrażenie. Jest tu i delikatna ironia, i nieco sarkazmu w stosunku do tych, którzy chcieliby tu widzieć same sytuacje pomnikowe.

Krall wyraźnie zostawia szwy w swoich relacjach, wyraźnie pokazuje, jak ona to konstruuje – jeszcze wyraźniej robi to w innych książkach. Ale *Zdażyć przed Panem Bogiem* stało się książką niepowtarzalną i zrobiło światową karierę.

Nie był to debiut Krallówny. Już w 1972 ukazały się reportaże *Na wschód od Arbatu* – autorka była w swoim czasie korespondentką w Moskwie, w 1978 ukazał się wybór reportaży *Sześć odcieni bieli*, a w 1985 powieść *Sublokatorka*. Rok 1987 przyniósł powieść *Okna*. Obie są dość zawile, o wyraźnie skonstruowanej płaszczyźnie autora i płaszczyźnie bohatera, tak więc i tutaj spleciała Krallówna dań tendencjom autotematycznym. To takie docieranie do rzeczywistości przez podkreślanie sztuczności konstrukcji. A obok tego postaci rzeczywiste, wymienione po imieniu i nazwisku. *Sublokatorka* to i próba konstrukcji fikcyjnej genealogii, i niewielki skrót ostatnich kilkudziesięciu lat, od wojny po stan wojenny, getto, procesy lat czterdziestych i tak dalej. *Okna* to także mieszanina postaci rzeczywistych i wymyślonych, główną bohaterką jest fotograficzka Celina, a *Okna* to tytuł skradzionego jej fotogramu – tu przypomina się *Powiększenie*, film Antonioniego. Obok tego autentyczny wątek dotyczący życia Barbary Sadowskiej – rzecz dzieje się w 1984 – także Edelman, reminiscencje z getta, motywy medyczne. Obie książki na pograniczu rozpadu fabuły, komponowane raczej przez kontrapunkt motywów.

Wreszcie trzeba tu wspomnieć o książce zupełnie już nie literackiej z pozoru, ale dla literatury – nie mówiąc już o historii – przedstawiającej wartość niepoślednią – idzie mi o *1859 dni Warszawy* (1974) Władysława Bartoszewskiego. Autor (1922) wcześniej trafił do Oświęcimia, a po wydostaniu się stamtąd brał bardzo czynny udział w walce podziemnej, między innymi w słynnej „Żegocie”, skąd jego znakomita znajomość problematyki żydowskiej. Walczył też w powstaniu warszawskim. Po wojnie był przez sześć lat więziony, później pisał i zajmował się dokumentalistyką. Drukował w „Stolicy” i „Tygodniku Powszechnym”, wykładał na KUL-u. Jest autorem książek i opracowań dotyczących okupacji i martyrologii. Wiele z nich przełożono na inne języki, nagradzając Bartoszewskiego ważnymi nagrodami światowymi.



Wśród najświetniejszych jego książek trzeba wymienić *Warszawski pierścień śmierci* (1967) i *Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939-1944* (1967) – razem z Zofią Lewinówną zebrane i opracowane wspomnienia i relacje, których jest bodaj dwieście pięćdziesiąt. Ale jego największym dziełem jest owe *1859 dni Warszawy*. Bardzo rzeczowa, niemal oschła kronika życia, walki i cierpienia miasta – od września 1939 po październik 1944 – robi wstrząsające wrażenie właśnie dzięki rzeczowości i ogromowi zgromadzonych faktów. Zapewne właśnie skala przedsięwzięcia zapewniła Bartoszewskiemu tak wielki respekt i gorące przyjęcie czytelników. Ale przy tematach i cierpieniach tej miary może właśnie rzeczowa i nie komentowana relacja ma największą siłę oddziaływania – i to literacką także.

Zmora przeszłości, przeszłości obozowej nie chce odstąpić Zofii Posmysz (1923). W Oświęcimiu, a potem w Ravensbrück przebywała od 1942 do 1945 roku. Potem związała się z radiem. Razem z Andrzejem Mularczykiem i Władysławem Milczarkiem jest współautorką głośnej powieści radiowej *W Jezioranach*. Mało wiem o tym dziele, chociaż kiedyś u fryzjera musiałem wysłuchać prawie pół odcinka, jednak podobno cieszy się to popularnością ogromną. Trzeba przyznać, że Posmysz jest rzeczywiście dobrą autorką słuchowisk i widowisk telewizyjnych – dodajmy, że zostały one zebrane w tomie *Miejsce na ścianie* (1977). Ciekawe jest i to, że parokrotnie służyły autorce za punkt wyjścia dla bardzo interesującej prozy – tak właśnie było ze słynną *Pasażerką*. A jednym z zasadniczych impulsów jej twórczości była, obok obozowego szoku, praca dziennikarska w radiowym dziale reportażu. Zasadniczą domeną jej twórczości jest psychologia i przez ten właśnie filtr przepuszcza zarówno tematy współczesne, jak i odległe. Musiało też upłynąć kilkanaście lat, zanim po raz pierwszy wróciła w powieści do obozowego świata. Jej książki obozowe są najbardziej znane.

Ważniejsze utwory Zofii Posmysz to: *Pasażerka* (1962), *Przystanek w lesie* (1965), *Wakacje nad Adriatykiem* (1970), *Mikroklimat* (1975), *Drzewo do drzewa podobne* (1977), *Cena* (1978), *Człowiek spod kaloryfera* (1980), *Ten sam doktor M.* (1982). (Wtrąćmy, że są kłopoty z odmianą jej nazwiska. W pełnym brzmieniu to Posmysz-Piasecka, była bowiem żoną literata i radiowca, niestety, nieżyjącego już Jana Piaseckiego, o którym pisałem wcześniej. Ale tak się nigdy nie podpisuje. „Posmyszówna” nie – bo nie panna. W środowisku bywa „Posmyszka”, można by też mówić po prostu Zosia – ale przecież nie wypada).

*Pasażerka*, książka światowej sławy, powstawała etapami. Najpierw było słuchowisko, potem scenariusz telewizyjny, później nowela filmowa i wreszcie powieść. Z noweli powstał scenariusz filmu, nakręconego w 1963 przez Andrzeja Munka, nie skończonego z powodu śmierci reżysera, a było to jedno z jego najwybitniejszych dzieł. Sama książka przeżyła jeszcze przeróbkę sceniczną, a na ostatku i operową. Miała też mnóstwo przekładów, a w Związku Radzieckim zrobiła Zofii Posmysz taką reklamę, że odtąd stała się tam jedną z najchętniej czytanych autorek polskich, czego na przykład Putrament nie mógł nigdy przeboleć. Atoli kolejną książkę tłumaczył na ukraiński Jurij Popsujko – a takie nazwisko nie jest najlepszą rekomendacją dla tłumacza. Zanim jednak do tego doszło, gospodarka ZSRR pracowała wyjątkowo na honoraria dla Zofii Posmysz, skąd kryzys, a potem pieriestrojka.

*Pasażerka* ukazuje kryzys duchowo-mażeński. Szczęśliwa para niemiecka – on przed laty, by uniknąć wcielenia do SS, wstąpił do Wehrmachtu – spotyka na statku tajemniczą kobietę – zapewne była więźniarką. Przy tej okazji dopiero wychodzi na jaw, że żona Niemca to była esesmanka. Znosi się na rozwód, ale ostatecznie mąż dochodzi do wniosku, że i on bez winy nie jest. Bardzo to kunsztowne psychologicznie, naturalnie cała akcja jest bardziej złożona. Wszystko to prowadzi do uznania winy Niemiec *in toto*, niestety, w bardzo uproszczonej wykładni lat sześćdziesiątych.

Wszystko to nietypowe: i sama esesmanka akurat nie najgorsza, i więźniarka uprzywilejowana, i Niemiec właściwie antyfaszysta – tak będzie i w następnych utworach Zofii Posmysz na ten temat. Najsilniejszą stroną jest konstrukcja książki i psychologia. Ciekawe: na

stępne utwory będą zdecydowanie lepsze, żaden jednak nie przewyższy *Pasażerki* popularnością. Posmysz po prostu trafiła tutaj „w punkt” – i tak już zostało.

Następna książka, *Przystanek w lesie* (1965), to opowiadania, ściślej – jedna mikropowieść i trzy nowele. Mikropowieść *Szczęście pani Janiny* przedstawia nauczycielkę wiejską, po części „siłaczkę”, i jej miłość do wychowanka. Utwór stał się podstawą niezbyt fortunnego filmu *Cierpkie głogi*. Poza tym tematy przedwojenno-kolejarskie, parcelacja ziemi, sitwa w biurze konstrukcyjnym – Posmysz twierdzi, że wszystko to wyrosło z jej reporterskich wędrówek. W każdym razie istotny jest tu motyw gorzkiego zwycięstwa, no i stabilizuje się konstrukcja, polegająca na wpleceniu opowiadania z przeszłości – tak więc formuje się para: słuchacz i narrator, a poza tym nieodzowne dla Posmysz dwie warstwy czasu.

Odnajdziemy je także w *Wakacjach nad Adriatykiem*, osnutych wokół wspomnień o obozowej przyjaźni dwóch więźniarek, starszej i młodszej, kruchej skrzypaczki „Ptaszki”, która jednak przełoży heroizm moralny nad ocalenie fizyczne. Co nieco tu aury miłości lesbijskiej, ale to już i w *Pasażerce* było, i gdzieś tam jeszcze się znajdzie, ale autorka bardzo cienkiego piórka tu używa. Zresztą i obóz nie jest całkiem konkretny, ale wystylizowany ni to na *Kolonie* Kafki, ni to na mitologię germańską. „Kolonie” właśnie się nazywa, esesmanki zaś są „Rycerzami”.

Bardzo ciekawy jest *Mikroklimat*, niby dziennik, zapis dwudziestu czterech dni, spędzonych przez bohaterkę nad Narewką, w rolniczym ośrodku nasienneo-doświadczalnym, w którym właśnie nastąpiła zupełnie fatalna klęska z nieudanym szpinakiem. O tym szpinaku rzekomo przez trzy tygodnie powstaje praca doktorska – oj Zosiu, Zosiu... Jest tu małe, splecione środowisko i jego problemy, jest romans i wspominki o nieudanym małżeństwie narratorki Moniki. Ładnie to napisane, sam mikroklimat trzeba rozumieć i dosłownie, i przenośnie, główna scena miłosna dzieje się pod wanną (nie wykafelkowaną). Bohaterka wyraża też pogląd, że spodnie do miłości mężczyzna powinien w zasadzie zdejmować, ale i one dają się przecierpieć.

*Cena* to trochę zaskakujące nawiązanie do nurtu wiejskiego, zwłaszcza w wydaniu Juliana Kawalca. Bohaterka, lekarka, inteligentka w pierwszym pokoleniu, obsesyjnie nienawidzi wsi, zatruwa życie mężowi i synowi, którzy ostatecznie od niej odchodzą, syn nawet wraca na wieś. Pani doktor przypomina Barbarę Dąbrowskiej, a bardziej jeszcze Różę Kuncewiczowej. Poznajemy ją poprzez trzy relacje – męża, syna i jej własną przede wszystkim; trzeba dodać, że wreszcie trafi do szpitala psychiatrycznego. I nie jest już *alter ego* autorki (chyba?), ale tego nigdy do końca nie wiadomo.

Mikropowieści *Drzewo do drzewa podobne* i *Człowiek spod kaloryfera* to adaptacje prozatorskie wcześniejszych słuchowisk na tematy psychologiczne, współczesne, natomiast *Ten sam doktor M.* (1982) to trzy opowiadania, sięgające w przeszłość więziennie-obozową. Nowela tytułowa opowiada o niedoszłym do skutku spotkaniu po latach z dwukrotnie przez doktora M. ocaloną w obozie byłą więźniarką. Tyle że on już całej sprawy w ogóle nie pamięta... Zofia Posmysz podobno zapowiedziała, że do tematyki obozowej już nie wróci. Wątpię, nie ma nic trwalszego niż przeszłość.

Będziemy w każdym razie mieli wspomnienia z Arizony, gdzie Zofia Posmysz była gościem przyjaciółki z obozu i gdzie swoje zainteresowania rolnictwem poparła skrupulatnymi badaniami nad destylatem kukurydzy, tzw. burbonem. Płatki z kukurydzy zaś kojarzą się (choć burbona z płatków się nie robi) ze strzępami obrazków świętych polskich. A jak to z tym było – opowiem. Otóż wspominałem już, że reporterka włoska Oriana Fallaci mieszkając czas jakiś u Piaseckich zniosła jakoś nalewki gospodarza. Lecz uzyskawszy wywiady od Lecha W., nawet samego Daniela Passenta, chciała jeszcze naciągnąć księdza J. G. Ale ten okazał się twardy. Zamiast wywiadu przekazał przez sekretarza błogosławieństwo, dołączając doń poświęcone obrazki świętych polskich. Oriana F., wyproszona w ten sposób z Miodowej, wróciła do Piaseckich, gdzie podarła w drobny mak świętą Jadwigę razem ze świętym Jac-

kiem, Jolantą i Janem z Dukli, klnąc przy tym szpetnie, po włosku. Te strzępy Świętych Pańskich kiedyś tam w twórczości Zosi wypłyną. (Co prawda ona twierdzi, że to wcale nie tak było, że wszystko pokręciłem. Może).

Obsesja przeszłości nie chce również opuścić Lesława M. Bartelskiego (1920), dokładniej – obsesja okupacji i powstania warszawskiego. Poznaliśmy już wcześniej jego poezję, działalność w „SiN”-ie i poczynania powojenne. Wiemy, że rozpierany żądzą władzy i bogactwa, zaczął działać w milicji, cegielnictwie i piekarstwie i że rychło zrozumiał, iż w państwie zwyckiego proletariatu trzeba być proletariuszem. Dlatego chwycił za pióro.

Opuszczając rejony katastroficznej poezji twórczość Bartelskiego popłynęła kilkoma nurtami i trudno rzec, który okazał się najważniejszy. Przyznam, że z czysto praktycznego punktu widzenia najistotniejsze dla mnie pozostały literackie prace dokumentacyjne. Nade wszystko zaś słownik *Polscy pisarze współcześni* (1970), kilkakrotnie wznawiany, chwalony i krytykowany. Istotnie, kompletny nie jest. Są w nim luki – z racji politycznych, a także formalnych. To prawda, ale czy ktoś zrobił lepszy? (Bardzo cenny słownik Włodzimierza Maciąga jest jeszcze szczuplejszy). Przecież nawet ta moja książka byłaby stokroć trudniejsza do zrobienia, gdyby nie było bodaj wstępnego, bibliograficznego zarysu. Ale to tylko drobna część dorobku Bartelskiego. O samej literaturze napisał znacznie więcej, szczególnie o dorobku pokolenia okupacyjno-powstańczego. Ale nie tylko. Jest też bowiem autorem ważnych opracowań, dotyczących militarnych dziejów powstania – są to bodaj najpoczytniejsze jego książki. Uprawia publicystykę, zapędził się także na teren dramatu, ale, oczywiście, pierwsze miejsce zajmuje proza. Dość długo jednak trwało, zanim w tej dziedzinie zyskał Bartelski prawdziwe uznanie. Jego książki, z niewielkimi odstępstwami, obracały się w sferach autobiograficznych i miały mówić o pokoleniu Bartelskiego. W istocie jednak ciągle więcej miał do powiedzenia w książkach eseistycznych. Dopiero po latach trafił na formułę, która przyniosła mu sukces rzeczywisty – było to coś w rodzaju trawestacji biograficznej.

Jego proza układa się w cykle. Bartelski nakreśla sobie świat, krąg bohaterów i dopiero wówczas czuje się swojsko. A wtedy nie porzuca już łatwo owego kręgu, ale raczej wraca do niego w następnych książkach. Zresztą w rejonach niebeletrystycznych jest podobnie. Przy tym nie zawsze łatwo powiedzieć, co jest dokumentem, a co fabułą; choćby w opowieściach autobiograficznych czy w książce o Mickiewiczu. Co prawda poczucie osobistego udziału jest we wszystkich bodaj książkach Bartelskiego obecne – czy to pisze o Mokotowie, czy o Bułgarii – co więcej, jest to element cenny i bardzo dobry literacko. Bodaj właśnie ów ton osobisty zapewnił tak duże powodzenie *Genealogii ocalonych*. Ale w sumie jest to dorobek bardzo znaczny i złożony, nawet bibliografia jest zawila, bo np. trzeci tom *Krwawych skrzydeł* jest zupełnie osobną książką. Na ogół łączą się w jego twórczości skłonność do faktografii i nuta osobista.

Do królestwa prozy wszedł Bartelski przez bramę socrealizmu. W 1951 roku ukazała się jego pierwsza powieść *Ludzie zza rzeki* i spodobał się raczej „czynnikom” niż czytelnikom, uzyskała w krótkim czasie kilka wydań. Rzeczywiście miała w komplecie całe schematystyczne wyposażenie. Lichniak określił ją nawet jako „beletrystyczne kompendium wiedzy o przebiegu walki klasowej na wsi w okolicach roku 1948”. Faktycznie, już od pierwszej chwili jego bohaterowie tak ze sobą rozmawiają, jakby się mieli zaraz rzucić na siebie. Rzecz przedstawia wieś koło Pułtuska, w której toczy się właśnie „walka biedoty chłopskiej o wspólny siew”. Znajomość spraw wiejskich Bartelskiego jest mniej więcej taka, że odróżnia żytniówkę od wyborowej, ale żyta od kartofla to już chyba nie. Ale nie o to szło przecież. Bohaterami są dwaj sekretarze, mamy tu pozytywnych biedniaków, wahających się średniaków, złowrogich kułaków. Mamy też sojusz robotniczo-chłopski i wszystko co trzeba. Najpiękniejszy jest wstrętny i odrażający w każdym calu kułak Nieszpór. Czy to mówiąc, czy stojąc (naturalnie „rozkraczony”), czy jedząc „chciwie żuł mlaskając głośno. Po brodzie ściekał mu seledynowy sok, osadzając na podbródku białą jak paznokieć pestkę”. Ciekawe, że odpomina się tu Kaden, jak zobaczymy, nie przypadkiem.

Po tym, nieco dwuznacznym, sukcesie spróbował Bartelski sił w dramacie, osiągając równie „słuszne” efekty. Tym razem także były to zawilości prowincjonalne, z nieco sympatyczniejszym przedstawicielem świata wyzysku. Dość pokiełbaszony romans w dramacie *Pierwsza miłość* lub *Nim słońce wszędzie obieży* liczne sceny. Bartelski tu i tam dowiódł sprawności literackiej i proletariackiej czujności. Czasy jednak powoli się odmieniały.

Był więc zbiór nowel autobiograficznych – *Miejsce urodzenia* (1953) – od dzieciństwa warszawskiego poczynając, poprzez okupację i okres powojenny. Ostatecznie Bartelski był i pozostał warszawiakiem w każdym calu. Raz w dzieciństwie wywieźli go rodzice, myślę, że za karę, hen, aż pod Nieporęt, gdzie tak się przeraził indora, że potem długo jeszcze tracił się zupełnie, kiedy ktoś na niego zagulgotał na czerwono. W każdym razie najzupełniej już dobre i czytelne do dzisiaj są opowiadania zebrane w *Jonaszu* (1956) – trochę kpiarskie, odrobinę sentymentalne, oparte także na motywach autobiograficznych. (Na przykład *Koniec kariery* przynosi nam relacje z chwalebnej Bartelskiego służby milicyjnej). Grzmoty historii naturalnie dobiegają tu słabiej, ale to i dobrze.

Niedługo potem rozpoczyna Bartelski swój pierwszy wielki cykl generacyjny – z pewnością przynoszący jakieś elementy polemiki z Bratnym, choć przecież z konieczności nieco podobny w konstatacjach. Składają się nań: *Pejzaż dwukrotny* (1958), *Wieniec* (1962) i *Wodorosty* (1964). Pejzaż został i przez czytelników, i przez krytykę przyjęty serio. Są to dwa wizerunki Warszawy, tak jak ją ogląda podchorąży Nurt, który wędruje po zburzonej stolicy i wspomina powstańcze walki, oczywiście od najrodzinniejszego Bartelskiego Mokotowa poczynając. W popowstaniowym szoku przeżywa ten „pejzaż dwukrotny”, od pierwszej, bardzo dobrej sceny koncentracji poczynając. Zwrócono uwagę, że Bartelski był bodaj jedynym, a w każdym razie pierwszym, który wspominał, że przez pierwsze dni powstania padało. Nurt uczestniczy w ekshumacji grobu Przyjaciela, spotyka jego dziewczynę etc. Świat roztrzaskany i rodzący się powoli świat nowy – ta książka to jego wspomnienia, reminiscencje, refleksje i uczucia, a także zderzenia z nową rzeczywistością. Jeszcze inna wersja akowskiego pokolenia, zestawiana i z *Kolumbami*, i z *Popiołem i diamentem*. Bartelski rzeczywiście potrafił to pokazać inaczej.

*Wieniec* nie jest może bezpośrednią kontynuacją *Pejzażu dwukrotnego*, ale łączy się z nim tą samą trupą bohaterów. Postać numer jeden, kapitan od Berlinga Jerzy Bednar omal nie zginął, jako komunista, już poprzednio. A rzecz na tym polega, że Bednar znalazł się u Berlinga przypadkiem, po prostu nie zdążywszy do Andersa. Po powrocie do kraju znajduje się w sytuacji dwuznaczej, jest zresztą tym, co widzi, zwyczajnie przerażony. W końcu znajduje ratunek w pracy pozytywnej: odbudowuje most Poniatowskiego – oczywiście jest to przesłanie. Ta druga część grzeszy, niestety, nadmiarem publicystyki.

Trzecią wreszcie częścią tego cyklu są *Wodorosty*, książka o dalszych dziejach pokolenia, już w latach 1956-1960. Kompozycja nieco zawila, dwuczęściowa, przy czym część pierwsza to pamiętnik, a druga – śledztwo w sprawie morderstwa, o tyle szczególne, że znajdują się dwie dobrowolne kandydatki na morderczynię. Zasadniczym problemem jest tu stosunek byłych powstańców do następnego pokolenia. Przyznam, że książka wydała mi się odrobinę dziwna, chociaż żenienie wątku sensacyjnego z poważną problematyką to przecież od dawna stosowana praktyka. A Bartelski był już autorem kryminalno-austriackiej *Drogi na Glockner* (1959), nie mówiąc o tym, że jeszcze wcześniej własnoręcznie spalił Marcysia (w *Ludziach zza rzeki*). Elementy sensacyjne zawiera także jego powieść dla dzieci *Złota Mahmudia* (1962), zekranizowana później przez Kazimierza Tarnasa.

*Mahmudią* zaczęła się bułgarska przygoda Bartelskiego. Zauważył w tym kraju pamiątki po Warneńcyku i Mickiewiczu, uznał, że i on także zapracuje na bułgarski pomnik. Poza *Mahmudią* wynikał z tego *Jeździec z Madary* (1963) – bardzo ładnie i ciekawie napisana książka o dziejach i kulturze, a także pejzażu Bułgarii, po prawdzie jeden z poczytniejszych utworów Bartelskiego. Do tego cyklu należy też *Mickiewicz na Wschodzie* (1966) – z pod-

tytułem *Opowieść dokumentarna o ostatnich latach życia Adama Mickiewicza*. Ale właśnie dokumentaryzm tej książki krytyka kwestionowała.

Znacznie lepsza i ważniejsza jest *Luna* (1956) – opowieść z roku 1863, oparta na historii bitwy pod Węgrowem. Ale nie o batalistykę tu idzie. Najważniejsze są wzajemne relacje powstańców i ich ojców, sprawy wierności i zdrady, które dotyczą także środowiska Rosjan. Wszystko to na tle ogólnym, w kontekście pytania o sens samego powstania. I tu możemy się domyślać, że mimo materii historycznej Bartelskiemu także o inne, bardziej współczesne powstanie chodziło. Jest to w jakimś stopniu parabola.

Sprawy powstania warszawskiego powracają bezpośrednio w *Dialogu z cieniem* (1968). Co prawda z tą bezpośredniością sprawa nie jest taka oczywista. Bartelski z reguły wykorzystuje dwie płaszczyzny czasowe, współczesną i historyczną, tak więc powstanie jest ukazane we wspomnieniu, przełamane w świadomości. Idzie już nie o powstanie, a o świadomość, o ideę powstania. Bartelski, podobnie jak i inni twórcy tego pokolenia, interesuje się bardziej konsekwencjami niż rzeczą samą – ale to także brzmiałoby niesprawiedliwie, gdybyśmy nie pamiętali, że mowa o autorze monografii *Mokotowa 1944* i innych książek, bezpośrednio mówiących o historii tamtych dni.

W *Dialogu* matematyk Mikołaj Winiarski odwiedza Londyn, tu spotyka sobowtóra łączniczki, która zginęła w powstaniu, snuje wspomnienia o żywych i umarłych, przywołuje Colasa Breugnon, co mi się wydaje efektowne, lecz mało precyzyjne. Natomiast bardzo ładnie i tutaj, i w innych książkach z tego okresu przedstawia się warsztat opisowy. Zresztą warto porównać, jak się te sprawy przedstawiają w *Niedzieli bez dzwonów* (1973), „opowiadaniach autentycznych” z różnych epok życia autora, pośród epizodów, wydarzeń, podróży, gdzie styl jest i mniej wypracowany, i bardziej zróżnicowany, od bezpośredniości po pewne namaszczenie.

Ale w obliczu *Krwawych skrzydeł* prawie wszystko, co przedtem Lesław Bartelski napisał, wydaje się niemal tylko przygrywką. Bo *Krwawe skrzydła* są książką znakomitą. Jest to znowu jakby początek cyklu. Pierwsze dwa tomy ukazują się w 1975, ciąg dalszy – w takim mniej więcej stosunku do *Skrzydeł* jak *Wieniec* do *Pejzażu dwukrotnego – Rajski ogród* w 1978, a trzeci tom *Krwawych skrzydeł*, w istocie całkiem osobna książka, w 1987. O sukcesie *Krwawych skrzydeł* zdecydował trafny wybór tematu i formuły literackiej. I to coś nieuchwytnego, co sprawia, że książka pisarzowi „wychodzi”.

Kiedy tak czytam od kilku lat systematycznie całą lub prawie całą literaturę współczesną, to jedno przynajmniej wydaje mi się pewne: nieporównywalny z niczym, szeroki wpływ Juliusza Kadena-Bandrowskiego na prozę polską, na polskie myślenie literackie. To on – a nie Żeromski, Prus, Sienkiewicz, Iwaszkiewicz, Dąbrowska, Strug czy Nałkowska – jest tym źródłem, z którego czerpią kolejne pokolenia prozaików, to jego formuły są najbliższe naszemu odczuwaniu świata. A więc książka o nim to coś więcej niż relacja historyczna, to także klucz do mentalności współczesnej. Tak rozumując – lub inaczej – Bartelski uczynił Kadena-Bandrowskiego bohaterem swojej świetnej książki. Musiało to zaowocować podobnie jak przywołanie Piłata w książce Bułhakowa.

Po wtóre, formuła książki jest dowcipna i inteligentna, pozwala ukazać całą epokę, a jednocześnie pozostawia autorowi sporo luzu. Nie Kaden z imienia jest bowiem bohaterem *Skrzydeł*, lecz Roman Giertycz-Białogrodzki. Zamiast Nałkowskiej jest Jabłonowska, zamiast Sławoja – Stokłos, zamiast Irzykowskiego – Czyżykowski, Pruszyńskiego – Niedźwiecki, Sławka – Makary, Daszyńskiego – Horostański, Dąbrowskiej – Łukasiewiczowa, Witkacego – Gencjan Eydziatowicz – i tak dalej, i dalej. Ale niezupełnie, bo jednak Iwaszkiewicz i inni występują pod własnymi nazwiskami. Fakty także nie całkiem się zgadzają, są też i bartelskie fabuły. I wychodzi kapitalna, wręcz fascynująca zabawa, igrająca „prawdą i zmyśleniem”.

Mamy tu przedstawione całe dwudziestolecie – i nie tylko. Oczywiście już sprawdzonymi metodami, „pejzażem dwukrotnym”, dwiema płaszczyznami czasowymi. Czas teraźniejszy

tomu pierwszego to przełom sierpnia i września 1939, drugiego – to pierwszy tydzień powstania na Ochocie. A całą przeszłość oglądamy oczami Białogrodzkiego, bo przecież to i powieść psychologiczna zarazem. Książka bardzo dobrze napisana, o wielu płaszczyznach nie tylko czasowych, ale także znaczeniowych, doprawdy bardzo interesująca.

Na podobnej zasadzie został skomponowany *Rajski ogród*, rzecz poświęcona Nałkowskiej. Również dobra, choć nie ostała się przeróżnym zarzutom. Najistotniejsze jest jednak to, że ani sama Nałkowska, ani jej twórczość nie budzą dziś większych emocji, choć dla swoich współczesnych była kimś w rodzaju Ireny Solskiej.

Tom trzeci *Krwawych skrzydeł* powraca jeszcze do kręgu Białogrodzkiego, ale już oczami jego syna, Piotra, który podobnie jak i jego brat, i ojciec zginie w powstaniu. Pokolenie synów, ponowny romantyczny wybuch, tryumf albo zgon, więc podjęcie sprawy ciągłości historycznej, a zarazem znów reminiscencje z przeszłości, ale snute już z innej perspektywy. A przy tym cała gehenna powstańczej Woli. Książka również bardzo dobra, ale istnieje przede wszystkim niejako „na koszt” poprzednich tomów. W sumie jednak cykl ważny i ciekawy, bez wątpienia najwybitniejsze dzieło Bartelskiego.

Chyba że przywołamy jeszcze jego eseistykę. Jak już wspominałem, Bartelski ma w tym zakresie bardzo znaczny dorobek. Walkom zbrojnym swojego rodzinnego miasta, które tak decydująco zaważyło na całej jego twórczości, poświęcił liczne książki i szkice. Trzeba tu wymienić *Powstanie warszawskie* (1965), kilkakrotnie wznawiane i uzupełniane, *Walczącą Warszawę* (1968), *Na Mokotowie 1939-1945* (1971) i wielkie, bogate dzieło *Mokotów 1944* (1971). Z równie licznych czy nawet jeszcze liczniejszych prac literackich wymieńmy: *Genealogię ocalonych* (1963), *W kręgu bliskich* (1967), *Z głową na karabinie* (1974), *Sylwetki polskich pisarzy współczesnych* (1975), *Cień wojny* (1983). Bartelski pisał o literaturze tonem bardzo osobistym. Największe wrażenie wywarła *Genealogia ocalonych*, najpoważniejsza – jak dotychczas – próba ukazania formacji intelektualno-literackiej wojennego, konspiracyjnego pokolenia, książka bogata faktograficznie, zarazem bardzo osobista, o ciekawych, choć niekiedy kontrowersyjnych uogólnieniach. Cenię także *Cień wojny*, rzecz o tym, jakimi refleksami odbija się wojna w literaturze. Słyszałem także, że Bartelski pracuje nad usystematyzowaną historią literatury okresu wojny i okupacji. (W 1988 r. ukazała się *Pieśń niepodległa: pisarze i wydarzenia 1939-1942* – przyp. red.).

Tak czy inaczej, mimo prób ucieczki jest Bartelski typowym więźniem jednego czasu, czynu i obsesji. Odpowiedziałyby na to zapewne, że z niczym tak wielkim duchowo już później się nie zetknął.

Gdyby mnie spytano, komu bym przyznał honorowy tytuł Wielkiego Podżegacza Wojennego, to pomijając natychmiast wszystkich polityków zawahałbym się jedynie między Zbigniewem Safjanem a Januszem Przymanowskim. To ich seriale telewizyjne, opiewające rozkoszne wojowania i postrzelania sobie (w słusznej sprawie) do innych ludzi, obiegły nie tylko Polskę, ale bodaj cały świat, walnie wpływając na militaryzację ducha młodzieży wielu krajów. Ale to akurat nie jest zarzut w moich ustach, gdyż bardzo wątpię w sens świętej wojny z militarnymi zabawkami i takąż literaturą. Agresji nie usunie się za pomocą przemilczenia, lecz jeśli to w ogóle możliwe – działaniem wiedzy i rozumu. Ręczę, że i święty Franciszek biegał w stosownym wieku z patykiem udającym miecz, a czy cieśla Józef na pewno dla nikogo nie zmajstrował małego łuku?

Literatura wojenna i wojskowa pokolenia „Kolumbów” także jest wcale bogata, chociaż ustępuje reminiscencjom okupacyjnym, obozowym, partyzanckim czy powstaniowym. Znaczące w niej miejsce zajmuje Zbigniew Safjan (1922), podczas wojny oficer II Armii, później dziennikarz i scenarzysta. Znaczna część jego książek została poświęcona ostatnim fazom wojny i pierwszemu okresowi PRL, z punktu widzenia wojskowego właśnie. Fascynuje go też polityka i problem odpowiedzialności moralnej. Ma zaś cenną skłonność ujmowania rzeczy w ich zawikłaniach i komplikacjach, dzięki czemu uniknął czarno-białego schematu, chociaż w

pewnym okresie schemat ten pilnie wyznawał, jeśli idzie o ideologię. Stalinizm był słuszny, wszystko inne niesłuszne. Lecz wielu przeciwników było nimi jedynie pozornie, z racji niewiedzy, jaką to stalinizm jest wspaniałą i prawdziwą sprawą. Ci z czasem przejrzeni i doszłusowali. Przypominam, że w latach czterdziestych innego socjalizmu niż stalinowski nie było. Dlatego zresztą wszystkie książki – nie tylko Safjana – o tamtym okresie, a napisane dotychczas czytamy z niejakim uczuciem bezradności, śmiechu bądź gniewu. Co prawda właśnie Safjan miał nawet przed Październikiem pewne wątpliwości i można by się nawet w pierwszej książce doszukać jakichś nieśmiały elementu odwilżowych. Była to mocno debiutancka i co nieco rozlazła powieść *Wiosna przychodzi jesienią* (1955) – z negatywnym dyrektorem Kellerem i pozytywnym prokuratorem Tarkitem w rolach głównych. Małe miasteczko Borzęcin, w którym się to dzieje w początkach władzy ludowej, jeszcze w twórczości Safjana powróci, czasem w innych przebraniach. A początki owej władzy to jeden z jego głównych tematów.

Ale ani ta powieść, ani dramaty, jak np. *Towarzysz Gorący* (1954), nie przyniosły jeszcze Safjanowi uznania. Dopiero dwuczęściowa powieść: *Zanim przemówią* (1961) i *Potem nastąpi cisza* (1963) zwróciła na niego powszechną uwagę, chociaż niektóre komplementy brzmią dzisiaj osobliwie. I tak Zbigniew Załuski, *notabene* przyjaciel Safjana, pisał: „Nie są to na pewno książki bezbłędne (...) Ale są nasze.” Na szczęście nie była to ich jedyna zaleta. Obie dotyczą przełomu lat 1944-1945.

*Zanim przemówią* dotyczy zaplecza frontu na Lubelszczyźnie od sierpnia 1944 do stycznia 1945. Formuje się armia z bardzo różnych ludzi, o różnych orientacjach, powstają więc kłopotliwe dylematy i konflikty, podziały polityczne między ojcem i synem, przyjaciółmi, narzeczonymi. Autor umie je stwarzać i nie bywa jednoznaczny. Idzie bodaj dalej niż Andrzejewski w *Popiele i diamentach*, stara się znaleźć i zrozumieć racje osobiste. Postaci są zróżnicowane i bogate – generał Wekler i jego syn, porucznicy Kolski i Olewicz, szeregowiec Maczuga i inni. (Nawiasem mówiąc, Safjan podobnie jak Nałkowska nie ma daru obdarzania swoich bohaterów dorzecznymi i ładnymi nazwiskami; bardzo często brzmią fałszywie). Wątki są sensacyjne i przetasowane.

Część druga, *Potem nastąpi cisza*, jest literacko lepsza, bardziej zwarta i wartka. Bohaterowie mniej więcej ci sami, ale już pokazani w warunkach bojowych, pod Dreznem, w ciągu czterech kwietniowych dni. Dywizja Weklera zostaje okrążona, ale zamiast wyrwać się z koła, co możliwe, naciera dalej mieszając szyki kontrnatarciu Schoenera. Zostaje zdziękowana, ginie nawet dowódca. Safjan nie ma wątpliwości, że było warto.

W latach sześćdziesiątych Safjan wchodzi w spółkę literacką z Andrzejem Szypulskim (1936), dziennikarzem i prozaikiem, podpisującą wspólne prace pseudonimem Andrzej Zbych. Najślawniejszym ich wspólnym dziełem jest scenariusz wieloodcinkowego telewizyjnego serialu *Stawka większa niż życie*, którego bohaterem jest Polak, pracownik zapewne NKWD, wywiadowca kapitan Hans Kloss – rzecz się dzieje w czasie ostatniej wojny. I serial, i oparta na nim książka zrobiły autentyczną światową karierę. Spółka ma na swym koncie sporo różnych utworów, jak: serial *Najważniejszy dzień życia*, sztuka *Wyrok* (1969), sensacyjna powieść *Bardzo dużo pajacyków* (1968) czy scenariusz i proza *Uszczelka* (1975).

Sam Safjan wydaje także powieści kryminalno-sensacyjne, jak choćby *Pamiętnik inżyniera Heyny* (1964) czy wysoko przez krytykę oceniony *Strach* (1973).

Ale najwybitniejsza książka Zbigniewa Safjana to *Pole niczyje* (1976). Jest to coś w rodzaju fantazji politycznej, pod wieloma względami podobnej do *Krwawych skrzydeł* Bartelskiego, powstających mniej więcej w tym samym czasie – co to jednak znaczy duch czasu. Powieść Safjana dzieje się na początku 1939 roku, a osnuta jest wokół śledztwa dotyczącego zabójstwa oficera „dwójki”, który zdobył w Berlinie groźne dokumenty. Ów Juryś przypomina nieco majora Pycia z *Generała Barcza*, całe zaś środowisko łączy pokrewieństwa z książkami Nałkowskiej (*Węzły życia*), Brezy (*Mury Jerycha*) czy Putramenta (*Rzeczywistość*). Ale

– uwaga – jest lepsza od nich. Można się tu doszukać pokrewieństwa Wacława Jana z Walerym Sławkiem, ale to już nie takie istotne. Rzecz o ludziach władzy, o mechanizmach formowania się zdrajców i szpiegów, kiedy dla racji nadrzędnych człowiek sam siebie podejrzewać zaczyna. Zreszta książka jest naprawdę bogata, o nie jedną sprawę tu chodzi, konkretna i uniwersalna – na przykład Krzysztof Kłopotowski zadał w *Walce Młodych* pytanie, „czy wyzbycie się potocznej moralności nie bywa ceną władzy”. Sytuacja Polski wygląda tu beznadziejnie, ale przecież wiemy, że przyczyny upadku II Rzeczypospolitej nie były wewnętrzne. Książka wiele czerpie ze stylu Kadena – ze sławną „mową pozornie zależną” – ale trzeba rzec, że ten wpływ rozciąga się na całą twórczość Safjana. Tu jest szczególnie wyraźny.

Walkę o władzę czy raczej „stanowisko” ukazał Safjan także w latach siedemdziesiątych, w powieści *Ulica Świętokrzyska* (1980). Ale wypadło to blado, Safjanowi nie sprzyjał też moment wydania książki – na aprobatę było za późno. Zresztą ci współcześni bohaterowie są naprawdę byle jacy. Akcja toczy się wśród ludzi establishmentu (pamiętamy, jak Załuski ocenił, że Safjan jest „ich”). Dyrektor Instytutu Planowania Przestrzennego Warszawy przeżywa rodzinne kłopoty, wyalienowania, walczy też z konkurentem Małeckim. Ale się okazuje, że młody Małecki i córka dyrektora kochają się i rzecz się kończy na weselu. Zgoda, zgoda, a Bóg wtedy rękę podał. Czy to była zamierzona kpina, czy po prostu Safjan notował „samo życie”? Myślę, że jednak to drugie. Książkę nazwano także produkcyjniakiem decydentów, a że byli oni bladzi i „płascy jak kwiat w książce”? Obraz Safjana jest może żalony, lecz prawdziwy...

Rok 1982 przyniósł książkę wyrosłą ze scenariusza serialu *Do krwi ostatniej*, o losach Polaków w ZSRR w latach 1941-1943, czyli do bitwy pod Lenino. Tu także motywacje i losy osobiste całej plejady bohaterów, prawdziwe, ale monopol na prawdę historyczną ma tylko lewica. Natomiast kolejną rzeczywiście ważną i dobrą książką Safjana jest *Kanclerz* (1987) – znowu z embrionu scenariusza wyrosła powieść, tym razem o Janie Zamoyskim. Czasem teraźniejszym książki jest *interregnum* po śmierci Batorego, elekcja Wazy. Wielki kanclerz wspomina bogatą i dramatyczną przeszłość, prawie połowę XVI stulecia. Zamoyski jest tutaj bowiem przede wszystkim politykiem. Teraźniejszość i obrazy przeszłości przenikają się udanie, a całość ma jeszcze bezsporny wymiar uniwersalny, jako dylemat demokracji i władzy. I znowu rzeczywista wielostronność Safjana święci triumfy i może nawet całkiem „ich” już to nie jest. Ale pewnie jest, tyle że rolę krytycznego Kadena-Bandrowskiego wobec ludzi swojej formacji odgrywa całkiem świadomie. A zresztą – nie taki on znowu krnąbrny.

W nowelach połączonych ze sobą, powieści-mozaice – jak określono *Rozdroża* (1987) – powraca Safjan znowu do małego Borzęcina, znowu do początków formowania się nowej władzy. Natomiast w *Podwójnej miłości* (1988) wchodzi jakby na nowe terytoria. Bohaterką w latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych jest Marta Witczakówna z małego miasteczka Wrzosków na Mazurach, która wchodzi w środowisko artystyczne Warszawy. Sporo uwag o odmianach orgazmów bohaterki. Ale naprawdę idzie o coś innego – o problemy krzywdy i dawanie świadectwa prawdzie, co ustawicznie w wielu wariantach powraca. Diagnoza Safjana jest raczej posępna, jego prawdziwa bohaterka jest niemal zupełnie osamotniona.

Ale ja żałuję jedynie, że autor *Pola* i *Kanclerza* tak rzadko przemawia do nas zawsze aktualnym językiem historii.

Safjan po ziemi chodzi, we mgle, myśląc się czasem w szczegółach. Podaje np. adres „Czeriakowska 285”, a tymczasem nigdy takiego numeru tam nie było. Czeriakowska kończyła się przed Książęcą numerem 225, wydawniczym domem Arcta. Wiem, bo się w tym domu urodziłem.

Janusz Przymanowski natomiast ma skłonność do wzniosłych lotów i patetycznej panoramy:

„W czasie tego przelotu odczuwałem potęgę umysłu wolnego człowieka wychowanego przez nasz ustrój. Widziałem ziemię, na której rozwija się wśród zielonych pasów leśnych, stworzonych stalinowskim planem, wśród hut, kopalń, miast i wsi, wyrosłych w stalinow-



skich pięciolatkach, nowe, jeszcze szczęśliwsze życie – komunizm! Przy okazji dowiadujemy się, że już dawno amerykańska technika pozostała daleko w tyle za techniką i nauką Związku Radzieckiego i innych państw, które zbudowały socjalizm.”

Wszystko to w książeczce *Na młodych skrzydłach* (1950). W tym czasie Przymanowski napisał mnóstwo książek i książeczek czytankowo-młodzieżowych, którą to dziedzinę w różnych wariantach uprawiał całe lata.

Urodzony w 1922 w Warszawie, wojował w czasie wojny w Związku Radzieckim, a po wojnie wojuje dalej, przenosząc w nasze czasy temperament kawalerzysty, któremu nieraz już zdarzyło się zapędzać za daleko. Dość rzec, że znaczną część swych dochodów musi wydawać na pościel, gdyż nawet w łóżku zapomina zdjąć ostrogi. Był zawodowym pułkownikiem służby czynnej, jedynym w Polsce, a może i świecie dysponentem własnej bitwy i stąd człowiekiem nietykalnym. Dlatego też gdy krwawy Leszek Prorok ostrzył noże chcąc wzorem Attyli i Czyngisa wyróżnić wszystko, co wyrasta ponad osie „malucha”, rzekł mu złowieszczy Bądkowski otrzepując dłonie z posoki: „Przymanowski? Oszczędzić! Jakoż nam bez Studzianek?”

Istniały bowiem pomówienia, jakoby Studzianki zostały przez Przymanowskiego bez reszty wymyślane. Faktem jest, że zrobił z tej potyczki na Przyczółku Magnuszewskim batalię nie ustępującą w niczym Stalingradowi. Jego potężne *Studzianki* (1966) – „reportaż historyczny” – to w istocie kapitalna powieść, znakomita w lekturze. Może i dlatego, że w Przymanowskim nie tylko ułan, ale i Karol May. Są źli i dobrzy, a jak dobrzy, to już do końca. Po „naszej” stronie stosunki wzajemne są idealne, konfliktów właściwie nie ma. Jest to zasada baśni i właśnie dlatego Przymanowski odnosi tak wielkie sukcesy. Przymanowski urodził się za późno. Gdyby urodził się wcześniej, byłby Wieniawą.

Ale demon poezji i jego ogarnął. Jest mianowicie autorem dziełka *Żołnierski elementarz*, zdobionego przez Mariana Walentynowicza, który po *Koziołku Matołku* i *Małpce Fiki Miki* zajął się Przymanowskim. Muza Przymanowskiego jest tu słuszna i służebna.

Twój dom  
Ludowa Polska  
Strzeżesz go  
W szeregach wojska.

Dalej idą celne wskazania: „Gdzie tajemnica wojskowa – każdy żołnierz niemowa”, „Siły zbrojne PRL – różne wojska – jeden cel”, „Pod wąsem sierżanta uśmiech gości, gdy umiesz oddać honor w zależności od okoliczności”, „Nawet meldując/ważne zdarzenie/proś starszego/o zezwolenie” – i tak dalej, książka nie jest długa. Pokrótce:

Do stołówki, jak na bal:  
Czysty, umyty  
Z kompanią wal.

Bądźmy sprawiedliwi – Przymanowski jest także autorem piosenek dobrych, a nawet gorzkich i pięknych.

Duch baśni, „historii smarowanej miodem” zadecydował o sukcesie światowym *Czterech pancernych i psa* (1964-1970), powieści, która dała scenariusz wielce popularnemu serialowi. Impresario z nieprawdopodobnego zdarzenia, nie żyjący już a dobrze znany w środowisku literackim i aktorskim Janusz Ogrodziński, wyprowadził rzecz na stadiony. Ale kiedyś nie przyjechał na kolejne spotkanie ani Przymanowski, ani aktorzy, ani czołg, tylko pies Szarik i

samotny Ogrodziński... Ponieważ szło o miliony, sprawa skończyła się więzieniem. Na pogrzeb Ogrodzińskiego trzeba było się złożyć, podobnie jak kiedyś po śmierci Jurka Falkowskiego.

Przymanowski i inne zwierzaki wciągnął w wojnę. (Co prawda, zrobił to kiedyś i Kipling). Powstały wcale nawet niezłe książeczki dla dzieci. Ja znam jedną: *Wiri – osiołek z gór*, gdzie jeden wojskowy osioł samym rykiem płoszy wraże zastępy. Ale *Czterej pancerni* – baśń o wojnie pancерnej, o zgodzie narodów, o cudownym odzyskaniu ojca – zawładnęła naprawdę wyobraźnią milionów, a może i miliardów ludzi na świecie. Nie wiem, czy to smętne, czy znaczące, ale Przymanowski wychowywał Arabów i Izraelczyków, Iran i Irak, Związek Radziecki i Afganistan. Jest człowiekiem, który poprzez media wpłynął realnie na bieg naszego stulecia. Wcale tym razem, niestety, nie żartuję.

Ku innym literackim regionom zwrócił się Przymanowski pisząc *Wezwanego* (1968), po którym po raz pierwszy został poważnie potraktowany przez krytykę literacką. Bohater pozytywny, pułkownik Regan (tak, tak), zostaje oderwany od manewrów, którymi dowodzi, przez wojskowego prokuratora. Nie wie, o co chodzi, a – jak każdy – ma i poważne sprawy na sumieniu. W dalekiej drodze spotyka przeróżnych ludzi i snuje wspomnienia, przeprowadzając coś w rodzaju rachunku sumienia. W sumie okazuje się, że prokurator, jego dawny przyjaciel, prosi go po prostu na jubileuszową wódkę. Formuła wewnętrznego monologu posłużyła Przymanowskiemu w dwu następnych mikropowieściach, bardzo jednak odmiennych. *Znużony* (1974) to jakby zderzenie polskiego narratora z Paryżem w okresie „maja barykad” 1968 roku. Znużony w tym monologu, dzienniku, reportażu jest i de Gaulle, i sam narrator. Tym bardziej znużony, że jego dobrych rad dla Francuzów, by upaństwowili, co się da, by im nie było gorzej niż nam, Francuzi *hélas* nie słuchają. *Zawzięty* (1976) to znów monolog poparzonego czołgisty, też retrospekcja, wielkoduszność i nadzieja. Chyba najlepsza część książki, która po połączeniu tych trzech relacji otrzymała tytuł *Trójca grzeszna*.

Dalsze książki Przymanowskiego to: *Wszyscy i nikt* (1977) – o wojnie po wojnie na Rzeszowszczyźnie, ciekawa konstrukcyjnie i gorzka powieść *Kto za?* (1978), w której dochodzący prawdy inżynier znajduje, że zdradzili go wszyscy przyjaciele, *Leonarda i jej synowie* (1980) – ciekawa relacja o rodzinie i przeznaczeniu rodziny Szajnowicza-Iwanowa, polskiego bohatera Grecji. W tymże roku wychodzi nowa książka o baśniowej wojnie na wysoki połysk (wedle określenia Stanisława Zielińskiego) – *Rozdroże, zasięki*. Mimo nieco naturalistycznych opisów wojna to nadal wielka przygoda przede wszystkim.

W jakimś wywiadzie Janusz Przymanowski, jak zawsze nerwowy i publicystyczny, wspominał półgębkiem, że pisze swoim życiu i chce napisać prawdę. *Nieuzeli?* I rzeczywiście napisał, i to ciekawie. Ale od lat wydać nie może.

Publicystyka, prace historyczne, święte boje ze Strumphem-Wojtkiewiczem, cała sikorskiada Olgerda Terleckiego przyćmiły zupełnie w naszej świadomości okoliczność, że był przecież nade wszystko i z założenia po prostu powieściopisarzem, o wcale niemałym dorobku. Inna sprawa, że jego prace historyczne rzeczywiście okazały się najwybitniejsze, a publicystyka przez długie lata była niezawodną podporą krakowskiego „Życia Literackiego”. Olgerd Terlecki (1922-1986) „normalną” drogą przez ZSRR, Iran, Egipt dotarł do Włoch, gdzie walczył pod Monte Cassino, do Polski wrócił w 1947. I zaraz chwycił za pióro. Debiutował w 1949 *Reportażami czerwonochrzyskimi*, a potem przyszła cała seria opowiadań.

A więc *Drugie narodziny* (1952), cztery opowiadania o Nowej Hucie, w których, jak pisała ówczesna krytyka, pokazywał, „jak ludzie odradzali się, prostowali, zwycięscy i radosi”. Następnie zajął się „walką klasową na wsi” publikując opowiadania *Front przez wieś* (1953); tytuł, nawiasem mówiąc, nieodparcie ewokuje związane, rosyjskie przekleństwo. Potem była nowohucka także opowieść dla młodzieży *Piąty żywioł* (1954) i przeróżne monowskie nowelki w „Bibliotece Żołnierza”. Wydawnictwu MON pozostał wprawdzie Terlecki wierny do końca, ale na innym już poziomie.

Najgłośniejszą książką beletrystyczną Olgierda Terleckiego jest *Kierunek Cassino* (1957), pierwsza część cyklu *Polskie drogi*. Następne części to *Pokonani* (1958) i *Przystanek Londyn* (1961). Bohater *Kierunku*, Jerzy Oleński, jego koledzy, jak Lolo Mazurek i inni, wędrują spod Lwowa, poprzez Związek Radziecki, Bliski Wschód do Włoch. Opowieść żołnierska i romans zarazem, bo Oleński kocha się w Zorice – Zosi, która podąży jego śladem. Cała ta wędrówka polskiego żołnierza przez ziemię cudzą przypomina *Popioły*, ale bohaterowie nie mieli w sobie siły kreacji Żeromskiego. Wojnę ogląda się tu w każdym razie z perspektywy plutonu, przy czym sceny życia żołnierskiego bywają kapitalne. Terleckiego stać na humor i ironię. Ale bardzo dobrze wypadają też sceny batalistyczne, zwłaszcza „operacja Honker”, pierwsze krwawo odparte uderzenie Polaków. (Ciekawe, że Zbigniewowi Załuskiemu właśnie ta batalistyka wcale się nie podobała)

Książka Terleckiego była pierwszym w kraju utworem, w którym mówiło się o bitwie montekasyńskiej – do 1956 roku nawet wzmianki o niej były zakazane.

*Pokonani* to cyklu część następna. Korpus polski rozrasta się, napływają więźniowie oflagów, powstańcy Warszawy... Tyle że wojna już skończona i Polacy nikomu nie są potrzebni. Wyjeżdżają do Anglii, wracają do kraju – choć nikt ich nigdzie nie czeka. Zwycięzcy są w istocie pokonanymi – ironia losu, melancholia. Równie melancholijna jest trzecia część cyklu, *Przystanek Londyn*. Spotkamy tu odwrócenie sytuacji z *Kolumbów Bratnego* – to Polak z kraju odwiedza dawnych towarzyszy broni w Londynie i stwierdza ich faktyczną degrengoladę. Ale obie te części nie dorastają do pierwszej.

Motyw kombatancki pozostanie już na zawsze w twórczości fabularnej Terleckiego. Ale dołączy do niego erotyka. Prawie zawsze w podobnym ujęciu – partner będzie przybyszem, a czasem przybyszami będą oboje. Tak więc w mikropowieści-monologu bohaterki *Opowieść Włoszki* (1959) młody oficer Marek poznaje we Włoszech swoją przyszłą i zabiera ją ze sobą do Polski. Zarzucano książce, że zmarnowała po trosze temat, ale nie sprawy socjalnieinteresującej teraz Terleckiego, lecz psychologia. Tak jest też w kolejnej opowieści *Siedem dni Isabelli* (1962), na podobnych motywach opartej. Kombatant Wiktor odwiedza osiadłego we Włoszech przyjaciela, trochę romansuje z jego żoną, Włoszką, i przede wszystkim z córką, podlotkiem Isabellą. *Isabella* trwa dni siedem, następna tego cyklu przygoda, też między polskim żołnierzem a siedemnastoletnią Włoszką, *Troje nieprawdziwych* (1964) – tylko dwa. Wszystkie te trzy utwory zostały połączone w *Tryptyk włoski* (1969).

Przybysz jest także bohaterem dwuczęściowego cyklu *Przyciągania ziemskie*, złożonego z dwóch powieści: *Przeznaczenie* (1963) i *Lekcja miłości* (1965). Przybyszem jest lekarz z Tanganiki spod Kilimandżaro, Krzysztof, po dwudziestu latach odwiedzający Polskę, Rzeszowszczyznę. Tu poznaje dwie siostry, zamężną Jolę i młodszą Monikę – bibliotekarkę, typową „siłaczkę”. Między nimi będzie wybierać, musi też zdecydować o powrocie do Afryki bądź pozostaniu w Polsce. Książka wzbudziła mieszane uczucia. Niektórzy schlastali ją ostro, inni zwrócili uwagę, że idzie tu przecież nie o same romanse, ale o powrót do przeszłości, a Włodzimierz Maciąg zestawił nawet *Lekcję z Pannami z Wilka*, nieco chyba przesadnie. O samej erotyce autor ma także sporo do powiedzenia.

Pozostałe utwory fabularne Terleckiego to *Zabawa* (1966) – opowieść o odporności i sile woli trzyosobowego patrolu komandosów na manewrach wojskowych i *Concertina* (1983) – wspomnieniowe opowiadania wojenne.

Ale przez kilkanaście ostatnich lat życia Terlecki zajmował się przede wszystkim historią najnowszą. Wydał między innymi *Monte Cassino 1944* (1970), *Najkrótsza historia drugiej wojny światowej* (1972), *Generał Sikorski* (1981-1983) – ostateczna wersja parokrotnie podejmowanego tematu (poprzednie, krótsze wydanie ukazało się w Chicago), *Pułkownik Beck* (1985), *Kuzynek diabła* (1988) – ostateczna wersja rozprawy o J. H. Retingerze i inne.

Terlecki pisał klarownie, nieco demaskatorsko, ale w wielu wypadkach musiał raczej bronić – wedle możliwości czasu – swoich bohaterów przed wszelkimi prawdopodobnymi i nie-

prawdopodobnymi obwinieniami. Zresztą wystrzegał się tanich sensacji, dlatego też wyśmiewał koncepcję zamachu na Sikorskiego czy rzekomego buntu Andersa. Najlepsze jednak stronice, które pozostawił, zawdzięcza pasji polemicznej. Potrafił też, mimo nie zawsze sprzyjającej atmosfery, bronić II Rzeczypospolitej i polityków takich jak Beck.

Wojna i polityka zdominowały także twórczość Jana Gerharda (1921-1971), człowieka sławnego za życia i bodaj bardziej jeszcze po śmierci. Gerhard został bowiem zamordowany w tajemniczych okolicznościach, pozwalających domyślać się podłoża politycznego. Miał zawiły życiorys, którego tajemnice dotychczas nie zostały do końca wyjaśnione. Bił się we Francji, w polskim wojsku i we francuskiej partyzantce, po wojnie był jednym z dowódców w Bieszczadach, potem – oskarżony o współpracę z francuskim wywiadem – siedział w więzieniu. W późniejszych latach założył i redagował tygodnik „Forum”. Zawsze krążyły wokół niego przeróżne dziwne legendy. Ale zabójstwo miało charakter czysto kryminalny – został zamordowany przez adoratora swojej córki. Cała ta sprawa i proces wywołały wielką sensację, która zainspirowała książki dwóch powieściopisarzy – Dębnickiego i Bratnego, a najpełniej zostały przedstawione w książce oficera MSW Zbigniewa Pudysza *Zabójstwo z premedytacją* (1988).

Gerhard, jako się rzekło, był pisarzem przede wszystkim politycznym, ale nie stroniącym od fabularyzacji, bardzo silnie czerpiącej z jego osobistych przeżyć. Pod koniec życia wszedł na bardzo interesującą drogę literacką, która zapowiadała autora miary nieprzeciętnej. Łom, sztylet i pętla zniszczyły te nadzieje.

Zaczął Gerhard od książki poświęconej I Dywizji Grenadierów Polskich we Francji – *Grenadierzy* (1957), potem przyszły fabularyzowane wspomnienia *Wojna i ja* (1957), które ujawniły inteligencję, błyskotliwość i humor autora. A problem wojny, wręcz obsesja, koszmarnie będzie obecny w twórczości Gerharda aż do końca. Gerhard jest tu nie tylko narratorem swoich przypadków wojennych, obozowych i konspiracyjskich, ale w równej mierze komentatorem i karykaturzystą.

Prawdziwy rozgłos przyniosła mu książka w istocie rzeczy dość wątpliwa, mianowicie *Łuny w Bieszczadach* (1959). Jest to skrzyżowanie dokumentu z fabułą sentymentalną i bohaterską, a dotyczy, jak z tytułu wynika, walk z UPA w latach 1945-1947. Cała ta tragiczna sprawa jest tu przedstawiona w sposób jednostronny, jakby okrucieństwo i przemoc były rzeczą jednej tylko strony, a cała słuszność należała do drugiej. Ale sprawiedliwa ocena konfliktu polsko-ukraińskiego była nie tylko dla Gerharda sprawą zbyt trudną. *Łuny* są więc westernowate, obfitują w podchody i zasadzki, co zresztą odpowiada prawdzie, gdyż istotnie metody tej wojny były mocno archaiczne i indiańskie. Gerhard relacjonuje posunięcia obu stron, przy czym tylko jedna z nich jest słuszna, szlachetna i prawa. Na podstawie tej książki został nakręcony film *Ogniomistrz Kaleń* (1961).

Pokaźny tom *Czas generała* (1963) poświęcony został de Gaulle'owi i polityce Francji współczesnej. Książka jest napisana żywo, z werwą, z obfitością danych, ale jej konstatacje są wręcz niepoważne. De Gaulle jest tu słuźalcem wielkiego kapitału. Francja upada, społeczeństwo popada w nędzę... Nie wiem, czy warto przypominać, że wcześniej nieco dla publicystyki krajowej de Gaulle był zgoła agentem amerykańskim. Obie opinie są warte siebie. Gerhard, przecież zawsze dziennikarz i publicysta, miał szalenie jednostronny punkt widzenia, dogmatyczny i niepodważalny. Piękny, wedle niego, jest tylko nasz socjalizm, Zachód natomiast to różne fazy upadku, nędzy i przemocy. Tak w istocie rysuje się świat w *Zoolityce* (1965) i *Francuzach* (1965). Francja – wiadomo: kraj policyjny, półfaszystowski, dżungla. Nie o wiele inny obraz malują opowiadania zebrane w tomie *Nie ma Eldorado* (1966). Są to z reguły spotkania-zderzenia ludzi w różny sobie sposób kiedyś bliskich, gdzie jedno mieszka w kraju, a drugie na Zachodzie. Otóż tym biedakom w kapitalizmie jeno wiatr w oczy. Poniżenie, nędza, imperialistyczne zakłamanie. W obliczu tego wszystkiego tym piękniej jaśnieje wyższość naszego ustroju, jego demokracji i dobrobytu.

Największym objętościowo dziełem Gerharda jest cykl *Zwycięstwo* (1968), złożony z trzech części: *Żołnierze i dyplomaci*, *Wielkie intermezzo*, *Berlin 1945*. Jest to gigantyczna powieść-opowieść i dokument zarazem, poświęcona finałowi ostatniej wojny – od ofensywy w Ardenach poczynając. To coś w rodzaju rozległej panoramy o mozaikowej budowie, obejmującej całą zgoła kulę ziemską, od politycznych szczytów po szarego żołnierza. Chwilami jest tego nawet za dużo, można się pogubić. No i w niczym nie zmieniła się polityczna układnia – nad światową sceną dominuje Stalin, najmądrzejszy, nieomylny, czcigodny i szlachetny. Cóż, może godzi się wspomnieć, że Francuska Partia Komunistyczna, z którą tak blisko był związany Gerhard, biła rekordy stalinowskiej ortodoksji. I tak, niestety, krótkowzroczny polityk pokonał pisarza – niezależnie od wielu zalet polityczne książki Gerharda po nie tak wielu latach złoszczą jedynie lub śmieszają.

Ale Jan Gerhard zdążył jeszcze napisać trzy książki zgoła inne. *Niecierpliwość* (1967) to coś w rodzaju antypowieści o wielu wątkach. Narrator szuka tutaj zbrodniarza, który porwał dziecko i krąży bez ustanku po Paryżu, metropolii zdumiewającej i zatrważającej, zestawiając jej obraz współczesny ze wspomnieniami wojennymi. Mnóstwo tu wątków i postaci, wielkie pomieszanie czasów. Jest coś wręcz hipnotycznego w tym obrazie, który z pewnością jest także parabolą. Świat jest tu posępnym labiryntem, przeładowanym wzajemną wrogością i seksem, a człowiek czymś rozmażanym, zdezintegrowanym, w wiecznej masce na twarzy. Co prawda i tutaj lewica jest świetlista, ale to pogranicze ekshibicjonizmu robi niemałe wrażenie. Chciałem ją jedynie przejrzeć, ale od pierwszej strony całkowicie mnie pochłonęła.

Jej kontynuacją w sensie duchowym jest *Sarabanda* (1970), „zapis dwunastogodzinnego mirażu sennego”. Bohater, Jan Bez Sensu, czeka tu na operację, śniąc różne możliwe warianty swego losu. Wszystko to dzieje się w naszej epoce, zwanej tu przez Gerharda „drugą wojną stuletnią”. Nie wiem, czy Gerhard znał *Finnegans Wake* Joyce’a, ale chyba ślady tej właśnie książki są tu widoczne. I *Niecierpliwość*, i *Sarabanda* to elementy zamierzonego cyklu *Miara nieskończoności*, w sumie mroczna wizja zagubienia istoty ludzkiej.

Wreszcie pośmiertnie już ukazał się *Autopamflet* (1971) – spowiedź dorosłego mężczyzny, wspominającego przede wszystkim dzieciństwo i młodość. Nieuleczalnie chory Ursynek syn Ursyna w obliczu nieuleczalnej choroby nie krępuje się już niczym, erotyka jest wręcz wszechobecna, a przy okazji lwowskiej młodości i dzieciństwa – bo Gerhard obdarował bohatera swoją biografiją – dostaje się mocno dwudziestoleciu. Niektórzy sądzili, że w istocie wiele elementów tej groteski i drwiny odnosi się do czasów współczesnych. *Autopamflet* bywa uważany za najlepszą książkę Gerharda. W każdym razie trzy ostatnie utwory należą już do literatury z prawdziwego zdarzenia.

Autorem bez reszty niemal wojskowym był Alojzy Sroga (1927-1980), partyzant Armii Krajowej, potem oficer wychowawczy, czyli politruk, Ludowego Wojska Polskiego, uczestnik kampanii pomorskiej i wojny domowej, po wojnie redaktor i dziennikarz. Jego twórczość oscyluje między autobiografią, wspomnieniem, publicystyką a fabułą. Został bardem Ludowego Wojska i wszystkich jego tradycji, do tego stopnia, że przypisywano mu udział w bitwie pod Lenino, choć był tylko jej badaczem. I mimo jego wcześniejszych protestów, znalazło się to określenie nawet w niektórych nekrologach.

Sroga miał pióro dość lekkie, wojna przezeń opisywana była raczej jednoznaczna politycznie i moralnie, nie brak było też powieściowych, jawnie sienkiewiczowskich stereotypów, polityka także w stereotypach się jawiła. Był przy tym przede wszystkim piewą zwykłego żołnierza, jak sam powiadał, „żołnierza-plebejusza”. Najwyżej jednak są cenione dwie jego monografie bitewne: *Początek drogi – Lenino* (1971) i *Na drodze stał Kołobrzeg* (1980). Sroga w ogóle od publicystyki zaczął, a zwrócił na siebie uwagę książką *O fabrykach chleba źle i dobrze. Ob Rachunki z Państwowymi Gospodarstwami Rolnymi. Szkice publicystyczne* (1956).

Z jego kilkudziesięciu książek wymieńmy bardziej znane: *Pożegnania i powroty* (1963) – coś na kształt powieści politycznej na kanwie wypadków wojennych i powojennych, w któ-

rych autor uczestniczył, *13 wujkowych opowieści o żołnierskim ekwipunku* (1964) – może najwdzięczniejsza książka Srogi, złożona z gawęd o różnych służbach i formacjach wojskowych, *Studenckie lata* (1966) – wspomnienia z okresu studiów chemicznych na lubelskim UMCS-ie, *Święci. Wspomnienia i refleksje* (1967) – o oficerach polityczno-wychowawczych, *Adam* (1967) – o chłopach wędrujących na nowe gospodarstwa na Ziemiach Zachodnich – temat wiejski jest zresztą drugim obok wojska, któremu Sroga poświęca także trochę uwagi. *Karniacy* (1968) – powieść o karnej kompanii, która, jak wiadomo, jest posyłana na miejsca najbardziej niebezpieczne i w której trzeba było służyć aż do, jak łagodnie mówiono, „pierwszej krwi”. Dalej powieści: *Chłopcy spod Lenino* (1971) i *Chłopcy w Berlinie* (1974), *Szofery* (1975) – o ludziach z wojskowego transportu. Nieco bardziej złożoną problematykę spotkamy w *Sporze o Virtuti* (1978), gdzie stary ojciec stara się o pośmiertne odznaczenie dla syna, który zginął pod Kołobrzegiem. Okazuje się jednak, że syn został zastrzelony za dezercję. Czy odmówić i powiedzieć o tym ojcu? Sroga jest zdania, że w imię sprawiedliwości tak. Mało ma ta sprawiedliwość z elementarnym humanizmem wspólnego.

I tu, i w innych licznych książkach Sroga nie wyszedł poza ramy stereotypu, sentymentalnych, czytankowych uniesień. Miał jednak wpływ niebagatelny, zwłaszcza na młodego czytelnika, bo właśnie rozliczne ułatwienia sprawiły, że bywał chętnie przez młodzież czytany.

\*

Literatura związana z wojskiem, z ostatnią wojną jest rzeczywiście bogata. Składają się na nią nie tylko i nie przede wszystkim powieści, ale wspomnienia, różnego rodzaju dokumenty, opracowania, refleksje, polemiki. A przecież choćby sama tylko MON-owska seria miniatur wojennych „Z tygrysem” zawiera materiały bardzo różnej jakości; niekiedy bywają to całkiem zmyślane opowiadania. Meissner i Fiedler, Pruszyński i Wańkiewicz mieli następców wielu. Omówiłem ich zresztą na różnych miejscach, ale, naturalnie, pozostały arcybogate obrzeża literatury, których wyczerpać ani chcę, ani potrafię. Trzeba jednak omówić kilku jeszcze autorów, z różnych względów poczytniejszych i bardziej znanych.

\*

Trochę już zmierzchnęła gwiazda Bohdana Arcta (1914-1973), spadkobiercy rodu literacko-księgarskiego, grafika, znakomitego pilota i autora książek dokumentalnych, wspomnieniowych i sensacyjnych. Arct walczył we Wrześniu, we Francji, w Afryce, w Anglii, był pilotem transportowym i myśliwskim, walczył i dowodził słynnymi dywizjonami. Został w końcu zestrzelony, trafił do oflagu i wreszcie – ze swoją angielską żoną – wrócił do Polski i zamieszkał w starym dworcu, Dobrzanowie na Podlasiu. Zaczął pisać już w Anglii. Trzy jego pierwsze książki wydano jeszcze na emigracji: *W pogoni za Luftwaffe, Messerschmity w słońcu, Zwichnięte skrzydła*. Złożyły się one na jeden tom wspomnieniowy *Niebo w ogniu* (1947). Wnet przysły i powieści właściwe, zawsze jednak półdokumentalne, oparte na czyichś pamiętnikach itd., no i oczywiście zawsze jakoś z lotnictwem związane. Ale pierwsza, *Gdy zamilkły silniki* (1949), była jednak okropnie słaba – traktuje o polskich pilotach u schyłku wojny, Polacy to oczywiście najbardziej wyjątkowy naród świata.

Nie polepszyły jego lokaty dzieła z pierwszej połowy lat pięćdziesiątych, jak *Ekipa pokoju* (1950), *Ludzie powietrza* (1954) i inne lotnicze produkcyjniaki o opylaniu stonki, sabotażystach, walce o plan itp. Wkrótce jednak przysły pozycje ciekawsze. Było ich coś około czterdziestu, wspomnijmy najślynniejsze: *W podniebnej chwale* (1958), *Cyrk Skalskiego* (1958), *Kamikadze, boski wiatr* (1961) – na pamiętnikach japońskich oparta opowieść o szkoleniu i walce pilotów japońskich o Hiroszimę, *Alarm w St. Omar. Opowieści lotnicze* (1962), *Cena życia* (1964) – o ucieczce alianckich pilotów z japońskiego obozu i ich walce z tropikalną dżunglą.

Próbował też powieści obyczajowej – *Bimber* (1960), *Trzecie pokolenie* (1965) – z miernym zresztą rezultatem. Najlepszy był w powieści przygodowej, w beletryzowanym wspomnieniu, pełnym anegdot, dowcipów, zaskakujących sytuacji. Największą wartość ma jednak świadectwo polskiej obecności i krwi na niebie drugiej wojny.

Wspomniany w jednym z tytułów Arcta Skalski to pułkownik Stanisław Skalski, najwybitniejszy polski pilot myśliwski, wybitny dowódca w Anglii i Afryce. Dość powiedzieć, że Skalski zestrzelił dwadzieścia wrogich samolotów, nie mówiąc o uszkodzonych czy też innych przewagach wojennych. Jest to polski rekord, osobliwie uhonorowany po powrocie pułkownika do PRL: Skalski został skazany na śmierć, potem na dożywocie, wreszcie po ośmiu latach wypuszczony. Skalski jest autorem książki *Czarne krzyże nad Polską* (1957), nie wiem, czy nie najpoczytniejszej książki o polskim Wrześniu. Są to lekko zbeletryzowane wspomnienia, dotyczące walk Skalskiego we Wrześniu. Książka jest napisana ładnie, z poczuciem humoru, skromna i prawdziwa. Myślę jednak, że nie tylko to zadecydowało o jej powodzeniu i nie tylko legenda samego Skalskiego. *Czarne krzyże* to chyba jedyna polska książka, która opowiada nie tylko o katastrofie i klęsce, ale także o autentycznych polskich sukcesach. Stąd jej krzepiąca siła.

O lotnictwie pisali i inni, była nawet specjalna seria Krajowej Agencji Wydawniczej, poświęcona tym sprawom. Najbardziej znana relacja o początkach lotnictwa ludowego to wspomnienia Edwarda Chromego *Szachownice nad Berlinem* (1969). Najpoczytniejszym popularyzatorem spraw lotniczych był pułkownik Eugeniusz Banaszczyk, autor licznych, na wpół dokumentalnych, na wpół beletryzowanych książek: *Na podbój nieba* (1957), *Pierwsze skrzydła* (1960), *Skrzydła naszej młodości* (1960). Dużą popularność zyskała książka-mozaika epizodów i anegdot z dziejów awiacji od początku świata *Karuzela pod gwiazdami* (1961), ale najlepsze książki Banaszczyka to *Najszybsi ludzie świata* (1962) – opowiadania o pilotach doświadczalnych, czyli oblatywaczach i *Między niebem a ziemią* (1964) – osiem opowiadań o sytuacjach tragicznych i groteskowych. Z innych prac Banaszczyka wyróżniają się opracowania dziejów lotnictwa na Wschodzie i Zachodzie: *W bitwie o Anglię* (1973) i *Skrzydłata dywizja* (1965).

Banaszczyk ma pióro lekkie i duże poczucie humoru, umie też zajmująco opowiadać. Ale po prawdzie największą sławę zyskał jako felietonista *Żołnierza Wolności*, bardzo, hm, ortodoksyjny Jan Lew. Już w przeddzień każdej publikacji tego poczytnego organu mdleli ze strachu wszyscy imperialiści i masoni.

W wydawnictwach wojskowych pracował także przez całe lata Adam Kaska (1922-1986), były oficer AK i Ludowego Wojska Polskiego, uczestnik walk od Warszawy przez Kołobrzeg po Berlin. Był przede wszystkim tłumaczem, i to znakomitym, z angielskiego i niemieckiego. Ale, o czym mniej powszechnie wiadano, uprawiał także publicystykę i prozę. Jego pierwszą książką, ni to wspomnieniem, ni to powieścią, a najpewniej gawędą było *07 słucha* (1962). Jest to relacja z jego własnego szlaku bojowego 9 Zaodrzańskiego Pułku Piechoty, gdzie był tłumaczem sztabowym. Było to już pisanie dalekie od stereotypów i tromtadracji lat wcześniejszych.

Ale głównym prozatorskim dziełem Kaski był *Desant* (1965) – drobiazgowa powieść-relacja z walk na Przyczółku Czerniakowskim podczas ośmiodniowego desantu wojska ludowego. Książka batalistyczna, bez próby jakiegś szerszej perspektywy, zwłaszcza politycznej. Wreszcie pośmiertnie wydana powieść *Ślad na piaskach czasu* (1987), po części rozrachunkowa, jeśli idzie o czasy powojenne, po części wojacko-szwejkowata w epizodach wojennych, dotyczących finału wojny. A wszystko to z racji niespodziewanej śmierci bohatera, dziennikarza Pawła Sochacza. W sposobie przedstawiania wojny za mistrza swego uważał Kaska Waldemara Kotowicza.

Waldemar Kotowicz (1925), oficer BCH, potem Ludowego Wojska Polskiego to jeden z najbardziej rasowych batalistów współczesnych. Trzeba też rzec, że jego prozę wojenną moż-

na czytać z przyjemnością. Ma dar drobiazgowego, a zbornego zarazem, konkretnego opisu, wszelkie wojskowe poczynania, marsze, przygotowywanie pozycji, palba wszelaka mają w nim wielkiego admiratora i zdaje się, że mu w końcu wszystko jedno, kto do kogo strzela, byleby głośno i skutecznie. Ale właściwie tylko o tym pisać może, w czym sam wziął udział lub bodaj o co się otarł.

Debiutował książką *Frontowe drogi* (1958), powieścią w formie pamiętnika, opisującą boje II Armii nad Nysą, na kierunku drezdeńskim. Książka błysnęła kapitalną batalistyką, wiernym opisem żołnierskiego życia, brakiem celebry i anegdotami, od razu też zdobyła czytelników i uznanie, nagrody, została też przez Petelskich sfilmowana pt. *Jarzębina czerwona*, gdzie co prawda zamiast Nysy mamy Kołobrzeg.

Podobne zalety miała *Godzina przed świtem* (1963), gdzie kapral Chyży opowiada o partyzanckich bojach na Lubelszczyźnie i na Podlasiu. Pełno tu przygód-epizodów, fragmentarycznie przedstawionych postaci, żołnierskiego folkloru. Kotowicz nie sili się na wielkie horyzonty intelektualne, sięga do tradycji gawędy, Sienkiewicza. Podobnie jest w opowiadaniach *Wojna i wojenka* (1972) – tu dowcip miesza się z koszmarem i groteską.

Oprócz tych najważniejszych prac Kotowicza nieźle czyta się jego powieść *Za pięć dwunasta* (1961) – o końcowych momentach wojny w Saksonii, *Trzeci dzień natarcia* (1970) – na ten sam temat, *Twierdzą Kołobrzeg*, *W lasach Saksonii* (1975) i inne.

Batalistyka stanowi też bodaj najmocniejszą stronę twórczości Jerzego Korczaka (1927), także oficera II Armii, publicysty i człowieka teatru z Poznania. Rozpoczął na początku lat pięćdziesiątych od ideologicznie słusznej, lecz kiepskiej nowelistyki. Później przyszła powieść *Odcinek południowy*, gdzie oprócz opisu szlaku bojowego II Armii znajdziemy także wyzwiska i obelgi pod adresem AK. Miało być tych książek więcej, autor zapowiadał powieść *Spalony las*, niestety, wydarzenia 1956 roku musiały odmienić te plany.

Na innym już poziomie znalazły się osobliwe nowelki zbiorów *Pierozek drewniany* (1960), *Pogrzeb z gramofonem* (1963), *Hamletówka* (1965). Korczak wypracował tu własną i ciekawą formułę literacką. Są to groteski-makabreski, karykaturalne, przewrotne, złośliwe, pełne trupów, beznogich i bezrękich kalek. Żalosi, przerażający ludzie i paradoksalne obroty rzeczy.

Dalej już była niemal tylko wojna i wojacy. Wielkie uznanie zdobyła powieść-reportaż *Klucz do Berlina* (1966), opowiadająca o przełamaniu Wału Pomorskiego. Klucz miał też adaptację sceniczną. Dalej liczne tomy nowel wojennych, jak: *Przekłęte wzgórze 186,0* (1968), *Między swastyką a trójzębem*, *Noc w Quedlinburgu* (1971), *Wysoki krzyż* – frontowe głównie epizody, także cykl bieszczadzki, bo i tam autor z UPA wojował. Korczak napisał także powieść o środowisku lotników wojskowych *Jak na niebie, tak i na ziemi* (1970), ale naprawdę zwrócił na siebie ponownie uwagę wielkim dwutomowym beletryzowanym i starannie opracowanym reportażem-powieścią *Cóżeś ty za pani...* (1979-1984) – o wrześniowych bojach Armii „Poznań”.

Niemal bez reszty w orbicie przeszłości obraca się Aleksander Omiljanowicz (1923), w czasie wojny dywersant, więzień obozu koncentracyjnego, żołnierz Armii Czerwonej, później białostoczanin. Omiljanowicz zajął się szczególnie frontem informacyjnym, czyli wywiadem i kontrwywiadem, martyrologią Suwalszczyzny i Białostoczczyzny, wreszcie okresem wojny domowej. Ponieważ jest to twórczość w efekcie sensacyjno-dokumentalna, więc i krąg jej czytelników zrobił się z biegiem czasu wcale szeroki. Ale w swoich konstatacjach politycznych jest Omiljanowicz tak jednostronny, że trudno nawet podejmować z nim dyskusję. Wszystkie winy są po stronie reakcjonistów, syjonistów, imperialistów – wszelkie stereotypy i szablony stalinowskiej propagandy są tu nadal żywotne. Władze przedwojenne popierały hitlerowców, AK stało z bronią u nogi, zdradzieccy bandyci i świetlana władza. Szkoda.

Debiutował w 1960 roku opowieścią o ruchu oporu na Suwalszczyźnie, o prowokacji, zdradzie i ostatecznie tragedii – *Było to nad Czarną Hańczę*. Dużą poczytność zdobył *Wyrok*



(1961), powieść o radzieckiej wywiadowczej grupie desantowej, o współpracy Polaków i Rosjan i o tym, jak akowcy mordują prawdziwych patriotów. Duże wrażenie robi zbiór dokumentów *Listy spod gilotyny* (1964), zresztą prac dokumentalnych jest więcej.

Taką samą szpiegowsko-wojenną tematykę znajdziemy w zbiorach *Kryptonim „tajne”* (1966), w opowiadaniach tomu *Barykada* (1968), w powieści *Duch Białowieży* (1971). Nie tylko przygodowa, ale i moralna problematyka znajdzie się w opowiadaniach *Sens życia* (1971). Ten sam czas i krąg spraw obejmują: *Stalowy szlak* (1973) – o dywersyjnej walce kolejarzy, *Tropiąc cienie* (1973), *Cienie powracają* (1982), *Szpiegowski nokturn* (1985) i inne.

Natomiast dość nieoczekiwana była interesująca książka podróżnicza o Argentynie *Argentynska mozaika* (1984).

Przeszłość wojenna to także najistotniejszy składnik twórczości Czesława Czerniawskiego (1925-1988), w swoim czasie żołnierza I Armii, uczestnika walk w Bieszczadach, szczecińskiego dziennikarza i radiowca. Czerniawski napisał wiele książek, niekiedy całkiem interesujących. Na pierwszy plan wybijają się tu epizody batalistyczne, chociaż autor nie unika także materii romansowej, z różnym zresztą skutkiem.

Debiutował powieścią *Jak krótko trwa noc* (1960), dziejącą się w środowisku szoferów, dzięki czemu nasuwa się zestawienie z Hłaski *Bazą ludzi umarłych*. Ale szoferzy Czerniawskiego to wojskowi, trwają walki z UPA i podziemiem, rzecz się dzieje w Bieszczadach. Bohater, Henryk, przeżywa miłość, przekonując się o znaczeniu wygranej walki dla stabilizacji własnego życia. W następnej książce, powieści *Nie wszystkie drogi* (1963), Czerniawski wraca do ostatnich dni wojny. Zwiadowca Czarny leczy się w szpitalu przyfrontowym z ran i wspomina przeszłość – głównym motywem jego życia wewnętrznego jest pragnienie zemsty za zabitą przez Niemców dziewczynę. Większą jednak uwagę zwróciła jego książka następna, *Szli żołnierze* (1966), gdzie na podstawie własnych wspomnień przedstawia szlak bojowy I Armii od Warszawy po Kołobrzeg. Książka jest dość wyraźnie antybohaterska: nieustanne, nie całkiem zrozumiałe marsze i przemarsze, głód, strach, nade wszystko zmęczenie – jest tu coś z atmosfery *Trenu* Czeszki, choć nie tej miary literackiej.

Kontynuacją *Jak krótko trwa noc* jest *Zanim wstanie świt* (1968), gdzie spotykamy Henryka, który po Bieszczadach przybył nad Zalew Szczeciński. Tu został inspektorem rybackim i ściga kłusowników; ponosi klęskę, sam się uwikłując w kłopoty z prawem. Natomiast kontynuacją *Żołnierzy* jest *Była już wiosna* (1969) – historia miłości przeżywanej tuż przed upadkiem Berlina. Są jeszcze opowiadania wojenne *Znajome kształty nadziei* (1966), stylizowana *Ballada o człowieku spokojnym* (1977) – o nowym osadnictwie i kłopotach z Wehrwolfem, wreszcie *Na dnie twoim lec* (1980) – historia miłości i walki młodego porucznika marynarki we Wrześniu 1939 roku.

Jednocześnie bowiem rozwija się wątek marynistyczny – od *Wielkiego rejsu* (1967), rzeczy o współzawodnictwie dwóch szyprów rybackich kutrów, książki zakrawającej na produkcyjniak, przez reportaże z rejsu afrykańskiego *Kapitanie, rufa w krzakach* (1971), rybacko-amerykańskiego *Zdobywać morską dal* (1980) czy lewantyńskiego *Awantury śródziemnomorskie* (1987). Jest również autorem powieści historycznych: *Na rozkaz króla* (1973) – o wojnie trzynastoletniej, *Korsarz trzynastu kolonii* (1978) – o konfederacji barskiej w korsarza amerykańskiego przemienionym.

„Druga wojna światowa stanowi nadal drugie życie wielu ludzi” – twierdzi Przemysław Bystrzycki (1923) i swoją twórczością ów pogląd wspiera. Wywodzi się z rodziny o ambicjach literacko-naukowych, ma też sławną piszącą siostrę Zofię. Po wybuchu wojny trafił do Kazachstanu, stamtąd do Iranu, Afryki i Anglii, gdzie po odbyciu specjalnego kursu już pod koniec wojny został zrzucony do Polski jako tzw. cichociemny. Po wojnie skończył studia w Poznaniu, gdzie osiadł na stałe, od pół wieku zajmując się publicystyką. Jako prozaik debiutował w 1955. Jego twórczość rozwija się niejako dwutorowo – z jednej strony jest autorem

książek sensacyjno-kryminalnych, z drugiej, draży tematykę refleksyjno-wojenną. Silny tu pierwiastek biograficzny – jak w całym tym pokoleniu. Ciekawe, że Sienkiewicz czy Żeromski jakoś się bez tego obywali. Wyraźne są tu wpływy egzystencjalistów i antypowieści. Bystrzycki komplikuje tok narracji, stosuje nie kończące się dygresje, miesza czasy i sytuacje bardzo tu jest także wyraźna tkanka refleksyjna, niekiedy chyba zanadto celebrowana. Stąd może bywa czasem mglisty, lubi za to ubarwiać język. Przeszłość i teraźniejszość mieszają się, a wszystko służy nieustannym deliberacjom: jestli coś czymś alboli czymś jest coś?

Jego najwybitniejsze dzieło składa się z dwóch sążnistych tomów. Zaczęło się od opowiadań: *Warkocz* (1955) to cztery „opowiadania wielkopolskie” – w duchu czasu, a więc o walce PPR-u z Niemcami, o reformie rolnej, o tym, jak to nikczemni kułacy spółdzielni produkcyjnej szkodzili. jak to w ogóle idzie „nowe”. Niby miała tu też być problematyka moralna, ale Zbigniew Pędziński pokrótce orzekł, że to „winietyki na stronicach nie najlepszej broszury propagandowej”.

Nie o wiele poprawiła jego *image* powieść *Operacja „Milczący most”* (1958) – opowieść o dość paskudnych typach z amerykańskiego wywiadu, penetrujących Polskę, którym wypowiada wojnę dzielny kontrwywiad. Ciekawszy już nieco jest groteskowy kryminał *Wyspa Mauritius* (1963) – chodzi tu o sławny znaczek.

Wcześniej ukazała się książka rzeczywiście godna uwagi – *Śmierć nad Agfar-Wadi* (1960). Są to trzy opowiadania, z akcją umiejscowioną na południowo-zachodnim teatrze wojennym, zresztą nie na pierwszej linii frontu. Ale i tu mamy storpedowany statek i rozbitków na oceanie. Właśnie ta swoista „tratwa Meduzy” jest najistotniejszą próbą postaw i charakterów. Najważniejsze jednak i najlepsze jest opowiadanie tytułowe: komandosi na Saharze przez omyłkę zrzućeni na inne, bezwodne miejsce. Ich męka, koleżeństwo, walka z pustynią i śmierć. Uważa się, że to w ogóle jeden z najlepszych utworów Bystrzyckiego. Także następna jego książka, nowela *Szkockie pożegnania* (1963), odwołuje się do żołnierskiego środowiska lat wojny i do osobliwych ludzi wówczas spotykanych. A więc cień dawnego kolegi, nieoczekiwane związki starego Szkota z Polską – przede wszystkim to psychologia, ale i cień Pruszyńskiego.

Po *Wronim uroczysku* (1964), wojenno-okupacyjnej książce dla młodzieży, znowu istotna pozycja: *Strumień* (1966) – trzy opowiadania, wśród których dość głośny *Dragon* i tytułowa opowieść. Rzecz o przewyciężaniu wojennej przeszłości, ba, także i powojennych niesprawiedliwości w imię dalszego życia. *Strumień* to wielki monolog wewnętrzny jadącego pociągiem Mieczysława Wojtyna, próbującego wrócić do normalności, odtworzyć się z rozbitych szczątków i fragmentów. Ale po prawdzie, czy taka normalność w latach sześćdziesiątych w ogóle istniała? Przecież żeby na modłę wymagań tamtego czasu stać się normalnym, trzeba było po prostu zapomnieć o najistotniejszych czynach swojego życia, zakłamać się. Ale pisać o tym Bystrzycki, nawet gdyby chciał, i tak by nie mógł. Snuje więc rozważania o chętnych do roli kata – warto to porównać z uwagami na ten temat Jana Józefa Szczepańskiego czy Konwickiego.

Ciekawa jest także powieść *Wyspa wniebowstąpienia* (1975), rozwijająca znany już nam motyw rozbitków. Idzie tu o zatopienie statku przewożącego wojsko i jeńców. Jak zwykle, spotykają się tu moralistyka i eschatologia, jak zwykle nie przestrzega autor następstwa wydarzeń. Po tym moralitecie *Nessie i inne opowiadania* (1976) – rzecz osnuta na kanwie własnych wojennych przeżyć – została przyjęta chłodniej. Za to doceniono w pełni szkice *Włoskie kartki* (1977) – relację z podróży do Włoch w 1966.

Dwie najwybitniejsze książki Bystrzyckiego ukazały się w 1982 i 1983. Dzięki przeróżnym figlom edytorskim lata te sprawiają wrażenie niezwykłego wręcz rozkwitu demokracji – tyle zakazanych dotychczas książek w tym właśnie okresie ujrzało światło dzienne. A więc przede wszystkim *Znak cichociemnych* (1983), książka dopominająca się o sprawiedliwość dla oficerów AK, zrzutków spadochronowych. Wielu z nich zginęło już w czasie wojny, inni

zostali zamęczeni w stalinowskich więzieniach, inni aż do niedawna musieli udawać, że wcale ich nie było. Książka dzieli się na dwie części. W pierwszej opisuje Bystrzycki swoją zawiłą i okreśną drogę do Polski, szkolenie, środowisko cichociemnych. Druga to losy poszczególnych oficerów. Książka dobra literacko, ma największe znaczenie dla historii współczesnej, jest owocem długich prac i zabiegów, a osobną epopeję stanowiły dzieje jej wydania, trwające niemal ćwierć stulecia.

Drugim, już ściśle literackim dziełem życia Bystrzyckiego jest dwutomowa powieść *Płynie rzeka, płynie* (1982). Jest to coś w rodzaju *W poszukiwaniu straconego czasu* – próba odbudowy przeszłości, ale głównie obraz zagłady minionego świata. Trudno mówić o akcji, jest ona bogata, złożona z posplatanych, zachodzących na siebie wątków. Punkt wyjścia jest współczesny: autor jedzie na spotkania, z czytelnikami do Miasta nad Rzeką. Nietrudno odgadnąć, że chodzi o rodzinny Przemyśl Bystrzyckiego. (Ciekawe jednak, że pisarze niebotycznie ponoć zakochani w swoich miastach za chińskiego boga nie chcą tam wrócić na stałe. I Bystrzycki naprawdę tak się do Przemyśla spieszy, jak Tuwim do Łodzi, a Broniewski do Płocka). W Mieście odżywają wspomnienia z dzieciństwa, z kampanii wrześniowej, z pierwszego okresu okupacji. To już przecież brama polskiego wschodu, więc mieszają się tu i trzy nacje, trzy kultury – polska, żydowska i ukraińska. Stąd książka Bystrzyckiego należy już do obrzeży nurtu ukraińskiego i ma w sobie coś ze Strykowskiego, Kuśniewicza, Vincenza czy Paźniewskiego. Nie mówiąc już o tym, że w prezentacji materiału zbliża się niekiedy do Leopolda Buczkowskiego. Szkoda może, że Bystrzycki jeszcze bardziej nie zaufał obrazowi i nie zrezygnował z nadmiernego rozbudowywania refleksji, celebrowania siebie i swojego pisarstwa. Ale to pewnie nieuleczalna choroba pisarzy. Mimo takich czy innych pretensji książka Bystrzyckiego jest imponująca i godna uwagi.

Wreszcie trzeba wymienić opowiadania i mikropowieść – *Ponar i inne opowiadania* (1985). Tu znowu dwie płaszczyzny czasowe. W tytułowej powieści narrator przyjeżdża na pogrzeb dowódcy partyzanckiego Ponara i snuje nieco mgliste refleksje. Trochę to po prostu przegadane – wielosłowie Bystrzyckiemu już wcześniej zagrażało. Ale w swoich książkach najlepszych umiał przecież z nim sobie radzić.

Ślady wojny i późniejszych przemian ustrojowych nie opuszczają także twórczości Wiesława Jażdżyńskiego, chociaż ostatnio zdają się z nimi konkurować wstrząsy lat osiemdziesiątych. No tak, jakaś karta obróciła się czy może zaczęła obracać – i literatura odnotowała to nieomylnie. A co do Jażdżyńskiego, to najforemniejszym jego dziełem była córka, którą chytrze szczerząc długie zęby wysłał do Australii, by po kolejnych sukcesach reformy miał mu kto suchary przysyłać. Dawno to temu było, teraz pewnie – i prawnuki na horyzoncie. Sam Jażdżyński (1920) był przez lata etatowym łódzkim prominentem – redaktorem, dyrektorem, prezesem. Kielecka młodość i łódzka elita władzy to jego zasadnicze doświadczenia życiowe, bez których nie potrafi się obyć w żadnej właściwie książce. Zauroczony tradycją narodową, reprezentuje jednak kręgi raczej międzynarodowe, zawieszony, jak sam napisał, „między prawdą a chlebem”. To co pisze, jest jakby jedną książką, będącą nieustanną rewizją przeszłości – trzeba przyznać, że na ten sam temat potrafi ciągle coś nowego powiedzieć. Jego bohater-narrator to z reguły młody chłopak z inteligencko-ziemiańskiej rodziny, hamletyzujący między antykomunistycznym ruchem oporu a Urzędem Bezpieczeństwa. W owych notatkach z nieudanych rekolekcji kielecko-łódzkich z reguły zwycięża historia. Narrator numer dwa to ten sam chłopak po trzydziestu latach, odwiedzający miejsca minionych wydarzeń, z reguły małe miasteczko na Kielecczyźnie.

Jeśli nie liczyć pierwszych socrealistycznych książek o tematyce powiatowo-nauczycielskiej (Jażdżyński był początkowo nauczycielem), to właściwy debiut przypadł na rok 1960. Była to powieść *Okolica starszego kolegi*, coś w rodzaju *Wspomnień niebieskiego mundurka*, tematyką powracająca do kieleckiego gimnazjum w latach 1937-1939, także Września i konspiracji. Książka jest napisana w tonacji wiskusowatej, dużo tu humoru, niekie-

dy brutalnego, i uczniowskich kawałów. Ów „starszy kolega” to Żeromski, który w tej samej klasie pod piecem siadywał. A do tradycji Żeromskiego i Sienkiewicza będzie się Jażdżyński przez całe życie przyznawał.

Czy Żeromski by się przyznał do autora *Umarli nie składają zeznań* (1961), to już inna sprawa. Książka składa się z opowiadania-reportaży ku czci milicji i Urzędu Bezpieczeństwa, zwalczających w latach czterdziestych polskich bandytów. Ten posepny czas został przedstawiony bardzo jednostronnie. Bandziory są okrutne, druga strona łagodna, nikogo nie męczy, nie bije, w więzieniach w tym czasie siedzą jedynie spekulanci i folksdojczy – i tak dalej. Z czasem ten klarowny obraz w następnych książkach Jażdżyńskiego jednak nieco się skomplikuje.

*Nie ma powrotu* (1963) to kontynuacja *Okolicy*. Bohaterowie, głównie Socjalista i Justyn Swoszowski, przeżywają kielecką okupację. Jest tu dość złożona sytuacja polityczna, od skrajnej prawicy po skrajną lewicę, są dworki i pałac, a także akcje zbrojne. Jak to u Jażdżyńskiego, nie brak odrobiny westernu, sensacji, wartkiego potoku narracji i nade wszystko publicystyki. *Nie ma powrotu* – do Polski przedwrześniowej.

Istotną zmianę jakościową przynosi owego cyklu część trzecia, *Świątokrzyski polonez* (1965), jedna z najlepszych i najbardziej znanych książek Jażdżyńskiego. Jest to panorama polityczna i społeczna Kielecczyny po wojnie, przy czym okres wcześniejszy także powraca ustawicznie. Obraz jest nasycony, żywy, wielobarwny, język także lepszy niż w poprzednich książkach. Bohaterem jest ten sam Justyn Swoszowski, nauczyciel wahający się między podziemiem a MSW. Wreszcie pod wpływem opatrnościowego porucznika Jabłońskiego autor się deklaruje. Część druga to dzieje walk z bandą Szatana – w zbrojnej potyczce bierze także udział całkiem już zdeklarowany Justyn. W książce nie brak sensacji, przygody, ale także humoru i lekkiej ironii. Porównywano ją z *Sennikiem współczesnym* Konwickiego. W każdym razie jest ona jeszcze jedną wersją „obrachunków inteligenckich”, trochę dokumentalnych, trochę pamiętnikowych.

Również w 1965 roku ukazuje się *Reportaż z pustego pola*, relacja z jedyne obozu koncentracyjnego dla dzieci, mieszczącego się w Łodzi przy ulicy Przemysłowej. A w rok później powieść *Między prawdą a chlebem*, gdzie po raz pierwszy pojawi się Justyn w wieku dojrzałym. Nazywa się tu Michał Mierzawa, jest dziennikarzem i literatem. Wewnętrznie rozbity, opowiada młodej żonie swoje okupacyjne i powojenne dzieje, mocno je przy tym koloryzując. A równocześnie pisze pamiętnik dla potomnych, gdzie przed samym sobą nie ukrywa blagi. Książka miała być niby rozprawą z mitomanią, ale, jak zauważono, autorowi jego Michał Mierzawa bardzo się podoba. Wszelkie podobieństwa do samego autora są oczywiście całkowicie przypadkowe.

*Sprawa* (1969) to znowu dwie płaszczyzny czasu, znowu powrót do przeszłości. Bohater, dawny partyzant, przyjeżdża po dwudziestu latach do Miasteczka i przeprowadza wśród dawnych towarzyszy broń swego rodzaju śledztwo – rzecz w tym, że ktoś wysłał paskudny anonim, który mu przysporzył wielu kłopotów. Stąd nieufność do wszystkich i wszystkiego, wątpliwości, czy nawet tak serdeczne więzi są trwałe. Ale narrator (literat rzecz jasna) przesadza: anonimu nie wysłał nikt bliski, świat nie jest tylko ciemnym labiryntem, to raczej nasza świadomość czyni nam psikusy. *Happy end* – znowu dość u Jażdżyńskiego powszechny.

*Pomnik bez cokołu* (1971) to saga rodu Drzewieniów, legionisty Karola, jego syna, „Kolumba” i narratora całości Seweryna oraz najmłodszego Sławomira, przy czym najważniejszy jest w całej książce stosunek do tradycji, do przeszłości. A także problem rodziny, trwałego oparcia człowieka. Przypomnijmy, że lata siedemdziesiąte stały właśnie pod znakiem rodziny, nawet i Połanieckich. Gierek i Kościół byli tu jednomyślni, Jażdżyński też.

Do ładniejszych książek Jażdżyńskiego należy *W ostatniej godzinie* (1971) – znowu rachunek z okupacyjną przeszłością, ale w tonacji balladowej. Koniec kultury dworu i pałacu, koniec pięknej tradycji. Narrator, jak zawsze ten sam, kocha się tu w panience z pałacu, jest

zresztą politycznie obojętny, i tak wszystko rozstrzygnie za niego historia. Jak zwykle panorama polityczna konspiracji. W tym też mniej więcej okresie Jażdżyński napisał parę książek harcersko-młodzieżowych. A więc *Czuwajcie w letnie noce* (1972) i *Ścisłe tajne* (1974). Pierwsza to harcerska przygoda wakacyjna – przestępcy, milicjanci, sensacja i harcerski folklor. Druga to współpraca harcerzy z milicją. Jeśli idzie o młodzieżowy folklor, zadziwiła mnie pioseneczka: „Przez zielony bór idzie sobie knur, tupu, tupu, tupu, wprost do punktu skupu idzie sobie knur.” Jeśli idzie o muzę nieco lżejszą, to i później Jażdżyński spróbował dla odmiany science-fiction, pisząc kosmidło *Adara nie odpowiada* (1985). I dobrze czyni; z dwojga złego niech już Jażdżyński zajmuje się ziemią.

Sprawdzonym już schematem posłużył się w *Pojednaniu* (1974), powrotem w okupacyjną krainę młodości, gdzie prawica i lewica może i mniej się nienawidziły, niżby to z doktryny wynikało. Nieco bliższymi czasami zajmuje się w *Końcu sezonu* (1976), gdzie Tomasz, zostawszy naczelnym redaktorem, rychło zasmakuje atmosfery podejrzeń i szczucia wręcz kafkowskiego, aż zostanie zmuszony do rezygnacji ze stanowiska. Lecz tu nie metafizyczny los się uwziął, lecz opuszczona, zła żona. W *Między brzegami* (1977) znów mamy powrót do początków władzy ludowej, do hamletyzującego Karola Żesławskiego, miotającego się między lewicą a prawicą.

Natomiast *Daleko od prawdy* (1981) inauguruje coś nowego. Jest to jakby pamflet na późne lata siedemdziesiąte, na karierowiczostwo i manipulowanie ludźmi. Bohaterami są małżonkowie, dziwnie dość dobrani, gdyż on literat, a ona kosmetyczka. Ale właśnie literatura jest tutaj nie czym innym, jak odmianą kosmetyki. *Gdy pęka nieć* (1982) z kolei nie jest – wbrew możliwym domysłom – historią młodej tkaczki Justyny, która waha się między tradycyjnym wiązaniem węzełków ręką prawą a postępowym wiązaniem lewą, przy czym rzecz rozstrzyga historia, ujawniając, że Justyna i tak ma dwie lewe ręce. Nie, jest to historia osnuta wokół starego profesora i jego zawitych stosunków z własną rodziną. I znów historia panuje nad dniem dzisiejszym, znów młoda żona, jeszcze młodsza wychowanka, nieco sensacji, happy end. I jest jeszcze jedna historia rodzinno-pokoleniowa *Ogrody naszych matek* (1984), obejmująca okres pół wieku, wątki legionowe, kieleckie i współczesne. Pośród patetycznych mężczyzn krążą trzeźwo myślące kobiety.

*Prawdy ze świata kłamstw* (1984) to dobrze nam już znany i partyzant, i dziewczyna, ale na tle początku lat osiemdziesiątych. W istocie rzeczy geneza książki jest publicystyczna. Udatniejsza, po prostu ciekawa, jest *Kolonia wszystkich świętych* (1986) – rzecz o elitarniej mazurskiej kolonii prominentów i jej rozpadzie w roku 1981. Opowieść snuta z punktu widzenia starego profesora – dość zasłużenie dostało się tu obu stronom, przy okazji pochwalił Jażdżyński tradycję i rodzinę. Ciekawe jednak, że tak się przerzucił z literatów na profesorów.

Godne uwagi jest to, że te niezliczone wręcz warianty autobiograficzne (niektóre utwory Jażdżyńskiego uważane są wprost za powieści z kluczem), medytacje człowieka, który nie jest pewny wartości swego życia, za każdym razem są jednak odmienne. I dość chętnie czytane, bo mimo niewątpliwych niekiedy oznak pośpiechu Jażdżyński wykazuje wiele inwencji w sensacyjnym prowadzeniu akcji, w wyszukiwaniu coraz to nowych aspektów przeszłości, którą można w różny sposób zinterpretować – mimo że, niestety, nie sposób jej nigdy zmienić.

Cokolwiek by się rzekło, Józef Stompor (1922) należy do najpoczytniejszych autorów współczesnych, co mocno niekiedy denerwowało krytyków i kolegów, gdyż jego sztuce literackiej można by to i owo wytknąć. Stąd złośliwe przypominanie Mniszkówny albo przynajmniej Rodziewiczówny. Józef Stompor, lekarz – początkowo chirurg, później specjalista od alkoholizmu i lekomanii – jest autorem jakby jednej tylko książki, ale w wariantach niezliczonych. Centralnym problemem jest uwikłanie bohatera w sprzeczne posądzenia, od czego nie może się uwolnić: Niemcy posądzają bohatera o związek z partyzantami, a Polacy o kolaborację z okupantem. Tymczasem rzecz wygląda w ten sposób, że bohater-lekarz, zgodnie ze

złożoną przysięgą, lecz po prostu wszystkich – niezależnie od swych przekonań i sympatii.

Stompor ma trzy zasadnicze, zawsze obecne, zawsze ze sobą splecione tematy: wojnę, medycynę, miłość. Wojna to nade wszystko walki partyzanckie na Kielecczyźnie, powstanie warszawskie i wreszcie walki obronne w 1939 roku, ze szczególnym uwzględnieniem Łomżyńskiego. Wojsku i partyzantom towarzyszy lekarz, z reguły młody chirurg, kawaler. Na jednej stronie bohater operuje karabinem, na następnej masakruje ludzi lancetem. Na trzeciej idzie na randkę z pielęgniarką. Gdyż romans jest tym trzecim, wszechobecnym składnikiem Stomporowej prozy. Zawsze z pielęgniarką czy sanitariuszką, innych kobiet Stompor nie uznaje. Częściowym odstępstwem była *Narkomanka*, gdzie romans i temat medyczny kształtowały się trochę inaczej, a strzelać nie było do kogo.

Stompor opiewa Puszczę Świętokrzyską, skąd pochodzi, ale także Łomżę, której został wyznawcą i wielbicielem – a także i obywatelem honorowym. Józek jest przemiłym kompanem, trochę zanadto w sobie zakochanym, ale to literatów powszechna przywara. Prawda, że patrzy na człowieka, jakby mu chciał natychmiast to, a jak się da, to także i owo amputować. A przecież z poświęceniem pełni służbę medyczną. Jako alkohololog przebadał na sobie złośliwie działanie na organizm i ratafii z piwem, i samogonu, i calvadosu, portera, starki i koniaku, spirytusu z szampanem, becherowki, araku, grappy i smirnowki, monasterki, czaczy i pejsachówki, geneweru i krambambuli, rumu i palinki, „krwawej Mary”, angostury, krupniku, mastiki, burbona, armaniaku, sake, fen-czu, Jasia Wędrowniczka, tarniówki, absyntu i „taty z mamą”. Przed niczym nie cofnął się lekarz dobry. Słowem, jest to medyk wyjątkowo wszechstronny, żaden pacjent nie uszedł mu cało.

Do czytelniczego sukcesu przyczyniła się wartka narracja, bardzo proste dialogi, jakby z Dumasa rodem. On sam woli raczej przyznawać się do Hemingwaya, Żeromskiego i Sienkiewicza. Narracja z reguły w pierwszej osobie, chętnie też stosuje pamiętnik i dziennik. Po prawdzie to, co pisze, bardzo często przypomina jakiś notatnik.

Debiutował Stompor powieścią *Leśne noce* (1958), przedstawiając tu dzieje oddziału partyzanckiego AK w latach 1942-1944 na Kielecczyźnie. Jest to romans studenta medycyny z pielęgniarką, ale równie ważna jest cała partyzancka, żołnierska gromada, oddział Szarego. Wysadzenie pociągu, uwięzienie, odbicie z więzienia, sielanka miłosna w lesie, bitwa, śmierć przyjaciela i dziewczyny. To było jądro, do którego Stompor będzie w przyszłości dodawał nowe sprawy, zmieniał imiona bohaterów, poszerzał czas i miejsce akcji.

Nieco inaczej przedstawia się powieść następną, *Partyzant od Starego* (1960), dwuwątkowa. W wątku pierwszym ów tytułowy partyzant, niesłusznie posądzony o współpracę z gestapo, dwukrotnie ucieka z niemieckich rąk i w końcu ginie. Wątek drugi to dzieje oddziału Starego, walczącego w okolicach Starachowic. Rzecz sprawia wrażenie autentycznej, zwraca uwagę dobra batalistyką.

*Człowiek z lancetem* (1964) rozwija wątek niesłusznego pomówienia o szpiegostwo. Rzecz zaczyna się już po wojnie, z odwołaniem do lat okupacji. Do małego miasteczka przybywa chirurg z Warszawy. Stopniowo okrąża go sieć pomówień, małomiasteczkowe plotkarstwo. Rzecz ciekawa, że ów chirurg, podobnie jak inni bohaterowie Stompora, nie płami się przeczytaniem bodaj jednej książki czy też myśleniem o czymkolwiek innym niż wojna. Jakż przepaść między postaciami Stompora a środowiskiem Gajcych, Trzebińskich czy choćby bohaterów J.J. Szczepańskiego. Ale to właśnie bohater Stompora zyskuje łaskę czytelników...

Dramaty posądzeń, humanizmu, lekarskiej powinności i zdrady znajdziemy w krótkich opowiadaniach: *Szpital pod jodłami i inne opowiadania* (1966), jednej z lepszych, bardziej chwalonych książek Stompora. Podobna problematyka czeka nas też w *Rapsodii świętokrzyskiej* (1968), której bohaterem jest – dla odmiany – sanitariusz. *Orły* (1968) to książka młodzieżowa, o trzech braciach, z których jeden, lekarz, przybywa z Warszawy do Starachowic, drugi trafia pod Lenino, a trzeci pod Monte Cassino. Zauważono już dawno, że Stompor pisząc o różnych orientacjach politycznych szczególnie dba o symetrię i o wyważenie zasług.

*Płonące lazarety* (1972) to jedna z bardziej znanych książek Stompora. Przedstawia powstańczą Warszawę z perspektywy lekarza i sanitariuszki. Rzecz jest ułożona chronologicznie, lekarz podąża za walczącymi oddziałami, a wreszcie przepływa Wisłę. Tę wędrówkę bohatera wykorzystuje jeszcze autor w przyszłości.

Teraz przychodzi czas na *Niewierną* (1974), najbardziej znaną i czytaną książkę Stompora, a przy tym najbardziej atakowaną. Rzecz dzieje się w Łomży. Młody lekarz ucieka do podziemia. W szpitalu zostaje jego narzeczona, oczywiście pielęgniarka, która kokietując Niemców zdobywa cenne informacje dla partyzantki. Ale pozory sprawiają, że zostaje oskarżona o szpiegostwo na rzecz okupanta, a wydany wyrok ma wykonać właśnie jej narzeczony. Tymczasem Niemcy rozszyfrowali już prawdziwą rolę Joanny, aresztowali ją i skatowali. W ostatniej chwili odbija ją Zbigniew, ów narzeczony. No, nie może to nie być melodramatyczne. Ale problematyka dwuznacznej roli, granicy, do której można się posunąć w kolaboracji na rzecz swojej prawdziwej sprawy jest problematyką istotną. Tak więc i połajanki, i pochwały miały jakieś swoje uzasadnienie. każdym razie wszystkie pielęgniarki w całym Perelu zakochały się w autorze na zabój.

Sporo hałasu wywołała także *Narkomanka* (1980), książka równie szybko rozchwyтана. Rzecz się dzieje współcześnie. Polski lekarz prezentuje wiedeńskiej dziennikarce różne instytucje służby zdrowia i przede wszystkim pacjentów, przypadki posępne i beznadziejne. Mamy tu oddział urazowy szpitala na Powiślu, przychodnię odwykową, pogotowie. Ale oprócz tego i dziennik owej żurnalistki Moniki, która, po pierwsze, okazuje się łomżynianką, po wtóre – lekomanką. Najważniejszy był jednak obraz wszelkich uzależnień, w czasach kiedy nie tak wiele jeszcze o tym mówiono.

Po powieści młodzieżowo-partyzanckiej *Duchy Baszty* (1982) przyszła jedna z głównych książek Stompora, *Rozdroża miłości* (1985). Tu właśnie w największym wymiarze został zastosowany motyw uwikłanego w wojenne wydarzenia lekarza. Nasz bohater, lekarz – kapitan Hubert Drabik, jest po trosze wszędzie. Z Raginiszem broni Wizny, potem wojuje z Hubalem, trafia do kieleckiej partyzantki, wreszcie walczy w powstaniu warszawskim, i – jak zwykle – kocha się w pielęgniarce, którą jest panienka ze dworu, Justyna Stawska. On w BCh, ona w AK, niby tam jakiś rzekomy poszept mezaliansu. (Tymczasem przecież już przed wojną sześćdziesiąt procent polskiej kadry oficerskiej miało pochodzenie chłopskie, robotnicze, rzemieślnicze...). Wszystko kończy się nie za dobrze, bo ona emigruje, a on zostaje i też go sielanka tu nie czeka.

Następna książka to kolejna wersja znanego nam już wątku – *Orły, Klara i medycy* (1987) – tym razem młody lekarz-chirurg przebywa podczas okupacji w Iłży. I ta książka została szybko rozchwyтана. A tyłu co u Stompora operacji, zabiegów, ran postrzałowych, surowic przeciwwężcowych i czego tam jeszcze w całej literaturze Polski i świata z pewnością się nie znajdzie.

Ledwie złapiemy łyk powietrza po tych oparach chloroformu, a już u Kiwki wpadamy w gęsty dym prochowy. Ze Zbigniewem Kiwką (1932) sprawa jest dość szczególna. Należy właściwie do generacji następnej, „współczesnościowej”, ale jego utwory batalistyczne są pisane tak, jakby autor był uczestnikiem bojów. Może data urodzenia była niemal graniczna, może odegrał rolę pietyzm dla pamięci ojca, uczestnika walk o Kołobrzeg, dość, że narrator Kiwki jest uczestnikiem, a nie obserwatorem. Autor mieszka w Słupsku. Zaczynał jako poeta, już przed debiutem książkowym był laureatem wcale licznych nagród. Jest jakby przeciwieństwem Stompora i jego notatnikowego zapisu. Kiwka jest bardzo gęsty, wręcz ekspresjonizujący. I właśnie obrazy zamętu, rozpętania bitewnego żywiołu należą u niego do najciekawszych.

Debiutował dwiema, ciekawie połączonymi ze sobą książkami – *Śmierć przychodzi nocą* (1963) i *Na początku był front* (1963), ukazującymi tę samą kołobrzeską bitwę, ale z dwóch różnych stron, niemieckiej i polskiej. Dopiero obie razem dają stosowną głębię obrazu. Rzecz

nie sprowadza się zresztą do samej bitwy, chociaż ona jest najsugestywniejsza. *Śmierć przychodzi nocą* to rozległy wizerunek strony niemieckiej, malowany bardziej zróżnicowanymi kolorami, niż się to u nas dotychczas praktykowało. W ogóle odkrycie, że nawet najzjadliwszy wróg jest także człowiekiem, przychodziło naszej literaturze z niemałym trudem. Kiwka, niestety, też niedaleko wyszedł poza schemat, że dobry Niemiec to po prostu komunista. (Takiego Willy Brandta czy Tomasza Manna zastrzeliliby pewnie bez wahania). W każdym razie mamy tu sensacyjny i może nie we wszystkim prawdopodobny obraz działania konspiracji antyhitlerowskiej, jeszcze daleko za linią frontu. Potem nadciąga front i cały świat się rozsypuje – to właśnie ta sugestywna część książki. Para bohaterów, Hans Rauber i Kurt Zdepp, staje przed ciężkim wyborem: wierności ideologii czy narodowi; każdy wybiera inaczej. Pandemonium bitewne, w którym człowiek jest po prostu bezradny, to rzeczywiście ważne dokonanie Kiwki. Technika wyraźnie ekspresjonistyczna, pełna przeskoków, epizodów, intensywnie nasycona realiami, niekiedy bardzo pomysłowa.

Pendant do tego stanowi powieść *Na początku był front*. To strona polska, dla której front jest właśnie początkiem, a nie – jak dla Niemców – końcem. Jest to jakby żołnierski pamiętnik, a dość nikłą fabułę zastępuje historia, a najciekawsze, niekiedy wręcz pasjonujące karty książki zapisuje batalistyka. Ale jest i problemat ogólniejszy, bo i tu jest dwóch przyjaciół, zawieszonych między ideologiami – karygodną przeszłością akowską i stalinizmem. Znamienna dla nowych, pozytywnych czasów jest wątpliwość, który z nich pierwszy zadecyduje przyjaciela. W każdym razie główny bohater, Drahan, dojrzewa do nowej, słusznej ideologii, a to na drodze „oddalania się od siebie”. Słowo daję, nie kpię, a Kiwka naprawdę chyba nie widzi złowroziej dwuznaczności tej formuły.

Dalsza twórczość Kiwki jest dość wyrównana, a obraca się najchętniej w kręgu tych samych spraw i problemów narodowych i moralnych. *Dwie barwy jednej wiosny* (1966) to dzieje pułku lotnictwa myśliwskiego „Warszawa”. Ale jest też tu i sprawa wyboru duchowego. Bohater jest ogarnięty pragnieniem zemsty, gdyż był świadkiem, jak jego przyjaciela, skaczącego ze spadochronem, zestrzelił niemiecki myśliwiec. Czatuje więc na podobną okazyję, a gdy do niej wreszcie dochodzi, nie decyduje się zabić bezbronnego.

*Araukarie pana Crolla* (1970) przenoszą nas do współczesnego Berlina Zachodniego, gdzie polski pisarz spotyka tytułowego bohatera, kiedyś komendanta kacetu gdzieś pod Lwowem, a obecnie producenta wózków inwalidzkich. Część środkowa jest introspekcją okupacyjną, a rzecz o tyle się wikła, że ów Croll ocalał kiedyś żydowskiego chłopca, dziś sławnego śpiewaka. Intencje tego ocalenia były mocno dwuznaczne. Także inne zawilości romansowe i fabularne. Raczej niewypałem okazała się *Carina* (1971), opowieść o przejściu frontu przez małe miasteczko pomorskie, gdzie zachowała się grupa etnicznych Polaków. Tytułowa bohaterka Carina Bytnarówna właśnie ich reprezentuje. Romans, western, batalistyka, co kto sobie życzy, ale trochę mało prawdopodobne. Za to niezłe został przyjęty tom opowiadań *Ostatni krok w chmurach* (1972) – o walkach II Korpusu we Włoszech, paradoksach wojny, smaku klęski i zwycięstwa.

Zdecydowanie niedocenionym autorem był Władysław Wągiel (1923-1974), choć trzeba przyznać, że po jego przedwczesnej śmierci ukazywały się wznowienia jego książek, całkiem dobrze przyjmowanych. Mam w tym i ja drobną satysfakcję, bo zwracałem na niego uwagę już przed laty. Cały zamknięty w konsekwencjach wojny, należy do tych, którzy dostrzegają zniszczenia moralne, jakie ona niesie. Jest u niego wręcz obsesja moralna, zbliżona do kompleksu lorda Jima – iluż autorów tu omawianych nosi przez całe życie jakiś zapiekły uraz, któremu nie potrafi się wymknąć... Czego Władek, skromny i życzliwy ludziom, nie dopełnił, czy też czego uczynił za wiele – nie wiem i wiedzieć nie chcę. Znałem go, lubiłem i nie sądzę, by to mogło być coś bardzo szkaradnego. A na marginesie dodam, że uważny krytyk zazwyczaj wie o swoim autorze znacznie więcej, niż ten chciałby ujawnić.

Debiutował powieścią *Ślad człowieka* (1968), w której były więzień stalagu pracujący w



cukrowni przyjeżdża do niej po latach jako tłumacz niemieckiej wycieczki. Wśród gości spotyka znajomą twarz. Usiłuje dociec, kto to. Rekonstruuje czasy pogardy, wspomina miłość do dziewczyny i nienawiść do Niemki. A właściciel znajomej twarzy okazuje się właśnie jej ojcem, komendantem obozu. Rozdarcie i podwójność czasu będą też znamiem następnych książek.

W *twierdzy Courbiere'a* (1969) mamy tragiczną historię Piotra Schmidta – Polaka z Grudziądza, siłą wcielonego do Wehrmachtu – oblężenie i upadek miasta oraz odejście bohatera do rosyjskiej tym razem niewoli. Gorzka dola pogranicza kulturowego.

Wreszcie pozycja najpoważniejsza – *Fajka z hebanu* (1971), powieść najbardziej conradowska. Tu bohater-narrator, zmuszony w Oświęcimiu do budowy krematoriów, nadaremnie szuka ucieczki i wybaczenia, aż wreszcie po niedoszłym samobójczym zamachu ginie przypadkowo pod kołami tego samego autobusu.

Tylko te trzy cienkie książeczki. Ale to wyjątkowo wrażliwa i delikatna proza. I tak sobie je teraz przeglądając pomyślałem, że mogą się też okazać wyjątkowo trwałe.

Nieco na uboczu, mało do czego podobna, sytuuje się twórczość Bogdana Ruthy. Rzeczywiście, polska literatura „serio” nie przepada nadmiernie ani za sensacją, ani za niesamowitością, ani, oczywiście, za mistyką. Jakoś wolimy świat mniej ciekawy, a za to bardziej jednoznaczny. Tymczasem już w samym pojęciu sensacji, a więc niezwykłości, kryje się założenie, że świat jest zorganizowany ciekawiej i ma nam więcej do zaoferowania, niż to się widzi każdego szarego dnia. Porządkiem naszego świata, świata naszej literatury, jest porządek zgrzebny. Rutha należał do tych nielicznych autorów, którzy byli zafascynowani właśnie niezwykłością, też zresztą dalece niekonsekwentnie. Stąd oceny krytyczne Ruthy wypadły nieco kwaśno i jakby półgębkiem. Czytelnicy potrafili te książki lepiej docenić.

Prawdą jest to, że Rutha bywa kontrowersyjny, a nawet dziwaczny. Jego uparty mizoginizm, przewlekanie sytuacji wyraźnie sadystycznych, nie ukrywana pogarda do wszystkich poza sobą nie zawsze bywają sympatyczne. Ale potrafi być bardzo zajmujący, budować niezwykle sytuacje, opatrywać je nieoczekiwanym komentarzem, trzymać w napięciu uwagę czytelnika, wreszcie budować atmosferę niezwykłości i niesamowitości. Bardzo wiele tu szyderstwa, żartu i ironii. Tematy zaś często zbliżone do siebie. W znacznej mierze wywiedzione z autentycznych przeżyć i doświadczeń autora.

Bogdan Rutha (1920-1983) był postacią tajemniczą i owianą różnymi legendami. Wywodził się z arystokratycznej rodziny wielkopolskiej, młodość spędził w Davos i Lozannie. Pozawierał tam niezwykle znajomości, od sądownego później w Norymberdze Funka (a obejrzał sobie przy okazji i księcia Windsoru z panią Simpson, i nawet Hitlera), po przywódców Hiszpańskiej Partii Komunistycznej. Dla republikańskiej Hiszpanii bardzo się angażował, podejmował się też niebezpiecznych funkcji kurierskich. Te doświadczenia, znajomości i rozeznanie w zachodniej Europie staną się fundamentem jego twórczości. Inna sprawa, że niektóre jego przygody są tak niezwykle, że trudno, mimo zapewnień autora, uwierzyć w ich autentyczność. Jego dzieje okupacyjne i powojenne były też niebanalne, a jeszcze szeptano o jakichś zawilościach w życiu osobistym.

Zaczął pisać późno, powracając w fabule do tych samych wątków, rozbudowywał wcześniejsze książki. Ale już sam debiut był wielce osobliwy. *Opowieści z Davos* (1961) zawdzięcza Rutha tej okoliczności, że w owym rozslawionym przez *Czarodziejską górę* uzdrowisku szwajcarskim mieszkał nie tylko w tym samym sanatorium, ale w tymże pokoju nr 34 co Hans Castorp i jego twórca. I o sobie współczesnych kuracjuszach napisał opowieść mannonową. A więc wielonarodowa galeria postaci, pojedynki ze śmiercią, towarzyskie komeraże, narastanie totalizmu, który tu już niedwuznacznie nazywa się faszyzmem. Wiele świadomych podobieństw i persyflaż równocześnie. Bardzo ciekawe zwierciadło *Czarodziejskiej góry*, a przy tym punkt wyjścia dla innych książek samego Ruthy. Już tu bowiem pojawia się pan Lew Gutman z *Wyspy psów* i pamiętnik, który rozrośnie się w *Lawendowe wzgórze*.

*W Hiszpanii o świecie* (1967) to książka sensacyjna w stylu Clifforda, a zarazem stwarzająca wyraźną sytuację egzystencjalną, nie bez przyczynienia się *Nadziei* Malraux. Trzej republikanie, Rémy, Dante i Maks, tropią w ruinach starego kościoła faszystę z ważnymi papierami. Kościół jest hojnie wyposażony w wieże, lochy, tajemne przejścia. Pełno reminiscencji z przeszłości, niezwykłych i malowniczych epizodów z pola walki, zaskakujących niespodzianek. Ostatecznie wszyscy giną – faszysta, republikanie i pies. Motyw psa nawiedzi i inne książki Ruthy. Książka sensacyjna, lecz i przypowieść, parabola zarazem.

Jedno wielkie, błyskotliwe pasmo przygód wypełnia *Misję o północy* (1969), w której ścigany przez faszystów republikański kurier ze Szwajcarii przez Włochy, morze, Francję, Pireneje dociera do Hiszpanii różnymi środkami lokomocji, oprócz roweru, sterowca i łodzi podwodnej, wśród niebezpieczeństw, zaskakujących sytuacji, pogoni i ucieczek. Olbrzymia brawura, choć brak tu tej głębokości oddechu, co *W Hiszpanii*. Ale jest bardzo szczegółna atmosfera, która sprawia, że we wszystkich książkach Ruthy chodzi o coś więcej, niż wynikałoby z samej fabuły. Narrator, a wraz z nim czytelnik mają poczucie, że uczestniczą w czymś ważnym, istotnym, przerastającym los jednostkowy. „Walczyli i oddali za sprawę Republiki, co mieli najlepszego, ponieważ byli przekonani, że jest jeszcze coś doskonalszego nad samo życie.”

*Wyspa psów* (1971) znów przenosi nas do sanatorium w Davos. Bohaterem i rezonerem zarazem jest tu polsko-amerykański Żyd z Białegostoku, Lew Gutman Podolski. Rok już trzydziesty dziewiąty, tuż przed wybuchem wojny, Niemcy rządzą się w Szwajcarii, jak tylko chcą. Chcą zaś zdobyć konta bankowe swoich przeciwników. Na którymś z tych kont, jak się okazuje, tkwią resztki skarbu templariuszy, którego Gutman jest jednym z powierników. Ścigany przez faszystów, powierza tajemnicę narratorowi. Ostatecznym przeznaczeniem skarbu jest budowa jakiegoś szczególnego miasta miłosierdzia dla ludzi i zwierząt na Wyspie Psiej na Tamizie (znamy ją przecież z *Ziemi jałowej*; „Galary mkną za Wyspę Psią”). Oprócz tego tajemnica jakiegoś zabójczego wynalazku, masonerii etc. Tajemnice nie będą rozwikłane, Gutman ginie, skarb zostanie skradziony. Cały ten wątek sensacyjny można oceniać różnie. Ale obok tego jest przecież studium umierającego na gruźlicę starego człowieka, są też nieskończone, bardzo żydowskie opowieści samego Gutmana. I też nierównej jakości – niekiedy mądre i ciekawe, niekiedy ryzykowne, długie i głupie. Co tu dużo gadać, widać, że to jednak goj pisał i kwita. (Nie wiem, dlaczego jajka wielkanocne nie poświęcone smakują gorzej, a pejsachówka bez certyfikatu rabina to jednak nie to). Serio, Rutha podejmie tematykę żydowską na wielką skalę raz jeszcze i też nie będzie się w niej czuł całkiem pewnie.

Na razie wydaje opowiadania *Nasze ciekawe czasy* (1972), niejednokrotnie potem przedrukowywane, obejmujące ulubiony okres tużprzedwojenny, ale i czasy późniejsze. Davos, Monachium, faszystowskie niebezpieczeństwo, atmosfera niesamowitości i tajemnicy, wrażenie, że autor nie mówi nam wszystkiego. Zarazem groteska i ironia.

Wielką i sławną konstrukcją jest powieść *Szczurzy pałac* (1973), dziejąca się w czasie okupacji w Polsce, najprawdopodobniej w Piotrkowie Trybunalskim, w getcie. Komendant owego getta, tyleż historyk co szaleniec, wystylizowuje je na tajemniczą średniowieczną, groźną i groteskową konstrukcję. Narrator wprost lunatycznie getto owo nawiedza, prowadzi rozmowy z wielkim wiedeńskim neurofizjologiem Glazerem, kocha się w pięknej dziewczynie Adzie Capiertzównie. Jest i tu widmo jakiegoś tajemniczego wynalazku, który Niemcy chcieliby zdobyć, są sceny gwałtów i okrucieństw, jest cała widmowa agonია żydowskiej społeczności. A przy tym równie krwawe i okrutne wątki XVI-wieczne. Ostatecznie narrator nie ocali nikogo, wszystko ogarnie śmierć, szczury, mrok i gorączka. Coś bardzo odmiennego od wszystkich innych książek martyrologicznych. Na ogół starano się spisywać po prostu fakty, których groza zastępowała jakąkolwiek wymyślniejszą fabułę. Po prawdzie, to owa fabuła wydawała się nawet nie zanadto stosowna. Rutha nie przejął się tymi ograniczeniami, do martyrologii dodał sensację i wątki niesamowite, stworzył rzeczywiście coś nowego, ale

całość przyjmuje się mimo wszystko z odrobiną mieszanymi uczuciami. Różnie można by rzec o dobrym smaku tego dzieła – scena gwałcenia dziewczyny przez esesmańskie psy to jednak chyba trochę za dużo. Ale książka jest rzeczywiście pasjonująca i została z punktu zaczytana. Przyznam jednak, że skoro autor zaryzykował tak wiele, to oczekiwałbym od niego także jakiegoś mistycznego odrobinę uogólnienia, jakiejś próby dotarcia do historycznego, duchowego, ponadjednostkowego sensu tych wydarzeń, bez czego relacja robi się tylko zbiorem okrutnych osobliwości. A tego jednak zabrakło – i pewnie nie leżało to nawet w możliwościach i duchowym wyposażeniu Ruthy. Ale ów brak odbija się i na innych jego książkach. Horyzont jest bliskohistoryczny albo fizjologiczny. Szkoda, ale bez tego wielkiego wymiaru to ani Mann, ani Hesse z pisarza nie wyrośnie.

W 1975 ukazują się dwa duże opowiadania pt. *Sala pełna księżyców*, z których godne uwagi jest zwłaszcza drugie, *Przyjęcie w hotelu Angleterre*, powracające do pobytu w Davos, a w 1978 najbardziej chyba okrzyczana książka Ruthy *Cudowne wspianiałe życie*. Sam autor nazwał tę książkę „nowym *Dekameronem*”, ale jest to *Dekameron* wyjątkowo szyderczy. Otóż skromny współczesny pan, już nie młodzieniec, postanawia się sprawdzić i zatonać w seksie. Niestety, ma wyjątkowego pecha do kobiet, okoliczności, sytuacji, przedmiotów. Dziesięć fatalnych przygód, z których nic nie wychodzi. Książka w istocie obsesyjna, równocześnie bezgranicznie szydercza, obfitująca w mnogość dwuznacznych sytuacji. Raczej po prostu zabawa niż cokolwiek innego, chociaż autor miał wobec kobiet uczucia rzeczywiście dość złożone.

Dowodzi tego ogromne dzieło wydane już pośmiertnie, *Lawendowe wzgórze* (1987), pisane chyba przez wiele lat. Jego załączek znajdziemy już w pierwszej wydanej książce Ruthy. Następnie zaś ukazała się powieść *Dozorcy słowików* (1974), która ostatecznie okazała się także fragmentem *Lawendowego wzgórza*, prawie trzydziestoarkuszowego tomiszcza. *Wzgórze* to dziennik młodej mężatki, Holenderki Julii van N., znaleziony po jej śmierci w sanatorium przeciwgruźliczym. Julia należy do sfer dobrze sytuowanych i obraca się w środowisku europejskim. Jej prawdziwą pasją, jak każdej zresztą kobiety, jest erotyka. Mamy tu więc mnóstwo przygód męsko-damskich, ale także i lesbijskich, niekiedy wielce pomysłowych – idea *Dekameronu* nie opuszczała Ruthy i tutaj. Szyderstwo i odrobina cynizmu tworzą atmosferę tej książki. Dowiadujemy się, że kobieta jest w miłości nienasyconym nigdy smokiem, że zawsze zdradza, że nigdy nie ma dosyć. Trzeba przyznać, że obserwacje Ruthy bywają trafne, nie mówiąc o tym, że są dowcipne, paradoksalne i złośliwe. Jest to także popis erudycji na wszelkie możliwe tematy, jak to i w poprzednich książkach bywało. Inna sprawa, że poszczególne elementy tej erudycji niekiedy wydają się wątpliwe. Tak jest na przykład w sprawie psów, używanych w ogrodach sułtańskich przeciw kotom. Otóż Rutha wyraźnie nie wie, że islam nie znosi psów, a bardzo wysoko ceni koty. Pewien mądry kot usnął na szacie czy na kolanach nauczającego Proroka, a ten skończywszy nie ruszył się z miejsca, nie chcąc budzić zwierzęcia. I muzułmanie, i koty wiedzą o tym znakomicie, Rutha natomiast opowiadał ambaje. Niestety, horyzont duchowy autora jest mniej więcej taki jak i w *Szczurzym pałacu*, co zdecydowanie za mało na wielkość prawdziwą. Dodajmy, że tu znów mamy lata przez Ruthę ulubione, tużprzedwojenne, stąd narastanie faszyzmu i dyskusje o nim, co nas z kolei odsyła do *Doktora Faustusa*. W sumie ta wielka książka jest popisem erudycji, stylu, dowcipu, zaskakujących conceptów.

Dziwna, zastanawiająca twórczość, niezbyt dobrze przylegająca do zasadniczego nurtu literatury polskiej. Była chyba o włos od czegoś bardzo dużego formatu, ale właśnie owego włosa ostatecznie – niestety – zabrakło.

Inną, osnutą legendami, tajemniczą postacią jest Marian Reniak, również uprawiający literaturę sensacyjną. Jest to pseudonim Mariana Strużyńskiego (1922), żołnierza AK, później, w latach 1948-1964, oficera kontrwywiadu. W jaki sposób żołnierz Kedywu został funkcjonariuszem UB – to historia, o której sam Reniak pisze dość niejasno. W każdym razie pozwoliło

mu to wziąć udział w niezwykłych doprawdy przygodach szpiegowskich, w których oficjalnie był szpiegiem amerykańskim, w istocie zaś polskim, jak powiada nieoceniony dziennik TV, wywiadowcą. Tajemnica w tajemnicy; przyjmijmy, że trzeciej warstwy już nie ma. Ale jakby się okazało, że tak naprawdę Strużyński był przez cały czas agentem japońskim albo patagońskim, to też bym się bardzo nie zdziwił. W każdym razie chciałem kiedyś tego mojego niedysyjszego wroga ideowego unicestwić (Reniak tak przywykł do podwójnej roli, że wódka pita bez przeciwnika politycznego wcale mu nie smakuje), miałem jednak do dyspozycji jedynie scyzoryk marki „Gerlach”, który na domiar złego nie chciał się otworzyć, mimo moich, a potem i Reniaka wysiłków. Tak i ocalał (nie scyzoryk, bo ten ze złości wyrzuciłem).

Co jest w książkach Reniaka prawdą, co fabułą, a co zmyśleniem – dociec trudno. Wydawnictwo zapewniało, że są nie mniej prawdziwe i obiektywne niż książki Machejka, a nie bez powodu skądinąd porównuje się go do kapitana Klossa.

Jego powieści czy reportaże oparte są na podobnym schemacie, bo, zdaje się, były po prostu podobne Reniakowe poczynania – polegały na przeniknięciu do wrogich formacji, najpierw wewnętrznych, potem i emigracyjnych. Zresztą wyraźne jest, że Reniak opisuje tylko najbardziej spektakularne ze swoich przygód. Powiedzmy wprost, że jest szalenie tendencyjny – całe zło zgromadziło się tu po stronie opozycji, Bezpieczeństwo to po prostu anioły. Polityczne zaś dywagacje, nie za częste na szczęście, nie zasługują nawet na wzruszenie ramionami.

Pozostaje przygoda, i ta jest rzeczywiście fascynująca, a na pewno była bardzo niebezpieczna. Najważniejsze akcje Reniaka ujmuje jego trylogia *Sam wśród obcych* (1987), na którą składają się książki: *Niebezpieczne ścieżki* (1967), *Człowiek stamtąd* (1968), *Droga z Monachium* (1970). Są to trochę powieści, trochę wspomnienia. Autor ma wyraźny zmysł dramatyczny, dar jasnej relacji, stopniowania napięcia. Literacko więc wszystko jest w porządku, jeśli nie liczyć politycznych schematów i dość wątych motywów romansowych.

*Ścieżki* opowiadają o likwidacji podhalańskiego oddziału „Wiarusów”. Akcja rozgrywa się w Nowym Targu, Chabówce, Szczawnicy, Czorsztynie etc. Człowiek stamtąd likwiduje podziemie w Krakowie i okolicy, w Monachium zaś odbywa kurs dywersji. Do tego trzeba jeszcze dodać zbiór opowiadań-parareportaży *Zapomnij o swoim nazwisku* (1985). Poza tym jest Reniak autorem scenariuszy do filmów *Hasło „Korn”* i *Na krawędzi*. Ostatnimi czasy, nie rezygnując zresztą ze zwalczania opozycji, Reniak odszedł nieco od spraw polskich. Wspólnie z reżyserem irańskim zamieszkałym w Polsce, Kaweh Pur Rahnama, napisał powieść *Mitra* (1988) – o walce wywiadów angielskiego i niemieckiego o wpływy w Persji przed wybuchem drugiej wojny światowej i w jej trakcie. Powieść jest rzeczywiście sensacyjna, pełna niezwykłych przygód, okrucieństw, tajemnic. Także w konwencji na wół reportażu, chociaż tutaj już wszystko przechyla się zdecydowanie w stronę pełnej fabuły.

Wszystkie książki Reniaka są niezmiernie poczytne.

Obok Mariana Reniaka trzeba postawić Jerzego Grzymkowskiego. Nie to, żeby byli szczególnie podobni do siebie. Reniak jest chudy, wysoki, o mglistym spojrzeniu, Grzymkowski zaś przysadzisty, krępy, uśmiechnięty i wąsaty. Ale obaj pracowali w jednym resorcie: kogo Reniak wyczał, do tego przybywał żołnierz KBW – Grzymkowski, i robił mu kuku. Jerzy Grzymkowski (1930) działał potem i w milicji, i w hucie, i w wielu innych miejscach. Jest warszawskim rodakiem, wręcz następcą Wiecha, autorem bardzo dynamicznym i żywiołowym. Uważa się go za jednego z najciekawszych przedstawicieli literatury popularnej. Muszę dodać, mimo mojej zgoła przeciwstawnej politycznej genealogii, że jest to autor o bardzo dużym, rzeczywistym talencie, na którego ocenę nie powinny wpływać jakiegokolwiek opcje polityczne. Inna sprawa, że ciągle jeszcze, mimo wielu wydanych już książek, bywa surowawy i nie zawsze przemyślany. A już zwłaszcza niektóre jego wywiady przydają naszym czasom wiele niewymuszonej wesołości.

Grzymkowski opisuje najczęściej konflikty powojenne i praskie peryferie, sporo tu batalistyki i westernu. Umie też bardzo ładnie pisać o wsi, jej ludziach, kolorycie i pejzażach. Zaj-

muje określoną politycznie postawę: „leśni” to u niego wredni bandyci, ale umie napisać prawdę, że ludność owych bandytów przecież popierała. Inna sprawa, że, jak to sformułował krytyk Jerzy Biernacki, „ze strachu, z głupoty, z konserwatywnych nawyków, a przede wszystkim z racji powiązań rodzinnych”. Ale jak w końcu wymagać od wiejskich ówków, by wiedzieli, jakiej ojczyzny pragnąć, co dla nich rzeczywiście dobre? A nielojalność literatury o tych czasach nie polega na takich czy innych postaciach, ale na przemilczaniu lub fałszowaniu motywów działania przeciwnika. Lecz wreszcie Grzymkowski filozofuje niewiele, a co widział, opisał dość chyba uczciwie. Dodajmy, że bywa sentymentalny i ma w sobie jakąś specyficzną dobroć. Poza tym pisze wartko, umie posłużyć się gwarą, potrafi budować dynamiczne dialogi.

Debiutował zbiorem opowiadań *Sto tysięcy* (1965), które nazwano zbeletryzowanym notatnikiem podoficera KBW z lat czterdziestych. Ciekawa jest obserwacja, że za obecnością w tej formacji częściej stał przypadek lub okoliczności niż wybór polityczny. Te same wątki znajdziemy w powieści *Erkaemiści* (1967) – 14 pułk KBW, Targówek, wieś, Lubelszczyzna – warszawski cwaniak Marian przeobraża się w żołnierza. Dominuje żołnierska przygoda. Natomiast uroczy *Dzielnicowy z Targówka* (1967) to ciepłe opowiadania o praskim folklorze i „marginesie”, specyficznym obyczaju i języku – z punktu widzenia milicjanta, któremu nieobce są emocje i poczucie humoru. W *Czarnej kołysance* (1968) znowu KBW, tym razem w walce z UPA, i grupa „Korwina” w Polsce południowo-wschodniej. Ważną pozycję stanowi *Czarna rzeka* (1970) – elegijny, liryczny obraz wsi nad Wieprzem w czasie okupacji i po wojnie. Wiejski kaleka uzyskuje tu poczucie własnej godności poprzez walkę zbrojną. Koniec walk grozi mu właściwie degradacją. Jedna z najlepszych książek Grzymkowskiego, zresztą sfilmowana.

*Zderzenie* (1971) to psychologiczna relacja o zawiłym życiu, składana oficerowi śledczemu, usprawiedliwienie krwawej winy, wyniku okoliczności. *Gdy byłem hutnikiem* (1971) to wspomnieniowe gawędy suwnicowego, którym był Grzymkowski w latach 1959-1966. Natomiast *Salamun* (1976) to bardzo elegijna przypowieść o starym człowieku, któremu wieś zabiła ostatniego syna. I bardzo piękne, i ciepłe tej wsi opisanie. Czytałem tę krótką powieść z dużą dla Grzymkowskiego sympatią. A skądinąd mało kto tak bezkompromisowo opisał, jak ówczesna wieś nie cierpiała komunizmu, i mało kto tak sprytnie wymanewrował cenzurę. Trochę inaczej prowadzi rzecz powieść *Zamknięte drzwi* (1976) – o tym, jak wiejski chłopak spełnia swoje marzenia zostając lotnikiem i jak za to płaci życiem osobistym. *Wierne bliźny* (1978) to dość głośna powieść o niesłusznie oskarżonym oficerze KBW. *Podzwonne* (1978) natomiast to na tle kryminału pretekst, westchnienie za starą Pragą i obraz społeczności peryferyjnej. Również westchnieniem, i to uroczym, jest *Smak ułgalek. Mazowieckie wspominki* (1980), gawęda pejzażowo-genealogiczna.

*Kariera* (1982) to dzieje czterech chłopców z Targówka, warto sobie przy okazji przypomnieć Gojawiczyńską, *Wstyd* (1982) to spotkanie po latach kolegów z wojska. *Życie na remis* (1986) przynosi jeszcze jedną wersję pokolenia „Kolumbów”, a *Krople żywicy* (1987) ukazują lata powojenne na Mazurach z punktu widzenia Konnej Grupy Operacyjnej. Rzecz gorzka, bo „uczciwi komuniści” niewiele się mogą od własnych władz spodziewać dobrego – tak często u Grzymkowskiego bywa. Nie są to wszystkie jego książki, nie wspominałem tu zresztą o scenariuszach i słuchowiskach. Można bowiem dostać zawrotu głowy od płodności tego autora, ale chyba jednak nie najlepiej mu ona służy. Grzymkowski kroi odrobinę na Himilsbacha, ale polityczne zacięcie różni go od niego zdecydowanie. Źle świadczy o opozycji literackiej, że nie umiała u niego dostrzec tego co obiektywne i czasem może mimowiednie krytyczne. A już całkiem bez żartów – nie dostrzegła, bo go po prostu nie czytała.

Zdzisław Umiński należy do tych pisarzy, którzy wojenno-okupacyjne drzazgi uczynili zarzewiem swojego pisania, podobnie jak całe to pokolenie. Żaden z nich nie pójdzie zwyczajnie do łóżka z dziewczyną bez Conrada, bez zastarzałych wyrzutów sumienia, bez solid-

nej porcji Dostojewskiego. Słowem, bez własnej, prywatnej, codziennej obsesji. Ja wreszcie rozumiem, że każdy z nich musiał się przewycięzać, zabijać, tchórzyc, zdradzać, czy co tam jeszcze, ale dlaczego czytelnik musi w nieskończoność o tym słuchać?

Zdzisław Umiński (1924), człowiek i pisarz z dobrą kindersztubą i wykształceniem, przez lat wiele wierny filar PAX-u – jego wydawnictwa i prasy, w konspiracji i powstaniu obarczony dokonywaniem egzekucji na zdrajcach i konfidentach, wyniósł z wojny ciężki uraz, ale i pasję do całego tego kompleksu spraw. Konfident i kat to jego główni bohaterowie. A obok tego ma jakąś dziwną obsesję urzędniczą, czy może idiosynkrazję raczej. A całkiem już zaskakujące są jego namiętności wyścigowo-koniarskie. Tak więc i akcenty obyczajowe nie są mu obce. Ale nade wszystko jest psychologiem-moralistą, upodobał zaś sobie degenerującą się mikrogrupę społeczną. Wyrzuty sumienia, widmo zabitej przez siebie kochanki-konfidentki, ludzi tak czy inaczej przegranych. Zaczynał stosunkowo późno, ale dorobek ma znaczny, a niektóre jego książki są rzeczywiście znaczące.

Debiutował opowiadaniem *Jolanta umiera od wczoraj* (1958) – od razu w całej krasie okupacyjnych i wojennych udręczeń. Usytuowano go gdzieś między Żukrowskim i J.J. Szczepańskim a Hemingwayem. Istotnie, jego człowiek jest samotny i izolowany, biologiczny, w obliczu moralnego osądu i śmierci. Uwagę zwrócił jednak dopiero tom następny, *Sprawozdanie konfidenta* (1960), a zwłaszcza opowiadanie tytułowe – o drobnym niemieckim urzędniku, który zostaje szpiclem gestapo i w tej roli jest równie akuratywny. Rzecz jakoś przypomina *Upadek* Camusa, a pasja konfidencka jest po prostu wynikiem potrzeby podporządkowania się, bycia trybikiem wielkiej maszyny.

Następną, bardzo ciekawą książką jest powieść *Rue de Linée* (1962), rzecz o „bywalszych” ludziach, powojennych wrakach. Na tej brukselskiej uliczce prostytutek, sutenerów i biedaków polski były żołnierz spotyka jugosłowiańską parę, właściwie przestępców wojennych, ściganych nędzą i losem. Znakomity opis dna życia, środowiska ludzi upadłych, próbujących przewyciężyć własną samotność. Przywoływano tu pamięć Céline’a, ale zwracano też uwagę na syndrom zdrady. Wszystkie te elementy powrócą w następnych książkach Umińskiego, także upodobanie do półświatka, belgijskiego czy warszawskiego. Ten – już w następnej powieści – *Wielka warszawska* (1964), osnutej na kanwie wyścigów konnych i ich kulisów. Znowu przegrany człowiek, były dżokej Piotr, którego monolog o niedobrej miłości do żony, klęsce, strachu i słabości stanowi istotę książki.

Natomiast kolejna powieść Umińskiego, *Na północ od Alp* (1964), należy do najlepszych jego książek. Jest to zawiły, niejednoznaczny portret byłego esesmana, powracającego co roku do uzdrowiska Clarence, gdzie kiedyś kierował egzekucją. Wreszcie zostaje rozpoznany przez niedoszlą ofiarę, dokonuje się w nim przełom, lecz nie bardzo ewangeliczny, gdyż pragnienie dalszego zabijania stoi ponad wszystkim. Zginie, pociągając w śmierć innych. Bardzo nieschematyczne i bardzo ciekawe. *Czy musisz śnić* (1966) to także powrót do przeszłości. Bohater, podróżując z Warszawy do Zakopanego (motywnie w literaturze współczesnej mocno rozpowszechniony), wspomina okupację, dialogując ze swoim wcieleniem wojennym. Jądrem zgrzyoty jest wykonany wyrok na własnej ukochanej. Ciężar odpowiedzialności nie może go opuścić, choć sprawa była słuszna. W migawkowych ujęciach roztacza się przed nami okupacyjna panorama z jej bojownikami, półświatkiem, seksem. *Polowanie na dzikie kaczkę* (1967) to znowu powrót. W zawartych tu dwóch opowiadaniach – konflikt między wyobrazeniami syna o bohaterstwie ojca a jego faktycznym tchórzostwem. Oprócz tego pytanie o słuszność morderczych dla innych decyzji, walka w pięknym, zimowym lesie etc. Widma nie chcą również odstąpić bohaterowi powieści *Pułapka* (1967) – niemal kryminału o losie pisarza Rafała Ostrogi, autora powieści w powieści – ani innych współtowarzyszy winy. Tak więc i tu mamy kilka płaszczyzn i ograniczone do izolowanej leśniczówki miejsce akcji.

*Dziennik urzędnika* (1970) to jedno z większych osiągnięć pisarza. Bohater, skromny referent Feliks Skarpa, zostaje wyniesiony na stanowisko dyrektorskie, po czym znowu spada

do poprzedniego poziomu. Groteskowy świat Urzędu, wzajemnych stosunków i intryg, książka wystylizowana i bardzo ironiczna. Ale z wielką metaforą – cały świat jest po prostu rodzajem superurzędu; tu porównanie z Kafką staje się stosowne. A książka jest po prostu bardzo dobrze napisana, została też przychylnie przyjęta.

Mniej entuzjazmu wywołało *Lasso* (1973) – mikropowieść, historia miłosna, opowiadana przez jednego starzejącego się rodaka drugiemu, w scenerii libijskiej. Rzecz jest o poszukiwaniu miłości i poniesionej klęsce. Nie brak psychologii i w powieści *Kariera* (1974), dość szyderczej. Jest to pamflet na środowisko dziennikarskie. W tygodniku kulturalno-literackim „Plejada” wszystko załatwia się przez łóżko. Niby rzecz dość serio, a groteska. Niby groteska, a aż nadto serio – książka wywołała dość krytyczne reakcje. Umiński zresztą rzeczywiście mocno przesadza: pismo, które zna najlepiej, to niechybnie „Kierunki”; pisywałem tam w różnych czasach, ale nie pamiętam, żebym czy to z Lichniakiem, czy to z Irzykiem, czy wreszcie z samym Umińskim coś przez łóżko załatwiał.

Później znowu ogarnęła Umińskiego wena służewiecka, czego owocem były dwie książki, *Stawka na pechowego konia* (1975), przynosząca obraz Warszawy lat powojennych, zarazem coś na kształt obyczajowo-psychologicznego kryminału o trudnościach powojennego przystosowania, i *Hazardzista* (1978), gdzie i półświatek, i służewiecka egzotyka.

Zupełnie inna jest ballada gwatemalska *Nocny ptak guacharo* (1979) – o uciekającym z więzienia dowódcy partyzantów, zarazem o śmierci, miłości, zdradzie, honorze i wierności. Godne uwagi są też dwie opowieści, złączone w tomie *Zaprzęg. Już zaraz, za chwilę* (1982), dwa studia strachu – chłopca uciekającego z rodziną przed bombami Września, które go i tak w końcu dostaną, i mordercy oczekującego na wykonanie wyroku w celi śmierci.

Po tych godnych uwagi książkach mniejszym powodzeniem cieszyła się grecka, ale i wspomnieniowo-wojenna powieść *Przypląć białym promem* (1983), za to *Album z rewolwerem* (1984) to znów książka bardzo dobra. Osnuła została na tle głośnej tragedii z 1924 roku: młoda aktorka Stanisława Umińska zabija swojego nieuleczalnie chorego na raka narzeczonego Jana Żywnowskiego, malarza i literata – na jego żądanie. Sąd francuski (rzecz się działa w Paryżu) uniewinnia ją, ona zaś wstępuje do klasztoru. Umińska była ciotką Zdziśka, który odwiedzał ją w klasztorze (może to nie ma nic do rzeczy, ale zwróćmy uwagę na zbieżność dat tragedii i urodzenia Umińskiego) i po latach opisał całą sprawę, ale przez pryzmat wielkiej tragedii wojennej. Wyszła z tego jedna z lepszych jego książek. Równie dobrze został przyjęty stylizowany pamiętnik powstańczy *Powstańcze rozstania* (1984), gdzie zresztą Umiński po raz pierwszy odpuścił wrednej babie, czego, jak się zdaje, do dzisiaj żałuje. Obsesje okupacyjne, samooskarżenia, rozmowy z *alter ego* wracają także w powieści *Powiedz, kim jesteś* (1985), a przeszłość powraca również w zbiorze drobnych nowelek ułożonych w cykle *Żegnaj, Scypio* (1987).

Umiński nie miał szczęścia do krytyki, co nieraz przyznawano, ale w prozie polskiej ma wysokie, solidnie wypracowane, godne szacunku miejsce.

Kompleks szpiegowsko-sensacyjny bywa także najczęściej osią twórczości Andrzeja Wydrzyńskiego (1921-1992) – edukowanego we Lwowie, gdzie zdążył już przed wojną debiutować w prasie, następnie, po obozach koncentracyjnych czasu wojny, osiadłego na długo na Śląsku. Później, gdy Śląsk przygotowywał się do okupowania reszty Polski, przysłano Wydrzyńskiego na przespiegi do Warszawy, i tu już został na stałe. Działał przez wiele lat w teatrze, napisał też książkę o teatrze śląskim po wojnie – *Pamięć teatru* (1956), był również autorem sztuk dramatycznych. Debiutował *Salonem pani Klementyny*, wydanym i wystawionym w 1950, potem przysły: *Śmierć Hamleta* (1951), *Ludzie i cienie*, *Rewolucja trwa* (1952) – opowieść filmowa o brygadzie młodzieżowej, walce z sabotażem etc., nazwana już wtedy „małą encyklopedią schematyzmu”. Godniejsza uwagi jest, jak ją określił autor, „tragedia z towarzyszeniem klarnetu” – *Słońce krąży wokół ziemi* – rzecz o Joannie d’Arc, będąca zarazem rozprawą ze stalinizmem. Wielkie powodzenie zyskała „tragedia buffo”, czyli po prostu

komedia obyczajowa *Uczta morderców* (1960), oparta na zderzeniach różnych obyczajowości. *Uczta* obeszła sceny całej Polski. Oprócz tego: *Komedia*, *Ostatnia sekunda*, *Manekin*, *Pułapka* i inne.

W prozie Wydrzyńskiego dominuje, acz niewyłącznie, sensacja i erotyka. Autor używał także pseudonimu Mike W. Kerrigan (*Porwanie Bertt Macroft* – 1959, *Zamach na Nowy Jork* – 1960 i inne). Początek prozie dały opowiadania *Podejrzanie* (1953), dalej był sensacyjny kryminał *Pościg* (1960) – o walce wywiadu amerykańskiego z niemieckim na terenie powojennych Włoch. W następnych książkach będą zazwyczaj dwie płaszczyzny czasowe – jedna współczesna, druga okupacyjna.

Tak właśnie jest w *Ptakach z sadzy* (1962), gdzie wątki okupacyjne znajdują współcześnie swoje kontynuacje. Stary działacz robotniczy Łukasz zostaje posądzony o zdradę i opuszczony. Z podejrzeń oczyszcza go Piotr – były partyzant, a obecnie inspektor ratownictwa górniczego. Sypał w swoim czasie syn Łukasza, a nie on. Obok tego zawily wątek erotyczny. Potem przyszły opowiadania biograficzne *Odwrócone niebo* (1962), o przedwojennych i wojennych prześladowaniach śląskich działaczy komunistycznych.

Największym bestsellerem Wydrzyńskiego okazała się *Ostatnia noc w Ciudad Trujillo* (1962), w następnych, licznych wydaniach przemianowana na *Ciudad Trujillo*. Jest to zawiła, sensacyjna opowieść o nieprawdopodobnych stosunkach w Dominikanie na Karaibach pod posepnymi rządami niesławnej pamięci rodu Trujillów. Pełno tu gwałtów, skrytobójstw, zamachów, porwań – wypadki biegną i odmieniają się jak w kalejdoskopie. Wywiad, kontrwywiad, mordercy – co kto chce w tej książce o brawurowo wartkiej i zawiłej akcji, po trosze i reportażu, po trosze powieści politycznej. Ciekawe – we wspomnieniach autentycznych szpiegów i katów panuje raczej melancholia i pełno jest wątpliwości – dla Wydrzyńskiego ów tajemniczy świat to przedmiot kolorowych, nie spełnionych westchnień.

Powieścią w istocie rzeczy sensacyjno-szpiegowską jest też utwór *Umarli rzucają cień* (1966), główny atrybut sławy Wydrzyńskiego-prozaika. To opowieść dwu płaszczyznowa – współcześnie narrator dopada niemieckiego szpiega aż w Brazylii. Rzec dotyczy głośnej prowokacji niemieckiej, a właściwie całego cyklu prowokacji, na skutek których Niemcy wprowadzili swoich konfidentów do sztabów śląskich organizacji podziemnych. Wydrzyński koncentruje się tu przede wszystkim na tzw. sprawie Ofika. Fikcja powieściowa została bardzo wyraźnie oparta na autentycznych wydarzeniach. Poza tym spełnia reguły kryminału i powieści sensacyjnej – kto w istocie był szpiegiem, dowiadujemy się dopiero na końcu. Książka ma wielu zmiennych narratorów, skomponowana została z krótkich epizodów.

Innego rodzaju problematykę prezentuje *Malowidło przedstawiające kochanków* (1978), gdzie dość amorficzna akcja, wychodząca od tęsknoty i szukania zobaczonej przypadkowo dziewczyny, ma się przерodzić w obraz współczesności. Pełna dygresji, niekiedy dość nużących. Wreszcie *Kładka w ciemność świata* (1987) to powieść, która powstała podobno w 1952 roku (a więc równoległe z *Panią Klementyną* i *Rewolucja trwa*); odrzucana przez wydawnictwa przez całe lata, została „nieco poprawiona” w latach osiemdziesiątych i wtedy dopiero wydana. Powieść w zasadzie miłosna, zawierająca akcenty krytyki politycznej.

Edward Kurowski natomiast, który przemierzył świat podobnym zygakiem, w małym stopniu interesuje się problematyką wojenną czy sensacyjną, zajmują go raczej sprawy obyczajowe, w czym zbliża się do „małego realizmu”. Kurowski (1927) *via* Syberia trafił na długie lata do Wrocławia, boksował i uczył boksować, pisał, by wreszcie uchodząc przed słusznym gniewem czytelników schronić się w Warszawie. Zajmuje się sportem, młodzieżą, problemami rehabilitacji więźniów, akcję osadza najchętniej w małych podwrocławskich miasteczkach, pisze językiem bardzo prostym.

Debiutował powieścią *Widawa* (1953), o wsi podwrocławskiej, gdzie walczy się z wrażymi kulakami i zakłada spółdzielnię. Już tu pojawia się temat sportowy, wypełniający następną powieść, to jest *Śmierć boksera* (1956). Z kolei akcja *Kroków w samotności* (1960)



została umieszczona w trudnym środowisku hotelu robotniczego. Bohaterem jest kierownik, osamotniony, borykający się po śmierci żony z niezrozumieniem otoczenia. Spore wrażenie zrobiła powieść *Nowa twarz Teresy* (1963), gdzie wdowiec stara się dojść przyczyn nieoczekiwanego samobójstwa żony. *Nadejdzie dzień* (1965) to problem społecznej adaptacji inżyniera, który spędził kilka lat w więzieniu, i tu niezrozumienie i obcość otoczenia, izolacja i samotność to główny temat autora. W dość głośnym *Olimpijczyku* (1965) znowu sport i jego kulisy – bokser, mistrz olimpijski, skądinąd brutalny i prymitywny, staje się przedmiotem przetargów otoczenia. Finał – więzienny. W *Katarzynie* (1967) znowu kwestie trudności adaptacyjnych i niezyczliwego otoczenia – tu siedemnastolatka po poprawczaku. W osaczeniu przez klikę jedynie uczucie dziewczyny stanowi rozstrzygającą pomoc.

Z czasem Kurowski odmienia się nieco – przychodzi czas wspomnień, podróży i reportaży. *Wysokie niebo* (1970) to beletryzowany reportaż z odwiedzin w radzieckiej wsi, w której spędził dzieciństwo. Podobnie *Powrót nad Sałdę* (1973) to reportaż i wspomnienia z Syberii. Poza tym wojaże azjatyckie, do Chin, Wietnamu i Indonezji. Nie czytali tam Kurowskiego, więc przyjęli go życzliwie. Odwdzieczył się im powieścią wietnamską *Śmierć w dżungli* (1971) i reportażem *Taniec z duchami przodków* (1974).

Równocześnie powstaje powieść o kombinacie turowskim *Rozgrzeszenie* (1972), leciutko przyszlōciowa, bo dziejąca się w latach osiemdziesiątych, wedle Kurowskiego – w erze wszelkiego dobrobytu, gdzie latamy sobie helikopterami z radiotelefonami i zażeramy się samymi delikatesami. Z dobrobytem użerają się i starzy, i młodzi przedstawiciele załogi. Tematyki sportowej – bokserskiej dotyczy zbiór opowiadań *Prawa kontra* (1978), a najlepsza książka Kurowskiego to balladowa powieść autobiograficzna *Gdzie jest mój dom* (1980), o wojennych losach autora. Jej kontynuacją jest utwór *Ptaki lecą na zachód* (1983).

Albin Siekierski (1920-1989) w latach osiemdziesiątych stał się najbardziej znanym autorem śląskim, lecz nie tyle za sprawą literatury, co telewizyjnego serialu o losach rodziny Pasterników *Blisko, coraz bliżej*. Poprzednio, znany zresztą dobrze krytykom, był wielkością przede wszystkim regionalną. Uprawiał zawód w Polsce nieco złowrogi: był ekonomistą, i to w przemyśle ciężkim, ma więc jakiś swój udział w ogólnym sukcesie ekonomicznym minionych lat. Zebrał sporo nagród literackich. Jeśli więc i inni ekonomiści tak traktowali swoje obowiązki, to nie należy się dziwić niczemu. A zaczął wcześniej, bo już przed wojną publikował w prasie. Potem zrobił dłuższą przerwę, podczas której znękany kraj dochodził do siebie, aż w 1961 zaczął już pisać na dobre.

Bardzo dynamiczny dramaturg i prozaik, uprawiał literaturę obyczajowo-psychologiczno-dydaktyczną, z elementami historycznymi i moralistycznymi. A więc wracał wielokrotnie do nowożytnych dziejów Śląska, szczególnie do powstań, zajmował się dramatycznymi dziejami autochtonów, także w zderzeniu z przybyszami, ciekawiło go szczególnie rozchwianie narodowe. Pisze językiem prostym, bez specjalnego kunsztu i powabu, ale stać go na psychologiczną wnikliwość, na dużą konkretność relacji. Co u dramaturga oczywiste, jest dobry w dialogu, niekiedy gwarowym.

Gwarą został spisany *Domek z ogródkiem*, rzecz dla teatrów amatorskich, „przełożona” także na kaszubski, o konfliktach autochtonów i repatriantów opowiada *Szarwark*, o trzecim powstaniu śląskim *Na granicy Górnego Śląska*, o kłopotliwych i opryszkowatych rekrutach *Symulanci*. Dalej jest *Szansa*, *Wina bez kary*, *Sprawa osobista*, słuchowiska i scenariusze.

Debiutował powieścią *Ocalenie* (1961), będącą pamiętnikiem Ślązaka, który z miłości do Niemki wstępuje do Wehrmachtu, później zaś zostaje partyzantem. Książkę przyjęto chłodno, podobnie jak *Urodzajne piachy* (1961), o młodych robotnikach. Schematyczne, to prawda, ale sporo tu obserwacji obyczajowych. Zresztą Siekierski zawsze będzie się interesował pracą jako tematem, a zakład pracy to bodaj najnaturalniejsze dla niego miejsce akcji. Dodajmy tu, jak sam się zwierzał, że najchętniej pisał właśnie w swoim biurze kierownika działu planowania, podobno po godzinach. W *Czarnych i białych pióropuszach* (1965) mamy trzy pokolenia

górników, przemianę wiejskiego chłopca w górnika, a na deser katastrofę, bez której powieści produkcyjnej nie można sobie wyobrazić. Zresztą, kto nie zna *Czarnych skrzydeł? Pół godziny przyjaźni* (1964) to skonstruowana ze scenariusza powieść o problemach wojskowej edukacji i reedukacji, a *Odchodzące niepokoje* (1966) to problemy autochtonów na wsi opolskiej, wśród ciągle żywych ech wojny.

Coś się zaczyna odmieńać w powieści *Ku górze nad rzeką* (1971), dającej panoramę czasów trzeciego powstania śląskiego na kanwie romansu dzielnego porucznika Kozłowskiego z córką fabrykancką, w czym bardzo bruździ pruski, srogi kapitan. Przedtem jeszcze dał Siekierski ciekawą, w atmosferze Szaniawskiego książkę *Dziewczyna ze strzelnicy* (1969), gdzie przez małe przemysłowe miasteczko przelatują egzotyczne ludzkie ptaki, budząc tęsknoty i niepokoje, i przynosząc także wielkie kłopoty. W tej książce, uznanej za utwór „małego realizmu”, obok przybyszów, Sedy i Zenka, głównym bohaterem jest dyrektor kopalni – Siekierski najbardziej lubi i rozumie wyższych urzędników fabryczno-kopalnianych, co zrozumiałe. Jest to opowieść psychologiczno-obyczajowa. W wyraźnej aurze moralistycznej utrzymana jest powieść *Drzewo liści nie doбира* (1972) – tu, na wielkiej budowie, nie brak również dramatycznych losów budowlańców.

Natomiast *Ziemia nie boi się kul* (1971) to utwór historyczny, umiejscowiony w małej osadzie pod Katowicami, zapewne w Mysłowicach. Tu narodowe rozterki przeżywa Henryk Figiel, a obie strony – polska i niemiecka – w okresie między końcem wielkiej wojny a pierwszym powstaniem szykują się do starcia. Z problematyką powstańczą wiążą się też opowiadania zebrane w tomie *Chłodny wiatr odpędza ptaki* (1972), a o historii bliższej, bo już powojennej i jej konfliktach mówią dzieje siedmiu kolegów gimnazjalnych w powieści *Nim dojrzeje owoc* (1975) – Siekierskiego coraz bardziej zajmowały problemy moralne, wiążące się z życiem społecznym i zawodowym. Tak właśnie będzie w utworze na poły produkcyjnym, na poły sensacyjnym *Nic się nie stało* (1975), o tajemniczym zniknięciu dyrektora dużej fabryki który popadł był w konflikty z rodziną i pracownikami. Natomiast z dużym zainteresowaniem przeczytałem *Nie odpoczywa w pokoju* (1978). Tu po śmierci młodego betoniarza toczy się swoiste śledztwo, wykazujące, ile win i zaniedbań złożyło się na to nieszczęście. Prawda, ale w ogóle świat nie jest doskonały, cóż więc począć? Akcja dzieje się na jednym wielkim zebraniu-burzy mózgów, śledztwie z odpowiednią retrospekcją. Retrospekcja – po prawdzie z mora współczesnej powieści obyczajowej, która z miejsca przekreśla wszelkie zainteresowanie fabułą, bo i tak wiemy, jak się rzecz skończy – jest także osią *Drugiej strony księżycy* (1979), gdzie pełnego sukcesów sztygara opuszczają nagle żona z córką, a on stara się dociec, co się stało. Izolacja – to właśnie cena sukcesu.

Prawdziwym sukcesem czytelniczym okazała się wielka saga rodzinno-polityczna *Blisko, coraz bliżej* (tomy 1 i 2 ukazały się w roku 1983, a 3 i 4 – w 1987), przerobiona ze scenariusza filmu telewizyjnego. Są to dzieje śląskiej rodziny – od upadku powstania styczniowego po rok 1945. Pasternikowie mieszkają obok „trójkąta trzech cesarzy”, a więc na ich losy wpływają wypadki we wszystkich trzech zaborach. Trochę to przypomina cykl nowel, zresztą pomysłowych i ciekawych. Również w latach osiemdziesiątych ukazała się powieść o Korfantym *Zapada zmierzch* (1987), przedstawiająca ostatnie, więzienne miesiące życia dyktatora powstań śląskich.

O ile Siekierski zdobył ogólnopolskie uznanie w latach osiemdziesiątych, o tyle nazwiska Pierzchały i Wantuły znane były doskonale już wcześniej.

Jan Pierzchała (1921), podczas wojny górnik, potem wrocławski polonista, był redaktorem, kierował teatrem, pracował w dyplomacji, był posłem na Sejm i tak dalej, ale bynajmniej nie wszystko w jego twórczości nosi piętno oficjalne. No i nie jest ze Śląska, lecz z Zagłębia, a wiadomo, że między mieszkańcami obu krain jest sporo niepojętych dla przeciętnych ludzi antagonizmów. Pierzchała wydał niezłą książkę *Legenda Zagłębia* (1962), utwierdzającą historyczną i kulturalną odrębność jego „małej ojczyzny”. Należy sądzić, że gdy jeździł z So-

snowca, gdzie mieszkał, do Katowic, gdzie praca i kasa, brał ze sobą butle zagłębiowskiej wody i glon sosnowieckiego chleba, by wrażeń pokarmów nie kosztować. O ile w Siekierskim jest coś z buchaltera, to w Pierzchale odrobina proroka czy nawiedzonego. Obok produkcyjnych uroków spotkamy zarówno nurt groteskowy, jak i misteryjny, obok szarości znajdziemy ekscentryczność. Żukrowski pisze wręcz o „realizmie fantastycznym”. W stylu wyraźny wpływ ekspresjonizmu, język jest kunsztowny, zdania zawile, rozbudowane. Nie stroni od emfazy, patosu, retoryki, lubi osobliwe nazwiska i imiona. Bohaterowie od szarości przechodzą do statusu symbolicznego, a od sukcesów zawodowych prowadzi ich z czasem autor ku klęsce. A w ogóle to zaczynał Pierzchała od poezji, wydając *Wiersze* (1948), gdzie poemat kopalniany *Drzewiorz* i wyznania takie: „Wierzę w socjalizm, bo w Chrystusa wierzę!”. W co wierzy dzisiaj? Skoro w jego twórczości pojawiły się wyraźne elementy diaboliczne, to może teraz wierzy w kapitalizm? (Przepraszam: „gospodarkę rynkową”).

Debiutował powieścią *Dziewczyna* (1952) – o dojarce z PGR-u. Genowefa Szatankówna miała być początkowo wrocławską studentką, ale autor poszedł z duchem czasu, zamierzoną początkowo powieść napisał dopiero po trzydziestu latach. Oprócz dojarce są tu i sabotażysta Szatanek, i narzeczony Odrzywołek, niedojrzały politycznie, bo miast spółdzielnię zakładać, woli studiować. Obok tego nieco walki z gomułkowszczyzną. Jeszcze słuszniejsze politycznie są *Noce bez światła* (1954), o gorzkiej doli robotnika, zwłaszcza bezrobotnego, w przedwojennej Polsce. (Pierzchała wie coś o tym, bo sam, syn górnik, zamiast awansu klasowego i punktów za pochodzenie musiał po prostu chodzić do przedwojennego liceum). Bohater przeżył okupację i doczekał wyzwolenia. Ale kolory nie są rozłożone jednoznacznie. Podobnie w powieści *Rozstanie i powrót* (1957) – małe miasteczko w Zagłębiu przeżywa radość wyzwolenia, co nie zmienia tragicznego losu poszczególnych ludzi. Portret proletariackiego środowiska, ale ambicje bardziej złożone.

Nowy jakościowo rozdział zaczyna w twórczości Pierzchały zbiór opowiadań *Antykwarjat przy ulicy Barbarossy* (1962), niby niemieckich, ale o nośności znacznie szerszej. Skrachowani ludzie, sytuacje wyraźnie symboliczne albo ironiczno-groteskowe. Los tajemniczy i demoniczny – oczywiście na razie tylko w krajach kapitalistycznych. U nas nic z tych rzeczy. *Dzień z nocą na trzy podzielony* (1964) – niegdyś zatopiona kopalnia przeobraża się w nowoczesną. Bohaterem jest dyrektor, inżynier bez reszty oddany budowie. Z demonicznych dramatów: ożeni się na końcu z kochanką. Współczujemy bohaterowi i gratulujemy autorowi stosownych nagród, pochwał, zaszczytów. Ale oto na horyzoncie coś znacznie ciekawszego: powieść *Krzak gorejący* (1972). Książka daje panoramę polityczną od 1914 do współczesności, ale nie to jest najważniejsze. Bohater, Rafał Naziemiec, osnuty jest diabolicznym fatalizmem, niesie wszystkim dookoła i sobie same nieszczęścia i złowrogie nieporozumienia. Ma przyrodniego brata, Niemca, i swojego fatalnego wroga. Przez całe życie, do śmierci, muszą się natykać na siebie. Książka sytuuje się w porządku nie tyle politycznym, co metafizycznym. Rzeczywiście jest godna uwagi. Fantasmagoryczna, pełna zwidów i urojeń, gęsta od niezwykłych wydarzeń. Jeszcze jedna alegoria odwiecznej walki zła i dobra, w tonacji raczej ciemnej. Autor niewiele komentuje, ale nasi ubodzy sataniści młodzieżowi miast gnębić psy i koty powinni uważnie sobie Pierzchałę poczytać. Bo od tej książki staje się rzeczywiście ciekawym, godnym lektury autorem.

Odnosi się to do opowiadań *Przeczekaj deszcz* (1975), z drastycznymi sytuacjami, niejaką ekscentrycznością, niełatwymi problemami etycznymi. A szczytowym osiągnięciem Pierzchały jest powieść *Jak krótkie lato* (1980), rzecz pomyślana chyba już przed laty, z której kiedyś wyłoniła się słuszna dojarka. Teraz mamy tużpowojenny Wrocław, gruzowisko i kłębowisko przeróżnych ludzi. Sfery literacko-universyteckie, podobno z kluczem. Bohaterem jest młody pisarz Tomasz Korynt (ma właśnie na warsztacie powieść *Jak krótkie lato*), nawiedzony przez demona w postaci kruczowłosej Merkany Panginis, wyposażonej w liczne diabelskie atrybuty ciała i działania – od mannowskiego chłodu poczynając, spowinowaconej czy prze-

mieniającej się w ogromnego szczura. Są tu też różne inne wątki i motywy, bo powieść jest wielowarstwowa i bogata – polityczna i środowiskowa, obyczajowo-literacka – ale działanie pierwiastka demonicznego jest zdecydowanie na pierwszym miejscu. Choć ten demon chwilami gada byle co, to książka jest bardzo mocnym punktem nurtu niesamowitego w literaturze polskiej.

Pełna mroku jest także książka *Opasani ciemnością* (1983), przedstawiająca schyłek zimy '42, gdzie koledzy szkolni Wrzos i Grodecki, kiedyś w KPP i AK, stają się wreszcie śmiertelnymi wrogami, aż do bratobójczego kresu. Powieść polityczna, ale można i chyba trzeba także traktować ją inaczej, w duchu zgoła mistycznym. Tak czy inaczej, odbył Pierzchała długą i frapującą drogę literacką. I kto by się spodziewał?

Inna jest genealogia Leona Wantuły (1928), który porzucił hale (kto był w złomowiskach Wantuli pod Czerwonymi Wierchami, ten doceni jego nazwisko) i przeniósł się na stałe do Rybnika, gdzie w kopalni „Chwałowice” pracował aż do emerytury, pokonując kolejne szczeble górniczej kariery – górnik, nadgórnik, sztygar, wreszcie kierownik gospodarki materiałowej. Poza tym był posłem i członkiem KC PZPR, ale szkód zrobił niewiele. Zwany bywa „nowym Morcinkiem”, skądinąd zaś uważano go za sztandarowego twórcę „małego realizmu”. w istocie szczególna jest jego niechęć do większego miasta, ale także do wykształcenia i inteligencji miejskiej. Ceni sobie zalety tradycyjnej rodziny robotniczej lub wiejsko-robotniczej, ona też jest bohaterem jego książek. Akcja sytuuje się z reguły w przemysłowej osadzie czy na przedmieściu. Stąd zapewne wynika, że jego bohaterowie są zdumiewająco wyczuleni na zdanie opinii publicznej czy po prostu plotki. Szczególnie mocny jest kompleks uwiedzionej siostry, do której obrony poczuwa się brat. Wszystko to bardzo przeciętne i sztandarowo szare. Owszem, tyż piknie, ale przypomnijmy, że *mediocritas* Horacego była jednak – *aurea*.

W późniejszym okresie twórczości zajął się Wantuła kobietami i niezbyt wydarzonymi miłościami. Język ma raczej ekspresywny, zdarzają mu się przerysowania i kikszy. Jest przede wszystkim prozaikiem, napisał jednak i dramat *Wiadukt*, o chłopie, który nie chce oddać swojej ziemi. Podobno jest także malarzem-amatorem.

Zwrócił na siebie uwagę od razu już pierwszą książką – zbiorem opowiadań *Zawał* (1963). Są tu opowiadania kopalniane, silnie kontrastujące sferę „dołu” i „góry”, są krańcowe sytuacje egzystencjalne, kalectwo, katastrofa, są też historyjki romansowe. Autor ma przy tym niejaką skłonność do melodramatu. Następnie ukazała się powieść *Nigdy za późno* (1964), której bohaterem jest rodzina, ale postacią centralną odchodzący na emeryturę górnik Paweł, który podejmuje podsumowanie swego życia. Niezbyt ono szczęśliwie wypada – rodzina się rozpręga, z wykształconym synem-inżynierem nie ma kontaktu, w pracy go zdegradowano, umiera najbliższy przyjaciel. Szczęśliwie zostaje nauczycielem, co osładza inne gorycze. W *Urodzonych w dymach* (1964) także narratorem jest Paweł-sztygar. Przedstawia tu Wantuła złożoną polską i niemiecką przeszłość Śląska. Jest praca zawodowa – na hałdach, na których wówczas i autor pracował, jest obszerna retrospekcja. Kopalnia okazuje się tutaj wręcz sposobem na życie, duchową i życiową stabilizacją.

W *Koncerte dla głuchych* (1966) rodzina jest osią wszystkiego, ale rodzina zagrożona – wykształcone młode pokolenie chce uciec od własnego środowiska, na dodatek syn-inżynier ma na polecenie dyrekcji degradować własnego ojca-górnika – za niedopatrzenia. *Wycieczka z narzeczoną* (1969) to zbiór siedmiu opowiadań, *Przemiąć i zostać* (1970) to powieść o pierwszych powojennych latach. Piotr Szeliga ucieka z transportu Wehrmachtu, potem po wojnie przez rok ukrywa się w lesie. Partneruje mu pozostała w Polsce Niemka Dora Mencil, wszystko zaś dzieje się w górniczej osadzie Oklahoma.

Spory oddźwięk krytyczny wywołała powieść *Romans Luizy* (1971), opowieść-zwierzanie tytułowej bohaterki, średnio atrakcyjnej telefonistki, która po wielu perypetiach zdobywa i utrwala swoją miłość, ponosząc przedtem wiele porażek. Luiza jest córką polskie-

go lotnika, który został na Zachodzie, i Niemki, która stała się Polką. Z kolei ukochany Luizy – Feliks przechodzi przez Wehrmacht do jugosłowiańskiej partyzantki. Ten wielki monolog Luizy, przedstawiający kłębowisko lat powojennych, ma przesłanie ogólniejsze – idzie o romans z życiem. To chyba najlepsza książka Wantuły.

Nie da się tak rzec o następnej powieści – *Po dzwonach cisza* (1973), nazbyt już schematycznej. Rzecz przedstawia ostatnie chwile okupacji, Niemców chcących wysadzić kopalnię i górniczą samoobronę, dzielnego Fryca Bluszcza i Wiktora Szlachtę, a także podzielone polskie podziemie. W powieści *Najpierw żyć* (1973) znowu problematyka rodzinna – wykształcone dzieci źle sobie dobierają partnerów i ostatecznie wracają do własnego środowiska. Wyobrażenia o inteligenckim hajlajfie (?) bardzo swoiste i tu, i gdzie indziej – choćby taki drobniaczek, że na wytworne przyjęcie składa się pół litra, sardynki i czekolada. Ale są to wyobrażenia może raczej bohaterów Wantuły niż jego samego.

*Cała w pnączu clematis* (1980) to znów powieść kobieca o samotnej urzędniczce z małej osady, oczywiście, która przeżywa daremny romans z żonatym Lucjuszem, po czym jednak pojawia się perspektywa trwalszego układu. Boże, jak te baby Wantuły nieustannie gadają! *Miłości pełna czara* (1981) to znów kryzys wiejsko-przemysłowej rodziny, w latach siedemdziesiątych, i perypetie Anny z Jastrzębia, jej despotycznego teścia Urbana i dwojga dorosłych dzieci. Dużą rolę odgrywa tu wojsko, podobna rewerencja jak u Siekierskiego. Wreszcie *Boso do nieba* (1985) – krótki rys dziejów dwóch górniczych rodzin przez trzy pokolenia i *Malowanie dnia* (1985) – opowiadania dawne i nowe.

Piewcą Śląska, szczególnie zaś Opolszczyzny, był *Jerzy Gałuszka* (1922-1982), autor płodny, od 1947 publikujący w prasie, potem związany z katowicką telewizją. W prozie Gałuszki nieomylnie zderzyć się musi romans ze wspominkami wojennymi, bez tego nic. Nie przeraża go nieprawdopodobieństwo sytuacyjne, przeciwnie. Ma też wielką skłonność po prostu do melodramatu. Ale równocześnie jako jeden z pierwszych zajął się zawiłą wojenno-narodowościową historią Śląska. Ma dużą umiejętność malowania portretu psychologicznego oraz budowania zręcznej, ciekawej fabuły. W początkowym okresie uważano, że jest zauroczony Hłaską.

Debiutował czymś pośrednim między reportażami a nowelami. Był to zbiór *Trudne lata* (1955), dziewięć epizodów z politycznych dziejów Opolszczyzny w latach 1918-1945. Następna książka to też opowiadania, ale nierównie lepsze, *Cienie czasu* (1957) – cała galeria fizycznych ułomności, świadectw przemocy, a równocześnie możliwość triumfu moralnego. *Kiedy milkną strzały* (1958) to powieść, która zwróciła na siebie uwagę. Są to dzieje miłości przybysza z Rzeszowszczyzny Jerzego, zabójcy własnej kochanki za związku z Niemcami i autochtonki Marii, zgwałconej przez kolegę Jerzego, Karola. Onże Karol uprzedza Jerzego, gdy ten chce mu zrobić kęs, bo z gwałtu wyszła ciąża. Ciąg dalszy w powieści *Poznani nocą* (1962). Karol sporządzał, jakoś błyskawicznie, nie szabruje, nie gwałci, jest taksówkarzem. Po wypadku traci zdolność płodzenia. Pielęguje go Maria, zakochują się w sobie, odczarowują przeszłość szczerą rozmową i czekają na dziecko. Owszem, rodzi się chłopiec, ale Maria umiera w połogu. (Przesłanie jest zapewne takie, aby na wszelki wypadek gwałcić, gdzie się da). Jest to typowa Gałuszkowa fabuła.

*Ucieczka w noc* (1960) to konflikt między ludzką powinnością przechowania znajomej Żydówki a strachem. Zakochana para, która wypędziła ową Żydówkę, traci apetyt na miłość. *Człowiek, który powrócił* (1963) to zawiłe dzieje romansu aktorki Doroty z trzema panami, *Nad przepaścią* (1964) to spotkanie po dwóch stronach kopalnianego obwałowania dwóch byłych rywali, przy okazji wojenna polsko-niemiecko-śląska retrospekcja – u Gałuszki będzie już tak zawsze: gdy się spotka dwóch przeciwników, to z pewnością kiedyś „obracali się w ciasnym kółku jednej pani”, jak mówi stary szmonces. *Na drogach czasu* (1965) to znów dzieje wojenne, *Anatema* (1967) – *ditto*, ale na kanwie kryminału, *Lato dwóch kobiet* (1971) to – oprócz żony – uwiedziona w czasie wojny bratowa, *Portrety z pamięci* (1973) – oprócz współczesno-

ści wojna i dwudziestolecie, *Swoi obcy* (1975) – znudzony mąż szuka prawdziwej miłości i tak dalej. Nową scenerię uzyskuje motyw retrospekcji w dwóch książkach: *Zapach śniegu* (1983), gdzie redaktor zakładowej gazetki dochodzi prawdy o przeszłości, i *Dopóki żyjesz* (1986) – powieść ze stanu wojennego – rywale przy telefonie, jeden przewodzi na dole, w kopalni, strajkującym górnikom, drugi – na górze – jest wojskowym lekarzem. Trudno o właściwszą sytuację do wspomnienia intymności panienci sprzed pół wieku. Gdyby Gałuszka żył i pisał nadal, to zapewne następnym razem rywale spotkaliby się w kosmosie.

Zbigniew Kubikowski (1929-1984) był znany przede wszystkim jako publicysta i redaktor. Przez większość życia związany z Wrocławiem, był naczelnym „Odry” w jej najświetniejszym okresie. To on właśnie sprowokował Moczarskiego do napisania *Rozmów z katem*, a od Hanny Krall wydobył *Zdażyć przed Panem Bogiem*. Po przeniesieniu się do Warszawy był nadal rzutkim animatorem w środowisku literackim. W prasie drukował już od 1950 roku, oprócz publicystyki społecznej uprawiał też krytykę literacką. Wydał w 1965 książkę krytyczną *Bezpieczne małe mity*, poświęconą częściowo mitowi arkadyjskiemu w prozie, a częściowo literaturze popularnej. Praca o prozie współczesnej *Szklany mur* została opublikowana w „Odrze” w latach osiemdziesiątych.

Ale Kubikowski zapisał się równie ciekawie jako prozaik. Jego twórczość ma kilka charakterystycznych cech. Więc prawie wcale nie odwołuje się do wojny i okupacji, co w tym pokoleniu jest wyjątkiem. Koncentruje się na grach międzyludzkich, na zawodowych i towarzyskich układach, co wprowadza nutę i scenerię obyczajową, często niewielkiego miasteczka. Píše bardzo żywo, nie bez poczucia ironii i sarkazmu, ma zmysł do sensacji. Pod pseudonimem Jacek Joachim pisywał kryminały. Istotne miejsce w jego prozie zajmuje motyw poczucia odpowiedzialności.

Debiutował jako prozaik powieścią *Katastrofa* (1962), opartą na słynnym w swoim czasie zawaleniu się wiaduktu drogowego w Zabrze. W powieści miejscowość nie jest określona, ale wiadukt wali się także. Zaczyna się poszukiwanie winnego. Przesłuchiwany jest także projektant, inżynier Grzegorz, bohater książki, ale zostaje oczyszczony z podejrzeń. Istotne jest, że nikt poza nim nie chce się do niczego poczuwać, wszyscy szukają kozła ofiarnego. Słowem, jest to także katastrofa moralna, a Jerzy Siewierski nazwał książkę wprost „pamfletem na technokrację”.

Powieść *Prorok i ministranci* (1962) powstała ponoć wcześniej i jest jedyną, w której odzwie się okupacja, bardzo jednak umowna. Prorok to wszechwładny dowódca, a ministranci to konspiratorzy-wykonawcy. Jeden z nich, Paweł, otrzymuje rozkaz zabicia swojego kolegi, rzekomego konfidenta. Nie robi tego jednak, a zdrajcą okazuje się ktoś inny. Także sprawa odpowiedzialności, także nieco to pamfletowe, a wpływ Conrada wyraźny.

*Chwila po przebudzeniu* (1967) prowadzi nas do kopalni w małym miasteczku, gdzie po awarii szukano winnego, nie znaleziono, a zespół uległ dezintegracji. W trakcie dziennikarskich dochodzeń narratora pożar wybucha raz jeszcze i okazuje się, że istotnie winna jest tylko natura. Ale sednem sprawy są wzajemne relacje i oskarżenia. Gra jest także wyłącznym żywiołem opowiadań zebranych w tomie *Ostatnia lekcja* (1971), opartych na różnych wariantach powrotu po latach do rodzinnego miasteczka, od atmosfery *Rewizora* po *Wizytę starszej pani*. Dość parszywieńko przy tym wypada „Polska powiatowa”. Na podobnej zasadzie oparte są trzy nowele następnego zbioru, czyli *Wielkiego układu* (1975), najsłynniejszej książki Kubikowskiego. Środowisko techniczne, a w nim nieustanna wojna, nieustanne podchody i podjazdy. Nie ma tu żadnych uczuć cieplejszych, zemsta przybiera pozór pomocy, nie ma przyjaciół, są tylko koledzy i rywale. W budowaniu tych układów jest Kubikowski wielce przemyślny i nieoczekiwany.

Tej samej problematyce poświęcona jest powieść *Gra w chowanego* (1978), gdzie w pierwszej części mamy całkiem uroczy wizerunek Paryża, w którym romansuje młody Adam Podgórski. W części drugiej po czternastu latach Podgórski toczy grę karierowo-gospodarczą,

którą przegrywa, właśnie z powodu owego odległego romansu. Ciekawe, że wszystkie te chwytły, gry, podchody, „finty w fintach” należą właściwie do domeny powieści politycznej, niemożliwej w powojennych warunkach polskich. Tym sposobem, jakże często w tej książce, jeszcze raz możemy sobie przypomnieć Kadena, tym razem nie w materii stylu.

O ile omawiając poezję starałem się łączyć twórców wedle ich środowisk, o tyle prozaicy, bardziej osobni i podlegli jakby nieco innym niż poeci regułom, w mniejszej mierze pozwalają na takie traktowanie. Łączą ich jednak często lokalne problemy i tematy, ale ten „lokalizm” jest w ogóle w Polsce dość słaby. Konflikty i ludzie wszędzie właściwie są dość podobni. Może właśnie Ziemia Zachodnie miały kiedyś specyficzne piętno. W każdym razie nie przestrzegam tu zbyt ściśle zasady geograficznej. Przyznaję jednak, że dałoby się napisać książkę o polskiej prozie wedle miejsca akcji. Wrocław byłby tu bohaterem jednego z ciekawszych rozdziałów, od Żukrowskiego po Łozińskiego. I ważne miejsce przypadłoby tutaj Romualdowi Cabajowi, twórca może zbyt szybko zapomnianemu.

Romuald Cabaj (1921-1968) to jeden z bardzo nielicznych prozaików lirycznych, a i optymistów zarazem. Na dodatek rozumiał dobrze potrzebę baśni w życiu i wszystko, co napisał, bodaj odrobinę baśnią było. Debiutował zbiorem sześciu legend *Prawdziwe nieprawdziwe* (1955), opartych na średniowiecznych fabułach śląskich. Mamy tu postacie włóczęgów, ale włóczęgów sprawiedliwych i sprawiedliwość czyniących – sprytny chłop, nieco błędny rycerz, sowizdrzał, dobry łotrzyk. Język poetycki, a w dialogach archaizowany, tonacja ciepła, zakończenia szczęśliwe. Tyle że w tamtych latach musiała być wszędzie „walka klasowa”. Z czego wynikało, że ktokolwiek pisząc o czymkolwiek musiał triumfalnie ogłosić, że wszystko składa się z atomów. No dobrze, składa się – i co z tego?

Tak więc nie darował sobie owej walki Cabaj w *Balladzie bolkowskiej* (1955), stylizowanej opowieści z XVI wieku – trzeba przyznać, że tutejszy zamek aż się prosi o legendę. Mamy więc plebejuszy, ale mamy też klimat ballady, język berentowaty, mamy owianą mgłą poetycką opowieść. Inny, ale równie niezwykły klimat panuje w *Nihil novi* (1959), książce zwartej, choć rozpisanej na poszczególne opowieści, antyczne, fantasmagoryczne i współczesne, nie bez elementu groteski i ironii.

Mniej szczęśliwy był początkowo romans ze współczesnością. Cabaj wydał powieść *Rozdział pierwszy* (1962), w której były partyzant Brzegoń szuka swego miejsca w rzeczywistości roku 1945, na Ziemiach Zachodnich właśnie. Książka okazała się pierwszą częścią większej powieści, *Trzebienie lasu* (1967), w której autor dodał jeszcze dwie części: *Sitowie* i *Pórębę*. Brzegoń zostaje aresztowany, ale ostatecznie wychodzi na wolność. Zarzucano autorowi nieprawdopodobieństwo realiów i postaci. Ciekawsza znacznie była pośmiertnie wydana książka Cabaja *Jesień* (1971), o wyraźnych powinowactwach z Schulzem, jeśli idzie o klimat i sceneryę. Natomiast fabuła szczególna – w czasie październikowych rozrachunków to właśnie defraudanci wywożą na taczkach jedynego sprawiedliwego i świadka swoich poczynań, Łukenia (te nazwiska Cabajowe – to z Leśmiana czy Grabińskiego?), a ten z trudem, ale przecież skutecznie dochodzi sprawiedliwości. Pogranicze jawy i snu spotkamy także w migawkowych wojennych nowelkach *Nie umiem zapomnieć* (1968).

Z prawdziwą melancholią myślę, że ten skromny a przedwcześnie zmarły dziennikarz radiowy mógł jeszcze wiele ciekawego napisać.

Gerard Górnicki (1920) także odnalazł drugą „małą ojczyznę” na zachodzie, w Poznaniu, i jego twórczość ma dwa geograficzne punkty odniesienia. Po prawdzie, z jego pisania najbardziej mi się podobają felietony, publikowane najpierw w „Faktach”, dopóki to pismo pod redakcją Jana Górcza-Rosińskiego liczyło się jeszcze w świecie literackim, potem w „Życiu Literackim”. Felietony doznaniowe, referujące, gdzie autor był, co jadł i z kim rozmawiał. Ale i sam Górnicki wielokrotnie podaje, że jego twórczość musi mieć oparcie w rzeczywistości, że największe wrażenie wywarły na nim własne sprawy rodzinne, a wojna została raczej w cie-

niu. Tak przynajmniej było na początku, potem bowiem uwiodły go niedawne dzieje Wielkopolski. Górnicki, prawnik i nauczyciel, ceni sobie zwyczajne życie, lubi moralizować i gawędzić. Prasa poznańska zawsze wiernie donosiła, z kim się spotkał i w jakiej kawiarni, że wjechał do Kcyni, że Strzyżów urządził mu jubileusz i tak dalej.

Debiutował zbiorem sześciu opowiadań *Sybirca* (1957) – są to obrazki z małego podkarpackiego miasteczka, rozciągające się w czasie od dwudziestolecia, poprzez okupację, do czasów powojennych, co nieco obyczajowo-psychologiczne, skoncentrowane na dziejach rodziny stolarza Michała Matei. Sam tytułowy Sybirca to nieco *jurodłowy* hycel z małego miasteczka. W *Portrecie kota* (1962) znajdziemy opowiadania okupacyjne i wojenne, dobrze zresztą przyjęte. Lecz o wiele głośniejsza była książka *Powrót Stanleya Kozdry* (1963), gdzie tytułowy bohater wraca, molestowany przez syna, po trzydziestu latach z Ameryki. Jest to powrót całkowicie nieudany, przynoszący rodzinne tragedie. Pisano o książce, że jest to studium samotności, rozpadu rodziny, a zarazem współczesna wersja Odysa i Penelopy.

Motyw ojca powraca także w *Spotkaniu z rzymianką* (1966), gdzie narrator, także Kozdra – Narcyz, natyka się na ślady ojcowskiego pobytu przed czterdziestu laty w postaci urodziwej wnuczki. Wielorakie komplikacje psychologiczne. Temat *Powrotu Stanleya* znajdzie się też w innym wariantcie w *Ucieczce na obczyznę* (1968) – tu stary Michał Baryka wraca po trzydziestu latach burząc układy rodzinne, a syn czuwając przy umierającym ojcu rozmyśla o jego prawdzie i legendzie.

Do nieco innej tematyki sięga *Dom na Pacyfiku* (1963) – uciekinier z obozu mieszka u rodziny swojego łagrowego towarzysza, kocha się w jego córce Marcie i wojuje w partyzantce. Edward Balcerzan widział tutaj elementy romansu grozy, gdyż rolę istotną odgrywają w książce ruiny ariańskiego zboru. Ariańskie zbory, nawiasem mówiąc, pełnią w polskiej literaturze rolę taką jak ruiny templariuszy gdzie indziej. *Spotkanie przed bramą do nieba* (1971) to opowiadania dawne i nowe, ułożone w ciągu historyczno-wojennym, a *Dziewczyna Anh odchodzi* (1973) to romans polskiego studenta i wietnamskiej dziewczyny, która ostatecznie woli jednak wrócić do Wietnamu. Z czego wniosek, że albo student był naprawdę do niczego, albo Górnicki nie ma pojęcia o naszych wschodnich i dalekowschodnich gościach.

Większe wrażenie wywarła powieść *Miasto Króla* (1974), odwołująca się do Września '39 opowieść o obronie cywilnej Kocka i maturzyście Adamie Królu, wojującym w tych nowych Termopilach. *Na śniegu widniała gwiazda* (1978) to z kolei częściowo już znane opowieści o starości i umieraniu, natomiast *Poszli ci, którzy powinni* (1978) to sztuka o powstaniu wielkopolskim, wprawka przed obszerną powieścią *Bitwa szalała do wieczora* (1984). Jest to panorama powstania wielkopolskiego, jego północnego frontu, w siedemnastu epizodach. Postaci w znacznej mierze historyczne, walki o Żnin, Inowrocław etc., sporo też obrazów nieheroicznych – brak karność, tarcia między powstańczymi dowódcami itd. Niezbyt sensowne próby przeciwstawiania walczących powstańców i polityków, niestety, częste w literaturze współczesnej, wedle schematu: dobry, choć naiwny żołnierz i perfidny dowódca. U Górnickiego może nie aż tak dalece.

Cezary Leżeński tym różni się od Homera, że nie ubiega się o niego miast siedem, lecz tylko cztery. W Poznaniu się urodził (1930), w Warszawie walczył w powstaniu, w Krakowie się edukował, a w Katowicach został pisarzem. Prawie prominencik w Stronnictwie Demokratycznym, przez lata był naczelnym „Kuriera Polskiego”, o mały włos nie zostając prezesem całej tej partii. Teraz mniej się udziela całymi dniami pracując w bibliotece ZLP. Słusznie czyni bo gdziekolwiek indziej się pokaże, gonią za nim umorusane dzieciaki, wołając: „Tato! Tato!” (Jest mężczyzną bardzo przystojnym).

Rozpoczął od specyfiki śląskiej. Debiutował uroczą książeczką *Kolorowy świat mistrza Teofila* (1963), będącą na poły biograficzną opowieścią o sławnym malarzu Ociepcie.

Następnie przyszła powieść o niedbałym ekspercie – geologu, który po katastrofie ucieka ekspresem Gliwice-Warszawa, gdzie też akcja się toczy. Ale chcąc zmyć swoje winy, a



także przedkładając Ślązaczkę nad warszawiankę, postanawia wrócić do kopalni. Rzeczwie się *Powrót* (1963). Następnie wydał Leżeński *Pozdrowienia dla zdrajcy* (1968), dziesięć nowel o zawilościach psychologiczno-zyciowych. Tak zamknął swoją kartę pokojową, poświęcając się odtąd bez reszty wojnie. Wypracował sobie swoisty gatunek, opowiadanie, ale oparte na prawdziwych relacjach.

Dobrze zostały przyjęte *Żołnierskie drogi* (1971), kilkadziesiąt relacji, obejmujących całą wojnę. Są to niekiedy epizody mało albo w ogóle nieznanne. *Ostatnia szarża* (1972) to dzieje I Samodzielnej Brygady Kawalerii, która po raz ostatni szarżowała pod Borujkiem w marcu 1944 roku. *My chłopcy też wojsko* (1975) to relacje uczestników „Jerzyków”, dość dziwnej formacji młodzieżowej, wojskowej i dywersyjnej, złożonej z sierot z Dalekiego Wschodu. *Zostały tylko ślady podków* (1978) to opowieść o polskiej kawalerii w drugiej wojnie światowej, a *Dajcie im imię* (1985) to losy cichociemnych. W druku jest potężne dzieło o Rydzu-Śmigłym, rehabilitujące marszałka. (*Kwatera 139. Opowieść o marszałku Rydzu-Śmigłym* ukazała się w 1989 r.) Poza tym jest Leżeński autorem książek młodzieżowych o Jarku i Marku, jest tego cały cykl, chłopcy wojują. Odezwały się wprawdzie głosy, że jest to typowa „wojna przygód”, ale co w tym złego? Wiem tyle, że gdy Czarek pisze kolejną młodzieżówkę, to jego oblicze przybiera szczególnie posepny i złowrogi wyraz.

Jeszcze inny wariant losów pokoleniowych prezentuje Jerzy Sulima-Kamiński (1928), autor, który dopiero w latach osiemdziesiątych zyskał powszechne uznanie trylogią bydgoską, choć i przedtem miał już książki wysoko ocenione przez krytykę. Ale sukces przyszedł skądinąd i dość kapryśnie. Rzeczwie godna uwagi: czy Kamiński nie jest przypadkiem jedynym pisarzem współczesnym, który pisząc na temat regionalny stworzył dzieło o nośności ogólnej?

Sulima-Kamiński jest bydgoszczaninem rodowitym, całkowitym, Bydgoszczy nigdy nie opuszczał, był może w Koronowie, ale i to niepewne. Jest dziennikarzem i autorem radiowym, napisał wiele dobrych słuchowisk. Przede wszystkim jednak wydał kilka tomów opowiadań: *Czy księżyc się boi?* (1958), *Kapelusz z woalką* (1964), *Ktoś z jemioly* (1968), *Dach mojej mamy* (1970), z których wywiódł się wybór *Patriarcha* (1982), zawierający i nowe utwory. Kamińskiego interesują ludzie przeciętni, których „kameralne dramaty” opisuje. Bardzo precyzyjne, choć czasem błahe fabuły, dużo psychologii i obserwacji obyczajowej – nie darmo zaliczono go w pewnym momencie do autorów „małego realizmu”. Z biegiem czasu coraz więcej w jego utworach ironii i groteski.

W tym punkcie zaczyna się też jego proza rozleglejsza. Pierwsza powieść to stosunkowo krótki *Stan podgorączkowy* (1972) – konflikt syna z ojcem-dygnitarzem. Rzeczwie satyryczna i groteskowa, jest portretem neodulszczyzny, ale zarazem studium odszukiwania siebie. Następna powieść to *Lot na uwięzi* (1974) – utwór również sarkastyczny, lecz nie bez melancholii. Przedstawia nie spełniony romans starszego pana podczas orbisowskiej wycieczki na Sycylię. Dobra lekturą są zebrane słuchowiska radiowe – *Cymelium* (1978). Nie wiem, jak wypadały w realizacji, ale podobno dobrze.

Cała ta twórczość nabrała innego blasku i znaczenia po *Moście świętej Jadwigi*. Pierwsza część i zarazem pierwsza wersja ukazała się w 1981. Całość trylogii, w wersji ostatecznej, w latach 1984-1986. Jest to saga społeczeństwa bydgoskiego od lat trzydziestych po rok 1956. Przede wszystkim mieszczaństwa uboższego, drobnego – jakże odmiennego od patrycjatu Lubeki. Trzy tomy przynoszą tak radykalne odmiany czasu, że właściwie dałoby się niemal mówić o trzech książkach. Właściwie przez cały czas sytuacja bydgoszczan była trudna i złożona. Przed wojną oprócz miejscowych Polaków i Niemców pojawili się tu przybysze ze wschodu i południa. Bohaterowie Kamińskiego bywają śmieszni, a nawet groteskowi, ale i jakoś ciepli. Kamiński umie malować szczegóły potocznego życia, operuje też specyficznym, pomorskim językiem. Tworzy się w ten sposób wielka panorama obyczajowa. Tom drugi to mrok okupacji i zarazem rehabilitacja bydgoszczan, którzy musieli podpisać folkslistę. Wreszcie tom trzeci przynosi także niełatwe sprawy powojenne. Wszystko to widziane oczą-

mi rosnącego chłopaka, zapewne *alter ego* autora. Na sukces książki złożyły się i szczegóły obyczajowe, i poczucie humoru, i wyjątkowa dramatyczność sytuacji. W ten sposób książka przerosła bydgoskie opłotki i nabrała walorów uniwersalnych – jako może najudatniejsza saga rodzinna i środowiskowa lat ostatnich.

W nieco inną stronę steruje Ryszard Kłysz (1928), były akowiec, dziennikarz związany od niepamiętnych czasów z Krakowem. Jego powieści o żywej, pełnej napięć fabule, niemal sensacyjne są na ogół niewesołą parabolą życia. I tutaj decydującą rolę odgrywają reminiscencje okupacyjne. W ogóle muszę przyznać, że próbowałem początkowo w tym „kolumbowo-pryszczatym” pokoleniu wyodrębnić grupę pisarzy związanych z wojskiem, walką i wojną. Ale okazało się, że o tych sprawach pisali wszyscy, lub prawie wszyscy. Kłysz także, ale przecież inaczej.

Zacznął w sposób dla krakowskich pisarzy wielce typowy, to znaczy pisaniem o Nowej Hucie. Sążniste dzieło *Ostatnie słowo ma człowiek* (1954) opiewa budowę nowohuckiego burzowca. Waław Sadkowski tak akcję streszcza:

„Budowa ta napotyka na olbrzymie trudności. Na skutek graniczącego z sabotażem niedbalstwa (...) inżynierów Fabii i Justynowicza z kierownictwa robót następuje śmiertelny wypadek. Inżynierowie wędrują na ławę oskarżonych, zagrożoną budowę zaś bierze w swe ręce załoga, powstają specjalne brygady szturmowe, które przed terminem, w ciągu czterech miesięcy, wykonują trudne zadanie.”

Przy okazji różne problemy typowe dla lat pięćdziesiątych. Po czym Kłysz milczał przez lat wiele.

*Drogę do Edenu* (1960) napisał już autor mocno odmieniony. A złośliwi powiadali, że najistotniejszym elementem tej odmiany była lektura Hemingwaya. Rzeczywiście, *Komu bije dzwon* wpłynął tu decydująco na wystylizowanie akcji i scenerii. Ale książce nie wyszło to na złe, przeciwnie, zdobyła sobie rzesze czytelników. Rzecz dzieje się w schyłkowym okresie wojny. Ocalałych z zagłady Żydów prowadzą lewicowi partyzanci na wschód, ku linii frontu. Tu przeróżne komplikacje, dziwny nieco rabin-zdrajca i tak dalej, sceneria zaś hiszpańskobieszczadzka. Sporo tu żydowskiej egzotyki, hemingwayowaty romans i piękne opisy przyrody oraz gwałtowne uczucia i niezwykle wydarzenia. A przy tym wszystko to całkiem niezłe napisane, fantasmagoria wojenna, podobnie jak fantasmagorią był *Szczurzy pałac* Ruthy.

Najgłośniejszą i najczęściej wznawianą książką Kłysia jest *Kakadu* (1961). „Kakadu” to nazwa knajpy, najpewniej w Kielcach, gdzie bohater książki, bojownik lewicowej organizacji, czeka na kontakt i walizę z amunicją. Następnie zawiezie ją do Krakowa, w pociągu zaś natknie się na znajomego niemieckiego oficera i wda się z nim w rozmowę – sytuacja kata i ofiary. Przedmiotem jest więc dobro i zło, ich względność. Waliza dotrze na miejsce, ale Niemiec zginie, właśnie dlatego, że ocalił Polaka. Dynamiczna, gwałtownie zmieniająca się akcja towarzyszy więc oddechowi metafizycznemu, książka jest parabolą, a sama „Kakadu”, jak i pociąg, mogą być uważane za symbole. Rzeczywiście, książka bardzo udana.

Nie są zresztą złe i następne, acz spotkały się z wieloma krytycznymi głosami. Tak więc *Cmentarni goście* (1962) to dzieje kilońskiego właściciela sklepu, powołanego na front włoski już pod koniec wojny. Ranny, przechodzi na stronę amerykańską i tam ginie w wyniku nieporozumienia. *Anioły płakać będą* (1965) to powrót do Nowej Huty, gdzie w szpitalu przeżywa swe rozterki duchowe ordynator Gara, trapiiony wyrzutami sumienia. Prawdziwy sukces odniosła książka następna.

*Zabijcie czarna owcę* (1969) to najlepsza i najambitniejsza książka Kłysia, ale niezbyt łatwa w lekturze, stąd trzeba było dopiero filmu, by zyskała sobie rozgłos. Krytycy jednak od razu wynieśli ją wysoko. Rzecz dzieli się na trzydzieści kwadransów-epizodów i może być poczytywana za retrospekcję czy majaczenia głównego bohatera, Tymona Kenara. Tymon

miał zawile i smutne dzieje. Opuszczony przez ojca, zaniedbany przez matkę, uciekał wielokrotnie z domów dziecka. Dopiero w zakładzie poprawczym trafia na tajemniczego Majora, który go wyprowadza z impasu. Jako dorosły młody człowiek wygląda na tchórza i dziwaka, a stara się czynić dobro. Ratując innych, zostaje zatruty oparami i ucieka, by umrzeć. Ale zostaje odnaleziony, co godzi go ze światem. Kłyś zastosował tu wiele technik. Wyrafinowanie warsztatowe cieszy czytelnika wyrobionego, większość jednak odstręcza. A zestawiano już *Owcę* i z *Ulissesem*, i z *Pałubą*. Z pewnością jest to książka ważna i ambitna.

Ważne są też cztery opowiadania, zebrane w tomie *Bengoro* (1985), hiszpańskie, okupacyjno-cygańskie i dwa o tragedii polskiej partyzantki po wojnie, w których Kłyś umie się zdobyć na głębokie, odległe od propagandowych bredni spojrzenie. Tu nowela *Znikąd donikąd*, przerobiona także na scenariusz – dodajmy, że Kłyś, związany przez lata z operetką i filmem, jest także autorem wielu innych scenariuszy.

Jakoś tak zabawnie się układa, że wielu twórców teraz przeze mnie omawianych urodziło się w 1928 roku. Podobnie i Andrzej Kijowski, krytyk, publicysta i prozaik, człowiek, który odgrywał w literaturze i życiu umysłowym Polski rolę większą, niż to wynika z dziś czytanych tekstów. Tak, niestety. Czytane dziś, w 1988 roku, publikacje wielkich bojów krytycznych lat sześćdziesiątych wydają się jakieś niesłychanie odległe i archaiczne. O wielu sprawach mówiło się półgębkiem, o wielu nie mówiło wcale, za oczywistość przyjmowało się rzeczy bynajmniej nieoczywiste, wszystko to zaś do wtóru co i raz bitych pochwalnych pokłonów. Pokłony te były tyleż oczekiwane, co wyuczone, automatyczne, należały po prostu do rytuału publicznych dyskusji, bez względu na to, kto je prowadził. Mgiełka ironii zaczęła narastać dopiero w latach siedemdziesiątych.

Andrzej Kijowski (1928-1985), krakowski polonista, uczeń profesora Kazimierza Wyki, należał do sławnej czwórki krytycznej, gdzie obok niego byli Jan Błoński, Ludwik Flaszen i Konstanty Puzyna. Ich zasługi i dokonania dla literatury, polonistyki i teatru były ogromne. Wiele by o tych krytykach i recenzentach krakowskich rzecz można. Sam Kijowski zresztą przeniósł się rychło do Warszawy i związał z „Twórczością”, której został wierny do końca. Ale prowadził cykle artykułów i felietonów i w innych pismach: „Nowej Kulturze”, „Przeglądzie Kulturalnym”, „Radarze”, „Tygodniku Powszechnym”. Wiódł zresztą życie bardzo aktywne, np. niósł socjalistyczną kulturę robotnikom z ramienia CRZZ, dyrektorował krakowskiemu Teatrowi im. J. Słowackiego w sezonie 1981/82 i tak dalej. Drobnicy krytycznej nie licząc.

O co wojował? W różnych czasach o różne sprawy. Trochę o socjalizm i realizm, potem o „właściwą” rolę literatury już w ogólniejszym sensie. (Wieczne, nudne zadanie krytyki: ustalać, jaka powinna być literatura. W istocie chodzi tu o to, jaki powinien być człowiek – a powinien być jakiś konkretnie taki, a nie inny?). Wreszcie pograżył się bez reszty w sprawie polskiej. Do 1968 roku był w zasadzie prorządowy i prosocjalistyczny. Marzec nie był jednak dla Kijowskiego barierą literacką, bo chociaż *Dziecko przez ptaka przyniesione* ukazało się w tym roku w wydaniu książkowym, to przecież „Twórczość” drukowała je dwa lata wcześniej.

Niestety, sprawy krytyki traktuję w tej książce bardzo marginesowo, podobnie jak literaturę faktu i inne formy piśmiennictwa. A w tej właśnie dziedzinie lokują się największe osiągnięcia Andrzeja Kijowskiego. Wynotujmy bodaj najważniejsze zbiory artykułów i felietonów: *Różowe i czarne* (1957), *Miniatury krytyczne* (1961), *Sezon w Paryżu*. (1964) – na elementach reportażu oparty esej na temat współczesnej kultury francuskiej i światowej, *Maria Dąbrowska* (1964) – zbiór szkiców, *Arcydzieło nieznanne* (1964), *Listopadowy wieczór* (1972) – książka o umysłowości polskiej i europejskiej pierwszej połowy XIX wieku, *Szósta dekada* (1972), sławny bogoburczy esej *Krypta św. Leonarda* („Twórczość” 1979), podskubujący księcia Józefa i Kościuszkę, późniejszy wstęp do antologii romantycznej *O dobrym Naczelniku i niezłomnym Rycerzu* (1984), *Podróż na najdalszy Zachód* (1982) – esej oparty na reportażu ze Stanów Zjednoczonych, *Tropy* (1986) i *Gdybym był królem* (1988). Jeśli nawet nie

wszystko, co Kijowski napisał przyjąć trzeba jako objawienie i prawdę absolutną, to przecież nie można mu odmówić błyskotliwej inteligencji, wielkiej pomysłowości i znakomitego pióra.

Jego proza fabularna była bardziej kontrowersyjna, choć nikt nie odmawiał jej zalet. Kijowski, nie unikając ani sytuacji społecznych, ani bardzo nawet zawiłych spiętrzeń psychologicznych, ma przecież raczej skłonność do konstrukcji intelektualnych, moralitetowych czy wręcz alegorycznych. Zwłaszcza od pewnego momentu widać olbrzymi wpływ Camusa, a proza Kijowskiego przeobraża się w wielorakie studium upadku. Jest to najczęściej proza ironiczna, często groteskowa, nierzadko po prostu oschła.

Jako twórca prozy fabularnej debiutował Kijowski zbiorem opowiadań o tematyce wiejskiej *Diabeł, anioł i chłop* (1955), gdzie i obszarnek, i kułak, ale także najlepsze drwiące opowiadanie *Towarzysz Dialektyk* – o agitatorze, łączącym swobodnie ze sobą najsprzeczniesze opinie. Tę tonację sarkastyczną będzie kontynuował Kijowski w *Pięciu opowiadaniach* (1957), ulokowanych w latach powojennych, na wsi bądź w Krakowie, któremu dostaje się tu mocno. Najlepsza była *Ballada* – o trzech mężczyznach Zosi-organiścianki: zabitym przez Niemców naiwniaku, bojowcu patetycznym i wreszcie ubeku. Tu wybitny mocno motyw snu, półjawy, rzeczywistości niekompletnej, tak bliski Kijowskiemu w późniejszych utworach.

Jeśli w tym pierwszym okresie tematem głównym jest chyba naiwność, to później zajmie się Kijowski odpowiedzialnością. O niej właśnie mówi mikropowieść *Oskarżony* (1959), gdzie umysłowo chorą żonę i matkę rodzina karmi narkotykami – z litości i dla świętego spokoju, aż do śmiertelnego skutku. Oskarżenie dotyczy odpowiedzialności, a właściwie winni są wszyscy. Wiele tu z Camusa, forma popisowa. Problematykę autentyczności podejmują dwie następne mikropowieści: *Pseudonimy* (1964) i w tymże tomie zawarte *Szyfry*. W pierwszej Katarzyna-Helena po okupacyjnym treningu potrafi już żyć jedynie życiem skłamanym, aż do równie skłamanej śmierci. Jej własne istnienie jakby zupełnie wyparowało. W *Szyfrach* przzybysz po latach idzie śladami zabitego przez partyzantów za zdradę syna. Wszyscy ci ludzie odnajdują się tylko w kłęsce, bowiem destrukcyjnej trwałości wojny i okupacji nie da się niczym przezwyciężyć.

Najprzedziwniejsze utwory Kijowskiego to jednak *Dziecko przez ptaka przyniesione* (1966) i *Grenadier-król* (1972). Rzecz pierwsza, pod dość wyraźnymi auspicjami Gombrowicza, opiera się na elementach autobiograficznych i jest drwiąco-liryczną opowieścią o dzieciństwie, rodzinie i Krakowie. *Grenadier-król* to na wpół poemat, całymi partiami spisany dziewięciozłogłosem, o zawiłej i mglistej fabule, zawierającej sytuacyjny i duchowy skrót dwustu lat dziejów Polski. Półjawa, półsen, symbole, Wyspiański i romantycy, spiski i batalie. Iście chocholi sen i sąd nad Polską. Szczytowe osiągnięcie Kijowskiego.

Wreszcie w *Dyrygencie i innych opowiadaniach* (1983) powraca motyw przegranej, upodlenia i daremności buntu. I właściwie cały Kijowski jest taki – jeśli nie widmowy, to masochistyczny.

Jerzy Jesionowski (1919-1993) późno objawił się w środowisku literackim, mimo że wiersze drukował już przed wojną, w „Kuźni Młodych”. Studiował jednak oprócz polonistyki także na politechnice, ukończył wydział mechaniczny, przez całe lata pracował w przemyśle, w łączności. W latach pięćdziesiątych uprawiał satyrę, pisał książki dla dzieci i utwory sceniczne. Dopiero jednak nagrodzony i wydany w 1965 roku *Niewygodny człowiek* przyniósł mu rozgłos. Książka miała się początkowo zwać *Przegrywający potrzebni codziennie*, a wersja filmowa nosiła tytuł *Miejsce dla jednego*. Od tej pory lawina ruszyła i Jesionowski okazał się jednym z najpłodniejszych literatów, nie rezygnującym przy tym z działalności społecznej, związkowej, radiowej etc. I właśnie pierwsze książki Jesionowskiego okazały się najbardziej ekscytujące, chociaż w samej sztuce literackiej poczynił on z czasem znaczące postępy. Dał kilka rozległych panoram polskich losów, pisał powieści polityczne, sensacyjne, a nawet fantastyczne. Zarzucano mu pobieżność, niedorysowanie postaci, zdawkowość opisu. Jesionow-

ski rysuje świat działaczy, dyrektorów, ludzi robiących karierę, a potem podupadających. Tęsknie wspomina ZMP, ale potrafi przedstawiać odważnie problemy i ironizować – w wymiarze z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Sprawia wrażenie bardzo czynnego i raczej oschłego. W każdym razie nie stroni od publicystyki i frazeologii urzędowej.

*Niewygodny człowiek* to prawie produkcyjniak. W każdym razie spór między dyrektorem-konformistą a jego bezkompromisowym zastępcą kończy się dla fabryki fatalnie – przynajmniej bezpośrednio, dla dalszej bowiem przyszłości takie konflikty są właśnie bezcenne. Dziś to niemal dokument, jak można było między pracą a płacą doprowadzić do tak całkowitego zerwania, a nawet przeciwieństwa. W swoim czasie powieść prezentowała się bardzo świeżo.

Podobne problemy pojawiają się w *Dwudziestu batach* (1966), powieści uważanej za najlepszą książkę Jesionowskiego. To także portret człowieka, który ze wsi przez wojsko, milicję, działalność społeczną doszedł do stanowiska dyrektora, ale równocześnie pozrażał sobie wszystkich i wszystko ostatecznie utracił. Ten motyw powtórzy się w twórczości Jesionowskiego niejednokrotnie.

Nieco inaczej, ale równie definitywnie upada bohater *Nieosądzonego* (1968), stary działacz, bojownik z Hiszpanii, któremu nie stało umysłu i charakteru, by się utrzymać na wysokości piastowanych urzędów. Ostateczną klęskę przynosi mu alkohol, co w owych czasach trzeba uznać za fantastykę. Jakoż i bezpośrednio potem przeszedł Jesionowski do fantastyki pisząc *Z drugiej strony nieba* (1969) – o trójce kosmonautów w uszkodzonym pojeździe, przy czym jest to raczej pretekst dla publicystyki i psychologii, zwłaszcza jeśli idzie o panienkę tak szpetną, że nikt jej na Ziemi nie chciał, tu zaś tkwi w oku erotycznego cyklonu. Pisarz wyraźnie tęskni tutaj do samotnej podróży na kres kosmosu jedynie w towarzystwie dwunastu pretendentek do tytułu Miss Universum. Podobnie *Przygoda w czasie* (1969) jest pretekstem do ukazania wizji świata w roku 1500 i 2500. Tu także akcja ledwo, ledwo, a na pierwszym planie publicystyka.

O wiele żywszy jest *Powrót pożegnanych* (1971), gdzie wracający po dwudziestu latach do Polski Piotr Walicki, podejrzany w swoim czasie o wydanie Niemcom partyzantów, prowadzi po latach prywatne śledztwo w tej sprawie. Ale okazuje się to jedynie kłopotliwe i nikomu niepotrzebne. Akcja jest nieco sensacyjno-kryminalna, podobnie jak w innych książkach tego autora.

Wielki epicki zamysł realizuje Jesionowski w cyklu *Brzegów*. Najpierw więc jest ogromna, dwutomowa powieść-kronika *Przed drugim brzegiem* (1974), ukazująca 1350 dni wojny, okupacji i powstania warszawskiego z punktu widzenia kilku rodzin. Po czym mamy *Drugi brzeg* (1977), prezentujący tych samych bohaterów w początkach Polski Ludowej (to właśnie ten tytułowy „drugi brzeg”), a po kilku latach dostaniemy jeszcze *Nad urwiskiem* (1982), gdzie wraz z odmłodzonymi bohaterami wracamy do lat 1938-1939.

Jeszcze raz podejmie Jesionowski ów temat polskiej epepei w *Rzecz czasu* (1984) – rzecz wszystko pochłaniającej. Są to dzieje trzech warszawskich rodzin – inteligenckiej, ziemiańskiej, robotniczej, ukazane w jedenastu epizodach od roku 1939 do 1983 (ciekawe, że jego bohaterowie nie przejęli się ani 1968, ani 1980), ale po prawdzie idzie tu o dzieje Polski całej.

Autor nie ogranicza się jednak tylko do tych wielkich syntez. Powstają w tych latach i dramaty: *Odnawiciel* – o ponownym przyjściu Chrystusa i komedia futurologiczna *Nowe piękne czasy*. Ważniejsze jednak wydają się książki poświęcone zawłóściom karier w Polsce współczesnej. Tak więc tytułowy bohater *Surmaka* (1977) odbywa znaną nam już drogę od wiejskiej biedoty do dygnitarstwa, upadku i samobójstwa. Czyta się to nieźle, dzięki strukturze kryminału. Celina z *Przystanku w biegu* (1981) to przeciętnej urody (właściwie dlaczego bohaterki Jesionowskiego są z reguły szpetnawe?) wiejska dziewczyna, działająca w ZMP i ciężko przeżywająca upadek tej organizacji (za tę półobronę ZMP tego się Jesionowskiemu dostało), natomiast Justyn Furmaga z *Dobrze urodzonego* (1982) to syn rewolucyjnego poety poległego pod Lenino i z tej właśnie racji przeprowadzany przez życie za rękę. Co zresztą nie uchroniło go od zawału i renty.

Wreszcie odnotujmy dwie ciekawe powieści sensacyjne: *Poszukiwany Albert Peryt* (1983) – o walce wywiadu polskiego z niemieckim o odszukanie w getcie wybitnego fizyka atomowego i wysłanie go do Anglii – i *Egzylia* (1985), o wyspie upadłych dyktatorów, w których rozpoznajemy panią Peron, szacha, a nawet Gierka, bardzo ciepło potraktowanego, oraz Oriane Fallaci. Książki Jesionowskiego mają różne tematy, ale duchem je ożywiającym jest aktualność.

Na pograniczu literatury młodzieżowej i dziennikarstwa działał Kazimierz Dębnicki (1919-1986), przed wojną debiutujący pod auspicjami Korczaka i Newerlego, po wojnie redaktor „Filmu”, aktywny w środowisku literackim, zresztą, w odróżnieniu od swojego szkolnego kolegi Kazimierza Koźniewskiego, człowiek łagodny i nie wojujący z całym światem.

W 1954 wydał dwie książki: okupacyjne *Opowiadania świętokrzyskie* i powieść *Trudne szczęście* – o chłopcu spod Suchedniowa, co karierę pozytywną zrobił. Zasłużenie zjechał już wtedy.

Następna powieść przyszła po dziesięciu latach i była znacznie ciekawsza. *Krzyk przez sen* (1965), zapatrzony co nieco na *Sennik współczesny* Konwickiego, to mroczne epizody czasów okupacji w rejonie świętokrzyskim, powiązane postacią wiejskiego stolarza. Nazwano to „prozą kombatancką”, spory też udział gawędy i osobistych, suchedniowskich wspomnień. W każdym razie rzecz interesująca.

Jeśli pominiemy książki dla dzieci i młodzieży tudzież kryminały, to następną pozycją do odnotowania będą *Trzy pamięci* (1971) – także powieść rozciągnięta między teraźniejszością a przeszłością wojenną, relacje dwóch przyjaciół lekarzy i dziewczyny. Niejasność i niepewność wydarzeń maluje Dębnicki w nowelach *Obszar niewypowiedziany* (1978), a o względności odpowiedzialności (reżyser dominujący nad aktorem aż do jego samobójczej śmierci) traktuje mikropowieść *Granice winy* (1979).

Osobne miejsce zajmują książki wspomnieniowe: *Życie jak życie* (1980), *Korczak z bliska* (1985) i *Ludzie mojego życia* (1986), poza *Krzykiem* najcenniejsze, co pozostało po tym miłym, życzliwym człowieku.

W tymże warszawskim środowisku „nasz chłopak z Sosnowca” to nie Kiepusza ani Pierzchała, ale Jerzy Przeździecki (1927), afektowany nieco, zawsze wytworny, hrabiowaty, w swoim czasie nawet co nieco czerwony na miarę rostbefu po angielsku. Jest w równej mierze prozaikiem i dramaturgiem. Debiutował w prasie w 1956, pierwszą książkę wydał w trzy lata później. Sporo u niego psychologii, sporo obyczajowości, bywa i groteska, chętnie też zajmuje się nastolatkami czy w ogóle młodymi (coś z wiecznej młodości na zawsze w nim zostało).

Debiutował opowiadaniem zbranym w tomie *Jaguar* (1959), które od razu zwróciły uwagę, choć nie wszystkich uszczęśliwiły. Potem przyszła powieść *Kres* (1962), rozwinięcie jednej z nowel *Jaguara* – Polacy i Rosjanie w okrążeniu niemieckim, początkowo walczący ze sobą, potem podejmujący wspólną walkę. Powieść tę przerobił autor na dramat *Dzień oczyszczenia*, ciesząc się dużym powodzeniem, jak zresztą większość sztuk Przeździeckiego. W owym czasie duże zainteresowanie wzbudziła także *Garść piasku* – o byłym mistrzu pływackim żyjącym fikcją i podrywaniem, a niszczącym prawdziwą miłość. Ewentualnym jego odrodzeniem ma się stać napisanie książki. Ten motyw wystąpi u Przeździeckiego jeszcze i w innym miejscu – pisanie jako ekspiacja, jako zatrzymanie czasu, cóż, było tak i u Prousta. Niestety, krytyk musi być sceptyczny – bohater napisze książkę, zgoda, ale czy coś warta, to rzecz już zupełnie inna. Może bardziej by mu wyszedł dramat? Na przykład taki *Nasz przyjaciel Kain*, rzecz fantastyczno-filozoficzna, o aranżowanych dla rozrywki wojnach. Albo bardzo głośne *Ostatnie piętro*, konfrontujące obyczaje młodych z plemieniem dziadków. Wręcz wrogość krytyki wywołała burleska *Wariat*, ciesząca się niebywałym wręcz powodzeniem scenicznym.

Dramaty Przeździeckiego ruszyły w szeroki świat, bywało, że wcześniej wystawiano je za granicą niż w kraju. Tak było z duetem *Czy masz ochotę na miłość? Z* innych wystawiono u

nas *Wypadek* – znów z kręgów nastoletnich, tak chętnie wciąż penetrowanych przez Jurka, a także *Rów*, który również ukazał się (1981) w osobnym wydaniu, a jest absurdalną i metafizyczną groteską o robotnikach budujących w nieskończoność ciągnący się rów, z wiarą, że ktoś w nim kiedyś jakieś kable ułoży.

Tymczasem w 1964 ukazały się opowiadania *Ruchome kamyki*, zawierające dramaty szarych ludzi, marzących o wydostaniu się ze swojej kondycji i ponoszących klęskę. Powieść *Jasność nocy* (1976) to jedna z najwybitniejszych książek Przeździeckiego. Redaktor z pokolenia „Kolumbów” jedzie z o wiele młodszą żoną, wziętą piosenkarką, do Londynu, gdzie następuje rozpad małżeństwa. Na pocieszenie bohater pisze ponurą balladę o obozie jenieckim. Następnie *Troje znad czarnej rzeki* (1977), czyli Przemyszy – lata trzydzieste, widziane oczami chłopców, różnie narodowo i społecznie usytuowanych.

I wreszcie najwybitniejsza książka Przeździeckiego *Kot* (1978) – a żeby było śmieszniej, właśnie mój kot Syriusz wskoczył mi na biurko, co czyni rzadko, odmiennie niż niezapomniana Patarafka. Otóż *Kot* prezentuje nam kilkunastoletniego chłopca-kalekę, ofiarę Thalidomidu, który na inwalidzkim wózku śni brutalne sny o życiu, wcielając się w różne postaci, ostatecznie właśnie w kota. Rzeczywiście dobra książka, może odrobinę afektowana, no, ale cały Przeździecki jest taki. Po dziesięciu latach wznowiona, wyraźnie zyskała na upływie czasu, a jej bohater to zwieńczenie motywu wyższości snu nad jawą, tak ważnego w twórczości Przeździeckiego.

Nie ma już tej siły fascynacji *Punkt odniesienia* (1982), coś w rodzaju satyry na lata siedemdziesiąte i retrospekcja wojenna. Ważniejsze jest *Zapamiętanie* (1984), powieść o trzech warstwach, trudnej miłości pary aktorów, Rosjanina i Polki, z idiotycznego wojennego filmu, w którym występują, i mrocznej historii wojennej, którą komponują sami. Mroczne są także wojenne i powojenne opowiadania, zebrane w *Egzekucji* (1984). W *Lekcji gimnastyki* (1985) Katarzyna spędzając współcześnie kilka dni w hotelu, cofa się myślami we własną i społeczną przeszłość wojenną i powojenną.

Do panoramy literackiej Warszawy należy Zbigniew Florczak (1920). Po powstaniu warszawskim trafił do obozu jenieckiego, po wyzwoleniu ukończył plastyczne i dziennikarskie studia w Brukseli i zdobył sobie szybko miejsce w prasie emigracyjnej, a i duży, kontrowersyjny rozgłos. To właśnie dało asumpt Wańkowiczowi do zaproponowania powołania Klubu Trzeciego Miejsca, dla tych, którzy nie należą do żadnego ze zwalczających się na świecie obozów. Sam Florczak wrócił w 1949 do kraju i zajął się przede wszystkim publicystyką, głównie artystyczną, choć nie tylko. Wkrótce i tutaj popadł w tarapaty, okładany dość zgodnie przez prasę krajową, emigracyjną, a nawet moskiewską „Prawdę”.

W 1959 wydał *Autoportret z rubinem* – opowieść-reportaż-pamiętnik z powstania. Rzecz jest polemiczna wobec sformułowania Zygmunta Nowakowskiego, że powstanie było rubinem naszej historii. Florczak pisze książkę brązoburczą, ukazuje raczej strach, niekompetencję, klęskę. Jego własne wspomnienia dotyczą walk na Mokotowie, ale panorama jest szersza. Sam narrator na tym smutnym tle wypadł jednak dziwnie pięknie, w czym mu szpetnie przygadał Jan Józef Lipski, kolega z tej samej kompanii. Książka w każdym razie gorzka, ironiczna i bardzo zajmująca.

Swoistą jej kontynuacją jest *Podróż na horyzonty* (1966), relacja z lat emigracyjnych autora, od 1945 do 1949. Przedstawia szeroką panoramę emigracji, głównie belgijskiej, ze wszystkimi jej splątaniem i śmiesznościami.

Wreszcie powieść mocno szydercza, *Morze w C-dur* (1966), przedstawiająca środowisko plażowe w Jastarni; wiele tu postaci i wątków. Rdzeniem jest dola krytyka plastycznego Korbolda, który wrócił z belgijskiej emigracji sfrustrowany i rozpity, oraz ratującej go Krystyny, która w tym celu rezygnuje z wyjazdu do Kanady. W istocie rzecz o poszukiwaniu własnego miejsca w życiu.

Florczak jest także autorem prac z zakresu historii sztuki, jak np. *Gust soplicowski, czyli o początkach malarstwa narodowego* (1975), a przede wszystkim monografii o malarstwie pa-

leolitycznym *Sztuka łamie milczenie. Z prahistorii plastyki* (1974). Książka jest bardzo interesująca, szkoda, że używa w niezgodzie z duchem języka słowa „prahistoria” zamiast poprawnego „prehistoria”. „Pra” – łączy się dobrze z wyrazami rodzimymi, jak „dzieje” lub „dziadek”. Mogą być od biedy i Prabuty, „pramier” i „prahistoria” już nie.

Nienacki to pseudonim łódzkiego dziennikarza, Zbigniewa Nowickiego (1929). Pseudonim na tyle dla autora szczęśliwy, że wnet wyparł każde inne nazwanie. Nie jest bowiem tak, żeby Nienacki począł się dopiero od wydania sławionych i osławionych *Skiroławek*, bo od samego początku okazał wielką obrotność pióra i nawet jego książka debiutancka była kilkakrotnie wznawiana. Przedstawił się też jako autor wielostronny, bardzo zręczny fabularyzator, zafascynowany psychologią, erotyką, archeologią, krajoznawstwem, przyrodą i wszelaką tajemnicą. Tajemnice co prawda z reguły spłaszczal i racjonalizował, będąc zdecydowanym ortodoksem partyjnym, co w Łodzi wśród pisarzy było rzeczą zwyczajną. Nienacki zresztą Łódź opuścił, osiedlił się w latach sześćdziesiątych koło Ostródy, na granicy leśnego kompleksu w rejonie Jezioraka.

Wiele gwałtownych dyskusji wzbudziły te książki Nienackiego, w których znalazły się mocne motywy erotyczne, a także niezbyt szczęśliwa terminologia. Potraktowano sprawę tak, jakby to była jedyna problematyka Nienackiego, a przecież tak nie jest. W polemicznym ferworze autor popadł w śmieszne samouwielbienie, a jego antagoniści zaczęli go, niesprawiedliwie, wyzywać od grafomanów. Tymczasem erotyka ma tu miejsce ważne, ale nie jedyne. Sam czytałem *Skiroławki* nie zwracając na nią większej uwagi. Istotną wadą jest co innego; trywialność czy wręcz wulgarność słownictwa, zupełnie niekonieczna, ale obawiam się, że wręcz przyciągająca pewien rodzaj czytelników. To prawda, że polszczyzna ma ubogie słownictwo miłosne, przecież jednak i po polsku można pisać na ten temat konkretnie, bez wulgarności. Nienacki jakby o tym zapomniał.

Jeśli się go chce zrozumieć i ocenić, nie można sztucznie odrywać ostatniej fazy twórczości od dorobku wcześniejszego, obszernego i bogatego. Był w nim zawsze nerw sensacji, była atmosfera tajemnicy, motyw skarbu, element baśni. Nienacki skłonny był wielokrotnie do przyznania, że istnieją jakieś moce, których racjonalnie nie da się zrozumieć i uzasadnić – sama tęsknota za czymś takim wydaje mi się godna uwagi. Obecny był też zawsze u Nienackiego motyw moralistyczny, zderzenie dobra i zła. To prawda jednak, że kojarzy się z tym pewien schematyzm: dobrzy są piękni, źli – paskudni pod każdym względem. Zawsze zajmowała tego autora psychologia, szczególnie konsekwencje dewiacji seksualnych. Kobieta jest u niego wieczną prowokatorką, a zarazem i ofiarą. Stąd konsekwentnie występuje postać przestępcy, który sam jest ofiarą biologii i okoliczności. Przeciwstawia mu się wręcz bańniowo doskonały bohater pozytywny – piękny, wszechmocny i mądry, odrobinę nadczołowiek po prostu. On też z reguły zwycięża, bo *happy end* jest tu obowiązkowy. Nienackiemu nie brak przy tym poczucia humoru, ciepłego, jeśli mówi o swoich ulubieńcach, i bardzo zjadliwego w odmiennym przypadku. Tutaj po prostu nie tai swojej pogardy, a bywa jej jakby nieco przywiele, jakby istotnie dało się ludzi dzielić na kategorie, a kategoria złych, brzydkich i głupich była o wiele liczniejsza. Nienacki nie chce pamiętać, że w każdym człowieku jest niemal wszystko, choć proporcje są bardzo zmienne. Przecież nie ma, niestety, azylu przed złem, tak jak, na szczęście, nie istnieje czyste zło bez odrobiny dobra.

Trzeba jeszcze wspomnieć o dużych umiejętnościach warsztatowych Nienackiego. Jego postaci są bardzo charakterystyczne, a opisy plastyczne i konkretne. Szczególnie obrazy przyrody, lasu bywają po prostu piękne. Myślę, że chociażby za to można Nienackiemu odpuścić wiele. A niekiedy bardzo on tego odpuszczenia potrzebuje...

Zaczął Nienacki od dziennikarki – i narrator jego pierwszej książki jest właśnie dziennikarzem. *Uroczysko* (1957) opowiada o wyprawie archeologicznej do Łęczycy, o dziwnych przeszkodach, które stwarza diabeł Kuwasa, o skarbie, lochach etc. A Kuwasa okazuje się pojętym masarzem. Rzecz jest więc sensacyjna, a nie brak jej i humoru. (Choć nielegalny wyrób



pasztetówki uważa Nienacki za wielką zbrodnię przeciw ustrojowi – całkiem bez uśmiechu). Na podobnych motywach historyczno-archeologiczno-obyczajowych został oparty *Skarb Atanaryka* (1960), gdzie rozkopuje się kurhany Gotów. Nie inaczej też było w *Pozwoleniu na przywóz lwa* (1961) – tu bohater wędruje śladami Nicefora Czernichowskiego, Polaka, który w XVII wieku założył mikroskopijne państewko w twierdzy Albazin nad Amurem. Rzecz, podobnie jak poprzednia, młodzieżowa. Natomiast *Worek Judaszów* (1961) oparty jest podobno na autentycznych wydarzeniach z powojennych walk z podziemiem w okolicy Radomska. Rzecz także bardzo żywo napisana, przerobiona później na film, znalazła duże uznanie w Związku Radzieckim. W podobnym okresie lokuje się powieść *Podniesienie* (1963) – historia trzech dni w 1945 roku w parcelowanej wsi Brzostówka. Dodajmy do tego kryminał *Laseczka i tajemnica* (1963), a otrzymamy obraz żywej aktywności Nienackiego w pierwszym okresie twórczości. Należy zaś do tego dodać powstające w tym czasie dramaty, farsy i opowiadki filozoficzne: *Termitiera*, *Styks*, *Golem*, *Nekropolis*.

Nienacki uprawiał literaturę młodzieżową właściwie od samego początku, przy czym z powodzeniem czytało ją i starsze pokolenie. Około połowy lat sześćdziesiątych stworzył postać Pana Samochodzika, która miała się stać łącznikiem wielu do dzisiaj pisanych powieści. Bohater jest mężczyzną w średnim wieku, pracownikiem muzealnym, właścicielem samochodu, będącego z pozoru gratem, w istocie zaś zamaskowanym samochodem wyścigowym i amfibią na dodatek. Ten samochód spełnia rolę czarodziejskiego dywanu. Pan Samochodzik, wszechmocny nadczłowiek, jest spadkobiercą bohaterów książek Maya, oczywiście w polskich realiach. Pomaga uciśnionym, walczy z przestępcami, podróżuje. Powstał więc cykl powieści krajoznawczo-popularnonaukowo-sensacyjno-detektywistycznych dla starszych i młodszych, powieści nie zawsze równych pod względem jakości, bo cykl jest wieloczęściowy. Mamy więc *Wyspę złoczyńców* (1964), *Księgę strachów* (1967), *Niesamowity dwór* (1969), *Pan Samochodzik i templariusze* (1964), *Nowe przygody pana Samochodzika* (1970), *Pan Samochodzik i tajemnica tajemnic* (1975) i wiele innych.

Ale w tym samym czasie powstają i inne książki. Dość ważnym etapem rozwojowym jest powieść psychologiczno-obyczajowa *Z głębokości* (1964), gdzie literat Piotr w szpitalu choruje i zdrowieje, romansuje z pielęgniarką, rozmyśla i snuje wspomnienia o swej wielorakiej działalności. Szpital to ulubione miejsce akcji współczesnej literatury polskiej, bywał w nim Kuśniewicz, Białoszewski, Bocheński i wielu innych. Daje po prostu szansę ucieczki od codzienności. Nienacki zapatrzył się i na Kafkę, i na Manna, rozmyśla o nieuchronności śmierci, a równocześnie przelicza sobie motywy, których już użył i do których jeszcze powróci. Literatura, dziennikarstwo, archeologia, kiepskie małżeństwo, kobieta prowokatorka i morderstwo, bardzo silnie eksponowana cielesność. W tym samym nurcie znalazło się *Sumienie* (1966), gdzie bohater, prawnik i literat, bez wahania głosował za śmiercią dla dwukrotnego mordercy kobiet, ale wiadomość o wykonaniu wyroku wzbudziła w nim wątpliwości, i jeszcze raz *alter ego* Nienackiego objawia się w *Mężczyźnie czterdziestoletnim* (1971) – rzeźbiarz popada w konflikt z synem, a następnie stara się go odzyskać dostrzegając i swoje winy.

Tymczasem powstawały wielkie tomy powieści *Liście dębu* (1967-1969), obejmującej dzieje dwóch chłopców ze wsi Łęgi, Marcina i Michała, w ostatnim roku wojny i pierwszych latach po wyzwoleniu, których dzieli wybór polityczny, a łączy i dzieli zarazem miłość do jednej dziewczyny. Akcja jest bardzo zawiła, wartka, pełna zaskakujących zwrotów, melodramatycznych romansów i sytuacji. Tytuł jest alegoryczny i oznacza dzieci jednej matki-ojczyzny. Zwracają uwagę bardzo udane opisy przyrody. Jest to najwybitniejsze osiągnięcie Nienackiego w okresie przedskiroławkowym.

Okres ten zaczyna się od *Uwodziciela* (1978), powieści przegadanej i raczej słabej. Występuje tu współczesny Don Juan, ratujący dziewczyny skrzywione duchowo-erotycznie. Obok niego Hans Jürgen, psychiatra-teoretyk, i wreszcie Zbigniew Nienacki we własnej osobie. Ni to powieść, ni to esej, jak chronić kobiety przed anorgazmią. Zauważmy, że owej

anorgazmii przypisywał kiedyś rolę wręcz polityczną słynny niemiecko-amerykański psychiatra Reich, rzecz nie jest więc bez reszty szalona.

Najsłynniejsza i rzeczywiście najlepsza powieść Nienackiego, to *Raz w roku w Skiroławkach* (1983). Tytuł pochodzi stąd, że wedle plotki, w Skiroławkach raz w roku wszyscy ze wszystkimi robią to, co powinno się robić oddzielnie, słowem, idzie o sabat czy swoistą noc Walpurgii, która istotnie w książce się pojawia. Ale książka jest żartobliwą prezentacją środowiska wsi nadjeziornej, a zwłaszcza przybyszów – pisarza Lubińskiego, księdza Mizerery, malarza Porwasza, doktora Niegłowicza i ich niezliczonych partnerek. Postacią centralną jest doktor, poszukujący tajemniczego zbrodniarza-wampira. Zresztą postaci jest wiele, a że Nienacki prowadzi rzecz dygresyjnie, spraw wszelakich jest niezmiernie dużo. Autor chciał w tej powieści widzieć rzecz o integracji autochtonów i przybyszów, ale to, jak na złość, jest raczej całkiem tutaj nieistotne. Istotne jest natomiast szukanie własnego „ja” poprzez seks – w przeróżnych jego wariantach, także brutalnych i wulgarnych. Książka w sumie wcale głupia nie jest, choć autor chwilami doprawdy nieco maniaczy. Skądinąd jest to pochwała życia, ciepła i serdeczna, zaprawiona humorem, chwilami wyraźnie groteskowa, nie zawsze wyrównana. Siłą powieści jest wtopienie wszystkiego w pejzaż, w naturę – taką też rolę spełnia tu ptasi demon – Kłobuk – symbol życia i płodności. Książka jest przewrotna, a seks w jej wydaniu jest raczej radosny niż demoniczny, nie ma nic wspólnego z Faulknerem czy *Poletkiem Pana Boga* Caldwell.

Ciekawy jest również *Wielki las* (1987), choć nie dorównuje on *Skiroławkom* – głównie z racji różnych naiwności i przerysowań. Osia jest po prostu romans, i to nieco jak z Rodziwiczówny, choć przeszkody rozdzielające kochanków mają bardzo fizjologiczny charakter. Młoda żona leśniczego Kuleszy, Weronika, zostaje po pijanemu zgwałcona przez robotników leśnych, później zaś przez zbydlęconego męża, w asyście równie pijanych kompanów. Po czym jej ciało „zamyka się”. „On” to przedziwny agent polskiego wywiadu Józwa Maryn, zresztą człowiek wielu nazwisk. Istny nadczłowiek i nadsamiec naturalnie. Oboje spotykają się w domu najciekawszej postaci książki, starego Horsta Soboty, człowieka, który nienawidzi lasu i wyobraża sobie, że toczy z nim pojedynek. Oboje zmierzają różnymi, klasycznie romansowymi ścieżkami ku sobie, aż wreszcie miłosne spełnienie nadchodzi wtedy, gdy nasz nadsamiec, w wyniku ciężkich przeżyć służbowych, sam na czas jakiś traci męskość. Wszystko to byłoby i bardzo poważne nawet, gdyby nie zostało sprowadzone do łóżka jedynie. Wielka miłość to przecież coś więcej, o czym zresztą Nienacki wie dobrze, ale powiedzieć tego nie potrafi.

Nie ma tu tego bogactwa życia i postaci, jakie było w *Skiroławkach*, choć w dalszym ciągu galeria bohaterów jest obfita. Ale wszyscy, poza trójką centralną, zostali potraktowani właściwie w ten sam sposób – z kpina, szyderstwem, a po prawdzie – nawet z nienawiścią. Ludzie „wielkiego lasu” to zbiorowisko chamów i lajdaków, oszustów i głupców. Ale wspominałem już, że Nienacki daje się niekiedy ponieść nienawiści i pogardzie do innych, co aż zdumiewa u kogoś głoszącego pochwałę życia. U Dickensa też było pełno wszelakich obwieśiów i wydrwigroszy, ale jakże malowniczych i śmiesznych zarazem. Ludzie Nienackiego także są śmieszni, ale równocześnie odrażający. Miłość w ich wydaniu to jakieś obrzydliwe wydalanie, pełne stękania, potu i smrodu – przy tym brud to prawdziwa obsesja Nienackiego, także w innych książkach. I znowu najmocniejszą jego stroną jest po prostu obraz samego lasu. Szkoda, że spełnia tylko rolę ramy.

W 1987 zaczął Nienacki publikować w prasie fragmenty nowej powieści *Dagome ludex* (w 1989 r. ukazały się jej dwa tomy – przyp. red.). Znam bardzo nieliczne, więc nie mam prawa oceniać. Autor twierdził, że będzie to rodzaj brakującej nam mitologii polskiej, osnutej wokół postaci i czynów Piasta, syna olbrzymów. Jest w tym coś z ducha czasów i z nurtu fantasy. Osobiście cenię ten gatunek bardzo wysoko, bo uważam, że potrzebujemy baśni. Obawiam się jednak, że zadanie jest znacznie trudniejsze niż się Nienackiemu wydaje, szalenie łatwo tu o krok i ton fałszywy, a erotyka nie jest tu najbezpieczniejszym sprzymierzeńcem. Zobaczmy.

Jest pewne, że Nienacki usiłuje wykraczać poza przyjęte w naszej literaturze schematy, choć zbyt wielką wagę przypisuje erotyce, a za małą magii i tajemnicy. Jego „bohaterowie pozytywni” są jednak dość ubodzy duchem, bardzo w sobie zadufani i w istocie nieciekawi.

Trochę nie doceniona przez krytykę i czytelników była twórczość łódzianina Jana Czarnego (1918-1985), trochę plastyka, filmowca, poety, fraszkopisarza i wreszcie prozaika. Wydał m.in. tomy poezji: *Spojrzenia* (1956), *Parę lat* (1963), *Korekta śniegu* (1984), fraszek: *333 fraszki* (1959), *Fraszki i antyfraszki* (1966), *Epigramaty* (1984) – uwaga: nie „epigramaty”, prozy: *Tresowany motyl* (1966), *Albinos* (1967), *Zacieki* (1970). Najbardziej znane były epigramaty, niektóre wręcz weszły do mowy potocznej, jak „wywyższyła go równość” czy „dwa razy po pół prawdy to jeszcze nie jest cała prawda”. Wiersze i proza ukazywały natomiast świat widmowy.

w maszynie do pisania słyszę poszum skrzydeł  
a w sękach podłogi widzę zmarłych oczy  
każda rzecz coś udaje żadna nie jest sobą  
nigdy rzeczy nie widzę w sekundzie istnienia  
napęczniona wodą nadętą powietrzem  
rzecz odpływa ode mnie w chwili swych narodzin  
kiedy już ją widzę i gdy chcę ją nazwać  
rzecz się zmienia w sobie i we mnie już innym  
demon rzeczy spod rzeczy pokazuje język  
i woła nie ma rzeczy mnie nie ma i ciebie

(Widzieć) 1969

Widmowe i fantasmagoryczne są opowiadania zgromadzone w *Tresowanym motyłu* i równie szczegółny świat w obu niewielkich powieściach. W *Albinosie* młody człowiek przyjeżdża do wielkiego miasta i szuka pisarza, z którym zetknął się wcześniej. I właśnie szukanie, krążenie po rejonach turystycznego środowiska jest tematem książki. W *Zaciekach* mamy znowu zjawę tegoż środowiska. Tu narrator i jego goście w zaciekach dopatrują się szczególnych światów. Po ich zamalowaniu świat się przeobraża, ale nie na lepsze; szczęściem, spod tandetnego malowania zacieki wylażą znowu... Jest tu jakiś pogłos po Schulzu, a może zwyyczajnie po łódzkim Sztajnercie, w każdym razie ta groteskowa, wyraźnie poetycka proza jest istotnie interesująca.

Dobłą, ogólnopolską pozycję zyskał sobie Tadeusz Mikołajek (1927), pisarz od 1945 roku wrocławski. To jeszcze jeden z tych autorów, którzy nie są w stanie oderwać się od przeszłości, którzy zostali tą wojenną i tużpowojenną przeszłością bardziej zniszczeni, niż ukształtowani. Remarque pisał o pokoleniu zniszczonym przez wojnę, „choć uszło przed jej bombami i granatami”, Mikołajek byłby świetnym na to przykładem. Jego bohaterowie szukają stabilizacji i znaleźć jej nie mogą, wykolejają się, wystają pod kioskami z piwem, nawet na wycieczce z synkiem muszą się mocować z zadrą sprzed lat. Mikołajek od debiutu nie jest w stanie wyrwać się z tego zakłętego koła. Pozostał też przy tej samej poetyce – podwojony bohater, dobry, skrótowy dialog, a wyraźny z początku wpływ Hemingwaya przerodził się we własny dukt języka. Debiut Mikołajka był głośny i udany, potem zarzucano mu, że się powtarza. W istocie była to ta sama obsesja.

Debiutował opowiadaniem i powieścią. Opowiadania *Po deszczu* (1960) były groteskowe i tragiczne, brutalne i przywodzące na myśl „formację conradowską”, cały czas w orbicie wojny. Zaraz potem ukazała się powieść *Żarówka* (1961), dająca obraz powojennego Wrocławia, pełnego ruin i szabrowników. „Żarówka” to pseudonim bohatera, byłego partyzanta, a obecnie wrocławskiego pioniera, który nie może się odnaleźć w nowym świecie, próbuje w

milicji, próbuje się uczyć, romansuje etc. A zarazem: „Człowiek, mój pocziwczę, jest jak żarówka. Trzaśniesz ją, wielki huk, a właściwie pustka”. Tym pesymizmem zostanie zaprawiona cała twórczość Mikołajka.

*Trójkąt na śniegu* (1964) prezentuje nam trzech partyzantów z trzech różnych orientacji, chłopca, syna robotnika i młodego inteligenta, ich konflikt i wspólne działanie. *Trójkąt błędów* (1967) przynosi konflikt podobny – akowiec wykonuje wyrok na milicjancie, wstrząśnięty tym ucieka z oddziału i stabilizuje się. Po dwudziestu latach, urządzony i zmieszczający, przeżywa ciągle tamto wydarzenie. W opowiadaniach *Spotkania z nocą* (1969) dzień dzisiejszy i obsesja wspomnień, *Żegnajcie, chłopcy* (1970) to mikropowieść, prezentująca dwa punkty widzenia na to samo wydarzenie, tę samą walkę: chłopca z NSZ, Błyszczka, i podporucznika „rządowego” Doliny, co łącznie tworzy obraz konfliktów na Ziemiach Zachodnich.

W *Zamykaniu koła* (1971) chłopak z wiejskiej biedoty, piaskarz Lin, awansuje aż do stanowiska dyrektora, ale czuje swe wyobcowanie i samotność. Świat rzeczy zastąpił świat ideałów. To wszystko pod niejakim znakiem Kawalca. Podobnie jest i w *Ambie* (1978) – dwaj przyjaciele, Amba i Pat, przeżywają trudności adaptacji po kombatanckiej skazie. Rzecz dzieje się w 1957, jest i strona polityczna sprawy, bo byli przecież akowcami.

Utwory Mikołajka wydało „Ossolineum” w przedziwnie grubym i niekształtnym tomie *Ślepe gwiazdy* (1976), stanowiącym pewną osobliwość wydawniczą. Tu także ciekawa mikropowieść tytułowa.

Czesław Michniak (1918) poprzez Kraków i Kielce trafił do Poznania, zajął się dziennikarstwem, ale ma też spory dorobek prozatorski, a niektóre jego książki stały się nawet bardzo głośne. W opowiadaniach albo mikropowieściach zajmuje się szarym człowiekiem, niewielkim, gnuśnym miasteczkiem, toteż jest uważany za „małorealistę”, za piewcę, choć chwilami raczej szydercę, zwyczajnego, szarego człowieka. Akcja jego utworów bywa dość wątpliwa, ważniejszy jest portret indywidualny bądź środowiskowy. Ale to właśnie Michniak napisał pierwszy utwór o poznańskim Czerwcu, a następnie nieomal wywróżył wybuch sierpniowy.

Rozpoczął opowiadaniem *Drewniane skrzydła* (1953), mocno jeszcze socrealistycznymi, by w następnym zbiorze *Opowiadania poznańskie* (1957) skoncentrować się na poznańskim Czerwcu i Październiku. W tomie kolejnym, *Losy złote i srebrne* (1962), znać nieco wpływ Schulza. Autor zastosował bowiem groteskę i udziwnienie w tych często demaskatorskich opowiadaniach psychologicznych i obyczajowych. Podobnie jest w drwiącym zbiorze *Śmierć prezesa* (1966). W powieści *Telefon od żony, dyrektorze* (1967) ukazuje dwa dni życia drobnomieszczanina, kukły w randze dyrektora dużego zakładu.

Przeciętnych ludzi dotyczą opowiadania zebrane we *Mgle* (1973). Szyderczo-demaskatorska jest opowieść o drobnym, świniowatym oportuniście z początku lat pięćdziesiątych *Romans na medal* (1973). W powieści *Kto znał tę dziewczynę* (1978) mamy zaś obraz zakisłego, małego miasteczka, którym rządzi plotka.

Duży i zasłużony rozgłos zyskała mikropowieść *Twarz*, drukowana w „Twórczości” na początku 1980 roku. Jest to dla niepoznaki umieszczona w latach sześćdziesiątych opowieść o konflikcie wszechwładnej dyirekcji z robotnikami w wielkiej garbarni. Robotnicy są po prostu w powodzi sloganów manipulowani, ale oto odzyskują na chwilę swoją tożsamość – a to za sprawą wypadku, który zdarzył się koledze. Słusznie zauważono, że adres znaczeniowy książki jest o wiele szerszy, *Twarz* była powszechnie czytana, ale rychła burza polityczna zaćmiła ją, jak zresztą całą literaturę czasu.

Następne książki także miały odcień gorzko-demaskatorski. Tak więc *Lanie wosku* (1981) opowiada o konfliktach pokoleniowych, na emigracji i w kraju (morał: tak źle i tak niedobrze), dalej przyszły: zbiór opowiadań *Podrygi albo zamęt w głowie* (1981), gdzie jedynym szczęśliwym i ludzkim okresem życia jawi się emerytura, i powieść *Piknik pod gilotyną* (1984), nieco żałobna opowieść o losach zarobkowej emigracji inteligenckiej na Zachodzie, ubarwiona nieco motywem kazirodczego romansu, z odniesieniami wojennymi.

Ireneusz Gwidon Kamiński (1925) jest szarą eminencją Szczecina. Pomaga mu i to, że jest strasznie wysoki: nie musi słyszeć, co tam sobie mali ludzie szepczą. Dziennikarz, prozaik i działacz, bywał i poetą. Uchodzi za „beton”, ale co to za „beton” wysokoprężny, niezłomny, wręcz wzniosły, przy którym faceci z takiego „Grunwaldu” to po prostu rozlażle kosmopolity. Nie podzielam jego poglądów, ale muszę cenić wierność raz przyjętej postawie, a przy tym sądzę, że nic tak nie rujnuje kultury jak jednomyślność.

Najciekawsze osiągnięcia literackie Kamińskiego należą do powieści historycznej, zwłaszcza tej, która miała wypełnić luki w legendzie i tradycji ziemi szczecińskiej. O współczesności traktuje raczej forma krótsza, niestety, nazbyt często przeładowana publicystyką, stosunkowo najznośniejszą tam, gdzie przechodzi w groteskę.

Debiutował Kamiński *Węgierską opowieścią* (1955), złożoną z trzech części, poświęconą węgierskiej Wiośnie Ludów, a skupioną wokół postaci Bema. Zarzucano książce nadmierny wpływ Sienkiewicza, ale zbieżności były raczej powierzchowne. To prawda, że utwór miał charakter romantyczno-przygodowy, podobnie jak kolejna powieść Kamińskiego *Czerwony Sokół* (1957), opowieść o Bogusławie X, księciu szczecińskim z przełomu XV i XVI wieku. Bogusław, onże Czerwony Sokół, poświęca tu na rzecz racji stanu ukochaną Elżbietę, ale cała książka jest przygodowa, romansowa, awanturnicza, romantyczna – Pędziński nie bez racji przywoływał tu Waltera Scotta, inni zaś Dumasa. Jej kontynuacją jest utwór *Mściciel przy-pływa z Rugii* (1958), którego bohaterem jest Krzysztof, nieślubny syn Bogusława i Elżbiety, przywódca rebelii. W dobrych kilka lat później ukazała się jakby część trzecia – *Krystyna i rapier* (1971), dotycząca wieku XVII, czasów Bogusława XIV i upadku państwa pomorskiego.

Czasami współczesnymi zajął się Kamiński w zbiorze nowel *Czas słońca* (1960) – bardzo schematyczno-politycznych, antyamerykańskich, antyklerykalnych itp. Najlepszy jest tu motyw katastrofy nuklearnej, a najciekawsze, że narratorem okazuje się niski garbus (podczas gdy sam Kamiński to przecież wysoka, chuda tyka; garb ma chyba znaczenie przenośne, autora zaś pewnikiem słusznie gryzie sumienie). Potem przyszła powieść *Białe wrony* (1963) – o podlubelskich przybyszach do Szczecina, rodzinie Kuźmów. (Dodajmy mimochodem, że główny szczeciński krytyk to Erazm Kuźma). Uwagę zwróciła też *Anastazja, czyli opowieści garbusa* (1969), coś w rodzaju opowieści w epizodach. Rzecz zaczyna się w berlińskiej fabryce amunicji w czasie wojny, gdzie bohater pracuje, dorabia się garbu, kocha Anastazję i marzy o zemście. Później, w latach powojennych, krzyżują się sprawy niewydarzonej miłości, stosunków polsko-niemieckich, zemsty, pogoni, walki etc. – sporo tu materii awanturniczej. Rzecz ma charakter niekonsekwentnie ironiczny i metaforyczny.

Potem przychodzą reportaże wietnamskie *Paszczka smoka* (1970), zbiór trzech opowiadań *Odro, rzeko pogańska* (1975) i zbiór groteskowych przypowieści *Święty Ateusz* (1987). Poza tym pracował, redagował, sekretarzował i uprawiał publicystykę, przysparzając sobie coraz to nowych nieprzyjaciół.

O ile Ireneusz Gwidon Kamiński czuwa nad słusnością ideową ziemi szczecińskiej, o tyle Zdzisław Wróbel (1925) zaopiekował się Toruniem. Urodzony w Drohobyczu lub Borysławiu (różne źródła podają różne miejsca), skończył w Toruniu romanistykę i rusycystykę, zajął się dziennikarstwem i pracą społeczną, był przez kilka lat naczelnym „Pomorza”. Autor dramatyczny i prozaik, chętnie łączy fikcję fabularną z dokumentem. W prasie debiutował już w latach czterdziestych, pierwszą powieść wydał w 1954. Była to *Inauguracja*, książka o Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika. Jak pisał wówczas Andrzej Trepka: „Powieść Wróbla opiewa walkę klasową na wyższych uczelniach w pierwszych latach powojennych”. W tych latach imperialiści czają się wszędzie: „widzimy wroga wszelkiej maści, w oficerskim mundurze, w sutannie, w czapce studenckiej, czy przemawiającego z profesorskiej katedry”. Ponieważ jest to powieść z kluczem, więc też autor popadł w niej jakie tarapaty. Ale przecież miał rację: wrogość do ówczesnej odmiany „socjalizmu” była rzeczywiście powszechna.

Lepszej literacko próby była dokumentalna powieść *Eldorado* (1963) – o ruchu komunistycznym w latach trzydziestych i rozruchach w Toruniu w roku 1936. A „Eldorado” to nazwa knajpy – w tej materii Wróbel jest znawcą bezspornym. Dobrze zostały przyjęte jego dramaty: *Majakowski*, *Kim jesteś*, *inżynierze* (oparty na autentycznych pamiętnikach), *Zamach* – sceniczna opowieść o Leninie, *Przeciw całemu światu* – o Koperniku.

*Bracia* (1965) to z kolei powieść, przetworzona wersja dramatu pod tym tytułem, *Szczeble* (1967) – są opowieścią o toruńsko-bydgoskiej elicie w latach 1955-1956, znowu z kluczem, w ujęciu satyrycznym. Jako satyryk objawił się także Wróbel w *Złotym ptaku* (1979), zbiorze opowiadań, właściwie humoresek. Wątki polityczne i obyczajowe w stylu „małego realizmu” znajdziemy w opowiadaniach *Śmierć frajerom* (1984).

Najciekawsza książka Wróbla to dwa tomy cyklu, *Odwrót* (1981) i *Konspiracja* (1986) – o walkach na Pomorzu we Wrześniu, w pierwszym okresie okupacji. Są to powieści dokumentalne, ich bohaterem jest młody inżynier, Andrzej Jawor. Wróbel jest także autorem esejów *Erotyzm w literaturze dawnych wieków* (1986) i *Erotyzm w literaturze nowożytnej* (1987).

Na własne miejsce zasłużył także Jerzy Krasicki (1927), krakowski aktor, dramaturg i prozaik, twórca prozy obyczajowej i psychologicznej, werystycznej, operującej najczęściej krótkim, sprawozdawczym zdaniem. Debiutował opowiadaniem *Tamten brzeg* (1961), nie bez wpływu Camusa. Równocześnie wyszła głośna i chwalona książka *Z tej samej gliny* (1961), przedstawiająca losy kilku rodzin, a zwłaszcza siedmiu kobiet zamieszkałych w nowym bloku. Różne są to rodziny, różne losy zwyczajnych ludzi, na tle interesująco przedstawionego Krakowa. Krasicki ma oko do różnych szczególnych i drastycznych sytuacji, a potrafi je zaprezentować z umiarem. Książka rzeczywiście udana.

Krasicki pisze także dramaty. A więc *Był sobie król* to równie symultaniczny jak jego proza dramat okupacyjny, *Oby żył wiecznie* – to motyw staroegipski, ostatni dzień życia faraona Echnatona, umiłowanego, jak wiemy, przez literaturę. *Za nasze winy i wasze, czyli Kobiety stamtąd* to pięć więźniarek w jednej celi, dalej *Rocznica ślubu* i inne. Wpływ teatru i dramatu na prozę Krasickiego jest wyraźny.

*Emilia i nieznajomy* (1963) to rozmowa dawnych narzeczonych, Andrzeja i Emilii, o ich nieudanych małżeństwach, rzecz o obcości, zagubieniu, niepokoju. *Po prostu młodzi* (1970) to perypetie niepełnoletniej pary i ich konflikty ze starszym pokoleniem. *Długa podróż* (1982) to znów rozmowa nieznajomych w pociągu, starego zegarmistrza i Anny, próba powrotu w przeszłość, do źródeł. Lęki, pomyłki i winy, w sumie studium psychologiczne. *W butach i na bosaka* (1983) to interesujące wspomnienia i refleksje z podróżowania, a *Boczny tor* (1985) to wielowątkowa i, jak zwykle u Krasickiego, symultaniczna opowieść o spotkaniu uciekiniera z zakładu poprawczego i bezdzietnego małżeństwa. Bez *happy endu*.

Marek Domański (1921) bardziej jest znany jako dramaturg niż prozaik. Prawnik po KUL-u, debiutował w roku 1951, okazując talent satyryka. Parę razy zbulwersował opinię publiczną, prowokując ją do dużej dyskusji. Pierwszym jego dramatem była farsa *Milionowe jajko*, z akcją usytuowaną w spółdzielni produkcyjnej – środowisko pracownicze stanie się jego ulubionym tematem na całe lata – i w prozie, i w dramacie. Następna sztuka, *Otwarte drzwi*, przenosi nas do cukrowni. Potem była farsa obyczajowa *Kobieta w trudnej sytuacji* i słynny dramat-komedia *Ktoś nowy* – o nowym wicedyrektorze i jego konflikcie ze starą dyrekcją fabryki. Sprawy produkcyjne znajdziemy także w *Decyzji* – o budowie linii wysokiego napięcia, ale rzecz nie miała takiego powodzenia jak *Ktoś nowy*, sztuka, która była wystawiana w całej Polsce. Potem przyszły dramaty: *Trutnie i kobiety*, *Pierwszy niewinny* i *Budowlani*.

Debiut prozatorski także był udany. Była to powieść *Dom nad jeziorem* (1955), przedstawiająca konflikt dwóch przyjaciół, z których jeden chciał handlować, pracować i żyć na własną rękę, a drugiego pomysłem na życie była spółdzielnia produkcyjna. Ten pierwszy ucieka wreszcie za granicę, bo nie były to czasy dobre dla pracowitych, ale Domański nie robi z nie-

go ostatniej szmaty, jakby to w owych latach wypadalo. Powieść wywołała jednak publiczną wielką dyskusję. Zwracał uwagę także behawiorystyczny zapis, bez drażenia psychologii postaci – tak będzie i w następnych jego książkach. *Porządek rzeczy* (1962) przenosi nas do zimowego Zakopanego, gdzie środowisko plastyków styka się z prywatną inicjatywą – jak to się wówczas mówiło. Książka ma zresztą dość mroczne przesłanie moralne. I wreszcie *Pierwszy niewinny* (1972), rzecz oparta na niektórych motywach sztuki pod takim tytułem, wielka groteska produkcyjna o jakichś zakładach plastykowego śmiecia w równie groteskowym Staszowie. Sitwa, chody, plecy, romanse – widoczek dość posępny. Ciekawe, że kośćcem całości jest odnowa ekonomiczna – czytając rzecz teraz nie mogłem się oprzeć, by jeszcze raz sprawdzić, że to naprawdę wyszło szesnaście lat temu.

Andrzej Żeyland (1926) z Poznania zaczynał jako poeta równoległe ze „Współczesnością”, potem jednak zajął się prozą, zyskując pewną pozycję wśród „małorealistów”. Z tym jednak że obecność reminiscencji wojennych świadczy o przynależności do „kolumbowego” pokolenia. Jego książki są czymś pośrednim między moralistyką a satyrą dotyczą obyczajowości i psychologii.

Jeśli pominiemy wiersze – *Powracający Mohikanie* (1958) – to jego twórczość otwiera powieść *Królewicz pilnie poszukiwany* (1960) – o nastolatce pracującej w warsztacie optycznym, szukającej odpowiedniego chłopaka i działającej w ZMP. Różne przymiarki kończą się wejściem w małą stabilizację małych mieszczan. To zresztą jest w ogóle typowe dla Żeylanda – obserwowanie, jak rozpraszają się młodzieńcze ideały i zaczyna królować nieciekawych dzień jak co dzień. Przy czym mamy zawsze wątpliwości, czy autor mówi serio, czy kpi raczej.

Melancholijna w każdym razie jest powieść *Czas przeszedł obok* (1966) – o wielkopolskim młodym inteligencje i jego środowisku w Gnieźnie i Poznaniu. Bohater chciał być architektem, myślał o „szklanych domach”, „siłaczce”, a został nikim – utrzymankiem własnej żony. *Wyspy szczęśliwe* (1972) traktują o młodzieży z poprawczaka, *Wyprzedaż snów* (1975) to znów kontrast między mieszczańską stabilizacją poznańskiego inteligenta a retrospekcją z lat wcześniejszych, wojennych i okupacyjnych. *Może jutro* (1975) to książka obyczajowo-rozrywkowa, o urzędniku śniącym o karierze artystycznej, bawiącym się podrywaniem i zapadającym w coraz głębszy letarg. Nieco letargiczny jest także *Portret prawie rodzinny* (1978), gdzie wysoki urzędnik, dowiedziawszy się o umieraniu swojej ciotki, pisze o niej i o sobie powieść. Tu także nieco kafkowski obraz funkcjonowania Urzędu, w którym raczej spada się na niższe piętra.

Problematyka młodzieżowa znalazła się w książce *Nikt inny* (1978), a rzeczywiście ciekawy okazał się *Konwój* (1979), w którym studenci obok gromady lumpów konwojują do granicy czeskiej transport buhajów. Rzecz o zderzeniu brutalnej rzeczywistości z wysokimi ideałami bohatera Antka, który kocha się czysto i wzniosłe w towarzyszącej konwojentom, drwiącej z niego kurewce. Dość dziwne jest *Wniebowstąpienie magistra Wypanka* (1981), gdzie bohater, mały dygnitarz z małego miasteczka, przeżywa wyrzuty sumienia w obliczu lotu samolotem sanitarnym. Bohater waha się ustawicznie między formą „towarzyszu” i „panie” – stąd jego nazwisko. Poprzez mizerną postać i umysłowość tegoż chce autor sięgnąć i ku sferom moralnym, i obyczajowym. Czytelnika to dezorientuje. Wreszcie *Piętro wyżej: gwiazdy* (1983) to rzecz o nie spełnionej miłości pięćdziesięciolatka do młodej dziewczyny. Tu także ustawiczne wątpliwości moralne.

Postacią niezwykle oryginalną, ale i naznaczoną piętnem wyjątkowego nieszczęścia jest Michał Kaziów (1925), człowiek, który stracił wzrok i obie ręce, a przecież skończył i szkołę i studia i doktorat zrobił, i książki wydaje. A dodajmy, że jest też znakomitym kompanem do kieliszka, jeśli się ze swojej Zielonej Góry wychyli, co często się zdarza. Zajmuje się problematyką radia, wydał: *Postać niewidomego w oczach poetów* (1968), *O dziele radiowym. Z zagadnień estetyki oryginalnego słuchowiska* (1973) i inne. Ale w 1985 ukazała się jego autobiografia *Gdy moim oczom*, a w 1988 zbiór opowiadań *Zdeptanego podnieść*, traktujących o niewidomych.

O Stanisławie Załuskim najwięcej mówiono w środowisku literackim wówczas, gdy na początku lat siedemdziesiątych zaproponował, by literaci polscy, jak leci, zostali wzięci na państwowe etaty. Zresztą może by tak i nie sztydono, gdyby te etaty miały być z prawdziwego zdarzenia – niestety, Załuski wyznaczył dla pisarzy aż po trzy tysiące złotych, co i wtedy nie było kwotą godną uwagi. Sam Załuski jest z wykształcenia inżynierem wodnym czy hydraulicznym, nie wiem dobrze, w każdym razie nie praktykuje. Urodzony w 1929 w Warszawie, zamieszkał na Wybrzeżu, żyje zaś z literatury dziecięco-młodzieżowej. Napisał tego sporo, najbardziej znana książka to *Klub nocnych marków* (1981). Ale ma i inny dorobek, składający się głównie z opowiadań.

Debiutował tomem *Ślad na asfalcie* (1961), z początku autobiograficznym, a przynoszącym retrospekcję okupacyjną i tużpowojenną. Znalazły się też tutaj motywy moralistyczne. Spraw etyki społecznej dotyczy również opowiadań tom następny – *Gwiazdy bez blasku* (1963).

Natomiast opowiadania tomu trzeciego *Nim skończy się noc* (1966) zafrapowały przede wszystkim różnorodnością przedstawionych portretów bohaterów. Problematyka obyczajowa i psychologiczna. Natomiast na sprawach młodzieżowych koncentruje się tom opowiadań *Sopockie lato* (1969), trochę niezdecydowanych w ocenach młodego pokolenia, który sprowokował dyskusję prasową i nieco grymasów. Najznacześniejsze, zdaniem autora, teksty zostały zebrane w książce *Pokuta* (1978), gdzie na plan pierwszy wybiły się sprawy moralne.

Po tym wszystkim Załuski wziął się za trylogię poświęconą losom byłych ziemian – temat w istocie tragiczny, a całkowicie usunięty z pola widzenia. Wyszedł już tom pierwszy *Szukanie jutra* (1982), przeogromny, sześciusetstronicowy, a dwa następne są w przygotowaniu. *Szukanie jutra* dzieje się w czasie parcelacji, w 1945 roku. Niestety, obraz wypadł bardzo schematycznie, czarno-biało, nie na miarę ludzkiego nieszczęścia i powagi sprawy. Ale zasługi w podjęciu problemu odebrać mu nie sposób.

W Słupsku mieszka i w miejscowej uczelni wykłada Zbigniew Zielonka (1929), wieloletni opolanin z wyboru i jeden z ważniejszych współczesnych śląskich pisarzy historycznych, autor interesujących esejów i liczących się powieści. Z prac niebeletrystycznych należy wymienić: *Jakuba Kanię* (1961), gawędę o śląskim twórcy ludowym, i przede wszystkim *Śląsk: ogniwo tradycji. Rozważania o historii i kulturze* (1981).

Jako prozaik debiutował powieścią *W Jemielnicy sądny dzień* (1956), przenoszącą nas w wiek XVIII, od buntów chłopskich, przez rewolucję francuską po insurekcję kościuszkowską. Bohater książki, wzięty z ludowej pieśni Marek z Jemielnicy, jest uczestnikiem wszystkich tych wydarzeń. Dzieje i postaci mocno tu uproszczone, język nieco archaizowany. Ale to była dopiero przygrywka. Zielonka przystępował do pisania wielkiej trylogii, poświęconej XIII stuleciu. Nawiasem mówiąc, moglibyśmy mieć na ten temat niejaki cywilizacyjne kompleksy. Przecież na Zachodzie jest to czas wielkiego duchowego wlotu i prawdziwie nieśmiertelnych osiągnięć filozoficznych, architektonicznych, literackich, u nas natomiast ledwie, ledwie co się zaczynało. Kultura średniowieczna w Polsce miała się dopiero rozwinąć w XIV i XV wieku. Politycznie jednak był to okres decydujący o późniejszym kształcie Polski – coraz to podejmowano próby zjednoczenia tego, co rozdrobnił swoim testamentem Bolesław Krzywousty. Trylogia Zielonki właśnie owym próbom i ich ostatecznemu sukcesowi została poświęcona.

*Orły na sarkofagu* (1964), opowiadają o osobie i czasach Henryka IV Probusa, czyli Przewego; jego to właśnie sarkofag ze słynnym polskim orłem, o którym tak wiele mówiono i pisano w latach powojennych, trafił do tytułu. Sam Henryk jest tu nie tylko zjednoczycielem, ale i romantycznym rybałtem, ma kontakty nie tylko polskie, ale i europejskie. Po prawdzie, ten kontakt najważniejszy to chyba był z *Czerwonymi tarczami* Iwaszkiewicza, ale to Zielonce nie zaszkodziło. Ten utwór to zarazem skrupulatna kronika życia i panowania.

Część następna to dwa tomy powieści *Klucz ziemi* (1965), opowiadającej o kolejnym zjednoczycielu, Przemysławie II. Czas prawie ten sam – Probus został otruty w 1290 roku, a



Przemysław zabity w Rogoźnie w 1296 – odmienna jest natomiast perspektywa widziana oczyma dziejopisa Paszki. Przemysław nie wysuwa się już tak na plan pierwszy jak Henryk, jest tu natomiast płatanina ludzkich losów.

Wreszcie część trzecia, *Ziemia wschodząca* (1973), dzieje się w roku 1320, w czasie wawelskiego pochodu koronacyjnego Łokietka, i obejmuje jego życie i starania o koronę. Sam Łokietek pojawiał się już w częściach poprzednich i był przez Zielonkę traktowany bez zbytnej rewerencji. Teraz, podczas koronacji, wysłuchujemy głosów i myśli różnych ludzi, stąd mnogość różnorodnych narracji, każących pomyśleć o Parnickim. Z tej gęstwiny wyrasta chronologicznie uporządkowana droga życiowa Łokietka. Książka jest bardzo archaizowana, co pobudziło sarkazmy krytyki. Jest to więc powieść polityczna, nie bez aluzji do współczesności, powieść o walce o władzę i o różnych racjach politycznych.

Następna książka Zielonki sięga także do XIII wieku, ale różni się mocno, wychodzi bowiem od *Księgi henrykowskiej* i jej ubogich bohaterów. Tak też się nazywa – *Księga henrykowska* (1979). Współczesny narrator wchodzi w XIII wiek, spotyka tam Kwiecika, starego informatora henrykowskiego opata, i uczestniczy zarówno w wydarzeniach epoki – od 1221 po 1288, od Henryka Brodatego po krakowski sukces Probusa – jak i w życiu zwyczajnych ludzi z okolic Henrykowa. Mamy tu obraz codziennego życia, jak i wydarzeń epoki, politycznych i cywilizacyjnych. Książka została bardzo dobrze przyjęta.

Natomiast Tadeusz Jasiński, który także od historii rozpoczął, przeszedł do współczesności lub dziejów niedalekich i opuścił w ogóle Ziemię Zachodnie. Powody pojąłem, gdy go nieco poznałem. Jasiński (1928-1992) po studiach dyplomatycznych osiadł na długo w Zielonej Górze, parając się dziennikarstwem, także radiowo. Ale jego osobliwością jest to, że – odmiennie niż większość środowiska – do picia jeść musi, i to ilości zdumiewające: jakieś salaterki śledzi, ćwiartki skopowiny, pęta kiełbasy i faski ogórków z chrzanem. Nic więc dziwnego, że przez swoje lata zielonogórskie całą krainę kompletnie ogłodził i z Lubuskiego ruszył w Lubelskie, by tam kontynuować dzieło zniszczenia. A im więcej jadł, tym więcej, niestety, pisał. Czy raczej szybciej, czego znamiona bywają widoczne. Miał skłonność do przeładowywania swoich książek, najczęściej zgodnych z aktualnym „zamówieniem społecznym”. Co, po prawdzie, irytuje w końcu.

Debiutował zbiorem krótkich opowiadań *Dymy wyższe nad dęby. Opowiadania z dziejów Ziemi Lubuskiej* (1964). Jest to dwadzieścia osiem krótkich obrazków, bardzo szkicowych, od Mieszka I poczynając, które Jan Koprowski określił nieco złośliwym mianem „zbeletryzowanych wypisów historycznych”. Zasadniczą treścią jest konflikt polsko-niemiecki. Język nieco archaizowany. Kontynuuje ten gatunek zbiór *Mieczem i krzyżem* (1967), obejmujący czas od IX do XVI wieku – problematyka ta sama.

Wyraźny skok jakościowy przynosi powieść *Droga okólna* (1968). Jest to spowiedź z całego życia Jerzego Czernickiego z pomorskiej wsi Nadziejów. Czernicki spotyka po latach swoją córkę (a właściwie widzi ją po raz pierwszy) i jej to właśnie opowiada. Z pomorskiej wsi trafił na front I wojny, potem do lewicowego powstania Spartakusowców w Berlinie, potem – nie mogąc widać znieść niepodległości Polski – w roku 1920 przeniósł się do rewolucyjnej Rosji. Wrócił jako oficer w 1945. Rzecz jest dramatyczna, patetyczna, sentymentalna.

*Czasem blisko nas* (1973) to opowiadania reportażowe, kontynuujące problematykę pierwszych dwóch książek, ale w czasach nam bliższych. Natomiast zwróciła na siebie uwagę powieść *Na spalonym miłość* (1980); bohater jest młodym historykiem, badającym dzieje podziemnego zbrojnego ugrupowania „Maria”, działającego po wojnie w rejonie Gorzowa. Sam jest zresztą synem jednego z dowódców. Okazuje się, jak wszyscy wiemy, że antykomuniści to zwyrodniali bandyci, władza ludowa zaś to po prostu anioły. Jest i wątek Romea i Julii: jego promotorka, młoda docent, jest córką zabitego przez ojca bohatera komunisty – rodzi się miłość i „na spalonym”. Książka należy do modnych konfrontacji pokoleniowych. Chwilami to pogranicze literatury faktu.

Dalej mamy *Podróż do zatrutych studni* (1981) – młody chłopak z Opolszczyzny musi z racji niepełnoletności wyjechać z rodziną do Brunszwiku, w ramach „łączenia” rodziny Patrzaków. Wrócić już nie może, jest w pułapce. Przy okazji dowiadujemy się, jak źle jest w Niemczech, a jak dobrze na Opolszczyźnie. *Za człowiekiem cień* (1985) to nowy wariant *Drogi okólnej*. Tym razem podpułkownik Jan Jabłoński pochodzi z Podola, a wraca *via* Lenino i Berlin. Sporo relacji frontowych. Czarno-biały schemat niemiecko-polski odnajdziemy także w trzech legendach tomu *Przyjaźń drzewa do człowieka* (1985), gdzie rodzajem sądu bożego jest sadzenie drzewka korzeniami do góry. Tu – nad Odrą. Ciekaw jestem, czy Jasiński widział takie drzewo rosnące w Piotrawinie nad Wisłą, które legenda wiązała ze Stanisławem Szczepanowskim.

Wątek *Drogi* powróci raz jeszcze w *Bogu wezwanym na rozstrzelanie* (1986). Tu starzejący się dyrektor-inżynier robi bilans swego życia, drogi z pogranicza polsko-niemieckiego, przez Pelplin, Gdynię, Wehrmacht, bitwę pod Kurskiem i dezercję, pod Lenino i dalej. Obok tego wątek romansowy, a nawet nieco faustyczny. Ciekawie rysuje się koncepcja powieści *Wykopiesz się w tej samej rzece* (1987) – w podlubelskiej wsi chłopska rodzina Warownych marzy o kopalni, jeszcze przed wojną. Drugie, powojenne pokolenie rusza już na Śląsk, a do trzeciego kopalnia przychodzi pod Lublin sama. Tylko z tą kąpielą będzie kłopot, gdyż na terenie uprzemysłowionym rzeka niechybnie zamienia się w ściek.

Jasiński jest także autorem monodramów: *Pragnę zawrócić czas* i *Stara kobieta vyplakuje*.

To bynajmniej nie wszyscy pisarze owego pokolenia „kolumbowo-pryszczatego”. Przed nami jeszcze fantaści i poczet pań, grono pisarzy emigracyjnych i satyrycy oraz bodaj kilku reporterów i autorów nie ustępujących najlepszym beletrystom. Ale i to nie wszyscy. Niekiedy pisarz objawiał się jedną tylko książką i potem zajmował czym innym. Więc choćby wzmianka o paru takich przypadkach. Na przykład Jerzy Stadnicki (1921), więzień obozów niemieckich, żołnierz podziemia i medyk, potem publicysta „Dziś i Jutro”, a następnie „Więzi”. Wydał bardzo ciekawy zbiór opowiadań *Kurz na miłości* (1955), częściowo obozowych, częściowo medycznych, które wzbudziły dużą dyskusję (a Grzegorz Lasota odsądzał delikwenta trochę od czci, a całkiem od socjalizmu). Podobną dyskusję wywołało opowiadanie *Wyrok*, o prawdziwych podstawach sprawiedliwości. To znów Jerzy Pomianowski (1921), krytyk teatralny i tłumacz, postać bardzo głośna swego czasu, od lat już mieszka we Włoszech. Wydał powieść *Koniec i początek* (1955), która miała w ciągu niewielu lat parę wydań. Był to w istocie scenariusz dość głośnego filmu o ostatnich momentach wojny *Godziny nadziei*. Pomianowski napisał także wspólnie z Małgorzatą Wolin sztukę *Faryzeusze i grzesznik*, parę jeszcze scenariuszy i kilka książek, poświęconych teatrowi i literaturze.

Jedną tylko wycieczkę w krainę epiki odbył Adam Klimowicz (1917), organizator ruchu wydawniczego, autor kilku książek z tego zakresu, krytyk, tłumacz, w końcu urzędnik ONZ. Wydał tylko jedną, ale interesującą powieść *Cień alei lipowej* (1956), dziejącą się w ziemiańskim dworze Przybysławskich w ciągu kilku miesięcy 1944 roku. Autor daje bogatą galerię zróżnicowanych postaci i usiłuje przez pryzmat jednego majątku pokazać panoramę ówczesnej Polski i jej przemian.

Nie wiem natomiast, czy wolno nazwać literackim outsiderem Krzysztofa Teodora Toeplitza, wsławionego pod krytonimem KTT jako felietonista „Kultury”, a potem „Polityki”. Jego felietony zostały zebrane w wielu tomach. Toeplitz jest także autorem bystrych esejów z zakresu cywilizacji dwudziestowiecznej. Poza tym jest raczej człowiekiem kina, wieloletnim kierownikiem literackim zespołów filmowych, autorem scenariuszy do filmów, takich jak *Dzięcioł*, *Motylem jestem*, *Czterdziestolatek*, *Miłość ci wszystko wybaczy*. Ma bardzo żywe i nieco wzdgardliwe poczucie absurdu, społecznej „gęby” i „miny”. Z tego też wyrasta powieść *Gorący kartofel. Powieść brukowa z życia sfer filmowych* (1987), przypominająca nieco parodię Nałkowskiej, satyra tyleż na środowisko, co na sposób istnienia świata i człowieka.

Jest zastanawiającym paradoksem, że jeden z najwybitniejszych i najpoczytniejszych pisarzy SF w skali całego świata, Stanisław Lem, jest Polakiem. Fantastyka nie była naszą specjalnością, mimo tak znakomitych autorów jak Żuławski i Grabiński. A jednak nie trzeba sytuować Lema w innej, na przykład anglosaskiej, tradycji, bo łącznik z literaturą polską istnieje, i to potężny. A jest nim groteska. Może także warto by przywołać i gawędę, z jej swobodną, dygresyjną narracją. Ale dla Lema jakikolwiek narodowy partykularz jest zbyt ciasny, jest bowiem pisarzem uniwersalnym, przyjmującym skalę ludzkości, życia, świadomości, czy w ogóle istnienia. Prawdopodobnie większość autorów próbujących utrzymać się na takiej płaszczyźnie ośmieszałaby się srodze; Lem na tak wysokim koniu potrafił się utrzymać. Z tym wszystkim jest autorem niesłychanie galicyjskim (podobnie jak Żuławski i Grabiński!), chyba nawet w śmiesznościach; w każdym razie rozpatrzenie jego twórczości na tle Rittnera, Nowaczyńskiego, Parandowskiego, Przybosia, Mrożka i Kuśniewicza byłoby zabawne i pouczające.

Osobnie śmieszną sprawą jest oporne uznawanie Lema przez literaturę „poważną” – przed laty pisząc o nim użyłem słowa „wielki”, co uszło w prasie, ale w wydaniu książkowym zostało z niejakim zgorszeniem przez redaktora „Czytelnika” skreślone. Dziś już nie ma w tej materii wątpliwości, ale za to sam Lem o literaturze SF napisał co tylko mógł najgorszego. Przy okazji potępił swoją wczesną twórczość, między innymi za płaskość i schematyzm bohaterów. Cóż, przywołując kategorie Ingardena, co innego w fantastyce się konkretyzuje, „dookreśla” niż u Balzaka, ale to samo można powiedzieć o postaciach z ballady i z klasycznej tragedii – i co z tego?

Niebywały jest wpływ tego pisarza. Kosmonauci deklarują, że zostali nimi za sprawą książek Lema. Jego język, z żartem i stosowną anegdotką w zanadrzu, odcisnął się na całej polskiej publicystyce, jego przykład zachęcił wielu naszych autorów do uprawiania fantastyki. Mnie samego Lem zauroczył już w 1946 roku, kiedy zachwyciłem się *Człowiekiem z Marsa*. Ogromna jest bibliografia lemowska – rezonans jego twórczości w prasie polskiej jest niesłychany; w tej chwili zdaje się to poszerzać i na prasę światową. Przy czym i sam Lem wydał książek niezwykle dużo, a waga poruszonych w nich problemów jest taka, że tutaj za ledwie da się dotknąć niektórych.

Stanisław Lem (1921) spędził większość życia w Krakowie, od kilku lat mieszka w Wiedniu. Skończył medycynę, zaczynał jako poeta. Pisał także bardzo dobre słuchowiska. Ale jego prawdziwym powołaniem okazała się proza, zawieszona między fabułą a esejem. Pierwsza faza twórczości, o największej urodzie przygodowej i baśniowej, trwa do początku lat sześćdziesiątych. Później przychodzi okres groteski, a zarazem eseju. Gdzieś od połowy lat siedemdziesiątych Lem pisze przede wszystkim powieści z tezą. Wszystko to jednak łączy się z sobą, a na dobrą sprawę dałoby się znaleźć już u samego początku twórczości. Wszak ów zamierzony *Człowiek z Marsa* opowiadał o fiasku kontaktu międzycywilizacyjnego i o płynącej z tego grozie. Nie można jednak powiedzieć, by jego twórczość nie podlegała zmianom, a poglądy nie ewoluowały, tyle że zdarza mu się powracać do punktu wyjścia. Tak jest chyba właśnie z pesymizmem poznawczym. A jednocześnie trzyma się wręcz kurczowo tego, co uważa za racjonalne i „wywiedlne”. Z całym zdecydowaniem na przykład sprzeciwia się uznaniu zjawisk parapsychicznych, co już zakrawa niemal na kokieterię. W pewnym okresie żywo przeciwstawiał się Szklowskiemu, uważając za pewne istnienie jakiegoś innego życia w kosmosie (sam Szklowski zupełnie zmienił swoje zdanie w tej sprawie), dzisiaj mówi znacznie oględniej na ten temat.

Sprawa kontaktu należy do centralnych. Od początku był Lem w tej kwestii mocno sceptyczny, co mu nieraz wypominała krytyka. W *Astronautach* cywilizacja wenusjańska zdążyła zginać, zanim ludzie przylecieli, była zresztą krwiożercza, a w każdym razie zamknięta w sobie i kontaktu wcale sobie nie życzyła – powtórzy się to u Lema jeszcze niejednokrotnie. W *Obłoku Magellana* kontakt nie został przedstawiony, w *Edenie* jest właściwie niemożliwy, w

*Solaris* daje wynik obłądny. *Niezwyjęzony*, *Głos Pana*, *Fiasko* to znowu daremne próby „wyjścia z siebie”. Jedno wielkie nieporozumienie króluje w licznych utworach na ten temat, czego symbolem stała się sławna „sepulka”, bo rzecz ma i ujęcie groteskowe.

Nie wiem, czy nie dałoby się tej sprawy „odfantastyczyć”. W istocie rzeczy i bez podróży kosmicznych ustawicznie szukamy kontaktu z kimś innym, szukamy porozumienia ze zbio- rowością, z własnym losem, z transcendencją, z Bogiem. Potrzeba porozumienia jest tu wszę- dzie jednaka. Lem deklaruje się jako ateista, ale przecież to jemu właśnie dałoby się przypisać niesłychanie intensywne szukanie Boga – nawet jeśli On nie istnieje. W każdym razie relacja człowiek-Bóg powraca tu aż nazbyt często, by mogła być tylko przypadkiem czy igraszką. Tak czy inaczej, jest to wariant kontaktu równie daremny jak inne.

Lem bardzo słusznie zauważył, że SF ma wiele powinowactw z baśnią. Ale właśnie prze- dziwnie poczuł się tym dotknięty, uznał to za coś deprecjonującego i wyprowadził stąd – nie wiem, czy bardzo fortunate – wnioski. Jego książki i koncepcje miały być narzędziami pozna- nia (tak jakby baśń takim narzędziem być nie mogła), w związku z czym musiały przynosić sytuacje społecznie i biologicznie modelowe, dalej zaś rozważać owych modeli konsekwencje – tego samego domagał się i od innych fantastów. Tych modeli biologicznych i społecznych jest niemało. Istotnie, jeśli nie popełnia się złych czynów, bo to po prostu niemożliwe, to i społeczeństwo wygląda inaczej i cała dotychczasowa etyka idzie do lamusa, razem z całą właściwie kulturą. A z kolei wszechmoc technologiczna prowadzi do całkowitego odkształce- nia ludzkiego rodzaju. Jest w Lemie jakaś pasja modelowania wszelakich układów: społecz- nych, ludzkich, świadomościowych. Stąd też płynie upodobanie do społeczności groteskowej – relacja w *Wysokim Zamku* o jego „pasji legitymacyjnej” świetnie do tego pasuje.

Przed laty pisałem, że twórczość Lema wyrasta ze zderzenia ludzkiej skończoności z nie- skończonością problemów, kosmosu, czasu. Nie cofałbym tego i dzisiaj. Tak samo wydaje mi się ważny obraz labiryntu, leżący u podłoża Lemowego pisania i obrazowania, a powracający wielokrotnie. Z biegiem czasu pojawia się jeszcze inna, nie mniej istotna obsesja, która na dodatek awansuje do roli głównej siły sprawczej – przypadek. Nie mogę wchodzić tutaj w zawiłości Lemowego systemu, zresztą wiele tu z Reichenbacha. Przypadek w ostatecznej in- stancji objaśnia wszystko, nawet to, co ma pozory rozumnego działania. W efekcie wizja staje się dość mroczna.

Trzeba jeszcze wspomnieć o elementach politycznych, zawsze zresztą raczej margineso- wych. W latach pięćdziesiątych gromił Lem kapitalistów i imperialistów, jednocześnie jednak zaczęły się w jego pisaniu pojawiać elementy satyryczne, dotyczące polskiej rzeczywistości. Jako przypowieść filozoficzno-polityczną da się odczytać *Eden*, jawną drwiną są przeróżne planety, które zwiedza niestrudzony podróżnik Ijon Tichy. Kluczem do deformacji społecz- nych jest manipulowanie informacją. Obraz niewiarygodnego chaosu gospodarczego, spo- łecznego i obyczajowego, panującego w krajach „trzeciego świata” nie miał chyba początko- wo odniesień aktualnych – to nasza rzeczywistość dogoniła, a nawet prześcignęła ów świat.

Lem dałby się rozłożyć na kilka kręgów tematycznych, na swoiste światy. Pierwszy z nich – to świat pilota, obserwatora, ale i postaci conradowskiej. Był to krąg pierwszej fazy twór- czości, która wydała pilota Pirxa, najpopularniejszą i najbardziej wpływową postać Lema. Pirx, bardzo już przetworzony, powróci jeszcze w *Piasku*. Sam Lem zdaje się wyżej cenić Ijona Tichego, bohatera groteskowego, nieco münchhausenowskiego, obieżyświata wszelkich możliwych kosmosów. Niedaleko stąd znajdziemy Trurla i Klapaucjusza, robotów- konstruktorów. Krąg baśni robociej, prześmiesznie archaizowanej, uważany jest za najorygi- nalniejsze osiągnięcie Lema. Trzeba więc powiedzieć, że język, neologizmy, kapitalne kon- cepty z tego zakresu są jego siłą istotnie przemożną. Początkowo Lem bywał zawsze odrobinę wzniosły, później zaś zawsze już co nieco prześmiewczy. To zresztą nie wszystko, bo innym frapującym go kręgiem jest Instytucja, policja, śledztwo, labirynt międzyludzki. Tu szczyt hierarchii zajmuje *Pamiętnik znaleziony w wannie*.

Osobnego rozdziału domagałaby się eseistyka Lema, jego prace z zakresu literatury, estetyki, filozofii technologii i filozofii po prostu. Wyjaśniałem już parokrotnie powody, dlatego w tej książce prace tego rodzaju jedynie sygnalizuję. W każdym razie, mają one nie mniejsze znaczenie niż książki beletrystyczne Lema. Tu trzeba wymienić przede wszystkim *Dialogi*, *Summa technologiae*, *Fantastykę i futurologię*, *Filozofię przypadku*. Lem uprawiał także z wielkim powodzeniem krytykę literacką, zawsze odnajdując własny, przewrotny punkt widzenia.

Jeśli pominąć wiersze, artykuły i *Człowieka z Marsa*, to pierwsza książka Lema nie była fantastyką. *Czas nieutracony* powstał przed rokiem 1950, dotyczył środowiska lekarskiego, ale był na tyle niewygodny, że ukazał się dopiero w 1955. Obejmował ostatnie lata okupacji i okres powojenny. Po latach książka została sfilmowana jako *Szpital Przemienienia* (1978), i świadczy, że Lem mógł zostać całkiem „normalnym” literatem. Szczęśliwie tak się nie stało.

Rzeczywisty debiut, *Astronauci* (1951), przyniósł Lemowi sławę nawet w owych niełaskawych dla fantastyki (i nie tylko) czasach. *Astronauci* opowiadają o wyprawie na Wenus, która zagraża Ziemi. Ale Wenusjanie tymczasem sami siebie zniszczyli. Na Ziemi panuje błogi komunizm, wszystko ułożyło się znakomicie. Wizja jest naiwna, zresztą wtedy inna być nie mogła. Ale przygoda była pasjonująca, postaci nieco cukierkowe, ale bardzo sympatyczne. Narratorem jest ni to Murzyn, ni to Rosjanin, pilot. Później przyszedł dość nierówne opowiadania *Sezam i inne opowiadania* (1954), z mocnym piętnem socrealistycznym. Następna jednak książka to znów strzał w dziesiątkę, sławny na cały świat *Obłok Magellana* (1955), dość wzniosła opowieść o wyprawie międzygwiazdnej. To już przyszłość nieco dalsza, Ziemia we wspaniałym rozkwicie, ludzie niemal bez wyjątku szlachetni i domyci. Lem mówi w wywiadach o *Obłoku* kwaśno, ale książkę czyta się znakomicie. Po prawdzie, to i dzisiaj chętnie bym przeczytał o przyszłości Ziemi coś weselszego...

*Dialogi* (1957), szkice, zapowiadały już przyszłego Lema-eseistę, a *Dzienniki gwiazdowe* (1957) wprowadzały element groteski i znakomitą postać Ijona Tichego. Dzienniki te pomnożyły się potem wielokrotnie, odmieniały problematykę, wzbogacały. Jeśli o opowiadania idzie, to Lem stosuje korzystną dla autora, lecz bardzo niewygodną dla czytelnika taktykę: wielokrotne wznowienia przynoszą też i opowieści nowe. Tak więc tomy: *Inwazja z Aldebarana* (1959), *Księga robotów* (1961), *Noc księżycowa* (1963), *Ratujmy kosmos* (1966) i wiele innych w znacznej części zawierają te same utwory, gmatwając przy tym całą bibliografię. Stąd też wymieniam tu tylko pozycje ważniejsze. Ale przecież nie zawsze łatwo orzec, gdzie się jaki wątek Lemowy zaczyna.

Ważną z pewnością pozycją jest *Eden* (1959), powieść na motywach kosmicznej robinsonady. Ziemia kosmonauci reperują swoją rozbitą rakietę i jednocześnie poznają posępną, totalitarną społeczność „dubeltów”, gdzie przeprowadzono nieudany eksperyment biologiczny, o którym dane miejscowe władze ukrywają. Powieść można czytać wprost oraz jako rzecz z kluczem. Jest to zresztą okres, kiedy pasjonujące powieści Lema powstają jedna za drugą. Tak więc *Śledztwo* (1959) to opowieść o znikających w Anglii zwłokach, choć złodziej, jak się zdaje, nie istnieje. Wedle wczesnego Lema, to książka o niepoznawalności świata, wedle późniejszego – o przypadku i statystyce. Dalej – *Powrót z gwiazd* (1961). książka nieco sentymentalna, w chwili ukazania się wywarła olbrzymie wrażenie. Kosmonauta wraca w niej na odmienioną po stu z hakiem latach Ziemię. Najważniejszą zmianą jest powszechna „betyzacja”, zabieg uniemożliwiający skrzywdzenie kogokolwiek. Wraz z nią odmienia się kultura, ginie duch zdobywcy człowieka. Niezmiernie ważny model socjalny.

*Pamiętnik znaleziony w wannie* (1961) to przedziwna powieść, relacja z jakiegoś podziemnego „trzeciego Pentagonu”, instytucji szpiegującej i zwalczającej siebie samą, gdzie każdy jest szpiegiem „wielowarstwowym”. Rzecz groteskowa, ale i tragiczna w ostatecznym sensie. Jedna z najdziwniejszych, ale i najlepszych książek Lema. Wkrótce ukazało się jego okrzyczane arcydzieło, *Solaris* (1961) – o próbach kontaktu ludzi z „myślącym oceanem”,

który spełnia najskrytsze życzenia, wywołując tym sytuacje niemożliwe i tragiczne. Na motywach książki oparł swój dość dyskusyjny film Andrzej Tarkowski (1973).

Z kolei *Summa technologiae* (1964) to jedna z najlepszych, świetnie napisanych książek Lema, o perspektywach technologicznej omnipotencji, tyleż wzbogacających, co niszczących istotę ludzką. *Bajki robotów* (1964) to skromna jeszcze przygrywka do słynnej *Cyberiady* (1965), baśni, które roboty opowiadają robotom. Roboty są antropomorfizowane, ich świat przypomina średniowiecze, tak jak blachy robota – rycerską zbroję. Sam Lem uważa, że to jego najbardziej osobliwy koncept, co świadczy o tym, jaką rolę przypisuje kpinie i persyflażowi. Rzeczywiście są to koncepty niezwykle, a poprzez kpinę dociera Lem do wielu zasadniczych problemów ontologii. W 1964 roku ukazał się także *Niezwyciężony*, niewielka powieść o „nekroewolucji” robotów sprowadzonych do mikrocząstek, łączących się w myślące, wielkie układy, z którymi ludzie toczą nadaremna walkę.

Inną zupełnie tonację ma *Wysoki Zamek* (1966), wspomnienia z bardzo nietypowego lwowskiego dzieciństwa. Wkrótce potem ukazuje się *Głos Pana* (1968), książka otwierająca nowy etap w powieściopisarstwie Lema. Akcja jest tu bardzo zredukowana, idzie o sytuację modelową, więcej się tu myśli, niż dzieje. Książki te są niewątpliwie mądrzejsze – ale przecież nie tak ciekawe i urodziwe jak wcześniejsze. *Głos Pana* uchodzi zresztą niekiedy za najlepszą książkę Lema. Uczeni usiłują tu odszyfrować tajemniczy przekaz kosmiczny, ale, oczywiście, na próżno. W tymże roku 1968 wychodzi zbiór *Opowieści o pilotach Pirxie*, trochę zabawne, bo to takie marzenia Lema o samym sobie. (Chyba się nie mylę?).

Teraz przychodzi cała seria książek bardzo konceptowych, a niekiedy zawilych. Więc próba teorii dzieła literackiego *Filozofia przypadku* (1968), wychodząca od Ingardena. *Fantastyka i futurologia* (1970) – o literaturze SF i perspektywach futurologicznego myślenia, *Doskonała próżnia* (1972) – recenzje nie istniejących książek, niekiedy niezwykle pomysłowe, *Wielkość urojona* (1973) – wstępy do takichże dzieł, dających się pomyśleć. Umysłowości Lema, jego fantazji, dociekliwości i humorowi dają te książki świadectwo rzeczywiście niebywale.

W tym też mniej więcej czasie powstają dwie pozycje wielkiej urody literackiej – *Kongres futurologiczny* i *Profesor A. Dońda*, obie z serii przygód Ijona Tichego, obie dość czarno określające przyszłość naszej cywilizacji. *Dońda* przynosi zbiór opowiadań *Maska* (1976), gdzie i opowiadanie tytułowe, i kilka innych należą do utworów bardzo niezwykłych. *Katar* (1976) podejmuje raz jeszcze problematykę *Śledztwa* – seria zgonów wynika ze skrzyżowania się różnych prawidłowości. *Golem XIV* (1981) i *Biblioteka XXI wieku* (1986) to szczególne, mroczne eseje. Ijon Tichy jest bohaterem dwóch powieści, *Wizji lokalnej* (1982) i *Pokoju na ziemi* (1987), będących bardziej esejami niż epiką, a przemieniony pilot Pirx kolejnej relacji o nieudanej kontakcie – *Fiasko* (1987). Zresztą wszystkie te książki mówią o niemożliwości kontaktu, wracają też do motywów znanych z wcześniejszych książek.

Ale to tylko najważniejsze pozycje Stanisława Lema, może i największego pisarza SF XX wieku, o niebywale błyskotliwym umyśle i świetnym piórze, niezależnie od wszelkich etykietek. Lem to chyba jedyny autor tego gatunku literatury, „przymierzany” do Nobla.

Sukces Lema zachęcił innych autorów, by się zajęli fantastyką. Choć to pewnie trochę złudzenie. Narastało coś w duchu czasu, może nawet i bez Lema mielibyśmy dzisiaj legion tych samych autorów. Obecnie ta literatura rozwija się bardzo żywo i jest znacznie chętniej czytana niż gatunki bardziej tradycyjne. Zresztą i wcześniej była bogatsza, niżby się to wydawać mogło. Jesteśmy zaś w tej szczęśliwej sytuacji, że dysponujemy bardzo dobrym opracowaniem polskiej fantastyki Antoniego Smuszkiewicza pt. *Zaczarowana gra. Zarys dziejów polskiej fantastyki naukowej* (1982). Autor sięga aż do *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadków* Krasickiego, obawiam się jednak, że całe to szczytne i niemałe literackie dziedzictwo, może z wyjątkiem Jerzego Żuławskiego, nie miało na współczesność wielkiego wpływu. Autorów SF, zwłaszcza młodych, jest w tej chwili legion, tutaj wspomnę jedynie o najważniejszych.

Znaczny wpływ na ukształtowanie fantastycznych gustów miała trylogia kosmiczna Krzysztofa Borunia i Andrzeja Trepki: *Zagubiona przyszłość* (1953), *Proxima* (1956), *Kosmiczni bracia* (1959), bardzo krytykowana, wręcz wyszydzana niekiedy, a przecież chętnie czytana. W części pierwszej źli imperialiści – wiedząc, że ideologia sprawiedliwości społecznej ogarnia całą Ziemię – budują sobie kosmiczną arkę Noego i uciekają z Ziemi zabierając czarnych niewolników – bez czarnego niewolnika kapitalista nieważny. Niewolnicy buntują się, wreszcie zostają wyzwoleni przez doganiający arkę nowoczesny, już w pełni komunistyczny pojazd. Uciechy co niemiara, ale trzeba przyznać, że akcja jest pomysłowa i wręcz błyskotliwa. Po wyzwoleniu czarnego proletariatu socjalistyczno-zetempowski statek dociera do układu Proxima Centauri, gdzie odkrywa mnóstwo dziwów i osobliwych stworów. Wreszcie w części trzeciej spotyka się, nie bez wielkich nieporozumień, z istotami świadomymi i przy ich pomocy odpiera najazd na Ziemię niecnym krzemowców. Mimo socrealistycznych śmieszności to iście gigantyczne dzieło oparło się jakoś czasowi. Natomiast spółka autorska została rozwiązana.

Krzysztof Boruń (1923) jest autorem licznych opowiadań i powieści. Muszę się tu jednak zatrzymać nad samą jego naturą, co już zapowiadałem wcześniej. Otóż istnieją podejrzenia, że jesteśmy infiltrowani przez jakichś tajemniczych nieziemców czy inne kosmiczne moce, o czym fantastyka pisała wielokrotnie. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że jakąś taką wtyczką jest właśnie Boruń. Od dawna zwróciłem uwagę na perfekcję, z jaką został wykonany, do włosków na rękach i żyłek w oku zupełnie wykapany człowiek. Prawda, że to trochę podejrzane? Gdyby mu tu i ówdzie jaki kabel wystawał, śrubka czy kółko zębate – ale nie, wszystko się zgadza, i to właśnie jest podejrzane. Dodam, że gdy ogłosiłem swój pogląd na Borunia, on sam wolał siedzieć cicho niż przeprowadzić dowód prawdy. Wreszcie jako autor interesuje się właśnie problematyką sztucznego myślenia, kontaktów kosmicznych etc. Moim zdaniem, sprawa jest oczywista.

Więc ten chytry nieziemiec opublikował najpierw *Antyświat i inne opowiadania* (1960), później zaś powieść *Ósmy krąg piekiel* (1978), żeby było dziwniej – najpierw w rosyjskim przekładzie, rzecz o inkwizytorze przeniesionym w daleką przyszłość, któż wie, czy bez elementów autobiograficznych... Podobnie mają się sprawy z *Progiem nieśmiertelności* (1975) – o transponowaniu żywej świadomości w sztuczny mózg. Mniej szczęśliwa była powieść *Totem leśnych ludzi* (1980), gdzie przybysz z kosmosu spotyka dobrych Pigmejów i złych rasiistów z RPA. Boruń zajmuje się poza tym problematyką parapsychologiczną w duchu staroświeckiego racjonalizmu. Pewnie dla niepoznaki.

Poczynania i osobę Krzysia studiowałem, jak widać, dość uważnie. Nie mogę tego, niestety, powiedzieć o Andrzeju Trepce (1923), który schronił się w Wiśle (miejsowości, nie rzecze) i woli nie rzucać się w oczy bystrym obserwatorom. Wydał raczej naiwną powieść *Atol Trydakny* (1974) – z politycznymi akcentami i znacznie ciekawszych *Dwunastu apostołów* (1978). Najciekawsze chyba są jego prace niebeletrystyczne, poświęcone rozwojowi życia na Ziemi i możliwości jego istnienia w kosmosie. Do tej kosmicznej i kto wie, czy nie robociej kompanii trzeba dodać Lucjana Znicza, zajmującego się od lat w Bydgoszczy kontaktami kosmicznymi. (Ale jaki poważny kosmita wybierze się do Bydgoszczy?).

Tymczasem w latach pięćdziesiątych zmarł niemal całkiem zapomniany, stareńki już bardzo nestor polskich fantastów, Władysław Umiński (1865-1954), zwany „polskim Verne’em”, jako że była to fantastyka technologiczna. Umiński pisał jeszcze w ubiegłym stuleciu. Były to zarazem książki patriotyczne, zawsze się gdzieś tam u niego wędrowało, na bieżącą albo inną planetę. Był jeszcze ważnym autorem w dzieciństwie mojego pokolenia, a ostatnią swą książkę wydał już po drugiej wojnie. Dodajmy, że w swoim czasie pisał też „powieści krajoznawcze”, gatunek dzisiaj, wobec rozwoju reportażu, wymarły. Wymieńmy bodaj *Zwycięzców oceanu* (1891), *Balonem do bieguna* (1894), *Podróż naokoło Warszawy* (1901). Była to twórczość bardzo optymistyczna, po przyszłości spodziewano się samego dobrego. Ale

wczesny Lem czy Boruń także malowali wizje świetlane. Komsomolsko-stalinowska krzepa osnuwa je apetyczną aureolą. Czy ja wiem... Może trochę optymizmu i dzisiaj by się przydało?

Do drugiej połowy lat pięćdziesiątych należy także słynna w swoim czasie (ale i wznowiona po latach) *Aspazja* (1958) Andrzeja Ostoi-Owsianego (1931), łódzkiego prawnika. Jest to opis dość dziwacznej cywilizacji marsjańskiej: była tu kiedyś cywilizacja rozumnych pszczół, z biegiem czasu zastąpiona przez wystylizowane na pszczoły, ale i Grecję epoki klasycznej roboty. Aspazja to ich królowa. To już się zaczynał pewien schemat: na Ziemi błogo, w kosmicznych dalach – antyutopia.

W 1957 ukazała się interesująca książka *Ludzie ery atomowej* Romana Gajdy, napisana już w 1948. Rzecz się dzieje pod koniec wieku. Ziemia rozkwita wspaniale, ale konflikt między ludźmi „z próbowki”, naturalnie narodzonymi, omal nie doprowadza do kosmicznej katastrofy.

Dodajmy, że wszystkie wizje polskich autorów nie umywają się do tego, co w tym czasie prezentowała literatura radziecka – sam czytałem powieść, chyba jakiegoś Adamowa, gdzie w dalekiej przyszłości trwa era stalinowska, choć autor unika zrećźnie stwierdzenia, czy Stalin jeszcze żyje. Imperialiści szturmują, a z ich krajów wszyscy chcą uciec przez zieloną granicę do naszego obozu. Wspaniały rozwój techniczny służy głównie NKWD, które musi nieustannie tropić szpiegów i sabotażystów.

Na początku lat sześćdziesiątych odezwał się autor przez jednych ceniony wysoko, przez innych traktowany dość niechętnie – Czesław Chruszczewski (1922-1982), dziennikarz, radiowiec, w swoim czasie działacz PPS, potem PZPR. Wypracował sobie szczególną technikę pisarską, odsyłającą trochę do E.T.A. Hoffmanna, bardziej do surrealizmu, a w sumie sprawiającą denerwujące wrażenie lekceważenia i motywacji, i czytelnika. Autor nie sili się na utrzymanie raz przyjętej konwencji, miesza elementy technologiczne, baśniowe i wizji sennej, przy byle trudności motywacyjnej ucieka na inne piętro. Magia i technologia łączą się niekiedy wcale znośnie, stając się czymś z pogranicza groteski i dowcipu. A zarazem alegorii, makabreski i moralizatorstwa. Bo Chruszczewski poczciwy jest bardzo. Martwi się o przyszłość Ziemi, wyrzeka, jak Ray Bradbury, na technologię, a zarazem ma niezłomną wiarę w nieprzemijalne wartości człowieczeństwa i jego świetlaną przyszłość. Jego fabuły są naiwne i często jedynie pretekstowe. Zasadniczym i ustawicznie podejmowanym problemem jest kontakt między Ziemianami a przybyszami z kosmosu.

Chruszczewski rozpoczął od nowelistyki i został jej wierny aż do końca, choć pisał też powieści. Tak więc debiutował zbiorem *Bardzo dziwny świat* (1960), potem przyszły: *Magiczne schody* (1965), *Dookoła tyle cudów* (1973), *Rok 10 000* (1973) – zbiór bardzo znany, *Potrójny czas Galaktyki* (1980) i *Miasto nie z tej planety* (1981). Ciąg powieści rozpoczął *Fenomen kosmosu* (1975), ukazujący Ziemię przyszłości, wspaniale urządzonej, ale nieco filisterską. Właśnie przeciw zbyt dobrym warunkom życia bunt podnoszą kobiety (!), wysyłając znowu ludzkość w kosmos. Następuje wędrówka, słusznie przez Smuszkiewicza porównana do peregrynacji Guliwera. Ludzie spotykają planety na różnych, początkowo prymitywnych stadiach rozwoju, potem zaś trafiają przed oblicza Istot Rozumniejszych, które dochodzą do wniosku, że ludzkość warto protegować.

*Gdy Niebo spadło na Ziemię* (1978) to historia ludzi pod kuratelą kosmitów w XXIV stuleciu. Interwencja kosmiczna doprowadza zresztą do oderwania się wyspy Wniebowstąpienia od kuli ziemskiej. Wreszcie *Powtórne stworzenie świata* (1979) to znów trudny kontakt kosmiczny, atak i ingerencja sił kosmicznych na Ziemię XXII z kolei wieku. A przy okazji – narzekania na technologię.

Chruszczewski pisał również słuchowiska i widowiska telewizyjne, a wreszcie zaangażował się w międzynarodowy ruch fantastycznych fanów. Fan od czytelnika różni się tym, że jest skrzyżowaniem wyznawcy z kibicem. Oberfanem został także Adam Hollanek – jako



naczelnym „Fantastyki”, ale o jego psychologiczno-fantastycznych książkach i w ogóle kosmicznych orgiach opowiadałem już w tomie poświęconym poezji. Wspomnijmy też o Witoldzie Zegalskim (1928-1974), autorze powieści *Krater czarnego snu* (1960) i przede wszystkim ciekawych nowel, zebranych w tomie *Wyspa Petersena* (1968).

W następnej generacji fantastów wielkie uznanie zyskał Adam Wiśniewski-Snerg (1937), w pewnej chwili przewyższając nawet Lema. Snerg jest postacią niemal legendarną, gdyż udziela się mało, lekce sobie wszystko ważąc. Mieszka w jednym z leśnych osiedli podwarszawskich, słynie wśród sąsiadów z wielkiej skromności wymagań, ponoć nawet karmi się płodami natury. Istotnie, widziałem: szyszki w jego okolicy zostały skrupulatnie wyjedzone. Czyżby to jego dzieło? W każdym razie rzecz trzeba, że wszystko to byłoby dość zgodne z jego przekonaniami, wyrażanymi w różnych wariantach we wszystkich dotychczasowych książkach – świat, który widzimy, jest pozorem, jego prawdziwy sens, konsystencja i kształt są inne. Początkowo przedstawił koncepcję drabiny żywieniowej, gdzie człowiek, karmiąc się zwierzętami, sam jest pokarmem nadistot, zjadających jego umysł. Później człowiek stał się mimowiednym aktorem w kosmicznym widowisku.

Powieścią, która narobiła wiele wrzawy, był jego debiut: *Robot* (1973), o robocie-szpiegu, który się uczłowiecza. Rzeczywistość jego książki ma kilka warstw, w jednej z nich okazuje się, że to całe miasto zostało porwane z Ziemi przez nadistoty, zamknięte w próbowce i wyekspediowane w kosmos. Książka – manieryczna, zawikłana, bardzo długa, zarazem jednak pełna zaskakujących pomysłów – jest na poły esejem. Wpływ Lema jest tu wielki i wielostronny. Szczególnie widać to w obsesji labiryntu, u Lema najpełniej przedstawionego w *Pamiętniku znalezionym w wannie*. Następne książki Wiśniewskiego prezentują warianty podobnej sytuacji.

*Według lotra* (1978) to jeszcze jedna wersja Ewangelii. Jej bohater odkrywa nagle, że większość ludzi to twory sztuczne, choć nikt nie zdaje sobie z tego sprawy. Więcej – nawet ulice, domy i przedmioty są w większej części tylko pozornymi makietami. Bo też świat jest tylko planem gigantycznego widowiska filmowego, przedstawiającego w tym wypadku Pasję. Świadomy rzeczy jest cudotwórca – Płowy Jacek, który zostanie ukrzyżowany, narrator zaś u jego boku.

Koncepcja widowiska powraca w *Nagim celu* (1980), gdzie nawet śmierć jest tylko zmianą roli w widowisku-stereonie. Widowisk-rzeczywistości jest wiele, nieśmiertelna jest tylko wędrująca między nimi ludzka dusza. Światy Wiśniewskiego-Snerga są raczej technologiczne niż metafizyczne. Książki są literacko nierówne, ale zawierają ważne autorskie przesłanie, w które możemy wierzyć lub nie, ale które zdecydowanie różni się od zabawy.

Dłużej trwało dochodzenie do własnego głosu Janusza Andrzeja Zajdla (1938-1985), przedwcześnie zmarłego, uroczego człowieka, fizyka i płodnego autora SF. Debiutował zbiorem opowiadań *Jad manteeji* (1965), bardzo, niestety, wtórnych, jeśli idzie o pomysły, ale niezłe literacko skrojonych. Podobne były jego następne książki, jak *Przejście przez lustro* (1975), *Ogon diabła* (1982) czy inne. Ale tymczasem Zajdel trafia na swój wielki temat, którym będą różnorakie wariacje orwellowskie na temat stotalizowanego społeczeństwa. Przyczyny owego zniewolenia mogą być zewnętrzne lub wewnętrzne, przemoc własna czy też najeźdźcy z kosmosu. No i są to już nie opowiadania, lecz powieści.

Bardzo ceniony jest *Cylinder van Troffa* (1980), gdzie zniewolenie przyniosła katastrofa genetyczna, bodaj jeszcze wyżej *Limes inferior* (1982) – tu społeczeństwo dzieli się na klasy wedle współczynnika inteligencji, ale oczywiście wszystko jest sfalszowane; warianty tej samej sytuacji znajdziemy w *Wyjściu z cienia* (1983), *Calej prawdzie o planecie Ksi* (1984) i *Paradyzji* (1984). W tej ostatniej ukryci władcy wmawiają mieszkańcom gigantycznej, zamkniętej budowli, że unoszą się w kosmosie. Wszędzie akcja na tych planetach kłamstwa i terroru polega na odkrywaniu prawdziwego stanu rzeczy. Zajdel był autorem popularnym i chętnie czytany.

Ciekawy przyczynek do utopii społecznej dała Krystyna Grzybowska z Estreicherów (1909-1963) w książce, którą bardzo cenię – *Julian, czyli o końcu świata* (1961). Jest to ucieczka z objętej katastrofą Ziemi w daleką przyszłość, gdzie niemal rajskie społeczeństwo zaczyna społeczne trudy od nowa. Ale najważniejsza w tym jest rola legendy, mitu, jakaś mgiełka metafizyczna, unosząca się nad wszystkim.

Krystyna Grzybowska, z zawodu krytyk teatralny, pisała również książki dla młodzieży, szczególnie zaś znaczenie ma *Kronika rodzinna. Wspomnienia o rodzinie Estreicherów* (1969).

Mroczną wizję przyszłości przynosi godna uwagi książka Edmunda Wnuka-Lipińskiego (1944) *Wir pamięci* (1979) – jej przesłanie: nauka służy urabianiu psychiki ludzkiej. Zamknięte społeczeństwo prezentuje także Zbysław Górecki (1926) w powieści *Delta powraca na ziemię* (1971). Ciekawe, że jego bardzo dobra książka długo nie mogła znaleźć wydawcy, w końcu PAX podjął się ryzyka. Sam autor, wielki zresztą dryblas, prawnik z Darłowa, nie specjalizuje się bynajmniej w fantastyce. Odzywa się rzadko, ale z reguły bardzo ciekawie. Szczególnie interesuje go problem inteligencji, starej i nowej, przy czym tej ostatniej ma sporo przykrego do powiedzenia. Wydał powieści młodzieżowe: *Ekspedycja* (1955), *Przygody nad Rio Negro* (1957), zbiór opowiadań *Żelazna ściana* (1970) i bardzo głośną powieść o epizodzie powstaniowym Jeża-Miłkowskiego *Pierwsza księga moich przygód* (1971).

Uznanie zdobył także Konrad Fiałkowski (1939), profesor informatyki Politechniki Warszawskiej. (*Notabene* do tej dziedziny zraził mnie skutecznie podczas pewnego przed laty pokera: koncytował wielce matematycznie i naukowo, a przerznął wszystko co do grosza, podobnie zresztą jak i ja, i świetny przecież gracz Wojtek Giełżyński, u którego wszystko to się działo. Obegrał nas wszystkich Aleksander Jerzy Wiczorkowski, tak zawiany, że mu karty z rąk wypadały, a na drugi dzień rano dzwonił do mnie przerażony, skąd ma pełne kieszenie pieniędzy. Fiałkowski, trzeźwy i nagi, wrócił do modelowania lepszego jutra). Twórczość Fiałkowskiego jest wielce techniczna i uczona, a przynajmniej tak było na początku. Debiutował zbiorem nowel *Wróble galaktyki* (1963), po którym przyszły tomy *Poprzez piąty wymiar* (1967), *Włókno Claperiusa* (1969) i inne.

Większe jednak znaczenie mają jego powieści: *Homo divisus* (1979) – przeniesiony w przeszłość człowiek o dwu osobowościach, i przede wszystkim moralitet *Adam, jeden z nas* (1986), gdzie historia jest dziełem kosmicznego demiurga; zarazem jeszcze jedna parafraza historii ewangelicznej. Technologia ustępuje tu miejsca metafizyce.

Trzeba odnotować także bardzo sprawnego autora Bohdana Peteckiego (1931), twórcę wielu powieści nie pozbawionych większych ambicji, którego ulubiony bohater jest jakby młodszym bratem Lemowego Pirxa.

Petecki wydał kilkanaście powieści, do najpopularniejszych należą: *Strefy zerowe* (1972), *Tylko cisza* (1974), *Operacja wieczność* (1975), *Kogga z czarnego słońca* (1978). Trzeba też wspomnieć o Macieju Kuczyńskim (1929), podróżniku i grotolazie. Jego najbardziej znaną książką fantastyczną jest *Katastrofa* (1968).

W ostatnich kilkunastu latach pojawiło się też wielu innych, niekiedy obiecujących autorów. Wśród nich eksperymentatorzy wedle zbereźnickiego (przypominam – to od Henryka Berezny) modelu. Trzeba więc zauważyć Jacka Sawaszkiewicza i jego głośny cykl *Kronika Akaszy*, Wiktora Żwikiewicza, Krzysztofa Wiesława Malinowskiego, Andrzeja Krzepakowskiego, Andrzeja Wójcika, Małgorzatę Kondas – i po prawdzie legion innych. Towarzyszy temu cały ruch społeczny (?), są zjazdy, podjazdy, wielkie batalie, schizmy i herezje. Jest rozrywana przez czytelników „Fantastyka” Hollanka, są wyspecjalizowani krytycy, jak choćby Leszek Bugajski, Andrzej Niewiadowski, Maciej Parowski, Andrzej Wójcik i inni.

Jak się zdaje, generalnie rzecz biorąc, dokonuje się przejście SF technologicznej, lub też uprawiającej zawołowaną krytykę społeczną, do literatury metafizyczno-baśniowej. Ale fantastyka polska mimo kilku wyjątków jest ściśle związana z anglosaską i to tam raczej zapadają rozstrzygnięcia modne potem i u nas.

Do najgłośniejszych pań „kolumbowego” pokolenia należy niewątpliwie Zofia Bystrzycka (1922), która z kolchozowej dojarcki na pisarkę wyrosła. Co prawda w tę dojarckę to ja wierzę umiarkowanie: doszłoby do nieomylnego pogromu obory. Córka inżyniera architekta (a siostra Przemysława Bystrzyckiego), znalazła się w ZSRR nie całkiem dobrowolnie. Tu ponoć maltretowała krowy i traktory, uprawiała księgowość, być może rozmnażając na papierze plony jak Lejzorek Rojtszwaniec sławne króliki, a po „haniebnej ucieczce Andersa” trafiła do „bab-batu”, czyli batalionu fizylierek nad Oką i Wyższej Szkoły Oficerów Polityczno-Wychowawczych w Moskwie. Wykształcenie uzupełniła w paryskiej Szkole Filmowej już jako żona Jerzego Putramenta. Uprawiała początkowo dziennikarkę i satyrę, około 1956 roku zajęła się prozą. Powieść dominuje w całym jej dorobku, choć ma też kilka tomów opowiadań i utwory sceniczne. Kto wie, czy największy rozgłos nie towarzyszył jej jednak w całym innej dziedzinie – poradnictwa sercowego. Przez lat niemało prowadziła Bystrzycka dział porad życiowo-miłosnych w tygodniku „Zwierciadło”. Pisywały do niej całe bataliony pań, a i panów wielu. Bystrzycka zaś pocieszała i doradzała, kierując się po prostu zdrowym rozsądkiem.

Wybór listów i odpowiedzi na nie ukazał się pod tytułem *Serce w rozterce* (1977). Można się nad nim zadumać. Właściwie dobrze by było dotrzeć po latach do owych korespondentów i zobaczyć, jak się ich losy potoczyły. Najpewniej nieoczekiwanie dla wszystkich. Co prawda naszeptywano, że różni niegodziwcy brali Panią Zosię na fundusz, podszywając się pod uwiedzione dziewice. Ponoć celował w tym felietonista „Współczesności” Andrzej Dobosz, znany jako Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia. Rzecz to możliwa, bo Andrzej niejedną literacką łanię ustrzelił. On to wypisywał o krytyku i tłumaczu Andrzeju Wirthcie różne dziwności (np. że się każe wymawiać „Urajt” itp.), toteż Wirth wystąpił do sądu o zniesławienie i na dodatek przy jakiejś okazji raczej symbolicznie Dobosza trzepnął. Teraz z kolei Dobosz natychmiast wystąpił do tego samego sądu przeciw Wirthowi o „znieważenie czynne”... Ku wielkiemu żalowi całej Warszawy, Wirth zorientował się, do jakiego saka go wiodą i rzecz załatwił z Doboszem polubownie. Dodajmy, skoro przy plotkach jesteśmy, że późniejsze zwłaszcza powieści Bystrzyckiej bywają uważane za utwory z personalnym kluczem.

Nuta pedagogiczna da się odnaleźć nie tylko w *Sercu*, ale i w całej, zwłaszcza wcześniejszej twórczości. Jej książki są nade wszystko o kobietach i dla kobiet, choć autorka także parę razy wcielała się w narratorkę-mężczyznę, co ciekawe – uzyskując nawet lepsze literacko rezultaty. Ogólnie rzecz biorąc, jest Bystrzycka autorką psychologiczną, z dodatkami obyczajowości lub polityki (a najczęściej jednego i drugiego). Szczególnie godne uwagi są jej portrety oraz znajomość codziennego życia i drobiazgowość widzenia. Zawsze też była (w pisaniu naturalnie) odrobinę sentymentalna i afektowana. Stąd w stylistyce są tu wyraźne ślady Nałkowskiej i Kuncewiczowej. Z Nałkowską wiąże ją też skłonność do dość szczególnych nazwisk, jakimi często obdarza swoich bohaterów. W upodobaniu do codzienności przypomina nieco Boguszczyńską, a może odrobinę i Gojawiczyńską. Jak widzimy, jest to spuścizna wszechstronnie babska. Ale nie ze wszystkim. Z czasem próbuje pisarka przedstawiać zdegenerowane mechanizmy społeczne, jałowe młyny Urzędu. I to już raczej trop kafkowski, bogato w naszych czasach w Polsce rozmnożony.

Debiutowała Bystrzycka we frontowym piśmie armijnym „Zwycięzimy” w 1944. Jej pierwsza książka to zbiór ni to humoresek, ni to felietonów satyrycznych *Ładne kwiatki* (1953), a podobny zbiór wydała jeszcze w kilka lat później – *Zezem* (1956). Zresztą przez cały ten czas związana była ze „Szpilkami”. Do tej wczesnej fazy należą także opowiadania, zebrane w tomie *Inna młodość* (1955), o młodości wojennej właśnie. Przy okazji opiewa poznany w kolchozach Ukrainy „swobodny trud swobodnie zrzeszonych ludzi”, chociaż opowiadania dotyczą przede wszystkim jej „babskiego” batalionu fizylierek.

Prawdziwy jednak debiut to powieść *Samotność* (1957), wielokrotnie później wznawiana. Jej bohaterka, młoda lekarka Zuzanna, rezygnuje z zawodu spełniając życzenie swego męża, pięknego Piotra, który zresztą w końcu i tak ją opuszcza. Zuzanna wraz z małym synkiem układa sobie nowe życie, pojawia się inny mężczyzna, wraca do medycyny etc. A przy tym sprawy produkcyjne – jakiś trochę niejasny Urząd, sprawa szpitala w Kielcach, pozbawionego wody itp. Problematyka emancypacyjna, spotykana w tamtych latach i u innych, starszych autorek (np. u Wandy Melcer). *Samotność* zestawiano wprost z *Martą Orzeszkowej*. Powieść ma bieg powolny, solenny, drobiazgowy.

Dużą popularność zyskała także następna książka, *Zamknięte oczy* (1960), romans z wyższych, artystycznych sfer: Julia i Karol Kreszowie, kiepska aktorka i splajtowany polityk, wreszcie i ten trzeci, pisarz. Melodramat, ale ze szczęśliwym zakończeniem. Poważniejszym problemem jest ustawiczna samotność partnerów, brak miejsca w życiu – problem istotny dla całej twórczości Bystrzyckiej. Następnie pojawił się tom opowiadań *Oni* (1962), poświęcony głównie miłości i jej powikłaniom, choć niewyłącznie. W tym też mniej więcej czasie zaczyna Bystrzycka pisać sztuki teatralne. Zaczyna się to bodaj od kryminału połączonego z satyrą *Ofiara wskaże mordercę* (1959), potem przyszły: *Czy to jest miłość?* (1962) – komedia obyczajowa o trójkacie małżeńskim, *Krzywe lustro* (1963) – komedia o „nowych kołtunach”, *Plac gwiazdy* (1969), dramaty *O świcie nie ma ciszy* i *Wiatraki*.

W 1969 ukazuje się książka otwierająca nowy etap w twórczości Bystrzyckiej – *Gra bez asów*. Wchodzi teraz w grę polityka, choć część krytyków uważa, że to tylko pozór i pretekst fabularny. Bohaterem jest działacz polityczny Mirosław Sereda, który poświęca wszystko dla własnej kariery. Szczególnie zaś zawziął się na ewentualnego konkurenta Jaczyckiego, a zwłaszcza na jego żonę, Dorotę. Jaczyckiego chce się pozbyć, Dorotę chce sobie zatrzymać, co mu się nie udaje, zresztą w istocie ponosi klęskę. Tu właśnie w całej pełni objawia się jakiś mgławicowy urząd ze swoim zbiurokratyzowanym życiem i obrządkami. Rzecz jest w tym, co tytuł symbolicznie wyraża: to jest czysta gra bez wartości duchowych, ideowych, jakichkolwiek, bez owych „asów”. Pogląd ten podtrzyma Bystrzycka i w następnych książkach. Stąd jest to świat groteskowy, o wartościach co najwyżej „sezonowych”. Co prawda jądrem wszystkiego jest, jak zawsze, konflikt między mężczyzną a kobietą.

Narrator *Gry bez asów* jest mężczyzną. Ale krytyka zauważyła, że jest to mężczyzna „nieprawdopodobnie kobiecy”, w sensie uczulenia na szczegóły, rzadko przez mężczyzn dostrzegane. Wewnętrzny monolog stanie się odtąd zasadniczym instrumentem stylu Bystrzyckiej.

Opowiadania zebrane w *Kołtunce* (1972) kontynuują problematykę zbioru poprzedniego, za to powieść *Trójwidzenie* (1973) to Bystrzycka w nowym wydaniu. Troje bohaterów-narratorów, trzy optyki, trzy ciągi narracji. Stary działacz polityczny Dominik, który ponosi klęskę i odchodzi, jego córka, aktorka Olga, dusząca się w rodzinnym domu, i Hubert, podwładny, a potem szef Dominika, kochanek Olgi. Wszystko nieźle zawikłane, płaczące się poprzez cztery części powieści. I znowu brak tu (mężczyznom!) autentycznych wartości, znowu urząd jest mgławicą, wszyscy szukają rozgrzeszenia i uzasadnienia własnego życia, a ostatecznie odnajdują samotność. Krytyka podkreślała szczególnie walory portretu Olgi, ale zarzucała Bystrzyckiej brak indywidualizacji językowej. A. J. Wiczorkowski powiada, że miało to być „skrzyżowanie Prousta *W poszukiwaniu straconego czasu*, *Klimatów* Maurois i *Małowiernych* Putramenta”.

Z kolei *Kontuzja* (1976) jest półpowieścią, półpamiętnikiem. Bohaterka Zofia Bystrzycka oczekuje na operację i wyrok: czy guz jest nowotworem, czy nie. Przez dwa tygodnie trwa stan zawieszenia, co stwarza okazję do retrospekcji całego życia, do obrachunku z nim. A więc i przeszłość, i zapis stanów psychicznych, i obraz środowiska szpitalnego. Dodajmy, że lęki były nieuzasadnione i wszystko dobrze się skończyło.

Dzięki czemu powstała powieść następna, *Pelnia pólstnienia* (1984), pisana w latach

1979-1981, przynosząca obrachunek ze schyłkiem epoki gierkowskiej. A więc schyłek epoki schyłkowej. Znowu jakieś ponure biuro, ale bohaterów wielu i kilkunastu narratorów, których opowieści posuwają rzecz dalej. Wszystko to obraca się wokół zmiany dyrektora – w czym oczywista parabola. Naturalnie Bystrzycka wie, że jest to zmiana, która niczego nie zmieni, ludzkie, jałowe gry będą się toczyły dalej. Centralnym bohaterem jest Szymon Natoracz, a tematyką – jego awans, żona, kochanka itd. W 1989 roku ukazała się ostatnia, jak dotychczas, powieść Bystrzyckiej *Sińce i makijaż*.

Bystrzycka stworzyła własny styl, własną konstrukcję fabuły, obracającej się nade wszystko wokół spraw męsko-damskich. Należy do najpopularniejszych autorek i jest w każdym calu wcieleniem kobiecości. Dodajmy jednak, że jej bohaterki są w miłości, trochę nieoczekiwane, raczej powściągliwe.

Pewnie to kwestia konwencji, bo podobnie jest u Barbary Nawrockiej-Dońskiej (1924), natomiast bohaterki autorek następnych generacji najczęściej bywają nimfomankarni. Nawrocka brała udział w powstaniu warszawskim, była łączniczką AK i sanitariuszką. Po wojnie mieszkała trochę na Dolnym Śląsku, potem wróciła do Warszawy, skończyła prawo, debiutowała w „Po prostu”. Uprawia prozę i publicystykę, pisze kryminały. W jej twórczości wracają motywy okupacyjne, powstaniowe, pierwszych pionierskich lat powojennych. Jest oczywiście miłość, różne warianty sytuacji trójkąta. Nawrocka szczególną uwagę skupia na rozpoczynaniu życia na nowo, rekonstruowaniu tego, co zburzone. Do mężczyzn ma stosunek raczej krytyczny, podkreśla się też jej kobiece uwrażliwienie na szczegóły, na sprawy zwykłego życia. Ważną sprawą są podróże, charakterystyczne też jest uwrażliwienie na problemy różnych grup mniejszościowych.

Pierwszą książkę Nawrockiej, powieść *Dwie miłości* (1956), krytyka powitała z mieszanymi uczuciami. Są to dzieje przybysza ze wsi podwileńskiej, Emila Gołoncieja, jego przedwojenna trudna edukacja i wojenna miłość do Żydówki Dory, zakończona tragicznie. Po wojnie Gołonciej robi karierę, żeni się też z „mieszczanką-reakcjonistką”, co na szczęście nie potrwa długo. Rzecz kończy się *happy endem*, a jest pochwałą współczesności. Książce zarzucono uproszczenia, za najlepszy uznano wątek miłosny.

Całkiem inaczej i znacznie lepiej przyjęto *Powszedni dzień dramatu* (1961), który też oczywiście okazał się jedną z najlepszych, czytanych i wznawianych powieści Nawrockiej. Jest to jeszcze jedna książka o powstaniu, ale właśnie niepatetyczna, raczej beznamietna, spisana z odległej czasowej perspektywy, już bez złudzeń. Bohaterkami jest pięć powstaniowych łączniczek, a także major Arno. Podkreślano wiarygodność książki i wyrazistość smętnego skądinąd obrazu.

Motyw niedobranego małżeństwa i tworzenia życia na nowo odnajdziemy w *Pojedyńku z pamięcią* (1962). Ale jest to już Nawrocka inna niż w *Dwóch miłościach*, zauważmy przy tym, że między pierwszą a drugą jej książką upłynęło sześć lat. Małżeństwo nie tyle niedobrane, co rozbite, bo po ośmiu latach wojennych tułaczek powrót Piotra do Flory jest już nieudany, pojawia się ktoś inny, Michał. A w ogóle cała rodzina z córką i zięciem przenosi się do małego miasteczka na Ziemiach Zachodnich i zaczyna życie od nowa. Wszystko to jest retrospekcją, gdyż dzieje tej inteligentnej rodziny opowiada narratorka, przyjaciółka. Książka jest po prawdzie psychologiczna, wypełniona nieustannymi analizami. Wyrazny jest wpływ Nałkowskiej, obecnej i w innych utworach Nawrockiej.

Następną książką był *Odłot za tydzień* (1964), o nagłej miłości inżyniera do kobiety poznanej na tydzień przed odlotem do pracy na afrykańskich budowach. Nowa miłość prowokuje tu inne spojrzenie na całe dotychczasowe życie bohatera. Motyw był w owym czasie modny, bo taki „sam pośród miasta” umożliwiał stworzenie sytuacji egzystencjalnej. Tutaj rodzaj przełomu przeżywa *homo novus* i technokrata-energetyk. Ale, jeśli sobie dobrze przypominam i to jest typowe, do obserwowania takich przełomów najchętniej używano postaci inżyniera.

Znacznie cenniejsza jest powieść *Gęsty las* (1965), z akcją ułożoną znowu na Ziemiach Zachodnich, na Dolnym Śląsku, a ściślej w Łądku Zdroju. Z warszawskiego pogromu przybywa tutaj młoda dziewczyna Grażyna z mężem weterynarzem i zaczyna budować nowe życie w pionierskich warunkach. Mamy obszerną panoramę świata przesiadleńców i autochtonów – z całą karuzelą siedmiokrotnie coś zmienianych burmistrzów. Jest też obraz dnia powszedniego, małżeńskie troski i porozumienia, i znów najciekawszy jest portret samej bohaterki. Powieść obejmuje dziesięć lat, od 1956 roku – ale motywów politycznych raczej tu niewiele.

Gdzieś w tym okresie odkryła Nawrocka poza Warszawą i Łądkiem także dalsze okolice. Rozpoczął się okres wyjazdów i wynikających z nich książek – trochę reportażowych, trochę eseistycznych. Rozpoczyna ów cykl *Dobry wieczór, mister Godot* (1965), rzecz poświęcona Paryżowi i trochę Szwajcarii. Książka ma charakter notatnika i jest dość zgryźliwa. Nawrocka narzeka, że nie ma już „dawnego Paryża”, a tylko „świat obłądnego pościgu za pieniądzem” – jakby takiego pościgu nie było już w owym „dawnym Paryżu”, powiedzmy, Balzaka. Ale taki był „wyjazdowy” styl tamtych lat – należało powiedzieć, że u nas jednak najlepiej. Po Paryżu autorka odwiedziła Włochy, skąd *Papieski topaz* (1967), dalej było *Trolejbusem do galaktyki* (1967) – o Syberii i Uzbekistanie. Wreszcie *Jak wulkan gorąca* (1973) – reportaż z Kuby, atakowany za zdawkowość. Zapada w pamięć, że łóżko w hotelu szerokie i wygodne, a autorka w nim sama (trzeba rzec, że bardzo przystojna z niej kobieta).

W 1969 roku ukazują się kryminał *Tajemnicza katarynka* i znacznie poważniejsza powieść *Przed godziną „W”*, w której autorka wraca do lat okupacji i wspomnień pokoleniowych. Są tu ci sami mniej więcej bohaterowie co w *Powszednim dniu dramatu*, tyle że akcja dzieje się nieco wcześniej, bo w latach 1942-1944. Znajdziemy tu powszedni dzień okupacyjnej młodzieży – konspiracja, praca, nauka, miłość. To samo umiarkowanie i szczegółowy obraz codzienności. Natomiast do lat powojennych, nie dolnośląskich jednak, lecz warszawskich, wraca Nawrocka w *Stoliku z fotografią* (1975), gdzie bohaterka, Henryka, buduje po utracie wszystkiego nowe życie. Jest tu także i motyw politycznego konfliktu, może i bez specjalnych wyzwick, ale i tak niecna reakcja wykorzystuje szlachetność milicjanta. Przedtem jeszcze powstaje inny kryminał – *Zatrzymaj zegar o jedenastej* (1973) i książeczka dla dzieci *Historia życia czarnego kota* (1974), z czego wynika, że Nawrocka lepiej pisze o kotach niż o polityce. To nie zarzut, wręcz przeciwnie. Jako wielki admirator kotów, z prawdziwą zazdrością przeczytałem, że kot Nawrockiej był u niej aż dwadzieścia dwa lata.

Osobliwą konstrukcją wyróżnia się romans *To nieprawda, że umarł Tristan* (1976), rodzaj trójgłosu o współczesnej miłości Dawida i Annabel, gdzie Dawid-Tristan jest pozytywnym inżynierem z Konina, autorka zaś rekonstruuje wypadki już po jego śmierci. Zapewne było to podjęcie rękawicy, rzuconej przez Marię Kuncewiczową.

Po kolejnym kryminale *Zatruty bluszcz* (1977) przyszedł tom opowiadań *Ślubna suknia* (1978), składający się z siedemnastu niewesołych portretów kobiet i jednego, też melancholijnego, portretu psa. Portrety są niezłe, mnie w każdym razie się podobały. Natomiast nie bardzo się podobała krytyce powieść *Spójrz na rzekę, chłopcze* (1977) – o dzieciństwie, dojrzewaniu, miłości, starej barce i wodzie. Warto może zwrócić uwagę, że powieści „rzeczne”, które na świecie szerokim mogą się poszczycić Markiem Twainem czy autorem *Trzech panów w łódce, nie licząc psa* Jerome-Jerome, u nas prezentują się słabiutko: Boguszevska i Kornacki, bardzo dobry Giełżyński i niewielu więcej.

Uwagę czytelników przyciągnęły dwie następne książki Nawrockiej. *Złota czara* (1979) to powieść o formowaniu się bojowca miary Mordechaja Anielewicza, który tu występuje jako Daniel. Nawrocka pomija zresztą samo powstanie w getcie, ważne jest urastanie symbolu. Nie bez wartości symbolicznych jest też powieść *Powrót Saszki* (1983), której bohaterem jest Rosjanin Aleksander Konstałow. Całe życie spędził na emigracji – w Polsce i we Francji, a do Rosji przyjechał, by umrzeć. Krytyka podkreślała, że Nawrocka nie starała się wyciągnąć z tej

historii wniosków politycznych. I wreszcie godny uwagi jest *Prywatny pamiętnik* (1988), który w pierwszym wydanym dotąd tomie ukazuje dzieje rodzinne, dziadków Skupińskich i rodziców Bodzińskich.

Dodajmy, że Nawrocka-Dońska jest także współautorką powieści i słuchowisk sensacyjnych, pisanych razem ze swoim mężem, tragicznie zmarłym Ryszardem Dońskim.

Kiedy Stanisław Grochowiak dedykował swój sławny *Menuet z pogrzebaczem*, romans z „trumienką”, „Krysi Nepomuckiej”, to zapewne mu się podobała i sama Nepomucka, ale miał po temu i bardziej złożone, istotniejsze powody – autorka *Małżeństwa niedoskonałego* była wprost doskonałym wcieleniem ideału literatury turpistycznej, ukazującej brzydotę i szpetotę wszechrzeczy. Krystyna Nepomucka (1920) studiowała – wedle różnych źródeł – medycynę, nauki prawno-administracyjne, plastykę, polonistykę, więc wszystkiego po trochu, redagowała przez długie dziesięciolecia „Chłopską Droge”, debiutowała w prasie w 1945 roku, ale rozgłos i uznanie przyniosło jej dopiero właśnie *Małżeństwo niedoskonałe* (1960), książka rzeczywiście niezwykła. Potem przyszły kolejne „niedoskonałości”, gdyż jest to po prostu specyficzna saga osobliwej rodziny. Saga bardzo dziwna, gdyż pisana z ironią i sarkazmem, pełna jadu i wręcz nienawiści. Pokraczne środowisko zdeklasowanych urzędników, ocierające się o świat przestępczy, prezentowane przez głupią i naiwną narratorkę, która wszelako zachowuje jakieś szczątki człowieczeństwa, porażająca szpetota wszystkich rzeczy i czynności, groteska i makabreska – aż do mdłości. Obrzydliwe i zarazem nieprzepraczone śmieszne. Nienawiść Nepomuckiej dotyczy dosłownie wszystkiego. Przywoływano tu patronat Gojawicyńskiej, ale w istocie przypomina się raczej Haszek, ośmieszający i obrzydający wszystko. Ale Nepomucka jest znacznie bardziej drastyczna. Na pierwszym miejscu w jej naturalistycznej dokładnej wizji trzeba umieścić głupotę, podłość i chciwość pospólną. Ale także po prostu głód, gdyż jej bohaterowie są nade wszystko bardzo biedni. Jedzenie, wypróżnianie, obrzydliwości fizjologiczne, nieapetyczny seks dominują nad wszystkim.

*Małżeństwo niedoskonałe*, opublikowane w 1960, powstało jednak wcześniej i jego fragmenty pod zamierzonym pierwotnie tytułem *Precedensy* były publikowane w 1954 roku. Książka zaczyna się obiecującym zdaniem, które zyskało sobie rozgłos: „Cnotę straciłam o piątej rano”. Rzecz dzieje się w dwudziestoleciu i jest opowieścią o koszmarnym dzieciństwie i jeszcze bardziej fatalnym małżeństwie narratorki. Córka notorycznego pijaka i defraudanta, otoczona wulgarną i prymitywną rodziną, wchodzi do rodziny skąpego i podłego rejentostwa, zresztą tylko dlatego, że ich szpetny, leniwy i głupi syn Busio uwiódł ją, nim skończyła szesnaście lat. Młodą żonę bawi takimi wypowiedziami: „Gdybyś miała dziecko, to utopiłbym bydlaka w wychodku, a ciebie zrzucił ze schodów”, a wreszcie zabiera koślawe stołki i ucieka. Książka jest rzeczywiście drastyczna i niezwykła. Autorka, niby to *à parte* o dosłownie każdej rzeczy potrafi rzec coś obrzydliwego i komicznego zarazem. Podobne, jeśli nie wręcz identyczne, będą książki następne – z tymi samymi mniej więcej bohaterami.

*Rozwód niedoskonały* (1962) ukazuje najpierw nieporadne próby samodzielności bohaterki (np. kulisy rewii), później zaś wybucha wojna. I tu następuje coś bardzo przedziwnego; okazuje się, że okupacja dla ludzi z marginesu, z głębokich dołów społecznych stanowiła życiową szansę, burząc dotychczasowe podziały i struktury. Różne zajęcia – od szmuglu żywności po rabunek opuszczonych mieszkań, od pogranicza kolaboracji po pogranicze konspiracji – pozwalają im wznieść się o szczebel czy może więcej wyżej. Spojrzenie na okupację nowe i bardzo ciekawe.

Tu Nepomucka przerwała swój ciąg powieściowy i dała książkę poświęconą okupacji, w owym czasie mocno kontrowersyjną. Jest to *Obrączka ze słomy* (1966) – o miłości Polki Anny Marii i niemieckiego żołnierza, a później dezertera Waltera, o zaklęciach z tym związanym w Warszawie i na Podhalu, i o ostatecznej tragedii. Sama możliwość takiego romansu, którego autorka nie potępia, wywołała furję recenzentów. Z perspektywy *Początku Szczypiorskiego* patrzymy na to inaczej. Ale sama książka, bardziej gładka niż cykl rodzinny, nie wznosi się na jego wyżyne.

Jego dalszą kontynuację stanowi *Samotność niedoskonała* (1971), traktująca o latach tuż-powojennych, kiedy narratorka wraz z rodziną przybywa do Draniewa – Braniewa, a straszny tata zostaje draniewskim starostą. Zresztą mniej czy więcej straszni są wszyscy osadnicy, skłonność do karykatury nie słabnie ani na chwilę. Narratorka, zostawiając małe, a pozamałżeńskie dziecko u rodziców, rejteruje do Wrocławia, ale i tu nie udaje się jej ułożyć życia. Wreszcie, kiedy ojciec zostaje wyrzucony z kolejnej posady, wszyscy trafiają do jej wrocławskiego pokoiku. Nawet rozpaczliwy Busio się odnalazł. Kolejny etap absurdu to *Miłość niedoskonała* (1978) – narratorka szuka szczęścia w Londynie, gdzie wyjeżdża do poznanego korespondencyjnie Reginalda. Reginald okazuje się głuchym pokraką, z którym wszelako spać trzeba... Kolejny nieudany związek, wszyscy zresztą – czy to we Wrocławiu, czy w Londynie – straszni, nawet kotka Kacunia niezbyt sympatyczna. Wreszcie przychodzi *Kochanek doskonały* (1982), gdzie i narratorka, która już od poprzedniej książki jest lekarką, i jej dwiętnastoletnia córka Ewa namiętnie i często się puszczają. Życie jak było koszmarem i brednią, tak i pozostało.

Sądzę, że pięcioksiąg Nepomuckiej, mimo różnych nawrotów i powtórek, nie witany nigdy żadnymi oficjalnymi fanfarami, należy do najciekawszych zjawisk współczesnej prozy polskiej.

Wypadnie teraz zająć się odrobinę klanem Ostrowskich. Składa się on przeważnie z kobiet, chociaż był też i Wiktor Ostrowski, alpinista sławny, zdobywca szczytów południowo-amerykańskich i autor ciekawych książek na ten temat. Poza tym jednak same panie. A więc młodopolska poetka Bronisława Ostrowska, inna poetka, dla odmiany erotomanka i mistyczka, lubelska Eda, o której już pisałem w III tomie. Są uczone – Stanisława i Ewa. W „pryszczato-kolumbowym” pokoleniu jest Elżbieta i Róża, a wreszcie, w kolejnej generacji, łódzka prozaiczka Ewa Ostrowska, nie mylić z uczoną.

Elżbieta Ostrowska (1923) była nade wszystko zasłużonym żołnierzem powstania, szefem ośrodka łączności. Jej książka wspomnieniowa *W Alejach spacerują „Tygrysy”* (1973) zyskała duże uznanie, miała parę wznowień. Mowa o Alejach Jerozolimskich, stanowiących w czasie powstania warszawskiego nieustanny front polsko-niemiecki. Poza tym Ostrowska jest autorką baśni dla dzieci i sztuk dla teatrów kukiełkowych.

Z kolei Ostrowska Róża (1926 – 1975) ma swoją wybrzeżową legendę. Po wojnie trafiła do Gdyni, studiowała w Poznaniu polonistykę, publikowała w prasie od 1958, pracowała w radio, przede wszystkim jednak była kierownikiem literackim teatru „Wybrzeże”, aż do roku 1968. Odtąd, w wyniku pomarcowych represji, jej nazwisko znika z prasy, by pojawić się właściwie dopiero w nekrologach. O ile mi wiadomo, ówczesny rozłam w środowisku gdańskim był wyjątkowo drastyczny. Róża Ostrowska napisała niewiele, ale są wśród jej utworów rzeczy nietuzinkowe.

Pierwsza jej książka to *Premiera* (1956), zbiór trzech dłuższych opowiadań o podłożu co nieco autobiograficznym i o pośrednich, ale czytelnych podtekstach moralnych. *Dziesięć przykazań Siostry Imeldy* to studium zakłamania w szkole przyklasztornej, podobne do słynnego *Drewnianego różańca* Natalii Rolleczek. *Premiera* opowiada o niszczącym wpływie oportunistów i rutyny na teatr i sztukę aktorską, a *Ornat* ukazuje nam małe, zakisłe miasteczko, poruszone rzekomą kradzieżą zabytkowego ornatu. Zwracał uwagę bardzo dobry poziom literacki. Znacznie jednak wybitniejsza jest *Wyspa* (1960), powieść o miłości, wielokrotnie wznawiana. Rzecz dzieje się w kaszubskiej wiosce nad jeziorem – czyli po prostu we Wdzydzach, gdzie Róża Ostrowska miała swoją ostoję. Przyjeżdża tu, by odpocząć od wszystkiego aktorka i śpiewaczka Monika, odkrywa pejzaż, Kaszubów i znajduje nieoczekiwaną miłość w osobie młodego chłopaka Romana. Ale jej stały partner, Jakub, upomina się przecież o nią – konflikt nie zostaje rozstrzygnięty. Bardzo piękna, czysta i gęsta proza, nieco melancholijna, nieco sentymentalna.

Następnie ukazuje się bardzo ważny i potrzebny *Baedeker kaszubski* (1962), napisany z Izabellą Trojanowską, inną słynną damą Wybrzeża. W 1964 publikuje zbiór na wpół opowiadań, na wpół reportaży *Siódme piętro*, o paryskich sprawach Polaków, i znowu, podobnie jak



u Nawrockiej, Gerharda i innych obraz Paryża nieciekawym. Po prawdzie: polski pisarz na „zachodniej” wycieczce jest z reguły biedny jak mysz kościelna, głodnawy i jeszcze bardziej upokorzony. Trudno w takiej sytuacji o zachwyty...

Wreszcie już pośmiertnie ukazały się fragmenty nie dokończonych powieści *Mój czas osobny* (1977), uzupełnione brulionami i wspomnieniami przyjaciół. Rzeczą składa się z dwóch części i wątków – wspomnień podwileńskiego dzieciństwa i dorosłej terażniejszości na Kaszubach. Byłaby to może najlepsza książka Róży Ostrowskiej, niestety, zdążyła napisać ledwo jedną trzecią.

Ostatnia już Ostrowska, Ewa, reprezentuje raczej nawet nie „współczesnościowe” pokolenie, ale „małostabilizacyjne”, nacieszmy się jednak Ostrowskimi w jednym miejscu.

Ewa Ostrowska (1938) studiowała socjologię na Uniwersytecie Łódzkim, w łódzkiej prasie pisywała, potem wyniosła się na wieś, ma własne gospodarstwo, troje dzieci, a nawet męża. Ma też znaczny dorobek, na który składają się oprócz „normalnej” prozy także książki dla dzieci i młodzieży. A ze wsi Ogródek w okolicach Orzysza kolejni reporterzy odwiedzający Ostrowską donoszą o wieprzach i bykach, hektarach, ale z tym wszystkim, jak się zdaje, najśłodziej pisarce nie jest. Trudno, sama wielokrotnie opisywała, jak się rozsypują marzenia, konfrontowane z rzeczywistością.

Ostrowska uprawia coś w rodzaju prozy obyczajowo-psychologicznej, z silną skłonnością do karykatury, w czym przypomina Nepomucką. Jakieś straszne rodziny, potworni sąsiedzi, ludzie głupi, źli i obojętni. Z tej pasji moralizatorskiej się bierze, że jej twórczość jest w równej mierze sarkastyczna, co dydaktyczna. Jej przedmiotem są najczęściej konflikty rodzinne, trzeba też rzec, że konflikty utajone. Ostrowską najbardziej interesuje, co też człowiek nosi pod maską, jakie naprawdę panują stosunki za zamkniętymi drzwiami. Niemal ustawicznie powraca motyw mezaliansu, narratorką zaś jest kobieta lub dorastająca dziewczynka.

Już w pierwszej swojej książce, *Torcie urodzinowym* (1965), zbiorze utworów pośrednich między reportażem a nowelą, przedmiotem zasadniczym była ludzka obłuda i obojętność, losy dzieci, bezsilność, ciężenie prowincji. Następnie przyszła powieść *Pierwszy dzień tygodnia* (1967), przedstawiająca rozkład rodziny. Wszyscy tutaj, pięćdziesięcioletnia nauczycielka Jadwiga, jej zakompleksiony drugi mąż, córki, rodzice są właściwie zupełnie samotni i sfrustrowani. Jest to jeden dzień tylko, fatalny, ale następne nie będą lepsze, konflikty jedynie się pogłębią. Raczej ponure i groteskowe, z odrobiną dydaktycznego moralizowania. A wszystko w skrzyżowaniu kilku osobnych narracji.

O ile ta książka dzieje się w wielkim mieście, najpewniej w Łodzi, o tyle następna, *Nim jabłoń zdziczeje* (1968), podejmuje tematykę przesiedleńczą. Po prawdzie to znowu saga czy raczej „antysaga” rodzinna. Rodzina Horotyńskich z podwileńskiego Landwarowa przesiedla się do Ornety, co zresztą odpowiadało autentycznym dziejom Ostrowskiej. Nowe środowisko, oglądane oczyma dziecka, które przede wszystkim z melancholią wspomina rodzinne strony, przedstawia się mocno karykaturalnie – autentyczni ornetowianie protestowali w prasie, widocznie modele były rozpoznawalne. Znowu mezalians dziadka i babki, ostre portrety, konflikty. Drugą częścią książki jest powieść *Gdzie winą jest duża* (1970) – mała Helenka przenosi się od dziadków do matki w Łodzi, która wyszła po raz drugi za mąż, obraca się w środowisku łódzkich aferzystów i dla córki nie ma serca ani czasu. Dziewczynka tęskni więc za Ornetą, ale gdy tam w końcu pojedzie, okaże się, że ideał istniał tylko w marzeniu.

Tymczasem ukazała się też powieść, a właściwie cykl opowiadań, *Ptaki na niebie* (1968), gdzie znajdujemy trochę inny konflikt rodzinno-pokoleniowy. Matka przeżywa ustawicznie koszmary okupacyjne, przed którymi chce ustrzec córkę – ale nie potrafi. Książkę uznano za świadectwo „małego realizmu”, gdyż jest szczegółowa w malowaniu dnia powszedniego, miasta, rodziny. Jest w niej liryzm i ironia zarazem. Co prawda Ostrowska, przy całej swej pasji satyrycznej, bywa w ogóle nieco egzaltowana. *Między nami niebotyczne góry* (1974) to znowu rozkład małżeństwa. Po dziesięciu latach Paweł i Łucja po prostu się już nienawidzą, czego przyczyną mają być archaiczne stosunki obyczajowe. Powieść jest tyleż obyczajowa, co psychologiczna.

Mnie najbardziej zajęła powieść *Śniła się sowa* (1979), gdzie sarkazm Ostrowskiej dotyczy mazurskiej wioski, zaludnionej przez jakichś koszmarnych, ze złego snu Ciuzków i Kulasów i jeszcze potworniejsze ich małżonki. Powszechna niechęć i nienawiść, prymityw, głupota i okrucieństwo, których w niczym nie narusza oglądanie telewizji, kulminuje, gdy w pobliżu pojawiają się „inni” – repatrianci. Uroczą wieś linczuje przybyłym dziecko. Wszystko raczej posępne, ale bardzo wyraziste. Ciekawe, że nie tak znowu daleko od Ostrowskiej mieszkający Nienacki podobnie tubylców ocenia. Książka w każdym razie godna uwagi.

Ostrowska napisała także pod pseudonimem Brunon Zbyszewski kryminał *Ścigany przez samego siebie* (1972), a pod własnym *Pamiętaj o Róży* (1978). Poza tym jest autorką książek dla dzieci i młodzieży, m.in.: *Długa lekcja* (1979), *Co słyszać za tymi drzwiami* (1982), *Mama, Kaśka, ja i gangsterzy* (1984). Dziwi mnie trochę małe zainteresowanie krytyki, bo autorka jest warta uwagi.

Zupełnie inną postawę wobec świata, swojego regionu i życia prezentuje Nina Kracherowa (1929), najpierw pracownica domu kultury Zakładu Elektrod Węglowych w Raciborzu, potem dziennikarka raciborska i opolska. Debiutowała w 1959 roku w „Życiu Literackim”, potem drukowała w prasie jakąś tajemniczą powieść *Gdzie jesteś, Nelly*, o której pewnie lepiej nic nie wiedzieć, następnie wydała kilka książek poświęconych problematyce śląskiej. Słusznie przy tym uznała, że dzień dzisiejszy jest wypadkową przeszłości i skłoniła się ku powieści historycznej lub prawie historycznej. Jej książki nie mają na ogół jednego wyłącznego bohatera, ale w licznych wątkach prezentują złożoną zbiorowość. Jest w tym jakaś ciepła akceptacja życia, nawet jego trudności i tragedii. Przy tym, co mnie szczególnie ujęło, nie stroni od elementów ociepkowo-fantastycznych. „Wierzę w czarownice, utopców i duchy” – oświadczyła z mocą. No cóż, ja też, dlatego może wierzę i w Kracherową.

Debiutowała zbiorem opowiadań *O północy* (1963). Jest to dziesięć opowieści o rodzinnych Markowicach z niedalekiej przeszłości. Znacznie ambitniejsza jest powieść historyczna *Naprzeciw Astrei* (1967) – panorama społeczna i historyczna Raciborza od 1820 roku po Wiosnę Ludów, ze zbiorowością chłopów, robotników, patrycjuszy, Żydów, Polaków, Niemców i Włochów. Trochę wstawek dydaktyczno-historycznych, a w ogóle wielkie gatunków pomieszanie. Następna powieść to *Progi* (1972), w której Ślązaczka Judyta wspomina po latach, jak to była siedemnastolatka, zbliżał się front niemiecko-radziecki, a w niej kochali się Polak i Niemiec. I jak później ona, uczennica niemieckiej szkoły, musiała się określać narodowościowo. W tym miejscu dochodzimy do najważniejszego problemu Kracherowej – Ślązaków, którzy są przede wszystkim Ślązakami i woleliby uniknąć sytuacji, w której aż dwie ojczyzny, polska i niemiecka, wydzierają ich sobie. Gorszy to nas niesłuchanie, ale podobno są i tacy, którzy może i kochają nas czule, jak Kandyd króla Bułgarów, ale mimo wszystko chcą pozostać sobą.

I tu właśnie miejsce na najwybitniejszą powieść-epopeję Kracherowej *Karczma-życie* (1982), poświęconą tym Ślązacom-outsiderom. Rzecz dzieje się w osadzie Marzeniowo pod Raciborzem, w okresie od połowy lat trzydziestych po koniec drugiej wojny światowej. Bohaterem jest marzeniowska społeczność, bardzo złożona. Na miejscu centralnym lokuje się postać Ernesta Vivarellego, inwalidy, mędrca i po trosze hulaki, nieślubnego syna księcia, komentatora zachodzących wydarzeń. Dzieło jest sążniste i bogate, jego nieszczęściem było to, że ukazało się w roku, w którym mało kto literaturą się interesował.

Poza tym Kracherowa jest autorką albumu *Ziemia Raciborska* (1972).

Niebywałą popularność w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zdobyła Krystyna Siesicka (1928), co prawda przede wszystkim wśród panienek, ale przecież nie tylko. Z wykształcenia dziennikarka, z upodobania matka pięciorga dzieci, a babka kilkunastu następców i następczyń, wcieliła w swoich książkach wyobrażenia, ideały i postawy okresu „małej stabilizacji”. Można by rzec, że jej przeciwieństwem jest wzorzec Stachury – i rzeczywiście, w miarę wzrostu popularności Stachury, słabła poczytność Siesickiej. Między obiema „szkoła-

mi” nie było i być nie mogło jakiegokolwiek porozumienia. Co prawda sensownie zauważono, że Siesicka opisuje nie tyle infantylną młodzież, co jeszcze po prostu dzieci. Jej książki sprawiają wrażenie jakiegoś nieustannego szczebiotu czy świergotania, zupełnie jak klatka z papuzkami-nierozłączkami. Skądinąd zbudowane są przede wszystkim z dialogu. Siesicka opisuje perypetie uczuciowe, szkolne i rodzinne, fabuła jest zresztą nieskomplikowana. Na pierwszy plan wybija się dydaktyzm; niektóre książki są wręcz poradnikami dla małolatów. Do tego trzeba dodać optymizm i kult pokolenia wojennego.

Głośne i sfilmowane książki Siesickiej to: *Zapałka na zakręcie* (1966), *Jeziro osobliwości* (1966), *Czas Abrahama* (1967), *Beethoven i dzinsy* (1968), *Ludzie jak wiatr* (1970). Po-tem przyszła seria nowelistyczno-dydaktycznych portretów, jak *Agnieszka*, *Łukasz*, *Katarzyna*, a z biegiem czasu Siesicka zaczęła się nieco odmieniać, kierując swe książki raczej ku dorosłym. Są to *Nieprzemakalni* (1981), *Między pierwszą a kwietniem* (1982), *Moja droga Aleksandro* (1983). Zwrot ku problematyce „dorosłej” był uzasadniony – w tym czasie młodzież przeobraziła się bardzo – ówczesna prasa miała nawet ulubione określenie: „nieodpowiedzialne grupy wyrostków”. Dodajmy jeszcze beletryzowane poradniki, jak *Przez dziurkę od klucza* (1966), *Fotoplastykon* (1969), *Sabat czarownic* (1971) i inne.

Jakoś tak literackim uboczem przewinęły się przez życie, zakończone posepnym aktem, bliźniaczki Woźnickie, Zofia i Ludwika. Pierwsza romanistka, tłumaczka i autorka książek dla dzieci, druga anglistka, także autorka dla młodych, ale i dla dorosłych także. To ona pierwsza popełniła samobójstwo. Zofia przeżyła ją o trzy lata, odbierając sobie życie w Londynie.

Zofia Woźnicka (1924-1986) poza tłumaczeniami i pracami poświęconymi pedagogice pi-sała przede wszystkim beletryzowane opowieści przygodowo-podróżnicze dla dzieci o Anglii, Francji, Gruzji, Katalonii. Jest autorką takich m.in. książek: *Było takie lato* (1961), *Deszcz, zając i chłopiec* (1965), *Londyn i ja* (1969), *Wielka heca z gitarą* (1972). Uprawiała także krytykę, była autorką licznych słuchowisk.

Ludwika Woźnicka (1924-1983) także pisała książki dla dzieci, m.in. cykl o Czarce, mło-dej panterze i jej przyjaźni z małą dziewczynką, sensacyjne, jako Emilia Cassa i Cassa-Krasicka, ale ma też liczący się dorobek poważniejszy. Początkowo były to reminiscencje wojenne (była na robotach przymusowych w Rzeszy), następnie zdecydowała się na dość niesamowitą fantastykę. Co prawda, od początku miała do niej inklinacje. Debiutowała zbe-letryzowanymi reportażami, poświęconymi głównie sprawom młodzieżowym: *Ocaleni i inne opowiadania* (1954) – już tu odnajdziemy ślady persyflażu. Więcej go w *Niebieskiej kuli* (1958), na którą składają się trzy cykle. Pierwszy to trawestacje mitów i baśni, drugi – waka-cyjne, nadmorskie notatki, trzeci – obrazki towarzysko-obyczajowe. Przeważa tu we wszyst-kim kolor szary albo pogłos drwiny. Spore wrażenie wywołała powieść *Dzieci Europy* (1958), napisana najwcześniej. Jest to opowieść o kobietach przebywających w obozie w Westfalii, w towarzystwie bardzo międzynarodowym. Centralną postacią jest tu Marta-Martalina, kochanka komendanta obozu i jednocześnie opiekunka innych więźniów. Dla czarno-białej wizji lat wojny i okupacji, obowiązującej właściwie i do dzisiaj, była to książka niewygodna. Do owych lat nawiązują także, napisane razem z siostrą, *Dortmundzkie opowie-ści* (1959), również o dziewczynach „na robotach”, o nie spełnionej miłości.

Tymczasem książki Ludwiki Woźnickiej stają się coraz bardziej niesamowite. *Naoczny świadek* (1962) to znowu trawestacje mitów i baśni, tytułowe nawiązuje do *Nowych szat króla* Andersena. Są to w istocie smutne i przewrotne przypowieści. *Wdowa i lokator* (1972) to drwiąca, ale i ciepła opowieść o bardzo starej kamieniczce paryskiej, utrzymującej „na ładne oczy” studenta-Argentyńczyka. Gustowi do dziwów, fantazji i mistyfikacji nie bez ma-kabreski dają upust *Najdziwniejsze i osobliwe zdarzenia, czyli Pitaval fantastyczny* (1980) – pastisze i mistyfikacje, umieszczone w Anglii wiktoriańskiej. Równie interesująca, ale bar-dziej mroczna jest kontynuacja tych zainteresowań – *Lot srebrnej kuli* (1984), o łowach na

czarownice, trędowatych, demonach. Mistyfikacje czasem kpiarskie, częściej posępne – tak mniej więcej widzi świat Woźnicka. Duże tu pomieszanie gatunków, bywa i nierówna, ale jest to z pewnością książka o czymś. Poza tym chwilami dość odlegle przypomina Jadwigę Żylińską.

Zupełnie inny krąg zainteresowań przypadł w udziale Lucynie Legut (1926), aktorce po krakowskiej PWST. Legut maluje, pisze, reżyseruje, gra w teatrze. Uprawia wiele gatunków – pisze teksty piosenek, skecze kabaretowe, słuchowiska, dramaty, powieści i nowele. Jest tego bardzo wiele – słuchowisk chyba ze czterdzieści, dramatów też niemało, np. *Złodziej serc*, *Zieleniarze – obywatele świata*, czy pisane z samym Michałem Misiornym *Piękne ogrody*.

Debiutowała opowiadaniem dla dzieci *Świerszcze mają sklep z instrumentami* (1960), książeczką szczególnie ciepło przyjętą w ZSRR. Uwagę dorosłych zwróciło dopiero *Życie artystki Kingi Kidney* (1966). Niewiele ma ta książka wspólnego z Walerym Wątróbką, choć po angielsku kidney to wątroba właśnie, ale pewien zamysł satyryczny jest widoczny. Tyle że satyra kojarzy się tu z melodramatem. Opowieść tytułowa dotyczy niedoli prowincjonalnej aktorki, pozbawionej szansy wybicia się, aż po na poły przypadkową śmierć. Legut znakomicie zna ów szczególny, błazeński światek prowincjonalnych aktorów, wykorzystuje to i w innych opowiadaniach, i właściwie w całej swojej twórczości. Z bardziej znanych i znaczących książek Lucyny Legut wymieńmy jeszcze: *Dla kogo ten wawrzyn?*, coś w rodzaju cyklu obrazków i skeczów, połączonych osobą niewydarzonego aktora Ptysia, *Nie zabijajcie Desdemony* (1973) – powieść sensacyjno-obyczajowo-teatralną, równie satyryczną powieść *Czekając na dziurę w niebie* (1976) – o prowincjonalnych aktorach statystujących w filmie, *Szyfon na ślubną suknię* (1977) – podobno z kluczem, *Nasza zmierzchowa mama* (1980) – o własnej matce.

Wielostronną działalnością i niezwykłym temperamentem wyróżniła się Maria Ginter (1922), autorka poczytnych wspomnień, gdzie przygody okupacyjne i powstaniowe, doświadczenia sportowe, samochodowe, tenisowe i konne. Autorka uprawia malarstwo, miała wiele wystaw na świecie, w 1962 wyjechała z Polski. Jej wspomnienia *Galopem na przełaj* (1983) ukazały się najpierw w wersji angielskiej. Tom drugi *Z wiatrem pod wiatr* (1987) opowiada o latach późniejszych, od wyjazdu do Londynu. Książka napisana bardzo żywo, autorka imponuje dynamizmem. (Rok 1990 przyniósł tom trzeci – *Galopem pod wiatr* – przyp. red.).

Zupełnie inny temperament pisarski prezentuje Zofia Lewandowska (1924), ekonomistka, pracownik naukowy, uważana za przedstawicielkę „małego realizmu”. Można tu wtrącić uwagę, że „mały realizm”, mierzony gęstością szczegółu, identyfikowałby się niemalże z „nurtem kobiecym”, w którym także detal odgrywa rolę zasadniczą. Lewandowską, autorkę prozy psychologiczno-obyczajowej, pociągają szarzy ludzie, małe, ciche miasteczka, sprawy minione i zaginione.

Debiutowała zbiorem opowiadań *Ulica starych ludzi* (1959), poświęconych małemu miasteczku, przed wojną i w czasie wojny. Są to jakby liryczne i melancholijne wspomnienia, codzienność, szarość. Później przyszła powieść *Decyzja* (1971) – o sprawach Śląska Opolskiego i konflikcie małżeńskim zarazem. Przedmiotem obu dramatów jest tu Karol Szeruga, jego matka i żona. Z kolei następną książką, *Piękni i dobrzy* (1972), przedstawia środowisko inteligencji, związanej z Uniwersytetem Warszawskim i Politechniką. O inteligencji, tym razem medycznej, opowiada też trzyczęściowa powieść *Marta, Monika, Adam* (1976) – Adam i Monika to dzieci Marty. Życie tej trójki nie układa się dobrze. Kiepsko też wiedzie się bohaterom *Zaułka świętej Barbary* (1981), gdzie Lewandowska wraca do swojej ukochanej zakisłej, małomiasteczkowej dziury, z jej letargicznym nastrojem. Rzecz głównie okupacyjna, dzieje się w orbicie kościoła i plebanii, a ukazuje melancholijne losy rodziny Woźniaków. Lewandowska pisze także dla dzieci.

W literaturze polskiej są jeszcze dwie panie Lewandowskie. Cecylia jest autorką książek dla dzieci – o owadach, a zwłaszcza o pszczołach, Irena – była żona Witolda Dąbrowskiego,

to tłumaczka, znana zwłaszcza jako współtłumaczka *Mistrza i Małgorzaty* Bułhakowa.

Ostatnia książka Zofii Lewandowskiej ukazała się w PAX-ie, teraz zaś będziemy mieli do czynienia z czterema autorkami tego właśnie wydawnictwa. Maria Starzyńska (1929), z zawodu dziennikarka, publicystka „Słowa Powszechnego” i innych pism paxowskich, okazała się także niezłą pisarką, poruszającą różne, często dość odległe od siebie problemy. Zaczynała od powieści obyczajowo-środowiskowej, potem zajęła się niedawnymi, okupacyjnymi dziejami, wreszcie spróbowała moralistyki. Ma skłonność do prozy sensacyjnej, do łączenia dokumentu z fikcją, kontrastuje ze sobą różne typy bohaterów. Bywa sentymentalna, a także nieco ironiczna.

W prasie pisywała już od 1953, ale pierwsza powieść ukazuje się dopiero w 1963 – jest to *Osiemnasta* – idzie o osiemną minę na terenie warszawskiej gazowni, bowiem właśnie gazownikom rzecz została poświęcona. Pracują tu dwa pokolenia, stąd plan współczesny i plan retrospekcji, z posępnymi zaszłościami. Narratorem jest młody lekarz gazowni, Roman Kraft. W następnej książce, *Trzęsienie ziemi* (1966), ukazuje Starzyńska zderzenie dwu środowisk – mieszkańców sennego Miasteczka, w którym odkryto pokłady węgla brunatnego, i przybyszów budujących Wielką Kopalnię. Obie społeczno-obyczajowe książki łączy pewne podobieństwo. Środowiskowo-ironiczny jest także *Konkurs na najlepszego* (1968), rzecz dotyczy skorumpowanego środowiska architektów i w ogóle ludzi kultury – nagrody uzyskuje się tu głównie *via* łóżko.

Trochę śmiesznie, bo sama Starzyńska niewiele wcześniej też została laureatką, a i późniejsze jej książki zyskiwały nagrody. Wkrótce podjęła inną tematykę. Przede wszystkim więc *Legenda lat czterdziestych* (1970) – o wątku fantastycznym, pokrewnym kapitanowi Klossowi. Tu też oficer podziemia, „Czarny”, przedzierzga się w esesmana. Dokumenty i fikcja mieszają się ze sobą, a rzecz kończy się wraz z wybuchem powstania. W tym też punkcie rozpoczyna się akcja następnej książki Starzyńskiej, *Legenda ostatniej barykady* (1974), gdzie spotkamy te same postaci i podobne wątki sensacyjne, choć tym razem przebieranka kogo innego dotyczy. Wreszcie z rzeczywistością okupacyjną zetkniemy się w *Arlekinie i damie* (1977) – książka opowiada o ratowaniu dóbr kultury. I znowu łączy fikcję i dokumenty.

Z kolei *Kuszenie świętego Antoniego* (1979) podejmuje wątek moralistyczny i dotyczy eutanazji w trochę niewiadomym kraju i czasie.

Izabela Bielińska (1925) należy już do zupełnie innej formacji literatury, raczej do pokolenia „Współczesności”. Z wykształcenia prawnik i filmowiec, autorka scenariuszy, krytyk plastyczny i filmowy, jako autorka prozy znalazła się już w czasach egzystencjalno-pohłaskowskich. Stałym tematem jej książek jest samotność. Jej proza to nieustanny monolog, introspekcja, filozofowanie. Początkowo dyskusyjne, z czasem nabiera znaczenia.

Rozpocząła Bielińska mikropowieścią *Małgorzata* (1960). Jest to opowieść siedemnastoletniej panienki z inteligenckiego domu, która trafia do filmu. Istotna jednak jest problematyka wewnętrzna, poszukiwanie sensu życia, samotność. Następna książka, *Miłości nie będzie* (1963), złożona z dwóch opowieści, zyskała szerszy oddźwięk. Monologują w niej „bywsiyje liudi”, których urazy dzieciństwa doprowadzają w jednym wypadku do włóczęgostwa, w drugim do morderstwa. Istotna jest niejako przyrodzona człowiekowi samotność. Najciekawsza jest książka trzecia, zbiór ośmiu opowiadań *Nie bijcie waszych ojców i inne opowiadania* (1976) – o poetyce nieco mieszanej, ale ciężącej do nadrealizmu i fantasmagorii. Są to właściwie przypowieści, poświęcone głównie kobietom. Książka ta zyskała u krytyki bardzo wysokie noty, acz wszyscy uznali, że jest nierówna.

Bardzo ciekawą i osobną prozę uprawia Ludwika Prus-Lisicka (1923), polonistki doktor, autorka kilku zaledwie książek, ale za to o rozległej problematyce. Jest to próba uniwersalnego szukania sensu ludzkiego bytu, poprzez wolność, godność i związek z Bogiem. Na dobrą

sprawę każda z jej książek reprezentuje inny gatunek, choć wszystkie grawitują ku medytacji czy esejowi, wszystkim są też nieobce modlitewno-litanijne zaśpiewy.

Debiutowała powieścią *Całemu światu* (1962), przedstawiającą rodzinę żydowskich kupców od początku stulecia po rok 1945. Ale nie o żadną obyczajowość idzie. Głównym bohaterem, Samuelem Blayem, powodują uczucia złożone, sprzeczne i na ogół szlachetne. Ale w rezultacie odchodzi od rodzicielskiego zawodu, a nawet i wiary, za cenę miłości. Z rozbicia wybawia go, mimo swego okrucieństwa, wojna. Odzyskuje rodzinę, ale traci żonę. Wszystko to jednak jest raczej pretekstem do rozmyślań o roli i powinnościach człowieka, rozmyślań chwilami nietuzinkowych. Następnie przyszedł dramat *...i ludzie wszędzie braćmi* (1963), umiejscowiony w getcie, w przeddzień kwietniowego powstania 1943 roku. Uczestnicy rozmowy w obliczu właściwie pewnej śmierci szukają sensu swojego losu i odnajdują go w obronie ludzkiej godności. Wreszcie trzecia książka, *Chwila życia* (1964), oparta jest na noweli *Deszcz* Somerseta Maughama (któremu autorka i pierwszą swoją książkę dedykowała), trawstującej z kolei wątek Pafnucego z *Tais* France'a. Tu idzie o misjonarza nawracającego prostytutkę, zdobywającego ją, a następnie popełniającego samobójstwo. Czyn misjonarza jest przedmiotem sądu-debaty pasażerów transatlantyku. W istocie esej. Prus-Lisicka zaskakuje nieoczekiwanie wielkimi aspiracjami duchowymi wszystkich swoich książek.

Natomiast Janina Hertz (1926) to już po prostu autorka religijna, co prawda najczęściej historyczno-religijna. Napisała sporo nie publikowanych dotychczas dramatów, niektóre były wystawiane. Poza sprawami moralnymi interesuje ją historia ewangelijna i starożytna, a także średniowieczna. Jej pierwsza powieść, życzliwie przyjęta, to *Świadkowie* (1966) – wtrąćmy, że Janina Hertz pisywała na łamach „Tygodnika Powszechnego” już od 1950 roku. *Świadkowie* to powieść milenijna, ześrodkowana na wydarzeniach okolic roku tysięcznego, z tym że owi świadkowie to znani nam dobrze męczennicy, pięciu braci opisanych już przez Brunona z Kwerfurtu. Zgodnie jednak uznano, że książka, acz w czasach Gołubiewa i Parnickiego lokowana, jest przecież współczesnym głosem w dyskusjach posoborowych.

Następna powieść, *Krzyż nieznanego żołnierza* (1968), to apokryf o tym żołnierzu, który podał Chrystusowi gąbkę z octem. Zdaniem autorki, chodziło o zmniejszenie cierpień, a sam żołnierz odpokutował za to również krzyżową śmiercią. W rozleglejszym planie idzie o okrucieństwo i nietolerancję starożytnego świata. Książka, podobnie jak poprzednia, składa się z trzech relacji. Kolejne apokryfy to *Księga umarłych królowej Nofritari Młodszej. Listy Annasza* (1970). Pierwsza nowela dotyczy młodości i wyjścia Mojżesza. *Listy Annasza* to jeszcze jedna wersja Ewangelii. Potem przychodzą rozmyślania religijne *Droga do Emaus* (1974) i powieść *Mozaika z Noemi* (1984). Noemi to córka Judasza, w obronie której Judasz popełnia swoją zdradę, Noemi zaś, walcząc o zbawienie ojca, poświęca się trędowatym. Wreszcie trzeba wymienić *Legendy o zwierzętach* (1987), bardzo sympatyczne, lecz ciągle jeszcze lokujące sens istnienia zwierząt w służbie dla człowieka. Co do mnie, sądzę, że jeśli Bóg ma z człowiekiem jakieś powinowactwo w świadomości, to przecież ze wszystkimi w ogóle istnieniami łączy się w cierpieniu i bez ludzkiego pośrednictwa. Z czego wnoszę, że mogły być i niepojęte dla nas posłania do zwierząt i że szanse ich nieśmiertelności i zbawienia są takie same jak nasze.

\*

Satyra, groteska i sarkazm są wszechobecne w całej współczesnej literaturze polskiej, jest to niemal nasza specjalność narodowa, łącząca Borowskiego, Żukrowskiego, Andrzejewskiego, Dygata, Kisielewskiego, Machejka i czort wie kogo jeszcze. Są jednak autorzy, którzy specjalizowali się szczególnie we wszelakim prześmiewstwie i grotesce, przechodzącej w tragizm i metafizykę. Szyderstwo z prozy przeszło do kabaretu owocując Jonaszem Koftą, Janem Pietrzakiem, Wojciechem Młynarskim, Andrzejem Waligórskim, Jarosławem Abra-

mowem, Andrzejem Jareckim, Stanisławem Tymem, Marią Czubaszek, Jerzym Dobrowolskim, Januszem Rewińskim, Olgą Lipińską, Ziemowitem Fedeckim, Tadeuszem Drozdą, Marcinem Wolskim. A związek kpiny, metafizyki i sceny został ukoronowany twórczością Sławomira Mrożka.

Światowy sukces dramaturgii Mrożka sprawił, że jego twórczość prozatorska znalazła się w lekkim półcieniu. W istocie jednak miała oddziaływanie bardzo szerokie, Mrożek publikował bowiem na łamach poczytnych pism, był przecież także (czy raczej jest nadal) bardzo wybitnym rysownikiem i autorem niezwykłych komiksów satyrycznych. Urodzony w Borzęcinie w 1930, w wiosce, która wydała także paru innych twórców, na samym pograniczu pokoleń – „pryszczatego” i „współczesnościowego”, niedoszły architekt, zdążył jeszcze zapisać swoją obecność publicystyczną od roku 1950, powiedzmy sobie szczerze, w umiarkowanie chlubnych sprawach i sposobach. Zresztą różnie to było. W każdym razie szlify literackie zyskiwał na łamach „Przekroju”, krakowskiego „Dziennika Polskiego”, „Życia Literackiego”, przy czym szczególnie rozgłos zyskała sobie niezależna rubryka „Postępowiec”. Rysunki i felietony Sławomira Mrożka przewijają się w całej prasie polskiej aż do dzisiaj, od „Szpilek” po „Tygodnik Powszechny”. Natomiast zainteresowanie krytyki tą dziedziną jego twórczości było dość nikłe, jeśli zestawić je z setkami recenzji teatralnych. Dodajmy jeszcze, że sam Mrożek przeniósł się w 1959 roku z Krakowa do Warszawy, co wywołało sporo rumoru. Znacznie mniejsze zainteresowanie wywołał jego późniejszy (1963) wyjazd z Polski. Początkowo przebywał we Włoszech, w znanym z piosenki Portofino, potem, od 1968 w Paryżu (w ostatnich latach – w Meksyku, ożeniony z Meksykanką – przyp. red.).

Pierwsze jego książki przeszły raczej bez echa. Były to: *Opowiadania z Trzmielowej Góry* (1953), *Półpancerze praktyczne* (1953) – opowiadania i powieść *Małe lato* (1956). Przelomowym tomem był *Słoń* (1957), potem przyszło *Wesele w Atomicach* (1959) i *Deszcz* (1962). Satyry Mrożka, czytane z perspektywy lat, sprawiają dość szczególnie wrażenie. Z jednej strony, jeszcze po wielu latach od upadku socrealizmu Mrożek rozprawia się z widmami tamtej epoki, z drugiej – właśnie te widma są tu zaskakująco żywotne, a on sam uważa się za racjonalistę, odrobinę jednak w owym zamierzczłym guście. To właśnie wczesne lata pięćdziesiąte ukształtowały go na bardzo długo i głębiej, niż sam pewnie by sobie życzył.

Pojęcia i wyobrażenia z epoki, biedniacy, kułacy, walka klasowa, świat, w którym słowo odstało bez reszty od rzeczy. Są to bodaj najzjadliwsze, najśmieszniejsze jego opowiadania, a na pewno najbardziej barwne. Inna sprawa, że nie była to w owym czasie jedynie wojna z historią i upiorami własnej psychiki: czytana po latach publicystyka z przelomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wyjawia, jak wiele mitów i ograniczeń zachowywało swą złowrogą żywotność.

Szczególnie uchwytną cechą Mrożka była parodia – postaw, języka, ale i gatunków literackich, co widoczne jest zwłaszcza w tomie *Deszcz*. Jednocześnie jednak jego krótkie formy zaczynają ciążyć ku przypowieści filozoficznej, paraboli, moralitetowi. Dalsza twórczość prozatorska (ale i dramatyczna) Mrożka miała zmierzać właśnie w tę stronę.

Tymczasem ukazują się następne książki. A więc satyry *Postępowiec* (1960), powieść satyryczna *Ucieczka na południe* (1962), *Opowiadania* (1964), *Dwa listy* (1974), *Opowiadania* (1981), *Małe listy* (1982). Ta późna proza ciąży do aforyzmu, epigramatu, bajki, bywa heroikomiczna, wyraźne jest też pokrewieństwo z Witkacym i Gombrowiczem, ale coraz wyraźniejsze i z Kafką. Zwłaszcza kilka utworów godnych jest szczególnej uwagi. Na pierwszym miejscu wypada ustawić małe arcydzieło, mikropowieść *Moniza Clavier*, projekcję zwidów i marzeń polskiego turysty-emigranta, tłukącego się po świecie z walizką legendarnych już kabanosów. W takim właśnie chochole zakochuje się światowej sławy gwiazda – Moniza. Inny wariant dziwnego związku, bardzo już egzystencjalistyczny, przynosi inne rozbudowane opowiadanie – *Moje ukochane beznózki*. Tym razem jest to małżeństwo narratora ze szkaradną Amnestyjką (ale wątek fatalnie niedobranego układu ma dla Mrożka zawsze znaczenie szczególne).

Ten późny Mroźek jest bardzo pomysłowy, ale już nie zależy mu na śmieszeniu czytelnika. Raczej jest smętny, raczej szuka jakiejś nadziei, raczej filozofuje, a sytuacje, które stwarza, wcale nie są jednoznaczne. Jest jakoś odrobinę podobny do późnego Lema i późnego Różewicza. Ale na swój sposób był właściwie do nich podobny zawsze.

Ważne znaczenie ma także cykl przypowieści-historyjek o Lisie i Kogucie, mający także przedłużenie sceniczne. Ale przedłużenie sceniczne mają także inne utwory prozatorskie Mroźka; na przykład od *Monizy Clavier* droga prowadzi do *Emigrantów*. A właściwie prawie zawsze tak bywa, że dramat pożera prozę u tych pisarzy, którzy uprawiają oba gatunki. Tak chyba jest u Czechowa, Brechta, u nas u Grochowiaka, Iredyńskiego, może i u Janusza Kraśńskiego, pewnie i u innych.

Mroźek nie jest jedynym rysownikiem-literatem. W latach osiemdziesiątych nieoczekiwanie zdobył sobie mocną pozycję literacką Szymon Kobyliński (1927), powszechnie znany rysownik-komentator polityczny, publikujący swe rysunki przez całe dziesięciolecia na pierwszej stronie „Polityki”. W swoim czasie także aktywny telewizyjny gadacz, aż do stanu wojennego, gdy telewizja emitowała nagrania w innych czasach – o czym nie poinformowano – program z Kobylińskim, na dodatek, o zgrozo, w otoczeniu oficerów... A Kobyliński jest z natury rozrosły, brodaty i okrutny, żądny broni, mundurów, rozlewu krwi – obraził się więc na amen.

Kobyliński, niesłuchanie żywotny, pierwszy rysunek opublikował już w 1936, pierwsze książki o plastyce, o Linkem wydał w latach sześćdziesiątych, lecz dopiero w połowie osiemdziesiątych nastąpiła istna erupcja. W 1985 – *Domysły*, *Po imieniu*, *Małe życie*, rok 1986 – to *Pasjans erotyczny*, 1987 – *Noniusz: wspominki z życia zewnętrznego*, a w wydawnictwach leżą następne. (Rok 1989 – powieść *Sztacheta śledcza: galeryjka dawnych typów*, rok 1990 przyniósł dwie książki: *Przez pustynię i puszcę: o ilustrowaniu klasyka oraz Odpukajmy! Rzecz o ostrzegawczych przesądach polskich* – przyp. red.). Przyrodzoną formą Kobylińskiego jest gawęda, wspomnienie, czasem uciészne, niekiedy okrutne. Tu szczególnie przyciągają uwagę jego próby rekonstrukcji psychiki Tuwima (*Domysły*) czy Franca Fiszera. Gdyż coś okrutnego w tym pozornie dobrodusznym brodaczu jest naprawdę. Tak czy inaczej, książki są świetnie napisane i zyskały zasłużoną renomę.

Wśród satyryków tej generacji ważne miejsce zajmuje twórczość Jerzego Wittlina (1925-1989), żołnierza AK i uczestnika powstania warszawskiego. Ponieważ później studiował we Wrocławiu medycynę, a w Pradze nauki polityczne, wyszła z tego osobowość dość szczególna, pełna mistrzostwa w sztuce życia. Wittlin był nałogowym dyrektorem, początkowo wydawnictwa „Iskry”, potem Wydawnictw Artystycznych i Filmowych. Wsławił się niegdyś bojem o polskie „kieszonkowce”, później o reprinty. Literacko wyraziło się to w książkach-pseudoporadnikach, w postawie swoistej wyższości, w kpiarstwie. Zarzucano mu pychę, i pewnie nie bez powodu. Tak czy owak, wypracowana przez niego forma *vademecum* spotkała się z aplauzem czytelników. Jego porady są niby drwiące i paradoksalne, ale w istocie rzeczy zawierają niemało zdrowego rozsądku. Przy okazji tworzy się szydercza panorama naszych obyczajów i życia społecznego. Oczywiście, mamy tu do czynienia nie z Wittlinem powstaniowym, ale raczej czeskim.

Tych Wittlinowych poradników jest coś ze dwadzieścia. Zaczęło się od *Vademecum grafomana* (1956), potem było *Vademecum życia rodzinnego i towarzyskiego* (1967), *Vademecum szefa* (1968), *Vademecum kochania* (1969), *Vademecum dla nerwowych* (1970), *Vademecum petenta* (1970), *Vademecum podróżującego* (1971), *Vademecum żurnalisty* (1972), *Vademecum dla tych, którzy pierwszy raz* (1972), *Vademecum dla pań młodszych i starszych* (1973), *Vademecum erotomana* (1974), *Vademecum dla tych, którym się nie spieszy* (1976), *Vademecum dla snobki i snoba* (1975), *Vademecum małżeńskiej samoobrony* (1977), *Vademecum dla lubiących coś doradzić* (1978), *Vademecum dojrzewającego turysty* (1979), *Vademecum dla występujących z okazji* (1980), *Vademecum miłośnika* (1981), *Vademecum*



*pacjenta praktyka* (1983), *Vademecum zdrowego rozsądku* (1985). A oprócz tego zbiory dowcipów, prezentacje humoru takiego i siakiego.

Zupełnie osobną sprawą jest szczególny dziennik-pamiętnik *Pójdź ze mną!*, którego ukazały się trzy tomy (1985, 1986, 1987). Książka ta obejmuje okres od grudnia 1980 do marca 1983, a więc czasy nie tak odległe. Mało co wywołało w Polsce taką burzę, gdzie unisono grzmiały „Polityka” i „Rzeczywistość”, „Żołnierz Wolności” i „itd”. Wittlin zajął się głównie środowiskiem literackim, z imienia i nazwiska podając bardzo niekiedy złośliwe plotki. Rzeczywiście, na tle naszej praktyki rzecz zupełnie wyjątkowa i straszliwie zabawna. Ale zarzuty nie są całkiem bez racji – w omawianym przez Wittlina okresie nie każdemu było wesoło, dodajmy też, że autor wszystkich traktuje mocno bezceremonialnie. Nie da się jednak zaprzeczyć, że książka jest świetnie napisana.

Osobną grupę humorystów stanowią twórcy z pogranicza kabaretu, często także wykonawcy własnych tekstów. Jest ich bardzo wielu, ale tu wspomnimy jedynie znaczniejszych, i to raczej znaczniejszych dla literatury niż sceny. Ale nie można pominąć twórczości Jeremiego Przybory (1915), przedwojennego spikera radiowego, po wojnie twórcy słynnego teatru radiowego „Eterek” i bardziej jeszcze słynnego telewizyjnego „Kabaretu Starszych Panów”, gdzie wraz z kompozytorem Jerzym Wasowskim był głównym wykonawcą. Teksty Przybory odznaczały się wielkim wyrafinowaniem literackim, pomysłowością, lekką melancholią stanowiąc przez całe lata Olimp polskiego humoru. Przybora wydał między innymi: *Spacerek przez „Eterek”* (1957), *Baśnie Szeherezadka* (1966), *Kabaret Starszych Panów. Wybór tekstów* (1970).

Najzupełniej przeciwstawny typ humoru zaprezentował Jerzy Ofierski (1926), dziennikarz i aktor, sławny jako sołtys Kierdziołek, gdyż taki wiejski czy może trochę pseudowiejski humor przyniósł Ofierskiemu uznanie tak na falach eteru, jak i w licznych rozjazdach. Jest jednym z ulubionych artystów Polonii amerykańskiej. Monologi Kierdziołka zostały zebrane w tomach: *Cie, choroba* (1963), *Party u Kierdziołka* (1967) i innych. Ale Ofierski na Kierdziołku nie poprzestał, jest także autorem powieści już niekoniecznie satyrycznych. Dodajmy, że w swych Kierdziołkowych monologach posługiwał się swoistą pseudogwarą. Natomiast jego powieści to niemal pod każdym względem zaskakujące „antykiezdziolki”. Napisał ich trzy, bohater każdej – nie sądzę, aby przypadkiem – ma na imię Waław.

Najbardziej zadziwiająca była pierwsza – *Nie było słońca tej wiosny* (1972), dziejąca się na wsi w czasie okupacji. Chłopska rodzina Wołoszów przechowuje Żydówkę, rodzi się miłość między nią a narratorem i głównym bohaterem, Wackiem Wołoszem. Nie ma tu Niemców, ale są złożone stosunki między ludźmi tej samej polskiej wsi, jest zdrada, jest okrutne pokaranie kolaboranta i jego rodziny. Jest coś z ducha Reymonta, sporo także z melodramatu. Powieść zrobiła spore wrażenie. Nie dorasta do niej zbliżona pod różnymi względami rzecz *Nie zdałeś matury, poruczniku* (1974) – o tym, jak to były akowiec, a teraz oficer Ludowego Wojska Polskiego, Waław Czarnuszewicz, w latach 1946-1947 zwalcza PSL i inną reakcyjną swolocz, aż wreszcie ginie z rąk „bandytów”. Schemat użyty i nadużyty po stokroć. Wreszcie trzeci Waław, Błoski, przeciętny scenarzysta i reżyser, prosi o azyl w USA, by tu napisać wielkie dzieło. Ale kariera literacka jest tragikomicznie nieudana – oto treść trzeciej powieści Ofierskiego, *Zstąpiłeś na Broadway, Mesjaszu* (1977). Ofierski pokazał, że stać go nie tylko na Kierdziołka, a jednak ten uparty sołtys Chłapkowicz jest jego dziełem najoryginalniejszym.

Daleko od ucieszności odbiega także twórczość Jacka Stwory (1918), syna krakowskiego późnomłodopolskiego poety Stanisława Stwory, trochę prawnika, bardziej kawalerzysty, publicysty już od 1935 roku, postaci wielce charakterystycznej. Stwora (męczony ostatnimi laty przez dziennikarzy na okoliczność przedwojennej przyjaźni z pewnym młodym poetą imieniem Lolek) był współzałożycielem kabaretu „Jama Michalikowa”, ale jego największe osiągnięcia należą do reportażu radiowego. W wynikającej (częściowo) stąd twórczości literackiej

jest raczej „mizerablistą”, zajmuje się ludźmi marginesu, nieudacznikami, przestępcami. Bywa i kpiarski, więcej jednak u niego po prostu współczucia.

Wydał książki: *Dzielnica Szwarzkopów* (1963) – próba odnalezienia atmosfery dawnego, ubogiego Krakowa, *Co jest za tym murem?* (1969) – powieść oparta na autentycznej relacji oszusta i kryminalisty, zwanego tutaj Celebrakiem, rzecz kapitalna i wręcz niewiarygodna, *Szukam panny Emilci* (1970) – opowiadania, tytułowe o okolicznościach samobójstwa starej panny, *Rajski plac* (1979) – panorama pielgrzymów i powsinogów z Kalwarii Zebrzydowskiej, *Nadspodziewany początek bankietu* (1978) – powieść o początkach Nowej Huty, w której zresztą Stwora był przez kilka lat robotnikiem, powracająca ku wydarzeniom wojennym i wybiegająca aż do współczesności, wreszcie *Kataryniarz i złoty tron* (1980). Stwora jest elegijny i melancholijny, ma dar plastycznego obrazowania i tworzenia charakterystycznego szczegółu.

Jednym z najśmieszniejszych autorów satyrycznych jest Janusz Oseka (1925), z wykształcenia prawnik, od 1950 satyryk i współpracownik „Szpilek”. Jego humoreski mają coś wspólnego z metodą Mrożka, ale są całkowicie oryginalne. Absurd, purnonsens, groteska w zestawieniu z oschłym, sprawozdawczym stylem – służą przede wszystkim epopei biurowej, opowieści o postępującej instytucjonalizacji społeczeństwa. Zresztą nie da się ograniczyć Oseki do jednego motywu i formatu. Spójrzmy bodaj na takie „ogłoszenie”: „Lekarz przyjmie bezpłatnie babę z cielęcina”.

Oseka debiutował zbiorem *Przełom w bulwie* (1955), potem były liczne tomy, m.in. *Ucho żyrafy* (1958), *Hipis w ortalionie* (1972), *Echo w remoncie* (1976), *Tramwaj w oku* (1979), *Tego nie było w TV* (1988). Właściwie z jego twórczości dałoby się zestawić całą absurdalną panoramę naszych czasów.

Humorystą-praktykantem był także Marian Załucki (1920-1979), satyryk, poeta, autor książek dla dzieci. Wydał m.in. zbiór satyr *Czy pani lubi Załuckiego?* (1967) i wiele innych. Trzeba też pamiętać o Zenonie Wiktorczyku (1918), słynnym kabareciarzu i konferansjerze, ale przecież także i autorze, i to już od lat czterdziestych. Nie da się pominąć także wrocławianina, Andrzeja Waligórskiego (1926-1992), autora małych form poetycko-epickich o „Dreptaku”, zwykłym drepczącym polskim obywatelu, które złożyły się na *Dreptakiadę* (1973). Niektóre utwory tego cyklu zrobiły już wcześniej ogromną karierę, jak choćby *Ballada o cysorzu*, śpiewana przez Tadeusza Chyłę. W 1989 teksty Waligórskiego ukazały się w tomie właśnie pod tytułem *Cysorz: ballady i piosenki do śmiechu i do płaczu*. No to poczujmy sobie trochę tego *Cysorza*:

Cysorz to ma klawe życie  
Oraz wyżywienie klawe!  
Przed wszystkim już o świcie  
Dają mu do łóżka kawę,  
A do kawy jajecnicę,  
A jak już podeżre zdrowo,  
To przynoszą mu w lektyce  
Bardzo fajną cysorzową.  
Słysząc bębny i fanfary,  
Prezentują broń ułani:  
– Posuń no się trochę, stary!  
Mówi Najjaśniejsza Pani.

Nie brak także pań pociesznych. Już wcześniej mówiłem o Czajce, Magdalenie Samozwaniec, Stefanii Grodzieńskiej. Trzeba jeszcze wspomnieć o Annie Lechickiej (1918), od początku lat pięćdziesiątych współpracownicze „Szpilek”, autorce zbiorów satyr: *Anastazja*,

czyli *Niepokój* (1961), *Przyjaźń w godzinach szczytu* (1965), *Pogodne irytacje* (1972). Lechicka jedną jeszcze ma zasługę dla kultury: wydała się za pewnego dyplomatę i kierowcę wyścigowego. zamknęła go na klucz i skąpiąc jadła, a zwłaszcza popitku zmusiła do pisania. Mowa, oczywiście, o Andrzeju Kuśniewiczu.

Nie można także zapomnieć o Jadwidze Rutkowskiej (1919), z wykształcenia, podobnie jak Lechicka, prawnicze, współpracownicze, a nawet sekretarzu redakcji „Szpilek” od lat niepamiętnych. Rutkowska wydała *Kuszenie pana Kowalskiego* (1963) i *Różnicę płci* (1970).

Bardzo znaczny dorobek ma Henryk Bardijewski (1932), absolwent warszawskiej polonistyki. Debiutował w „Szpilekach” w 1955 roku. Jest prozaikiem, dramaturgiem, autorem słuchowisk radiowych – nawiasem mówiąc, jego żona Sława Bardijewska jest krytykiem i teoretykiem tego ostatniego gatunku. Bardijewski jest bardzo specyficznym satyrykiem, jego utwory bliskie są formule opowiadki filozoficznej, sporo tu sceptycyzmu, racjonalizmu, ironii i ducha przypowieści. Rzeczy współczesne, lecz i historyczne czy może historiozoficzne. Przywoływano tu na patronów Giraudoux, Pirandella, Czechowa, Szaniawskiego. Początkowo były to zwłaszcza opowiadania groteskowe, z akcją lokowaną często w urzędzie, w wojsku. Ukazały się więc zbiory: *Rysunki na piasku* (1962), *Talizman* (1965), *Alibi* (1965), *Jak zostać monarchistą, a właściwie królem* (1976), *Pochód don Kichotów* (1978). Potem przyszły powieści: *Irytacje* (1984) – o bardzo specyficznym agencie, i *Wiek światła* (1992) – rodzaj przypowieści o Polsce już postkomunistycznej. Jest to zapewne najlepsza książka Bardijewskiego.

Większy jeszcze rozgłos zyskał jako dramaturg, a zwłaszcza jako autor słuchowisk radiowych. Jego dramaty to: *Pustelnicy*, *Trzy łamane przez cztery*, *Jeziorno* (o problematyce ekologicznej), chyba najslynniejszy – *Misja*, *Rewolwer*, *Opresje*, wysoko cenione *Skąd nadejdą święci, czyli mirakle*, *Czułość*, *Guwernantki* i inne. Bardzo wiele jest słuchowisk, częściowo wydanych drukiem, jak: *Filip, wielki pan nad sobą*, *Schody*, *Manewry*, *Mała suita polska*, *Albert*, *Galeria królów*, *Pangea*, *Tancerz* i wiele innych. Bardijewski jest autorem dyskretnym i delikatnym, może dlatego nie jest doceniony tak, jak na to zasługuje.

Andrzej Jarecki (1933-1993), również polonista warszawski, był związany ze „Sztandarem Młodych” i teatrem STS, którego w końcu został dyrektorem. Pisał piosenki, satyry, skecze, scenariusze. Wydał *W niedorzeczcu Wisły* (1971), pisał też wspólnie z Jarosławem Abramowem i Karolem Małłkiem.

Z teatrem STS kojarzy się także Jarosław Abramow-Newerly (1933), syn Igora, polonista z edukacji, lecz i kompozytor, i satyryk, sceniczny przede wszystkim. Największy rozgłos zyskał jako dramaturg, choć właściwie w ostatnich latach jeszcze większe wzięcie zdobył nieoczekiwanie jako polski Forsythe czy McLean. Jest autorem wielu słuchowisk, jak np. *Licytacja*, *Spotkamy się na kolacji*, *Na szosie*, *Pięć minut sławy*, *Dzwonią do drzwi, otwórz*, *Ja, ty, oni* i innych.

Z jego dramatów największy rozgłos zyskały: *Anioł na dworcu*, *Duże jasne* (razem z Jareckim), *Derby w pałacu*, *Klik-klak*, ale powodzeniem scenicznym cieszyły się także: *Zasada*, *Remanent*, *Wyciąg do nieba*, *Darz bór*, *Bajadera*, *Skok przez siebie*, *Dno nieba*, *Maestro* i inne.

Abramow uprawia komedię społeczną, trochę melodramat, remanenty historyczne, wojenne i wcześniejsze, ale celuje w uniwersalia – tchórzostwo i odwaga, wolność, nienawiść i miłość, zazdrość itd. Chętnie lokuje akcję utworów w Polsce powiatowej. Utwory Abramowa ukazały się w zbiorach *Licytacja* (1964), *Dramaty* (1975), *Co pan zgłasza?* (1978) – skecze, *Pięć minut sławy* (1978) – utwory radiowe.

W latach osiemdziesiątych spędził Abramow parę lat w Kanadzie, szykując się, jak się okazało przedwcześnie, do roli emigranta. Tu też powstała powieść szpiegowsko-sensacyjna *Alianci*, oparta na dokumentacji Krzysztofa Topolskiego i autentycznym wydarzeniu z czasów drugiej wojny, czyli przymusowym lądowaniu amerykańskiej superfortecy w ZSRR i

konsekwencjach politycznych tego zdarzenia. Wydanie polskie – 1990. Drugą pozycję kanadyjską stanowią opowiadania *Pan Zdzich w Kanadzie* (1991) – o polskim cwaniaczku wśród kanadyjskiej diaspory polskiej. Obecnie Abramow wrócił znów do dramatu, a jego wcześniejsze sztuki – na scenę.

Z roku na rok rośnie wzięcie i sława Stanisława Tyma (1937), początkowo autora i aktora STS-u, satyryka, felietonisty, tudzież, jak się zdaje, mniej fortunnego hodowcy owiec na emigracji w Suwałkach. Tym ma umiejętność dostrzegania absurdów, budowania groteskowych sytuacji. Jest wyczulony na prawdę i sprawiedliwość. Autor licznych kompozycji scenicznych, pamfletowych i groteskowych, szyderczych politycznie i społecznie.

Wielkim powodzeniem cieszyły się drwiące sztuki: *Poczta się nie myli*, *Kochany panie Ionesco*, *Ciemny grylaż*, *Rozmowy przy wycince lasu*, *Pralnia*, *Fifty-fifty*. Tym jest współautorem scenariusza słynnego *Rejsu* Marka Piwowskiego (razem z Januszem Głowackim i Piwowskim), oraz *Misia* i *Rozmów kontrolowanych*, w których to filmach grał też główne role. Jak to się na ogół w Polsce satyrykom zdarza, zaczyna czynnie uprawiać politykę.

Z kręgów radiowych wywodzi się Maria Czubaszek, autorka humoresek i piosenek, z czego wykroila się książka *Na wyspach Hula-Gula* (1980). Z popularnej audycji radiowej Marcina Wolskiego i Jacka Fedorowicza powstał zbiór *60 minut na godzinę* (1978), gdzie Majka gra pierwsze skrzypce.

Pogranicze kabaretu to także przedwcześnie zmarły Adam Kreczmar i ulubieńcy publiczności – Jan Kaczmarek i Krzysztof Daukszewicz. A społeczną humorystykę prasową i telewizyjną z wielkim powodzeniem uprawia w latach dziewięćdziesiątych Michał Ogórek.

## **Pogranicza literatury**

Ale to jeszcze wcale nie wszystko, co przedstawiciele „pryszczato-kolumbowego” pokolenia zwojowali w dziedzinie literatury. Tu jednak zbliżamy się do niezmiernie delikatnej i złożonej sprawy, a mianowicie samego zakresu pojęcia „literatura”. Jest oczywiste, że ludzi dobrze i wręcz znakomicie piszących jest znacznie więcej niż powieściopisarzy i poetów. Po wtóre, nasz pokarm duchowy to przecież nie tylko literatura, przeciwnie, to także niezliczone książki z wielu różnych dziedzin, decydująco wpływające na oblicze naszej kultury. Są wśród nich świetnie napisane. Słowem, krąg piśmiennictwa, i to bardzo dobrego, jest ogromnie bogaty. Literatura piękna jest tylko jego częścią, i to nie zawsze samoistną. Wielu utworów nie można po prostu zrozumieć, jeśli się nie czytało Bergsona czy Sartre’a, jeśli się nie słyszało o współczesnych pracach z zakresu historii, socjologii, archeologii, biologii czy fizyki.

A cóż rzec o innych kręgach literatury faktu? Reportaż, chociażby, stał się jednym z najpopularniejszych gatunków, czyż nie literackich w istocie? A cała bardzo rozległa populacja odmian publicystyki społecznej, spokrewniona z jednej strony z esejem, z drugiej z retoryką? Miliony słuchają komentarzy telewizyjnych i radiowych, przemówień przywódców, rozpoczynają lekturę czasopism od felietonów Passenta, Toeplitza, Marka Króla, Szmarka, Zięby, Ogórka, Hamiltona, Jacyny i wielu, wielu innych. Jeśli się nie mylę, mamy około czterdziestu tysięcy dziennikarzy...

A przecież dobry obyczaj nakazywał ongiś omówienie ich wszystkich. Czy można mówić o literaturze greckiej bez Tukidydesa i Platona, rzymskiej bez Cyncerona i Kwintyliana, polskiej – bez *Kazań świętokrzyskich*, Skargi, Kołłątaja? Co prawda już XIX stulecie wprowadziło daleko idące ograniczenia, my musimy chyba pójść jeszcze dalej. Nie mogę omówić wszystkich autorów ze wszystkich dziedzin, nie chcę też arbitralnie przesądzać, kto tego godzien, a kto nie. Mimo że przeczytałem więcej książek z przeróżnych dziedzin niż dzieł czysto literackich. Jest tu jeszcze jedno ważne kryterium. Do oceny literatury faktu we wszelkich możliwych odmianach nie wystarczy znajomość literatury, należałoby przecież, jeśli jakiegokolwiek meritum miałyby być uszanowane, oceniać prawdziwość historyczną, polityczną, biologiczną, fizyczną konkretnych książek. W niektórych wypadkach mógłbym się tego podjąć, ale to byłaby tylko część.

To samo odnosi się do krytyki literackiej. Gdybym wdał się w oceny, co i dlaczego twierdzi Błoński czy Barańczak, musiałbym po prostu napisać inną książkę.

Cóż pozostaje? Nie mogę udawać, że nie słyszałem o istnieniu Wańkowicza, Jasienicy, Kapuścińskiego czy Kąkolewskiego. Ale stać mnie jedynie na omówienie przypadków pośrednich (tych, co prawda, większość), albo bardzo już głośnych, wręcz znakomitych. O niektórych innych mogę wspomnieć. Ale zdecydowana większość musi pozostać poza moim polem widzenia.

Historia zawsze była najbliżej literatury, niekiedy uważa się, że po prostu jest literaturą, tak jak literatura w wielkiej swojej części jest historią. A na skrzyżowaniu historii i literatury jedno wielkie nazwisko należy wymienić – Paweł Jasienica, czyli Leon Lech Beynar (1909-1970). Człowiek o szczególnie zawiłym życiorysie, historyk, spiker, żołnierz, więzień skazany na śmierć, pod koniec życia obrzucony błotem, niezwykła osobowość i wspaniały autor, twórca najmądrzejszych chyba refleksji nad dziejami naszego narodu. Dla mnie także ktoś, kto (razem z Janem Józefem Lipskim) wprowadzał mnie przed laty do słynnego Klubu Krzywego Koła.

Jasienica debiutował już przed wojną, lecz współcześnie zdobył się na dzieła wielkiej mocy, znakomicie napisane, dające się odnieść do sytuacji aktualnej. Opowiadał się za tradycją piastowską raczej niż jagiellońską, w ogóle zresztą za rozsądkiem. (Opowiadania o tym, jakoby zajmował się „obejmowaniem władzy”, były tylko głupim i plugawym żartem). Drugi po staropolskim krąg jego zainteresowań dotyczył powstania styczniowego i sytuacji Polski w wieku XIX.

Pierwszą powojenną książką Jasienicy było coś w rodzaju reportażu *Wisła pożegnała ścianek* (1951), a rozgłos przyniósł mu *Świt słowiańskiego jutra* (1952), z wątkiem najwcześniejszej historii Polski, kontynuowanym w *Archeologii na wrywki* (1956), *Słowiańskim rodowodzie* (1961) i innych. Największym jednak jego dziełem pozostała wielka historia Polski, tak jak ją widział, złożona z kilku części: *Polska Piastów* (1960), *Polska Jagiellonów* (1963), *Rzeczpospolita Obojga Narodów*, licząca trzy części: *Srebrny wiek* (1967), *Calamitatis regnum* (1967), *Dzieje agonii* (1972). Spośród innych, licznych i znakomitych książek Jasienicy, wybijają się zwłaszcza *Dwie drogi. O powstaniu styczniowym* (1960) i *Myśli o dawnej Polsce* (1960). Jasienica jest jednym z najpotężniejszych autorów historii i piśmiennictwa polskiego, usytuowanym na obrzeżu literatury. Drogi Aleksandrze Małachowski – zanim mi zmyjesz głowę tak jak za Wańkowicza, wspomnij, że zgoła wcale nie wspomniałem ni Zdziechowskiego, ni Znanięckiego...

Przy całej odmienności politycznej pewne podobieństwa łączą Jasienicę ze Zbigniewem Załuskim (1925-1978), jak mnie przekonywał – co prawda po wódce – sam Załuski, nieprzypadkowe. Załuski był pułkownikiem służby czynnej i publicystą wojskowym. Z jednej strony, walczył w obronie rozsądku politycznego Polaków (podobnie jak Jasienica), z drugiej – był apologetą Polski Ludowej. Spośród jego książek największą rolę odegrało *Siedem polskich grzechów głównych* (1962). Wedle tego co wiem, była pisana lub tylko projektowana, nie przewidziana na razie do wydania, rzecz o Rokossowskim – jako nowym Wallenrodzie. Czy powstała i czy istnieje – nie wiem.

Bardzo wysoko cenię dwie książki archeologiczne Janusza Roszki (1932) – *Pogański książę silny wielce* (1970) i *Kolebka Siemowita* (1974), krakowskiego dziennikarza, autora wielu książek reportażowych i publicystycznych. Roszko napisał także kilka książek ze Stefanem Bratkowskim, potem ich drogi cośkolwiek się rozeszły. Jego książki archeologiczne, kontynuując w zasadzie Jasienicę, są zarówno pasjonujące merytorycznie, jak i świetnie napisane.

Nie jestem zresztą w ogóle w stanie wymienić świetnych książek, poświęconych zwłaszcza początkom Polski i archeologii: Jerzego Dowiata, Henryka Łowmiańskiego, Aleksandra Gieysztora, Włodzimierza Szafrąńskiego, Bogusława Gierlacha, aż po bardzo ciekawego Zdzisława Skroka. Ale trzeba by tu dorzucić nazwisk ze dwie dziesiątki.

Tradycyjnie wielką rolę w naszej kulturze odgrywali znawcy starożytności – począwszy od Gotfryda Grodka, Kazimierza Morawskiego, Tadeusza Zielińskiego, Tadeusza Sinki, Jana Parandowskiego. Ich rolę przejął współcześnie Aleksander Krawczuk (1922), ciekawie urodzony w tej kamienicy, w której słynna knajpa „Wierzynek”, stąd może następca Panglossa, głoszącego, że wszystko jest najlepsze na tym najlepszym ze światów. Krawczuk ma katedrę i ogródek w Krakowie, lecz usłyszawszy, że kultura w niebezpieczeństwie rzucił jako ten Cynycynat nie dosianą pietruszkę i został ministrem w Warszawie, osiedlając się tu w pobliżu szkoły baletowej.

Krawczuk, z wykształcenia historyk i filolog klasyczny, zrobił nam olbrzymie repetytorium z historii i kultury świata antycznego, bizantyjskiego i wczesnośredniowiecznego. Niezależnie od tego, jak się ocenia jego działalność polityczną, nie można nie uznać jego wielkiego wpływu na kształtowanie się świadomości współczesnego cywilizowanego Polaka. Wydał wiele opowieści, opartych na mozaice faktów i cytatów, biegle powiązanych i ciekawie opowiedzianych. (Niekiedy mają postać powieści, jak np. *Sennik Artemidora* – 1972). Zawsze jest w nich jakieś drugie dno, jakaś parabola – a czytelnik bierze z tego tyle, na ile go stać. Książki Krawczuka układają się w cykle – przede wszystkim klasycznie grecki i cesariańsko-rzymski, tudzież schyłkowy. Być może wszystkie zejdą się z czasem ze sobą.

Publikuje od roku 1960. Wymieńmy bodaj: *Cesarza Augusta* (1964), *Nerona* (1965), *Sprawę Alkibiadesa* (1968), *Pana i jego filozofa. Rzecz o Platonie* (1970), *Tytusa i Berenikę* (1972), *Poczet cesarzy rzymskich* (1986), *Poczet cesarzy bizantyjskich: wczesne Bizancjum* (1992).

Nie można pominąć subtelnej książki Zygmunta Kubiaka (1920) *Zmierzch świata* (1963) ani następnych prac eseistycznych tego znakomitego tłumacza. Dużym echem odbiły się bardzo ciekawe książki Anny Świderkówny (1925) – uczoney, obecnie, jak wieść niesie, zakonnicy. Świderkówna zajmowała się przede wszystkim epoką hellenistyczną, czyli, jak się to inaczej mówi, aleksandryjską. Tu nade wszystko *Hellada królów* (1967). O innych książkach eseistycznych różnych autorów mówiłem tu i ówdzie w swojej opowieści. Tu nie wypada jeszcze nie dorzucić kilku słów o późnej twórczości Zenona Kosidowskiego (1898-1979), w swoim czasie mało znanego poety, związanego z ekspresjonistycznym „Zdrojem”. W latach pięćdziesiątych Kosidowski zaczął publikować gawędy o zaginionych kulturach, które przyniosły mu niezwykłą popularność – było to jeszcze przed publikacją w Polsce Cerama i w ogóle całej serii „ceramowskiej” PIW-u. Książki napisane ciekawie, niepotrzebnie tylko wdaje się w nich autor w dość niezdatną wojnę z Panem Bogiem. Wśród nich wymienić trzeba: *Gdy słońce było bogiem* (1956), *Królestwo złotych łez* (1960), *Opowieści biblijne* (1963), *Rumaki Lizypa i inne opowiadania* (1965).

Dziennikarzy na pograniczu literatury jest wielu. Tu jedynie o kilku najznakomitszych. Andrzeja Mularczyka (1930), rodzonego brata Romana Bratnego, można uważać po prostu za pisarza, mimo że większość jego książek to publicystyka. W 1953 razem z Jerzym Janickim wydał zbiór opowieści o KZMP-owcach *Towarzysze z Dąbrowy*. Później *Karuzelę* (1954) – powieść o zetempowcach i chuliganach. Potem przeróżne zbiory reportaży-opowiadań, zwłaszcza dotyczące ostatniej wojny *Co się komu śni* (1968). Wreszcie opowieści filmowe o zarażeniu wojną *Jeszcze słyhać śpiew i rzenie koni* (1971) i inne scenariusze i widowiska. Dla radia były przeznaczone opowiadania tomu *Świeży zapach dzikiej mięty* (1979), zawierające pochwałę natury. *Wielki podryw* (1979) to rzecz o kompleksach i kłopotach erotycznych młodego robotnika. Wysoko został oceniony tom *Czyim ja żyłem życiem* (1983), sięgający do historii najnowszej. Dodajmy, że Mularczyk jest współautorem powieści radiowej *W Jezioranach*.

Zbeletryzowane reportaże pisze także współpracujący z Mularczykiem Jerzy Janicki (1928), znany głównie jako scenarzysta głośnych seriali telewizyjnych, opartych na najnowszej historii Polski (np. *Dom*). *Notabene* z Mularczykiem – jako Andrzej Jurek – napisał Janicki także powieść sensacyjną *Liczę na wasze grzechy* (1962).

Ogromny dorobek ma Monika Warneńska (1922), z wykształcenia historyk, która już w 1945 jako Kazimiera Kosińska zaczynała od poezji. Warneńska, konsekwentnie lewicowa, napisała bardzo wiele książek, przy czym jej atuty to obrazowy, giętki i płynny język (po prostu dobra opowiadaczka, a to jednak nie takie częste) oraz celny, ciekawy opis. Jako ideolog jest chyba nadto jednostronna, jako psycholog, no, różnie bywa. Dlatego chyba jej reportaże są lepsze od prób powieściowych, bywa, że naiwnych. Istotny temat to kopalnie (najlepiej z młodymi, silnymi i czułymi górnikami), stąd powieść *Ucieczka w pożogę* (1965). Innym tematem są reportaże z podróży, bodaj najlepsze z jej dorobku, zwłaszcza o Korei, Kambodży, Wietnamie (najchętniej z młodymi, silnymi, czułymi Wietnamczykami). Inną dziedziną jej twórczości są opowieści o wielkich ludziach, jak Żeromski, Balzak, Sienkiewicz, Konopnicka, Reymont, Słowacki. Wreszcie wiele powieści dla młodzieży. Z kilkudziesięciu książek Warneńskiej wymieńmy bodaj: *Chłopców z miasta Łodzi* (1960), *Wiatr za progiem* (1961), *Z ziemi Juliusza* (1961), *Bambusy szumią nocą* (1970), *Nie ma przerwy w życiorysie* (1972).

Przedstawiciele „kolumbowo-pryszczatego” pokolenia obficie wojażowali po świecie, stąd bardzo obfita literatura podróźnicza. Bywa trochę śmieszna, kiedy autor nie może się oprzeć urokowi dalekiego świata, a zarazem musi złożyć deklarację ideową, że jednak u nas najlepiej. Toteż najciekawsze są relacje z krain egzotycznych. Autorów jest bardzo wielu, tu możemy wymienić jedynie garstkę. A więc Olgierd Budrewicz (1923) przywoził reportaże europejskie i japońskie, ale po prawdzie najwięcej napisał o samej Warszawie, jest bowiem znakomitym znawcą wszystkiego, co warszawskie. Przemysław Burchard (1925) to przede



wszystkim grotolaz, także autor przewodników. Kazimierz Dziewanowski (1930), anglista, opisywał różne strony świata, przede wszystkim afrykańskie. Wiesław Górnicki (1931), sławny z ostrości sformułowań, wywoływał liczne kontrowersje. Anna Strońska (1931), związana z „Polityką”, wydała w latach osiemdziesiątych parę znakomitych, na wpół eseistycznych książek o krajach europejskich. Lucjan Wolniewicz (1929) szczególnie zajmował się żegluga i sprawami morskimi. Wszyscy oni należą do autorów bardzo dobrych i ogromnie poczytnych.

Sprawy krajowe także nie były zaniedbane. Co więcej, reportaż spełnił tutaj rolę szczególnie ważną; ponieważ nie można było krytykować samego systemu, pozostawało ukazywanie różnych absurdów i ciemnych stref. Obraz był chyba szczególnie wyraźny w prasie terenowej. Wprawdzie celowali w tym raczej autorzy młodszego nieco pokolenia, apogeum przypadło zaś na lata siedemdziesiąte. Przykładowo przywołajmy parę nazwisk. A więc: Jerzy Lovell (1925-1991), wieloletni wicenaczelnny „Życia Literackiego”, specjalista od marginesu społecznego, a zwłaszcza upadłych dziewcząt. Ale właściwie kiedy on się nimi zajmował? Piłem z nim kiedyś w Bydgoszczy, ledwie cztery dni, a już się żony lękał. Co prawda jeszcze bardziej bał się wrócić do Krakowa, z tego samego powodu... Wydał parędziesiąt książek, najgłośniejsze to: *Raport w sprawie aniołów* (1958), *Dziewczęta płaczą nadaremnie* (1962), *Bunt brzydulek* (1965). Następnie Stefan Kozicki (1925-1991), znawca i penetrator małych, prowincjonalnych miasteczek, oraz Franciszek Gil (1917-1960), obecnie patron dziennikarstwa szczecińskiego. Aleksander Małachowski (1924), znakomity felietonista dawnej, tzn. sprzed 1981 roku „Kultury”, człowiek radia i telewizji, znawca smutnej dziedziny ludzkiego nieszczęścia, skądinąd mój sąsiad z „linii otwockiej”, autor książek *Rzecz niepospolita* (1964), *Diaspora* (1967), *Iliada półinteligentów* (1972). Dodajmy też siedemdziesiąt telewizyjnych rozmów z pisarzami i nie wydany jeszcze poemat *Polowanie z chartami*. Dziś, gdy przygotowuję tę książkę do wydania (mamy rok 1992), Małachowski jest ozdobą (rzeczywista) polskiego Sejmu, a wielu chciałoby w nim widzieć prezydenta RP.

Na dobrą sprawę i historykom, i dziennikarzom powinno się poświęcić osobne tomy. Ale literatura faktu jest modna, więc prędzej czy później ktoś taką wielotomową monografię zapewne napisze. Osobny tom będzie w niej poświęcony krytyce literackiej. Przez wiele lat najbardziej wpływowymi autorami tej dziedziny byli: Kazimierz Wyka, Jan Kott, Ryszard Matuszewski, Stefan Żółkiewski, Artur Sandauer – ale to jeszcze wcześniejsze pokolenie, mówiłem już o nich przy różnych okazjach, podobnie jak o Tadeuszu Borowskim, krytyku nie bardzo chwalebny. Ważną rolę w życiu literackim zajmowali profesorowie polonistyki, a i innych filologii także, a więc: Waław Borowy, Juliusz Kleiner, Stanisław Pigoń, Stanisław Mikulski, Konrad Górski, Stefania Skwarczyńska, Julian Krzyżanowski, Czesław Zgorzelski, Irena Sławińska, Jan Zygmunt Jakubowski, Artur Hutnikiewicz, Lesław Eustachiewicz, Jerzy Ziomek, Maria Janion, Juliusz Wiktor Gomulicki, Władysław Studencki, Stefan Traugutt, Roman Zimand, ale przecież także Mieczysław Brahmer, Przemysław Mroczkowski i wielu, wielu innych. A jakże wyważyć dzieje naszego piśmiennictwa, naszej kultury bez Romana Ingardena, Władysława Tatarkiewicza, Tadeusza Kotarbińskiego, Stefana Ossowskiego, Marii Ossowskiej, Leszka Kołakowskiego? A to szczyty jedynie.

To bogactwo jest wręcz porażające. A przecież musimy wymienić i innych, bez których obraz literatury współczesnej byłby kaleki. Nieżyjący już Stefan Lichański przez długie lata stanowił niemały autorytet. Ryszard Matuszewski, którego poznaliśmy w I tomie jako poetę, był prawodawcą literackim, jest także autorem podręczników szkolnych z zakresu historii literatury. Włodzimierz Maciąg, krytyk „Życia Literackiego”, od lat pracownik naukowy, autor licznych książek, m.in. *Współczesna literatura polska 1939-1969. Zarys.* (1970), ale także powieści historycznej *Konfederacja albo próba Mokronowskiego* (1974). Egon Nagowski, autor m.in. książki o Joysie *Telemach w labiryncie świata* (1962) i tłumacz literatury niemieckiej, związany z Poznaniem. Podobnie krytyk poznański Aleksander Rogalski, autor

licznych książek poświęconych kulturze, znawca problematyki niemieckiej. Henryk Bereza, od 1950 jeden z najpoważniejszych autorytetów w dziedzinie prozy, autor m.in. *Sztuki czytania* (1966) i *Związków naturalnych* (1972). To od niego poszedł kierunek w prozie zwany „zbereźnickim”. Przedwcześnie zmarły, kaleki, bardzo wybitny Zbigniew Pędziński, nieżyjący już Jan Józef Lipski – znawca modernizmu, wybitny publicysta, w czasach PRL-u głośny działacz opozycyjny. Janusz Wilhelmi, słynny z inteligencji i perfidii publicysta i twardoreki działacz, zginął w katastrofie lotniczej; zmarły w 1989 r. Tomasz Jodełka-Burzecki, edytor i krytyk literacki, Zygmunt Lichniak, o którego poezji i prozie mówiliśmy już wcześniej, przewodawca literacki PAX-u, autor wielu książek o literaturze współczesnej, krajowej i emigracyjnej; Tadeusz Drewnowski, autor znakomitej książki o Tadeuszu Borowskim *Ucieczka z kamiennego świata* (1972), znawca Dąbrowskiej, przez wiele lat związany z „Polityką”, później wykładowca UW. Wreszcie Zdzisław Najder – conradolog, Joanna Guze – romanistka i tłumaczka, Anna Tatarkiewicz, także romanistka, autorka bardzo istotnych esejów, Zygmunt Kałużyński – człowiek, o którym krąży tyle anegdot, co o Francu Fiszerze, autor sławnej *Podróż na Zachód* (1953), ale i fantazji dramatycznej *Kanikuła* (1946). Inny *enfant terrible* to Grzegorz Lasota, autor słynnych *Kierunków natarcia* (1949), krytyk pokolenia „pryszczających”, później człowiek telewizji, sławny i ze swego słynnego oryginalnego małżeństwa z czarną, bardzo piękną dziewczyną z Wenezueli, i tylu, tylu, tylu innych.

Osobne słowo należy się krytykom teatralnym, przy tej okazji bowiem poruszano rozleglejsze sprawy kultury, i nie tylko. Więc znowu Jan Kott, ze swoją sławną książką o Szekspirze, Adam Tarn – sam dramaturg i twórca „Dialogu”, Maria Bechczyc-Rudnicka, także autorka powieści, Edward Csato – teatrolog, August Grodzicki, wieloletni recenzent teatralny „Życia Warszawy”, Andrzej Wirth – związany z „Nową Kulturą”, eseista i tłumacz, Jan Alfred Szczepański – taternik, wieloletni recenzent „Trybuny Ludu”, Jerzy Adamski – romanista, publicysta, wykładowca PWST, Jan Paweł Gawlik – dramaturg, dyrektor teatrów, publicysta, Maria Czannerle – dramaturg, redaktor i krytyk, Roman Szydłowski, Konstanty Puzyna – przez wiele lat redaktor naczelny „Dialogu”, bardzo ceniony eseista, witkiewiczolog, Zygmunt Greń – związany od lat z Krakowem i „Życiem Literackim”, autor m.in. *Godzin przestrogi* (1964), *Czwartej ściany* (1972), Michał Misiorny, z którym się jeszcze spotkamy, Jerzy Koenig – rusycysta, kiedyś we „Współczesności” (tameśmy się zaprzyjaźnili), w swoim czasie naczelny „Teatru” i prorektor PWST, dyrektor Teatru TV, Andrzej Falkiewicz, Andrzej Krzysztof Wróblewski, Witold Filler – aktor, były naczelny „Szpilek”, dyrektor „Syreny”, autor licznych książek o lżejszej muzyce, Marta Fik, córka sławnego lewicowego krytyka, Ignacego, (autorka m.in. bardzo interesującej dwutomowej prozy *Kultura polska po Jalcie*, wydanej w 1991 r. – przyp. red.), wreszcie Marta Piwińska – dla odmiany bratanica Leona Piwińskiego, później historyk literatury, i inni, inni, inni...

## **Jeszcze trochę emigracji**

Trzeba teraz omówić pozostałych pisarzy emigracyjnych – i wiele z tym kłopotów. Samo pojęcie zmienia się z biegiem czasu, „rasowych”, wyłącznie emigrantów jest niewiele. W swoim czasie był emigrantem i Broniewski, i Kuncewiczowa, a znów w twórczości Brandysa nie ma nic specyficznego dla nurtu emigracyjnego. Zdaje się, że „rasowy” emigrant to ten, co nie przeżył w Polsce stalinizmu. Dlatego np. Odojewski to jednak pisarz krajowy, piszący w Niemczech, podobnie Mrozek, a właściwie trochę i Miłosz. Choć bieg czasu też robi swoje...

Omawiałem już pisarzy przedwojennych, omawiałem poetów. Teraz przyszedł czas na rówieśników „Kolumbów”. Proszę mi wybaczyć liczne niekonsekwencje. Po pierwsze, pisarze źle pasują do jakichkolwiek szufladek, wyjątków po prawdzie tyle, ilu autorów. Po wtóre, stan badań, zaopatrzenie bibliotek i tak dalej przedstawiają się żałośnie. Wreszcie i ja nie do wszystkiego mam dostęp. Z dwóch książek liczących się, okropnie pogmatwanej *Literatury polskiej na obczyźnie* pod redakcją Tymona Terleckiego i znacznie cenniejszych *Szkiców o literaturze emigracyjnej* Marii Danilewicz-Zielińskiej (Paryż 1978) do tej ostatniej dotarłem zupełnie niedawno po długich i ciężkich staraniach (w Polsce książka ta została wydana dopiero w 1992 r. Warto też dodać, iż za swoje prace nad literaturą emigracyjną Maria Danilewicz-Zielińska, nestorka Polonii portugalskiej, otrzymała w 1993 r. Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, nadany przez prezydenta RP – przyp. red.). Terlecki doprowadza rzecz do 1960 roku, Danilewicz do drugiej połowy lat siedemdziesiątych – ani jedno, ani drugie dzieło kompletne nie jest. Poza tym brak biogramów, dat itd. Wieść niesie, że nad literaturą emigracyjną pracuje Zygmunt Lichniak i Marian Stępień, ale ich dotychczasowe publikacje na ten temat są fragmentaryczne. (Z. Lichniak opublikował w 1989 r. *Mój skorowidz poezji polskiej na emigracji*, a M. Stępień w 1989 r. wydał *Dalekie drogi literatury polskiej. Szkice o literaturze emigracyjnej* – przyp. red.).

Do grona najwyżej w tej chwili cenionych autorów polskich należy Gustaw Herling-Grudziński, pisarz emigracyjny, do niedawna znany tylko z publikacji w „drugim obiegu”. Organizowane są sesje naukowe na jego temat, zbiera wiele recenzji. W zbiorowej, cennej, lecz okropnie pokiełbaszonej *Literaturze polskiej na obczyźnie* co i rusz przywołuje się Herlinga jako krytyka na świadectwo. (*Notabene* ta *Literatura...*, pod redakcją Tymona Terleckiego, jest dla mnie koronnym dowodem, że „zbiorówki” są z jednej strony – wobec ogromu materiału – konieczne, z drugiej, że po prostu nic nie warte. Po przeczytaniu *Literatury...* mamy w głowie sieczkę i chaos). Rzecz jest z paru względów charakterystyczna: po pierwsze, ilustruje niezłe obsesję polityczną Polaków, taką samą w kraju, jak i na emigracji, po drugie, zmianę rozumienia zakresu literatury. Herling-Grudziński jest przede wszystkim eseistą, z prozą fabularną ma kontakt niewielki, choć ważny. Jednak głównym jego dziełem jest publikowany od lat dziennik (m.in. na łamach paryskiej „Kultury” – przyp. red.). Otóż taki intelektualny, osobisty, artystyczny „strumień świadomości” zdaje się być od jakiegoś czasu najwyżej cenioną i najbardziej poszukiwaną formą „literackiej” wypowiedzi. Do napisania byłaby więc historia literatury (?), odwracająca przyjęte dotąd hierarchie i propozycje: prym wiodłaby tutaj proza niefabularna – na pierwszym miejscu stałby dziennik, potem pamiętnik, relacja z podróży, zbiór listów, literatura faktu – o całej reszcie wystarczyłyby wzmianki. Miłosz byłby tu przede wszystkim autorem *Rodzinnej Europy*, *Ziemi Urlo* etc., a o *Ocaleniu* można by wspomnieć w przypisie. Podobnie z Gombrowiczem, Putramentem, Bratnym, Brandysem, Erenburgiem, Kafką czy Mannem, no, ze wszystkimi. Mówiono, że każdy ma do napisania jedną książkę – o sobie; otóż każdy zawodowy literat z reguły pisze ową „jedną książkę” na samym końcu. Datą graniczną byłoby zapewne przyjęcie *Moich współczesnych* jako najlepszej książki Przybyszewskiego. Czy nie tak właśnie traktujemy dzisiaj wielu klasyków, choćby Niemcewicza czy Krasińskiego? Szczęście Szekspira i Sofoklesa, że nie pisali dzienników... Czy ten charakter naszych zainteresowań na pewno nie ma nic wspólnego z przewidywaną przez Hermana Hessego w *Grze szklanych paciorków* „epoką felietonu”? Albo

z konceptualizmem w plastyce, gdzie kropka staje się dziełem sztuki, bo ją „artysta” postawił? Czy na odwrót: pamiętnik staje się zupełnie dostatecznym powodem do sławy, ba, nawet do Nobla (Churchill); (literacką Nagrodę Nobla otrzymał Churchill w 1953 r. za sześciotomowe wydanie pamiętników *The Second World War*, opublikowanych w latach 1948-1953 – przyp. red.). Zresztą, może to i nic nowego – w starożytności historia była dziedziną literatury, a każdy dokument publiczny i osobisty do historii właśnie należy. Przy okazji wspomnę o niedogodności niejako technicznej: da się względnie obiektywnie opisać powieść czy nawet wiersz, eseju opowiedzieć właściwie nie sposób. Esej jest więc dla krytyka rodzajem pułapki, w której właśnie usiłuję nie ugrzęznąć.

Gustaw Herling-Grudziński (1919) nie przeżył nigdy „pryszczatyzmu”, stąd z jednej strony komfort moralny, z drugiej kategorię opinii, nieznana w tym stopniu Szczypiorskiemu czy Konwickiemu. Przeszedł zresztą przez sowieckie więzienie i obóz, wydostał się ze ZSRR z armią Andersa, brał udział w bitwie pod Monte Cassino. Dla tego co pisze ma znaczenie zarówno to, że jest to formacja duchowa PPS-u, jak i to, że oglądał świat z różnych miejsc: Paryża, Monachium, Londynu. Od kilkudziesięciu lat mieszka w Neapolu, współpracuje także z prasą włoską. *A propos* ludzkiej skłonności do rozbestwiania się: tak oto pisze o mieście, po którego zobaczeniu można już tylko umrzeć: „Dwadzieścia dwa lata w tym mieście ani pięknym, ani brzydkim, ani lubianym, ani znieawidzonym – obojętnym.” Co prawda pisze to ku chwale wspomnienia ziemi rodzinnej. Paskudne powiedzonko o fiołkach w Neapolu nabiera nagle mroku.

Herling-Grudziński debiutował zbiorem szkiców literackich *Żywi i umarli* (1945). W 1947 wydał antologię opowiadań *W oczach pisarzy. Wybór opowieści wojennych 1939-1945*. Sławę w Polsce i na świecie zyskał książką *Inny świat* (1951), potem przyszły *Skrzydła ołtarza* (1960) – nowele, *Drugie przyjście oraz inne opowiadania i szkice* (1963), *Upiory rewolucji* (1969) – szkice o literaturze rosyjskiej i cztery tomy *Dziennika pisanego nocą*.

*Inny świat* był u nas książką do niedawna bardzo źle widzianą. Jeszcze kilka lat temu mógłbym napisać o niej coś w tym stylu, że przebywając w obozie koło Archangielska Herling miał pracę w pięknym lesie, na świeżym powietrzu, karmiony był według dzisiejszych zasad diety, bez nadmiaru białka, że stykał się z wieloma niebanalnymi ludźmi i sytuacjami, że kwitła tam zdrowa, wyzwalamąca inicjatywę rywalizacja, zwłaszcza w lojalności i patriotycznym informowaniu władz obozowych. I tak każdy rozumie, prawda?

Książka Herlinga-Grudzińskiego obejmuje jego przeżycia więziennie-obozone od aresztowania, pobytu w więzieniu witebskim, obłądnego oskarżenia i wyroku, obozu aż do niełatwego wyrwania się stamtąd i wyjazdu do polskiej armii po układzie Sikorskiego ze Stalinem. Jest to coś więcej niż zwyczajna relacja, choć autor z całą świadomością stara się o obiektywizm, wielokrotnie w innych miejscach dowodząc, że tylko chłodna prezentacja faktów może sprostać największym koszmarom (można tu przywołać *Kronikę roku zarazy* Daniela Defoe). Lecz prawdziwy patronat, do którego się Herling-Grudziński odwołuje, jest inny – to *Wspomnienia z domu umarłych* Dostojewskiego – idzie bowiem o wymiar moralny całej tej przerażającej rzeczywistości. Wnioski są pospęne:

„Okazało się mianowicie, że dolna granica instynktownej wytrzymałości i przebiegłości ciała ludzkiego, poza którą zwykliśmy dotąd liczyć na moc charakteru lub świadome działanie wartości duchowych, nie istnieje w ogóle; słowem – że nie ma takiej rzeczy, której by człowiek nie zrobił z głodu i bólu. Ta nowa moralność nie jest już kodeksem uczciwego postępowania ludzkiego, ale kodeksem umiejętnego postępowania z ludźmi, i najeżona dziś wyostrzonymi kłami, tradycją swą sięga jeszcze do ząbkującej dziecinnie Inkwizycji Hiszpańskiej. Nie przeoczaśmy zbyt pospiesznie tego faktu. Wspólne w obu tych nurtach jest przeświadczenie, że człowiek pozostawiony sam sobie – bez wiary w objawiony system wartości duchowych, lub narzucony system wartości materialnych – jest bezkształtną kupą gnoju.”

A przy okazji sarkastyczna uwaga:

„Doradzałbym wszystkim rządzącym, którzy mają niewiele do zaoferowania swoim poddanym, aby zaczęli od pozbawienia ich wszystkiego, cokolwiek bowiem dadzą im potem, stanie się bez trudu wielkodusznym gestem.”

Słyszałem o krajach, w których ta zasada doprowadzona została na wyżyny sztuki.

Zestawiano Herlinga-Grudzińskiego z Borowskim. To jednak bardzo niebezpieczne porównanie. Herling bywa odrobinę sentymentalny, Borowski nigdy. Borowski występuje przeciwko nadziei, Herling uważa ją za niezbędną warunek życia. Poza tym oba te piekła mieszczą się jednak na innych kręgach, chociaż wiele jest podobieństw – na przykład u Herlinga arystokracją obozową są recydywiści – urkowie, sami potępieni i prześladowający innych – więc w załączku ta sama dialektyka kato-ofiary. Dla mnie może najbardziej widmowe było zaakceptowanie rzeczywistości obozowej przez część więźniów, przyjęcie jej za model życia niemal bardziej naturalny niż wolność.

*Skrzydła ołtarza* (1960) to jedyna czysto fabularna książka Grudzińskiego, jeśli nie liczyć niewielkiego wyboru czterech nowel *Książę niezłomny* (1981), ale w *Dzienniku pisanym nocą* znajdujemy i zarysy fabularne, i zupełnie skończone opowiadania. Nie jest ich bardzo wiele, ale są niezwykle interesujące. Jest to coś pośredniego między nowelą w ścisłym tego słowa znaczeniu, gawędą a esejem. Autor występuje tu osobiście, opowiada nam, w jakich okolicznościach zetknął się z inspirującym go źródłem, legendą, zapisem, następnie daje trawestacje owego zapisu, potem wraca znowu do współczesności, by nieoczekiwaną analogią zamknąć wątek – nie stawiając jednak żadnej kropki. Jak powiada przy okazji opowieści o śmierci Nietzschego,

„cały sens powiastki polega na jej niedomówieniach, białych plamach, zawieszeniach głosu; na tym, że nie stawia się w niej kropek nad i, nie ryzykuje komentarza, nie zaokrągla wewnętrznych asonansów.”

Teraźniejszość ma swoje korzenie w przeszłości, sens wydarzeń odczytuje się ponad czasem, dopiero powtórzenie, zbieżność ukazują, że w nich o coś chodzi. Ale o co – tego autor najczęściej nam nie mówi, bo sam po prostu tego nie wie. Najważniejsze jest samo istnienie sensu. Warto może powiedzieć, że Herling-Grudziński interpretując Kafkę uważa, że np. *Zamek* jest powieścią o Łasce, której odmówiono Geometrze. Dziwna, nietuzinkowa religijność Grudzińskiego pozwala odnieść te słowa do niego samego, aczkolwiek nie w sensie wyłącznie „odmowy”, ale nie docieczonego działania Łaski.

*Skrzydła ołtarza* składają się z dwóch opowieści. *Wieża* to historia samotnego trędowatego, pomnożona o współczesną historię innej samotności, zakończonej egzekucją, gdyż legenda realizuje się po latach, i to nawet w kilku wariantach. Znakomita jest *Pieta dell'Isola*, opowieść z Capri, także w różnych czasach spełniona. Konflikt między osadą a klasztorem, Certosą, wywołany małodusznością mnichów przed stuleciami, wygasa w przedziwnym splocie grzechu i ofiary. Już tu rysuje się problematyka cudu, tak istotna dla Herlinga-Grudzińskiego. Wiele można odczytać w noweli pod takim właśnie tytułem – *Cud*, „zadzierzgnięcie się świętej i krwawej nici między obciętymi głowami”. Ciemny jest duchowy wątek zaczerpniętej podobno ze starych kronik opowieści *Drugie przyjście* (naturalnie Chrystusa) – o męce heretyka i krwawiącej hostii. (W tym punkcie bardzo żałuję, że nie oczekuje się tu ode mnie eseju, lecz informacji, gdyż ta najpiękniejsza chyba opowieść Herlinga-Grudzińskiego wręcz domaga się złożonego komentarza). Grudziński wyraźnie podsuwa nam jakiś mistyczny sens dziejów, mistyczne miejsce człowieka – lecz nie chce niczego wyraźnie powiedzieć do końca.

W innych opowiadaniach – cierpienie i zawilości losu. Ale także dyskusja z totalitaryzmem i pytania o sens emigracji – i „zewnątrznej”, i „wewnętrznej” – to już było w *Księciu niezłomnym*, szyderstwo – to *Ugolone z Todi* i tak dalej. Mistycyzujące opowiadania Grudzińskiego mają jakieś powinowactwo ze Stendhala *Kronikami włoskimi*, ale rozumienie świata przypomina trochę mesjanistyczne nowele Pruszyńskiego.

Przedmiotem eseistyki Grudzińskiego są: literatura, moralność, historia i polityka. Najważniejsi dla Grudzińskiego pisarze to Dostojewski, Camus, Kafka, Stendhal i bardzo wielu innych. Ale na esej można dorzecznie tylko esejem odpowiedzieć, moja *Agonia* zaś nie takie ma przeznaczenie.

*Dziennik pisany nocą* to po prostu esej – strumień świadomości. Dopuszcza więc wszystko, ale w różnych proporcjach. Jego osobista obecność wyraża się najczęściej w podróżach i kontakcie z dziełami sztuki. A także z historią miejsc oglądanych. Jest znacznie konkretniejszy od *Dziennika* Gombrowicza i mniej egotyczny. (Dla Gombrowicza nic godnego uwagi poza nim samym po prostu nie istniało). Nie bez racji mówi się natomiast o głębokim powinowactwie z Miłoszem (sam tytuł to przecież pendant do *Światła dziennego*). Czytelnik polski mógłby jeszcze jedną analogię przeprowadzić – z *Barbarzyńcą w ogrodzie* Herberta. Ale Grudziński nie jest już tylko barbarzyńskim przybyszem, uzyskał prawa mieszkańca i współobywatela, coś jak Hostowiec piszący o ziemi berneńskiej. Gdybym esej pisał, nie mógłbym przepuścić choćby niezwyklej interpretacji Hioba, ani opisu mechanizmu, który spowodował, że ostatnia wojna pogłębiła antysemityzm w Anglii (*ausgerechnet* w Anglii... no, proszę...), ani niezwykle ciekawych rozmyślań o plastyce (jeśli np. zdanie: „Chodziło mu o przedstawienie wszechświata jako odbicia w Oku Boga” odnosi się rzeczywiście tylko do Ucella, a nie samego Herlinga), ani wielu innych problemów, pomysłów i not tej pasjonującej książki. Jest w niej coś z dociekliwości Szestowa, bywa coś z kpiny. Grudziński na przykład tak szydzi z dziwacznych niekonsekwencji wydawniczych:

„Podejrzewam, że kolegium cenzorów „Czytelnika”, któremu powierzono oczyszczenie polskiego wydania Babla, składało się z kawalera Virtuti Militari za rok 1920, z b. redaktora „Rycerza Niepokalanej” albo co najmniej przedstawiciela klubu poselskiego „Znak”, z popa prawosławnego w świeckim przebraniu POP i z rabina, doproszonego na tajną naradę w Warszawie z Izraela.”

Znaczenie, waga i problematyka późniejszej twórczości Herlinga-Grudzińskiego bardzo już przerosły *Inny świat*, ale ta właśnie książka, także dzięki walorom obiektywnego dokumentu, najbardziej utrwaliła się w świadomości czytelniczej. Chociaż nie jest to przecież jedyna książka, poświęcona współczesnym zesłańcom i więziennym losom Polaków. Mówiliśmy już o Wacie i Auderskiej, trzeba pamiętać o Naglerowej i Krzysztoniu, a to przecież jeszcze nie wszystko.

Warto pamiętać o szczególnej książce Witolda Olszewskiego (jest to pseudonim Stanisława Kępińskiego, ale nic więcej o nim nie wiem) *Budujemy kanał. Wspomnienia kierownika Biura Planowania* (Rzym 1947), w kraju prawie zupełnie nieznaną. Oparta została na fantastycznym założeniu – co to by było, gdyby Związek Radziecki ogarnął cały świat i budował Kanał Sueski? Trzy czwarte książki to jednak relacja ze stalinowskich więzień i łagrow, relacja groteskowa i drwiąca, pisana w dużej mierze nowomową. Narrator akceptuje tę rzeczywistość, podobnie jak później Iwan Denisowicz Sołżenicyna. Tyle, że tu są mordercze kpiny. Sam kanał, łącznie z rozbieraniem piramid, jest tu budowany wyłącznie gołymi rękami, a trupy więźniów, tzw. zasuszka, planowo użyźniają potiomkinowski pas ziemi wzdłuż wodnego szlaku. Mało jest książek równie jadowitych.

Podobne motywy znajdziemy w twórczości Leo Lipskiego, literacko bardzo godnej uwagi. Leo Lipski mieszka w Izraelu, ale wydaje w „Bibliotece Kultury” w Paryżu. Jest autorem

dwóch książek, opowiadań *Dzień i noc* (1957) i mikropowieści *Piotruś* (1960). Lipski pisze stylem szczególnym, używa krótkiego zdania, w czym przypomina Szklowskiego, wywodzi się wyraźnie z Kafki, ale nie bez wpływu Schulza. Stać go na przenikliwą sytuację i trafne zdanie. O Wani, który „poszedł na druty”: „może wstąpił do nieba, ponieważ tak mało istniał”.

*Dzień i noc* to trzy opowiadania pomocnika lekarza z budowy Wołgostroju, nieco drwiące, bardzo posępne, pełne fizjologii. *Piotruś*, z podtytułem „apokryf”, jest znacznie lepszy. Były więzień wystawia się na targu w Palestynie na sprzedaż: „Piotruś wraz z odzieżą – do sprzedania”. Rzeczywiście zostaje kupiony – ma blokować całymi dniami klozet, by wykuczyć sublokatorów. Dalej fantasmagoryczne przygody seksualne i fantasmagoryczne wizje ukraińskiej przeszłości. Wreszcie:

„Konanie, w milczeniu, przez lata. Zamurowany we własnym ciele (jak mniszki zamuroywano). I wtedy wejdą zwierzęta do twojego pokoju i siądą na tobie spokojnie, jak na kamieniu i ziemi.”

Ta niezwykła i bardzo dobra książka może liczyć na ważne miejsce w naszej literaturze.

I to jeszcze nie wszystko. Trzeba wspomnieć o Pawle Mayewskim, autorze czterech opowiadań, zebranych w tomie *Rzeka* (1960), napisanych w mrocznej tonacji grozy, zapatrzonych na Kafkę i Dostojewskiego (tak wiele znaczących i dla Herlinga-Grudzińskiego), o Andrzeju C. Romańskim i jego *Więźniach nocy* (1957), wreszcie o autorach wspomnień – chociaż w tej książce o tego rodzaju literaturze, piśmiennictwie właściwie, jak już tłumaczyłem, ledwo mogę tu i ówdzie wspomnieć. A więc istnieją relacje Wacława Grubińskiego, Beaty Obertyńskiej oraz najgłośniejsza chyba książka malarza i eseisty Józefa Czapskiego *Na nie-ludzkiej ziemi* (1949) i wiele, wiele innych.

Tadeusz Nowakowski jest autorem w Polsce dobrze znanym ze słyszenia, w sensie najzupełniej dosłownym, gdyż od lat wielu pracuje w Radiu Wolna Europa, natomiast jako pisarz należy przede wszystkim do legendy. Bywają z tym ambarasy. Nie mogłem na przykład zdobyć *Obozu Wszystkich Świętych*, gdyż egzemplarz z biblioteki Związku Literatów pożyczył wiele lat temu Grochowiak. Bardzo się książką zachwycił, coś z nią zamierzał zrobić (co?! w tamtych latach?) i aż do swojej śmierci jej nie oddał. A potem gdzieś przepadła. Cóż, *habent sua fata libelli*.

Tadeusz Nowakowski (1917) wychował się w Bydgoszczy, debiutował wcześniej, jeszcze jako uczeń, cieszył się sławą cudownego dziecka. Potem w czasie okupacji przeżył więzienie za „chęć oderwania Wielkopolski od Rzeszy”, obóz koncentracyjny, potem obóz dipisów. Wyszedł z tego wszystkiego ze szczególnym urazem, zbliżającym go do Borowskiego, którego zresztą znał osobiście. Borowski, w poczuciu szczególnego, wielokrotnego obłędzenia i uwięzienia między rodzimym Ciemnogrodem a „zimną ścianą Wschodu” – wedle określenia Miłosza – osaczony nienawiścią, znalazł wyjście w stalinowskiej konwersji, a wreszcie w śmierci. Nowakowski nie ma także najmniejszych złudzeń co do składników naszej narodowej substancji. To pierwszy pierścień uwięzienia. Dalej bariera znienawidzonego komunizmu. Ale remedia nań – nie lepsze. Raczej straszny świat emigrantów. Mniej lub więcej utajone niebezpieczeństwo niemieckie. Niechęć i obojętność Zachodu. I znikąd ucieczki ni pomocy. Stąd „spojrzenie na świat jak na złośliwą karykaturę”, jak pisze Maria Danilewiczowa, i w konsekwencji postawa obronno-agresywna.

Tak przynajmniej było przez lata. I w pewnym momencie także i Nowakowski „uciekł tam, gdzie mógł”, ale na szczęście nie była to ucieczka tragiczna. W mrocznym świecie błysnęło światło papieża-Polaka i Nowakowski poszedł za nim. Od dziewięciu lat jego książki to głównie relacje z papieskich pielgrzymek, w których bierze udział. Relacje, trzeba to rzec, znakomite, coś pośredniego między pamiętnikiem a esejem. Nowakowski złagodniał trochę,



nie stracił jednak ostrości charakterystyki, poczucia humoru, skłonności do kalamburu. (A pewnie i podejrzliwości – zabierając się do pisania o nim wysłałem do RWE telegram z prośbą o telefon; bez skutku, niestety).

Jako się rzekło, debiutował już przed wojną. Pierwsza jednak książka, zbiór nowel *Szopa za jaśminami*, ukazała się dopiero w 1948, zawierała zaś dość kąśliwe opowiadania o obozie dla dipisów. Temat ten został na wielką skalę wykorzystany w najsłynniejszej książce Nowakowskiego *Obóz Wszystkich Świętych* (1957). Jej akcja rozgrywa się na dwóch płaszczyznach – obozowej, a idzie o obóz dla dipisów w Papenburgu, i wspomnieniowo-bydgoskiej. Oba te plany, zwłaszcza drugi, odnajdziemy w całej właściwie późniejszej twórczości Nowakowskiego, choć często przesłonięte różnymi woalami. Mieszkaniec obozu, bydgoszczanin Stefan Grzegorzczak, żeni się z córką dawnej kochanki ojca, Niemką, oczywiście, rzecz dzieje się w Niemczech, w 1947 roku. Splot zawiły, narodowy, rodzinny, drażniący i rekompensujący zarazem. Małżeństwo okazuje się nietrwałe, bohater woli wrócić do obozowej mizerności i piekielka. Zarazem retrospekcja, w której najważniejszy jest sąd nad ojcem, niezbyt godnym podziwu mieszczańskim, zamordowanym przez Niemców. I to męczeństwo przekreśla całą małość – i ten motyw jeszcze powróci. W *Obozie* odnajdziemy zarówno kpinę, jak i ów szczególnie syndrom wielostronnej rozpacz. To tu czyniono zestawienia z analogicznymi tematami Borowskiego. *Obóz Wszystkich Świętych* należy do najgłośniejszych książek polskiej literatury powojennej, choć z racji niedostępności jest zjawiskiem raczej legendarnym.

Z kolei ukazuje się mikropowieść *Syn zadżumionych* (1959), gdzie przeciwstawia sobie Nowakowski dwa pokolenia Niemców: ojca, byłego dostawcę cyklonu do wiadomych komór, i szukającego ekspiacji syna, wyprawiającego się w tym celu niezbyt fortunnie do Polski – pod wpływem nagłej informacji o ojcowskich „zasługach”. W tym wszystkim, wedle szyderczej reguły, triumfuje ojciec. Dodajmy, że rzecz dzieje się w Bochum.

W 1968 roku ukazuje się tom szkiców *Aleja dobrych znajomych*, o ludziach i książkach. Znajomi bywają często, jak zauważa sam Nowakowski, raczej „niedobrzy”, więc poświęca im autor zabawne i zjadliwe pamflety (np. Brycht czy Jewtuszenko). Czyta się to znakomicie.

Podobnie fajerwerkiem jadowitej karykatury jest powieść *Happy end* (1970), dziejąca się w Polsce, w środowisku literacko-telewizyjnym. Łatwo da się rozszyfrować wielu bohaterów – od Stommy po Schaffa czy Lunę Bristigerową. Kluczowe miejsce zajmuje jednak szef Radiokomitetu – Hazdrubał, czyli Włodzimierz Sokorski. Bohater książki, postać raczej syntetyczna, dostaje zamówienie na napisanie słuchowiska o rzekomych zasługach Borysa Polewoja dla ocalenia Jasnej Góry. Mimo wstydu i obrzydzenia, pisze i próbuje popełnić samobójstwo.

Nowakowski świetnie zna fakty, ale poza tym niemożliwie demonizuje. Środowisko krajowe jawi się tu w plątaniu podchodów i donosów, jako nieustający spisek i trwoga. Jest to błąd, jaki popełnił sam wielki Orwell, oceniając społeczeństwo totalitarne: otóż jest ono nie tyle precyzyjnym spiskiem wszechwładnego aparatu, ile niewyobrażalnym bałaganem, gdzie nic do niczego pasować nie chce, nic się z niczym nie zgadza, najabsurdalniejszy wynik jest możliwy. Rozumieli to lepiej Mrozek, Konwicki czy Kisielewski. Spiskowa teoria świata à la Alicja Lisiecka zupełnie się w tych okolicznościach nie sprawdza. (Telepatia istnieje: gdym pisał to zdanie, zadzwoniła niespodziewanie właśnie Alicja w jakichś swoich powikłanych sprawach). W każdym razie jest to mieszanina satyry i melancholii, świetna w lekturze, trochę przypominająca drugą część *Turystów z bocianich gniazd* Straszewicza.

Podobne motywy odnajdziemy w następnej, pokaźniejszej powieści *Byle do wiosny* (1975), ale tym razem jest to panorama szersza, przede wszystkim emigracyjna. Rzecz dzieje się w Rzymie; przy okazji beatyfikacji ojca Kolbego gromadzą się Polacy z kraju i ze świata, mówi się o przeszłości, przyszłości i teraźniejszości. Powieść nie ma zwartości *Happy endu*, chwilami przeradza się po prostu w dialog narodowy, bardzo w sumie gorzki. To tu poczucie owego wielorakiego obłąkania daje się najsilniej odczuć – piekło polskie przy okazji beatyfi-

kacji to zaiste pomysł piekielny. W literaturze polskiej służył takim podsumowaniom raczej motyw wesela, w życiu po prawdzie spotykamy się raczej na pogrzebach. Ale jest to książka ważna intelektualnie; myślę nawet, że to krzywe zwierciadło polskości może liczyć na trwałe istnienie w naszej literaturze.

Cofnijmy się trochę. W 1968 roku ukazuje się duży zbiór opowiadań *Niestworzone rzeczy*, a trzeba dodać, że Nowakowski właśnie w noweli celuje. Utwory są ułożone wedle chronologii fabuły – od przedwojnia, poprzez okupację, aż do współczesnej, komunistycznej i emigracyjnej teraźniejszości. Są kpiarskie i szydercze, a satyra dosięga właściwie wszystkich.

Osratnią książką z cyklu polskich rozliczeń była powieść *Wiza do Hrubieszowa* – (1979), w której narrator-emigrant wyobraża sobie swoje odwiedziny w kraju. Motywy są podobne, podobna tonacja, może jeszcze bardziej gorzka niż w poprzednich książkach z tego cyklu, i tu powraca motyw nie ukaranych zbrodni hitlerowskich, motyw właściwie wszechobecny w twórczości Nowakowskiego.

I wreszcie wyzwolenie z siarczanej atmosfery kamienno-latrynowego świata przyniósł Nowakowskiemu pontyfikat Jana Pawła II. W jego twórczości błysnęło słońce. Nowakowski towarzyszy papieżowi w jego pielgrzymkach i pisze o nich kolejne książki. Wieść niesie, że pisze też dziennik – myślę, że papieskie książki można uznać za jego cząsteczkę. Jest to lektura znakomita i pasjonująca, choć przyznaję ze wstydem, że znam z tego cyklu tylko dwie książki przedrukowane w Polsce. Tymczasem ukazały się: *Reporter Papieża* (1981), *W bagażniku Jego Świątobliwości* (1982), *Volo Papale* (1982), *Na skrzydłach nadziei* (1984), *Kwiaty dla Pielgrzyma* (1987). Jest w nich błyskotliwość „dawnego” Nowakowskiego, ale gorzycz kompleksu polskiego wyraźnie osłabła. Że świetnie napisane, że arcyinteligentne – tego nawet powtarzać nie muszę.

Znakomite literacko książki Nowakowskiego są chyba jednak najcenniejsze z racji zawartych w nich gorzkich (choć deprymujących) konstatacji. Nie ma właściwie nadziei. Obarczeni wieloma rzeczywistymi grzechami narodowymi, z rzadka tylko zdobywamy się na wielkość, a jeszcze rzadziej – na mądrość. Otoczeni zaś jesteśmy przez podłość i głupotę. Ani w kraju, ani na emigracji, ani na Wschodzie, ani na Zachodzie nie bardzo mamy na co liczyć. Warto znać ten pogląd, choć teraz, kiedy to piszę, wczesnym czerwcem 1989 roku, wolno mieć także nadzieję, że Nowakowski jednak się myli.

Dodajmy, że Nowakowski pisze także po niemiecku, podobno z dużym powodzeniem, ale o tej odnodze jego twórczości, niestety, nic powiedzieć nie potrafię. Danilewiczowa wspomina o książce poświęconej Radziwiłłom, ale to wszystko, co wiem na ten temat.

Sarkazm Nowakowskiego mógł się wywodzić, przynajmniej po części, od Karola Zbyszewskiego (1904), historyka, dziennikarza, zawodowego tenisisty i piłkarza, uczestnika kampanii w Narviku, przez całe lata współpracownika prasy emigracyjnej. Zbyszewski wydał w 1939 roku, przedrukowaną i na emigracji, niezwykłą książkę *Niemcewicz od przodu i od tyłu*. Książka wywołała burzę, jeszcze po dziesiątkach lat Mitzner wspominał ją ze zgrozą i przyganą. Istotnie, nawet i teraz jest to rzecz bardzo mocna. Miała to być niby praca doktorska o Niemcewiczu, w istocie jednak powstał pamflet na Polskę i Polaków XVIII wieku. Gryzący sarkazm nie oszczędza nikogo, wszyscy są głupi, naiwni, podławi, przekupni. Nie tylko Polacy – książka nie oszczędza Żydów, Rosjan, Niemców... Kompromituje wszystkich i wszystko zjadliwymi wtrąceniami (metoda zastosowana po latach na szeroką skalę przez Krysztynę Nepomucką), kalamburami, wręcz brawurowym szyderstwem. Właściwie jest to paszkwil na świat i ludzkość, ale paszkwil przezabawny. Czy raczej byłby zabawny, gdyby nie mrok spowijający tu Polskę; jest to przecież anatomia agonii polskiej niepodległości. Zwłaszcza na nieszczęsnym Stanisławie Augustie nie zostawił Zbyszewski suchej nitki. Książka świetna, choć niesłychanie jednostronna.

W Anglii ukazały się Zbyszewskiego zbiory anegdot *Z Marszałkowskiej na Picadilly* (1943), *Anglicy w dzień i w nocy* (1947), *Kluski z custardem* (1957) i, o ile wiem, inne, o

których nie udało mi się zdobyć informacji. Początkowo przeciwstawiał Zbyszewski Polaków angielskiemu ideałowi, potem dostało się i Anglikom. Zresztą są tu nie tylko anegdoty – ciekawe są krótkie opowiadania o „żołnierzach, których znałem”.

Jest jeszcze jeden Zbyszewski – Waław Alfred, publicysta, eseista drukujący w paryskiej „Kulturze”, zajmujący się zwłaszcza sprawami politycznymi.

Przedmiotem ostrej negacji Andrzeja Bobkowskiego była inteligencja, Francja, Europa. Pozostał postacią po trosze legendarną. Andrzej Bobkowski (1913-1961), syn generała, powinowaty Mościckiego, z wykształcenia handlowiec, wyjechał z Polski już przed wojną. Okupację spędził we Francji pracując w zakładach mechanicznych, po czym w 1948 wyjechał do Gwatemali. Tu został modelarzem, założył własną firmę, sklep i zgromadził grono uczniów, nie tylko w zakresie mikromodeli lotniczych. Jest autorem dwóch książek: dwutomowych *Szkiców piórkami* (1957) i pośmiertnie wydanej *Coco de Oro* (1970). Pierwsza to coś pośredniego między dziennikiem a esejem, obejmująca okres od 1940 do 1944 roku. Tom pierwszy to relacja z ucieczki w czasie rozgromu Francji, ucieczki przeradzającej się w turystyczną wycieczkę rowerową przez południe. (Swoją drogą, trudno mi sobie wyobrazić kogoś w Polsce, kto we wrześniu 1939 siada po klęsce na rower i wędruje przez Kraków, Nowy Sącz, Zakopane, pilnie notując swoje refleksje i osobliwości pejzażu). Tom drugi obejmuje dalsze lata paryskiego życia autora.

*Coco de Oro* to wybór nowel i notatek, w których autor rozważa dylematy powojennej emigracji polskiej. Oprócz tego pozostały po pisarzu znakomite listy, częściowo publikowane (przez Jarosława Iwaszkiewicza). *Szkice* chwilami sprawiają wrażenie takich listów, kierowanych do żony, Barbary, zresztą także poetki i malarki, która przeżyła męża o lat dwadzieścia, strzegąc jego pamięci.

Bobkowski jest rzeczywiście autorem znakomitym. Jego opisy są pełne plastyki, sposób opowiadania – interesujący, refleksje – ważne i trafne. Błąka się tutaj jakiś motyw homoseksualny, ale nie to jest istotne. Ważna jest krytyczna postawa wobec Polski, a szczególnie polskiej inteligencji. Przy równoczesnym zauroczeniu Francją i Europą. Ale do Francji rozczarowuje się wkrótce, a Europa jest dla niego już tylko systemem pojęć i wartości nie praktykowanych. Zresztą nawet to, co zostało, jest zagrożone – najpierw przez faszyzm, następnie przez komunizm. Bobkowski sytuuje się gdzieś niedaleko anarchizmu i zdecydowanie przeciw wszelkim totalizmom. Stąd ostatecznie decyzja ucieczki do krainy jeszcze młodej i gorącej, jakże bliska temu, co kiedyś uczynił Rimbaud. Bobkowski chce także żyć życiem wolnym, żyć czasem teraźniejszym. Sam (podobnie jak i jego krytycy) odwołuje się chętnie do Conrada, wzdycha także do Gombrowicza.

A w materii spraw polskich zanotował Bobkowski w 1941 roku:

„Tamerlan bije Attyłę – źle; Attyła bije Tamerlana – też źle. W końcu wszystko odbija się na naszej skórze. Tak to bywa, gdy mieszka się w przechodnim pokoju.”

Ale to już bardziej domena mrocznej twórczości Józefa Mackiewicza.

Chociaż przedmiotem tej książki jest literatura i wydarzenia literackie, to przecież ta snująca się przez całe lata opowieść zawiera także, najczęściej pośrednio, i moje życie lat osiemdziesiątych, i wypadki historyczne, których nie brakowało w tym czasie. Jeszcze rok, jeszcze pół roku temu mógłbym o Józefie Mackiewiczu wspomnieć jedynie, i to być może jakimś „ochronnym” grymasem. Teraz, w lipcu 1989, mogę napisać sporo, na miarę informacji, niepełnych zresztą bardzo. I ciągle jeszcze muszę to czynić dość ostrożnie. Mackiewicz bowiem naraził się niemal wszystkim i do niemal wszystkich odnosił się niesłychanie krytycznie. Komuniści, ale i alianci zachodni, z Wielką Brytanią na czele, dysydenci i Sołżenicyn, katolicy krajowi wszelkich odcieni, Episkopat z Wyszyńskim na czele, Watykan, Radio Wolna Europa... Chyba tylko Jana Pawła II ostrożnie przemilczał, albo był już bardzo stary, albo ja

zwyczajnie nie natrafiłem na stosowne przykłady. Tak czy owak, o Mackiewiczu nie pisało się wcale – lub też ze zgrozą. Nawet Marian Stępień, nawet Stefan Kisielewski... W całej prasie krajowej znalazłem tylko jeden obiektywny artykuł Anny Bojarskiej. Trochę książek przedrukował w swoim czasie „drugi obieg”.

Wedle żony pisarza, Barbary Toporskiej, Mackiewicz tak odpowiadał na ankiety:

Józef Mackiewicz  
zawód: pisarz  
narodowość: antykomunista  
przekonania: kontrrewolucjonista  
kraj pochodzenia: Europa Wschodnia.

Mackiewicz nie wierzył ani w samorzutną przemianę komunizmu, ani w sensowność jakichkolwiek układów z komunizmem. Właśnie dlatego zdecydowanie potępiał nie tylko samych komunistów, ale w równym stopniu wszelkich możliwych uczestników jakiegokolwiek dialogu. Stąd też ten trochę dziwny zakres anatemy. Nie ułatwiało mu to życia, ale też deformowało jego stanowisko, zacieśniając je niepomrotnie. Ale i tak zdobył się na książki wstrząsające, na niezwykłą, niebywale odkrywczą publicystykę, co krok domagającą się zresztą uzupełnień i polemiki. Ale w kraju żadnej polemiki nie było, gdyż argumentacja Mackiewicza należała bez reszty do „białych plam” historycznych przemilczeń. Pojawiły się natomiast insynuacje, jakoby Mackiewicz był kolaborantem – szło tu o jego udział w pracach komisji niemieckiej w Katyniu. To jednak chyba prawda, że jako zdecydowany antykomunista był traktowany przez Niemców z niejakimi względami. Nadzieje na sojusz były omyłne; Mackiewicz tak to sformułował: „Przeciw Niemcom zawsze. Z bolszewikami do spółki, nigdy.” Ale co właściwie Polakom pozostawało innego?

Nie tylko Polakom. Nie darmo Mackiewicz jako swoją ojczyznę wymieniał Europę Wschodnią. Z życzliwością pisał o innych narodach – Żydach, Litwinach, Ukraińcach, Kozakach... Nigdy nie łączył narodowości z ideologią. Nie identyfikował Niemców z faszyzmem, a Rosjan z komunizmem, nie widział w Związku Radzieckim kontynuacji carskiej Rosji – zupełnie inaczej niż Kucharzewski. O caracie zdarzało mu się wyrażać całkiem ciepło – na przykład o jego systemie sądowniczym. Jeśli można by mu było przypisać jakieś hasło pozytywne, to zapewne: „żyć i dać żyć innym”. Ale sam w nie nie bardzo wierzy, jego książki spowija ciężki mrok, brak jakiegokolwiek nadziei jutrzeńki. Od polityki nikt uciec nie może. Pisał w pewnym miejscu, że polityka jest jak fala, która musi się przetoczyć przez całe jezioro, przez całe społeczeństwo. W Europie zaś Wschodniej nic dobrego zdarzyć się nie mogło. Jego bohaterowie są więc udręczeni, zaszczeni i ostatecznie potępieni. Ma to takie natężenie, że powieść polityczna przeradza się ostatecznie w złowrogi moralitet.

Książki Józefa Mackiewicza są zanurzone w publicystyce, łączą ustępy fabularne z historyczno-syntetycznymi. Przeprowadza swoich bohaterów przez piekło – i nie pozostawia im ratunku ani nadziei. Jest autorem nierównym, książki mają dość przypadkową kompozycję, przy wielkiej sile wyrazu. Znakomite są też obrazy przyrody. Zdziwiająco podobny do niego bywa Sołżenicyn, jak się uważa, całkiem niezależnie. Na emigracji przebąkiwano o nagrodzie Nobla dla Mackiewicza. Cóż, gdyby był Rosjaninem, to pewnie by ją dostał.

Może jeszcze uwaga o języku. Plastyczny i obrazowy, ma swoje osobliwości. Mackiewicz chętnie pisze „czemuś”, „dlaczegoś” itp., używa określeń kresowych, jak „lipnąć”, i tak dalej.

Józef Mackiewicz (1902-1985) był z wykształcenia filozofem i przyrodnikiem, parał się dziennikarstwem, redagował wileńskie „Słowo” i „Gazetę Codzienną”. Podczas okupacji przebywał w Wilnie, potem w Krakowie, u schyłku wojny przedostał się do Włoch, do II Korpusu. Pozostał na emigracji, drukował w londyńskich „Wiadomościach” i paryskiej „Kulturze”.

Debiutował skromnym zbiorem opowiadań *16-go między trzecią i siódmą* (1936), po czym z większym powodzeniem przyszła książka reportażowa *Bunt Rojstów* (1938), przedstawiająca w dość czarnych barwach politykę gospodarczą na dalekich kresach, nad granicą radziecką i łotewską. Czyta się to dziś niczym absolutną egzotykę. Próbował potem sił w dramacie, ale to wszystko były pierwociny. Znakomity Mackiewicz objawił się dopiero w połowie lat pięćdziesiątych. Jest to powieść *Droga donikąd* (1955), ukazująca pierwsze dwa lata wojny z perspektywy wileńskiej. Ze wszystkiego, co o Mackiewiczzu powiedziałem, wynika, że należałoby przede wszystkim rozpatrywać polityczne przesłanie książki, ale nie jest to moim zadaniem. Perspektywa jego jest zaskakująca, mówi o sprawach, które bardzo słabo znamy. W każdym razie w litewsko-radzieckim okresie drugiej wojny Mackiewicz poznaje komunizm w najfatalniejszym wydaniu. Ciekawe, że nade wszystko zarzuca mu bezbrzeżną nudę życia. Ukazuje, jak wszystkie pomieszane narody czekają na dalszy ciąg wojny jak na wyzwolenie, krótko mówiąc – czekają na Niemców. Fabularnie jest to tułaczka wokółwileńska Pawła i jego żony Marty, uratowanych ostatecznie przez kochankę Pawła, Weronikę. Motyw dwóch kobiet będzie w twórczości Mackiewicza powracał wielokrotnie. Ukazuje wielonarodowościowy chaos i pomieszanie, nie forytując żadnej nacji, bardzo odmiennie niż się to na ogół robi. Pod tym względem chyba jest jedynym pisarzem polskim, którego stać było na taką wielkoduszność, co zresztą pociągnęło za sobą przeróżne oskarżenia. *Droga donikąd* jest powieścią bardzo wysoko cenioną.

Trochę od polityki odchodzi *Karierowicz* (1956), powieść z roku 1919 i późniejszych lat dwudziestolecia. Bohaterem jest Leszek, późniejszy leśniczy, a wszystko dzieje się w orbicie szpitala w nie określonym miasteczku kresowym. Leszek powraca na dawne miejsce, przeżywa problemy zwyczajnej egzystencji, ale ciąży nad nim przeszłość. Znowu rzecz u Mackiewicza zwyczajna – konsekwencje przeszłości wloką się za człowiekiem całe życie.

W roku 1957 ukazuje się arcydzieło Mackiewicza – *Kontra*. Są to dzieje kozackiej rodziny Kolcowów znad Donu, ich względny dobrobyt i swoboda w czasach carskich, walki po stronie Wrangla, ponure losy w latach dwudziestych i trzydziestych. Ale znaczna część książki to druga wojna, a właściwie ostatnie jej miesiące. *Kontra* została bowiem poświęcona armii Własowa i jej losom. Było to zawsze kamieniem obrazy dla polskiego czytelnika, ponieważ, oczywiście, nasz punkt widzenia na te sprawy jest inny. Przecież jednak i inni mają prawo do swojej identyczności, choćby ona nam nie w smak była? A tak oglądane nieprawdopodobne i straszne losy wielu zresztą narodowości, których przedstawiciele walczyli z komunizmem, przypominają jednak pewną armię legionową, nie wszystkim dobrze wspominaną we Włoszech, Hiszpanii, San Domingo... Mackiewicz nie ukrywa okrucieństw i zbrodni RONA i innych formacji antybolszewickich, ale koncentruje się na bezwyjściowości i absurdałnej sytuacji tych ludzi. Których przecież już z góry skazał Stalin – jak wszystkich jeńców wojennych. Których i Hitler nie chciał, a których ostatecznie Anglicy nad Drawą oddali w ręce radzieckie. Co było dalej, wiemy i z Sołżenicyna. Jest to właściwie opowieść o absolutnym braku wyjścia mieszkańców tej okolicy świata. *Kontra* przeplata szerokie panoramy historyczne i polityczne z wątkiem fabularnym – tułaczką i gologotą Kolcowów. Książka jest dramatyczna i posepna, wypełniona bez reszty rozpaczą. O ile odpowiada prawdzie – nie wiem, bo we wszystkich polemikach posługiwano się wyzwiskami, a nie argumentami. Spór koncentrować się może na jednym: czy proniemieckie stanowisko Ukraińców, Estończyków, Turkmenów itd. było zdradą, czy też nie?

Następną głośną książką Mackiewicza jest *Sprawa pułkownika Miasojedowa* (1962), dotycząca sławnej afery stracenia rzekomego niemieckiego szpiega w latach pierwszej wojny światowej. Tu także Mackiewicz sięga głębiej w przeszłość, do początków stulecia. Książka jest potężna, prawie siedemset stron, dzieli się zaś na dwie części, prezentujące sprawę samego Sergiusza Miasojedowa i jego żony Klary. Miasojedow, pułkownik żandarmerii, bawidamek, zarazem człowiek interesu znalazł się w trybach sporu między Wielkim Księciem Mi-

kołajem a ministrem wojny Suchomlinowem w latach poprzedzających pierwszą wojnę. Mackiewicz opisuje atmosferę tamtych lat na pograniczu niemiecko-rosyjskim, przy czym bardziej chyba niż sam Miasojedow interesują go jego kobiety – żona, kochanki, przyjaciółki. Jeśli idzie o samo oskarżenie, sprawa wyglądała tak: po wielkich klęskach armii rosyjskiej na Mazurach trzeba było znaleźć kozła ofiarnego. Miasojedow, który miewał już poprzednio konflikty z ochroną, świetnie się do tego nadawał. Ponieważ dołączyła się do tego antysemitka atmosfera, stracono więc Bogu ducha winnych Żydów, współników Miasojedowa w interesach. Ciekawy jest ciąg dalszy, dzieje Klary. Skazana na zesłanie, wychodzi za mąż za Polaka (zresztą i sama jest Polką, wprawdzie o genealogii niemieckiej) i wraca do Wilna. Po latach ucieka wraz z mężem do Niemiec i tu dopadają ją dawne oskarżenia z innej wojny, czasu i miejsca, niszczące starych ludzi. Przed przeszłością nie ma ucieczki. Zresztą w ogóle nie ma ucieczki przed losem.

Następna powieść to *Lewa wojna* (1965) – o wojnie 1919-1920 roku. Bohaterem jest młody ułan, Karol Krotowski, którego dzieje stanowią kościec fabularny, pozwalający ukazać różne wojenne epizody, później zaś atmosferę zwyczajnego życia. Ale siła książki tkwi w czym innym – jest ona zresztą całkowicie zdominowana przez publicystykę: Mackiewicz dobiera się tu do Piłsudskiego, oskarżanego przezeń o tajną umowę z Leninem... Prawdą jest, że Piłsudski nie pomógł „białym”, choć mógł – ale też „biali” nie godzili się na niepodległość Polski.

*Nie trzeba głośno mówić* (1969) to kontynuacja *Drogi donikąd*. Przedstawia dzieje grona wileńskich znajomych, poczynając od wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej, czyli od czerwca 1941 roku. Ta powieść również łączy plany szerokie i fabularne. Jest niezwykle okrutna i pesymistyczna. Tytułowe „nie trzeba głośno mówić” to złowieszczo-ironiczny lejtmotyw, ustawicznie pobrzmiwający w książce. Po prostu wszystko jest zbyt szalone, zbyt podłe, zbyt paradoksalne. Taka choćby scena okradzenia idącej na zagładę starej Żydówki to naprawdę wielka literatura. Nie wiem, czy nazwać tę książkę szyderstwem, czy lamentacją, ale coś tak wstrząsającego rzadko mi się zdarza czytać. Podli i okrutni są wszyscy, a nadziei nie ma – i nie będzie.

„Zapowiadała się druga zima, głodna, bez opału w miastach, wstrętna, przejmująca dreszczem. Odrażająca jak olbrzymie padło, nago rzucone na konary lasów, na zamrożone rzeki-jeziora, od którego ciągnęło smrodem zwęglonych belek, benzyny, starego żelaza, biedy ludzkiej i słodką wonią trupów.

– Co o niej powie historia?

– Zapewne zełże, jak to w jej zwyczaju.

– Czy zdobędzie się kiedy na uczynienie znaku krzyża świętego: W imię lasów, rzek i stepów, przebaczam wam żołnierze?...

– Nigdy!”

Ale Mackiewicz rzadko pozwala sobie na patos, raczej mówi prawdy bardzo nieprzyjemne, także nam samym. Kwestionuje bohaterstwo, wskazuje na znakomite prosperowanie Warszawy w czasie okupacji, ale przecież nie dochodzi do paszkwilu. Było po prostu wiele rzeczy, o których „nie trzeba głośno mówić”...

Półfabularny charakter ma pośmiertny zbiór nowel-relacji *Fakty, przyroda, ludzie* (1984), z których zresztą wynika, jak wiele motywów w powieściach Mackiewicza pochodzi z jego autentycznych przeżyć. Pozostaje jeszcze bogata publicystyka. Już w latach czterdziestych ukazała się książka o Katyniu – w kilku językach, ale nie po polsku. Następne książki to *Zwycięstwo prowokacji* (1962), *W cieniu krzyża* (1972), *Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy* (1975), wreszcie *Droga pani* (1984) – książki z pewnością jednostronne, ale tak bogate w fakty i interpretacje, że bez nich obraz naszego stulecia jest bardzo niekompletny. Co tu dużo

gadać, można się z Mackiewiczem nie zgadzać, ale nie można zaprzeczyć, że był wielkim pisarzem. I jeśli Solżenicyn zasłużył na Nobla, to w nie mniejszym stopniu zasługiwał na nagrodę również Józef Mackiewicz.

O ile Józef jest w Polsce postacią raczej legendarną, o tyle jego starszy brat, Stanisław, cieszy się poczytnością i uznaniem. Stanisław Mackiewicz, pseudonim Cat (1896-1966), był politykiem, prawnikiem, dziennikarzem, jednym z nielicznych polskich monarchistów. Naczelnym redaktorem wileńskiego „Słowa”, pierwszym opiekunem zagarystów, po wojnie przez jakiś czas premierem rządu emigracyjnego, w 1956 wrócił do kraju, wykładał na uniwersytecie, wydawał książki, ale współpracował też z prasą emigracyjną, co naraziło go, tak jak Wańkowicza, na duże nieprzyjemności. Podobnie jak brat nienawidził Anglii, żywo natomiast interesował się kulturą rosyjską. Znakomite, jadłowite, choć niekiedy powierzchowne i stronnicze pióro.

Najgłośniejsze książki to: *Dostojewski* (1946), *Stanisław August* (1953) *Londyniszczanie* (1957), *Zielone oczy* (1958), *Był bal* (1961). Człowiek ciekawy i kolorowy, siłą talentu jednak ustępujący bratu.

Do kręgu mackiewiczowskiego należy także Barbara Toporska – co jest pseudonimem Barbary Mackiewiczowej, żony Józefa Mackiewicza – malarka, poetka, publicystka, a także powieściopisarka. Politycznie podziela ona poglądy męża, to znaczy jest jednoznaczna i radykalną antykomunistką. Chyba nawet radykalniejszą od samego Mackiewicza, skoro niektóre jej prace okazały się za ostre nawet dla paryskiej „Kultury”. Publicystyka Barbary Toporskiej-Mackiewicz została wydana razem z pracami męża w tomie *Droga pani* (1984), a potem osobno, jako *Konfrontacje* (1988).

Wiersze Toporskiej ukazały się w tomie *Athene noctua* (1973); ja z tego znam tylko cykl wydrukowany w londyńskich „Wiadomościach” – *Notatnik z podróży*. Wyraźny jest tu wpływ Eliota, Miłosza, a pewnie i Wierzyńskiego. Wiersze elegijne, nostalgiczne, trochę „traktatowe”, osnute wokół jakiegoś mikrowydarzenia. Wzruszenie budzą motywy zwierzęce, tak rzadkie w literaturze polskiej (choć narastające w nowszej twórczości), istotne także i dla prozy Toporskiej. A cała jej twórczość jest przesycona goryczą.

W drodze pytają mnie dobrzy ludzie,  
Skąd wracam i skąd pochodzę,  
Jak się nazywa moja ojczyzna?  
Mówię czasami: Polska, czasem mówię: Wilno,  
Czasami mówię: Litwa, albo Wschód i Północ,  
A jeśli nie chcę kłamać mówię: Pięć Pietuchów.  
Najczęściej jednak tylko się uśmiecham  
I z nadmierną uwagą palę papierosa.  
Bo mojej ojczyzny nie ma.  
Bo mojej ojczyzny nic i nikt nie wskrzesi.  
Ale jak to wytłumaczyć w pociągu czy w autobusie?

(Powrót, I)

Toporska jest autorką powieści *Siostry* (1966), przedstawiającej niewesołe dzieje Poli i Anisi, sieroce dzieciństwo, perypetie miłosne i małżeńskie, wojnę i przede wszystkim włoską emigrację powojenną. Nic się tu nikomu nie udaje – trudności adaptacji, zawody miłosne, samobójstwa, choroby, szpitale, w końcu prawie jednoczesna śmierć obu siostr. Książka gorzka i ponura. Jest tu i motyw żydowski, jest rzadkie współczucie dla przestępców wojennych, są i zwierzęta. Niekiedy Toporska bywa aforystyczna: „gorsi od *nouveaux riches* są *nouveaux pauvres*”.

Na tom *Na wschód od dzisiaj* (1970) składają się dwie niewielkie powieści: *Poczwarka i motyle* i *Martwe zwierciadło*. Pierwsza przedstawia wileńską, sierocą młodość i naukę narra-

torki, napięcia polityczne w środowisku młodzieżowym, różnice obyczajowe. Co nieco przy tym groteski. Druga – to wojenne i powojenne dzieje małżeństwa Uciełłów na wsi podwileńskiej, szczególnie zaś owdowiałej Rozalii, która pozostaje tutaj i po 1945 roku. Powieść to spokojnie smętna, zarazem zdesperowana i zdeterminowana. W prozie Toporskiej odnajdziemy wiele analogii do twórczości Józefa Mackiewicza, zarówno w orientacji politycznej, jak choćby i w opisach przyrody.

Trochę to niejasne, do której właściwie szufladki włożyć twórczość Zbigniewa Grabowskiego. Jako pisarz bardzo przedwojenny, nawet nie całkiem wiadomo sprzed której wojny, jako człowiek działający poza krajem od lat trzydziestych czy nawet dwudziestych, ale i po wojnie odwiedzający Polskę i drukujący tutaj Zbigniew Grabowski (1903-1974), syn znakomitego polonisty Tadeusza Grabowskiego, był anglistą i dziennikarzem, w znacznej mierze sportowym. Spędził życie wojażując jako korespondent po Europie, od wybuchu wojny pracował w BBC, zmarł w Kanadzie. Był prozaikiem, eseistą, autorem prac anglistycznych. W jego dorobku literackim liczą się przede wszystkim dwie powieści, równie sławne, co i osławione.

Grabowski był już autorem dwóch rozpraw o Conradzie i Walterze Paterze (Pater to XIX-wieczny eseista, znawca renesansu), kiedy wydał powieść pod szczególnym tytułem *Ciszy lasu i twojej ciszy...* (1931). Tytuł pochodzi od dedykacji, którą jeden z bohaterów kładzie na swojej książce: „Ciszy lasu i twojej ciszy – bo tak zrodziły się te karty – niech to będzie z powrotem oddane”. Sama książka też odrobinę mgławicowa, erotyczno-psychologiczna. Jej bohater i narrator, dziennikarz Jerzy, snuje wspomnienia o swoim przyjacielu i kochanku, naukowcu Zygmuncie, który zginął w górach. A także o kobietach, również kochankach i przyjaciółkach – stąd tu Concha i Sonja, i Anette, i jeszcze jakieś. Rzecz dzieje się w Paryżu, Londynie, Berlinie, Alpach i gdzieś tam jeszcze, a jest – w sferze realiów – snobistyczna niesłychanie. Sporo dosadnych scen erotycznych, ale właściwie mało podniecających. Głównie ciąg snujących się bez końca rozmyślań o sensie życia, sztuce, miłości. Jest w tym coś z *Adama Grywałda* Brezy, tyle że to *Grywałd* późniejszy. Czuchnowski nazwał rzecz zjadliwie „czarnym zwierciadłem duszy mieszczańskiej” – przesada, choć książka rzeczywiście dotyka granicy karykatury. Są tu i zabawne konstatacje: „kobiety muszą mówić, bo mają mniej do powiedzenia.”

Wszystkie podejrzane uroki wielkiego świata wróciły w nie mniej, a chyba bardziej od *Ciszy* słynnej *Annie* (1945), zapewniając jej z jednej strony cztery wydania, z drugiej – zestawienie z *Trędowatą*. Jej bohater, dość młodo emerytowany dyplomata, Roger, osiedla się w Szwajcarii, zajmując się głównie jazdą na nartach i kolejnymi romansami, Wspomina swoją wielką miłość – Annę, choć żyje z baronową Charlottą, przeżywając jednocześnie romans z Yvonne, a sposobiąc się do dorastającej córki Anny – Marii. Yvonne ginie jednak w górach i bohaterowi robi się smutno. Wszystko ze szczegółami, jakie która panienska ma przymioty itp. A poza tym modne kurorty, narty, wytworne lokale, „zdrowy zapach potu” i drogich odekolonów. Mało kto strzelił w nas tak zawrotnym hajlajfem. Czytało znakomite, panie ronily, krytycy zjadliwy atrament. Obie strony – nie bez racji.

Swoje autentyczne przeżycia narciarskie opisuje Grabowski w książce *Białe szaleństwo* (1959), zawierającej relacje z przeróżnych modnych kurortów, głównie alpejskich. Z krajoznawstwem miał już zresztą wcześniej do czynienia – on właśnie przybliżał Anglię ściągającym tu polskim wojennym uciekinierom – w książkach *Anglia – wyspa nieznana* (1940), *Kamienie i kwiaty. Przewodnik sentymentalny po Wielkiej Brytanii* (1944), *Gawędy o Wielkiej Brytanii* (1946).

Oprócz tego jest Grabowski autorem zbioru nowel *Czarny anioł* (1960) – trochę alegorii, trochę przypowieści, spisanych językiem modernistyczno-berentowskim, trudnym do strawienia. Dalej: podobne w stylu nowele *Nagrobek* (1964), w tymże roku szkice wspomnieniowe *Śpiew dziewcząt. Opowieść o dzieciństwie*. Najwięcej tu zakopiańszczyzny i, jak zaw-



sze, młodych panienek tudzież pastuszek bosych. Najważniejsza książka eseistyczna to *Ojczyzna Europa* (1967), relacje z różnych krajów europejskich i refleksje nad nimi – Grabowski był bowiem sztandarowym Europejczykiem (stąd – jak Bobkowski i inni – wylądował za oceanem). Trzeba jeszcze wspomnieć o dialogowych esejach (interlokutorką jest żona) pt. *Rozmowy z Tobą* (1973) i o dość rozległej twórczości w języku angielskim – na bardzo różne, polityczne, narciarskie i polskie tematy. Był wreszcie Grabowski tłumaczem z niemieckiego i angielskiego; jako jeden z pierwszych przekładał Hemingwaya. A poza tym przepadał polemizować w obronie swoich książek. Nie ma lepszej metody, jeśli ktoś bardzo chce się ośmieszyć. Bardzo w sumie przedziwny konglomerat, ten Grabowski, a jego ocena nie może być jednoznaczna.

O inne kręgi emigracji zawadził Andrzej Chciuk (1920-1978), choć po prawdzie też dziennikarz i też wywędrował za oceany. Urodzony w Drohobycz, był uczniem Schulza, dosłownie, gdyż chodził do gimnazjum, w którym Schulz był nauczycielem rysunku. Był też po trosze jego protegowanym, gdyż wcześniej próbował pisanie i redagowania. Potem studiował prawo we Lwowie, wojnę spędził we Francji, w Resistance, studia dziennikarsko-literackie ukończył w Paryżu. Po czym ruszył w świat i dotarł aż do Australii, gdzie pracował jako kucharz, urzędnik, nauczyciel, dziennikarz, współtwórca kabaretu. Z czasem – coraz bardziej szanowany jako pisarz.

Chciuk był przede wszystkim prozaikiem, ale uprawiał i poezję. W 1961 ukazuje się jego *Pamiętnik poetycki*, złożony z „pieśni”, wypełnionych wspomnieniami kresowymi. Był pod przemożnym wpływem Tuwima, do czego się sam z dumą przyznawał, a lwią część zbioru wypełnia poemat *Tamta ziemia*, będący świadomym dopełnieniem *Kwiatów polskich*. Przczytajmy fragment z pieśni *O lwowskim bałaku* – bałak to tamtejsza gwara – pamiętając, że stosowny fragment Tuwim napisał „wiechem”.

Słuchać batiara – też to koncert!  
I w serce spływa mniód i balsam,  
gdy słyszysz kiedy ktoś bałaka  
o mesztach, szóstkach i migłancach,  
że ten Pitolku szac chłopaka,  
że się telepie trambal w szynach,  
że ktoś w tremudce ręcznik trzyma,  
że ów trembulkę zjadł i ćmagi  
potem wysączył. Że mu magiel  
ktoś spuścił letki z innej siczy,  
że pjany chabal się przeliczył  
i szpargę znalazł, skąd sztemp glidu  
i sam ze sobą gorzki z wstydu  
ujmie to zdaniem pełnym czaru:  
„Ta po coś zalał tu, batiaru,  
tutaj na Gródku insza chewra  
jo, stąd gelajzig masz trzy żebra”...  
Chiba, nasmytrać, wewogóle,  
szymon, knyż, bajc, świerk, niuch, zazule.  
A cajerączki? A chawira?  
Lub kwargle, gnyp, chmiel, gron, nakastlik,  
spaźniać się, chachar, kimać, maścić?  
(...)

(*O lwowskim bałaku*)

Ale nie był to debiut Chciuka. W prasie pisał już od przedwojny, do 1947 roku korespondował także z prasą krajową. Jego debiut to dwie nowele, składające się na tom *Smutny uśmiech* (1957). Tytułowa w sposób smętno-groteskowy przedstawia życie Polonii australijskiej, burze w szklance wody, fumi, hochsztaplerkę. Zarazem opowiada o kryzysie rodzinnym autora. Następna, *Słońce wschodzi i zachodzi*, to historia głuchoniemej Murzynki, uratowanej z katastrofy morskiej, która nie chcąc być ciężarem dla swego wybawcy (zresztą w niej zakochanemu) popełnia samobójstwo. Mocno to melodramatyczne, ale melodramat mniej lub więcej wyraźny stanie się udziałem Chciuka już na stałe.

Na stałe zakorzenia się też motywy morskie, z jednej strony conradowate, z drugiej przypominające Czesława Straszewicza, czyli nieco groteskowe. Taka trochę straszewiczowsko-groteskowa jest *Dziwożona* – o niezwykłym śnie komendanta UB z Tarnowa (rzecz dzieje się w 1953 roku) i jego późniejszym aresztowaniu.

Za najwybitniejszą książkę Chciuka uważa się *Rejs do Smithton* (1960), gdzie sytuacja pobrzmiwa i Conradem, i Dostojewskim, jest i sensacyjna, i melodramatyczna, i moralistyczna. Marynarz Les zaleca się do narzeczonej kolegi, który właśnie zginął na morzu. Odzucony, zabija ją, a następnie zgłasza się na policję. Druga opowieść zawarta w tym tomie, *Stary ocean*, ma podobny charakter. Uczestnicy francuskiej grupy egzekucyjnej z okresu okupacji dowiadują się, że służyli prywatnym interesom obłąkanego komendanta, który zbił na wszystkim ogromny majątek. Po latach, w Australii, dochodzi do wymierzenia sprawiedliwości.

Ostatnią wreszcie powieścią Chciuka jest *Emigrancka opowieść* (1975), przedstawiająca dzieje kilku rodzin emigrujących do Australii i tu szukających swego miejsca na ziemi. Ale kto wie, czy najciekawszymi książkami Chciuka nie są dwa tomy lwowsko-kresowych wspomnień *Atlantyda* (1969) i *Ziemia księżycowa. Druga opowieść o Księżtwie Bałaku* (1972). Tu właśnie znajdziemy portret Schulza i całej wielonarodowościowej społeczności tamtych rejonów. Wspomnienia osnute nostalgią, zarazem kapitalny dokument miejsca i czasu. Chciuk jest znakomitym gawędziarzem, lepiej mu to wychodzi niż zrygoryzowana kompozycja powieściowa, jest też zarazem świetnym znawcą subtelności języka. Jego potoczyste, świetne w lekturze książki to chwilami bardzo dobra literatura.

Na drugim końcu świata, w Argentynie, objawił się tymczasem inny, zupełnie już samorodny talent Florian Czarnecki (1895-1964), pochodzącego z Berezyny, który jeszcze przed drugą wojną, nie znajdując chleba w Polsce, wyemigrował do Ameryki Południowej i przez trzydzieści lat był pracownikiem fizycznym w chłodniach rzeźni w Berisso. W 1942 roku wychodzi jego pierwsza wydana w Argentynie książka, przez nielicznych, którzy ją czytali, uznana za znakomitą, a nawet wielką.

Jest to historia chłopaka ze wsi Smolary nad Berezyną i całej społeczności polskiej, osiadłej od dawna na dalekich wschodnich krańcach Białorusi, odciętych od Polski granicą po traktacie ryskim. *Notabene* zadziwiająca jest mnogość wydanych i przed wojną, i na emigracji relacji o polskich siedzibach daleko w głębi Związku Radzieckiego, na Łotwie czy Litwie. Wynikałoby z nich, że przedwojenna granica Polski przebiegała zdecydowanie za daleko na zachód... Prawda jest taka, że tamte ziemie stanowiły, a może i stanowią do dzisiaj, mozaikę narodowościową.

Staszek Bałaszewicz, bohater książki, to autoportret autora. Książka ukazuje obyczaje polskie, pierwszą wojnę światową, korpus polski Dowbora-Muśnickiego, w końcu bez nadzieję po traktacie ryskim. W następnej książce, *Wicik Żywica* (1953), autor porusza problemy polsko-białoruskie, obecne zresztą u niego wszędzie. Czarnecki był pilnym czytelnikiem wielkich klasyków prozy ubiegłego stulecia – *Nadberezyńcy* na przykład to oczywiście aluzja do *Nad Niemnem* Orzeszkowej. Ale to terminowanie u znakomitych narratorów dało też i znakomite rezultaty – Czarnecki umie świetnie opowiadać.

Podobnie jest w *Losach pasierbów* (1958), gdzie emigrant z kresów, Zygmunt Dub-

Dubowicz, ciężko walczy w Argentynie o przetrwanie. Książka kończy się promykiem nadziei. Podobnie kończą się *Chłopcy z Nowoszynek* (1963), coś w rodzaju kontynuacji *Nadberezyńców*, tyle że rzecz dzieje się bardziej na zachód, już na Wileńszczyźnie wschodniej, i nieco później, bo w czasie wojny polsko-bolszewickiej, aż po rok 1922. Akcja i tutaj wartka, opowiadanie znakomite. Tyle że językiem dialogu bohaterów Czarnyszewicza jest coś pośredniego między polskim a białoruskim. Nawet dołączony do książki słowniczek nie rozwiązuje sprawy. I znowu dziwne sprawy obyczajowe. A oto dla jakich powodów i jak synowie kontrolują „przyrost neutralny” swoich rodziców, czy raczej swojej rodziny:

- „– Dwóch starszych i dwóch młodszych, znaczy się nas pięć.
- Dużo. Musi być wesoło w chacie.
- I pięć siostrów jeszcze: dwie pomarłszy, a trzy żywe.
- To znaczy, że Pan Bóg pobłogosławił waszemu domowi?
- Byłoby jeszcze i więcej ale Franuk z Antukiem odsadzili tatku.
- Co to znaczy?
- Mamu trzymali na przypiecku, a tatku kazali spać na ławi. Popilnowali para nocak, po-lajali, gdy podkładał się to i powstydził się.
- (...) – Ja bym nigdy swemu ojcu takiej krzywdy nie wyrządził.
- Bo pan porucznik pewnie ziemi ma dużo. A u nas tak: nas pięć, a ziemi pół ucząstka, znaczy się osiem dziesięcin. Na czymże tu żyć wszystkim? A teraz jeśli jeszcze i my będziemy mieć po pięć chłopców, to ile wszystkiego? Pitiu piat – dwadcat piat.”

Bardzo oryginalne książki Czarnyszewicza, cała formacja społeczna, jaką opisuje – zbiedniała zagrodowa szlachta – to zapewne kontynuacja literacka ubiegłego stulecia, ale rzeczywiście pod wieloma względami cenna i ciekawa.

Dość szczegółną autorką emigracyjną jest sławna Zofia Romanowiczowa. Jej emigracyjność polega niemal wyłącznie na paryskim adresie, gdyż sprawy polityczne nie interesują jej zupełnie; od wielu lat drukuje także w kraju. Jej domeną jest dezintegracja wewnętrzna jednostki ludzkiej, pogranicze jawy i snu, nieustanne powroty do przeszłości, prawie z reguły obozowej. Drugim motywem pochłaniającym Romanowiczową w sposób już niemal śmieszny jest macierzyństwo. Jej narratorki ślepną w pewnym momencie na cokolwiek innego, nic innego nie ma bowiem znaczenia, nic poza samicyzmi powinnościami czynić nie warto. Autorka wie, że możliwy jest inny pogląd, ale sama opowiada się za swoimi heroinami. I z całą powagą informuje nas, że jej pociecha powiedziała „pam-pam”, potem zaś „plam-plam”, a nawet „goko” i wreszcie aż „goko, plam-plam, dzi”. Miał rację Słonimski, że dzieci to zakąła ludzkości; niemniej jednak straszne są zakochane w swych niemowlakach matki.

O Romanowiczowej rzecz jednak należy również, że jest autorką bardzo dobrą, świetnie operującą językiem, znakomicie chwytającą analogie, precyzyjną w rysunku. No i jednak wykraczającą daleko poza owo milusińskie ple-ple. Jej proza wyrasta w zasadzie z Camusa, nade wszystko z *Upadku*, ale brzmi zupełnie odrębnie. Ma stałą obsesję Hioba, nie w takim, to w innym wydaniu. Każdy jej bohater został dotknięty nieszczęściem. Właściwie jest to świat w tonacji bardzo czarnej; nawet macierzyństwo okazuje się tu nieszczęściem. Szalenie w tym wszystkim kobieca – może to zadecydowało o jej nie tylko polskim sukcesie? W najbardziej nawet krańcowej sytuacji stara się zachować spokój i rzeczowość; jej młodsze koleżanki, nasze dziewczyny z pokolenia „Współczesności”, wręcz za swój sposób bycia i naturalnie pisania obrały historię.

Zofia Romanowiczowa (1922) przeszła przez wojenne więzienia i obozy, wyłowiona przez Wańkowicza, pomagała mu redagować księgę o Monte Cassino, później studiowała w Paryżu prowansalistykę, co dało znakomite owoce: antologię liryki staroprowansalskiej *Brewiarz miłości* (1963) – w jej tłumaczeniu i opracowaniu. Romanowiczowa zresztą jest nie

tylko tłumaczką, ale i poetką. W prozie ostał się z tego intensywny obraz poetycki.

Jeśli nie liczyć drobniejszych form, to właściwym debiutem Romanowiczowej była powieść *Baśka i Barbara* (1956), która odniosła znaczny sukces. Krytyka dojrzała w niej problem narodowościowy. Danilewiczowa pisze na przykład, że w *Baśce i Barbarze* dominuje problem językowej przynależności dziecka. Otóż nieprawda. Sprawa ta pojawia się tu i ówdzie pod sam koniec powieści, kiedy mała bohaterka ma już kilka lat i idzie do szkoły. A rzecz zaczyna się zgoła od jej poczęcia, przez kolejne etapy ciąży, poród, niemowlęctwo, pierwsze kroki i słowa. Istotne są tu nie tyle jej poczynania, ile uczucia młodej matki, opisane z wdziękiem i kolorowo. Narratorka zostaje sprowadzona do macierzyństwa wręcz absolutnego i doskonałego. Zapewne natura wie, co czyni porażając młode matki takim zawężeniem horyzontu intelektualnego, jako że dzieje się to dla dobra potomstwa – czyli gatunku. *Baśka i Barbara* jest więc znakomitym studium takiego stanu, ale jako propozycja, „pomysł na życie” jest czymś przerażającym. Po lekturze tego dzieła poczułem nagłą sympatię do Mahometa. Rzecz się dzieje w Paryżu, podobnie jak większość następnych książek Romanowiczowej, choć ich materia bywa też zazwyczaj obozowa przeszłość narratorki. Tak jest w *Przejściu przez Morze Czerwone* (1960), gdzie dwie przyjaciółki obozowe, połączone miłością do jednego z więźniów, a zarazem czymś w rodzaju węzła córeczno-macierzyńskiego spotykają się po latach, a skutek spotkania jest fatalny. Tu właśnie rozwija Romanowiczowa opozycję jawy i snu, nie mniej od jawy istotnego.

Obraz biblijny legł także u podłoża *Słońca dziesięciu linii* (1963), gdzie młoda narratorka, Nina, przeżywa tragedię własnej samotności i samobójczej śmierci kochanka, malarza Anzelma, zastanawiając się, czy mogła jej zapobiec. Sam temat, podobnie jak w innych książkach, jest wąty, ale obrasta powracającymi wielokrotnie rozmyślaniami, wahaniem, namysłami. Trzeba przyznać, że te zabiegi bywają subtelne. Ale jej bohaterki są bodaj z góry skazane, nie wydarzyłoby się to, to byłoby co innego. Rzadki to przykład polskiego bohatera, który nie opiera się na żadnej ideologii – czy w sensie pozytywnym, czy negatywnym. I nie walczącego o władzę, karierę, pieniądze.

Choć nie całkiem da się to powiedzieć o bohaterce następnej książki Romanowiczowej, *Szklanej kuli* (1964), Halinie, rówieśniczce autorki, która w okupowanym Radomiu przeżywa wszelkie możliwe nieszczęścia i cierpienia. Ale i tu przeważa aspekt egzystencjalny. Znacznie ciekawiej przedstawia się *Łagodne oko błękitu* (1968) – jeszcze jedna wersja Romea i Julii, stąd zresztą tytuł – z norwidowskiego wiersza *W Weronie*. Rzecz dzieje się w Ravensbrück, gdzie miłość łączy młodzieńca więźniarkę Misie z Niemcem, Wernerem. I oboje, po trosze przez nieporozumienie, giną. Rzecz całą opowiada starzejąca się panna Dominika i przeciwstawia ją innej, spełnionej miłości. Ciekawe, że właściwie wygrali ci, którzy zginęli, a nie ci, którzy zestarzelili się i których miłość wyblakła. Z jednej strony, melodramat snujący się od zimy 1941 do wiosny 1942, z drugiej, dość posępna ocena życia, w którym tragedia (i może tylko tragedia) jest sukcesem.

Tom opowiadań *Próby i zamiary* (1965) przynosi sporo wcześniejszych fragmentów prozy, które następnie znalazły się w powieściach, natomiast powieść *Groby Napoleona* (1972) to znów problem macierzyństwa, oczekiwanie matki na powracającą z Polski córkę. Nocne czuwanie Wandy wypełnia retrospekcja zawilego życia, nad wszystkim jednak dominuje sprawa córki. To jeszcze jedna matka Romanowiczowej, która ztraca człowieczeństwo na rzecz macierzyństwa.

Problem zabsolutyzowanego macierzyństwa w wykonaniu obojga małżonków spotkamy także w najlepszej chyba książce Romanowiczowej *Skrytki* (1980) – tytuł odnosi się do skrytek w ścianie i w duszy ludzkiej. Nie nazwani bohaterowie, przykładowe małżeństwo z Paryża, ma syna po zapaleniu mózgu, kompletnie niekontaktowego. Postanawiają kupić dom w niewysokich południowych górach, by tam wspólnie z chorym jedynakiem zamieszkać i równie wspólnie umrzeć. Innych dzieci mieć nie chcą, bojąc się dziedzicznego obciążenia, no

więc coś innego poza śmiercią? Czytelnik przeciera oczy, ale to nie dowcip. Niemożność wyobrażenia sobie jakiegoś innego celu w życiu poza rozmnażaniem jest bardzo rzeczywistą cechą bohaterów Romanowiczowej. Ale to nie wszystko. W domu przyjaciół na prowincji tragedia – osadzony w błażej sprawie Jan popełnia samobójstwo, inne nieszczęścia także nie każą na siebie czekać. Autorka zostawia bohaterów z mrocznymi perspektywami. Ale książka jest znakomicie napisana, sytuacja podstawowa ma wymiar symbolu, a narracja jest bardzo inteligentna. Rzeczywiście, w sumie bardzo dobra książka.

Fascynująca jest także powieść *Na wyspie* (1984). Jej narratorka i bohaterka Maria w czasie okupacji nie wytrzymuje przesłuchania i zdradza, później zaś, znalazłszy dokumenty zabitej Francuzki, wciela się w nią. Jest przy tym narkomanką i całe jej życie to jeden wielki zwid, z którego nie chce zrezygnować. Zresztą nie udaje się jej uciec bez reszty, odnajduje ją jej dawny chłopak Andrzej, świadek zdrady. Wszystko to ma wymiar symboliczny – próbie życia i przemocy nikt nie jest w stanie sprostać.

Twórczość Romanowiczowej jest monotematyczna, osnuta na problemach macierzyństwa, samotności, duchowego rozdarcia i przeszłości obozowej. Przypomina nieco krajową Zofię – czyli Posmysz. Ale Posmysz szczęśliwie nie przepada za dziećmi, a u Romanowiczowej to jedyny punkt niemalże komiczny. Poza tym jest to piarstwo bardzo charakterystyczne, o szczególnej, pełnej nawrotów narracji, chwilami też, choć to porównanie dziwne, jakby podobne do sposobu opowiadania Juliana Kawalca.

Dużej uwagi godną autorką jest Jadwiga Maurer, szczęśliwie odległa od pieluch i dziecięcego bełkotu. Nie znam, niestety, jej biogramu, można dociec, że w miarę znośnie ocalałszy w czasie okupacji, kształciła się w Monachium, w środowisku przybyłych z Polski Żydów, po czym została anglistką, pracownikiem naukowym. Ale są to raczej dzieje jej narratorki, które przecież nie muszą pokrywać się z biografią autorki. Jadwiga Maurer napisała jedną książkę i wiele rozsianych w prasie emigracyjnej opowiadań. *Liga ocalałych* (1970) przedstawia właśnie środowisko ocalałych Żydów, ludzi, którzy już przeżyli własną śmierć.

„Ponieważ ludzie ci przeżyli cudem, jakby ich nie było już, właściwie umarli już raz, żyli sobie więc teraz poza czasem.” To właściwie też należy do literatury „porażenia śmiercią”, ale niejako *à rebours*. Temat ocalonego Żyda jest oczywiście jednym z ważniejszych wątków powojennej literatury polskiej (nie tylko Żyda zresztą), ale Maurer przedstawia to na swój sposób. Jakoś bardzo spokojnie, choć przecież można powiedzieć o całej „normalności”, że „to jeszcze jedno złudzenie, jakie w tym początkowym okresie przesłaniało prawdę przynależności do potępionego świata”. Maurer nie opisuje żadnych okropności, nie oskarża, nie używa wielkich słów, a przecież w całej atmosferze tej książki jest coś zionącego siarką.

Narratorka spędza okupacyjne dzieciństwo w klasztornej pensjonacie na Słowacji, potem w Monachium, uczęszcza do gimnazjum i na uniwersytet, obraca się wśród Żydów, ale też i wśród Niemców. A wreszcie w mirażu „Polski idealnej”, która nie jest pojęciem geograficznym. W sumie książka melancholijna, bez wielkiej nadziei, bez wielkich słów i złudzeń. I warto zapamiętać i przemyśleć uwagę autorki, że „każda sytuacja składająca się z samych wyjątków musi pozostać bez znaczenia”.

Środowisko monachijskich Żydów jest nietrwale. Wszyscy się gdzieś wybierają, za te czy inne oceany. Sytuacja symboliczna, zapewne szczególnie dla diaspory żydowskiej, ale przecież i polskiej czy jakiegokolwiek innej. Jest natomiast coś, co radykalnie różni niedobitków żydowskich od niedobitków polskich: wśród Polaków poginęli przede wszystkim mężczyźni, pozostało natomiast wiele samotnych kobiet. Tu odwrotnie: kobiety są bardzo nieliczne. Dlaczego? Chyba struktura zagłady była w obu przypadkach odmienna, albo też ocalałe z pogromu dziewczyny związały się już z kimś w Polsce i nie ruszyły dalej w świat.

W jakiś czas po opublikowaniu powyższego w „Życiu Literackim” otrzymałem przesyłkę, która okrężną drogą, rzemiennym dyszlem, wędrowała długo, a zawierała książkę pani Jadwigi Maurer, która mieszka i wykłada slawistykę na uniwersytecie w Kansas (USA). Bardzo

się ucieszyłem. *Podróż na wybrzeże Dalmacji* (1982) to nowele, znowu podobna problematyka, tematy amerykańsko-polsko-żydowskie. Subtelne i melancholijne. W jakiś czas potem dostałem studium *Z matki obcej. Szkice o powiązaniach Mickiewicza ze światem Żydów* (1990). O książce tej napisano w Polsce trochę głupstw, najwyraźniej pochodzących od ludzi, którzy nie mają pojęcia o twórczości i poglądach Jadwigi Maurer.

W tytułowym opowiadaniu *Podróży* występuje jedyny znany autorce Polak-antysemita. I on w końcu okazuje się Żydem. Gdyby tego nie napisała Polka pochodzenia żydowskiego, to zostałaby rozerwana w drobne kawałki. Tymczasem autorka jest po prostu mądrzejsza i umie się wznieść ponad szowinizmy. Szkoda, że Kansas tak daleko; miło by się było z Jadwigą Maurer zaprzyjaźnić.

Inną uczoną autorką, tyle że nie prowansalistką czy anglistką, ale sławistką jest Olga Scherer, zamieszkała w Stanach Zjednoczonych. Specjalizowała się w problemach gawędy, stąd naturalne uczulenie na sprawy języka, tym naturalniejsze, że autorka czuje wyraźny pociąg do Gombrowicza. Jej książki są w istocie dość gorzkie, chociaż na pierwszy plan wybija się gryząca groteska. Z Gombrowicza wywodzą się zderzenia odmiennego widzenia i wartościowania świata, gęby z gębą.

Taka jest krótka powieść *Wesołych świąt* (1962) – o problemach i dziwnościach adaptacji przybyszów w amerykańskim środowisku naukowym. Adaptuje się sama narratorka, sławistka i, jeszcze gorzej, wiedeński sanskrytolog Kaspar. Ich usiłowania kończą się fiaskiem.

Rozleglejsza jest konstrukcja powieści *W czas morowy* (1967), przenosząca nas tym razem do Paryża. Narratorka zaprasza do siebie z Polski cicię, cicię-koszmar, terroryzującą wszystko i wszystkich dookoła. Wyszyczeni zostają wszyscy – i narratorka, i ciocia, i artyści czy pseudoartystyczne środowisko. Szczególną rolę odgrywa grożąca pęknięciem rura, której nie sposób zreperować, acz to ostatnie wydaje się raczej specjalnością nie mniej warszawską niż paryską. W sumie narratorka wręcz ucieka – do Polski, a to w celu zaznania cierpień, o których nieustannie słyszała od przybyszów. Szczególną siłą Olgi Scherer jest kontrastowanie różnych stylów językowych i ich dziwactw.

Trzeba zresztą powiedzieć, że problemy adaptacji w nowym środowisku w najróżniejszych ujęciach stanowią, oprócz politycznych spraw krajowych, fundament prozy emigracyjnej, aż do dzisiaj, aż po takich emigrantów (?) jak Głowacki czy Redliński. To w ogóle typowe dla epoki powszechnego pomieszania i wędrówki ludów. Zauważmy, że wielkim przenosinom ze wsi do miasta została dedykowana proza Kawalca i kontynuatorów, że niezliczoną liczbę książek – z Pauksztą, Trziszką, Kuriatą, Auderską etc., etc. na czele poświęcono przesiedleńcom zza Buga, że innym jeszcze – wymuszonym najpierw, a potem coraz bardziej spontanicznym migracjom do Niemiec – poświęcono także wiele tomów (że wspomnę o Kruku). Wtedy zaś okazać się może, że jeśli pominiemy realia, to i w tej dziedzinie literatury polskiej, krajowej i emigracyjnej, panuje w istocie głęboka jedność.

Poważną pozycję w prozie emigracyjnej zajmuje Danuta Mostwin. Jej książki nie dotyczą polityki, czy raczej dotyczą jej w stopniu minimalnym. Przynajmniej na początku, gdyż sytuacja zmienia się częściowo w późniejszej, historycznej twórczości. Ale jest to ujęcie ogólniejsze – chodzi o utrzymanie tożsamości narodowej. Jej książki w latach osiemdziesiątych zaczęły się ukazywać w Polsce.

Danuta Mostwin (1922) spędziła dzieciństwo w Warszawie (choć, jak wynika z jej książek, zna bardzo dobrze topografię Lublina), tu też studiowała konspiracyjną medycynę. Po powstaniu *via* obóz jeniecki trafiła do Anglii, a w 1951 roku z całą rodziną przeniosła się do Ameryki. Tu ukończyła studia socjologiczne, zostając ostatecznie profesorem Uniwersytetu Katolickiego w Waszyngtonie i Loyola College w Baltimore. Jest autorką prac naukowych poświęconych terapii psychicznej i rodzinnej, szczególnie zaś interesuje się zagadnieniami grup etnicznych, zachowaniem przez nie tożsamości narodowej oraz ich adaptacją. Jej zainteresowania socjologiczne z wielką siłą wpływają na twórczość powieściową, która reprezentuje tę samą problematykę.

Bohaterowie Danuty Mostwin to ludzie przeciętni, czy raczej – zwyczajni. Autorka nie tyle jednostką się zajmuje, ile rodziną – bardzo solidarną, ale reprezentującą różne postawy wobec rzeczywistości. Jedni załamują się, inni trwają, ci zamykają się w świecie wspomnień, tamci starają się odrzucić cały narodowy balast. Właściwa droga powinna jednak łączyć zarówno akceptację nowej społeczności, jak i zachowanie własnej genealogii. Ale portret zbiorowości polonijnej wypada dość żałośnie – ze znanych powodów historyczno-społecznych emigrowali w ubiegłym stuleciu najbiedniejsi, i, co tu dużo gadać, najciemniejsi. Ale Mostwin nie tyle biada, ile chichocze – zmysł humoru był jednak najsilniejszy na samym początku jej twórczości, później jakby trochę zanikał.

Rodzina, zakorzenienie się, dom – to podstawowe, zdaniem pisarki, elementy ludzkiego bytu. I to zarówno w warunkach emigracyjnych, jak i polskich. Kto nie ma domu, ten nie ma niczego i jest skazany na unicestwienie. Ponieważ zaś jej bohaterowie są, przynajmniej do czasu, w nieustannej drodze, więc wywodzi się stąd para pojęć tak istotna dla amerykańskiej piosenki (i systemu wartości) country. Nie wiem – czy to przypadek, czy coś więcej. Jeszcze o bohaterach – są to na ogół ludzie kulturalni, lecz, jak się rzekło, zwyczajni do szpiku kości. Tak trochę w stylu Fleszarowej-Muskat. Ale też może i dlatego Danuta Mostwin jest chętnie czytana. Jak się zdaje, czytelnik ma tu także poczucie autentyczności postaci i sytuacji. Rzeczywiście, podłoże tych książek jest autobiograficzne lub wywodzi się z prawdziwych danych i obserwacji.

Debiut Danuty Mostwin (jest to pseudonim literacki wedle okupacyjnego pseudonimu męża – prawdziwe nazwisko: Dask) *Dom starej lady* to historia młodego małżeństwa i jego rodziny-emigrantów, którzy nabywszy w Londynie dom wynajmują lokatorom pokoje. Lokatorzy są różni, dziwni, zabawni, kłopotliwi. Podobnie zresztą jest charakteryzowana cała rodzina i przyjaciele. Książka napisana z humorem, lekka, niesłusznie trochę zlekceważona przez krytykę, kończy się wyjazdem do Ameryki. Już nigdy potem Mostwin nie pisała tak lekko i niefrasobliwie.

Następna książka to słynna powieść *Ameryko! Ameryko!* (1961) – najgłośniejsze, sążniste dzieło. Wątek zostaje podjęty w miejscu, w którym zakończył się w powieści poprzedniej. Bohaterowie też ci sami, chociaż nazywają się teraz trochę inaczej. Trzypokoleniowa rodzina przybywa do Nowego Jorku i powoli wrasta w Amerykę, co jest bolesne. Przede wszystkim kłopoty z pracą. Rzecz aż dziwi – bohaterowie przybywają z Anglii, świetnie znają język, nie są bez grosza. A równocześnie przez długi czas nic im nie wychodzi. Cóż rzec o naszych „dzikich” gasterbeiterach, którzy jakoś się obywają bez tych ułatwień?

W każdym razie Ameryka początkowo jest obca i niezrozumiała. I właściwie tylko *alter ego* autorki, Boga (która tu jednak odmiennie niż w *Domu* nie jest narratorką), odnajduje właściwą drogę. Zresztą to prawdziwe studium socjologiczne: rodzina trzypokoleniowa, zróżnicowana, każdemu trochę inny los pisany, każdy inną postawę przyjmuje. Istotne w tym wszystkim jest to, że dotychczasowy dorobek duchowy nie służy tutaj niczemu; trzeba zaczynać od początku, inaczej. Książkę zamyka pożar fermy – pomocy udzielają sąsiedzi. Okazuje się, że Amerykanie nie są źli, tylko umiejętność wzajemnego zrozumienia szwankowała.

Mostwin nie oszczędza rodaków, ukazuje bezlitośnie ich ograniczenia i śmieszności. Ale też i przyjęcie ich ze strony innych grup narodowościowych, zwłaszcza Żydów i Murzynów, najcieplejsze nie jest. Smętne, ale marka światowa Polaków do najwyższych nie należy. Pod względem intelektualnym Polonia była na przedostatnim miejscu przed czarnymi, w ostatnich latach czarni awansowali. Polacy trafili na koniec...

Koncepcja ludzkich odprysków legła u podstaw zbioru opowiadań *Asteroidy* (1965), wyrosłych z pracy autorki w opiece społecznej. Prezentuje w tych opowiadaniach różne odmiany ludzkiej biedy i samotności. Przeważają tu starzy, opuszczeni emigranci. W tymże 1965 roku ukazuje się powieść również z ludzkiej tragedii wyrosła, ale już nie emigracyjna. Olivia przedstawia żałosne dzieje dziewczyny, jako dziecko adoptowanej, później zaś oddającej swoje nieślubne dziecko komu innemu, i ostatecznie popełniającej samobójstwo. Autorka

miała tu pewien zamysł uniwersalny. Trochę to jednak wypadło melodramatycznie.

Problematykę emigracyjną podejmuje powieść *Ja za wodą, ty za wodą* – o perypetiach małżeństwa Sanockich i różnych typach reagowania na rzeczywistość emigracyjną. Następna powieść to *Odchodzą moi synowie* – (1977), gdzie dwudziestodwuletni Stefan po dziesięcioletnim pobycie w Stanach nie może odnaleźć swojego miejsca.

Największe jednak dzieło Danuty Mostwin to ciągle jeszcze w całości nie wydana tetralogia *...ani o ziarno jęczmienia mniej...* Ukazały się dwa pierwsze tomy: *Cień księdza Piotra* (1985) i *Szmaragdowa zjawą* (1988), a zapowiadane są: *Tajemnica zwyciężonych* i *Słyszę, jak śpiewa Ameryka*. Jest to saga rodzinna, rozgrywająca się od powstania styczniowego – czy nawet od *Złotej księżeczki* księdza Ściegiennego, czyli od 1844 – po czasy współczesne. Początkowo są to okolice Kraśnika, potem Lublin, Warszawa, a dalej będzie chyba wojna i emigracja, powtórzenie znanych nam już motywów, ale już jako cegiełki wielkiej budowy.

Tom pierwszy to historia pradziadków, dziadków i matki autorki. Chyba bardzo wiernie trzymająca się faktów. Znam te sprawy z opowieści moich rodziców, uczących się na początku stulecia w szkołach lubelskich, konspiracyjnych, biorących udział w sławnym strajku szkolnym. Z ich opowieści wyłaniał się obraz podobny do tego, jaki rodzice Danuty Mostwin przekazali jej, a ona zapisała. Mój Boże, Mostwin wprowadza postać Feliksa Araszkiwicza, polonisty. Ależ taki istniał rzeczywiście, był kolegą szkolnym mojego ojca, a następnie moim wykładowcą na KUL-u... Więc pewnie i inne szczegóły się zgadzają.

A więc protoplastą rodu był leśny Kulczyba, chrześniak Ściegiennego. Potem w centrum znajdzie się jego córka, Paulina Skorzcycowa, jej brat Stefan i córka Irena. Ale to już tom następny, *Szmaragdowa zjawą*, doprowadzający rzecz do wybuchu drugiej wojny, pisany trochę inaczej, z zaznaczoną perspektywą amerykańską. Ta perspektywa co prawda jest stale obecna, np. tytuły są brane z cytowanych wierszy Whitmana i Dickinson. Autorka chce stworzyć wspólną płaszczyznę amerykańsko-polską i chyba jej się to udaje. Książka trochę celebrytuje, trochę idealizuje Polaków, szczególnie tych dawniejszych. Z pewnością zasługuje na dużą uwagę.

Oprócz tego jest Danuta Mostwin autorką prac naukowych. W Polsce jej szkice ukazały się pod tytułem *Trzecia wartość* w 1985 roku. Ciekawe, jak wiele polskich pisarek emigracyjnych zajmuje się pracą naukową w różnych dziedzinach. W kraju jest to nierównie rzadsze.

W każdym razie naukowcem, amerykańskim profesorem socjologii jest Alicja Iwańska, o której nie wiem, czy jest identyczna z przedwojenną poetką, związaną z „Kwadrygą” autorką tomu *Wielokąty* (1938). Jej powieść *Świat przetłumaczony* (1968) jest w każdym razie ściśle związana z problematyką etnograficzno-socjologiczną. Jest to coś w rodzaju dziennika rocznego pobytu badaczki w meksykańskiej wiosce indiańskiej. Autorka śledzi koleje współżycia Indian i przybyszów. Jej obserwacje służą zarazem refleksjom dotyczącym Polski. Zresztą drugi nurt książki to wspomnienia z okupowanej i powstaniowej Warszawy. Taka retrospekcja jest typowa dla książek emigracyjnych czy może dla autorów tego całego pokolenia, które tak wiele, i tak gorzko, musiało przeżyć.

Nurt wspomnieniowy odnajdziemy także w głośniejszej w swoim czasie powieści Halszki Guilley-Chmielowskiej *Spotkania na galerii* (1960), wyróżnionej nagrodą paryskiej „Kultury” za rok 1959. Tytułowa galeria łączy poszczególne mieszkania czynszowego domu – tu się pierze, plotkuje, wynosi nocniki do wspólnego klozetu. Takie „obszczeżenie” w wydaniu prowincjonalno-francuskim. Rzecz się dzieje w małym miasteczku pod Pirenejami, gdzie po wojennej tułaczce utknęła bohaterka, trochę narwana lwowianka. Ma męża nieudacznika, żyje w biedzie i bałaganie. Właśnie odwiedza ją syn z pierwszego, przedwojennego małżeństwa. Atmosfera książki przypomina trochę prozę kulturowaną w międzywojennym „Przedmieściu”; naturalistyczny, dokładny opis, proza życia, fizjologia. Galeria różnych biedaków, wdów, rozwódek, chmary dzieciarni. Ale autorka właściwie nie biada, przyjmuje życie takim, jakie ono jest. A bywa, że stać ją na bardzo celną refleksję. Oto co pisze przy okazji wyzwolenia przez aliantów niemieckiego obozu:



„Ale dla nas po koszmarze niewoli przyszedł tylko koszmar wolności. Nie, nie wzdrygaj się. (...) Z niewolą wiadomo było, jak sobie radzić, niewola była swego rodzaju porządkiem, jakimś stanem rzeczy. Z wolnością nie wiadomo było, co robić. Wolność była nagłym chaosem, wytrąceniem z regularnego trybu. Wobec wolności znaleźliśmy się nagle bezradni, bierni, naraz zmęczeni i pozbawieni wszelkiej decyzji. Paradoksalne ci się to może zdaje, ale tak było.”

Pewnie, podobnie prawdziwe paradoksy wypowiadał już Firs z *Wiśniowego sadu* Cechowa, czy też Tadeusz Nowakowski albo i Borowski właśnie o wyzwolonych obozach, ale przecież w latach osiemdziesiątych w Polsce taka opinia zyskała nową aktualność.

Piękna proza Bączkowskiej właśnie ze wspomnień całkowicie wyrasta. Irena Bączkowska, urodzona na Ukrainie, przed wojną instruktorka rolna, po wojnie znalazła się w Szkocji. Jej opowiadania złożyły się na książkę *Podróż do Brailowa* (1959), miejscami bez przesady znakomitą. Opowiadania dotyczą czterdziestu lat i wielu miejsc, połączone zaś zostały postacią Heleny, *alter ego* autorki, i jej kuzyna Jurka. Para ta nigdy się nie połączy. A poza tym rodzina, kapitałny babiniec, później inne babinice, które autorka pięknie portretuje. Najlepsze jest opowiadanie tytułowe, o tym, jak to małego Jureczka wieziono do kościoła w Brailowie na ceremonię „wywlekania” z habitu, w który – w celach zdrowotno-ochronnych – dziecko ubrano. Kapitalna wędrówka przez wioski i jary gromady nieco zdziwaczałych kobiet w przyciasnej karecie, świetne opisy przyrody. Sam delikwent nie wie, że tu idzie po prostu o pokropienie święconą wodą, boi się jakichś wymyślnych tortur i w decydującej chwili ucieka z kościoła. W innym znów opowiadaniu bracia dziewczyny łapią parę na gorącym uczynku, związują razem i taszcą do ołtarza. Zresztą ku zadowoleniu obojga. Ale najświetniejszy jest styl, barokowo-gawędziarski, malowniczy i pogodny. Mam wrażenie, że w naszej szkole ukraińsko-kresowej książka Bączkowskiej stanowi pozycję trwałą.

Z materii wspomnieniowo-autobiograficznej zostały wysnute książki Janiny Kowalskiej (1932), co jest *notabene* pseudonimem. Kowalska spędziła dzieciństwo na Syberii, potem w Turkiestanie i Uzbekistanie, później zaś na Bliskim Wschodzie, skąd wreszcie dotarła do Anglii. Jej pierwsza książka *Moje uniwersytety* (1971), co stanowi aluzję do Gorkiego, poświęcona została właśnie owej wędrówce, ze szczególnym akcentem położonym na sprawy szkolno-edukacyjne. Jej zawiązkiem był dziewczęcy pamiętnik, okrutny w swojej rzeczowości. Kowalska przedstawia bez obsłonek, ale i bez przesady, groteskową rzeczywistość radziecką tamtych lat. Jest ironiczna, szydercza, dość kostyczna. Później dostaje się także i samym Polakom. Rzecz napisana błyskotliwie i zajmująco. Następną jej książką jest *Pogranicze* (1980). Idzie tu o pogranicze angielsko-walijskie, gdzie został ulokowany hostel, obóz dla dipisów. W obcym otoczeniu, w Crowley, zgromadzeni tu Polacy odtwarzają obyczajowy „rok polski” – poprzez jesień, zimę, wiosnę i lato. Książka jest ironiczna, ale owo pielęgnowanie tradycji nie jest bez sensu. Sama autorka spędziła w podobnym miejscu z rodziną dwanaście lat. Książka zyskała w kraju niejaki rozgłos prasowy, choć mało kto ją widział. Dodajmy, że w swojej poprzedniej książce autorka odwiedza i współczesną Polskę, a jej uwagi na temat powszechnego schamienia i braku życzliwości są, niestety, bardzo prawdziwe.

Powściągliwość wymienionych autorek nie jest, niestety, przymiotem twórczości Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej. Potrafi ona postawić więcej wykrzykników na jednej stronie niż inni autorzy przez całe twórcze życie. Nie unika też nadmiaru szczegółów, zresztą zupełnie nieistotnych. Wyczółkowska współpracowała z prasą od 1927 roku i przed wojną wydała już pięć powieści: *Kobieta i basta*, *Płaszcz na dwóch ramionach*, *Świat zamknięty na klucz*, *Jego kobiety*, *Egoizm we dwoje*. Po wojnie Surynowa-Wyczółkowska znalazła się w Argentynie, współpracowała żywo z prasą emigracyjną. Jej najgłośniejszą książką emigracyjną jest cykl *Teresa – dziecko nieudane* (1962) i *Gringa* (1968) – o dziewczynce przerzuconej z okupowa-

nej Warszawy do Czech i dalej aż do Argentyny, gdzie Teresa – *gringa* – wychodzi za Argentyniczyka. Autorkę interesują zarówno niełatwe wybory moralne, jak i uzasadnienia trwania przy polskości i języku w całkowicie obcym otoczeniu.

*Koleżanka z ulicy Dobrej* (1972) to oparta na wspomnieniach autorki nieco melodramatyczna powieść z warszawskich lat trzydziestych, dziejąca się w kręgach studenckich, wokół „Bratniaka” i kościoła akademickiego św. Anny. Bardzo przegadana. Trochę także za wielomówne są nie powieściowe, ale mocno fabularyzowane prace Surynowej-Wyczółkowskiej. A więc poświęcona rodzinie Wyczółkowskich książka *W cieniu koronkowej parasolki* (1961), ukazująca środowisko artystyczne Warszawy pierwszej połowy stulecia – Wyczółkowska była bratanicą malarza Leona. Dodajmy, że w *Koleżance* także jest wiele autentycznych postaci. Lata okupacyjne posłużyły za temat tomu wspomnieniowych szkiców *Ze wspomnień straganiarki* (1972).

To, naturalnie, nie są wcale wszystkie autorki emigracyjne. Poetka Zofia Bogdanowiczowa jest także autorką przedwojennej *Drogi do Daugiel* i *Gwiazd i kamieni* (1960), poświęconych problemom kresowym, w stylu Rodziewiczówny. *Gwiazd* nie znam, ale *Droga* stara się coś powiedzieć o nieszczęsnym konflikcie polsko-litewskim. Izabela Kuźmińska jest autorką powieści katolickiej *Światło jutra* (1950) – o czasach okupacji i o problemach, przed którymi staje Żyd nawrócony na katolicyzm. Wreszcie i sama Maria Danilewiczowa (czyli Danilewicz-Zielińska) jest autorką tomu opowiadań *Blisko i daleko* i powieści *Dom*.

Do malowniczych postaci literatury emigracyjnej należy Jędrzej Giertych, przedwojenny płodny publicysta i polityk, działacz Stronnictwa Narodowego, czyli mówiąc po polsku endek, zresztą skłócony i z własną partią. Po wojnie na emigracji Giertych także zajmuje stanowisko osobne, zwalcza i jest zwalczany, a jego poczynania bywają kontrowersyjne. Na przykład poparł wprowadzenie w grudniu 1981 stanu wojennego, choć oczywiście jest antykomunistą.

Poglądy na endecję, jak wiadomo, są dwa. Że endecy są ludźmi gorszego gatunku, to raz, a dwa, że w ogóle ludźmi nie są. Giertych łagodniej traktuje sanację – tylko jako głupców, zdrajców i karierowiczów – i ten wątek myślowy złotą nicią przewija się w jego twórczości. Jeśli pominąć publicystykę, Giertych jest autorem m.in. powieści *W Polsce między wojnami*. *Rodzina Pasków* (1950) i *Opowiadań bałtyckich* (1955) – dodajmy, że był on, jako żołnierz, oficerem marynarki. Z tym zaś wiąże się najgłośniejsza jego książka w dwóch częściach – *Wrześniowcy* (1957) i *Europa w niewoli* (1959). Są to zbeletryzowane wspomnienia wojenne. Po kampanii wrześniowej na Wybrzeżu i Helu dostaje się Giertych do niemieckiej niewoli, skąd trzykrotnie, aż do skutku, ucieka. Początkowo w niemieckich obozach siedzą sami Polacy – i to jest tom pierwszy, później trafia do niewoli cała Europa. Przygody Giertycha są tak brawurowe i niezwykle, że przypominają nieomal Strumpha-Wojtkiewicza. Może jednak są prawdziwe... Tak czy owak, czyta się je znakomicie. Autor przy tym snuje wielorakie refleksje, i to wcale niegłupie. Na przykład przy okazji krótkiej i potajemnej wizyty w Polsce po wojnie zwraca uwagę na zasadniczą zwyczajność życia, w kraju komunistycznym także, czego emigracja zdawała się nie rozumieć.

„O polityce nie mówi się i nie myśli ciągle, a tylko chwilami. A główna treść życia składa się z rzeczy powszednich (...) rzeczywistość jest zawsze o wiele bardziej zwyczajna niż nam się zdaje. Zwyczajne jest życie w obozie jeńców i w więzieniu, a więc tym bardziej zwyczajne jest życie zwykłych ludzi w swoim domu i zwyczajnego społeczeństwa w swoim kraju.”

Dorobek Giertycha jest pokaźny ilościowo i chyba niedoceniony pod względem jakości. Jest on jednym z nielicznych autorów, który umie na naszych wrogów patrzeć spokojnie i obiektywnie.

Nie ma tej klasy intelektualnej twórczość Ryszarda Kiersnowskiego (zmarł w Londynie w 1977), ale literacko jest przecież interesująca. Przedwojenny dziennikarz „Gazety Polskiej”, działacz Legionu Młodych, był autorem sztuk teatralnych, jak np. *Panowie w nowych kapelu-*

szach czy *Trzeci odchodzi*, książek dla dzieci i zbiorów poezji: *Żołnierskie strofy* (1941), *Zjazd w Nowogródku* (1943), *Podróż sentymentalna* (1947).

Poetą był bardzo tuwimowatym, właściwie na granicy pastiszu. Szczególnie jednak były cennie jego wiersze żołnierskie, prościutki, często patetyczne, jeszcze częściej sentymentalne.

Zastrzelili nam strzelca. Franka.  
Leży sobie na polu od ranka –  
Jak ten hrabia leży nad rzeką,  
Jakby wojna odeszła daleko.

Wszystko w życiu idzie na opak –  
Wczoraj jeszcze urlopu chciał chłopak...  
Jeszcze wczoraj pietra miał szczerze,  
A dziś gwizdże na wszystkie mózdzierze.

Co mu teraz więcej potrzeba?  
maszeruje prościutko do nieba,  
No a w niebie sprawa jest czysta:  
Każdy wie – holenderski turysta.

Zawijamy Franka w dwa koce  
Na jesienną szarugę, na nocę  
Z jego wielką, żołnierską biedą,  
Że nie dostał urlopu pod Bredą.

Trzeba odejść potem swą drogą.  
Wszystkich pytań zbyt smutna jest cena.  
Nie wiadomo tylko dla kogo  
Kupił Franek... perfumy Guerlaina.

Breda 1944 (*Franek*)

Jako prozaik jest Kiersnowski autorem opowiadań *Dom bez klamek* (1953) – niesamowitych i szokujących, gdzie chorzy, operacje, zbiegi okoliczności. Ale i nieco zjaw pozagrobowych. *Miłość sercem pisana* (1963) to wspomnienia nowogrodzko-warszawskie. Najbardziej znany jest *Reportaż spod ciemnej gwiazdy* (1967) – o wojennej wędrowce autora przez Związek Radziecki, Japonię, Anglię aż na pola bitewne Holandii, gdzie Kiersnowski był korespondentem wojennym u generała Maczka. Trochę ciekawych plotek o pewnych osobliwościach Sikorskiego czy szczególnie zaleceniu generała Boruty-Spiechowicza, by któryś z korespondentów zginął, a to by poprawić image zespołu.

Dodajmy, że współcześnie działa w Polsce również Kiersnowski, też Ryszard zresztą, miłośnik pieniędzy, a szczególnie monet średniowiecznych, autor m.in. *Pradziejów grosza*, *Początków pieniądza polskiego*, *Życia codziennego na Pomorzu wczesnośredniowiecznym*, *Życia codziennego na Śląsku w wiekach średnich*. Bibliografie i katalogi biblioteczne robią z obu Ryszardów Kiersnowskich przedziwne risi-bisi.

Wyjątkowo wdzięcznym w lekturze autorem jest Tadeusz Wittlin (nic wspólnego z Józefem ani chyba Jerzym), przed wojną jeden z redaktorów satyrycznego *Cyrylika Warszawskiego*, satyryk i publicysta, autor tekstów kabaretowych i scenariuszy filmowych. Debiutował w 1929 roku tomem wierszy *Trasa na Parnas*, mocno patetyczno-staffowskich, zapatrzonych przy tym na Wierzyńskiego – jako autora sportowego. Tematyka sportowa dominuje i u Wittlina. Przed wojną wydaje jeszcze powieść *Marzyciel i goście* (1935), pod pseudonimem

dwuczęściową powieść sensacyjną *Złamane skrzydła i Przekreślony człowiek*, wreszcie zbiór swych humoresek z „Cyrulika” – *Pięta Achillesa* (1939). Po wojnie rozpoczął od wydanych we Włoszech nowel *Radosne dni* (1946), potem pozostał wierny Anglii.

W 1951 ukazała się *Wyspa zakochanych*, zbiór humoresek-felietonów o Anglii. Ciekawe, że nikt z Polaków nigdy nie zadziwił się Francją, wszyscy zaś, od Kuncewiczowej poprzez Zbyszewskiego do Drozdowskiego, zachwycają się angielskością. Anglia Wittlina, Anglia powojenna dziwnie jednak przypomina Polskę lat osiemdziesiątych – powszechne kolejki po wszystko, totalny bałagan, brak informacji, obfitość najdziwniejszych programów społecznych i gospodarczych. *Habent sua fata libelli*: wydany w Anglii, a wydrukowany w Belgii egzemplarz *Wyspy* został przez autora zadedykowany jego przyjacielowi, poecie Aleksandrowi Maliszewskiemu w Waszyngtonie, a po śmierci tegoż trafił do biblioteki ZLP w Warszawie.

Znacznie ciekawszy jest *Diabeł w raju* (1951), z przedmową Władysława Andersa. „Rajem” jest Związek Radziecki, szczególnie zaś jego więzienia i obozy pracy, z którymi autor zapoznał się dokładnie w czasie wojny. Wittlin próbował się śmiać i pierwsze nowelki – bo to cykl opowiadań – są rzeczywiście kpiarsko-wesołe. Istotnie, materia absurdu jest tu przegromna. Stopniowo jednak tonacja mrocznieje, temat zanadto już był i straszny, i żalony. Trzeba by tu kogoś znacznie od Wittlina okrutniejszego.

A że on sam nie miłuje sadyzmów, dowiódł w swojej najlepszej, naprawdę znakomitej książce *Ostatnia cyganeria* (1974), ozdobionej obrazami i rysunkami Feliksa Topolskiego, która po piętnastu latach ukazała się i w Warszawie. Autor opisuje Warszawę dziennikarzy i poetów, teatrzyków i filmu, malarzy i aktorów, kawiarni i knajp przeróżnych. Wszystko zostało opromienione jakimś szczególnym urokiem, atmosferą, chciałoby się rzec, promienną, mimo że autor nie kryje przecież swoich kłopotów. Książka przynosi znakomite portrety takich ludzi, jak Karpiński, Dobrowolski, Paczkowski czy Tuwim, portrety ciepłe, choć niekiedy bardzo sprawiedliwe. Książka jest znakomicie napisana i pełna humoru.

Bardzo ciekawa jest dwuczęściowa powieść biograficzna o Modiglianin *Cygan Montmartre’u i Księżę Montparnasse’u* (1965), gdzie rozdziały zostały zatytułowane nazwami różnych, coraz to mocniejszych trunków. Zaczyna się od mleka, a kończy na narkotykach. Paryż pierwszej ćwierci stulecia to przecież także cyganeria – i to jaka! Książki Wittlina były tłumaczone na różne języki, a niektóre istnieją tylko po angielsku – książka o Katyniu i biografia Berii. Natomiast jeszcze jedna książka o cyganerii *Pieśniarka Warszawy – Hanka Ordonówna i jej świat* (1987) – znana mi jest tylko ze słyszenia.

Poważną rolę w życiu umysłowym emigracji odgrywał Wit Tarnawski (1894-1988), który jednak jako prozaik objawił się dość późno. Był nade wszystko lekarzem, synem i następcą sławnego doktora Apolinarego Tarnawskiego, twórcy modnego przez czterdzieści lat zakładu przyrodoleczniczego w Kosowie pod Czarnohorą. Opowieści o Kosowie i jego twórcy przewijają się w licznych relacjach i pamiętnikach z dwudziestolecia, często zresztą kpiarskie. Sam Wit Tarnawski napisał książkę *Mój ojciec* (1966), będącą apologią starego doktora i jego wegetariańskiej metody. Sprawy te, acz ciekawe, z literaturą mają związek niewielki. Myślę, że o jednym warto wspomnieć. Otóż bohater *Mojego ojca* wyznawał zasadę, że pierwszym obowiązkiem, powinnością lekarza jest wzbudzenie w sobie sympatii do pacjenta, nawet odrażającego, bo bez tego całe leczenie się nie uda. To chyba bardzo ważna i trafna myśl.

Jako literat był Tarnawski przede wszystkim krytykiem, i to ciekawym. Już przed wojną współpracował z „Prosto z mostu”, posługując się pseudonimami „Witold Turno” i „Witold Tarwid”. Po wojnie zasłynął jako znawca powieści katolickiej oraz Gombrowicza i nade wszystko Conrada. Z jego inicjatywy i pod jego redakcją ukazał się *Conrad żywy* (1957), Conradowi też poświęca Tarnawski książkę *Conrad. Człowiek-pisarz-Polak* (1972), wreszcie przekłada także jego powieści. Z kolei Bernanos, Mauriac, Green – to bohaterowie książki *Pisarze chrześcijańskiej rozpaczy*. Ciekawy jest też zbiór szkiców i portretów literackich *Od Gombrowicza do Mackiewicza* (1980).

Pólliteracko-aforystyczne są *Wyznania i aforyzmy* (9174) i *Opowieści o niebie i ziemi* (1979). W obrębie literatury lokują się tylko dwie, ale istotne książki: nowele tomu *Ucieczka* (1960) oraz powieść *Ksiądz Antoni* (1977). W *Ucieczce* najistotniejszy jest utwór tytułowy, spisany w konwencji znalezionej rękopisu, opatrzonego przez wydawcę komentarzem. Rzecz dzieje się w pierwszych dniach września 1939 roku. Bohater, zwyczajny człowiek, ucieka przed kataklizmem w góry nad Czeremoszem. Przeżywa miłość, raduje się pięknem i spokojem przyrody, a ostatecznie ginie. Bardzo silny plan metafizyczny, rzecz jest w istocie przypowieścią, podobnie jak inne utwory Tarnawskiego. Jego największe dzieło, *Ksiądz Antoni*, zrodzone z ducha Mauriaka i Bernanosa, przedstawia dzieje upadku duchowego, obrastającego w piórka księdza – ale ten ksiądz jest w sposób oczywisty *everymanem*. Albo wielkość, albo wygoda, której najgroźniejszą odmianą jest wygoda moralna. W utworach Tarnawskiego widać wyraźny wpływ Vincenza, może to zresztą powinowactwo zarówno miejsca, jak i skłonności dydaktycznych. Ale, jak to w wypadku powieści krytyka, powinowactw byłoby wiele, a z *Pałubą* Irzykowskiego także nie najmniejsze.

Perspektywa metafizyczna pozwala choć trochę zdystansować się od historii, ale większość pisarzy, którzy przeżyli Wielką Katastrofę nawet tego nie próbuje. Nie próbuje tego i Wiktor Trościanko (pisarz i publicysta związany ze Stronnictwem Narodowym, zmarł w Madrycie w 1983), dający panoramę polskich losów w trylogii *Wiek męski, Wiek kłęski, Nareszcie lata pokoju!*. Trościanko z Wilna dotarł ostatecznie na Zachód, gdzie był przez całe lata dziennikarzem i bardzo wnikliwym komentatorem Wolnej Europy. Jest także autorem ładnej książki reporterskiej o Śródziemnomorzu – *Nike i skarabeusz* (1965). Tu jeden zabawny drobiazg: wędrujący Polak spotyka się wszędzie – w Grecji i Turcji – z przychylnym przyjęciem. Albo autor bujał nieco, albo zdegradowaliśmy się tymczasem przerażająco.

Z meandrów historii wynika twórczość Janusza Kowalewskiego, w młodości działacza KPP. Później całkowicie zmienił poglądy. Jest autorem powieści polityczno-obyczajowych: *O człowieku, który szukał prawdy* (1952) i *Choroba wieku* (1953). Największe uznanie zdobył jednak jego tom opowiadań *O żołnierzu ciułaczu* (1955) – z okresu kampanii włoskiej, ukazujących powszednie, czasem smętne sprawy żołnierskiego losu, o których nie pisze się w szkolnych czytankach. Zajmuje się też adaptacją byłych żołnierzy w nowych, głównie angielskich warunkach. Później jeszcze wydał Kowalewski tom humoresek *Miłość i hazard* (1964), a we wspomnieniach *Droga powrotna* opisuje swój młodzieńczy romans z komunizmem.

Jeszcze poważniejszą przygodę z lewicą przeżył Wacław Solski (1897). Nazwisko jest pseudonimem, przybrany – jak wyjaśnia Solski w swoich wspomnieniach – po to, by rodzinie kłopotu politycznego nie sprawić. Prawdziwe jego nazwisko to Pański, *notabene* rodzony brat krajowego publicysty i tłumacza Jerzego Pańskiego – pierwszego, bodajże, prezesa polskiej telewizji. Solski związał się z SDKPiL, był w Rosji w czasie rewolucji, pracował dla Związku Radzieckiego do roku 1928, pełniąc odpowiedzialne funkcje dyplomatyczne, literackie, filmowe i dziennikarskie. Poznał osobiście Lenina, Dzierżyńskiego, Mołotowa, Stalina i wielu innych z tego kręgu. Po czym zerwał z ruchem komunistycznym, zamieszkał na Zachodzie, ale właściwie nie głosił też antykomunizmu. W czasie wojny wrócił do prasy i literatury polskiej.

Pisał i wydawał, w kilku językach, publicystykę, sztuki teatralne, wiersze, powieści i nowele. Tom *Dym. Wiersze osobiste* (1980) powstał pod wpływem odwiedzin w Łodzi w 1961. Zaczynał jednak od powieści, publikowanych po rosyjsku w ZSRR. Z tych ważniejszych wymienić należy: *Opowieść o ostatniej walce* (1926), ukazującą ostateczne zwycięstwo komunizmu w różnych krajach, i powieść *Kola Koliesa* – o rewolucji rosyjskiej. Ważną polską powieścią jest *Pociąg odchodzi o północy* (1944), poświęcona walce podziemia z Niemcami. Podziemie wykonuje tu wyrok na hitlerowskim dostojniku. Dalej przychodzi *Opowieść o Szwejku* (1957) i *Rysy twarzy* (1957) – książka o polskiej lewicy około roku 1920, rzecz z kluczem, gdyż występują tu Marchlewski, Warski, Radek i inni znani Solskiemu komuniści.

Pierwsza część książki dzieje się w Łodzi, rodzinnym mieście autora. Trzeba też odnotować *Władzę. Powieść historyczna* (1976) – o Stalinie i liczne zbiory nowel, pisywanych pod urokiem Czechowa, jak *Czarna spowiedź* (1961), *Dziwne wypadki* (1969) i inne. Ważne są tu motywy daremnego poświęcenia i nieudanego powrotu. Osobne miejsce należy się opowieści o psach – *Psy wśród ludzi* (1970).

Najpopularniejszą książką Solskiego są *Moje wspomnienia* (1977) – obejmujące okres od łódzkiego dzieciństwa po emigrację z ZSRR. Szczególnie interesujące są spotkania z wybitnymi rewolucjonistami i działaczami, okoliczności „pochodu na Warszawę”, widziane z bolszewickiej strony, działalność lewicy w Niemczech i Francji (dowiadujemy się np., że cała francuska prasa była w swoim czasie opłacana przez cara, rzekomo później już nie), stosunki literackie w Rosji w przeddzień dyktatury Stalina. Solski opowiada bez szczególnego jadu, choć chwilami potrafi być sarkastyczny. Oto jedna z krótkich absurdalnych historyjek, drukowanych w latach osiemdziesiątych w „Szpilkach”:

„Zwykła świnia objęła inną i pocałowała ją czule//Fakt ten wart jest odnotowania//Bo prawie każda świnia w ogóle//Ma każdą inną za drania//I jak się taka świnia uprze//To każdą inną zgubi. Co innego barany//Te są łagodniejsze i miłsze//Ale głupsze.”

Solski jest także autorem książek dla dzieci.

Swoicie egzotyczną postacią był Paweł Łysek (1914-1978), wywodzący się z pogranicznej wioski, ze Śląska Cieszyńskiego, który zdobył wielostronne wykształcenie polskie i amerykańskie, trafił do polskiego wojska we Francji i ostatecznie został wykładowcą w Queens College w Nowym Jorku. Drukował już przed wojną w prasie lokalnej, następnie opublikował pamiętnik wojenny i wreszcie dał kilka książek, będących niemal monografiami folklorystycznymi, bo szczątkowa akcja jest tu z reguły pretekstem. Pod względem fascynacji folklorem przypomina nieco Franciszka Kotulę. Ale jest pewna osobliwość: Łysek mówił w dzieciństwie śląsko-cieszyńskim dialektem, później pisał w języku literackim, ale swoje najważniejsze książki spisał językiem tak silnie dialektyzowanym, że chwilami prawie niezrozumiałym. Do niektórych, co prawda, dołączył słowniczek. Dodajmy, że pisał także rozprawy naukowe, ale te już po angielsku.

Jego debiut książkowy to pamiętnik *Z Istebnej w świat* (1960) – tytuł wzorowany wyraźnie na słynnej książce Stanisława Pigionia *Z Komborni w świat* (1946). Ale Łyskowi, już przecież studentowi UJ, nie chodzi o wyprawę edukacyjną. Zagrożony niemieckim aresztowaniem, w grudniu 1939 ucieka przez Słowację na Węgry, do Jugosławii i Francji, przeżywając po drodze wiele przygód. Książka jest pisana szalenie prosto, chwilami wręcz naiwnie, nie bez patetycznych inwokacji do krajów, gór, księżycy. Pamiętnik ma i tom drugi – *Poszło na marne* (1965).

Łysek zaczyna się jako pisarz wraz z książką *Przy granicy* (1966). Jego „mała ojczyzna” to właściwie trzy wioski: Istebna, Jaworzynka, Koniaków. Specyficzny język, tradycja, górski pejzaż, obyczaj i kadra upiorów, z utopcami na pierwszym planie. (Ciekawe, też przecież śląski Ociepka z utopcami bardzo się liczył. Dalej na wschód było z nimi znacznie mniej kłopotów. A utopiec to przecież strach przed wodą). Książki Łyska są inkrustowane pieśniami, wierszykami, przysłowiami – nie potrafię powiedzieć, czy wywodzą się z pamięci autora, czy są z Kolberga rodem. Obyczaje też bywały szczególne – narzeczony powinien sypiać w jednym łóżku z narzeczoną, ale aż do ślubu bez fizycznych konsekwencji. *Przy granicy* schodzą się na „szkubaczki” kobiety: Jadwiga Zwyplakanej, Zuska Spodźłobu, a także Jewka Zdupnego, Bestwinuła Zorzici i inne. To część pierwsza, *Radosna*, będzie jeszcze *Bolesna* i *Chwałebna*. W sumie rok obrzędowy.

Podobne w zamyśle i wykonaniu są książki następane: *Twarde żywobyćie Jury Odcesty* (1970), *Marynka, cera Gajdosza. Powieść obyczajowa znad obu brzegów Olzy* (1973), *Jano i jego zbijnicy* (1977).

Wartość Łyska nie tyle w materii literackiej tkwi, w skąpej fabule, co w wizji umierającej czy nawet już umarłej kultury. W literaturze polskiej mało jest obrazów tak przemyślanych i konsekwentnych. Etykieta „literatury emigracyjnej” brzmi tu szczególnie groteskowo.

Ale tarapaty z emigracyjnością są nie do uniknięcia. Nie ma dobrej klasyfikacji pisarzy, którzy tworzyli i na emigracji, i w kraju, a niekiedy publikowali równolegle i tu, i tu. Przyjąłem na użytek tej książki, że pisarze emigracyjni to ci, którzy nie przeżyli w Polsce stalinizmu. Ale definicja taka w odniesieniu do lat siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych jest już wątpliwa. Znamienne zresztą, że publicyści emigracyjni także nie są zupełnie pewni, czy za emigrantów literackich uznać należy Hłaskę, Odojewskiego, Brandysa, Lisiecką, Leca, Stawara, Swinarskiego, Mroźka? Ja tego w każdym razie nie czynię. Ale o tym wszystkim czas decyduje, historia. Miejmy nadzieję, że w przyszłości i te dwie literatury, krajowa i emigracyjna, do końca zejdą się z sobą. Zapewne w dużych ośrodkach polonijnych książki będą się ukazywały nadal, ale już nie z powodów politycznych.

Na pewno autorem specyficznie emigracyjnym pozostał George J. Flemming – to pseudonim Jana Działaka, o którym wiem tyle, że zginął na emigracji w jakimś wypadku. Jest on autorem dwóch błyskotliwych książek: *Polska mało znana* (1966) i *Czym to się je? Czyli dobre rady dla reemigrantów i turystów* (1966). Jest to szyderczy obraz stosunków panujących w Polsce, ale nie chodzi tu o najwyższe piętra polityczne, lecz raczej o nonsensy i absurdy zwyczajnego życia. Przy czym zdarza się, że szyderstwo przechodzi nagle w partie liryczne, poświęcone ziemi polskiej. Pamflety Flemminga były wielkimi bestsellerami lat sześćdziesiątych, w następnych dziesięcioleciach tematy w nich poruszane przestawały powoli być tabu i w prasie krajowej.

Do tamtego też czasu należy rozgłos Piotra Guzego. Autor po dziesięciu latach spędzonych w Anglii wrócił w 1949 do Polski, osiadł w Poznaniu i dynamicznie rozwijał swą karierę literacką. W 1958 znów wyjechał i został na stałe na emigracji, by po kilku latach zacząć znowu pisać.

W okresie polskim wydał cztery powieści kryminalno--sensacyjne, z ostrzem politycznym, mierzącym w knowania imperialistów. Równocześnie wychwalał pracowników bezpieczeństwa. Książki były pisane interesująco, żywo, miały precyzyjną akcję, autor zapuszczał się także w zakamarki psychologii. Akcja była lokowana bądź w Polsce, bądź na Zachodzie. Były to *Nocny zrzut* (1955), *Następny odchodzi o 22.25...* (1955), *Cienie na gwiazdach* (1956) i *Wenus z brązu* (1956).

Na powtórnej emigracji wydał Guzy *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (1966). Jest to wielki wewnętrzny monolog Karola Ostudy, majora UB, pana i władcy małego miasteczka, w istocie rzeczy oprawcy, z którego zwykłą rzeczą koleją zrobiono kozła ofiarnego. Jest tu i obraz życia sfer decydenckich małego miasteczka, i nieco melodramatu – tyleż społecznego, co osobistego (żona Ostudy, Basiula, jest potężną puszczałką), i wstrząsający opis poznańskich „wypadków czerwcowych”. Książka mroczna, o stylu bełkotliwym, pisana bez akapitów, jednym strumieniem, co, między innymi, każe myśleć o wpływie *Bram rajy* Andrzejewskiego.

Jego następna powieść to *Stan wyjątkowy* (1968), w równie ciemnej tonacji przedstawiający różne pokolenia ludzi zmiądzonych rzeczywistością polską po 1945 roku, bo to właśnie jest ów tytułowy „stan wyjątkowy”. Wśród książek ukazujących potępińczy świat śledztw, procesów, fałszywych oskarżeń prace Guzego zajmują znaczące miejsce.

Najpoważniejszym autorem wśród młodszych emigrantów jest Henryk Grynberg (1936), absolwent wydziału dziennikarskiego UW i aktor Teatru Żydowskiego, od 1967 roku w Stanach Zjednoczonych, gdzie w Kalifornii kończy sławistykę. Już przed wyjazdem wydał w

Polsce tom wierszy i dwa tomy prozy. W 1968 roku, po Marcu, stał się obiektem niezwykle napastliwej nagonki prasowej. Na emigracji wydał sporo książek różnego autoramentu. Jego utwory ukazywały się w początkach lat osiemdziesiątych w wydawnictwach drugoobiegowych, a od 1987 zaczęły się ukazywać i oficjalnie, początkowo w „Znaku”. Ciekawe, że debiutancki tom wierszy wydał PAX. Ale może to i nic szczególnego, bo judaizm Grynberga jest właśnie ogromnie chrześcijański, żeby nie rzec: wręcz katolicki. A najpewniej trzeba powiedzieć, że wszystko u Grynberga rozgrywa się na jakiejś wyższej, ponadnarodowej, ludzkiej po prostu płaszczyźnie. Dlatego jego przesłanie ma charakter uniwersalny. Jeśli się tego nie widzi lub widzieć nie chce, to można np. *Żydowską wojnę* oskarżać o niesprawiedliwość wobec Polaków, ale przy odpowiedniej dozie głupoty i czepliwości da się późniejszy Kadisz pomówić i o... antysemityzm.

Wiersze Grynberga ustępują prozie, wychodzą od poetyki Różewicza, ale bywają przy tym bardziej patetyczne i zdarza się im posługiwać pełniejszą, biblijną i litanijną frazą. Ich przedmiotem jest od początku los spadkobiercy zamordowanego narodu. Ale później, w okresie emigracyjnym, staje się Grynberg także następcą polskiego romantycznego (chyba?) pielgrzyma-wygnańca. Tak czy inaczej, jest to poezja metafizyczno-widmowa. Debiutował w Polsce tomem *Święto kamieni* (1964), na emigracji przyszły *Antynostalgia* (1971), *Wiersze z Ameryki* (1980) i *Wśród nieobecnych* (1983). Oto wiersz z tego ostatniego tomu:

Można by jeszcze jako tako żyć  
Gdyby nie to codzienne umieranie  
i śmierć nie byłaby straszna  
gdyby nie to codzienne umieranie  
wokół  
a zwłaszcza w nas

bo wbrew temu co mówią słowniki  
żyję to znaczy umieram  
a Pan który mnie stworzył  
w samym środku nieskończoności cmentarza  
każe mi wołać hosanna

(*Wbrew temu co mówią słowniki*)

Inne wiersze Grynberga także posługują się chętnie paradoksem, ale niekoniecznie prowadzą do takiej, względnie pogodnej pointy.

Debiut prozatorski Grynberga to zbiór nowel *Ekipa „Antygona”* (1963), rozgrywających się na dwóch planach, wojennym i współczesnym. Ten pierwszy to kształtowanie się świadomości dziecka, poczucia, że jest Żydem oraz tego, że nim być nie ma i nie powinno („co to dziecko winne” – że jest Żydem, naturalnie). Bardziej jeszcze widmowy jest plan współczesny, nawiedzanie miejsc kaźni minionego czasu. Najlepsza chyba jest nowela tytułowa – z niesamowitym zniknięciem ciał, które miały być ekshumowane. Są też nowele jerozolimskie. Właściwie już tutaj, w debiutanckiej książce, występuje większość motywów prozy Grynberga, które będą odtąd powracać w jego twórczości, obrastając znaczeniami.

Rozgłoszyskał Grynberg książką następną, niewielką powieścią *Żydowska wojna* (1965), podzieloną na dwie części: perspektywę ojca i matki. Ojcu narratora przypadło bowiem zginąć w obronie rodziny, matce zaś – przetrwać. Trudno powiedzieć, który los był cięższy i tragiczniejszy. Książka przedstawia walkę o życie żydowskiej rodziny, a rola Polaków nie jest w tym wszystkim taka, jak byśmy pragnęli. Ale, wbrew twierdzeniom przeciwników Grynberga, nie widać tu wcale złej woli i chęci oczerniania. To po prostu gorzka, że ludzie są aż tak niedobrzy, czy może – nawet częściej – słabi. Nie chcę wchodzić w polsko-żydowskie



żale i dialogi, przynajmniej w tym miejscu. Czytałem tę książkę z takim smutkiem, z jakim Grynberg zapewne ją pisał. Ale literacko, to rzecz bardzo dobra i klarowna, a sytuacje, jakie ukazuje, są rzeczywiście przejmujące.

*Żydowska wojna* kończy się jasnym akcentem, to jest pojawieniem się Rosjan. Ale wydane już w Paryżu w 1969 *Zwycięstwo* (wyd. pol. 1990 – przyp. red.), ukazujące dalsze dzieje bohatera po klęsce Niemców, jest bardzo krytyczne. Podobnie jak kolejny tom, powieść *Życie ideologiczne* (1975), ukazujące edukację w stalinowskiej szkole. Była też powieść *Życie osobiste* (1979), a wreszcie *Życie codzienne i artystyczne* (1980), utwory, w których Grynberg transponuje swoją biografię na życie dziewczynki-sierotki z Kalisza – od okupacji, przez głodne dzieciństwo i szkołę wiadomych lat pięćdziesiątych, po szkołę baletową w Poznaniu i początki samodzielnego życia.

Ale ponowny wzlot artystyczny to dopiero *Kadisz* (1983). Jak zwykle, tworzywem powieści jest biografia autora, choć tym razem Grynberg zastrzega się specjalnie, by, mimo wszelkich podobieństw, nie czynić takich uproszczonych identyfikacji. Narrator i jego ocalała matka przeżywają śmierć męża i ojczyzna (ojciec zginął w czasie okupacji) i pojawienie się nowego. Centralną sprawą staje się jednak choroba i śmierć matki, której towarzyszy nikczemne postępowanie przyrodniego brata narratora („półbrata” – jak pisze autor) i kolejnego ojczyzna. Rozdrapywanie majątku konającej jest pokazane tak bezlitośnie, że wystarczyłoby lekkie położenie akcentu na tym, że to rodzina żydowska, a... Nie o to chodzi, piszę o tym dla porównania z *Żydowską wojną*.

W istocie jest to głęboka przypowieść o śmierci i ocaleniu, a pojęcie Żyda ulega tu wielkiej transformacji – Żydem staje się człowiek nie przez urodzenie, ale przez akt modlitwy. Żyd jest więc jakby stanem duszy ludzkiej. I, jak się zdaje, *anima iudaica* ma ten sam korzeń, co *anima christiana* – jest nim sprawiedliwość. Z *Kadiszem* jest więc mniej więcej tak, jak z pismami Martina Bubera – ich przesłanie jest uniwersalne. W świetle tej bardzo dobrej książki cała twórczość Grynberga prezentuje się inaczej.

A składa się na nią jeszcze i dramat *Kronika* (1987), i eseje *Prawda nieartystyczna* (1984). (W ostatnich latach ukazały się ponadto: opowiadania *Szkice rodzinne* – 1990 oraz w 1991 poezje *Wróciłem: wiersze wybrane z lat 1964-1989* – przyp. red.). Niestety, nie znam tych książek.

Na koniec wreszcie wspomnijmy o parze autorskiej: Szymon Szechter (zm. w Londynie w 1983) i jego sekretarka, a później żona – Nina Karsov. Szechter, w czasie wojny w ZSRR działacz komunistyczny, później ociemniały, przeszedł do opozycji. W latach sześćdziesiątych prześladowany, Nina Karsov w tymże czasie uwięziona, wypuszczona po międzynarodowych interwencjach. Szechter jest autorem zbioru opowiadań *Uciekłem* (1969), potem ukazała się powieść *Czas zatrzymany do wyjaśnienia* (1972), gdzie żydowskiego pochodzenia kiepski pisarz Józef Potoczek zestawiony zostaje z samym sobą jako dzieckiem – w zatrzymanym wedle tytułu czasie. W 1970 ukazuje się, pisany razem z Niną Karsov, dziennik-pamiętnik *Nie kocha się pomników*. Są to biografie obojga, ale zasadniczym wątkiem jest śledztwo i proces Karsov w sześćdziesiątym szóstym i siódmym. Stanowi to zresztą odskocznnię do rozważań ogólniejszych.

Z kolei przyszły drobne opowiadania, zebrane w tomach: *Szechtereżada* (1975) i *W sobotę u Minki i inne bajki* (1983). Są to jakby przypowieści, przy bardzo wyraźnym wpływie nadrealizmu, ale także i Kafki. Absurdalne i najczęściej okrutne. Nina Karsov i Szymon Szechter zajmowali się także tłumaczeniami, wśród których szczególne znaczenie ma *Apoteoza nieoczywistości* Lwa Szestowa (1983). A oto minipowiadanie Szechtera *Michał Lipka*, z jego głośnej *Szechtereżady*:

„Michał Lipka jest bohaterem powieści, której nigdy nie napisałem, a ponieważ nie chciał się pogodzić z nieistnieniem i nie dawał mi spokoju, musiałem ukryć się przed nim aż na sa-

mym dnie komina w nieczynnej i dawno już opuszczonej cegielni, a kiedy mnie i tam odnalazł, wyciąłem sobie uliczkę z obrazka i pobiegłem po niej.

Biegłem z trudem. Ciężko mi było oddychać, bo powietrze wymieszane ze słońcem było gęste i lepkie. Dobiegłem do budki z wodą sodową i poprosiłem o szklankę – tylko zimnej, z sokiem malinowym, i wtedy Lipka mnie dogonił. Znowu stał tuż za mną. Zgrzytając żelastwem zza rogu uliczki wyjechała ciężarówka. Odwróciłem się i z całej siły pchnąłem go prosto pod koła. Ciężarówka zazgrzytała jeszcze bardziej, a pobiegłem w dół uliczki, aby nie spóźnić się do szkoły.

Lipka czekał już na mnie. Siedział za biurkiem dyrektora i coś pisał. „Jesteś aresztowany – powiedział. – Popełniłeś ciężką zbrodnię. Zastrześliś śledczego, podczas gdy cię przesłuchiwał.” Tak powiedział, otworzył szufladę biurka, w której był rewolwer, a mnie się go żal zrobiło, bo wiedziałem, że za chwilę wyjmie rewolwer z szuflady i palnie sobie w łeb. I zrobi to tylko po to, ażeby można było skazać mnie za morderstwo.”

\*

Na tym kończę przegląd nowszej prozy emigracyjnej. „Emigracyjność” książek to zresztą tylko stan przejściowy. O ludziach trudniej tak rzec, bo przecież „stanem przejściowym” jest i samo życie. Przypominam raz jeszcze, że polityka i poglądy polityczne nie stanowią żadnego kryterium w tej książce. A teraz powróćmy raz jeszcze do roku 1956.

*1988-1989*